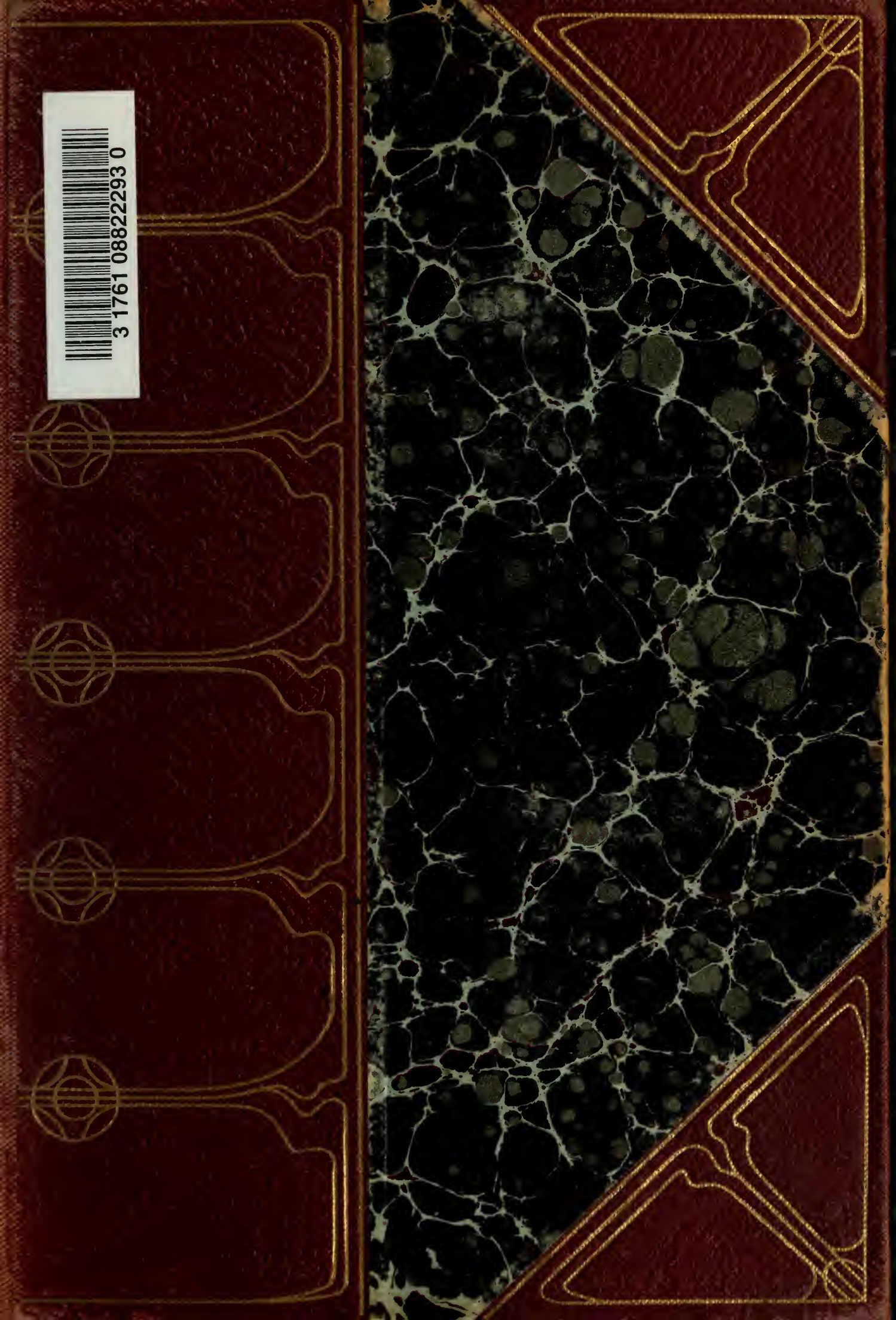




3 1761 08822293 0





Presented to
The Library
of the
University of Toronto
by
THE ADAM MICKIEWICZ
CENTENNIAL COMMITTEE,
TORONTO

WIEK XIX
STO LAT MYŚLI POLSKIEJ



Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

WIEK XIX

///

STO LAT MYŚLI POLSKIEJ

ŻYCIORYSY, STRESZCZENIA, WYJĄTKI

POD REDAKCYĄ

BRONISŁAWA CHLEBOWSKIEGO,
IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO, HENRYKA GALLEGO,
GABRYELA KORBUTA, MANFREDA KRIDLA,
STANISŁAWA KRZEMIŃSKIEGO

TOM VII

WYPISY Nr 798—880



WARSZAWA

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ——— LUBLIN ——— ŁÓDŹ
KRAKÓW ——— G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

L.P.C
W 6455

630964
14.3.56

WYKAZ WYPISÓW.

CII.

KORZENIOWSKI JÓZEF (1797—1863).

Wypisy Nr. 798—803.

	Str.
Życiorys, opr. H. Galle.	1
Bibliografia.	19
A) Mnich.	20
B) Karpaccy górale	25
C) Żydzi	34
D) Panna mężatka.	43
E) Kollokacya.	51
F) Krewni.	63

CIII.

CHOŁONIEWSKI STANISŁAW (1791—1846).

Wypisy Nr. 804—808.

Życiorys, opr. G. Korbut.	75
A) Sen w Podhorcach.	84
B) Opis podróży do Kijowa.	109
C) Z »Obrazów z galeryi życia mego«.	122

CIV.

HOŁOWIŃSKI IGNACY (1807—1855).

Wypisy Nr. 809—815.

Życiorys, opr. G. Korbut.	128
A) Pielgrzymka do Ziemi świętej.	132
B) Życie mojej matki.	141

CV.

WISZNIEWSKI MICHAŁ (1794—1865).

Wypisy Nr. 816—837.

	Str.
Życiorys, opr. G. Korbut.	151
A) Pamiątka po ojcu.	169
B) Z Historii wieku Piastowego.	173
C) Charaktery rozumów.	182
D) Historia literatury.	190
E) Podróż do Włoch.	210
F) Myśli o kształceniu samego siebie.	221

CVI.

GRABOWSKI MICHAŁ (1804—1863).

Wypisy Nr. 838—843.

Życiorys, opr. M. Kridl.	228
A) Myśli o literaturze polskiej.	246
B) Literatura i krytyka.	255
O szkole ukraińskiej poezji.	262
C) Świat i poeta przez J. I. Kraszewskiego.	269

CVII.

TYSZYŃSKI ALEKSANDER (1811—1880).

Wypisy Nr. 844—851.

Życiorys, opr. G. Korbut.	286
A) Amerykanka w Polsce.	294
O szkołach poezji polskiej.	309
B) Cel krytyki.	314
C) Pierwsze zasady krytyki powszechnej.	325
D) Dwie Świtezianki.	327
E) Z wizerunków polskich.	335
F) Dwie poezye przedśmiertne (ojca i syna Słowackich).	340

CVIII.

CYBULSKI WOJCIECH (1808—1867).

Wypisy Nr. 852—860.

Życiorys, opr. G. Korbut.	348
A) Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko.	350
B) Dziady Mickiewicza.	360

CIX.

SIEMIĘSKI LUCYAN HIPOLIT (1809—1877).

Wypisy Nr. 861—866.

	Str.
Życiorys, opr. Br. Chlebowski.	374
A) Trąby w Dnieprze.	384
B) Zakłęte koło.	387
C) Komu w drogę, temu czas.	388
D) Odyssea.	389
E) Glossa św. Teresy.	397
F) Portrety literackie. St. Trembecki.	399

CX.

BUKATY ANTONI (1808—1876).

Wypisy Nr. 867—869.

Życiorys, op. J. Ujejski.	410
A) Sprawa Polski.	414
B) Polska w apostazyi.	422

CXI.

KRÓLIKOWSKI LUDWIK (1799—1878).

Wypisy Nr. 870—871.

Życiorys, opr. J. Ujejski.	429
Polska Chrystusowa.	443

CXII.

WÓJCICKI KAZIMIERZ WŁADYSŁAW (1807—1879).

Wypisy Nr. 872—873.

Życiorys, opr. B. Chlebowski.	448
A) Klechdy.	460
B) Stare gawędy.	463

CXIII.

MECHERZYŃSKI KAROL (1804—1881).

Wypisy Nr. 874—875.

Życiorys, opr. H. Mościcki.	472
A) Historya wymowy w Polsce.	474
B) Piotr Skarga.	476

CXIV.

MACIEJOWSKI WACŁAW ALEKSANDER (1793—1883).

Wypis Nr. 876.

	Str.
Życiorys, opr. I. Baranowski.	478
Rysy do obrazu charakteru Słowian i Niemców.	485

CXV.

HUBE ROMUALD (1803—1890).

Wypis Nr. 877.

Życiorys, opr. I. Baranowski.	487
Ogólne zasady nauki prawa karnego.	492

CXVI.

HOFFMAN KAROL BOROMEUSZ (1798—1875).

Wypis Nr. 878.

Życiorys, opr. I. Baranowski.	495
Wielki tydzień Polaków w r. 1830.	499

CXVII.

HELCEL ANTONI ZYGMUNT (1808—1870).

Wypisy Nr. 879—880.

Życiorys, opr. I. Baranowski.	503
A) O teoretycznej i praktycznej oświacie.	509
B) Z aforyzmów o konserwatyzmie.	512

STANISŁAW KRZEMIŃSKI

1839—1912.

W zgasłym dnia 29 listopada 1912 r. niezwyklej zacności człowieka i obywatelu, kraj nasz stracił oddanego mu całą duszą patriotę i działacza, piśmiennictwo poważnego, światłego, uzdolnionego, gotowego do udziału w każdym zamierzeniu literackim i naukowym pracownika, publicystę, krytyka, poszukiwacza, redaktora, wreszcie koło redakcyjne »Stu lat myśli polskiej« gorliwego, oddanego z zapalem podjętemu zadaniu współredaktora, wzorowego współpracownika i najlepszego kolebę.

Też same pobudki społeczne i zamierzenia oświatowe, jakich wyrazem była wydana przy współudziale Krzemińskiego w latach 1884—1885 »Złota przedza«, skłoniły go do skwapliwego przyjęcia udziału w urzędystwieniu zamiaru »Stu lat myśli polskiej«.

Koło redakcyjne, do którego obok zmarłego weszli pierwotnie: Ignacy Chrzanowski i Henryk Galle, przystąpiło do pracy, której całość obliczono na 12 tomów, z zapalem i energią. Na ułożenie planu wywierał przeważny wpływ Krzemiński, najstarszy wiekiem i górujący młodzieńczym prawdziwie zapalem. Gorące słowo wstępne, poprzedzające tom pierwszy, wydany w r. 1906,

odbija wymownie nastrój uczuciowy ówczesnej redakcyi. Tom ten wypełniały przeważnie opracowania Krzemińskiego, który, oddając się źródłowym studjom nad wiekiem 18-tym i literaturą polityczną wieku 19-tego, w pracach poświęconych: Staszycowi, Kollatajowi, Czackiemu, Czartoryskiemu (generalowi ziem podolskich), Albertrandiemu, Wybickiemu, Matuszewiczowi, a w późniejszych tomach: Lelewelowi, Czartoryskiemu Adamowi, złożył dowody swego rozległego odczytania, gruntownej znajomości rzeczy polskich i gorącego ich umiłowania.

Składając hold wysokim zasługom i zaletom zgasłego współtowarzysza pracy, redakcyja »Stu lat myśli« pragnie uczcić pamięć Krzemińskiego przez doprowadzenie do końca dzieła, które mu było tak drogiem, w które włożył tyle swej pracy i wiedzy, tyle zapалу swej podniosłej duszy.

Warszawa, grudzień 1912.

Redakcyja.

CII.

KORZENIOWSKI JÓZEF

(1797—1863).

Utalentowany obserwator typowych objawów życia codziennego, jeden z twórców nowoczesnej, realistycznej powieści polskiej, autor licznych, niegdyś wielce popularnych dramatów i komedyi, z których kilka do dziś dnia utrzymuje się trwale na scenach polskich, urodził się Józef Korzeniowski dn. 19 marca 1797 roku, a więc w dwa lata zaledwie po ostatnim rozbiore Rzeczypospolitej, a na rok i kilka miesięcy przed Mickiewiczem, na folwarczku, dziś zwanym »Korzeniówką«, pod Brodami. Jakkolwiek miejscowość ta nie ma w sobie poetyckiej krasy, autor »Spekulanta« zachował o swem miejscu rodzinnem do końca życia ciepłe i serdeczne wspomnienie.

Z równą serdecznością Korzeniowski zachował w pamięci wizerunki obojga rodziców: ojca Wincentego, który w ostatnich latach XVIII wieku był rządcą w dobrach Wincentego Potockiego, i matki, Klary z Winklerów, po której, wedle mniemania Chmielowskiego, Józef miał odziedziczyć temperament spokojny, stateczny, przy pewnej przymieszce sentymentalizmu. Tworząc w wiele lat później w »Kolkacyi« sympatyczne postacie dwojgą staruszków, dziadka i babki Starzyckich, zalewał się łzami, w nich bowiem złożył, co miał najdroższego z przeszłości — wspomnienia rodziców.

Pierwsze lata dzieciństwa upływały Korzeniowskiemu wśród zmiennych, a silnych wrażeń bojów napoleońskich: pochód armii rosyjskiej pod Austerlitz w r. 1805 to jedno z najwcześniejszych jego wspomnień, a już w r. 1809, mając zaledwie lat 12, marzył o mundurze i lancy ułańskiej i uciekał z domu rodzicielskiego do Brodów, przyglądać się »musztrom i egzercyzyom« nowego żołnierza; zwłaszcza szwadron szaserów konnych Przebendowskiego, w ogromnych berymnych, uplastycznił się w jego pamięci.

Z latami ochłódł ten kult dla Napoleona, ustąpiwszy miejsca chłodnej rozwadze i krytycyzmowi, o czym świadczy skreślona przez K. w »Dzienniku wizytatora« w r. 1849 w Wołkowyszkach, owej pamiętnej w dziejach wojny 1812 r. miejscowości, notatka, w której, uchyliwszy czoła przed »olbrzymią siłą moralną ludu rosyjskiego«, potępił »boga wojny« za nieopatrzne zmierzenie się zarówno z tą potęgą duchową, jak i warunkami przyrodzonymi teatru wojny.

Uczył się Józef początkowo w domu, a od dziewiątego roku życia w Brodach, w szkole normalnej, pozostającej pod kierownictwem niejakiego p. Fontani. Po ukończeniu trzeciej klasy normalnej w tym zakładzie wysłano go do Zbaraża, gdzie chodził do klasy pierwszej (rok 1807), drugą zaś klasę ukończył w Czerniowcach, dokąd go zabrał bratanek jego matki. Opiekował się nim tak gorliwie, że w rok później wychowanek za namową opiekuna i pod wpływem zniemczonej jego żony napisał list z powinszowaniem imienin do matki — po niemiecku. Szczęśliwy instynkt ojca ocalił Józefa dla literatury polskiej: stary oburzył się na tak znakomite postępy syna w języku urzędowym, bezzwłocznie go z Czerniowiec odebrał, a od roku szkolnego oddał do gimnazjum wołyńskiego w Krzemieńcu, które, kierowane umiejętną i zacną dłońią Czackiego, stało wówczas u szczytu swego rozwoju.

W Krzemieńcu rozpoczął Korzeniowski swój wieloletni zawód pisarski, korzystając z rad i wskazówek ks. Alojzego Osińskiego, profesora literatury polskiej i łacińskiej; pod jego to kierunkiem przyszły autor »Karpackich Górali« pierwsze swe utwory wierszowane »ubierał w dźwięki mocno brzmiące« i »wodził niechętnie usta po chrapliwym flecte«. Te z wysiłkiem nielada dobywane tony z klasycznego »fletu« nie wróżyły laurów poetyckich; w samej też rzeczy nie na tej drodze zdobył sobie Korzeniowski trwałe imię w dziejach piśmiennictwa ojczyzny.

Pierwsze drukowane utwory młodego autora, prozą i wierszem, znalazły miejsce w »Tygodniku Wileńskim«, w nr. 392 z dn. 13 sierpnia 1816 r. (»Oda na rok 1815«, napuszona i sztuczna, a już przeciw Napoleonowi zwrócona), oraz w założonych przez Tymona Zabrowskiego i Karola Sienkiewicza »Ćwiczeniach naukowych«, przemianowanych od r. 1819 na »Pamiętnik naukowy« (wiersz p. t. »Ernestyna«, na wzór ballad Schillera, pierwszy ślad oddziaływania na naszego autora nowych prądów literackich, oraz traktat »O górności« z Longina i oryginalna rozprawka »O patetyczności«).

Gdy wyjeżdżał w r. 1819 z Krzemieńca, snuły mu się już po głowie »wielkie, klasyczne i pełne gwałtownych tyrad tragedye«. Uwielbienie dla mistrzów klasycyzmu nie przeszkadzało wszakże młodzieńcowi zapoznawać się z utworami najnowszej literatury niemieckiej.

Ten okres przygotowawczy ciągnie się jeszcze przez następnych lat cztery, które Korzeniowski spędza w Warszawie, już to w charakterze nauczyciela 7-letniego Zygmunta Krasińskiego, przyszłego

twórcy »Irydyona« i »Przedświtu«, już to jako bibliotekarz ordynacji Zamojskich. Z domem Krasińskich zżyć się nie potrafił i, nie wytrwawszy do końca umowy, ustąpił miejsca koledze szkolnemu, Piotrowi Chlebowskiemu (całą rodzinę Krasińskich, nie bez ironii, przedstawił potem w powiastce p. t. »Książd gwardyan«).

O wiele przyjemniejsze było zajęcie w bibliotece Zamojskich. Mając dostęp do bogatej ksiąźnicy, Korzeniowski rozczytuje się zarówno w utworach poezji polskiej XVI w. (Kochanowski i jego »Odprawa posłów greckich«), jak i w Szekspirze i mistrzach romantyki niemieckiej.

Przekłada wprawdzie jeszcze »Tankreda« i »Zairę« i chwali się przed Zaborowskim z każdego szczęśliwiej oddanego zwrotu pseudoklasyycznej muzy Woltera; przekłada »Pory roku« Thomsona, ale jednocześnie czyta z zapalem Schillera, ukradkiem, z obawy przed złośliwością wszechwładnego zoila, Ludwika Osińskiego, tłumaczy »Intrygę i miłość«, a także częściowo »Maryę Stuart« i »Wilhelma Tella«.

I utwory jego z tej epoki znamionują jeszcze człowieka, stojącego na rozdrożu: obok rzeczy czysto klasycznych, jak wyżej wspomniany »List do ks. Aloizego Osińskiego« (drukowany w r. 1820 w »Pszczółce polskiej« i »Pamiętniku naukowym«), obok podobnego »Wiersza do Fr. Morawskiego« lub takiego płodu retoryki napuszonej, jak wiersz »Chwała poety«, zamieszczony w »Wandzie« z r. 1821, pisze poezye o innym zupełnie tonie i treści, jak »Drzewko złamane« lub »Ostatnia praca«, przesiąknięte sentymentalizmem przesadnym i sztucznym, »Tren Ommii na dolinie Beder«, дума, jedyny bodaj u naszego autora utwór orientalistyczny, lub »Światelko«, osnute na tematach ballad Schillera.

W Warszawie jeszcze zawiera Korzeniowski śluby małżeńskie z panną Moniką Vogel, córką Zygmunta, profesora architektury i malarstwa w uniwersytecie warszawskim. Wkrótce widzimy go już na nowem stanowisku.

W r. 1823 ks. Adam Czartoryski zawezwał Korzeniowskiego do Krzemieńca na osieroconą po śmierci Felińskiego katedrę wymowy i literatury polskiej. W sierpniu młodzi państwo Korzeniowscy byli już w Krzemieńcu, a z początkiem roku szkolnego rozpoczęły się wykłady nowego profesora, którego sława wkrótce rozeszła się szeroko.

Już w Warszawie próbował Korzeniowski twórczości dramatycznej, pisząc utwór jednoaktowy p. t. »Klara«, i to, wbrew ks. Osińskiemu i krytykom warszawskim, wierszem białym, miarowym, któremu chciał wywalczyć honorowe w poezji polskiej stanowisko. »Klara« powstała prawdopodobnie w r. 1819, ale dopiero w r. 1826 ukazała się w druku, wespół z podobną jej formą i tematem tragedją pięcioaktową, p. t. »Aniela«, napisaną w r. 1825.

»Klara« i »Aniela« wyszły w Poczajowie, pod wspólnym tytułem: »Próby dramatyczne«.

W samej rzeczy były to dopiero próby młodego dramaturga

z nieodłącznymi od młodzieńczych poczynań usterkami. »Klarze«, która jest właściwie epilogiem dramatu, brak żywej akcji i żywiołu dramatycznego, oraz dostatecznej wyrazistości w charakterach wprowadzonych na scenę osób: z wyjątkiem bohaterki tytułowej, uwiedzionej przez hrabiego dziewczyny, owianej mgłą lekkiej melancholii, wszystkie inne figury nie wychodzą ponad poziom szablonów i rozplývają się w ogólnym tonie sentymentalnej deklamacyi. Słusznie jednak powiada Chmielewski, że »Klara«, jako »pierwszy nasz utwór dramatyczny XIX w. wolny od napuszonej patetyczności, a dający próbki charakterów refleksyjnych, w których myśl i uczucia przemagają nad formą«, ma swoją kartę w dziejach naszego piśmiennictwa. »Aniela« to jakby powtórna edycja »Klary«, znacznie, bo aż do pięciu aktów, rozszerzona, z podobnym motywem zasadniczym, uzupełnionym pomysłami szekspirowskimi (hamletyzm uwodziciela, grabarz-filozof, samobójstwo bohatera na cmentarzu, u zwłok kochanki, jak w »Romeu i Julii«) i schillerowskimi (»Intryga i miłość«).

Pomimo tych braków oba dramaty podobały się współczesnym czytelnikom. Mickiewicz w r. 1828 w liście do Odyńca nazywa »Aniele« »próbą wcale dobrą i wielce obiecującą«, a Słowackiemu jeszcze w r. 1836 też »Aniela« przychodziła na pamięć.

»Mówiąc o sławnych ludziach — pisze do matki z Genewy dnia 5 lutego — zapytam o jednego, który ma do sławy prawo. Co się dzieje z autorem »Prób dramatycznych«? Jego »Aniela« często mi przychodzi na pamięć, jak sen jakiś smutny i miły. Chciałbym bardzo wiedzieć, czy zawsze pracuje, czy może pracować, i nad czem pracuje. Jest to jeden z tych ludzi, którym nie oddano słuszności; potrzebaby mniej być odtąd w pochwałach oszczędnym«.

Trzecim z rzędu dramatem Korzeniowskiego jest »Mnich«, trzyaktowa tragedia historyczna, osnuta na motywach czysto narodowych. Bohaterem jest tu król-wygnaniec, Bolesław Śmiały, spędzający ostatnie chwile życia na pokucie w klasztorze pod Ossyakiem w Karynty. Pomimo pięknej myśli przewodniej (odpuszczenie win naszym winowajcom), tragedia, pozbawiona pierwiastka dramatycznego i jasno zarysowanych charakterów, nie budzi żywego zainteresowania: wprowadzony na scenę duch biskupa Stanisława, który przynosi przebaczenie swemu zabójcy, przywodzi na myśl ducha ojca Hamleta.

Chociaż w utworach powyższych pierwsze lody klasyczne zostały przełamane, pomimo to z kierunkiem tym nie zerwał jeszcze Korzeniowski, bo oto w r. 1826 powstaje dramat p. t. »Pelopidowie«, osnuty na epizodzie z dziejów występnego rodu Atrydów. Tragedya ta, nie objęta zbiorowem wydaniem »Dzieł« Korzeniowskiego, pozostaje dotąd w rękopisie. »Pelopidowie«, dzięki zapewne przedmiotowi klasycznemu, zjednali swemu twórcy tryumf, do którego oddawna w cichości ducha wzdychał: dn. 28 stycznia r. 1830 tragedia ta, pierwsza z dzieł dramatycznych Korzeniowskiego, ujrzała w Warszawie

światło kinkietów, poczem powtórzono ją jeszcze dwukrotnie: 25 lutego i 23 marca.

Inny dramat, z tegoż czasu, również prawdopodobnie w klasycznej formie, p. t. »Bitwa nad Mozgawą czyli Mieczysław Stary« (1827), jest zupełnie nieznaną: F. H. Lewestam nie pomieścił go w wydaniu zbiorowem dzieł Korzeniowskiego, w mniemaniu, iż, ogłaszając go, »lichą tylko jego sławie« wyświadczyłby usługę; zresztą Korzeniowski wyraził stanowcze życzenie, aby dzieło to pozostało w rękopisie.

Następne z kolei dzieło dramatyczne, pierwsze, jakie ukazało się na deskach teatru lwowskiego, który odtąd wprowadzał stale do repertuaru wszystkie sztuki autora »Anieli«, nosiło zrazu tytuł »Miłość i Zemsta«, później zaś — »Dymitr i Marya czyli Wróżba i Zemsta«. Z początku dramat ten pisany był prozą, później zaś, na życzenie Ksawerego Godebskiego, syna Cypryana, przerobiony na wiersz. Wyszedł on z pod pióra autora w r. 1831, w tym samym jeszcze roku grano go trzy razy, a potem powtarzano do r. 1843; jak na owe czasy, dla sztuki polskiej powodzenie to niemałe.

Dramat ten, osnuty na tym samym, co i »Marya« Malczewskiego temacie (tragiczna śmierć Gertrudy z Komorowskich Szczęsnojej Potockiej), z dodaniem kilku osób (cyganka-wróżbitka i zausznik Wojewody, Stefan, szczerzy szablon czarnego charakteru) i scen melodramatycznych (napad Wojewody na dom Maryi), nie należy do najlepszych dzieł Korzeniowskiego, przy przenoszeniu bowiem na scenę akcji poematu Malczewskiego zatarła się cała krasa, cały urok tych postaci, owianych smutkiem i melancholią.

Pomimo te braki, dramat podobał się publiczności lwowskiej i utworował innym dziełom Korzeniowskiego drogę na scenę lwowską. To też nie minęły trzy lata, gdy Korzeniowski wysłał do Lwowa drugi dramat, napisany jeszcze w r. 1829, p. t. »Piękność zgubą« (drukowany p. t. »Piękna kobieta«). W dniu 11 kwietnia r. 1834 dramat został odegrany i, podobnież jak i »Dymitr i Marya«, cieszył się powodzeniem.

Tym razem powodzenie to było bardziej zasłużone. »Piękna kobieta« bowiem, mimo tła obcego, pod względem kompozycji przewyższa wszystkie dotychczasowe dramaty Korzeniowskiego. Rzecz dzieje się na dworze króla angielskiego, fikcyjnego zresztą, Edgara, który trwoni życie na hulankach i rozpuście, ma jednak porywy szlachetne; bohaterką główną jest próżna i kapryśna Elfryda, kobieta, która nic jeszcze występnego nie uczyniła, ale stoi na krawędzi otchłani występków, a piękność i próżność popychają ją ku złemu; inne też postacie (szlachetny, a lekkomyślny Etelwold, mąż Elfrydy, osiwiwały w bojach jej stryj, Olgar, nikczemny, zawistny Lesley) mają swoją plastykę sceniczną.

Ostatnie wreszcie utwory Korzeniowskiego, napisane przed opuszczeniem Krzemieńca, były to dwa fragmenty poetyckie, zamieszczone

w noworoczniku »Melitele«, wydawanym przez Odyńca w latach 1829 i 1830. Znamionuje te utwory znaczny postęp we władaniu formą poetycką. Mamy również wiadomość, że w tymże czasie nosił się Korzeniowski z myślą napisania powieści, ale zamiaru swego do skutku nie doprowadził.

Wszystkie powyższe utwory świadczą, że młody autor nie był sobie jeszcze wytknął drogi. Jego dramaty z tego okresu, wahające się między Wolterem i Rasynem a Schillerem i Szekspirem, są to dotychczas tylko próby wypowiedzenia się w różnych kształtach literackich, bez wyraźnego skłaniania się w którąkolwiek stronę. Rozpoczynając swą twórczość w dobie zmagania się klasycyzmu z romantyzmem, Korzeniowski w walce tej nie wziął wcale udziału, trzymał się na uboczu, a tryumfy młodej poezji romantycznej, uwieńczone dziełem Mochackiego o »Literaturze polskiej w. XIX« i nocą listopadową, nie wywarły na jego twórczość wyraźniejszego wpływu (z wyjątkiem »Dymitra i Maryi«).

Tymczasem w r. 1832 liceum krzemienieckie przestaje istnieć, i Korzeniowski widzi się zmuszony przyjąć zaofiarowaną mu posadę w nowo utworzonym uniwersytecie kijowskim św. Włodzimierza, gdzie wykładał obce dla siebie dotychczas przedmioty: język łaciński, mitologię i starożytności rzymskie. W r. 1836 zajmował katedrę lektora literatury polskiej, ale po upływie pół roku katedra ta została zwinięta. Nie znając dokładnie przedmiotów, które miał wykładać, musiał mozolnie przygotowywać się do każdej lekcyi, co mu wiele bardzo czasu pochłaniało, tak że go brakło do pracy literackiej.

Ale przedewszystkiem bolała go rozłąka z ukochanym Krzemieńcem, gdzie spędził kilka szczęśliwych lat życia. I dopiero powoli zaczął przywykać do nowych warunków: zbudował sobie domek przy ulicy Lipki, wystarczający na skromne potrzeby jego rodziny — i tak minęło sześć lat jego życia (1833—1838).

W okresie tym, oprócz kilku drobnych nowel, powstały dwa tylko dramaty, i to nie najlepsze; »Piąty akt« oraz »Dziewczyna i dama«.

»Piąty akt«, napisany w r. 1833, odegrany po raz pierwszy we Lwowie r. 1836, w Warszawie zaś r. 1838 (pierwszy po »Pelopidach« dramat Korzeniowskiego, wystawiony na scenie warszawskiej), bardzo się podobał publiczności: w teatrze polskim we Lwowie od r. 1836 do 1842 grano go 12 razy, w teatrze niemieckim zaś 2 razy (w r. 1838 i 1840); trzech pisarzy przekładało dramat na język niemiecki; sprawozdawcy nazwali go »wybornym«, »uwielbianym«, samego zaś autora sławnym. Dzisiejsza krytyka nie podziela tych zachwytów. Bo choć dramat jednoaktowy, o treści, mogącej starczyć na 5 aktów, sprawia wstrząsające wrażenie wysokiem napięciem sytuacji, szybkością gwałtownych zmian, mnogością katastrof, jednak ten nadmiar efektów melodramatycznych (potworny pojedynek amerykański między mężem zdradzonym a kochankiem, uskuteczniiony za pomocą dwu kubków,

z których jeden zawiera truciznę, w ostatniej scenie) obniża wartość literacką dzieła, tem więcej, że i charaktery osób w natłoku wypadków nie zdążyły się należycie uwypuklić, a postać męża, przygotowującego na zimno straszliwą katastrofę, jest moralnie wprost wstrętna.

Dnia 8 czerwca r. 1838 teatr lwowski wystawił nowy dramat Korzeniowskiego p. t. »Płochosć ukarana«, napisany w r. 1836, i drukowany później p. t. »Dziewczyna i dama czyli dwa oświadczenia«; w tymże roku grano »Płochosć ukaraną« cztery razy, potem jeszcze w r. 1840 i 1843, a w r. 1839 w teatrze niemieckim w przekładzie W. T. (prawdopodobnie Thuliego). W tymże samym czasie sprawozdawcy lwowscy zaczynają nazywać twórcę »Piątego aktu« »genialnym«, dramaty zaś jego wynosić pod niebiosa.

Zasadniczym błędem tego dramatu jest rozdwojenie akcji między dwie bohaterki, z których jedną jest dziewczyna z ludu, Kasia, drugą zaś — pani Adamowa, dama z wielkiego świata. Pierwsza z nich z powodu tendencyjnego wyidealizowania nie ma w sobie nic naturalności, pani Adamowa zaś jest bardzo konsekwentnie przeprowadzona: pierwszy to u Korzeniowskiego typ kobiety światowej, lekko-myślniej, płochkiej, żyjącej uciechami dnia dzisiejszego, nie oglądającej się na jutro.

Jeżeli dodamy jeszcze dwa obrazki powieściowe: »Dobrze i to wiedzieć na te ciężkie czasy« i »Wtorek i piątek«, to wyczerpiemy całą twórczość Korzeniowskiego z czasów kijowskich.

W r. 1838 otrzymuje on posadę dyrektora gimnazjum w Charkowie. Początkowo, w kwietniu t. r., jedzie sam, by przygotować jakikolwiek kącik dla swoich najdroższych. W listach, które w owym czasie pisywał do żony, sili się na dobry humor, przedstawia wszystko w różowych barwach, ale czasem rozdrażnienie i żal przebija przez tę maskę.

»Wszakże nie wyobrażaj sobie — pisze dn. 8 maja r. 1838 do swej ukochanej Monisi — że tu jedziesz dla jakichkolwiek przyjemności! Nudy, moja droga, drobiazg, i nie wiem, jak nazwać takie życie. Może to mnie się tak wydaje, że sam, że nikogo nie znam; ale zawsze żadnych iluzji nie miej«. Ton gorzki niejednokrotnie odzywa się w charkowskiej korespondencji Korzeniowskiego: »Napisz, co się tam w waszej literaturze dzieje — pisze w r. 1841 do Karola Wittego — ja ci się przyznam, że mi już wszystko obrzydło. Walczyć z takimi trudnościami może tylko człowiek młody. Pisać będę, ale drukować nie — albo pod cudzem imieniem — albo jak mi dokuczają, to... nie kończę, bo myśl grzeszna«.

Ale później, przystosowawszy się do nowych warunków bytu, Korzeniowski urządził sobie wcale znośne życie: jego dom był ogniskiem dla kolonii polskiej w Charkowie; bywali tu co tydzień profesorowie uniwersytetu (filolog Alfons Walicki, prawnik Aleksander Mickiewicz, brat Adama), urzędnicy i studenci Polacy.

Te ośm lat pobytu w Charkowie (1838—1846) nie minęły bez-

owocnie i w zakresie twórczości literackiej. Powstały w tym okresie liczne utwory dramatyczne, a wśród nich najlepsze: »Karpaccy Górale«, »Żydzi«, »Panna mężatka«, a także pierwsze powieści, kto wie, czy nie najlepsze ze wszystkich: »Spekulant« i »Kollokacya«.

Już w dwa lata po osiedleniu się w Charkowie, w r. 1840, Korzeniowski donosi swemu przyjacielowi, artyście sceny lwowskiej, Antoniemu Benzie, o nowym dramacie: »Dawno, bardzo dawno — pisze dn. 1 listopada r. 1840 — nie mieliście nic ode mnie. Moje przeniesienie, inny rodzaj życia, inne zajęcie — przerwały wszystkie dawniejsze marzenia i osnowy. Długiego potrzeba było czasu, nim powiązywałem porwane nitki. Teraz posyłam znowu Galicyi, ojczyźnie mojej, upominek z dalekich stron, który się jej wielorako należy. Jeżeliś jeszcze nie otrzymał, to otrzymasz wkrótce dramat w trzech aktach pod tytułem: »Karpaccy Górale albo Rekrut«.

Ale wobec zawartej w utworze ostrej krytyki biurokracyi galicyjskiej nie było rzeczą łatwą wprowadzenie »Karpackich Górali« na scenę lwowską. Dopiero w r. 1844 (2 czerwca) wystawiono we Lwowie to jego »ulubione dziecko«, i to z wielkimi zmianami: Rewizorczuka i Tychończyka przechrzczono na Damiana i Kuźmę, usunięto wyrazy »mandataryusz« i »strzelec«, usunięto wszelkie wzmianki o Niemcach i rządzie austriackim, o wojsku, służbie wojskowej, a także wszystkie wyrazy niemieckie.

»Karpaccy Górale« stanowią w rozwoju talentu Korzeniowskiego olbrzymi krok naprzód, zwłaszcza w kierunku swojskości. W dramacie tym zerwał on z konwencyonalizmem dramaturgii salonowej, po raz pierwszy przedstawił wieś, wprawdzie nie polską, ale na polskiej ziemi leżącą, i chłopą, wprawdzie nie naszego juhasa-zbójnika, którego nie znał, ale prawdziwego chłopą, Hucuła opryszka, którego poznał, bawiąc w r. 1840 w Burkucie, w Karpatach wschodnich, w tej właśnie okolicy, która jest teatrem wypadków, przedstawionych w »Karpackich Góralach«. W pozostałych po śmierci Korzeniowskiego papierach odnaleziono przekład rosyjski tego dramatu, poprzedzony przedmową, w której autor charakteryzuje obyczaje Huculów (rzucanie toporem do upatrzonej gałęzi, dezterterstwo, opryszki, nadużycia niższych urzędników: verwalterów, mandataryuszów, setników, strzelców i t. d.), a także podaje szczegółowy opis miejscowości; wszystko to znalazło się, jako motywy, w »Karpackich Góralach«.

Imię zaś bohatera, Antosia Rewizorczuka, odnalazł w ludowej piosence, przytoczonej, jako motto dramatu (Nyma ryby w Czeremosi, Wsiu pojiła szczuka, Powisiły Tychończyka i Rewizorczuka).

Piosenki tej nie udało się dotychczas badaczom odnaleźć ani w zbiorach pieśni drukowanych, ani też w ustach ludu; kilka zaś innych, przytoczonych w dramacie pieśni (np. »Czerwony płaszcz, za pasem broń« i »Hej! bracia opryszki! dolejcje do czarki!«) są niewątpliwie pomysłu samego autora.

Postacie górali (Antoś, Maksym, Prokop), choć może nieco wy-

idealizowane, trzymają się krzepko; kobiety już są bardziej literackie. Prakseida w scenie obłąkania przypomina Ofelię, stara matka Antosia w scenie, kiedy przeklina żonę i córkę Prokopa, przypomina bohaterki szekspirowskie (np. trzy królowe żałobnice, miotające złośczenia na głowę zbrodniczego Gloucester w »Ryszardzie III«). Daje się też wreszcie odnaleźć wpływ Schillera, zwłaszcza »Zbójców« (sceny z opryszkami, scena, w której Maksym wtrąca Praksedę w fale Czeremoszu, w myśl zapewne słów Karola, który woła, zabijając Amelię: »Kochanka Moora tylko z Moora ręki zginąć może«).

Wyzysk i ucisk ludu, zdzierstwa i nadużycia urzędników austriackich w owe lata bezprawia i gwałtu przed rokiem 1848 — oto w najogólniejszych zarysach treść »Karpackich Górali«. O stosunkach ludu ruskiego do szlachty polskiej niema tu najlżejszej wzmianki. Na pojawienie się sprawy ruskiej w naszej literaturze pięknej wypadnie jeszcze kilkanaście lat poczekać, aż do »Wasyla Hołuba« Jeża (1859) i »Świętego Jura« Zacharyasiewicza (1862).

»Żydów« odegrano we Lwowie po raz pierwszy w grudniu r. 1843 »przy niepamiętanym oddawna natłoku«; prasa odzywała się o tem nowem dziele Korzeniowskiego nadzwyczaj pochlebnie.

»Żydzi« w samej rzeczy zasługują na te pochwały, nie dla swojej budowy, która jest niedość spoista, nie dla tendencyi, na której wynik ostateczny trudno się zgodzić, lecz dla przedziwnej wypukłości charakterów i obrazów. Przed nami przesuwa się bogata galerya typów dodatnich i ujemnych, z różnych warstw społecznych, dosadnie scharakteryzowanych (marnotrawny hrabia Ponicki, dorobkiewicz i lichwiarz, prezes Zaziernowski, nawpół sfrancuziała hrabina Ponicka, pani Szenionowa, stara elegantka z czasów Cesarstwa i Księstwa Warszawskiego, komisarz Pazurkiewicz i inni).

Tendencya utworu wyraża się w przeciwstawianiu szachrującej i wyzyskującej nikczemnie uboższych arystokracji lub pseudoarystokracji tym Żydom prawdziwym, pejsatym i brodatym, których bożyszczem jest wprawdzie także pieniądz, lecz którzy nie imają się tak nieuczciwych środków dla dojścia do celu. Przedstawicielem ich jest Aron Lewe, jedna z celniejszych pod względem plastyki scenicznej postaci komedyi.

Z tem wszystkiem myśl przewodnia komedyi, tak pięknie wyłożona w pierwszych trzech aktach, nie wytrzymała do końca: stary komornik Staroświęcki nie pozwala synowi żenić się z księżniczką Zofią, przez cześć dla krwi senatorskiej, płynącej w jej żyłach, a młodzi bez oporu godzą się na konieczność rozłąki. Autor, który w tychże »Żydach« poszedł tak daleko w potępieniu wyższych warstw społecznych, niepotrzebnie zatrzymał się przed tą ostatnią zaporą przesądu.

U szczytu wreszcie twórczości dramatycznej Korzeniowskiego z tego okresu stoi komedia »Panna mężatka«, napisana w roku 1844 i tegoż roku dn. 1 lipca wystawiona na scenie lwowskiej. Nigdzie kompozycya dramatyczna nie jest tak doskonała, jak tutaj.

Akcya rozwija się nadzwyczaj zręcznie i konsekwentnie; charaktery pod względem prawdy psychologicznej i plastyki przeprowadzone świetnie: zręczna, zalotna, a przytem uczuciowa Cecylia, komiczny nieco zarówno w swem kunktatorstwie, jak i w późniejszych zapalach miłosnych Adolf, szczerą, mimo to, wzbudzający sympatyę, dalej major, raptus i weredyk o złotem sercu, wreszcie pułkownikowa, zacna i pełna serdeczności matrona.

»Karpaccy Górale«, »Żydzi« i »Panna mężatka« to szczyt twórczości dramatycznej Korzeniowskiego, szczyt, do którego późniejsze utwory już się nie wzniosły. Inne utwory dramatyczne z tego okresu nie sięgają tych wyżyn. Jedynym z czasów charkowskich, a zarazem ostatnim dramatem historycznym naszego autora jest »Andrzej Batory«, napisany jednym tchem, w ciągu trzech tygodni 1845 roku. Akcya osnuta na wypadkach z dziejów Siedmiogrodu 1598 roku. Bohaterem głównym jest człowiek o pięknej i szlachetnej duszy, Andrzej Batory, biskup warmiński, który, powołany na tron przez stany siedmiogrodzkie, ginie w nierównej walce z wrogiem zewnętrznym i intrygami wewnątrz państwa. Większych atoli zalet literackich utwor ten nie posiada: za wiele tu retoryki, za mało zaś ruchu scenicznego, walki.

Jeszcze mniej jest do powiedzenia o dramatach, które moglibyśmy nazwać egzotycznymi: »Sąd przysięgłych« (1846), osnuty na tle obyczajowości angielskiej, »Izabella d'Ayamonte« (1846), której akcya rozgrywa się na tle gorącej Hiszpanii i przedstawia walkę namiętności południowych; prawdopodobnie oba naśladowane z obcych wzorów, należą do słabszych utworów dramatycznych Korzeniowskiego. Toż samo można powiedzieć o dramacie »Umarli i żywi, czyli wszystkiego po trosze« (napisanym w r. 1841, wystawionym w marcu następnego roku), który, przedstawiając ludzi i rzeczy z dalekiego, włoskiego świata, razi przytem przesadą efektu melodramatycznego.

W dramacie współczesnym z polskiego świata Korzeniowski rozwija zagadnienia etyczne i społeczne, które widzieliśmy już w poprzednich utworach. Temat zdrady małżeńskiej, który posłużył mu za punkt wyjścia w »Piątym akcie«, podnosi teraz jeszcze dwukrotnie: w »Oknie na pierwszym piętrze« (1844) i w »Mężu i artyście« rozwiązuje tę sprawę za każdym razem inaczej, a nigdy w sposób, dający zadowolenie moralne czytelnikowi. Jednoaktowy dramat »Pani Kasztelanowa«, do dziś dnia utrzymujący się na scenach polskich, zwalcza te same przesady kastowe, które autor oszczędzał w »Żydach«; niema tu żywszej akcji, ale dyalog ma piękną i szlachetną linię, a postacie są dostatecznie uwypuklone.

O wiele bogatszy i godniejszy uwagi jest plon twórczości w zakresie komedyi; gdy bowiem dramaty (z wyjątkiem »Pani kasztelanowej«) mają bądź charakter konwencyonalny, kosmopolityczno-salonowy, bądź też malują obce nam obyczaje, w komedjach czerpie Korzeniowski motywy z własnych wspomnień; to też pierwiastek narodowy

większą w nich odgrywa rolę. Są one przeważnie szczerze i prawdziwie polskie, a tłem ich bądź Warszawa, którą poznał Korzeniowski w czasie czteroletniego w niej pobytu (1819—1823), bądź też, najczęściej, Wołyń z ukochanym Krzemieńcem, gdzie spędził lata szkolne, gdzie rozpoczynał zawód nauczycielski.

Warszawie zawdzięcza Korzeniowski »Starego męża«, wyborną, żywą, zajmującą (mimo pewnej dwuznaczności pomysłu) komedię, pierwszą z długiego szeregu komedyi charakterów (napisana w roku 1842 i tegoż roku, 11 listopada, grana we Lwowie, przyjęta bardzo przychylnie), z doskonałemi postaciami oficerów i ordynansów, obok kilku typów ze świata ziemiańskiego. A żyją po dziś dzień w pamięci narodu postacie popularnej dwuaktówki »Majster i czeladnik« (1843), znakomite typy drobnego mieszczaństwa warszawskiego, które miało w przyszłości znaleźć utalentowanego malarza w »Krewnych« (szewc Szarucki, jego żona, ex-woźny Łykalski).

Wreszcie w związku z obyczajowością warszawską pozostaje komedia »Młoda wdowa« (1843), w której (równie jak i współczesny mu Stanisław Bogusławski we »Lwach i lwicach«), Korzeniowski występuje przeciwko emancypacji kobiet, widząc w niej tylko strony śmieszne i uwłaczające powadze i dostojeństwu matrony polskiej, a każąc bohaterce zrzucić amazonkę, sprzedać konia, wziąć do ręki robótkę szydełkową, a narzeczonemu przyrzec — przejść przez życie »z rozkoszną uległością«, zdradza poglądy płytkie i jednostronne.

Jeżeli pominiemy teraz kilka drobiazgów, mniejszej wartości, lub zgoła bez wartości, jak komedia dwuaktowa »Zakład« (1839), przerobiona z pięcioaktowego dramatu p. t. »Zakład sumienny«, jak »Pośredniczka« (1843), leciutka satyra na tych, co przed końcem sztuki wychodzą z teatru, a potem wyrokują o całości dzieła, jak »Panna Katarzyna w długach«, rzecz nie sceniczna zgoła, prawdopodobnie okolicznościowa, jak komedia dwuaktowa »Określone«, czysty szablon, o niewybrednej intrydze, jak »Zaręczyny aktorki« (1845), wreszcie gdzie po raz pierwszy przedstawia Korzeniowski świat kulis, kłopoty dyrektora, różne typy aktorów i aktorek, — wszystkie inne komedye z tego okresu z noszą na sobie wyraźne piętno wspomnień wołyńskich. Przedstawia w nich autor różne typy ziemiańskie, które mógł obserwować w Krzemieńcu (dwuaktowa komedia »Fabrykant« z roku 1844, ośmieszająca niewczesne u szlachty rwanie się do przemysłu, bez należytego przygotowania), zwalcza zastarzałe przesady szlacheckie (np. wstręt ku naukom wogóle, a ku medycynie w szczególności w »Doktorze medycyny« z r. 1845, komedyi o doskonałej plastyce figur, zwłaszcza epizodycznych), wyprowadza na scenę urocze postacie panienek z »białych dworków«, wietrznice o złotem sercu (jednoaktówka p. t. »Pierwej mama«, 1843), nie zapomina też o charakterystycznych wielce wrażeniach z przejazdów po kraju w powozach pocztowych (»Stacya pocztowa w Hulczy«, 1845). Tutaj należą również i »Zy-

dzi z długim szeregiem typów z różnych warstw społecznych na Wołyniu.

A chociaż nie wszystkie utwory dramatyczne Korzeniowskiego z tego okresu mają wartość, chociaż ich budowa, sposób przeprowadzenia intrygi wiele nieraz pozostawia do życzenia, jednak zasłużył się on wielce teatrowi polskiemu w owe lata posuchy; wobec zamknięcia Fredry (1835), wobec tego, że dramaty Słowackiego nie weszły jeszcze na scenę, był on wówczas prawdziwym filarem scen polskich, dostarczając im obfitego i urozmaiconego repertuaru, we wszystkich rodzajach poezji dramatycznej.

Na innem jeszcze polu miały zabłysnąć niebawem zasługi autora »Żydów«: na polu powieści obyczajowej. Nie Korzeniowski dał początek temu rodzajowi literackiemu w Polsce: nie mówiąc już bowiem o pierwocinach naszej powieści rodzajowej (Skarbek, Massalski, Jarczewska), uprzedzili pod tym względem autora »Karpackich Górali«: Kraszewski, który z »Poetą i światem« (1839) rozpoczyna świetną epokę swej twórczości beletrystycznej w zakresie współczesności, Sztjerner i Chodźko Ignacy. Ale obok tych autorów, jeszcze przed rokiem 1845 popularnych, miał się Korzeniowski stać przez długi czas jednym z najbardziej lubionych powieściopisarzy, a wpływ jego miał sięgać daleko.

Już w Charkowie powstały dwie najważniejsze jego powieści, i to utwory już zupełnie dojrzałe, lepsze od wielu późniejszych: »Spekulant« i »Kollokacya«. Pierwsza z nich, napisana w r. 1845, wydana zaś w 1846, uderza głębockością i trafnością obserwacji obyczajowej; takie bowiem postacie, jak August Molicki, szuler, hulaka, rozrzutnik i łowca posagowy, pan chorąży Wołczański, »sknera wystawny«, zacny marszałek Zabrzeziński, szwagier Augusta, pan Kasper, dla swej ułomności i złośliwego języka zwany »kulawym dyabłem«, dobre i niewinne, nie znające świata dziewczę, Klara Wołczańska, jej matka, zacna i rozumna matrona, pan Paweł, poeta, pocieszny, ale w gruncie rzeczy pocziwy »Homer powiatowy«, Abramko-arendarz, są doskonale nakreślone, celują plastyką i konsekwencyą psychologiczną. Są tu też doskonale sceny zbiorowe i rodzajowe, jak np. obraz jarmarku berdyczowskiego.

W wydanej w następnym (1847) roku »Kollokacyi« wprowadza Korzeniowski jeszcze większą rozmaitość typów i postrzeżeń obyczajowych, przyczem rozszerza się znacznie pole widzenia autora: mamy tu bowiem do czynienia już nie z jednostkami, ale z całemi grupami społecznymi. Taką grupą jest cały tłum drobnej szlachty, kollokowanej (t. j. osadzonej wspólnie na działkach majątku dłużnika) na Czaplincach. Mało stworzył Korzeniowski obrazów tak ruchliwych, a tak wysoce charakterystycznych, jak wizerunek życia i obyczajów współwłaścicieli Czaplinców (świetna scena imienin u państwa Płachtów). Doskonale również odtworzył autor małą, pulchną figurkę prezesa Zagartowskiego, chciwca i obłudnika; przy pozorach jowialnej dobroduszo-

ści. prezes dąży do tego, by przy pomocy sprytnego, wykształconego Żyda Szlomy, który uczył się do 16-go roku w Krzemieńcu, zagarnąć powoli wszystkie działki czaplinieckie.

Do świetnych postaci tej powieści należą, prócz powyższych, pani Włodzimierzowa Podziemska, dumna swem książęcem pochodzeniem arystokratka, i syn jej, Henryk, wychowany przez matkę na zupełnego niedołęgę, papinkę i tchórza.

Obie powieści, które ze wszystkich dotychczasowych utworów Korzeniowskiego najlepiej wyzyskiwały wyniesione z Wołynia spostrzeżenia obyczajowe, zjednały mu wielką popularność, choć postępowcy i entuzyastki (Narcyza Żmichowska w »Przeglądzie naukowym« z r. 1846) gniewali się na autora za jego równy i umiarkowany temperament i filisterstwo. Dodać zresztą należy, że Korzeniowski, człowiek spokojny i zrównoważony, unikający starannie wszelkich krańców, jak niegdyś pozostał obojętny wobec walki klasyków z romantykami, tak i teraz, wobec żywej wymiany myśli i zdań konserwatystów, skupionych około redakcyi »Tygodnika petersburskiego«, i postępowców, trzymał się na uboczu. Było to wynikiem zarówno spokojnego temperamentu, jak i długoletniego oddalenia od głównych ognisk ówczesnego życia umysłowego w Polsce.

»Spekulant« i »Kollokacya«, najważniejsze z powieści Korzeniowskiego, odrazu postawiły autora w szeregu najprzedniejszych naszych beletrystów owych czasów. A poczytności tej nie straciły i później, po r. 1863, w chwili powstawania nowoczesnej powieści polskiej; tak np. Orzeszkowa w latach młodocianych zaczytywała się »Kollokacyą«, a w jednym z najwcześniejszych jej utworów, p. t. »W klatce«, odbił się wpływ postaci i scen czaplinieckich.

Nowa epoka w życiu i twórczości autora »Kollokacyi« zaczyna się z chwilą przybycia jego na stały pobyt do Warszawy. Po kilkuletnim pobycie w Charkowie Korzeniowski nie mógł już oprzeć się coraz bardziej ogarniającemu go uczuciu nostalgii. W r. 1844 zjeżdża po raz pierwszy po latach 20 przeszło do Warszawy i stara się usilnie o otrzymanie tu posady.

Starania zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem: w dwa lata później przybywa on do Warszawy na stałe wraz z rodziną. Wkrótce otrzymuje miejsce dyrektora gimnazjum gubernialnego; w r. zaś 1848 zostaje członkiem rady wychowania i wizytatorem szkół.

To ostatnie stanowisko, jakkolwiek uciążliwe dla chorego na astmę autora »Kollokacyi«, pod względem literackim było mu bardzo na rękę: teraz dopiero od lat wielu, od chwili opuszczenia Krzemieńca, miał sposobność rozszerzać widnokrąg swoich postrzeżeń życiowych, przyglądać się rozlicznym typom i zbierać wzorki do swoich powieści i komedyi.

»Dziennik wizytatora«, spisywany przez niego w r. 1849, świadczy, iż miał na widoku nie tylko cele, związane z urzędem. Korzeniowski zawiązuje serdeczne stosunki z wielu domami w Warszawie,

w których przez długie lata przetrwało wspomnienie dobroduszných i sympatycznych »państwa Korzeniowskich«.

Najlepszą ich sylwetkę skreśliła Paulina Wilkońska w swoich »Wspomnieniach o życiu towarzyskiem w Warszawie«; przedstawia tu ich autorka, jako stałych gości wieczorów poniedziałkowych pani Niny Łuszczewskiej, gdzie zapewne niejednokrotnie autor »Spekulanta« miał sposobność słyszeć improwizacye panny Jadwigi Łuszczewskiej, znanej później pod pseudonimem Deotymy; bywali także częstokroć Korzeniowscy i u państwa Wilkońskich. Wogóle postacie pana Józefa i pani Moniki są tu odtworzone z wielką sympatją.

Zjechawszy do stolicy Królestwa w chwili przełomowej, w przededniu niemal r. 1848, kiedy w całej Europie zdawała się świtać nowa era, Korzeniowski pozostał, jak zwykle, dalekim świadkiem burzy dziejowej. Spełniał gorliwie i sumiennie obowiązki swego urzędu i pisał dramaty i powieści, te dwa tylko rodzaje literackie uważając za zgodne z duchem czasu. »Dramat i powieść — wyraził się około roku 1850 — są to jedyne rodzaje poezyi, które czas, zmiana wyobrażeń o literaturze i stanie społeczności, a szczególnie powódź dziennikarstwa od zagłady ocaliły. Wszystkie inne rodzaje zaginęły na zawsze, a z nimi i formy tak rozmaite, niekiedy tak miłe i wdzięczne, przepadły i powrócić już nie mogą«.

W samej rzeczy, po r. 1848 nastąpiła u nas doba wszechwładztwa powieści, zwłaszcza w zaborze rosyjskim (Kraszewski, Rzewuski, Sztjerner, Kaczkowski, Chodźko). Poszedł tą utartą drogą i Korzeniowski, dostarczając zajmującej lektury rosnącym coraz zastępom czytelników powieści polskiej: od chwili przyjazdu do Warszawy do roku 1855 napisał sześć powieści, prócz kilkunastu drobnych powiastek i obrazków. Ale żaden z tych utworów nie stoi na wysokości »Spekulanta«, a zwłaszcza »Kollokacyi«, chociaż rozszerzyło się znacznie pole obserwacyi autora.

Tłómaczy się to poniekąd trudnymi warunkami, w jakich rozwijało się wówczas piśmiennictwo w Warszawie, skrępowane więzami surowej cenzury, z drugiej zaś strony ogólną reakcją, jaka zapanała u nas po r. 1848; uległ przecież prądowi temu i taki śmielszy duch, jak Kraszewski, który niedawno jeszcze, w »Ulanie«, w »Ostapie Bondarczuku«, w »Budniku« występował gorąco i otwarcie w obronie uciśnionego ludu.

W twórczości Korzeniowskiego, który zresztą nigdy i przedtem nie głosił haseł demokratycznych, ni postępowych, zaznaczyła się reakcyja w sięgnięciu po tematy do obyczaju starszlacheckiego w XVII wieku (powieść »Pan Stolnikowicz wołyński« z r. 1854, zupełnie nieudolna komedia historyczna p. t. »Wąsy i peruka«, z czasów Stanisława Augusta, przeciwstawiająca sarmatyzm kontuszowy nowomodnej francuzczyźnie we fraku), w pewnej skłonności do postaci i sytuacji nawpół fantastycznych, luźno związanych z obyczajowością współczesną («Nowe wędrowki oryginała») wreszcie — w obniżeniu poziomu ety-

czno-narodowego ideału, które wywołało żywe oburzenie w kołach młodzieży i gorącej myślących Polaków (»Tadeusz Bezimienny«).

Najwcześniejsza z powieści warszawskich, »Wędrowni oryginale«, posiada zbyt luźną formę opowiadania czy pamiętnika, by mogła zadowolić wymagania artystyczne; przytem akcja jej nie jest jednolita, mamy tu bowiem dwoje bohaterów: porzuconą samotnie na szerokim świecie Julię, która znajduje miejsce w domu zacnych staruszków, pp. kasztelaństwa, skąd wypędza ją bolesny zawód w miłości, i brata jej przyrodniego, artystę-muzyka, Karola Larysza, któremu ciężkie borykanie się z losem osładza miłość Mani, pięknej postaci egzaltowanego dziewczęcia. Prócz figur głównych, wyprowadził tu autor na scenę kilka doskonałych sylwetek epizodycznych.

Wydane w r. 1851 »Nowe wędrowni oryginale« nie pozostają w żadnym związku z pierwszą powieścią. Przeprowadza tu autor myśl, że łatwo zarobiona fortuna nie przynosi szczęścia, przybierając ją w szatę niezbyt wytworną pod względem artystycznym (niezbyt udanie wprowadzony pierwiastek fantastyczny); ciekawy tu jest tylko nowy typ dorobkiewicza-magnata, Jana Firleja, który bierze się do przemysłu i handlu i pracuje nad szerzeniem kultury materialnej i duchowej wśród ludu. Pierwszy to raz przemówiło w naszej beletryście hasło »pracy organicznej«, chociaż miano to nie było jeszcze wówczas znane.

Sympatyczna, choć nieco rozwlekła powieść, p. t. »Emeryt« (1851), osnuta jest, również jak i dwie poprzednie, na tle życia warszawskiego, przedstawia, prócz miłej niezmiernie postaci tytułowej, wysłużonego profesora łaciny, kilka jeszcze innych figur, z pośród których wyróżnia się zatracony już dzisiaj typ służbisty-urzędnika, pana referendarza.

»Garbaty« (1853) nie celuje wprawdzie doskonałością budowy, ale, ze względu na kilka wybornych typów oraz szlachetność tendencji, godzien jest podniesienia. Tendencja ta polega na przeciwstawieniu brzydkiego ciała, lecz pięknego duszą garbusa Maryana jego bratu przyrodniemu Kasprowi, który jest potworem moralnym. Dość żywą akcją urozmaica wyprowadzonych na scenę kilka postaci ze świata artystycznego, podobniejszych wszakże do filistrów, niż do rzucających się lekkomyślnie w wir świata artystów-cyganów.

Jednocześnie z »Garbatym« ukazała się najbardziej typowa dla tego okresu twórczości powieść »Tadeusz Bezimienny« (1853). Utwór pod względem literackim nie wytrzymuje krytyki, jest źle zbudowany: opowiadając dzieje życia tytułowego bohatera, zbyt wiele poświęca miejsca jego dzieciństwu i pierwszej młodości w stosunku do wieku dojrzałego.

Ale nierównie ważniejsze są zarzuty natury moralnej. Tadeusz jest synem Rozalii i generała rosyjskiego, hrabiego C***, owocem pokątnej, brzydkiej miłostki, której autor ani nie stara się uzasadnić psychologicznie, ani też nie potępia, jak na to zasługuje. Go-

rzej jeszcze: Rozalia bez zmrużenia powiek, bez zmarszczenia w twarzy patrzy, jak jej mąż, dręczony podejrzeniami, katuje Tadeuszkę, i nie zdobywa się ani na jeden wyraz protestu czy obrony. To już graniczy z potwornością. Nie może nas też zadowolić pod względem moralnym sposób zadośćuczynienia Tadeusza za grzechy młodości: autor każe mu zaciągnąć się do wojska rosyjskiego pod rozkazy naturalnego ojca i zginąć w walce z broniącymi swej niepodległości mieszkańcami Kaukazu. Najpiękniejsze karty tej powieści to obraz życia szkolnego w liceum krzemienieckim, obraz, który autor oblał całym potokiem blasku i ciepła.

O twórczości dramatycznej w tym okresie niewiele jest do powiedzenia, chociaż do końca życia nie przestawał Korzeniowski pisać dla sceny, chociaż szereg jego dramatów, a zwłaszcza komedyi, z tego czasu jest wcale długi. Znajdziemy tu, prócz powyżej wymienionej komedyi kontuszowej »Wąsy i peruka«, i dramat (»Cyganie«), i libretto do opery dla Moniuszki (»Rokiczana«), i fragmenty dramatyczne (»Gentile Bellini«, »Śpiący Kupidyn«, »Beata«), i liczny poczet komedyi i komedylek, ustępujących znacznie pod każdym względem dawniejszym utworom (»Konkurent i mąż«, »Autorka«, »Stara elegantka«, »Dwaj mężowie«, »Przyjaciółki«, »Wojna z kobietą«, »Młody mąż«, »Reputacya w miasteczku«, »Podróżomania«, »Narzeczona«, »Qui pro quo«).

Jeszcze i ostatnie lata przynoszą kilka utworów dramatycznych: rok 1860 — znamionujące upadek sił utwory: »Stary kawaler«, »Pustynia«, »Plotkarz«, oraz »Majątek albo imię«, ostatni, w którym zaznaczonych jest z pewną plastyką kilka figur; 1861 — tragi-komedję w 5 aktach, p. t. »Złote kajdany«, nawpół fantastyczna, jak »Nowe wędrówki oryginała«, i rozwijająca tę samą myśl, że pieniądze nie dają szczęścia. Dodać należy, że pod postacią krytyka Centaurowicza, wysługującego się arystokratom, Korzeniowski przedstawił tu Klaczkę; jest to jedyny odwet za słynną krytykę »Tadeusza Bezimiennego« i »Krewnych«, którą Klaczkę zamieścił w »Wiadomościach polskich«, wydawanych w Paryżu.

Krytyka ta, o ile dotyczyła »Krewnych« (1857), zbyt była surowa, powieść bowiem należy, obok »Spekulanta« i »Kollokacyi«, do najlepszych utworów Korzeniowskiego i znamionuje w nim nową przemianę, tym razem szczęśliwą, a uwarunkowaną ogólnem podniesieniem ducha narodowego po roku 1855, który zdawał się, ze wstąpieniem na tron Aleksandra II, otwierać nową erę swobodniejszego życia. To podniesienie zaznacza się przedewszystkiem wielkiem bogactwem typów i rysów obyczajowych, w jakie obfitują »Krewni«. Rozszerzony teren obserwacyjny pozwala autorowi wyprowadzić na scenę postacie, reprezentujące najróżnorodniejsze warstwy społeczne, a więc arystokracja rodowa ma tu przedstawicieli kilku figurach epizodycznych, oraz ciekawej postaci hr. Adama S., człowieka rozumnego, który wyrzekł się przesądów społecznych i poświęcił pracy około podniesienia przemysłu,

handlu, rękodziel, wogóle dobrobytu krajowego (typ, pokrewny Firlejowi z »Nowych wędrówek oryginała«), arystokracja urzędnicza — w śmiesznych typach referendarza Żabińskiego, jego żony i córeczek, cały dzień wyglądających oknem na domniemanych wielbicieli, o koronach hrabiowskich i mitrach; arystokracja pieniężna znalazła też swych przedstawicieli w osobach kilku bankierów, Żydów lub przechrztów; dalej widzimy też w »Krewnych« kilka zacnych postaci z zacisza wiejskiego, a potem świat warszawski: młodzi aplikanci przy różnych komisjach, ich młodzieńcze uniesienia na paradyzie w teatrze, ich ubogie mieszkanka kawalerskie na *rue de Bednarze*, ich skromniutkie obiady »pod Gruszką«, a obok tego sławetny pan Hebel i całe jego otoczenie, warsztat, jego zwyczaje, sceny cechowe i t. p.; drobne mieszczczeństwo warszawskie po raz pierwszy bodaj zostało wprowadzone do powieści z tak drobiazgową charakteryzacją.

Ożywcze tchnienie postępu zaznacza się też i w tendencji utworu. Nigdy dotąd Korzeniowski nie potępił tak bezwzględnie przesądów społecznych, nigdy nie wypowiedział poglądów tak krańcowo demokratycznych, które już głosił w »Żydach«, »Pani kasztelanowej«, »Doktorze medycyny«. Posyłając ubogiego szlachcica na naukę do warsztatu stolarskiego, Korzeniowski zrywał z tą brzydzącą się »łokciem i miarką« tradycją szlachecką, której dawniej niejednokrotnie hołdował.

Na »Krewnych« kończy się, ściśle biorąc, twórczość Korzeniowskiego w zakresie powieści, ostatnie bowiem jego utwory beletrystyczne: »Wyprawa po żonę« (1858), »Szczęście za górami« (1858), »Wdowiec« (1860), »Ofiara i sumienie« (1860), znamionują już upadek talentu i zmysłu obserwacyjnego.

Przytem zabiera mu wiele czasu praca na polu pedagogicznym, tem więcej, że w tych latach właśnie zaczyna on, pod przewodem Wielopolskiego, gorączkową pracę nad reformą szkolnictwa w Królestwie. Mimo późnego wieku i słabego zdrowia, zostaje Korzeniowski jednym z najgorliwszych pomocników margrabiego w dziele reformy wychowania: w r. 1861 obejmuje stanowisko dyrektora wydziału oświecenia w komisji wyznań i oświecenia, i jego to w znacznej mierze piórem został skreślony projekt »Ustawy do reformy szkół«, wraz z motywami.

W ostatnich latach czuje się bardzo znużonym i wyczerpanym: dn. 14 marca r. 1857 pisze do Kraszewskiego: »Ja ustałem już zupełnie. Nic z siebie wydobyć nie mogę i czasem doznaję takiego upadku ducha, że mi się życie przykrzy i chciałbym już spocząć na dobre«. Zwłaszcza niemiłosierna krytyka »Krewnych« pióra Klaczki zraniła go boleśnie. Nie poniósł wszakże za grób swej nienawiści i w testamencie, sporządzonym na rok przeszło przed śmiercią (w maju roku 1862), przebaczył wszystkim, którzy go skrzywdzili. »Wszystkim tym — pisze w tej ostatniej swej woli — którzy mi za życia nie sprzyjali, którzy mi jakąkolwiek wyrządzili krzywdę, przebaczam z całego serca,

nawet Klaczce i Siemieńskiemu, prosząc Boga, aby im dał tyle dobrej woli, ile mają zdolności i nauki».

Przed samym zgonem drgnęło w nim serce Polaka: napisał wierszem »scenę z życia Polski w r. 1863« p. t. »Nasza prawda«, a z takim płomiennym liryzmem patryotycznym, do jakiego nie przyzwyczaił nas w dawniejszych swych utworach.

Przewidywania rychłego zgonu sprawdziły się: Józef Korzeniowski zasnął snem wiecznym w Dreźnie dn. 17 września r. 1863.

Przeważającą cechą charakteru i talentu Korzeniowskiego jest temperament równy i spokojny, daleki od wszelkiej wybuchowości, od wszelkich uniesień. Autor »Krewnych« nie dał się nigdy porwać ani w życiu, ani w pismach gwałtowniejszemu uczuciu w jakimkolwiek kierunku. To też całe życie był odosobniony, nie skłaniał się wyraźnie ku żadnemu z prądów literackich, czy społecznych, wybierając zawsze drogę pośrednią.

Stąd płynie jeszcze jedna wybitna cecha twórczości Korzeniowskiego: wszelki wzlot w krainę fantazyi kończył się zwykle tylko rozpaczliwym szamotaniem skrzydeł, a świat postaci i zjawisk nadprzyrodzonych był dla niego wręcz niedostępny (»Nowe wędrówki oryginała«). Powszedniość uczuć, przyziemność ideałów — oto czem charakteryzuje się większość utworów Korzeniowskiego. Napróżno szukałibyśmy u niego wzniosłych wzruszeń, wielkich, wszechludzkich ideałów, coby pierś rozpieły i zapalały w niej ognie. W tym człowieku wszystko było — przeciętnej miary.

Oto jego kanon etyczny: dla mężczyzny — być poczciwym, bogobojnym, pracowitym, kochać żonę wiernie i stale, spełniać swe obowiązki sumiennie, nie żądać od losu więcej, niż daje, od czasu do czasu nie zapominać o bliźnich. Dla kobiety — pobożność, skromność, pokora, gospodarność, czystość obyczajów i myśli. Jednym słowem — moralność filisterska, nie sięgająca poza obręb życia rodzinnego.

Nic też dziwnego, że z pośród licznych typów jego powieści i dramatów najlepiej mu się udają ludzie, żyjący taką właśnie moralnością filisterską, ludzie zwykli, powszedni, których ani ubóstwiać, ani wyklinać nie trzeba i nie można. Sfera ziemiańska zwłaszcza, ze stron drogich mu wspomnieniami młodości, Wołynia, a także Podola i Ukrainy, znalazła w nim wyborczego portrecistę (stara arystokracja rodowa, śmieszni dorobkiewicz, skromne i ciche dworki szlacheckie, hałaśliwa szlachta zagonowa). A pobyt w Warszawie w ciągu ostatnich kilkunastu lat życia uzupełnia i rozszerza zakres jego obserwacji, wprowadzając do utworów nowe motywy obyczajowe: życie wielkomiejskie, od salonów do warsztatów rzemieślniczych. Natomiast próby odmalowania świata artystycznego (w »Wędrówkach oryginała«, »Garbatym«, »Beacie«) nie udały mu się zgoła: artyści pod jego piórem sfilistrzeli zupełnie.

Brak żywszego temperamentu i równowaga duchowa, połączona z pogodnym optymizmem, czynią zeń spokojnego obserwatora życia

powszedniego, obserwatora, który nigdy pióra swego nie maczał w żółci. I dlatego też w satyrze Korzeniowskiego słyhać wszystkie tony, prócz jednego — sarkazmu. To też z utworów dramatycznych największą sławę zyskały mu — komedye, przeniknięte lekką, żartobliwą ironią, a przytem zajmujące poczesne miejsce w dziejach naszego dramatu, jako pierwsze komedye charakterów. I tu Korzeniowski, jako wierny malarz obyczajów, bystry postrzegacz słabostek i grzeszków codziennego żywota, obdarzony niepospolitym humorem, odmiennym nieco, niż u Fredry, lecz płynącym z tego samego źródła — rodzimej, swojskiej natury, — położył poważną zasługę.

Za to w zakresie tragedyi i dramatu nic trwalszego nie stworzył. Brakło mu do tego pełni uczucia, siły namiętności, odczuwania wzniosłości. Brakło wreszcie skupienia i poczucia miary, bez których niemasz prawdziwego dramatu. Wogóle kompozycja stanowi słabą stronę utworów Korzeniowskiego, tak dramatów, jak i powieści, grzeszących często gadatliwością, odbieganiem od przedmiotu, zbytnią mnogością epizodów.

Pomimo tych braków, półwiekowa niemal twórczość Korzeniowskiego (1815—1863), przypadająca w znacznej części na lata zastoju umysłowego i martwoty na gruncie zaboru rosyjskiego (1832—1848), skąd co lepsze żywioły emigrowały za granicę, twórczość obfita i różnorodna (tragedya, dramat, komedya, powieść, nowela), będąca wiernym i doskonałym obrazem rzeczywistości, a nigdy nie spuszczaająca z uwagi dobra społecznego, twórczość ta odegrała poważną bardzo rolę w dziejach piśmiennictwa polskiego w XIX stuleciu.

Całość tej twórczości, z niewielkimi wyjątkami, obejmuje 12-tomowe warszawskie wydanie »Pism«, z przedmową F. H. Lewestama, a nakładem S. Lewentala (1871—1873).

BIBLIOGRAFIA.

Ważniejsze prace o K-im: 1) Mochnacki: »Mnich« »Kur. Pol.« 1830 (przedruk w »Pismach« M. Lwów 1910). 2) Widman: »J. K.« (Studia literackie. Lwów 1868). 3) L. Winkler: »O publicznej i literackiej działalności J. K.« (Poznań 1873). 4) Rzążewski: »J. K.« (»Bibl. Warsz.« 1875/6). 5) Marrené: »J. K. jako dramaturg i powieściopisarz« (Niwa 1876). 6) Tyszyński: o Kollokacyi i Emerycie. (Rozbiory i kryt. t. 3). 7) Wilkońska: »Wspomnienia o życiu towarzyskiem w Warszawie«. (Poznań 1871). 8) Wędrychowski: »Słów kilka o J. K.« (Lwów 1864). 9) Klaczko: »Krewni« Korz. (»Wiadomości pol.« 1858 i w »Rocznikach pol.« I, 1865). 10) Bełcikowski: »Dramaty historyczne J. K.« (1868, toż w »Ze studyów nad lit. polską«. 1886, Warsz.). 11) Kantecki: »J. K.« »Przew. nauk. i liter. (1879,

i osobno p. t. »Dwaj Krzemieńczanie«. Lwów 1879). 12) K. Witte: »J. K.« (»Tyg. Ilustr.« 1888). 13) A. Nowicki: »Co o Korzeniowskim pisano« (»Tyg. Ilustr.« 1888). 14) Chmielowski: »J. K. Charakterystyka pisarza i dzieł jego« (»Tyg. Ilustr.« 1890—91). 15) Chmielowski: »Nasi powieściopisarze« (II, Warsz. 1895). 16) Czarnik: »K. i teatr lwowski« (1822—44. Przew. nauk. i liter. 1896 i osobno). 17) Gawalewicz: »Korzeniowski. o sobie«. (Z nieznanych materiałów. Bibl. Warsz. 1897, I). 18) Czarnik: »Korz. o Hucułach« (Lwów 1899). 19) Chmielowski: »J. K., jego życie i działalność literacka« (»Życiorysy sławnych Polaków« 3, Petersburg 1898). 20) Tenże: »Nasza liter. dram.« I. 21) Czarnik: »Korz. i Karpaccy Górale« (Brody 1898). 22) »Pamięci Józ. Korzeniowskiego« (W Brodach 1898. Książka pamiątkowa, zawierająca m. i. artykuły: *a*) Wilkońskiej: »Sylwetka J. K.« z przedmową Br. Kąsinowskiego, *b*) Chmielowski: »Złote kajdany«, *c*) Czarnik: »K. i Karp. Górale«, *d*) Gawlikowski: »O patryotyzmie Korz.«, *e*) Kąsinowski: »Mowa z powodu odsł. pomnika K. w Brodach«). 23) Majchrowicz: »K. jako pedagog« (Lwów 1897). 24) Żywanowska: »Wspomnienia o Korz.« (»Gaz. Kaliska« 1902, N. I podaje m. i. listy K.). 25) Chmielowski: »J. K.« Enc. Wych. VI (jako pedagog). 26) Tenże: »J. K.« w »Albumie biogr.« (zasłuż. Pol. XIX w.« II). 27) Galle: »J. K.« (Ks. dla wsz. 1903). 28) Mościcki: »Listy K. do ks. Ad. Czartoryskiego« (»Z nad Wilii i Niemna«, Wilno 1890). 29) Czarnik: »Głos współcz. o pierwsz. przedst. »Żydów« na scenie lwowskiej« (Pam. Lit. 1904). 30) Zdziarski: »Pierw. lud. w poezji pol. XIX«. 31) Hahn: »Mnich« (Arcydz. pol. i obc. pis. Brody). 32) Hahn: »Karpaccy Górale« (Arcydz. pol. i obc. pis. Brody).

Listy K. oprócz powyżej podanych: *a*) do A. Pau-manna (Pam. Lit. 1904); *b*) do ks. Barącz (Barącz: Wolne miasto handlowe Brody. Lwów 1865); *c*) do Witwickiego z r. 1828 (»Kraj« 1896, nr. 40); *d*) do córki Zaleskiej (»Kur. Warsz.« 1899, nr. 83).

Osobne druki: »Nasza prawda«. Scena z życia Polski w roku 1863 przez J. Korz. (z rękop. wydan. w księdze zbiorowej p. t.: »Pamięci J. Korz.« Brody 1898 i odbitka); Schillera »Intryga i miłość«. (Tłómacz. Józ. Korz. Dzieło z rękop. wydane po raz pierwszy. Złoczów 1905, Bibl. Powsz.)

A) Mnich, tragedia w trzech aktach (1830).

Ukoronowany zbrodniarz, król Bolesław, wyrzuty z władzy królewskiej i ojczyzny, kłatwą i wyrzutami sumienia ścigany od grodu do grodu, od kościoła do kościoła, znajduje wreszcie przytułek i wytchnienie chwilowe w klasztorze, w Ossyaku w Karyntyi, ukrywając zbroczone krwią męczennika ręce pod habitem mnicha. I tu jednak ściga go kłatwa i kara: przychodzi wysłaniec Rzymu ze strasznym rozkazem, aby nikt nie ośmielił się dać przytułku zabójcy biskupa.

Jednocześnie do Ossyaku przybywa rycerz polski, Szreniawita, który niegdyś był złym duchem Bolesława i wiódł go do wszystkich zbrodni; przybywa, by błagać króla-wygnańca o przebaczenie; on to poznaje Bolesława pod kapturem mnicha, i nieszczęśliwy, pod brzemieniem owej straszliwej klątwy, znów uchodzić musi i z tego klasztoru, ścigany przekleństwami przerażonych mnichów. Kryje się więc w samotnej grocie, ale i tu go znajduje Szreniawita: znów rzuca się do nóg swemu królowi, żebząc o przebaczenie. Bolesław zrazu o tem słuchać nie chce, ale zagniony przez ducha biskupa Stanisława, którego głos rozkazujący: »Przebacz mu!« odzywa się z głębi groty, daje ukorzonemu żądane przebaczenie.

W ostatniej wreszcie scenie Bolesław, prowadzony przez Ducha, zjawia się u stopni ołtarza pośród zdumionych zakonników, a Duch uroczystym głosem wypowiada słowa, w których kryje się myśl moralna tragedyi: »Jużes zakończył dni swe oplakane, *jakeś przebaczył, tak ci przebaczone*« — i znika. Bolesław pada bez życia na posadzkę kościelną.

Przytaczamy poniżej przełomową scenę aktu III.

Tom III, str 151—155. — Akt III. — Scena IV.

Bolesław — Szreniawita — Adalbert.

798) Szren. (*wchodzi nieśmiało, Bolesław się odwraca*).
Przecież znajduję ciebie, panie! Przecież
Pozwalać raczysz, abym ujrzał drogie
Oblicze twoje, w sercu mem wyryte! (*Milczy*).
Lecz ty odwracasz oczy swe ode mnie. (*Milczy*).
Skłoń ku mnie wzrok swój, byś mój żal obaczył!

(*Po chwili*).

Ach! jak okropnem jest milczenie twoje!

Bol. Czego chcesz?

Szren. (*nagle zbliża się z pokornem nachyleniem*).

Królu, panie mój!

Bol.

Nie jestem

Ani twym królem, ani twoim panem.

Tyś zacny rycerz, tyś wojownik wielki,

Którego czyny mają cześć u świata.

Ja — czemże jestem? Patrzaj! Wszakże widzisz,

Co mię otacza? Patrzaj! Wszakżeś po to

Przyszędł, byś widział, jak tu nędzny żyję?

Gdzie dwór mój? gdzie mój zamek? gdzie ten naród,

Któremu władam? Ściany te nie świecą

Królewskim zbytkiem; na skinienie moje

Żaden nie błysnie oręż; nikt mię rano

Nie wita podłą czynów mych pochwałą;

Nikt tu nie wznieca żądź mych, coraz nowy

Cel im wskazując. Zimno, głód, pogarda:

To dwór mój cały. Ziemia, którą swoją
Stopą zajmuję, całe państwo moje.
Jestemże królem?

Szren.

Jakżem nieszczęśliwy!

O! ty nie silniej czujesz stan swój srogi,
Niż ja, com w części stał się jego sprawcą.

Bol.

W części? Bezczelny kłamco! W części tylko?

Czyjaż mi, przebóg! ręka pokazała
Te chytre wdzięki, co mię osidliły?
Czyj ślizki język wmówił we mnie miłość,
Zatlił w mych żyłach pożar krwi gorącej?
Kto na rozpusty przepaścistej drodze
Krok mój postawił? Któż to był? odpowiedz!
Gdybyś był zgoła więcej nie uczynił,
Jużbyś dokonał piekielnego planu;
Już cnota moja przysła w twojem rękę;
Jużes mi odjął chwałę i odebrał
Największe dobro królów: miłość ludu!
Przestałes na tem? Nie, boś dobrze wiedział,
Że chwila, coby rozum mi oddała,
Tobie śmierć niosła. Zręcznieś mi więc zamknął
Powrót do cnoty, chwały i ludzkości.
Krętym manowcem sztuki twej zbłąkany,
Tam iść musiałem, gdzie mię nic twa wiodła,
Byłeś wymownym, gdyś mym żądom wtórzył.
Lecz rzekłes słowo, by mój gniew potłumić?
Wstrzymałes rękę, gdy szalonem cięciem
Świętego męża głowę rozbić miała?
Jeśli śmiesz — broń się: daj mi jaki dowód,
Że poniżenie moje w części tylko
Twojem jest dziełem!

Szren.

Panie! Przywalony

Wyrzuty twymi, cóż powiedzieć mogę?

Nie mam i słowa na obronę moją.

Jam to, niestety! jam największy zbrodniarz,

A tyś ze wszystkich król najnieszczęśliwszy.

Bol.

Nie potrzebuję, byś mię uniewinnił.

Nie mam tu żadnych łask do rozdawania,

Nie kłam więc próżno. Nie chcę się udawać

Lepszym, niż jestem. Wartem swego losu.

Więszym od ciebie zbrodniarz; ale niech ci

Sumienie powie: kto mię nim uczynił?

Natura była mi prawdziwą matką:

Szlachetność, męstwo, rozum, siłę ciała,

Odwagę, prawość, wszystko wlała we mnie.

W cóż się tak piękne dary obróciły?

Kroplą pochlebstwa i zepsucia jadem
Struliście soki tak bujnego drzewa,
Aby zjadliwy owoc wydawało.
Udało wam się, doszliście swych celów,
Niechaj wam piekło wieńcem swym nagrodzi!
Idź! mnie tu zostaw! (*po chwili*). Ale czekaj jeszcze!
Cóż się w ojczyźnie naszej dzieje?

Szren. Panie!

Nie pytaj o to, dosyć i tak cierpisz.

Bol. Chcę wiedzieć. Powiedz!

Szren. Nazbyt srogie ciosy

Dotknęły kraj nasz. Nierząd i rozpusta
Szarpia wnętrzności jego. Książę ruski
Spustoszył żyzne pola nasze. Węgrzy,
Chytrym podstępem pokonawszy Kraków,
Siedzą w stolicy twojej.

Bol. O! szkaradna,

O niesłychana hańbo! Nikezemnicy!
Gdybym ja władał, któryżby zuchwalec
Śmiał nogą stanąć na mych ojców ziemi?
Wy! orły moje! którem był przyuczył
Na cudzych polach szukać sobie karmi,
Wyż to nie mogłyście obronić sobie
Własnego gniazda? — Ale gdzież jest syn mój?

(*Szreniawita milczy*).

Bol. Dlaczegoż milczysz? Powiedz!

Szren. Daruj, panie!

Pozwól zamilczeć!

Bol. Czy nie żyje?

Szren. Lepiej,

O! lepiej, gdyby nie żył.

Bol. Powiedz śmiało!

Nigdyś trucizny dla mnie nie żałował.

Szren. Muszę, gdy każesz. Z jego to namowy

Węgrzy panują w kraju naszym.

Bol. Dosyć!

Jużeś mój kielich po sam brzeg napełnił,

Więcej nie przydasz. Oddal się!

Szren. Nie, panie!

Nie na tom błąkał się po tylu krajach,

Bym, obarczony wyrzutami twymi,

Z niczem stąd odszedł.

Bol. Czegóż chcesz ode mnie?

Szren. Królu! Ach, nie wiesz może, jak stanowcza

To dla nas chwila. Nie wiesz, z czyjej woli

Szukam cię, panie, i padając na twarz
Przy nogach twoich, przebaczenia żądam.

(Pada do nóg jego).

B o l. Dobrze. Lecz oddaj, com przez ciebie stracił.

Uśpij tu węża, który ciągle czuwa;
Zmyj tę krew, która ręce moje plami;
Wróć mi szacunek świata, niech na nowo
Na czole mojem laury me zakwitną:
I wtenczas proś mię, abym ci przebaczył.

Szren. Bóg sam nie wróci, co już raz minęło.

B o l. Proś zatem Boga, aby ci przebaczył;
Jam tylko człowiek.

G ł o s *(jak pierwszej)*. Przebacz mu!

B o l. *(obracając się ku miejscu, skąd głos wychodził)*.
Czy znowu?

Ach! uchodź raczej do twojego grobu.
Nie patrzaj na nas, pozwól dwom szatanom
Rozstać się z sobą podług ustaw piekła.

Szren. Panie! na imię Boga, co nas widzi,
Na cień szanowny tego, co nas słyszy,
Błagam, zaklinam, przebacz i zapomnij! *(po chwili)*.

Nieporuszony stoisz? O! dlaczego
Nie możesz czytać w głębi mego serca?
Czemuż łzy moje, których widzieć nie chcesz,
Próżno padają na nieczuły kamień?..
Niema nikogo, coby wsparł me prośby,
Żaden się anioł, żaden duch nie jawi,
Co, głębiej widząc, niż śmiertelne oko,
Męczarnie duszy mejby ci opisał.

(Duch pokazuje się i przybliża ku Bolesławowi).

Trwaj więc w twym gniewie, ja tu leżeć będę,
Póki ta skała łez mych nie poczuje.

(Pada na twarz przy nogach jego).

B o l. *(cofa się i spostrzega ducha)*.

Ukryj mię, ziemio! Tyżeś to, straszliwy?
Oh! nie przeszywaj mię tak wzrokiem swoim,
Zamknij te oczy, które śmierć zamknęła!

D u c h. Przebacz mu!

B o l. *(drżącym głosem)*. Każesz... dobrze... niech tak będzie...
Wstań, Szreniawito!

(Bierze jego rękę i przyklada do piersi).

Wszystko ci przebaczam
Szczerze, jak pragnę, by mi Bóg zapomniał.

Duch. Idź za mną...

Bol. Idę, prowadź mię!

(*Wychodzą, Duch naprzód, Bolesław za nim*).

Szren. (*Patrzy naokoło z wyrazem przerażenia*).

Gdzież jestem?

Co się tu stało?

Adalb. (*który przez całą scenę stał z boku w niemem zadziwieniu*). O nic mię nie pytaj!

Włosy mi wstają, krew się w żyłach ścięła.

Szren. Ach! uciekajmy! (*Porywa go za rękę*).

Pójdź, pójdź z tego miejsca.

(*Odchodzą*).

B) Karpaccy Górale, dramat w 3 aktach

(nap. 1840, grany 1844 r.).

Bohaterem dramatu jest młody, dzielny Hucul ze wsi Żabiego nad Czeremoszem, Antoś Rewizorczuk, jedyny syn biednej wdowy. Niecny mandataryusz i mściwy Prokop strzelec, który zazdrościł Antosiowi sympatyj gromady, biorą go w rekruty, chociaż prawo broniło jedynaka, od służby wojskowej; Prokop przytem znieważył jego starą matkę: ciągnął ją za siwe włosy i nogą potracił. Tego mu góral nie daruje: przy pierwszej sposobności ucieka z wojska i sam wymierza sobie okrutną sprawiedliwość: Prokop pada z mściwej jego ręki.

Ale teraz Antoś staje się wyrzutkiem społeczeństwa: dezterter i zabójca, nie może liczyć na żadne względy ludzkości i pobłażania; ucieka więc w swoje ukochane góry, do których tak bezmiernie serce jego tęskniło, gdy pierś jego cisnęła »biała skorupa« munduru — i zostaje opryskiem.

Z prawem jednak niema co żartować: Antoś schwytyany, pomimo sympatyj, jaką wzbudza w oficerach, zdających sobie wybornie sprawę z nadużycia mandataryusza, oczekuje szubienicy.

Zresztą nie ma już on po co żyć na ziemi: matka umarła, narzeczona Praksesta, na wieść o uwięzieniu Antosia, dostała pomieszania zmysłów, a stary przyjaciel Maksym, nie chcąc, aby tułała się samotna po świecie, wtrąca ją w fale Czeremoszu.

Przytoczona poniżej scena charakteryzuje życie i obyczaje opryszków na Czarnohorze.

Tom VIII. str. 362—369. — Akt III. — Scena II.

(*Miejsce dzikie wśród skał i lasów. — Na ściętym pniu pali się ogień. — Opryszki w różnych grupach. — Noc*).

799) Jeden z opryszków (*stoi na przodzie z czarką w rękę i śpiewa*).

Hej! bracia opryszki! dolejcie do czarki,

Do ognia przyrzucicie tu drew,

Nastrójcie mi gardło odgłosem fujarki —
Wesoły zaśpiewam wam śpiew.

Bezpiecniśmy, póki na ziemi zielono
I liściem okrywa się las;
W gęstwinach i krzakach, za kłodą zwaloną,
W gałęziach nie znajdzie nikt nas.

Jak ptakom drapieżnym, nam skały gospody;
Tam śpimy spokojnie do gwiazd;
Gdy noc się nasunie na ludzi, na trzody,
My z naszych spuszczaemy się gniazd.

Barany z połonin nam dają pieczenie,
Jest wódka, gdy przyjdzie myśl zła,
Pieniędzy dostarczą podróżnych kieszenie,
Buziaka Hucułka nam da.

Tytuniu przyniesiem z węgierskiej granicy,
Tam zwiążem strażników za łby,
Odzieży dostaniem z żydowskiej kramnicy
I Żyda przykujęm do drzwi.

Gdzie góry i bory, gdzie jary i jamy,
Tam dla nas forteca i dom!
Nie straszny nam Niemiec, gdy głodu nie znamy,
Nie straszna nam słota i grom.

Weselmyż się, bracia, dopóki możemy!
Niedługo pozwolą nam żyć:
Gdy śniegi nas zdradzą, na sznurku zaśniemy,
Ni śpiewać nie będziemy, ni pić.

W s z y s c y. Weselmyż się, bracia, dopóki możemy! i t. d.

Pierwszy opryszek. Do wszystkich tysięcy dyabłów! przestańcie o tym przeklętym śniegu! Śnieg biały i Niemiec biały; ja ich równie nienawidzę. Po śniegu białym Niemiec biały śladem pójdzie za nami i jak niedźwiedzi nas wytropi.

Drugi opryszek. Porzuć! — jeszcze do tego daleko. Dziś z czarką w rękę, jutro obejmiesz ładną Hucułkę, a pojutrze sznurek ciebie obejmie.

Trzeci opryszek. A cóż? to wesoło!

Czwarty opryszek. Nie żyć-że człowiekowi do stu lat!

Piąty opryszek. Lepiej jedno lato, jak orzeł, niż sześć, jak baran. Tu cię kula dogoni — upadniesz między skały, i basta — przynajmniej nie wiążą cię co roku i co roku nie strzygą.

Szósty opryszek. Tu możesz pozwolić duszy pohulać. Nikt ci tu nie powie: to rób, a tego nie rób; to można, a tego nie można; to sąsiedzkie, a to pańskie. — Milion set dyabłów! a co moje?

Czwarty opryszek. Tu wszystko moje, co mogę wydrzeć. Mam pełne kieszenie — biorę mało; mam puste — biorę wszystko, i basta.

Trzeci opryszek. A czasem się i ucieszysz porządnie. Trzy dni temu, ot z nim leżeliśmy w trawie na samej węgierskiej granicy. Aż patrzymy — jedzie Żyd. Jedzie i pomrukuje, i ogląda się. A nas z trawy nie widno. Aż on krzyknął raptem: stój — a bestya Żyd, jak worek plewy, buch na ziemię! On konia za cugle, a ja Żyda za pejsy. — A co ty, bratku, wiesz? dawaj cwancygiery! — Żyd zębami dzwoni, a ja mu toporek do szyi.

Piąty opryszek. I zarzynałeś?

Trzeci opryszek. Fe! na co rznać tchórza? Jego własny strach gorzej kole, jak nóż opryszka. Jemu pluń w oczy, to on myśli, że kula, i dyabli go biorą.

Drugi opryszek. I cóżeś zrobił?

Trzeci opryszek. Ot! naśmiałem się dowoli. Żyd usiadł na ziemi, zaczął mię ze strachu łajać, a potem krzyczeć: -- Aj waj! ty gałganie, opryszku! na co mnie zarzynać? Co to za głupstwo! Ja tego nie wytrzymam! (*Śmieją się*).

Pierwszy opryszek. I puściłeś go tak?

Trzeci opryszek. Ej! nie. — On wziął co lepsze towary, ja wziąłem pieniądze, oberzynałem mu pejsy i dopiero puściłem.

Pierwszy opryszek. A wiele wziąłeś?

Trzeci opryszek. A tobie co do tego?

Pierwszy opryszek. Co do tego? milion dyabłów! To właśnie i źle, że u nas każdy na swoją rękę rabuje.

Trzeci opryszek. Trzeba ci pieniędzy, to ci dam, ale tyle, ile mnie się podoba.

Pierwszy opryszek. Żebym ja był waszym naczelnikiem, tobym cię za to kazał powiesić.

Trzeci opryszek (*podnosząc toporek*). Nim ty mię każesz powiesić, ja ci mogę uszy obciąć.

Maksym (*który dotąd siedział w myślach, podnosi się*). Milczeć! bo was każę związać obudwuch. — Hej! czy wszyscy są?

Trzeci opryszek. Kuźmy niema i Michajła.

Maksym. A Cygan gdzie?

Piąty opryszek. Ten złodziej śpi ze wstydu.

Drugi opryszek. Cóż mu się zrobiło?

Piąty opryszek. Na drodze do Burkutu spotkał Huculkę z Krzyworówni, która panom nosiła masło. Żwawa dziewczka, mojego wzrostu, rumiana i czarnobrewa. My tam obaj leżeliśmy w wierzchowinie i czekali, czy się co nie trafi. Dziewczyna idzie i śpiewa. Mój Cygan do niej, i nuż prosić, żeby go pocałowała.

Kilku. Paskudnik!

Piąty opryszek. Dziewka to i zmiarkowała, że Cygan paskudny i tchórz, nibyto pozwala. On się tam do niej przysunął, a ona mu tymczasem toporek z ręki i pistolet z za pasa, i dawaj kurek odwodzić i mierzyć Cyganowi prosto w łeb! a mój Cygan w nogi, a ja w śmiech.

(*Wszyscy śmieją się*).

Szósty opryszek. A dziewczka?

Piąty opryszek. Plunęła za nim, wzięła pistolet i topór i poszła spokojnie.

Czwarty opryszek, Tęga! czemużes jej do nas nie werbował? (*słychać wystrzał*).

Maksym. Co to jest?

Pierwszy opryszek. Może Niemcy.

Drugi opryszek. Tobie tylko Niemcy śnią się. Poczekaj do zimy, to ci siądą na karku; a teraz co nam zrobią? To pistolet Antosia.

(*Za sceną*).

Hop! hop! hop!

Trzeci opryszek. To nasi. (*wchodzi Kuźma i Michajło*

i prowadzą Mandataryusza z zawiązanemi oczyma). A to co za ptaszek?

Maksym. Odwiążcie mu oczy. — Eh! pan mandataryusz! — to ty!

Mandataryusz (*drżąc*). Al... al... bowiem ja — Magnanimi Opriscones! misereamini! (*Śmieją się*).

Pierwszy opryszek. Co on belkocze?

Mandataryusz (*składając ręce*). Piąte: nie zabijaj — szóste: nie cudzołóż — siódme: nie kradnij! — Jeszcze siódme i szóste... można i tak i siak — ależ piąte, — piąte strzeżcie się... albowiem...

Maksym. Czemu ty, bratku, nie powtarzałeś sobie tych przykazań tam w twojej kancelaryi?

Mandataryusz. Albowiem zawsze powtarzałem, to jest codzień.

Maksym (*groźnie*). Kłamiesz.

Mandataryusz (*przypada na kolana*). Mea culpa!

Maksym. Jakżeś się tu popadł? he!

Mandataryusz. Albowiem śród białego dnia, to jest, najnie-sprawiedliwiej. Spoczywałem na Krętej i czterech Huculów ze mną.

Trzeci opryszek. A dwóch ciebie wzięło.

Mandataryusz. Zdrada — piekielna zdrada! Dwaj z moich poszli do rzeki, a dwaj położyli się spać. Albowiem wten czas ci hultaje...

Kuzma. Ach! ty złodzieju!

Mandataryusz. Albowiem pozwólcie mówić. Ja krzychałem, a moi spali; ci mnie wiązali, a moi spali; ci mnie poprowadzili, a moi spali — albowiem wszyscy szelmy są.

Maksym. Zasłużyłeś na to, bratku!

Mandataryusz. Albowiem pamiętajcie, co to jest rząd — że to nie są żarty. Rozbijać, to wy wiecie — a mandata, to ja wiem. — A sztandrecht.. (*wszyscy śmieją się*).

Maksym. Pokażcie mu sztandrecht.

Kilku. Sznurka! sznurka!

Mandataryusz. Zmiłujcie się! — sznurek dla mandataryusza? (*śmieje się*). Nie żartujcie, albowiem to nieładnie.

Trzeci opryszek. Może wolisz topór.

Mandataryusz (*placze*). Dobrzy ludzie! albowiem ja was zawsze tak serdecznie kochałem.

Czwarty opryszek (*przyklada mu pistolet do piersi*). Toż ci i podziękujemy.

Mandataryusz. Zginałem! (*szeptce*). — Pater noster, qui es in coelis...

Antoś (*wchodzi szybko*). Co to jest?

Maksym. Kuźma i Michajło złapali na drodze do Burkutu ot tego tu panicza. Przypatrz mu się — to twój znajomy.

Antoś. Podnieś głowę, tchórze!

Mandataryusz (*pogląda ze strachem*). Aktualnie zginałem... Dominus Antonius Rewizoreczuk.

Antoś. Któregoś osądził burzycielem spokojności, kontrabandzistą, buntującym Huculów, i za to mnie, jedynaka, przeciwko prawu, oddałeś w rekruty, zrobiłeś dezserterem, a potem rozbójnikiem? — Coś posiał — zbieraj! jakieś piwo nawarzył, takie pij teraz! — Na gałąź!

Mandataryusz. Pozwól mi się pomodlić.

Antoś. O! i ja modliłem się niegdyś! Choć prosty chłop, alem umiał się modlić, bom się urodził i wychował tu, gdzie wszystko wielkie mnie otaczało; gdzie każde drzewo, każda skała, każdy wierzchołek, w chmury schowany, uczyły mnie wielkości i miłosierdzia Tego, co to wszystko potworzył. — A wyście mi i to dobro odjęli; ja teraz nie mogę się modlić, ja nie śmiem podnieść do nieba ręki, bo na niej krew! — Precz z nim na gałąź. (*Mandataryusz chyli się i pada zemdlony*).

Maksym. Antosiu! podobno obejdzie się bez sznurka. Zadławiłeś go słowami.

Antoś (*przypatruje się*). Omdlał ze strachu, podły tchórze! Podnieście go. Jak się trzęsie nikczemnik! Precz z nim! Zawiązać mu oczy i wyprowadzić gdzie na błędną ścieżkę, niech tam przepada. Nie wart sznurka, na którym ginie śmiały opryszek. (*dwaj odprowadzają go*). Hola, chłopcy! do mnie! Naostrzyć topory; kule i proch niech każdy ma pod ręką. Tę naszą kryjówkę już znają.

Pierwszy opryszek. Milion set dyabłów! nie mówiłem?

Drugi opryszek. Cicho! — Skąd wiesz, Antosiu?

Antoś. Wiem — sam słyszałem. Trzystu ludzi posłali w różne strony. Wszyscy strzelcy, jak psy gończe nas tropią. Komisarz z Kut jest z tym oddziałem, który tu na nas idzie. Ma moc w ręku i groźny papier za pazuchą. Kogo złapią — na szubienicę.

Trzeci opryszek (*śpiewa*).

Weselmyż się, bracia, dopóki możemy!

Niedługo pozwolą nam żyć;

Dawajcie tu wódki, nim w taniec pójdziemy,

Już jutro nie dadzą nam pić.

Kilku. Wódki! wódki tu!

Antoś. Wara! ani kropli! Łeb rozplątam temu, kto sięgnie do flaszki! Milczenie! — Z tej kryjówki dziś jeszcze precz! Rozbierzcie obóz, każdy na siebie po równej części: chleb, proch i kule — reszta w ogień, w wodę. Od Czepczyna na prawo i na lewo, niedalej jak na milę od granicy, skryć się na węgierskiej ziemi. Po dwóch, po trzech, najwięcej, siedzieć w niedostępnych miejscach. — Co to mamy dzisiaj?

Maksym. Piątek.

Antoś. Sobota, niedziela, poniedziałek, żeby żaden nie śmiał nosa pokazać ze swej kryjówki! Słyszycie?

Wszyscy. Mów! mów!

Antoś. We wtorek o północy, kogo nie złapią i nie powieszają, niech będzie na Czarnej górze. Z głębi jeziora, niedaleko brzegu, sterczą dwie jodły.

Kilku. Wiemy, wiemy.

Antoś. Naprzeciwno nich, od węgierskiej granicy pod górę idzie ścieżka między skałami. Ujdziecie nią dwieście kroków. Na prawo będzie kamień, na którym znajdziecie starą płachtę. Kamień ten odwalić, tam będzie pieczara, i w niej ja was czekać będę. — A teraz co żywo zbierać się. — (*Opryszki zbierają się: zostają na przodzie sceny Maksym i Antoś*). O! doprowadzili mnie do ostateczności! Ha! cóż robić! bronić się trzeba! Maksymie, jeśli nam się uda we wtorek zebrać w pełnej liczbie.

Maksym. Cóż zrobisz?

Antoś. Gdy nas Niemcy będą szukać tu, my im tam — za plecami (*słychać wystrzał*). Co to jest?

Maksym. Pewnie który mandataryusza poczęstował. (*Wystrzał drugi, dalej trzeci*).

Antoś. Och! to karabin! — do broni, chłopcy!

Trzeci opryszek (*wraca raniony*). Niemcy! Niemcy naokoło. — uciekajcie! (*pada i kona. Nowy wystrzał ubija przy Antosiu stojącego opryszka*).

Antoś. Rzućcie wszystko, i dalej w różne strony! (*wystrzał rani Antosia*). Oho! znalazłaś mię, przyjaciółko! Maksymie! dalej do matki, do Praksedy! — biegnij, bo ja nie mogę. (*Przypada na kolana. — Opryszki rozbiegają się. Wystrzały z różnych stron. Dwóch jeszcze pada na scenie, którą napęlniają żołnierze i okrążają Antosia. Po chwili wchodzi komisarz, oficer, i za nim mandataryusz. Żołnierze przyprowadzają kilku schwytanych opryszków*).

Komisarz. Panie poruczniku! każ jeszcze raz obejrzeć wszystkie kryjówki dokoła. Znam ja ich dobrze. Niejeden pewnie tuż przyczepił się do drzewa, lub przylgnął do skały.

Porucznik (*do feldfebla*). Weź dwudziestu ludzi i przetrząść naokoło wszystkie miejsca podejrzane! Trupów precz! (*Zwleka ich na stronę*).

Komisarz. Wielu złapano?

Oficer. Raz, dwa, trzy... pięciu wszystkich.

Komisarz (*do więźniów*). Kto wasz naczelnik? (*Wszyscy milczą*).

Mandataryusz (*występuje i ukazuje na Antosia*). Hic est — albowiem znam go dobrze.

Komisarz. Opatrzyć jego ranę. (*Podnoszą go i obwiązują*).

Mandataryusz (*podchodzi zuchwale*). Zbójca! to jest, rozbójnik! łotr! to jest, hultaj! — Na gałąź, to jest na szubienicę! Albowiem Boga w sercu nie ma. Podburzał przeciwko starszym młodszym, przekradał kontrabandę, bił strażników, dezertował z regimentu, zebrał szajkę rabusiów. Albowiem na wołowej skórze nie spisałby jego przestępstw. (*Podsuwa się bliżej*). Łotr! rozbójnik! opryszek!

Antoś (*z uśmiechem*). Żabo! skaczesz teraz na pochyłe drzewo. Tak to mi dziękujesz, żem cię nie kazał powiesić! — Pa-

nie komisarzy! gdybyś był widział przed godzinką tego tchórza, jak walał się u nóg moich, jak wytarty krejcar, wstydzilibyś się z nim razem znajdować i pozwalać, aby on przy tobie śmiał gębę otworzyć.

Mandatoryusz. Albowiem nowy dowód zuchwalstwa.

Komisarz (*groźnie*). Milcz waćpan. (*Mandatoryusz skonfundowany odchodzi na bok*). Ty byłeś ich naczelnikiem?

Antoś. Ja.

Komisarz. Wielu miałeś w swojej szajce?

Antoś. Odpowiadać będę tylko na to, co się mnie tyczy.

Komisarz. Jak się nazywasz?

Antoś. Antoni Rewizorczyk.

Komisarz. Więc to ty zabiłeś strzelca Prokopa w jego własnym domu?

Antoś. Ja.

Komisarz. Jaki miałeś powód?

Antoś. Szarpnął za włosy moją starą matkę, rzucił ją na ziemię i potracił nogą.

Komisarz. Dlaczegożeś dezercerował?

Antoś. Żeby go zabić.

Komisarz. Dlaczegożeś potem został rozbójnikiem?

Antoś. Dziwne pytanie! cóż miałem robić?

Komisarz. Czyś się spodziewał, że tym sposobem twoja zbrodnia zostanie bez kary?

Antoś. Bynajmniej — chciałem ją tylko przewlec, aby nie dobić starej matki. Po jej śmierci chciałem się oddać w wasze ręce sam.

Komisarz. Czyś jeszcze kogo zamordował, oprócz Prokopa?

Antoś. Wczoraj, przed samem południem, koń twój, panie komisarzy, wychodząc z Czeremoszu, potknął się tak, żeś mało nie upadł przez głowę.

Komisarz (*zdziwiony*). No i cóż dalej?

Antoś. Wjechawszy na ścieżkę, zlazłeś na ziemię, usiadłeś na kłodzie i kazałeś strażnikowi poprawić siodło.

Komisarz. Jako? tyś mnie wówczas widział?

Antoś. Byłem od ciebie, panie komisarzy, o kroków dziesięć i słyszałem, coś mówił. Czy chcesz, żebym ci powtórzył?

Komisarz. Dosyć — wierzę ci.

Antoś. Jeżeli więc wówczas nie zabił ciebie, któryś miał przy sobie rozkaz mię powiesić, dlaczegóż pytasz, czym jeszcze kogo nie zamordował, oprócz Prokopa?

Komisarz (*do siebie*). Dziwny człowiek! (*głośno*). Czy masz co na swoją obronę?

Antoś. Nie nie mam — jestem zbieg, morderca i rozbójnik.

Komisarz. Czy wiesz, co cię czeka?

Antoś (*z pokorą*). Wiem — szubienica.

Komisarz. Za dwadzieścia cztery godzin, nieboże! (*po chwili*). Tymczasem nie maszże o co prosić?

Antoś. Panie komisarzu! droga do Kut prowadzi koło mojej chaty. Pozwól mi tam odpocząć kwadrans, popatrzeć jeszcze na ten dach, pod którym się urodziłem, posłuchać szumu tego dębu, pod którym skakałem codzień, gdym był chłopcem niewinnym i szczęśliwym.

Komisarz (*wzruszony*). Chodź, chodź! — (*Do oficera*). O, co bym dał za to, żeby go można ocalić! — Idźmy!

Oficer (*do żołnierzy*). Otoczyć ich — wy po pięciu w równych dystancyach — ostrożnie — broń na ramię — marsz. (*Wychodzą*).

C) Żydzi, komedia w czterech aktach (1843).

Punktem środkowym niniejszej komedyi, dokoła którego grupują się liczne i różnorodne postacie, już to dodatnie, już ujemne, w taki czy inny sposób wyrażające myśl zasadniczą autora, jest sprawa udzielenia pomocy zacnemu komornikowi, Staroświeckiemu, któremu wskutek pożaru budynków gospodarczych grozi ruina. Przyciśnięty potrzebą, udaje się komornik do prezesa Zadziernowskiego, dorobkiewicza, który, biorąc kapitały na 4%, a pożyczając na 10—15%, na takiej pospolitej lichwie dorobił się olbrzymiego majątku, a jak każdy dorobkiewicz, próżny jest do śmieszności, pyszni się swoim mieszkaniem, meblami i lokajami, kiedy zaś komornik Staroświecki przychodzi prosić go o zwrot kapitału przed terminem, proponuje mu zamiast 15.000 złotych 7.000, wreszcie 9.000; na to otrzymuje odpowiedź, że do tych wszystkich wspaniałości brak mu tylko — brody. W podobny sposób chce wyzyskać Staroświeckiego hrabia Poniecki, lekko-myślny marnotrawca, który w krótkim czasie zdążył przehulać swój własny majątek, obdużyć dobrą żony, nadszarpnąć fortunę wychowanki, księ-

źniczki Zofii, oszust i szachraj, wyzyskujący podwładnych w sposób oburzający: tak np. komornikowi, który od niego dzierżawił majątek, każe zapłacić za spalone budynki trzy razy większą sumę, niż były one warte. Wcale innego przyjęcia doznaje komornik u rodowitego Żyda, Arona Lewego (scenę tę podajemy poniżej w całości). Powyższą akcyę główną urozmaica i uzupełnia dodatkowa: miłość młodego Antosia Staroświeckiego, syna komornika, do księżniczki Zofii. A chociaż kochają się nawzajem, chociaż ona jest pełnoletnia i samodzielna, i nie zdaje się nie stoi na przeszkodzie ich związkowi, stary Staroświecki przez cześć dla krwi senatorskiej, która płynie w żyłach Zofii, zabrania synowi nawet myśleć o czemś podobnem.

Tom X, str. 168—175. — Akt IV. — Scena II.

Mieszkanie Arona Lewe. W środku otwarte drzwi, przez które widać za stolami siedzących i piszących Żydów; słyhać także brzęk srebra. Nad temi drzwiami napis: Kantor starozakonnego Arona Lewe. Przez boczne drzwi wchodzi Aron, umywa ręce przy drzwiach, i otarłszy je wiszącym tam ręcznikiem, postępuje ku wielkiemu krzesłu, które stoi z prawej strony, bliżej widzów. Siada i przysuwa przed siebie stolik, na którym leży Biblia. Aron, Żyd stary i poważny. Broda biała, kaftan atlasowy czarny, na wierzchu płaszcz takiegoż koloru, z taśmami szerokimi, przy końcu których złota frendzelka. Na głowie trójgraniasta, ostro zakończona mała czapeczka, z wązkim sobolem.

800) Aron. Szmul!

Szmul (*za sceną*). Zaraz. (*Wychodzi, niosąc w ręku rozpieczętowane listy*).

Aron. Nu, Szmul! co tam nowego?

Szmul (*kładzie przed nim trzy listy*). Ci panowie nie płacą — proszą, żeby poczekać.

Aron (*patrząc na podpisy*). A procenty?

Szmul. Także nie płacą.

Aron (*oddaje mu listy, które ten odkłada na bok*). Pozwać. — Nu, co więcej?

Szmul (*podaje mu list*). Berko brodzki prosi sto tysięcy do kontraktów — daje dziesięć.

Aron (*oddając list*). Dziesięć? Dać. — Nu!

Szmul (*jak wyżej*). Pan deputat chce pożyczyć pięćdziesiąt tysięcy.

Aron. Pan deputat? On bankrut.

Szmul. Przysłał zakład, (*daje mu pudełko*) brylanty żony.

Aron (*wolta*). Monsie Hersz! (*Ten wchodzi*). Ile to warte?

Monsie Hersz (*opatrzwszy*). Trzydzieści — a jakby amator, trzydzieści pięć, sześć tysięcy, nie więcej. (*Oddaje i odchodzi*).

Aron. Dać jemu piętnaście i dziesiąty procent odliczyć zaraz. — Więcej niema nic?

Szmul (*podaje list*). Książę Karol kazał posłać do Warszawy dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Aron. Posłać zaraz.

Szmul (*jak wyżej*). Pan graf Gustaw prosi, żeby wypłacić w Dubnie trzydzieści tysięcy — za miesiąc odeśle.

Aron. Wiem, że odeśle — wypłacić.

Szmul. Pyta, jaki procent za ten miesiąc?

Aron. Pół procentu — ja od jego ojca miałem więcej. — Nu!

Szmul (*zbiera listy*). Już wszystko.

Aron. Już wszystko? to dobrze — idź. (*Szmul wychodzi. Aron bębni przez chwilę palcami po książce*) bm! bm! bm! (*potem zaczyna czytać, kiwać się i mrużyć. Pani Szenionowa wchodzi środkowemi drzwiami*).

Pani Szenionowa (*we drzwiach*). Aron w domu? A widzicie, że w domu. (*przybliża się*). Jak się masz, Aronuniu? Pewna byłam, że cię zastanę: bo to teraz taka pora — twoje żniwo, Aronuniu! — Ale cóż to czytasz? O! modlitwa i rachunki — jedno drugiemu nie przeszkadza. A jakże idą interesa?

Aron (*krzywiąc się*). Nu! jak zawsze — chwalić Pana Boga, dobrze.

Pani Szenionowa. Wyobraź sobie, mój Aronuniu, że ja musiałam do ciebie przyjechać sama.

Aron. Widzę — niech pani siądzie.

Pani Szenionowa. Cóż powiesz na to, Aronuniu, żem się ułatwiła z interesami moimi ślicznie.

Aron. Cóż mnie do tego?

Pani Szenionowa. Widzisz, mój Aronuniu, co — nie stało mi bagatelki. Już też będziesz tak grzeczny, że mi pożyczysz pięćdziesiąt tysięcy.

Aron. Pięćdziesiąt tysięcy?

Pani Szenionowa. Napisać ci rewers?

Aron. Na co mnie rewers, kiedy ja nie dam!

Pani Szeniowa. Ale, jak cię kocham, Aronuniu, to pewne, jak amen w pacierzu. Baron Izajewicz dał mi słowo honoru, że mi da za miesiąc pięćdziesiąt tysięcy, tylko teraz nie miał pod ręką. Daj choć na miesiąc.

Aron. Nu, kiedy baron pani obiecał, to on pani da. Choć on wychrzta, ale on człowiek akuratny i słowa dotrzyma. — A ja nie dam.

Pani Szeniowa. A, przyznam się, nie spodziewałam się tego po tobie, panie Aronie! Żebyś widział za granicą ludzi twojego powołania, jacy grzeczni, jacy gotowi usłużyć, jak lubią obligować!

Aron. To niech pani jedzie za granicę, może oni panią zobligują — a co ja, to nie.

Pani Szeniowa. Pamiętam właśnie, kiedym była w Frankfurcie nad Menem..

Aron. Nu, co to jest? Co mnie do tego, co pani pamięta, a czego pani nie pamięta? — Ja nie mam czasu.

Pani Szeniowa. To każże mi przynajmniej wypłacić ten weksel na dwa tysiące rubli asygnacyjnych.

Aron (*obejrząwszy weksel*). Szum!

Szum (*za sceną*). Zaraz. — (*Wchodzi*).

Aron (*podaje mu weksel*). Wypłacić.

Szum. Niech pani pójdzie ze mną. (*Wychodzi*).

Pani Szeniowa. Rzecz dziwna, jak teraz kredyt upadł. Żleś się popisał, panie Aronie! Powiem o tem wszystkim, jak cię kocham. (*Wychodzi*).

Aron (*za wychodzącą*). Co mi tam! to sobie pani gadaj — at! (*Zaczyna znowu bębnić, potem po chwili czytać, kiwać się i mruczeć. Hrabia wchodzi*).

Hrabia. Cóż to jest, Aronie? Zapominasz, widzę, żeś powstał z tutejszych obywateli, a teraz obchodzisz się z nimi nie wiedzieć po jakiemu.

Aron. Nu?

Hrabia. Już to się nie godzi, prawdziwie! Gdybym nie uważał na twój wiek, to doprawdy gniewałbym się na ciebie.

Aron. Jaktó?

Hrabia. Tylko co spotkałem moją siostrę. Powiedz, miałeś ty

sumienie nie służyć jej w takiej małej rzeczy? Wstydz się, stary! czy to u niej ewikcyja niepewna?

Aron. At! jaka tam ewikcyja!

Hrabia (*siada*). Ale możemy się przeprosić, tylko pod pewnym warunkiem. Nie chciałeś jej dać pięćdziesiąt tysięcy, to już ci mnie przynajmniej dasz sto. Pilno mi potrzeba.

Aron. Nie dam.

Hrabia (*bierze go za rękę i ściska*). No, Aronie, dasz, dasz. Ja wiem, że u ciebie pierwsze słowo na języku: nie — a potem, jak rozmyślisz...

Aron. Co tu rozmyślać? Masz pan graf co założyć? to dam; nie masz pan, to nie dam. Pan wszystko swoje przemarnował, przegrał w karty, przefacyendował, przejadł i przejeździł za granicą; pan imości majątek pozostawiał; pan księżniczki majątek zniszczył; a teraz pan jeszcze chcesz pieniędzy? Dlaczego ja mam dawać panu pieniędzy? czy dlatego, że pan graf? — a mnie co do tego?

Hrabia. Więc nie mam u ciebie kredytu? ja?

Aron. Nie.

Hrabia. Niechże cię Pan Bóg sekunduje. Na Jabłonówkę dasz sto tysięcy?

Aron. A wiele ona warta?

Hrabia. Sto pięćdziesiąt dusz, pola dużo, młyny, woda, las.

Aron. To ostatnia wieś u pani hrabiny nie założona.

Hrabia. A cóż robić, kiedyś taki uparty?

Aron. Nie brać.

Hrabia. Nie można — zarzynają.

Aron. Siedemdziesiąt dam i.. i dziesiąty procent z góry.

Hrabia. Maszże ty sumienie?

Aron. At! co nam gadać o sumieniu? Wreszcie to dla pana grafa lepiej. Jak pan graf mniej weźmiesz, to pan mniej stracisz, a jak pan mniej stracisz, a potem przedadzą wieś z publicznej licytacyi, to więcej się panu zostanie.

Hrabia. Cóż ty myślisz? że ja nie zapłacę!

Aron. Myślę. I jak pan graf możesz zapłacić, kiedy panu trzeba co roku pięćdziesiąt sześć tysięcy do banku, trzydzieści twa tysięcy samego procentu za długi prywatne? A teraz pan graf potrzebujesz żyć jak pan, a w karty

grać, a bale dać; a imość także potrzebuje wiele; a wszystkiego masz pan dziewięćdziesiąt, sto, a na dobry rok sto piętnaście tysięcy dochodu. Skądże tu zapłacić?

Hrabia. Jakże ty to wiesz?

Aron. Jak to ja wiem? U mnie zapisana stoi każdego sytuacja, i długi i dochody, i jaki on, i wiele waży jego słowo.

Hrabia. Więc u ciebie i słowo honoru idzie na wagę?

Aron. A jakże? bo innego pana słowo honoru waży grosz, a innego waży dziesięć wsi ze wszystkimi remanentami.

Hrabia. Więc z tobą niema co rzeczy obwijać w bawełnę?

Aron. Na co tu bawełna, kiedy ja wszystko wiem?

Hrabia. Ustąpże dwa procenta.

Aron. Nie.

Hrabia. Wieszże, w jakim stanie moje interesa?

Aron. A mnie co do tego?

Hrabia (*powstaje*). Niechże cię!... dawaj!

Aron. Szmul!

Szmul (*za sceną*). Zaraz. (*Wchodzi*).

Aron (*daje mu papiery*). Siedemdziesiąt tysięcy — zakładna — dziesiąty procent z góry.

Prezes (*wchodzi*). Jak się masz, panie Aronie? A! pan hrabia! przepraszam, żem nie miał jeszcze czasu być u pana hrabiego i złożyć uszanowania hrabinie. Interesa, panie hrabio, to klęska! — (*Aron czyta*).

Hrabia. Panie prezesie! czy i ty w interesach?

Prezes. Jak Boga kocham, panie hrabio!...

Hrabia. Czy nie pieniędzy pożyczają?

Prezes. Cóż robić? nie sprzedajemy nic — jesteśmy w rękach Żydów, i robią z nami, co chcą.

Hrabia. Kochany prezesie! na obiadek do mnie dzisiaj — proszę cię.

Prezes. Z ukontentowaniem, panie hrabio!

Hrabia. Mój prezesie! daj mi też na parę tygodni dwadzieścia tysięcy.

Prezes. Panie hrabio! majątek jest, styrtki stoją, jak okręty w porcie; ale gotowizny, jak Boga kocham, nie mam — dowód, że tu przychodzę.

Aron (*bijąc po księżce*). Bm! bm! bm!

Prezes (*bierze jego rękę obiema rękami i ściska*). To, to Rot-szyld.

Aron (*uśmiechając się*). At!

Hrabia (*do Szmula*). Cóż? dajecie pieniądze?

Szum. Proszę pana grafa z sobą. Trzeba rozpatrzyć papiery.

Hrabia. No, rozpatruj! Do widzenia, prezesie!

Prezes. Będę służył. (*Hrabia wychodzi, prezes siada*). Kilka słów tylko, Aronie! bo nie mam czasu. (*przysuwa się*). Aronie! tyś człowiek, jakich ja szacuję. Wiesz, jaka myśl mi przyszła? Możemy zrobić dobry interes. (*przysuwa się*). Daj rękę, Aronie, i działajmy w spółce.

Aron (*cofając rękę*). Ja spółki nie lubię. Ja byłem biedny, to starałem się sam; a teraz, kiedym bogaty, to moje kapitały same się starają.

Prezes. Ja to wiem, kochany Aronie! i ja, dzięki Bogu, nie jestem ubogi.

Aron. A czego pan prezes chce?

Prezes. Jużci nie pożyczyc. Oto: chcę ci oddać w obrót trzykroć, które mam teraz pod ręką. Suma piękna!

Aron. Na co mi to? Ja mam swoje pieniądze.

Prezes. Widzisz, Aronie, ludzie wiedzą, że mam kapitały, i leżą do mnie, szczególniejsz ekspanionie, których ja się boję jak ognia.

Aron. Jest jeszcze wielu panów poczciwych i bogatych; czemu pan prezes im nie odda?

Prezes. Ci nie potrzebują! a choć potrzebują, widzisz, Aronie, stosunki obywatelskie. Jakoś to nieładnie wziąć od nich więcej jak pięć od sta. (*przysuwa się*). A cóż to za procent, pięć? Wiesz co, Aronie? weź moje trzykroć! Ty bierzesz po dwadzieścia, a mnie daj piętnaście. Zawsze pięć od sta masz w zysku za nic.

Aron. Jakto za nic? a rysk? a kłopot? — Na co mi to? Ja mam swoje pieniądze. Jeśli pan prezes chce, i to żeby panu prezesowi dogodzić, pięć procentów dam.

Prezes (*wstaje*). To nie zrobimy interesu. Dziesięć dasz.

Aron. Pięć.

Prezes. Dziewięć dasz?

Aron. Pięć.

Prezes. Tyś Żyd, Aronie!

Aron (*podnosi głowę*). Ja Żyd? — nu, cóż to złego, że ja Żyd, kiedym się urodził Żydem? Ja Żyd, bo nie chcę dać więcej, jak pięć od sta; a jak się nazywa ten, kto chce wziąć piętnaście? Żyd lubi pieniądze. Prawda, że on lubi pieniądze, bo Żyd bez pieniędzy nie człowiek. Jeśli Żyd ma milion, to jego każdy zna, każdy się ukloni, to do niego i książkę list napisze, i pan graf za rękę ściska, i jaśnie wielmożny pan powie: kochany Aronie, ja ciebie szacuję! Jeśli Żyd nie ma pieniędzy, to on stoi za drzwiami, póki jego nie wypchną; biega cały dzień za złotówkę po kolana w błocie; jego łają jak psa, jego biją jak psa, na niego pluja, jak na psa pluja. I za to, że on kocha pieniądze, bo musi kochać, to jego nazywać Żydem? A jak nazwać takiego, co ma honory, co ma urzędy, co ma ziemię, któremu nikt nie śmie słowa powiedzieć, na którego nikt nie śmie palca zakrzywić, a przecie on kocha pieniądze więcej, jak brata i siostrę? Kiedy do mnie przychodzi bankrut i prosi pieniędzy, to ja nie mówię, że nie mam, a mówię, że nie dam — i ja Żyd; a jak się nazywa ten, co mówi, jak Boga kocham, nie mam, a trzykroć oddaje Żydowi na piętnasty procent? Niech pan prezes sobie idzie; ja z panem prezesem nie chcę mieć żadnego interesu. Ja Żyd, a pan sobie jaśnie wielmożny pan.

Prezes. Ośm dasz?

Aron. Nie dam. (*Zaczyna czytać, kiwać się i mruczeć*).

Prezes. I siedm nie dasz? (*Aron nie odpowiada. Prezes do siebie*). Szelma Żyd, jak skała. (*Wychodzi. Aron czyta. Po chwili wchodzi komornik*).

Komornik (*we drzwiach*). Nie przeszkodzę ci, panie Aronie?

Aron. Kto tam? Aj! aj! co ja widzę? pan komornik!

Komornik (*przystępuje*). Jak się masz, panie Aronie? Dawnośmy się nie widzieli.

Aron. Kopa lat! kopa lat! panie komorniku! Nu! siadźże jegomość tu — ot, tu koło mnie. (*Bierze jego rękę*). A można to było tak ze wszystkim zapomnieć starego Arona? Patrz, jegomość, co to się przez ten czas zrobiło!.. I jegomość posiwiał, jak gołąb, u mnie broda już biała, jak mleko.

Komornik. Jak srebro, panie Aronie, którego masz podostatkim.

Aron. Nu, chwalić Boga, jest dużo. Ale cóż to pana komornika do mnie sprowadza? Czy nie jaka bieda? Boże uchwaj!

Komornik. Bieda, panie Aronie, i wielka bieda!

Aron. Aj! aj!

Komornik. Spaliłem się, panie Aronie.

Aron. Aj! aj! aj!

Komornik. A co gorsza, obdarli mię, ocenili szkodę we troje i całą moją chudobę sprzedawać chcą z publicznej licytacji.

Aron. Aj! aj! aj! Może panu komornikowi potrzeba pieniędzy?

Komornik. Panie Aronie! ze strachem szedłem do ciebie. Potrzeba mi dwanaście tysięcy. Weź w zakład skrypt prezesa, u którego mam piętnaście, ale mi ich nie chce oddać, bo termin dopiero za pięć miesięcy.

Aron. Nu, widzi pan komornik! dlaczego pan komornik do niego chodził, a nie przyszedł prosto do mnie? Czy dlatego, że Aron teraz bogaty, to pan komornik myślał, że on zapomniał, jak był w nieszczęściu, i że pan komornik jemu dobrze zrobił? To nieładnie, panie komorniku! Aron nie taki. Pan komornik pamięta, jak ja trzymałem wszystkie młyny u nieboszczyka podczaszego, i kiedy mnie spaliły się młyny i tartaki na 60 tysięcy, to co pan komornik wtenczas zrobił?

Komornik. Wiedziałem, żeś akuratny, panie Aronie! Tobo każdy zrobił na mojem miejscu, byle pan był tak szlachetny, jak nieboszczyk podczaszy.

Aron. Ni, panie komorniku! tegoby drugi nie zrobił — dla Żyda. A pan komornik za mnie poręczył; a pan komornik wyprosił u pana podczaszego, że mi rozłożył szkodę na trzy lata i spuścił z arendy dziesięć tysięcy; i pan komornik nie chciał ode mnie wziąć ani grosza podarunku; i pan komornik myślał, że ja to wszystko zapomniał? Aj! aj! to nieładnie! panie komorniku!

Komornik. Darujże mi, Aronie, i pomóż!

Aron. Nu, nie gniewam się. — Weź jegomość sobie ten skrypt

nazad. Ja jegomości dam dwanaście tysięcy na prosty wksel. U mnie jegomości słowo więcej warte.

Komornik. Dziękuję ci, panie Aronie! — a jakiż procent naznaczysz?

Aron. At! co tam! czy to taka wielka suma? — Dla jegomości ja naznaczam tylko ósmy procent.

Komornik. Przyjmuje, przyjmuje, panie Aronie! Tylko każ mi wypłacić zaraz, bo mi tam opieczętowali dom, i biedna żona siedzi w pustym pokoju, nie ma kawałka chleba.

Aron. Aj! aj! Nu, wiesz jegomość co? ja jegomości jeszcze jeden procent spuszczam.

Komornik. Dobry panie Aronie!

Aron (*wstaje*). Chodź jegomość ze mną. Ja jegomości zaraz każę odliczyć asygnatami, żeby jegomości nie ciężko było nosić. (*Zatrzymuje się przy drzwiach kantoru i bierze jego rękę*). Panie komorniku! a pamiętasz jegomość, coś mi jegomość powiedział, kiedy ja przyszedłem prosić ratunku u jegomości w mojej biedzie?

Komornik. Doprawdy nie pamiętam, panie Aronie!

Aron. A widzisz, jegomość, a ja pamiętam. Jegomość powiedział tak: Mnie ciebie żal, Aronie! boś ty poczciwy człowiek, choć ty Żyd. Nu, otóż ja jegomości jeszcze pół procentu spuszczam. (*Wychodzą*).

D) Panna mężatka, komedia w trzech aktach (1844).

Odrazu pierwsza scena wprowadza nas w sam środek akcji. Cecylia, której znudziło się już nieco przydługo przeciągające się panieństwo, wtajemnicza pułkownikową w swój plan: oto uda przed Adolfem, zakochanym w niej po uszy, lecz ciągle zwlekającym z ostatnim krokiem, że wyszła za męża. Fortel udaje się znakomicie: Adolf zapomina o wszystkich wadach Cecylii, które wstrzymywały go dotychczas od oświadczenia się o jej rękę, a miłość jego, wbrew zasadom dotychczasowego kunktatorstwa — wybucha gwałtownym płomieniem. Jeszcze kilka scen droczenia się obojga zakochanych, aż wreszcie Adolf klęczy u stóp Cecylii ku wielkiemu zadowoleniu pułkownikowej i starego poczciwca majora, co oddawna już kojarzył tę sympatyczną parę, lecz nie mógł dojść do ładu z Adolfem, którego w pasyi nieraz nazywał Fabiuszem Kunktatorem.

Tom IX, str. 390—396. — Akt III. — Scena II.

Salon pułkownikowej. — Pułkownikowa w swoim krześle, z robotą. — Cecylia w białej sukni, bez czepeczka, idzie zwolna z głębi teatru z książką, czytając; po chwili rzuca książkę na kanapkę i sama siada.

801) Pułkownikowa. Nie podoba ci się ta książka?
Cecylia. Bynajmniej.

Pułkownikowa. A co to czytałaś?

Cecylia. Doprawdy, że nie wiem. Patrzyłam tak sobie w książkę, widziałam litery w słowach długich i krótkich, i tyle tylko postrzegłam, że *b* ma garbik z przodu, a *d* z tyłu.

Pułkownikowa. A, winszuję, to bardzo filozoficzna uwaga.

Cecylia (*ziewając*). Ja filozofii cierpieć nie mogę.

Pułkownikowa. Cóż to? nudzisz się, moje życie? Przynajmniej więcej zabawiałaś się w teatrze. Halpertowa grała?

Cecylia. Nie uważałam.

Pułkownikowa. Nawet Halpertowej nie uważałaś? A cóżeś robiła, moja Cesi?

Cecylia. Byłam zła.

Pułkownikowa. Oho!

Cecylia. Ale taka zła, że gdybym się nie wstydziała, byłabym wyświस्ताła autora, aktorów i całą publiczność, a szczególnie tych panów, co w krzesłach.

Pułkownikowa. Czy był między nimi i Adolf?

Cecylia. Dlatego też, że nie był.

Pułkownikowa. A ty go zapewne czekałaś?

Cecylia (*wstaje*). Otóż właśnie, że czekałam i nie doczekałam się.

Pułkownikowa. Pojmuję — to bardzo przykro.

Cecylia. Jeszcze teraz mi się płakać chce na samo wspomnienie. A wyraźnie dałam mu poznać, że życzę sobie widzieć się z nim w teatrze. Ani się pokazał. To prawdziwie nie do zniesienia.

Pułkownikowa. I zaprosiłaś go do łoży?

Cecylia. Prawie że zaprosiłam.

Pułkownikowa. Wiesz, moje życie, że zamiast gniewu, powinnaś być wdzięczną panu Adolfowi, że nie przyszedł.

Domyślał się jego powodów. Wiedział, że ja nie będę, i nie chciał cię kompromitować.

Cecylia (*robi minkę*). Czy ciocia myśli, że oni tacy delikacjni? O! bynajmniej! Ale to nieznośne stworzenia. Im potrzeba jarzma, różgi, srogości; wtenczas tylko skaczą na łapkach; a każda laskawość z naszej strony zmienia ich zaraz w tyranów. Żeby choć tyranami umieli być w porę, ale to i tego nie!

Jakób (*wchodzi z listem i oddaje pułkownikowej*). Od pana Adolfa.

Cecylia (*niespokojnie*). Przeczuałam, że coś będzie.

Pułkownikowa (*przebiegłszy list, składa go i chowa*). Powiedz człowiekowi, że dobrze — będę czekać. (*Jakób wychodzi*).

Cecylia. Cóż tam? Ciocię ten list zmieszał!

Pułkownikowa. Nie, moje życie! rzecz dla ciebie obojętna.

Cecylia. Naturalnie, ponieważ to od niego — ale tak, przez ciekawość, chciałabym wiedzieć.

Pułkownikowa. Na cóż ci to, jeżeli cię los jego nie interesuje?

Cecylia. Nie mówię tego, żeby mię nie interesował, ale jestem obrażona, i przyjmuję wszystko z zimną krwią.

Pułkownikowa. Jeśli tak, to czytaj. (*Podaje jej list*). Adolf żeni się.

Cecylia (*załamując ręce, z krzykiem*). Ach!

Pułkownikowa. Ale fe! moja Cesi! miejże rozum — na — weź!

Cecylia (*drżąc, bierze list i czyta*). »Szanowna pani! może to niewdzięcznie z mojej strony, żem się nie poradził pani, której przyjaźń jest mi tak drogą, w przedsięwzięciu najważniejszym w życiu człowieka. Niech mi pani wybaczy i z pobłażaniem przyjmie powody mego milczenia, które później wyłożę. Żenię się. To lekarstwo było mi gwałtownie potrzebnem«. Lekarstwo podkreślone. (*Zgniata list w rękach. Po chwili rozwija go znowu, czyta dalej*). »W czyje ręce składam los dni moich, o tem pani powiem za parę godzin, gdy przyjdę prosić o jej błogosławieństwo. Chciałbym narzeczonej mojej ofiarować niektóre ba-

gatelki przed ślubem. Nie będzież to nadużyciem grzeczności pani, gdy poproszę, abys mię swoim gustem pokierować raczyła? Przyniosę wszystko z sobą, jeżeli mię pani łaskawą odpowiedzią ośmielić zechcesz. — Adolf». (*Rzuca list w pół z płaczem*). A o mnie ani słowa! jakby mnie nie było. O! niewdzięcznik! (*Rzuca się na krzesło, płacząc*).

Pułkownikowa (*wstaje i bierze ją za rękę*). Ale wstydz się, moje życie! Czyż przystoi ci tak brać to do serca?

Cecylia. Niedawno chodził za mną — patrzył jak w tęczę — wczoraj tu, w tem samem miejscu! O! to chytrość bez przykładu.

Pułkownikowa. Nie chcę go usprawiedliwiać, że ci prawil dusery, ale że się żeni, temu się wcale nie dziwię.

Cecylia. Ciocia się nie dziwi? — O! wiem, że wszyscy go uniewinniają.

Pułkownikowa. Miał-że cię za mężatkę.

Cecylia. Ach, Boże mój! Droga ciociu! otóż to właśnie, że nie miał. Mówiłam, żem wczoraj przyznała się majorowi i miał mu wszystko powiedzieć. A on, zamiast nie posiadać się od radości, od szczęścia, żeni się — z inną! O! monstrum! (*Płacze*).

Major (*wchodzi z miną komiczno-tragiczną i mówi ponuro*). Całuję nóżki pani mojej! (*Cicho do pułkownikowej*). A odebrała pani mój bilecik?

Pułkownikowa (*cicho do majora*). Odebrałam. (*Grożąc*). O! wy! panowie!

Major (*cicho do pułkownikowej, pokazując na Cecylię*). Lekcyjka nie zawadzi.

Pułkownikowa (*głośno*). Cóż? wiesz, zapewne, majorze?

Major. Wiem, wiem, pani dobrodziejko! Dlatego się i nie pokazał, tak byłem zły. (*Przystępując do Cecylii*). Ej! pani kochana! czyż to warto tak się martwić? Widać już takie było przeznaczenie. Cóż? przeciwko wodzie trudno płynąć.

Cecylia. Proszę mię nie pocieszać, panie majorze! Obejdę się bez tych perswazyi. (*Major odchodzi na bok, śmiejąc się*).

Pułkownikowa. Ale moja Cesi, czyż nie znasz przyjaźni majora, że tak odpychasz jego uzalania?

Cecylia (*powstaje i patrząc na majora, tupie nogą*). Ja uża-
leń cierpieć nie mogę! (*Siada znowu*).

Major (*na stronie*). Brr! Lubię taką energię w kobiecie. (*Gło-
śno*). Pani kochana! nie dziwię się, że to panią tak ubo-
dło. Ale ja tu muszę cokolwiek powiedzieć i na jego uspra-
wiedliwienie.

Cecylia. Nie mówiłam, że wszyscy go będą usprawiedliwiać?
Ach, to kara Boska!

Major. Miałabyś pani rację czuć się cokolwiek upokorzona,
gdyby Adolf wiedział, że ręka pani wolna — ale..

Cecylia (*powstaje*). Ale cóż? on nie wie?

Major. Nie wie, pani dobrodziejko.

Pułkownikowa. A widzisz, mówiłam.

Cecylia. A toś mi pan ładnie usłużył! Miał-żeś mu pan po-
wiedzieć, miałeś się pan strzelać.

Major. Czy pani chcesz, żebym się strzelał?

Cecylia. O, nie, nie, nie chcę, (*dyga mu ironicznie*) bardzo
dziękuję. O ja nieszczęśliwa! (*Płacze*).

Major. Ależ bo, pani kochana, i jam temu nie winien. Proszę
mnie posłuchać, na miłość Boską! Poszedłem do niego, chcąc
mu wszystko objawić. Sądziłem, że go zastanę w rozpa-
czy. A on, *sacrébleu!* czemuż mnie przywitał? Oto, że mnie
zwiódł desperackim listem, że się zreflektował, że się żeni,
że już wszystko ułożone, że znalazł anioła i t. d. Cóż mia-
łem robić? miałem panią skompromitować? miałem nara-
zić się na odmówienie? *Sacré morbleu!* wołałem zamilczeć.
Trzasnąłem drzwiami, że aż się okna zatrzęsły, i posze-
dłem precz.

Pułkownikowa. I bardzoś pan dobrze zrobił — szczerze, od
serca panu dziękuję.

Cecylia (*podaje mu rękę*). Dobry panie majorze. (*Major ca-
łuje ją z uczuciem*).

Pułkownikowa. No, Cesium, otrzyjże lezki. On tu zaraz przyj-
dzie — cóż sobie pomyśli?

Cecylia. Ja go widzieć nie będę — ja natychmiast wyjeżdżam
z Warszawy. (*Wstaje*).

Major. O to, to — ha! jeszcze czego? Proszę pani pułkowni-
kowej, aby na to nie pozwalała. Cóż to? *sacré* — ej! prze-

praszam, pani chcesz mu dać poznać, że panią przywiódł do rozpacz?

Pułkownikowa. Major ma rację.

Major. A gdzież duma kobieca? Czy to pani, z takim rozumem, nie potrafisz się znaleźć inaczej, jak szlochając?

Cecylia (*ocierając łzy*). O! potrafię, potrafię — bądźcie państwo spokojni. (*Na stronie*). Niewdzięcznik!

Pułkownikowa. Naśladuj mnie — obaczysz, jak go przyjmę, jak gdyby nigdy nic się nie stało. (*Jakób wchodzi*). Czy pan Adolf? — proś, proś! (*Jakób wychodzi — Cecylia siada niedbale na kanapce i bierze książkę. — Major przechadza się nadąsany. — Adolf wchodzi, nieśmiało poglądając na Cecylię. — Jakób wnosi za nim kartony i kładzie przy drzwiach na krześle*).

Pułkownikowa. A! jak się pan ma? (*Adolf całuje jej rękę*). Bez wątpienia musisz się pan mieć dobrze. Winszuję, panie Adolfie! i z serca się cieszę.

Cecylia (*na stronie*). Jest z czego się cieszyć. (*Czyta*).

Adolf (*zbliża się do Cecylii*). Pani tak zajęta?

Cecylia (*spokojnie*). Czy to pan, panie Adolfie? — Kiedyż pan wszedłeś? doprawdy nie uważałam.

Major (*na stronie*). O! filutka!

Cecylia. Winszujemy panu! winszujemy! Nakoniec pan zdecydowałeś się. (*Adolf kłania się*). Widzi pan, jak to dobrze posłuchać rady dobrych przyjaciół. Wszak to ja panu zapisałam tę receptę — wczoraj, pamięta pan? (*Podaje mu rękę z kokieterią*). Obaczy pan, że będzie skuteczna, boś się pan nie opóźnił. (*Na stronie*). Zdrajca!

Adolf (*całuje z uczuciem jej rękę, którą ona prędko usuwa*). O! nie wątpię!

Cecylia (*na stronie*). Jego ręka drży!

Adolf (*na stronie*). Ona płakała! o! co za szczęście! (*Major przechodzi rubaszenie koło Adolfa, chrząkając*). A, jak się masz, kochany majorze?

Major. A, uniżony sługa pana mego. (*Odwraca się i przechadza się, jak pierwej*).

Cecylia (*z ironią*). *A quand la nocte, Mr. Adolphe?*

Adolf (*z uśmiechem*). Ja myślę, że wkrótce.

Cecylia. O, to bardzo rozumnie. Pan już i tak dużo czasu straciłeś.

Adolf. Pani mię wyprzedziłaś.

Cecylia. O! bom ja podobno od pana starsza — czy tak?

Adolf. Pani sobie ze mnie żartujesz. Jak mnie to cieszy, żeś pani wesola!

Cecylia. Dlaczegożbym nie miała być wesolą? A to zabawnie! Ja się nigdy nie smucę szczęściem moich przyjaciół.
(*Na stronie*). *Qu'il est bête! — fi!*

Pułkownikowa. Pokaż-że nam, panie Adolfe, te śliczne rzeczy — będziemy admirować. (*Adolf idzie po karton*).

Cecylia. A i podarunki? *c'est galant, en vérité!*

Major (*przechodząc, cicho do Cecylii*). Dobrze, dobrze, *sacré-bleu!*

Cecylia (*do majora*). Mało mi serce nie pęknie.

Major (*do Cecylii*). Pst! (*Cecylia zaczyna czytać*).

Adolf. Niechże się panie ze mnie nie śmieją, bo to, doprawdy, nie nasza rzecz.

Pułkownikowa. Nadto pan skromny jesteś, wiemy, ile masz gustu.

Cecylia. O! we wszystkim!

Pułkownikowa (*opatrując kolie*). A wie pan, że przepyszne, bardzo, bardzo ładne!

Adolf. Szczerze?

Pułkownikowa. Ale najszczerzej.

Cecylia (*niedbale*). A pokaż pan. (*Adolf biegnie ku niej. Ona bierze od niechcienia, i popatrzywszy, oddaje*). *Oui, c'est joli (na stronie)*. I to pewnie dla jakiegoś koczkodona.

Pułkownikowa. Ale cóż bo tu ślicznych rzeczy! To prawdziwie aż oczy w siebie biorą. Cesi! chodź-no tu, obacz.

Major (*do Cecylii*). Idź, pani!

Cecylia. *Je suis si paresseuse*, moja droga ciociu!

Pułkownikowa. Więc chcesz, żebym do ciebie przyszła?

Cecylia (*zrywa się i idzie*). Ach, Boże mój, cóż-bo ciocia robi?

Pułkownikowa. Patrz, co to za dyadem! co za blondy przy tym welonie ślubnym! Jak mię kochasz, Cesi, przymierz — właśnie do twojej sukni przyjdzie.

Major (*szeptce jej do ucha*). Przymierz pani, na złość jemu, niech obaczy, jakim był osłem.

Cecylia. Ale do czegoż to? — wreszcie, jeśli się tak cioci podoba. (*Siada, pułkownikowa ją ubiera*).

Adolf (*do majora*). Majorze! nie posiadam się!

Major (*cicho*). Pst! (*Głośno*). A, jak się panu podoba, co mi tam!

Pułkownikowa. Weź jeszcze te kolie. (*Nakłada na nią*).
Co za blask! — ślicznie!

Adolf. Teraz i ja widzę, że piękne — ależ na takiej szyi.

Cecylia (*obrażona*). Komplementa! — winszuję pańskiej narzeczonej. (*Wstaje i idzie z powagą do zwierciadła*).

Adolf (*do majora*). Ach! jaka ona śliczna!

Major (*ciągnie go za rękaw*). Pst! (*Pułkownikowa zakłada jej na ręce bransolety*).

Cecylia. *A propos*, panie Adolffie! jakiegoż wzrostu ta narzeczona pańska? zapewne niziutka, pulchniutka? — co?

Adolf. Myli się pani — będzie wzrostu pani.

Cecylia. Doprawdy? a jakie ma imię? jeżeli wolno zapytać.

Adolf (*patrzac na nią z wyrazem miłości*). Cecylia.

Cecylia (*zmieszana*). Co?

Adolf (*klęka*). O, tak! Cecylia, jeśli pani pozwolisz. (*Cecylia blednie, siada na krześle, zakrywając oczy ręką. Adolf bierze jej drugą rękę i całuje z uniesieniem*). O pani droga! pozwól niech sobie zapłacę szczęściem nad wyrazy za te męczarnie nad wyrazy, które dotąd znosiłem!

Pułkownikowa i Major (*rozrzewnieni*). Pozwól! pozwól!

Cecylia (*patrzy nań mile i podaje mu drugą rękę*). A więc pan wiedziałeś, że moja ręka wolna?

Adolf. Wczoraj jeszcze dowiedziałem się.

Cecylia. I takeś mię dręczył?

Adolf. Przebacz, Cecyljo! przebacz ten mały odwet. Jam cierpiał więcej.

Cecylia. Cóż ja mam robić? — muszę. (*Powstaje*).

Adolf (*zrywa się*). O szczęśliwa chwilo!

Pułkownikowa (*ściska ją*). Moja ty droga Cesi!

Major. *Sacré-bleu!* panie dobrodzieju! i ja dzwoniłem na to kazanie, i mnie się tu coś należy.

Cecylia. Uściskaj mię, drogi majorze! Stalej od ciebie nikt mię nie kochał (*ściskają się*). Ale godziło się tak przeciwko mnie?

Major. To masz pani za te głupie morały, którem wczoraj prawil — teraz kwita.

Cecylia. I ty, ciociu, także? zmawiać się z nimi!

Pukownikowa. Moja duszo! mogłam się zmówić z tobą przeciwko nim, dlaczegóż nie miałam się zmówić z nimi przeciwko tobie? tembardziej, że to udanie tem żywiej daje ci czuć twoje obecne szczęście.

Cecylia (*bierze rękę Adolfa*). O! więc to już prawda?

Major. Prawda, prawda. Ale jeszcze jedno chciałem pani powiedzieć: nie próbuj pani mistyfikować go po ślubie. Pani masz na to dużo rozumu; ale widziałas, *sacré-bleu!* że i nas na coś podobnego stanie.

Cecylia. Postaram się, panie Adolfie, że nie powiesz, iż cię los zmistyfikował.

Adolf (*trzymając rękę Cecylii*). Los, chytry, jak Włoch, najczęściej mistyfikuje człowieka; ale kiedy komu da rękę i serce rozumnej kobiety, wtenczas jest szczerym, jak Mazur.

E) Kollokacya, powieść (1847).

Kollokowanej na Czaplincach szlachcie grozi poważne niebezpieczeństwo ze strony prezesa Zagartowskiego, który wszelkich środków używa, aby wywłaszczyć częściowych posiadaczy. Prezes to jedna z przedniejszych postaci powieści: jego bezgraniczna chciwość, próżność, zrzeczność w machinacyach finansowych, przy bezczelnej obłudzie czynią go niebezpiecznym dla każdego, kto z nim wejdzie w interesy. Przytem jest on narysowany nader plastycznie: gdy uśmiecha się z wrzekomą dobroduszością, gdy co kilka frazesów wykrzykuje z pobożnem oburzeniem: »Jezus Marya«, sycząc przytem przez szczerbę w zębach, gdy skrzyżuje ręce na pulchnym brzuszku i puści młynka dużymi palcami, zda się, że go widzimy.

Prawą ręką prezesa w jego operacyach jest Żyd Szłoma, faktor nie byle jaki: do 16 roku życia chodził do szkół w Krzemieńcu, chcąc zostać doktorem; ubiera się nadzwyczaj starannie, mówi biegle po francusku i po

polsku wyraża się poprawnie, nawet górnolotnie, w podstępności i krętarctwie nie ustępuje wszakże swoim chałatowym współwyznawcom. Nie też dziwnego, iż wkrótce całe Czaplince dostały się w ręce prezesa; tylko cichy dworek państwa Starzyckich oparł się jego przebiegom. Dodanie typy rodziny Starzyckich, zwłaszcza dziadków, w których osobach, jak wiemy, autor przedstawił własnych rodziców, są skreślone z widocznym umiłowaniem.

Tem trudniej przychodzi prezesowi pokonać Starzyckich, iż w obrobie ich staje jego własna córka, dzielna, energiczna Kamilla, która, poznawszy przypadkiem w drodze młodego Józefa Starzyckiego, pokochała go całą siłą swej bujnej natury.

Przy pierwszym zatargu ojca ze Starzyckimi panna Kamilla z całą stanowczością staje po stronie krzywdzonych, a wstrząśnięty do głębi tem pierwszym w życiu niepowodzeniem, prezes umiera w kilka dni potem na apopleksyę, zostawiając sprawy majątkowe nieuregulowane. Panna Kamilla, dla uspokojenia własnego sumienia i zmycia plamy z pamięci ojca, wyposaża synów i córki dawnych kolokatorów czaplinieckich, a potem dopiero, ukończywszy to dzieło sprawiedliwości, łączy się na zawsze z ukochanym.

Poniżej przytoczona, niezmiernie plastyczna scena daje nam poznać cały szereg wybornych postaci z zaścianka czaplinieckiego.

802) *Tom I, str. 184—193.* Pan Płachta był jednym z najzamożniejszych obywateli w Czaplincach. Miał on tam blisko siedemdziesiąt dusz, najlepszą część sianozęci, najdogodniej położone grunta, stawek rybny i głęboki i młyn, który dość znaczny przynosił dochód. Ale na nieszczęście pan Płachta był w młodości swojej *totumfackim* w jednym z możnych domów na Wołyniu i przywykł do tego, co nazywał *komilfo* i o co starał się we wszystkim. Zaczął od wzięcia żony *komilfo*. Była to kobieta niebrzydka, ale, wychowana w sąsiedztwie bogatego i modnego domu, przewróciła sobie głowę pańskością. Krzywiła się, jeśli jej nie adresowano listów: *A madame la Comtesse Płachcina*; do męża nie mówiła inaczej, jak *Monsieur Płachta*, imitując jedną z dam, która świeżo wróciła z zagranicy; od biedy mogła się trochę rozmówić po francusku, ale dodawała wszystkim frazesom polski obrót, przemieniała co chwila rodzaj rzeczowników, przeciągała wiecznie wszystkie wyrazy na przedostatniej zgłosce, i używała najniewłaściwiej i najdziwaczniej partykułów *en* i *y*, które pasyami lubiła. *En voulez vous du Café? Monsieur Jakób!* mówiła zawsze do pana Jakóba, starego kawalera, który

ją często odwiedzał, i jak kronika czapliniecka głosiła, oddawna cholewki do niej smalił. Mąż, jak mówią, patrzył na to przez szpary, bo pan Jakób był komilfo, bywał u pani Włodzimierzowej Podziemskiej, urodzonej księżniczki W., grał ślicznie na gitarze hiszpańskiej i śpiewał doskonale: »Te brzóz kilka« i inne piosenki. Oprócz pana Płachty i pani Płachciny były jeszcze dwie panny Płachcianki, Zenobia i Kryspina, które matka zawsze z francuska nazywała Zenobi i Kryspin; ojciec, żeby się nie rozminąć z ulubionym swoim komilfo, dodawał: *Medmozel Zenobi i Kryspin*; a pan Jakób, który miał widać pewne prawa do pieśzczenia progenitury pani Płachciny, nazywał Biniu i Piniu. Były to panienki lat dziewiętnastu i osiemnastu, tłuste, białe i nieszpety, ale ich edukacya i maniery, równie jak dom i całe jego urządzenie, odpowiadały głównemu usposobieniu państwa Płachtów.

Dom był obszerny, zabudowania gospodarskie rozległe, bo panu Płachcie dostał się przy kollokacyi dawniejszy folwark całej wsi, ze wszystkimi jego attynencyami. Ale dach był na domu dziurawy, ściany obszarpane, okna po większej części zaklejone papierem, stodoła i obora w ruinach. Wprawdzie trudno było na tak małej części utrzymać w porządku i całości tak wielkie budowy, wszakże przy staraniu i oszczędności choć część ich najpotrzebniejsza mogła być zachowaną. Resztę należało rozebrać i sprzedać. Ale pan Płachta osądził, że jest komilfo mieć kilkanaście pokojów i obszerną zagrodę, chociaż mu ciekło za kołnierz, chociaż często panny Płachcianki musiały z łóžeczkami swojemi emigrować z jednego kąta w drugi, a biedne cielęta w chlewie przeźroczystym, jak maleńkie foki, siedziały nieraz po szyję w wodzie. W toalecie państwa Płachtów i panien Płachcianek był ten sam charakter zdartej i zszarżanej komilfowości. Pani Płachcina nie pokazywała się inaczej w kompanii, jak w berecie z piórami, ale czas pokrył szacowną niepewnością kolor materyi, z której był zrobiony, oskubał znacznie pióra, które chwiała się na jej głowie, i porobił szczyrby i szpary pod pachami jej aksamitnej sukni, krótkiej w stanie, wąskiej i wytartej, ale zdaniem pana Jakóba, dającej jej postać królowej. Panny Płachcianki występowały także w materyalnych sukienkach, robionych na kogo innego i bra-

nych w tandetnym składzie Szłomy, w trzewiczkach materyalnych, ale ukazujących zdradziecko pończoszki przedziurawione na pięcie, w perłach ogromnych z fermoarem ciężko brązowym, w kwiatkach, na których kurzawa legła grubą warstwą i dawała różom i makom kolor cegły, a powojowi błękit pazurek w febrze.

Państwo Płachtowie mieli także lokaja, i niestety! z brudno-żółtym paskiem na kołnierzu, który miał reprezentować galon, bo jakże może być dom komilfo bez galonowej liberyi? Ale tego dziurawego i prawie bosego Hryćka we fraku, którego pani Płachcina niewiadomo dlaczego przeważa Żorżem, nie można było nigdy oduczyć, aby nie ucierał nosa palcem wtenczas, gdy komu na wyszczerbionym talerzu wodę podawał. Umeblowanie domu odpowiadało reszcie: zszarzana elegancya, popaczone mahoniowe forniry, dziurawe i wystrzępione obicia, starte i nawet nie polatane dywaniki i t. d. Otóż w takim to domu, 17 października, w dzień świętej Lucyny, była wielka feta. Były to imieniny samej pani, które mąż zawsze solennie obchodził. W domu był ruch wielki, spodziewano się dużo gości, i nie tylko wszystkich czaplinieckich kolokatorów, ale nawet z sąsiedztwa. Po rannym zaraz obiedzie zaczęła się toaleta, i wkrótce wyszedł pan Płachta w cyrkonowym fraku, z długimi, ale wązkiemi połami, w granatowych ciasnych szarawarkach, podczesał siwe swe włosy i nastawił spory fontaż białego halsztuka. Niewielkiego wzrostu, wyprostowany, chudy i zwinny, począł obchodzić pokój bawialny i przygotowywać go ostatecznie do przyjęcia licznej kompanii. Przesuwał więc meble, wysuwając mniej dziurawe na pierwszy plan, a bardziej obszarpane lub zupełnie pozbawione obicia zostawiając po kątach. Niemal także miał roboty, nim wazonikami i firankami pozasłaniał papier, którym trzy szyby w bawialnym pokoju były zaklejone. Frenzelki z papieru, w które oprawione były świece, produkt gustu i przemysłu panny Zenobii, już były zrobione przed obiadem. Obejrzał je tylko pan Płachta, nastrzępił bardziej komilfo i symetryczniej poustawiał. Sporą trzaskę podłożył pod jedną nogę stołu przed kanapą, aby się nie kiwał; obejrzawszy jeszcze raz wszystko, kazał zakadzić zasuszonymi skórkami z jablek. Zadywany i spotniały Żorż związał się, jak mucha w ukropie, i cię-

gle dawał szturchańca stajennemu chłopakowi, który, przybrany w stare spodnie, jakiś odwieczny frak pana Płachty, z zachowaniem jednak własnych chłopskich butów, miał reprezentować lokaja i pomagać Żorżowi. W sieniach także stały już dwie kobiety ze wsi, które tuliły w siermięgach płaczące dzieci i oczekiwały smutno, po co je wezwano i co każą robić. Miały one pójść do kuchni i pomagać pomywać naczynia.

Wyszła nareszcie solenizantka w berecie na włosach poczernionych, o które brukały się jeszcze bardziej brudne już białe pióra. Do obszernego jej ciała przyklejała się aksamitna suknia, z krótkimi, buchastymi rękawami. Czerwone ręce nie miały rękawiczek, ale za to na rozległym jej gorsie zwijał się w przezroczystą mgłę stary, pożółkły szalik gazowy, okręcony dwa razy, i zdawał się reprezentować obłok, na którym malowały się żywe kolory tej korpulentnej Irydy.

Pani Płachcina rzuciła przymrużonemi oczyma wokół, podjęła palcem koniec nosa cokolwiek przyplaszczzonego, aby się wydawał zadartym, i podchodząc ku rozbitemu zwierciadłu i poprawiając jeszcze beret na głowie, zapytała:

— *Eh bien, Monsieur!* czy już wszystko gotowe?

— Już, już, moja nieoceniona! Co? komilfo, nieprawdaż?

— Tak, tak! — odpowiedziała — wszystko to twoje starania *Monsieur Płachta*, i twój gust.

— Najlepszy dowód gustu dałem lat temu..

— *Monsieur!* — przerwała obrażona pani Płachcina i, starając się wyrazić temu dać intonacją, jaką jej dawała ta pani, co niedawno wróciła z zagranicy — wiesz dobrze, że tych dat nie lubię. — Zaśmiał się pan Płachta, podłożył obie ręce pod poły fraka, podniósł zgrabnie lewą nogę w górę i, nachylając się, pocałował żonę w ramię pulchne i jeszcze białe.

— Ale gdzież to nasze nimfy? — zapytał potem.

— Zaraz się ukazą — odpowiedziała pani Płachcina, idąc z pewnem arystokratycznym chwianiem się ku drzwiom córek, a uchyliwszy je cokolwiek, zawołała:

— *Zenobi, Kryspin! en venez vous? ou non?*

— *Nous y venons, maman, toute-de suite* — odpowiedziały po francusku. Bo zacna pani Płachcina, dawszy córkom swoją tuszę i wdzięki, przekazała im także i swoją znajomość

francuskiego języka. Katowwały go one, jak mogły, w rozmowie między sobą, ale mówiły nim prędko i biegle i rozumiały się doskonale. Słyszając tę ich rozmowę, pan Jakób, który nie wszystko rozumiał, poklaskiwał; a pan Płachta, który nie rozumiał, pysznił się, że ma tak komilfo żonę, córki i przyjaciela domu.

Wyszły nareszcie panny Płachcianki w odpowiednim uroczystości stroju, którego opisywać nie myślę; zaczęli się oraz schodzić i zjeżdżać goście. Tu już pozwolą mi czytelnicy niektórych szczegółów, ponieważ one potrzebne będą do dalszego ciągu tej historii.

Wszedł najprzód pan Birucki z żoną i córkami. Był to szlachcic już niemłody, z ogromną facyatą, obsypaną pryszczami, z nosem zaczerwienionym, w szaraczkowej kapocie i z białym kapeluszem w rękę. Wąsy wielkie i gęste przykrywały wierzchnią wargę, a czupryna, dość nisko przycięta, posypana już była szronem. Wszakże pan Birucki miał tylko pozór straszny, zresztą był człowiek dobry, niekłótniwy i bał się dwóch rzeczy: próżnej butelki i żony. Posunął się staroświeckim susem do ręki pani Płachciny, palnął odpowiedni komplement, a potem z kolei cmoknął w rączkę pannę Zenobię i pannę Kryspinię. Obok niego była pani Birucka, chuda, mała, ale najeżonym czepcem i wielkimi kokardami i szlarkami podnosząca swoją figurę. Na sukni, zielonego podobno koloru, miała wielki szal pomarańczowy, który, chociaż był trzy razy okręcony na jej rękę, jeszcze jednak włókł się po ziemi. Pani Birucka dygnęła dość obojętnie solenizantce, bo cierpieć jej nie mogła, jako swojej najbliższej sąsiadki, co jej ta ostatnia z całego serca odplacała. Panny Płachcianki przywitały się także zimno z pannami Biruckimi, i widać było, że nieporozumienia matek przelały się i na dzieci. Dawniej, gdy były mniejsze, siedząc wszystkie cztery na płocie, odgraniczającym ich ogrody, paplały nieraz, jak srocзки, i lubiły się wzajemnie; ale od tego czasu, jak pani Płachcina dała fałszywy model na czepek pani Biruckiej, tak że zmarnował się tyfoń, z którego miał być zrobiony, i gdy nawzajem pani Birucka, odplacając za zdradę zdradą, dała swojej sąsiadce fałszywy przepis na baby, tak że mąka, jaja i drożdże poszły w niwecz, i państwo Płachtowie z tej okazji nie

mieli ciast komilfo, oziębiły się zupełnie sąsiedzkie stosunki, i tylko mężowie jeszcze utrzymywali pozorną zgodę. Wszakże mówiono już o tem głośno w Czaplincach, że burza co moment blizka wybuchnięcia.

Zaledwie te pierwsze powitania skończyły się, gdy zajęchała bryczka, w której był mężczyzna, kobieta i sześcioro małych dzieci, to na kolanach u rodziców, to stojących w kupce. Bryczka z tym pakunkiem wyglądała, jak gniazdo pełne wróbli. A gdy z niego wylazła ta płodna para i z całym swym pokoleniem weszła do pokoju, zrobił się ruch i wrzawa powstała. Jegomość zaczął ciąć niezmiernie głośno komplement solenizantce, dzieci mniejsze chimerowały, nie dawały sobie ucierać nosków, nie chciały się rozbierać i wołały do domu, a starsze rozbiegły się zaraz po pokoju, ruszając to to, to owo. Matka zażenowana piskliwym głosem zwolywała je; panna Zenobia, bojąc się o swoje frendzelki przy ścianach, które już jeden malec szarpał, krzyczała z daleka; a pan Birucki grubym głosem śmiał się z zamieszania, które się tak niespodzianie zrobiło. Nowo przybyły był to pan Bartłomiej Skrętski, z żoną Placydą, kobietą niebrzydka, tłustą, ale flondrowatą, którą zawsze nazywał przez pieszczoty Placusiu! Posiadał on także część w Czaplincach, a jako dalszy cokolwiek sąsiad pana Plachty, żadnych z nim nie miał zatargów. To tylko zarzucał mu nasz gospodarz, że mieć taką zgraję dzieci nie jest wcale komilfo. Wszakże nie tak się miały rzeczy z bezpośrednimi jego sąsiadami. Dziedziniec pana Skrętskiego był Scyllą i Charybdą, w którą ani gęś, ani prosię sąsiada nie mogło wpaść bezkarnie — przepadało bez wieści. Ale że pan Skrętski był krzykliwy, wymowny, umiał wyprzysiądz się i wyperswadować, nie można go było złapać na uczynku. Z tych powodów, chociaż gniewy wrzały ciągle, do otwartej kłótni nie dochodziło. Właśnie gdy pan Skrętski coś opowiadał, bo był także i nowiniarz, i zaklinał się na honor, na żonę i dzieci, że na własne oczy widział, co nie egzystowało wcale, weszli ci dwaj jego sąsiedzi: pan Zarzycki z synem i pan Cepowski z synem. Powinszowali solenizantce, pocałowali rzędem wszystkie damy w rękę, oprócz pani Placydy, i powitawszy gospodarza i pana Biruckiego, na sąsiada swego nie zwrócili żadnej uwagi. On też nawzajem nic sobie z nich nie robił

i dalej ciągnął opowiadanie. Tym sposobem dopełniła się kompania; schodzili się ubożsi i drobniejsi posiadacze, mający po dwóch i po trzech chłopów, ten w surducie, ten w kapocie, ten w starym i obwisłym fraku; zjawiały się i panie w perkalowych czepkach i panny w perkalowych sukienkach, w niebieskich i różowych trzewiczkach i z białymi chusteczkami na szyi. Ale pani Płachcina zawsze jeszcze kogoś wyglądała; panny Płachcianki co moment przecierały okno chusteczką i patrzyły na dziedziniec, a pan Płachta także co chwila zazierał do sieni. Pani Płachcina naturalnie wyglądała pana Jakóba, a pan Płachta i córki jego panów Remigiusza i Pawła Smyczkowskich, dwóch braci rodzonych, którzy, chociaż obok siebie w dwóch osobnych częściach mieszkali, wspólną mieli karczmę i za hałaburdów służyli, rzadkim u nas przykładem żyli w braterskiej zgodzie i dotąd jeszcze ani razu się nie pokłócili. Interesowali oni naszego gospodarza przez ten wzgląd najbardziej, że pan Remigiusz grał na skrzypkach i obiecał je z sobą przywieźć, a pan Paweł akompaniował mu na klarynecie. A chociaż klarynet nie wszystkie wydawał tony, ale że pan Remigiusz nigdy bratu nie ustępował prymu, jako starszy, mniej były rażące te luki i przerwy i wydawały się umyślnymi przestankami wtóru, dającego czas popisać się głównemu instrumentowi. Nareszcie spełniły się życzenia pana Płachty i jego córek, które oprócz nadziei tańca miały jeszcze inne nadzieje. Zajechała żółta bryczka na dwóch resorach, i panowie Smyczkowscy, jeden ze skrzypką w ręku, obwiniętą czerwoną chustką od nosa, drugi z klarynetem, okręconym także chustką i także czerwoną, razem z niej wyskoczyli i, wszedłszy prawie razem do pokoju, razem winszowali solenizantce, razem witali damy i razem mężczyzn, jak dwaj bracia zgodni, nierozdzielni. Dodać tu jeszcze należy, że panowie Smyczkowscy byli jednakowo ubrani w granatowych czamarkach z potrzebami, już wprawdzie nie nowych, ale jeszcze całych; jednakowo nosili wąsy i jednakowo straszne mieli bakenbardy. Chociaż utrzymują, że muzyka łagodzi charakter i obyczaje, wszakże tego jej skutku nie widać było na panach Smyczkowskich. Byli oba zuchwali, gwałtowni, gburowaci, a tem straszniejsi dla sąsiadów, że gdy jeden się kłócił, posyłał w ten moment po drugiego, i wówczas krzyczeli

ogromnie oba, tak że biedny sąsiad, zatknawszy uszy, uciekał do izby. Dla państwa Płachtów zaś byli ze szczególną grzecznością, bo podobno pan Remigiusz miał widoki na pannę Zenobię, a pan Paweł na pannę Kryspinę. Panowie Zarzycki i Cepowski młodzi patrzyli na to z zazdrością, ale nie śmieli jej okazać, raz dlatego, że widzieli wyraźnie, że panny słodko spoglądały na wosnatych muzykantów, a powtóre, że bali się któregokolwiek z nich zaczepić, bo gdy jeden postawił marsa i pokręcił wosą, drugi także brwi marszczył i z tejże samej strony wosą pokręcał.

Chociaż kompania jeszcze nie była kompletna, bo pan Jakób się opóźniał, ale że gospodyni spostrzegła, że ten i ów się ogląda ku drzwiom i chrząka, kazała podawać kawę. Panna Zenobia powtórzyła rozkaz Żorżowi, a przyzwawszy na pomoc siostrę, stanęły obie przy stoliku, nakrytym około pieca, na którym już stało na tacy kilkanaście filiżanek i świeże bułki, które panny nazywały *les bules*. Wkrótce przynieśli wielki imbryk z kawą i sporą rynkę ze śmietanką. Panny zajęte były nalewaniem, a obok nich stojący panowie Smyczkowscy to chwalili zręczność, to sprzeciwiali się z umizgami, wykradali cukier z filiżanek, tręcali stolik, żeby się kawa wylewała na miseczki, i inne równie miłe i dowcipne robili figle i zaczepki. Za to wszystko odbierali to wejrzenia długie i znaczące, to łyżeczką po rękę, to kilku kroplami śmietanki, ciśnionemi zręcznie, po twarzy. Patrząc na te manewra, panowie Zarzycki i Cepowski młodzi przechadzali się, wzdychając, ale przystąpić nie śmieli, bo się bali.

Wśród podawania kawy, które musiało trwać długo, bo filiżanek nie było i połowy tyle, ile gości, pani Płachcina, siedząca na kanapie, lekko krzyknęła. Wszyscy goście zwrócili się ku drzwiom otwartym i obaczyli pana Jakóba, a za nim chłopaka z pudełkiem od gitary.

Pan Jakób miał lat około czterdziestu; był średniego wzrostu i chudy. Cienkie nóżki jego okrywały wązkie kortowe szarawarki jasno-migdałowego koloru; czarny frak dawnego kroju z buchastymi rękawami zapięty był na jeden tylko guzik; wyglądała z pod niego paliowa kamizelka, a biała chustka na szyi, na ogromnej rogówce grubo i dosyć wolno okręcona, szła

pod same uszy i pozwalała brodzie swobodnie zanurzać się i pokazywać, co zawsze czynił w miarę wysokich i niskich tonów, jakie brał na gitarze. Oczy jego siwe umizgały się do wszystkich, nos długi sterczał naprzód, a że miał tylko sześć ogromnych zębów z przodu, gdy się śmiał, podobnym był do konia, kiedy poziewa. Czoło miał mocno na tył pochylone, a na głowie jego wznosił się czub, z tylnych włosów naczesany, który zakrywał łysinę. Wszakże czasem zapął muzyczny psuł i to rusztowanie kokieteryi, bo gdy pan Jakób, zmieniając raptem ton instrumentu, odrzucał mocno głowę na tył, i czub jego rozlatywał się na wszystkie strony.

Wszyscy prawie krzyknęli:

— A! pan Jakób! pan Jakób! — Widząc się tak pożądanym, Orfeusz czapliniecki przy drzwiach jeszcze zatrzymał się, prawą nogę wyciągnął naprzód, tak że palcami ledwie dotykał ziemi, a trzymając w lewej ręce miękki kastorowy kapelusz, zmięty i stary, chustką białą, którą miał w prawej, machał na tę i na ową stronę i tak witał kompanię. Uśmiechały się oczy pani Płachciny, a pani Birucka ruszała ramionami.

— Biniu! Piniu! ruci wasze całuję — rzekł pan Jakób, przechodząc koło panienek; a chociaż go nie zatrzymywały, dodał:

Lecz puśćcie mnie do mamuni,
Ażebym w dzień jej imienia
Złożył u nóg jej życzenia,
A potem dacie kawuni.

— A co? — dodał i, nie czekając, jaki efekt zrobi czworowiersz, bo pewnym go był naprzód, przystąpił do solenizantki i zaczął powinszowanie, w którym pełno było zdrobniałych i pieśzcotliwych wyrazów, które bardzo lubił. Zakończył rzecz całą taką improwizacją:

Dajże nam, Panie Boże,
Byśmy za rok o tej porze
Zeszli się na imieniny
Do Lucyny, do Lucyny.

— A co? — dodał, śmiejąc się i oglądając. Tym razem wszyscy huknęli brawo; pani Płachcina rozrzewniła się i wy-

ciągnęła rękę do pana Jakóba, a pani Birucka ruszyła ramionami.

Pan Jakób wniósł radość do całej kompanii, dawszy jej, że tak powiem, przedsmak tej estetycznej rozkoszy, jaką ją miał nakarmić. Radość ta powiększyła się jeszcze bardziej, gdy na tacy przyniesiono różnego kalibru kieliszki, i gospodarz ukazał się z butelką. A chociaż kobiety nie miały z czego się napić i musiały zaczekać, bo kieliszków dla całej kompanii nie stało, nie zważając na to, pan Jakób wystąpił naprzód i znowu zaimprowizował:

Dalej, panowie i panie!
Drogie to są imieniny!
Niechże, kto ma olej w głowie,
Duszkciem to wychyli zdrowie:
Zdrowie Lucyny!

krzyknął i potem dodał: — A co?

— Zdrowie Lucyny! — krzyknęli także wszyscy mężczyźni, wychylając kieliszki duszkciem. Kobiety siedziały cokolwiek niekontente, iż nie mogły pokazać, że mają także olej w głowie, i obraziły się na pana Jakóba. Wszakże niesprawiedliwie, bo pan Jakób, przez drogę układając swoją improwizację, nie mógł przewidzieć, że kieliszków nie stanie. Ale przyszła kolej i na damy; i one dostały po kieliszeczku, które potem poszły w niezaprzeczone władanie mężczyzn i póty się znajdowały w ich ręku, póki jednej, drugiej i trzeciej butelki nie wypróżniono. Wówczas pan Płachta szepnąwszy żonie, że tyle tylko wina zostało, ile potrzeba będzie na wychodnem, prosił, aby zabawiła czem innem kompanię, a on pójdzie i zajmie się, aby pierogi z serem i pieczone prosięta, z których miał się składać podwieczorek, podane były komilfo. Wówczas pani Płachcina, przyzwawszy do siebie pana Jakóba, z wejrzeniem pełnem przyszłości rzekła:

— En voulez vous chanter quelque chose, monsieur Jakub?

— Cóż mam robić? — rzekł artysta, ulegając gwałtowi, i poszedł do swojej skrzyneczki. Panny Płachcianki uradowane zaczęły klaskać rękami i postawiły krzeselko na środku pokoju; panowie Smyczkowscy pokręcali węża obaj z prawej strony, bo niebardzo admiirowali talent pana Jakóba, który także nie miał

ich za wielkich wirtuozów, a pani Placyda przywodziła do porządku swoich chłopczyków, którzy, wydzierając sobie kawałek bułeczki, poczuli się i wrzeszczeli. Ale nareszcie uspokoiło się wszystko; pan Jakób usiadł na swoim miejscu i, założywszy nogę na nogę, puścił biegłą rękę po strunach gitary. Gdy po kilku akordach zaczął tremolando i z czuciem, nie zważając na ruiny swego czuba, zapalał się, posuwał lewą ręką z góry na dół i z dołu do góry, i wydobywając z instrumentu dziwne jęki, publiczność dawała znaki ukontentowania ruszaniem głów i milczeniem. Zachęcony tem, pan Jakób przestał nagle, spojrzął po wszystkich i zapytał: — A co? — A nie czekając aplauzu, co zwykle czynił, bo go naprzód był pewny, po krótkim preludium zaśpiewał:

Te brzóz kilka, ten bieg wody!
Jak mi wiele przypomina!
Tu przeskakałem wiek młody,
Tu żyła niegdyś Lucyna.

Ostatnie dwa wiersze powtórzył po raz drugi, a ostatnie słowo wymawiając, przesłał ku solenizantce wejrzenie długie i mordercze. Tak było po każdej strofie i po każdej z nich szerokie łono pani Płachciny z gazowym szalikiem podnosiło się, a głowa jej z beretem i piórem schylała się na dół. Gdy skończył i zapytał: a co? wszyscy milczeli. Zachęcony tem pan Jakób rzekł: — Może państwu co nowego? a co? — i nie czekając próśby, bo jej był naprzód pewny, zaśpiewał:

Nie spostrzegłszy w krzaczku róży
Kupidyn, że pszczołka siadła i t. d.

A chociaż w ciągu piosenki pan Skrętski szepnął panu Bिरuckiemu, że coś nie ma wielkiego sensu, a panowie Smyczkowscy pokręcali wąsa, gdy jednak przyszło do tych słów ostatniej strofy:

Matka rzecze: jeślić synku,
Tak dolega żądło pszczole,
Cóż dopiero, Kupidynku,
Kogo strzałka twa zakole?

i gdy pan Jakób zawołał: a co? a co? cała kompania umilkła; pan Remigiusz zwyciężony spojrzął na pannę Zenobię, pan Pa-

wel na pannę Kryspinię, a panowie Zarzycki i Cepowski młodzi, czując prawdę ostatnich słów piosenki, westchnęli, ale bali się okazać, co czują. Czem znowu zachęcony pan Jakób już miał zacząć weselszą piosenkę i, zadzwoniwszy kilka razy po wszystkich strunach, zaśpiewał z silną przegrywką po każdym wierszu:

 Nie wiem, z jakiego powodu
 Drum, drum, drum, drum, drum,
 Poszła Filis do ogrodu,
 Drum, drum, drum...

Ale pierogi i prosięta przerwały jego muzyczny zapal, i gdy się na stole ukazały, nie pytano już, po co Filis poszła do ogrodu, i każdy ruszył do półmiska; a dzieci pani Placydy, pleszcząc w ręce i krzycząc różnymi głosami, które stłumiły przegrywki pana Jakóba, wołały: pirożki! pirożki!

Gdy stół sprzątnięto, panny Płachcianki, przystąpiwszy do panów Smyczkowskich, dygnęły, jak mogły najwdzięczniej, spojrzwały, jak mogły najwymowniej. Zrozumieli bracia Smyczkowscy tę niemą prośbę; grali, młodzież tańczyła, pan Skrętski wywijał także z solenizantką, a gdy który z panów Smyczkowskich szedł do tańca, wtenczas pan Jakób zastępował jego miejsce z gitarą. Dzieci pani Placydy spały po różnych kątach; pan Zarzycki z panem Biruckim rozmawiali o gospodarstwie; pani Birucka ruszała ramionami, patrząc, jak pani Płachcina wywija, Żorż zmęczony stał przy drzwiach, oparłszy się o ścianę, wyciągnąwszy naprzód nogi i nos palcem ucierał, a pan Płachta, patrząc na ten ruch i symetryę, cieszył się w duchu, że wszystko odbywa się komilfo.

F) Krewni, powieść (1857).

Osnowę powieści stanowią losy dwóch braci Zabużskich, Eugeniusza i Ignacego, których autor prowadzi od dzieciństwa aż do wstąpienia w wiek męski.

Straciwszy ojca, dostają się oni pod opiekę krewnych; Eugeniusz wychowuje się w domu kasztelana Zabużskiego, Ignacy zaś przyjeżdża do

Warszawy, aplikuje pewien czas w jakiejs komisyi, a wreszcie, zrezygnowawszy ze swego szlachectwa, bierze się do rzemiosła i, odbywszy praktykę u poczciwego stolarza, Niemca Hebla, zakłada własny warsztat.

Tymczasem Eugeniusz kocha się w córce kasztelana, Jadwidze, a odrącony przez dumną kasztelanową, wstępuje do wojska. Odznaczywszy się tam i otrzymawszy znaczny spadek po dalekim krewnym, uzyskuje wreszcie zezwolenie rodziców Jadwisi na połączenie się z nią węzłem dogonnym.

Podajemy poniżej scenę zapisu Ignasia na terminatora stolarskiego, jako jedną z najbardziej charakterystycznych w powieści.

803) *Tom VI, str. 273—282.* Drugiego dnia po skończonej korepetycyi z dziećmi wszedł bohater nasz do majstra, który, jak zwykle, siedział sobie w swoim kantorze, wyciągał swą lampeczkę wina i wypalał fajkę, którą z upodobaniem odlewał. Skoro go pan Hebel zobaczył, zawołał:

— Zamykaj drzwi, pan Ignacy! zamykaj!

Co gdy się stało i młody człowiek zbliżył się do niego, uspokojony takim przyjęciem, Niemiec wyciągnął do niego rękę i śmiać się zaczął tak serdecznie, że aż mu się brzuch trząsał, i łzy do ocz nabiegły. Potem, ukazując mu miejsce, dodał:

— No, usiadaj, panie Ignacy, usiadaj. Adwentowicz powiadał mi wszystko, i bardzo byłem ukontentowany, że się rzeczy tak dobrze udał, i że pan Ignacy z takie męstwo i energia wytrzymałeś ten ciężki frycówka. Teraz już wszystko będzie dobrze, tylko jeszcze ten komedya mojego Werkführer nie może tak prędko zupełnie ustawać, żeby się nie zrobiło znowu hałasu w warsztacie, i żebyś pan Ignacy miał spokojna głowa. A jutro będziemy pójść do Urzędu starszych, gdzie ja będę pan Ignacy zarekomendował i zapisał do lista terminatorów. Ten umowa między nami, który ja na mocy §§ 21 i 22 nasze Postanowienie obowiązany składać w Urzędzie starszych, aby jego warunki rozpoznał i zatwierdził, zabieraj pan Ignacy z sobą, przepisuj ładnie na dwa egzemplarze i poprawiaj tam polszczyzna, żeby nie był niemiecki, bo to ja sam skomponowałem, według te warunki, jak pan Ignacy sam chciałeś. A teraz ja kochany pan Ignacy będę uściskałem, że się nie zrażałeś i że nie gniewałeś się na moje chłopcy za to, że ja tak musiałem się z pan Ignacy obchodzić, i nieraz jemu przykrości zrobiłem.

I wzruszony Niemiec uściskał bohatera naszego, który, zrozumiawszy dobrze całą jego życzliwość i dobre chęci, podziękował mu serdecznie, wziął umowę i odszedł spokojny i wesół.

Zarząd starszych, ustanowiony na miejsce dawniejszych cechów, przeciwko którym tyle niesłusznych podnosiło się głosów, zatwierdzony postanowieniem księcia Namiestnika z r. 1816, urządzającym Zgromadzenia rzemieślnicze w Królestwie Polskim, składa się ze starszego, podstarszego i podskarbiego. Sekretarza, a raczej pisarza, naznaczonego od rządu, utrzymują majstrowie. Oprócz tego przydany jest komisarz municypalny, który na wszystkich sesjach jest obecny i ma głos stanowczy; starszy i podstarszy wybierani są co trzy lata przez całe zgromadzenie majstrów jednego rzemiosła, a w razach ważniejszych zasiadają jeszcze na sesjach delegowani Zgromadzenia, to jest kilku z tych, którzy w czasie wyborów najczęściej mieli kresek. Sesye zwyczajne, mające miejsce w mieszkaniu starszego, odbywają się co miesiąc, a sesye wpisowe, to jest takie, na których nowi zapisują się uczniowie, i terminatorowie, kończący swój termin, wychodzą na czeladników i odbierają tak zwane *Lehrbriefy*, co kwartał.

W owym czasie, o którym mówimy, starszym Zgromadzenia stolarskiego był reputowany i majątny majster Drylius, urodzony i wychowany w Warszawie i mający tu po ojcu zostawiony obszerny i zamożny warsztat.

Był to człowiek stary, z białą głową, rozumny, ale zapominający się, trochę pedant i lubiący perorować do chłopców, którzy się wpisywali, i do terminatorów, którzy na czeladników wychodzili. Miał on dwie przemowy, zdawna przygotowane, i które zwykle powtarzał. Zasadą ich były prawidła wspomnianego wyżej postanowienia i dziesięć przykazań. Jeżeli był w dobru usposobieniu i nie miał żadnego kłopotu na głowie, wtedy dodał czasem do swej przemowy co nowego, stosownie do okoliczności i stosownie do indywiduum, do którego mówił. Ale jeżeli był zakłopotany, miał jakiś ważniejszy interes, wtedy prawil malcom zwykle i przygotowane upomnienie, rodzaj wykładu dziesięciorga przykazań, a czasem, zapomniawszy się, mieszał jedną przemowę z drugą i, począwszy upominać uczniów, jak należy, kończył oracyę swą tem, co się do czeladnika stosowało

i dla niego było skomponowane. Tę słabość długiego i powtarzanego perorowania i te zabawne czasem jego roztargnienia przebaczali mu chętnie koledzy, szanując jego biegłość w rzemiośle, jego skrupulatność w zachowywaniu przepisów i uczciwość w szafunku składkową sumą, która w skrzynce rzemieślniczej, tak zwanej Ładzie zamknięta, znajdowała się w jego domu i pod jego głównym była dozorem. Wybierano go więc już po raz trzeci starszym, i pan Drylius tak już przywykł do tej godności, że w domu swym urządził pokój sesyjny, który innego nie miał już przeznaczenia i wyglądał jak biuro. Był więc tam na środku stół duży, zielonem suknem nakryty i otoczony krzesłami dla członków posiedzenia. Przy tym jego końcu, gdzie zasiadał starszy, podstarszy i komisarz municypalny, leżała Ustawa urządzająca Zgromadzenia rzemieślnicze w paradnej oprawie, i stał krucyfiks, który na zawsze Zgromadzeniu darował, z pięknem i bardzo dobrze wyrobionem wyobrażeniem Zbawiciela. Tam także był zbiór Dziennika Praw dla poradzenia się w razie wątpliwego przypadku, leżały książeczki, przygotowane dla wychodzących czeladników do zapisywania w nich opinii majstrów, u których mieli się zajmować, oraz trzy wielkie księgi. W jednej był spis wszystkich majstrów miasta Warszawy z oznaczeniem tych, którzy mogą i którzy nie mogą wyzwać czeladź; w drugiej spis wszystkich czeladników, z odróżnieniem tutejszych, tych, co przywędrowali z zagranicy, i tych, co się obecnie znajdują na wędrownicy; w trzeciej spis wszystkich uczniów, z oznaczeniem roku rozpoczęcia nauki i majstra, u którego każdy terminuje. W tymże pokoju, ozdobionym portretem monarchy i książąt namiestników królewskich, była z boku szafa, w której się znajdowały akta, umowy z rodzicami lub opiekunami uczniów, jakie się przy wstąpieniu na naukę składają, rysunki geselszyków, składane przez terminatorów przed wyzwoleniem, także rysunki lub modele majsterztyków, jakie wyrabiają czeladnicy przed wyjściem na majstrów, i lada czyli skrzynka Zgromadzenia, do której klucz ma starszy i podskarbi, a w której oprócz składkowych pieniędzy mieszczą się jeszcze wszystkie dawniejsze prawa, przywileje, urządzenia, tudzież wszystkie świadectwa uczniów i czeladzi. Przy tej szafie stał stolik sekretarza, mającego w swem ręku

pieczęć Zgromadzenia, na której hybel, węgielnica, cyrkiel, i pieczęć miasta Warszawy; a dalej, w głównym kącie pokoju, stała okryta pokrowcem paradna chorągiew majstrów, oprócz tej, jaka była złożona w kościele św. Jana, a z którą w czasie wielkich festynów i uroczystości występowali. Pod ścianą, naprzeciw szafy, były krzeselka dla majstrów, rodziców lub opiekunów, przyprowadzających do zapisu uczniów, a po obu bokach drzwi z jednej strony była ławka dla wyzwających się terminatorów, a z drugiej dla zapisujących się uczniów.

Gdy pan Hebel z bohaterem naszym weszli do sali, już sesya była zaczęta. Starszy, podstarszy, komisarz municypalny i dwaj majstrowie delegowani siedzieli z powagą na swych miejscach, przed stołem stał terminator, otrzymujący wyzwolenie, Lehrbrief i książeczkę, a pan Drylius do niego mówił:

— Na mocy tedy 46 § Postanowienia — 49-go pan starszy — podszepli podstarszy i komisarz municypalny — 46-ty § jest o chorobie ucznia.

— A prawda. O chorobie ucznia — mówił Drylius, zamysłiwszy się trochę.

— Otóż na mocy § 49 Postanowienia z r. 1816 ponieważ przez chorobę za wiele utraciłeś czasu, zdaniem jest urzędu starszych, abyś się jeszcze douczył.

— Ależ panie Drylius — rzekł mu, nachylając się z uśmiechem komisarz — on był zdrów, odpowiedział wszystkim warunkom § 49-go, okazał sztukę czeladniczą i ma list wyzwolenia, tylko niech złoży 20 złotych polskich do skrzyni, i z ojcowskim napomnieniem pana starszego niech idzie z Bogiem.

— A prawda, prawda. Trzeba go napomnieć — mówił starszec, uśmiechnąwszy się, i dopiero zaczął ułożoną przez siebie perorę, gdzie były wycytowane główne artykuły Postanowienia, gdzie upominał, żeby Fercentag¹⁾ odbył u swego majstra sumiennie, żeby się w żadne biesiady i traktamenta nie wdawał, żeby poniedziałków nie świętował, żeby po gospodach nie chodził, żeby pieniądze wzięte z góry pilnie odrabiał. Gdy przyszło do strony moralnej dającej się nauki, starszy trafnie i do-

¹⁾ Fercentag (Vierzehn Tage) czternaście dni obowiązkowych u majstra, który wyzwala.

tykalnie rozbierał dziesięć przykazań Bożych, a szczególnie dziewiąte i dziesiąte, które bronią pożądać żonę bliźniego i tego wszystkiego, co cudze. Przy końcu dodał: — No, teraz pocałuj znak męki Pańskiej, i gdyś już zapisany w księgę Zgromadzenia i masz swój Lehrbrief, opatrzony podpisem i pieczęcią urzędu, idź z Bogiem i pamiętaj, że gdziekolwiek będziesz, czy tu, czy gdzieindziej, żebyś nie zrobił wstydu majstrowi, który cię uczył, i urzędowi starszych, który cię wyzwolił. Wędrowka ci się przyda, nawet jesteś do niej obowiązany, pierwsze jednak lato siedź jeszcze tu i pracuj w naszych warsztatach, abyś nabył doskonałości, z którą będziesz mógł się popisać za granicą

Te wyrazy wędrowka i zagranica odwiodły jego myśl od rzeczy, o którą szło, tak, iż mu się zdało, że przed nim stoi jakiś wędrowny czeladnik, z których każdy na mocy §§ 68 i t. d. oddziału III-go winien się stawić w Urzędzie starszych. Zaczął go więc wypytywać, skąd i jak dawno przybył, czy ma *Kundschaft*, to jest świadectwo roboty, czy już poselał szafarza z gospody i czy się szykowanie¹⁾ majstra, u którego robił, odbyło.

Gdy się wszyscy uśmiechnęli i komisarz ostrzegł go, że to tutejszy wyzwoleniec, a nie przybyły skądinąd robotnik, stary uśmiechnął się także, machnął ręką i rzekł:

— Gdzie moja głowa! Tak to zawsze, kiedy kto ma kłopot w domu. No! idź już z Bogiem, kochanku! — dodał, obracając się do nowego czeladnika, który pokłonił się z pokorą starszym, pocałował podany sobie krzyż i odszedł uradowany.

Gdy przyszło do zapisu uczniów, Drylius, zwróciwszy się do ławki, na której siedziało ich kilku, a między nimi i nasz bohater, dal im znak, aby wszyscy przystąpili do stołu i złożyli swoje papiery, co gdy się stało, zaczęto je przezierać, i gdy z kolei dostał się do rąk członków urzędu starszych patent z gimnazjum lubelskiego, w którym Ignas z języka łacińskiego i greckiego, z literatury rosyjskiej i polskiej, z historyi i geografii, z różnych gałęzi matematyki i z fizyki miał stopnie celujące, wszyscy zaczęli na siebie spoglądać, kiwać głowami

¹⁾ Szykowanie, od *schicken* (poselać) znaczy wysłanie szafarza z gospody na wynalezienie majstra, któryby przyjąć chciał wędrownika.

i porównywać tak chlubne zdania z postawą dorodnego młodzieńca, który stał skromnie wśród malców, swoich kolegów drżących ze strachu i nie wiedzących, jak będą odpowiadać na zapytania.

— Jakto? — zapytał komisarz municypalny — pan chcesz terminować i uczyć się rzemiosła, mając taki patent?

— Takie jest moje postanowienie, panie komisarzu! — odpowiedział Ignasz, skłoniwszy się — i nie sędzę, aby mój patent mógł być przeszkodą.

— O! wcale nie — rzekł komisarz — tylko jabym myślał, że przy takim usposobieniu pan mógłbyś co innego robić.

— Pan Ignacy Zabużski, którego miałem honoru zarekomendować prześwietny Urząd starszych — rzekł, przystępując pan Hebel i oddawszy ukłon — już spróbował co innego, i ten jemu się nie spodobał. On wołał nasz kunszt stolarski, odbywał już u mnie czterotygodniowa próba i okazywał wielkiego ochota i usposobienie, który jemu przynosi zaszczytu.

— Czy pan masz rodziców? — zapytał komisarz.

— Nie mam ani ojca, ani matki — odpowiedział młodzieniec, na którego wszyscy spoglądali z największem zajęciem — i zależę tylko od siebie. Zresztą mam dwadzieścia jeden lat.

— Jeżeli tak, to niema o czem mówić — rzekł komisarz — a umowa, panie Hebel?

Hebel podał umowę, komisarz czytał, uśmiechając się, i oddawszy ją innym członkom Urzędu, dodał:

— To pan pisałeś?

— Ja, panie komisarzu.

— Widać — mówił komisarz — że pan niedawno hyblem pracujesz. Później nie będziesz pan tak ładnie pisał.

— Ale będzie zrobić prześliczny stół, na który skrybenty siedzą zgarbiony i ładnie piszą, żeby zarobić dziesiąta część to, co zarobił hybel — odpowiedział dotknięty cokolwiek stolarz.

— Nie ubliżam rzemiosłu, panie Hebel — rzekł komisarz głośnie — niech pan będzie spokojny. Proszę usiąść i zaczekać chwilkę. Pan Zabużski będzie zapisany, i umowa, choć niezwykła, ponieważ wyraża zgodę obu stron, a nie przeciwia się przepisom, będzie przyjęta. Wprawdzie naznaczyłeś pan tylko dwa lata nauki.

— Ja na moc 47 § nasze Postanowienie naznaczyłem taki termin — odpowiedział Hebel.

— I przez wzgląd na usposobienie ucznia i świadectwo takiego sumiennego majstra, jak pan Hebel — odezwał się Drylius — Urząd starszych przyjmuje ten skrócony termin. Czy panowie zgadzają się?

— Z tym warunkiem — rzekł jeden z delegowanych — że pan Hebel, którego świadectwo w zwyczajnym razie byłoby dostateczne, pozwoli na to, aby rysunek geselsztyku był zrobiony w Urzędzie, a sama sztuka żeby była wykonana pod dozorem jednego z delegowanych, gdy przyjdzie do wyzwolenia.

— Ja na ten warunek z całego serca się zgodziłem — rzekł Hebel.

— Tak, więc rzecz skończona — mówił starszy, ożywiony tą dosyć niezwykłą sceną, i pozbywszy się swego roztargnienia, kiwnął głową młodemu człowiekowi, który się uklonił z wdzięcznością, gdyż termin tak krótki był wyjątkiem i łaską, jakiej mało kto doznaje.

Gdy wszyscy uczniowie zostali zapisani, i opłaty do skrzynki rzemieślniczej po złotych polskich sześć od każdego złożone, starszy Zgromadzenia, odchrząknąwszy, zaczął z uśmiechem perore, którą już zapewne kilkanaście razy wygłaszał.

— No! chłopaki! wiecie, co się stało? Nie wiecie. Więc ja wam powiem. Oto z malców do niczego, strzelających bąki i zjadających darmo kaszę z mlekiem, staliście się uczniami uczciwego rzemiosła, które wam da chleb i wykieruje was na ludzi. Jak wyrośnięcie, jak wam Pan Bóg dopomoże, to takich, jak wy, trutniów i swawolników będziecie sami uczyć rozumu i ciągnąć za uszy do pracy i obyczajów; w czasie wielkich uroczystości stawać będziecie rzędem ze świecami przed wielkim ołtarzem; w czasie pięknych i świętych procesyi otaczać będziecie baldachim i iść tuż przy księdzu ze swoją chorągwią; a jak szanowne Zgromadzenie członków kunsztu stolarskiego was wybierze, będziecie tu zasiadać w Urzędzie starszych, przyjmować do terminu takie baranie głowy, jakie wy dziś macie, aby z nich zrobiły się głowy ludzkie, mające rozum i umiejące swój kunszt; będziecie wydawać czeladzi Lehrbriefy i książki, będziecie sami rozpatrywać majstersztyki i bieglego czeladnika, jeśli się wam

zdawać będzie, wykierujecie na majstra, a jeżeli nie, każecie mu jeszcze uczyć się dalej. A prawda, że to będzie bardzo ładnie, i trzeba starać się, żeby Pan Bóg dopomógł, żeby tak wszystko było?

— Prawda, pan starszy! — odpowiedzieli malce cienkim głosem. A Hebel, który już tę przemowę kilka razy słyszał, szepnął majstrowi, który obok niego siedział:

— Ten gawęda zabierał niepotrzebnie czas, a do mój uczeń, co ja go tu przedstawiłem, był taki stosowny, jak pięść do nosa.

Drylius, poprawiwszy się, mówił dalej:

— A wiecie, jakim sposobem do tego wszystkiego dojść, co tu powiedziałem? Nie wiecie? No, to ja was nauczę. Oto cały sekret w tem, że trzeba umieć dziesięć przykazań Bożych, co dzień je pobożnie odmawiać i dobre rozumieć, co każde przykazanie znaczy. Umiecie wy dziesięcioro?

— Umiemy, panie starszy! — odpowiedzieli malce śmieiej.

— Umiecie za panią matką pacierz — mówił Drylius. — Umiecie wypaplać piąte przez dziesiąte, jak szpaki, których nauczyli mówić: Dzień dobry, panie majster! a które nie wiedzą, co mówią, bo głupie i nie mają rozumu, tak jak i wy, choć macie rozum, ale jeszcze głupi i taki, że się zdał tylko na swawolę i psoty. Ale czy rozumiecie wy dziesięcioro? Nie rozumiecie. Otóż ja wam je wytłómaczę. Cóż to znaczy, co powiedziano na początku, przed pierwszym przykazaniem: Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z domu niewoli? Wiecież wy, co to jest dom niewoli? prawda, że nie wiecie? Słuchajcież, to ja wam powiem. Dom niewoli jest wtedy, kiedy się jeść chce, a niema za co kupić nawet obwarzanka, kiedy palce z butów powyłażą, a niema za co je załatać; kiedy na grzbiecie dziurawa i brudna koszula, i ciało świeci przez kapotę, jak przez rzeszoto, a tu choć płacz, niema skąd ani na koszulę, ani na całą kurtkę. Otóż dom niewoli jest to głód i nędza, które krępują zawsze człowieka, kiedy nic nie umie, i kiedy mu się nie chce robić. Jak się nauczycie kunsztu stolarskiego, będziecie pracowitymi i wiernymi swemu rzemiosłu, to was Pan Bóg z domu niewoli wyprowadzi, bo będziecie mieli co dzień sztukę mięsa z kwiatkiem i kufelek dobrego piwa; będziecie mieli ładne granatowe

surduły na niedzielę i święto, wyszuwaksowane i błyszczące buty, będziecie mieli porządną izbę, gdzie będą stoły, krzesła i kanapy, a jak któremu się poszczęści i nie przestanie pracować od rana do nocy, nie zważając, czy to poniedziałek, to będziecie mieli i kamienicę własną, i wtenczas wszyscy się wam będą kłaniać. Jeżeli zaś będziecie próżniaki i hultaje, to was wypędzą z rzemiosła, i znowu wpadniecie w biedę, która już was ćwiczyć i krępować nie przestanie, i tak zostanieie na zawsze w domu niewoli, z której Pan Bóg nie wyprowadza tych, co sami z niej wyjść nie chcą.

Gdy komisarz znudzony ziewał, a Hebel kręcił się, jak na śpilkach, spoglądając na swojego ucznia, i dziwiąc się, że z taką słucho uwagą, Drylius, odchrząknawszy, objaśniał dalej następne przykazania. Przy trzecim wytłómaczył im, jak należy dzień święty święcić, i stąd znowu była rzecz o poniedziałku; przy czwartym nauczył, kto w warsztacie zajmuje miejsce rodziców, i dlaczego trzeba słuchać majstra, majstrową i starszego czeladnika; piąte i szóste opuściwszy, mówił obszerniej o siódmym i ósmym, przytaczając rozmaite wypadki, tentujące do przywłaszczenia sobie cudzej własności, do świadczenia fałszywie, i zrzucania własnej winy na innych. Wykładał chłopcom, którzy go pilnie słuchali, że, jak się nie oduczą kłamać, co każdy z nich umie i za grzech nie uważa, to będą kraść i majstra, i fałszywie świadczyć przeciw czeladzi, i oskarżać niesprawiedliwie towarzyszków, że za to wszystko znowu zostaną wzgardzeni, znienawidzeni, wypędzeni z warsztatu i rzemiosła, i znowu popadną do domu niewoli, z którego już ich Pan Bóg nie wyprowadzi. Wszystkie te objaśnienia były proste, namacalnie wystawione, przykładami poparte, tak że się mogły na zawsze wbić w pamięć malców. A choć nudziły obecnych członków urzędu, jako rzeczy dla nich nienowe, i niecierpliwiły Hebla, który sądził, że uczeń jego, o którego rozumie wielkie miał pojęcie, zbyt liche o nich poważmie wyobrażenie, Ignas jednak słuchał z namiętnością zajęciem, i całą trudność i trafność takiego wykładu lepiej pojmując, niż jego majster, dla starego Drylius, którego okazała postawa, biała głowa i twarz pełna wyrazu miała coś znaczącego, szczerym przejął się szacunkiem.

Gdy sam spostrzegł, że wszystkich znudził, i sam się już zmęczył, obrócił się do komisarza i zapytał go naiwnie.

— A co, panie komisarzu, może już będzie tego dosyć?

— Oj! będzie, będzie, panie starszy! — odpowiedział urzędnik, powstając i wyciągając się nieznacznie. — Mam jeszcze jedną czynność, na którą muszę pośpieszyć.

— Zaraz więc skończymy — rzekł stary, i obracając się do malców, zapytał. — Cóż, zrozumieliście, co ja wam tu mówiłem?

— Zrozumieliśmy, proszę pana starszego — odpowiedzieli malcy chórem.

— A o czymże ja mówiłem? ty powiedz — mówił dalej, wskazując na jednego czarnookiego chłopaka, z zarostym gęsto łbem i z dołkami na czerwonych policzkach.

— O domu niewoli, proszę pana starszego — odpowiedział mały.

— A cóż to jest dom niewoli? — spytał starszy, uśmiechając się.

— Kiedy palce z butów wyłażą i łokcie z koszuli, i kiedy się jeść bardzo chce, a niema za co kupić obwarzanka — odpowiedział chłopak.

— A kiedyż to człowiek wychodzi z domu niewoli? — pytał Drylius.

— Kiedy ma co dzień sztukę mięsa z kwiatkiem, kufelek piwa, a potem własną kamienicę — mówił chłopak.

— A któż to daje człowiekowi to wszystko?

— Pan Bóg, który go wyprowadza z domu niewoli.

— A jakiegoż Pan Bóg wyprowadza z domu niewoli? — spytał stary.

— Takiego, co sam chce z niej wyjść, pracuje od rana do nocy, choćby w poniedziałek, szanuje i słucha starszych, nigdy nie kłamie, jak co złego zrobi, to się przyzna i nie zwala na drugich, a jak go po co poselają, a wyda dziesięć groszy, to nie mówi, że wydał piętnaście.

— No dobrze — rzekł stary ucieszony — chodźże tu teraz, przeżegnaj się, pocałuj Zbawiciela i proś go codzień, żeby ci dopomógł, a będziesz miał kamienicę.

Malec przeżegnał się, pocałował krzyż, potem rękę sta-

rego, który go pogłaskał. To samo zrobili inni malcy; Ignas na końcu przystąpił także i, z szczerem uczuciem pokory westchnawszy do Boga, żeby mu pomógł i utrzymywał jego wytrwałość, przyłożył usta do nóg Chrystusa, uklonił się wszystkim obecnym, którzy nań ze współczuciem spojrzeli, i przystąpił do pana Hebla, którego rękę uściskał i serdecznie mu za przymówienie się dziękował. Tak się skończyła sesja w Urzędzie starszych.



CIII.

CHOŁONIEWSKI STANISŁAW

(1791—1846).

W dziesięcioleciu 1840—1850 Kijów był ogniskiem literackim, skupiającym, zwykle podczas słynnych kontraktów, grono pisarzy polskich z Wołynia, Podola i Ukrainy, którzy tworzyli t. zw. plejadę ukraińską; zbierali się tu Henryk Rzewuski, Michał Grabowski, ks. Hołowiński, Kraszewski, Aleksander Przeździecki, Tytus Szczeniowski, Konstanty Świdziński i kilku innych. Należeli wszyscy do obozu konserwatywnego. Jedną z najświetniejszych gwiazd tej plejady był ks. Stanisław Chołoniewski. Organem jej głównym był zachowawczy, a nieraz wsteczny, »Tygodnik Petersburski« J. E. Przeclawskiego. Ale ks. Chołoniewski, chociaż zbliżony pod względem przekonań swoich do t. zw. »koteryi Tygodnikowej«, czyli »pentarchji« (Rzewuski, Grabowski, Hołowiński, Przeclawski, Szyrmer), w której rej wodził tryumwirat: Rzewuski, Grabowski, Hołowiński, a z Kraszewskim, przez lat parę należącym do tej koteryi, i Hołowińskim utrzymywał serdeczne stosunki, — trzymał się na uboczu, a nie dzieląc ultrakonserwatywnych, reakcyjnych i klerykalnych zasad tryumwiratu, do »Tygodnika« nie pisywał i pisać nie chciał.

Stanisław Myszka Chołoniewski pochodził z rodziny możnej, używającej tytułu hrabiowskiego, skoliigaconej z rodami arystokratycznymi. Był synem Rafała, miecznika kor. i Katarzyny z Rzyszczewskich. Urodził się na Podolu, w dziedzicznym Janowie (w pow. lityńskim, nie daleko Winnicy), dnia 23 marca 1791 r. Matka odumarła go niemowlęciem: zginęła w płomieniach, od przypadkowo zapalanej sukni. W domu ojca, (którego wizerunek duchowy z miłością w wspomnieniach swoich syn naszkicował), otrzymał wychowanie francuskie, to też języka ojczystego w dzieciństwie się nie nauczył i dopiero w latach dojrzałych, dzięki usilnej pracy, ovladnął nim należycie. Gdy wyszedł już z lat pacholecych, kierownictwo nad jego wychowaniem objął

b. rektor szkół Winnickich, Jan Witwicki, ojciec również w Janowie urodzonego poety, Stefana Witwickiego, który później w pismach swych tak wytrwale przeciwko francuzomanii w domach polskich występował.

W wieku młodzieńczym przyjaźnił się Chołoniewski ze sławnym uczonym, Janem Potockim. »Jedna z postaci, najpierwszą rolę grająca w mojej dziecinnej fantazyi«, pisze w wspomnieniach swoich Chołoniewski, »była Jana Potockiego, krajczyca koronnego... Pierwszy kawaler maltański w purpurowym mundurze, z złotemi, prześlicznemi haftami i szlifami, który przybył do Janowa... Z rodzicielską niemal troskliwością patrzył na moje prace szkolne i dalsze kroki mojej młodości. Zdawał się być członkiem rodziny naszej. Całe zimy w Janowie przesiadywał z furgonami ksiąg swych erudycyjnych... Tyle miał prostoty przy swej obszernej nauce, iż się nie wahał przybierać sobie za słuchacza swych żmudnych badań archeologicznych mnie, którym zaledwie 20-ty rok wieku liczył i wcale co innego podówczas miał w głowie. Czytał te swoje pisma przede mną, żakiem, skromnie i poważnie, jakby przed jakim członkiem instytutu paryskiego, a ja słuchałem z trwogą, jak student, który się lęka, aby go nie zapytano o pensę, której się dobrze nie nauczył«. (»Obrazy z galerii życia mego«. Str. 181—189). Wkrótce, w listopadzie 1815 r. losy kazały Chołoniewskiemu być świadkiem strasznej śmierci Potockiego w niedalekiej od Janowa Uładówce.

Studia uniwersyteckie odbył Chołoniewski w Wilnie, na wydziale prawnym; zaciągnął się następnie do wojska polskiego (Ks. Warszawskiego), wystawiwszy swoim kosztem chorągiew, której został porucznikiem; ale służba jego wojskowa niedługo trwała; wrócił do rodzinnego Janowa, zapewne na żądanie ojca, który marzył o dyplomatycznej karierze dla syna. Po ustąpieniu rozbitej w r. 1812 armii francuskiej, wysłano młodego Stanisława, w sprawach rodzinnych, do Petersburga; obraca się tu w salonach arystokratycznych, zawiązuje stosunki w sferach wpływowych i wstępuje do loży masońskiej. W Janowie, dokąd po krótkim (6-miesięcznym) pobycie w stolicy Imperyum powrócił, postanawia, pod wpływem zapewne rodziny, rozpocząć zabiegi o przyjęcie do służby dyplomatycznej przy którejś z ambasad rosyjskich. W tym celu jedzie pod koniec r. 1815 do Warszawy, gdzie wówczas bawił cesarz Aleksander, a w roku następnym ponownie do Petersburga. Ale starania Chołoniewskiego odniosły tylko ten skutek, że został przyjęty do biura ministra spraw zagranicznych, Capo d'Istria, i otrzymał urząd kamerjunkra dworu.

W czasie pobytu w Petersburgu dokonywać się zaczęła w Chołoniewskim przemiana duchowa — zwrot w kierunku religijnym; przyczynił się do tego w niemałym stopniu wpływ Józefa de Maistre'a, z którym w Petersburgu Chołoniewski obcował (zob. wstęp do »Snu w Podhorcach«), i Zacharyasza Wenera, głośnego romantyka niemieckiego, autora t. zw. Schicksalstragödie, wówczas już eksprotestanta

i księdza katolickiego, gościa w dworze Janowskim i niebawem kanonika honorowego kamienieckiego; pod wpływem Wenera zerwał Chołoniewski z masoneryą.

Ponowny wyjazd Chołoniewskiego do Warszawy w r. 1818, gdzie wówczas przebywał cesarz Aleksander, i starania jego o posadę dyplomatyczną przy poselstwie rosyjskiem w Paryżu, nie uwieńczone zostały pomyślnym wynikiem; wrócił więc do Janowa, ale niebawem podążył do Francji. W Wiedniu obcował młody hrabia z Wernerem i redemptorystą O. Hofbauerem; w Paryżu uczęszczał na zebrania towarzyskie i literackie w salonach arystokracji polskiej, francuskiej i rosyjskiej; poznał Chateaubrianda; był prezentowany na dworze królewskim. Życie salonowe nie przeszkadzało jednak Chołoniewskiemu oddawać się studjom naukowym i uczęszczać na wchodzące w modę w owe czasy konferencye religijne. Poznał wtedy ks. Lamennais'go, ale wpływowi jego się nie poddał.

Więść o chorobie ojca zmusiła Chołoniewskiego do przyspieszenia wyjazdu z Paryża. W Wiedniu, gdzie się zatrzymał, otrzymawszy uspakajające listy z Janowa, poznał i zaprzyjaźnił się z Fryderykiem Schległem i zawiązał z nim później ożywioną korespondencyę. Odwiedził w Gracu przyjaciela Wenera, spędzał z nim długie godziny na dysputach i w towarzystwie jego odbył wycieczkę do Wenecyi i Padwy.

Wróciwszy do Janowa pod koniec lata 1819 r. zastał ojca dogorywającego. Po jego śmierci objął Chołoniewski zarząd Janowa i oddał się zajęciom gospodarczym, ale te nie odpowiadały jego skłonnościom. Pod wrażeniem obłóczyn siostry, Cecylii, która wstąpiła do zakonu Wizytek w Wilnie (1820), i jej szczęścia, dojrzało w Chołoniewskim postanowienie »pełnego poświęcenia się Bogu«. Powziąwszy zamiar wstąpienia w Rzymie do seminaryum, udaje się w r. 1821 przez Kraków do Wiednia, aby się tu przygotować do przyszłych studyów teologicznych. Zbudzona w Krakowie, (gdzie poznał Woronicza), z uspienia miłość do ojczyzny uświadomiła w Chołoniewskim obowiązek udoskonalenia się w języku polskim, dawniej zaniedbanym; rozczytuje się też teraz w Skardze i Kochanowskim. Pobyt w Wiedniu przeciągnął się do r. 1824; w ciągu tego czasu, dla poratowania nadwątłego zdrowia, letnie miesiące spędzał w miejscowościach kuracyjnych (w Karlsbadzie, Eger, Cieplicach). W Dreźnie poznał się z Goethem. Śmierć przyjaciela, Wenera, (1823) do głębi go poruszyła.

Przed ostatecznym wyjazdem do Rzymu wrócił jeszcze Chołoniewski do kraju. Aż do r. 1827 przebywał w Janowie, odbywając od czasu do czasu dalsze wycieczki, czy do Kamieńca, czy na kontrakty do Kijowa. Utrzymywał przyjacielskie stosunki z Henrykiem Rzewuskim, który niebawem miał zostać mężem blizkiej kuzynki Chołoniewskiego, Julii Grocholskiej. (Mikołaj Grocholski, gubernator podolski, był jego szwagrem).

Wybrał się wreszcie Chołoniewski na wiosnę r. 1827 w podróż do Rzymu, gdzie stanął pod koniec października tegoż roku. Jako kamerjunker cesarski i hrabia, miał on i w Rzymie, jak przedtem w Petersburgu i w Paryżu, wstęp do wszystkich salonów arystokratycznych i był na audyencji u papieża (Leona XII-go). W grudniu tegoż jeszcze roku wstąpił młody dyplomata do Akademii Duchownej (Academia Ecclesiastica). Dnia 1-go listopada 1829 r. wyświęcony został na kapłana.

W r. 1830 zbliżył się ks. Chołoniewski u Ankwiczków i zaprzyjaźnił z Mickiewiczem, który z nim i z Henrykiem Rzewuskim, jak to wiemy z listu jego (z dn. 19 listop. 1830) do Odyńca (Koresp. I) najczęściej w Rzymie obcował. Ówczesny nastrój religijny w Mickiewiczu zbudził w znacznym stopniu ks. Chołoniewski; pod jego wpływem poszedł poeta do spowiedzi i otrzymał od niego na pamiątkę dnia tego »Naśladowanie Chrystusa«. Jak głęboki wpływ wywarł wtedy na Mickiewicza, widać to z późniejszego listu poety z Drezna do Julii Rzewuskiej (żony Henryka), z dn. 28 marca 1832 r.: »...mnie braknie mocno ks. Stanisława. Słusznie pisał, że nie lęka się o trwałość naszej przyjaźni; ale przyjaźń jest za słabym wyrazem, mam dla niego wdzięczność i uwielbienie. Wiele mu winienem, wiele pociechy, wiele chwil szczęśliwych i nowy widok świata, ludzi i nauk...« (Koresp. Mick. t. IV, 115 ¹).

Co do innych znajomości rzymskich, w bliższych stosunkach pozostawał Chołoniewski z głośnym malarzem Overbeckiem i z słynnym kaznodzieją, generałem teatynów, o. Venturą, z którym odbył wycieczkę do Sycylii. W lipcu 1832 r. otrzymał stopień doktora teologii, a wkrótce potem został szambelanem papieskim. Papież Grzegorz XVI pragnął zatrzymać zdolnego kapłana w Rzymie. Perspektywa przyszłych dostojęństw nie powstrzymała jednak Chołoniewskiego od postanowienia wyjazdu z Rzymu i powrotu do kraju, któremu odtąd pracę swą poświęcić zamierzył. Dnia 13 października opuścił stolicę papieską i podążył do rodzinnego Podola. W Medyolanie złożył wizytę Manzoniemu. W ostatnich dniach r. 1832 stanął w Janowie.

Rozpoczął teraz Chołoniewski pracę nad »religijnem odrodzeniem Podola« — wszystkie siły swoje i zdolności poświęcił całkiem spełnieniu tego zadania; przewano go też, z powodu tej gorliwej działalności apostolskiej, »podolskim apostołem«, a biskup kamieniecki, Mackiewicz, mianował go dziekanem katedralnym kapituły kamienieckiej. Z zamiłowaniem oddał się kaznodziejstwu; niebawem zasłynął jako mówca, po wygłoszeniu mowy żałobnej na pogrzebie Michała Grocholskiego, ojca żony Henryka Rzewuskiego. Mianowany kaznodzieją przy katedrze w Kamieńcu, Chołoniewski przebywał odtąd w tym mieście, na lato zjeżdżając do Janowa.

¹) Listy Mickiewicza do Chołoniewskiego zostały zniszczone.

Dla pokrzepienia pogarszającego się zdrowia, miesiące letnie w r. 1836 Chołoniewski spędził w Odessie i używał tu kąpieli morskich; z Odessy, śladami Mickiewicza, odbył wycieczkę do Krymu. Poznawszy dokładnie warunki, w jakich się znajdowali katolicy, osiedleni w tak zwanej Nowej Rosyi (gub. Chersońskiej, Jekaterynosławskiej i Krymskiej), częstokroć pozbawieni opieki duchownej, wygotował w r. 1837 dla generał-gubernatora noworosyjskiego, hr. Woroncowa, memoriał w języku francuskim o potrzebach Kościoła katolickiego w koloniach krymskich, a dla poparcia tej sprawy udał się w roku następnym (1838) do Petersburga, ale starania jego nie powiodły się; jakby w rekompensatę za trudy i zawód, otrzymał natomiast nominację na kanonika-prałata katedry kamienieckiej.

W r. 1840 należał Chołoniewski do deputacyi szlachty podolskiej, wezwanej do Kijowa dla złożenia hołdu cesarzowi Mikołajowi. W osobnym dzienniku opisał, jak zwykle dla siostry Cecylii, w sposób dosadny uroczystą prezentacyę cesarzowi szlachty trzech gubernii (podolskiej, wołyńskiej i kijowskiej), świetnie charakteryzując wielkorządcę Bibikowa i szlachtę ówczesną. Po śmierci biskupa Mackiewicza (w styczniu 1842) kapituła kamieniecka obrała Chołoniewskiego wikaryuszem kapitularnym, t. j. rządcą dyecezyi, ale rząd tego obioru nie zatwierdził, kanonik bowiem nie był u niego *persona grata*; to też ominęła go infuła biskupia; mimo to pozostał administratorem nieurzędowym dyecezyi. Ciężka praca w trudnych warunkach, na stanowisku odpowiedzialnem, podkopała słabe już zdrowie gorliwego kapłana. Nie mogąc odbyć zaleconej mu przez lekarzy kuracyi w Gräfenbergu, z powodu odmowy ze strony rządu co do wydania mu paszportu zagranicznego, Chołoniewski opuścił pod koniec czerwca 1846 r. Kamieniec, aby odpocząć w Janowie. Tu zmarł dnia 3 września tegoż roku, nie dokończywszy zaczętej w Kamieńcu parafrazy hymnu »Magnificat«, która miała być jakby testamentem dla rodaków. Zgasłego druha pożegnał serdecznym nekrologiem Kraszewski (w »Athenaeum« 1846, VI).

Apostolska praca w ostatnim okresie życia (1833—46) niewiele pozostawiała Chołoniewskiemu czasu dla zajęć innych, wszystkie mimo to chwile wolne poświęcał literaturze. Jeszcze przed wyjazdem do Rzymu przetłómaczył słynne dzieło Lamennais'go: »Essai sur l'indifference en matière de religion«, ale pracy tej nie ogłosił drukiem, język bowiem polski pozostawiał w niej wiele do życzenia; dopiero po studiach w Wiedniu i Rzymie opanował mową ojczystą i styl sobie wyrobił.

Przełożywszy szereg dzieł i rozpraw treści religijnej (zob. niżej bibliogr.), jakby dla nabycia wprawy we władaniu polszczyzną, (z tych niektóre wydał osobno), wystąpił Chołoniewski w szranki literatury ówczesnej z artykułem, który przesłał Kraszewskiemu do »Athenaeum«; ukazał się tam bezimiennie w r. 1841 p. t. »Kilka słów o polemice chrześcijańskiej w przedmiotach moralno-filozoficznych«. W roku

następnym (1842) »Athenaeum« pomieściło utwór, który rozgłosił nazwisko Chołoniewskiego i odrazu wysunął go w pierwsze szeregi pisarzy ówczesnych polskich. Utworem tym był »Sen w Podhorcach«. W postaci powieści fantastyczno-alegorycznej chłoszcze Chołoniewski objawy w karykaturę przechodzącego romantyzmu, ultraromantyzm w literaturze i w życiu, występując przeciwko »rozhlukaniu« wyobraźni i uczucia. Był to utwór oryginalnie pomyślany, głęboki, pobudzający do myślenia, słowem niepospolity. To też wrażenie wywarł niezwykle; krytycy wyróżnili go odrazu, tylko »Biblioteka Warszawska«, której tendencya utworu nie podobała się, napadła ostro na autora w imię hasła »sztuka dla sztuki«. Grabowski z zachwytem pisał o »Śnie« w »Tygodniku Petersburskim« i stawiał Chołoniewskiego jako pisarza na jednym szczeblu z Rzewuskim. Utwór ten doniosłością treści poruszył umysły; autor otrzymywał nawet krytyki listowne. Kraszewski zaprasza go gorąco do dalszego współpracownictwa w »Athenaeum«; Hołowiński, Grabowski, Rzewuski czynią zabiegi, aby pozyskać Chołoniewskiego dla »Tygodnika Petersburskiego«; do pisania do tego pisma nie dał się Chołoniewski namówić, natomiast z Kraszewskim wszedł w bliższe, przyjacielskie stosunki; posyłał mu od czasu do czasu artykuły do »Athenaeum«, odwiedził w Gródku młodego pisarza (1842), stał się niejako jego protektorem; on to pierwszy wprowadził do salonów arystokracji naszej powieści twórcy »Poety i świata«; na jego prośbę pisuje (1842) do »Pielgrzyma« Ziemięckiej. Z Kraszewskim przez lat cztery (1842—46) aż do swej śmierci prowadził Chołoniewski ożywioną korespondencyę.

W kilka miesięcy po »Śnie w Podhorcach« Kraszewski pomieścił w swem piśmie (1843) artykuł, skreślony w formie listu do Redaktora, jako wstęp do »Dwu listów hr. Józefa de Maistre'a z r. 1820 do Jana Potockiego, krajczyca koronnego«; Chołoniewski, z okazji Jana Potockiego, scharakteryzował tu dwa światy u nas — »salonowy francuski« i »niesalonowy rodzinny«; świetnej charakterystyki Jana Potockiego we wspomnieniu p. t. »Proroctwo hr. Józefa de Maistre'a w Petersburgu, przesłane Janowi Potockiemu r. 1810, sprawdzone w Uładówce r. 1844«, dla »Athenaeum« prawdopodobnie przeznaczonem, nie zdołał już autor za życia ogłosić. Pisma te, wraz z wzorowanymi na »Soirées de Saint-Petersbourg« (1821) »Wieczorami i przechadzkami Rzymskimi«, które się ukazały w »Athenaeum« już w kilka lat po śmierci autora (1852), świadczą o znacznym wpływie De Maistre'a na umysłowość Chołoniewskiego.

W głośnym zjeździe w Cudnowie, u Rzewuskiego, w czerwcu r. 1841, (na którym roztrząsano sprawę założenia czasopisma, prowadzonego w duchu słowianofilskim, mającego pokierować opinią społeczeństwa polskiego na Litwie i Rusi), Chołoniewski udziału nie wziął. Gdy po ogłoszeniu pierwszego tomu »Mieszanin obyczajowych« Bejły, koterya Tygodnikowa rozprzęgła się, a Rzewuski z Grabowskim ściślej się złączył; gdy Grabowski wysłał do Bibikowa słynny swój

memoryał, (którego w 30 lat później ogłoszona broszura K. Krzywickiego jakby echem była), który wywołał takie zgorszenie w społeczeństwie polskim na Ukrainie, wraz z programem założyć się mającego dziennika polskiego, w duchu rządowym redagowanego, a Rzewuski próbował wciągnąć Chołoniewskiego do tego przedsięwzięcia, autor »Snu w Podhorcach« do usiłowań duumwiratu »skrzywienia opinii narodowej« ręki przykładać nie chciał.

Pobudzony przez list, w którym Kraszewski wyraził swoje skrupuły co do wartości »pobożności« jenerała Kunickiego, jak ją Rzewuski przedstawił w »Listopadzie«, Chołoniewski napisał »komentarz na dewocyę p. Kunickiego«, który jako otwarty list do Kraszewskiego ukazał się w »Bibliotece Warszawskiej« w r. 1846 (p. t. »Dewocya p. jen. Kunickiego«). Wystąpił w nim przeciwko obskurantkim poglądom Rzewuskiego, który chciał być bardziej katolickim, niż teologowie katoliccy, potępiał rozumowania, a bezmyślne praktyki dewocyjne jen. Kunickiego pochwalał; przytem nazwał »pobożność« Kunickiego »nabożeństwem babki kruchcianej, nie umiejącej swego katechizmu«, »turecką dewocyą«, dowodził, że rozum ludzki jest tak samo darem Bożym, jak wiara, że nim zatem gardzić nie należy, że »istotę ziemską, skazaną na bezwładność rozumu, obdarzać nazwą c z ł o w i e k a niepodobna«, słowem, że rozum z wiarą doskonale się godzić mogą. (Pogląd taki na stosunek wiary do rozumu głosił również Gołuchowski). Rzewuski nie dał jednak za wygraną i umieścił, w ironicznym tonie napisaną, namiętną replikę w »Pielgrzymie« (1846) Ziemięckiej, ale już Chołoniewski na nią odpowiedzieć nie mógł, rozstał się bowiem wkrótce z życiem.

To, co z pism swoich zdołał ogłosić drukiem za życia po »Śnie w Podhorcach«, nie wywarło już takiego wrażenia, jak ten utwór, pomimo, że były pomiędzy nimi tak niepospolite rzeczy, jak »Dwa wieczory pani starościny Olbromskiej« (1843), w których w formie alegorycznego opowiadania, włożonego w usta profesora krakowskiego Szopowicza, wyszydza uroszczenia »czystego rozumu«, usiłowanie zachwiania wiarą, a więc filozofię niezależną od religii, jak »Artykuł nadesłany. Obraz z galeryi życia mego«, ogłoszony (w Lipsku w r. 1846) przez Stefana Witwickiego, który w przedmowie podniósł wysoko ten »Obraz«, zestawiając go z »Poselstwem« Brodzińskiego i »Pamiętkami Soplicy«; z ironią przedstawia tu w nim Chołoniewski, jak poziomo dzisiejsi Polacy różnych dzielnic i prowincyi dawnej Polski pojmują to słowo »ojczyzna«, jak dla nich wymowne tłumaczenie znaczenia ojczyzny przez Skargę jest »ideologią«.

We wszystkim niemal, co Chołoniewski utworzył, (niektóre rzeczy wyszły już po jego śmierci, w dwu zbiorach: »Pisma pośmiertne« i »Obrazy z galeryi życia mego«) uwidocznili się umysł niepospolity i wyobraźnia poetycka; uderza w nich nieraz niezwykłość pomysłu. Głębokie myśli i uczucia ubierał on najczęściej w formę belewrystyczną; utwory tej kategorii miały być jakby rozdziałami pa-

miętnika, napisanemi dla siostry Cecylii; nazywał je »wyjątkami z dziennika« lub »obrazami z galeryi życia swego«.

Wśród pisarzy prowincyi południowo-wschodnich b. Rzeczypospolitej — Wołynia, Podola i Ukrainy — w dziesięcioleciu 1840—1850 był Chołoniewski niewątpliwie najgłębszym umysłem i najoryginalniejszym talentem.

BIBLIOGRAFIA.

A) Pisma, wydane osobno: »Nauka przy pogrzebie JW. Michała Grocholskiego« (Berdyczów 1833). »Narzędzia męki Chrystusowej przez ks. J. E. Veith... Tłumaczył z niemieckiego ks. Stan. Chołoniewski« (Wilno 1842). »Słowa nieprzyjaciół Chrystusa« (przez ks. J. E. Veith... Wilno 1843). »Nowenna przygotowująca do uroczystości Przen. Serca Jezusowego, ułożona z dzieła włoskiego O. Karola Borgo, T. J. przez ks. Stan. Choł-go«. (Nowe wyd. Poznań 1874). »Sen w Podhorcach«. Wyciąg z dziennika życia mego. (Wilno 1842. Odb. z Athenaeum 1842, III). Nowe wyd. Kraków 1888. (Nowa Bibl. Uniwers.) z wstępem A. S. Olechnowicza. »Dwa wieczory pani starościny Olbromskiej« Wilno 1843. (Nowe wyd. zob. niżej). »Artykuł nadesłany. Obraz z galeryi życia mego« (poprzedzony listem Stefana Witwickiego do wydawcy). Lipsk 1846. »Odpowiedzi ks. Stanisława Chołoniewskiego na dwa pytania: 1) Co znaczy słowo »postęp ludzkości« w duchu nauki Chrystusowej? 2) Jak zabezpieczyć sobie zbawienie w stanie małżeńskim?«, »Słowik i róża« legienda wschodnia, (Wilno 1847). »Pisma pośmiertne« 2 tomy. (Lipsk 1851). (Zawierają: »Wyjątek z dziennika życia mego, Treść pamiętników niektórych przyjaciół młodości mojej, Memoranda czyli żywot Stęplowskiego, Wody Krzeszowickie, Magnificat, Soliloquia pana Baltazara Radwańskiego, Wiersze, Wieczory i przechadzki rzymskie«). »Obrazy z galeryi życia mego«. Wydał ks. Jan Badeni T. J. (Kraków 1890). Zawierają, oprócz przedruku »Dwu wieczorów starościny Olbromskiej«, dwie rzeczy poraz pierwszy z rękopisu wydrukowane: a) »Potajemne usiłowania skrzywienia opinii narodowej w prowincjach naszych za pomocą peryodycznego piśmiennictwa«. (Dotyczy działalności w tym kierunku Rzewuskiego i Grabowskiego); b) »Proroctwo hr. Józefa de Maistre w Petersburgu przesłane Janowi Potockiemu r. 1810, sprawdzone w Uładówce r. 1841«. (Charakterystyka Jana Potockiego). »Opis podróży kijowskiej odbytej w r. 1840«. Z rękopisu wydał dr. Antoni J. (Lwów 1886). Odb. z Przew. nauk. i liter. »Kazania«. Wydał ks. J. Badeni. 2 t. (Kraków 1888. — W czasopismach ukazały się: w »Athenaeum«: »Kilka słów o polemice chrześcijańskiej w przedmiotach moralno-filozoficznych, przez kapłana katol. dyecezyi kamieniecko-podolskiej« (1841, VI); »Wiersz Michała Anioła Buonarottiego« w przekł. Chołon. (Sonet: »Pędząc

burzliwe morze łaknące zbawienia«...» (1842 III); »Do redaktora »Athenaeum« list pierwszy, jako wstęp do »Dwu listów hr. Józefa de Maisre'a z r. 1810 do Jana Potockiego, krajczyca koronnego«. Przekład z franc. (1843, I); »Wieczory i przechadzki rzymskie« (1851, III); w »Pielgrzymie«: »Uwagi o stylu pod względem psychologicznym« (1842, III); »O wpływach racjonalizmu na tegoczesną literaturę i sztukę« (1842); w »Bibliotece Warszawskiej«: »Dewocya p. generała Kunickiego«. Wyjątek z listu do J. I. Kraszewskiego (1846, II, 451—478). — W rękopisie pozostały: »Ćwiczenia duchowne św. Ignacego« (1837) (w wyj.). Przekład Lamennais'go »O obojętności w kwestyach religijnych«; w r. 1821 wydrukował Chołon. jeden rozdział (jak twierdzi dr. Antoni J.) p. t. »Wstęp do dzieła o obojętności w przedmiocie religii«; książeczka należąca do rzadkości bibliograficznych. Przekład ustępów ascetycznego podręcznika hiszp. jez. Rodriguez'a. Przekłady: Traktatu o Aniołach z Summy św. Tomasza; Wykładu Pieśni nad pieśniami Tirinusa; Rocznicy 20 listopada 1837 Goerresa; Listu o Stolicy św. Lacordaire'a, i szeregu artykułów relig. z czasopism francuskich i niemieckich. »Korespondencya w sprawie wychowania klasztornego panien«. »Dzienniczek podróży do Kijowa w r. 1827«. »Dyaryusz podróży z Kamieńca Podol. do Rzymu« (1827). »Dzienniczek podróży do Sycylii« (1831). »Dzienniczek podróży w głąb Krymu« (1836); wyjątki z tych dzienników podał w dziele swoim ks. Badeni. »Considérations sur la prospérité morale des colonies de la Nouvelle Russie« (1837).

B) O Chołoniewskim pisali: obszerny życiorys osnuty na materiałach rękopiśmiennych: korespondencji, pamiętnikach i t. p. napisał ks. J. Badeni p. t. »Książd Stanisław Chołoniewski« (Kraków 1888. odb. z »Przegl. Powsz.«) str. 380. Kraszewski: »X. Stanisław Chołoniewski (Nekrolog)«. Athenaeum 1846, VI, (przedruk w jego »Okruszynach« Warsz. 1856, wyd. nowe, Lwów 1876). Dr. Antoni J.: »J. I. Kraszewski i ks. Stan. Chołoniewski«. »Przew. nauk. i liter.« (1878 i odb.). Tenże: »Ks. St. Choł.« Kron. Rodz. 1885 (życiorys wyjęty z poprzedniego artykułu, zmieniony). Tenże: »Z teki autografów. Listy ks. Ign. Hołowińskiego« (do ks. Choł.). Kron. Rodz. 1883. Tenże: Z korespondencji J. I. Kraszewskiego (Listy do Choł.). Niwa (1888, I). Tenże: Choł-go »Opis podróży kijowskiej, odbytej w r. 1840« Przew. nauk. i liter. (1886 i odb.). Tenże: »O. Klemens Hofbauer i ks. Zacharyasz Werner« (»Kron. Rodz.« 1886). E. Heleniusz: Pamiętki polskie z różnych czasów. Kraków 1882, t. II. (»X. St. Choł. i jego pisma mało znane«). Chmielowski: »Henryk hr. Rzewuski«. Nasi powieściopisarze, (I, 1887, str. 196 i 206—209). Art. o Choł. w »Encykl. Kościelnej«. — O pismach Choł. pisali: Grabowski M. o »Śnie w Podhorcach« w »Tyg. Petersb.« 1842. Tenże: Korespondencya literacka II, 225—9 (o »Śnie w Podh.«). F. Zieliński o »Śnie w Podh.« Bibl. Warsz. 1842, IV, 618—622. Tyszyński: Rozbiory i kryt. I, 115—126 (o »Odpowiedziach«). Chmielowski: »Choł. St.« w Enc. powsz. ilustr.

Struve: »Historia logiki jako teorii poznania w Polsce«. (Warszawa 1911). Ks. Gabryl: »Idee filozoficzne ks. Stanisława Chołoniewskiego«. Ateneum kapłańskie. (1911, listop.) (Krańcowy sąd o utworach Chołoniewskiego wypowiedział Edw. Dembowski w »Piśmiennictwie polskim« 1845, str. 377).

A) Sen w Podhorcach (1842).

(»Athenaeum« 1842, III).

Chołoniewski uważa ten utwór poniekąd za rozdział z pamiętników swoich, dlatego dał mu określenie: »Wyciąg z dziennika życia mego«. W tej formie napisał i inne swoje utwory powieściowe. — We wstępie autor powiadamia czytelnika, że opowiadanie jego jest jakby stwierdzeniem myśli, którą w młodości swojej usłyszał w Petersburgu z ust Józefa de Maistre'a, że »samotność jest tylko dobra z Bogiem«. Opowieść rozsnuwa Chołoniewski w formie sennego widzenia, które miał mieć w starym zamku Rzewuskich w Podhorcach; przedstawia, posługując się alegoryami, walkę, jaka się toczy w duszy młodzieńca, 22-letniego hr. Zygmunta, potomka Ossolińskich, między tradycją narodową i sumieniem a rozkielnianą fantazją i namiętnością, które w poezję polską doby romantyczno-bajronicznej i w ducha polskiego zaszczerpił duch germański, romantyzm angielsko-niemiecki i filozofia niemiecka. Pierwiastki narodowe, dobre, uosobił autor w postaciach kanclerza Jerzego Ossolińskiego i hetmanów Stanisława Koniecpolskiego i Rewery Potockiego, którzy się opiekują Zygmuntem; ducha obcego, niemieckiego, pierwiastek zły, który zatrul ducha młodzieży polskiej w pierwszej połowie XIX w., wcielił w postać Mefistofelesa, »szatana-Niemca«.

Podajemy początek rozdziału pierwszego.

804) *Str. 11—61.* Roku 18.. wracałem z Galicyi na Wołyń i przybyłem na nocleg do Podhorzec. Ilekroć trafiło mi się przejeżdżać przez tę majątność Rzewuskich, zawsze mnie skorciło odwiedzić piękną kaplicę architektury włoskiej i stary zamek. Znany ci on dobrze ze swoich wielkich, niewygodnych, zimnych pokojów, wspaniale marmurami ozdobnych, z sufitów obyczajem włoskim urządzonych i z rozmaitej swej staroświecczyzny. Była to późna jesień, dzień przykry, dżdżysty, prawdziwie listopadowy; lecz że dość wczesnie przybyłem na nocleg, udałem się do kaplicy. Ta była zamknięta. Przykro było patrzeć na jej piękną facyate, już dość blizką upadku. Da-

lej poszedłem do zamku; lecz i ten był ciągle niezamieszkały. Zastałem na dziedzińcu tegoż samego starego burgrabiego, który mnie przed kilką laty wszędzie oprowadzał. Skoro mnie postrzegł, dobył z kieszeni pęk kluczków i otworzył drzwi od głównego wchodu. Luboć nie raz jeden oglądałem osobiwość pałacu tego, przecież nie miałem serca odrzucić uprzejmej posługi, o którą nie prosił, więc udałem się za nim do zamku.

Przeszliśmy wolnym krokiem, nigdzie się nie zatrzymując, wszystkie większe i mniejsze komnaty aż do sali, w której, nie wiem, czy przypominasz sobie, znajduje się ów sławny okrągły stół z Oleska, na którym zaraz po narodzeniu się swoim król Jan III był położony. Zachodzące za krwawy obłok słońce przykry rzucało blask przez okopcone okna na ściany czarnego marmuru. Przewodnik mój i ja nic nie mieliśmy sobie do powiedzenia, bo on już kilka razy wypowiedział mi się był z wszystkiego o tym zamku, a ja wcale nie byłem w humorze rozmawiania, tak mi się smutne myśli snuły po głowie. Niedawno bowiem ojciec mi drogi przeniósł się do wieczności, a te marmury czarne przywiodły mi na myśl moją ciężką stratę. Tylkom raz zapytał burgrabiego:

— Dawno tu już panowie nie byli?

— Dawno, panie! — odpowiedział.

— Nieboszczyka p. hetmana nie znałeś, kochanku?

— Nie, panie.

— Ani pani hetmanowej?

— Nie znam jej, panie.

— A pana Waclawa?

— I tego nie znam, bo ich noga tu nie postąpiła, od kiedy mnie tu na burgrabiego przysłano, to jest od lat dwunastu.

Więc już go dalej nie pytałem i jakeśmy przyszli, takeśmy we dwóch wyszli z pałacu milczkiem, jak ludzie idący procesją na eksportacji jakiej. Okazawszy potem wdzięczność moją staruszkowi, wróciłem spiesźnie do kwatery mojej w gospodzie. Mocno zimnym wiatrem przejęty, po krótkim pacierzu udałem się na spoczynek.

Ale daremnie. Sen od powieki coraz dalej ulatywał, a mnie się po głowie poczęli snuć wszyscy mi znajomi Rzewuscy, z których niektórzy pomarli, a drudzy nie są w stanie ten zamek

od ruiny zachować. I myśl moja przebiegała po wszystkich starych zamkach polskich, które trafiło mi się w życiu widzieć; niektóre z nich zupełnie w gruzach, jak tęczyński i ostrogski, inne nawpół opuszczone, jak Ojców i Piaskowa Skala, albo rzadko zamieszkałe i psujące się, jak ten podhorecki. Od pałaców przeleciała potem do rodzin świetnych Polski, a i w tych niemale się ukazywały ruiny. I hetmanów koronnych i litewskich żadnego już nie było przy życiu. Ze starych wojewodów, kasztelanów i urzędników koronnych ledwie kilku byłbyś się dopytał po wszystkich częściach szerokiej Polski; a ja, który podówczas dwadzieścia kilka lat wieku liczyłem sobie, w młodości mojej znałem dobrze dwóch hetmanów, p. Branickiego i p. Rzewuskiego, i wielu jeszcze senatorów i urzędników wielkich dawnej Rzeczypospolitej. Króla tylko polskiego nie trafiło mi się widzieć, luboć jeszcze panował w dzieciństwie mojem, lecz nigdy tego nie żalowałem, od kiedym go pierwszy raz ujrzał na portrecie w hiszpańskim płaszczyku, jak komedyanta ustrojonego. »Wszystko to upadło i do grobu się schowało«, pomyślałem sobie — i dość było na to ćwierć wieku. Od starych panów polskich dalej jeszcze posunęła się fantazyja moja do młodych ich wnuków i prawnuków, których także niemale znałem. A tu jeszcze większe ruiny czyli metamorfozy, sam nie wiem, jak je nazwać. Zupełnie inny strój, inna mowa, choć nibyto polska, inne zamiary, myśli, pisma, działania, luboć wszystkie po tejże samej ziemi blakające się. Lepsze czy gorsze, trudno wyrokować, — w czem lepsze, w czem gorsze, Bóg to jeden wie. Dość, że zupełnie inne, i na to dość było jednej tylko ćwierci wieku! I poczęło mi w wyobraźni sennej bardzo się coś plątać. Kiedy między innymi stanął mi przed oczyma hetman Wacław Rzewuski z brodą, co w Kałudze Psalmy pokutne w więzieniu, polskim rymem spisywał, a przy nim syn jego, także hetman, Seweryn, z peruką, we fraku żółtowigoniowym, a za nim syn jego Wacław, emir arabski, który rad stroił się i modlił po turecku. Pan wojewoda kijowski, Franciszek Salezy Potocki, co nie tylko nie umiał po francusku, ale nawet w języku polskim, wcześniej przygotowane na różne materye przez własnego sekretarza listy, niby dyktował jemu, pociągając węża, a za nim prawnuk jego, młody hr. Choiseul, co lubo w Polsce się chował i rodził,

tylko po francusku mógł być dobrze od swoich ziomków zrozumianym. Albo p. w. kanclerz litewski, Lew Sapieha, sławny statysta i orędownik mądrego prawodawstwa, a za nim ks. Aleksander, Sapieha także, co w zawoju chodził i pozyskał¹⁾ obywatelstwo ateńskie wtedy, kiedy jeszcze Grecya swobody wiadomej zażywała pod buńczukiem paszów tureckich.

Wiele takich i innych podobnych mar migało mi się przez głowę. Jak tu było spać? Więc się przewracałem, krzakałem i gniewny byłem na siebie, żem niepotrzebnie laził do tego smutnego pałacu podhoreckiego, który mnie takiej bezsenności nabawił. Wtem wesele żydowskie poczęło się przesuwac przez ulicę, i dały się słyszeć cymbały, skrzypka i bębenek z dzwonekami, a że to było zdala, dźwięk ten zmieszany dziwne jakieś wrażenie na mnie sprawił. Skrzypka fałszywą kwintą płakała niby nad bachurem moremorejne²⁾, że on dotąd na Jerozolimę powędrować nie mógł; cymbały wesoło skakały, jak stare żydowice w karmazynowych ferezyach po błocie, przed państwem młodem, a bębenek jak szatan z tego wszystkiego drwić się zdawał. Więc to mnie rozśmieszyło i uspokoiło drażliwość nerwów. Jeszcze przez kilka minut jakieś szczątki wysokich murów, ułamki baszt, jakieś odwieczne ogromne portrety różnych starych hetmanów, kasztelanów i urzędników koronnych uwiijały mi się po głowie, a wszystkie niedokończone i spelzłe, to tego, to owego kawał, jakby płatki jakie migaly się przed okiem, chciały się skleić w jedną całość, a nie mogły i póty się na powietrzu kołysały, póki na te wszystkie skłócone głosy, barwy i figury dobrze już snem obciążona powieka zapadła, jak kurtyna na scenę teatralną po ukończonym niedorzecznym balecie...

.....Oto obiciem starem pokryta ściana przy mojej głowie poczęła zwolna z węglów swoich się dobywać i bez najmniejszego łoskotu coraz dalej a dalej odsuwać się, szarzeć, nakoniec znikła zupełnie w cieniu, jako nie mająca już na czem się

¹⁾ Ks. Aleksander Sapieha wszystkim współczesnym znany pod nazwą *Citoyen d'Athènes*, równie zapalony miłośnik helleńskiej ziemi, jak hr. Wacław Rzewuski arabskiej; oba także przywieźli do swego kraju ślepe zamilowanie stroju i obyczajów zwiedzonych przez siebie krain.

²⁾ Wyrazy żydowskiego dyalektu, znaczą znakomitego rodu dziecię.

oprzeć; albowiem wkoło niej i wysoko nad nią obszerna wysoka komnata ukazała się, niepewnem jakimś światłem oświetlona, tak, że w niej z początku nie wyraźnie dostrzec nie było można. Pomyślałem sobie: »nie głupi ja przypatrywać się temu apartamentowi, żebym się wybił ze snu«. Lecz coraz wyraźniej przedmioty poczęły na jaw występować, i blask jakiś niemily przedzierał się do źrenicy mojej, lubo miałem powieki zamknięte; zniecierpliwiony więc, przez sen, rzekłem sobie: »Pewnie służący nie zagasił dobrze ognia na kominku, i jakaś tam głównia żarzy się i razi mnie oczy, a ja chcę twardo zasnąć«. Ale i chłód jakiś, jak z wielkiego kościoła, z owej strony niby to otwartej dochodził do mnie, więc znów postanowiłem przewrócić się na drugi bok, ku stronie izby mojej karczemnej, mówiąc sobie: »nie chcę ja tego paradnego pokoju, wolę mój ciepły kątek«. Ale skusiła mnie ciekawość przypatrywać mu się cokolwiek przed przewróceniem się na drugą stronę. I spojrzałem przez sen, a powieki były zamknięte. Miły Boże! cóżem zobaczył? Wielki, wysoki pokój sypialny, cały adamaszkiem karmazynowym wybity. Po prawej stronie dwa staroświeckie ogromne okna, szczelnie okiennicami zaparte, nad którymi adamaszkowe firanki tegoż koloru były zapuszczone. Po lewej, wysoki z czarnego marmuru komin z zegarem kształtu antyków. Nad nim z niewielkich tafel układane zwierciadło weneckie, w ramy srebrne misternej filigranowej roboty oprawne. Z jednej strony komina, bliżej mego łóżka, dwa ogromne obrazy od sufitu do podłogi ścianę zakrywały, z drugiej strony dwa drugie tejsze samej wielkości ukazywały się. Odźwierki okien, drzwi i podłoga były czarnym marmurem wykładane. Sufit z tafli snycerskiej roboty, mocno położony. Przy ścianie poprzecznej, naprzeciw miejsca, w którym się znajdowałem, stało łóżko staroświeckie z baldachimem i firankami jedwabnymi karmazynowymi, które podniesione były. Na łożu nawpół siedział, nawpół leżał młodzieniec jakiś w stroju niedbałym. Przed nim stolik, na którym lampa, słabe rzucająca światło, i kilka leżało ksiąg rozwartych i papieru kilka arkuszy porozrzucanych. Zdawało się, że pisaniem był zajęty. Wszystko to mi się dość niewyraźnie ukazało dla braku żywszego światła. Wtem na zegarze wybiła dziesiąta, głównia na kominie z trzaskiem wielkim prysnęła, przeraźliwym długim piskiem jęk-

nęła i tak się dzielnie zajął ogień, że cała komnata nagle jakby pochodniami oświecona została. A mnie taka opanowała ciekawość, że już nie pomyślałem o przewróceniu się na drugi bok, tylko lepiej jeszcze przez sen oczy otworzyłem, a powieki były zamknięte. Chciałem przedewszystkiem młodzieńcowi się przypatrzeć, na łożu spoczywającemu, ale nim tam doleciał wzrok mój, pomimowolnie zatrzymały go najbliższe dwa obrazy, obok komina umieszczone. Pojrzą na pierwszy. Hetman w. Stanisław Koniecpolski w całej swej osobie, w szubie aksamitnej czerwonej, sobolami podszytej i tylko w górze pętlicą złotą spiętej. Spodem żupan popielaty bez pasa, także był złotymi, lecz mniejszymi pętlcami spięty od dołu; stał on przy stoliku z budyganem w ręku. Wzrost wspaniały, broda powiewna, ciemna, wzrok i cały wyraz twarzy zupełnie odpowiedny temu, co o nim wojsko jego mawiało: że pan Stanisław wprzód uderzy, nim wymówi. Przedni pendzel włoski. Malarz coś mu takiego włożył w usta, co oczywiście ostrzeżało, że to człowiek musi być przy trudnej mowy i popędliwy. Nabawiwszy się tym pięknym obrazem, już chciałem zwrócić wzrok do młodzieńca na łożu. Ale pan hetman oczyma błysnął na mnie, cisnął je potem na swego malowanego kolegę i zdał się mówić: »Poznałeś mnie, patrz więc teraz na sąsiada, a nie tam, gdzie nie trzeba«, a uczynił to z tak groźną fantazją, że ani pomyślałem o nieposłuszeństwie. Więc patrzałem, jak pan hetman kazał, na kolegę. Także hetman wielki, Rewera Potocki, stał obrócony twarzą do p. Koniecpolskiego, podobnie ubrany jak tamten, tylko że miał feryzę ciemno orzechowego koloru z pętlcami złotymi, rysiami podszytą, a spodnią suknię kanarkowej barwy materyalną; oba mieli głowę odkrytą, a broda p. Potockiego więcej się srebrzyła wiekiem; trzymał rękę jedną spartą na karabeli; nie widać było przy nim buławy; oba także w żółtych butach stali. Ale co za twarz u tego p. hetmana Rewery!! blada, wyschła, czoło zorane marszczkami, brew chmurna, obwisła, oczy ciemne, zapadłe, lecz pełne tajemnego ognia, usta cierpkie i przycięte. Podobne oblicze zdarzało mi się widzieć u wodzów pendzla Van-Dycka, niby ciche, spokojne i zimne, wszakże łącno zgadnąć można było, że pod tym lodem wrą wulkany. Zdawało się mówić: »Tylko-no mnie waść zrób co nieprzyzwoitego, a zobaczysz«.

Patrzałem więc nań z większym jeszcze strachem, jak na p. Koniępczkiego. Najgorzej mię wzrok jego nękał, bo zdawał się mi wypalać źrenice poprzez powieki zamknięte; nakoniec ośmieliwszy się, rzekłem sobie: »Ej! nie będę na niego patrzył, i cóż mi zrobi?« Ledwie te słowa w duchu sobie powiedział, p. Rewera rzucił na mnie wzgardliwym okiem, a w tem spojrzeniu te zrozumiałem słowa: »Nie możesz wytrzymać wzroku mego, niewieściuchu, więc pocóżeś tu przybył, patrz mi na tamtego« — i skinął na obraz, na przeciwnej ścianie między oknami umieszczony, któregoś dotąd nie dobrze mógł dostrzec. Był to znowu rozkaz, któremu przeciwieć się ani mi na myśl przyszło.

To zaś było osobliwszem w tym mimowolnym przeglądzie tej galeryi obrazów, że choć żaden głos o słuch mój zewnętrzny nie obijał się, przecieź za każdym którejkolwiek z tych postaci skinieniem, słowa odpowiednie wewnątrznie w duchu moim jak najwyraźniej brzmiały, lubo ja silnie uszy do poduszki tuliłem.

Więc *nolens volens* zwróciłem oczy, gdzie mi kazano, i tem się pocieszałem przynajmniej, że p. Rewera Potocki pozwolił, abym mu się więcej nie przypatrywał.

Boże mój! cóż to za prześliczny Polak!! (*pomyślałem sobie*). Także to był pan wysokiego wzrostu, wspaniała figura od stóp do głowy. Oczy miał ciemno błękitne i niewypowiedzianie szlachetnym sposobem wesołe. Wszystko w nich było, co tylko wielka dusza pozazdrościćby mogła. Uprzejmość, wyrozumiałość, bystrość dowcipu, bez najmniejszego cienia obludy, rozsądek, stateczność bez uporu, jakieś spokojne męstwo, z głębokich źródeł serca płynące, wszystkie te promienie duszy naprzemiany odbijały się w jego wzroku, jak w czystem zwierciadle, i wielki rzucały blask na wypogodzone czoło, a żaden z nich zbyt nie raził. Całe to oblicze zdawało się powleczone cichością serca, jakby jaką srebrzystą zasłoną. Inne rysy twarzy były także bardzo piękne. Czupryna podgolona trochę, włosy ciemnego, także wąsy, broda niezbyt długa i nieco kędziorem wijąca się. Cera świeża, trochę ogorzala, lekki rumieniec, okazywały jeszcze wielką czerstwość wieku, lubo gdzieś tam srebrzył się włos na głowie i koło ust wielce powabnych. Co się zaś tyczy sztuki malarskiej, ten obraz był najdoskonalszym ze wszystkich, w tym pokoju będących. Strój

zaś był taki (równie bogatego w życiu mojem nie trafiło mi się widzieć, ani na obrazach, ani w istocie): Krój kontusza był z czasów zygmunto-wskich. Podobnie się nosił stary wojewoda Kicki, któregom pierwszy raz widział r. 18. na pokojach u cesarza Aleksandra. Kontusz zaś tego pana na obrazie był koloru jak śnieg białego, w kwiateczki także białe wyrabiany z misternej jakiejś materyi, mnie nieznanym, wiem tylko, że nie bławatnej, poły miał z przodu dobrze rozchodzące się, wyloty w tył zarzucone. Żupan karmazynowy z precudownego bławatu perskiego rozlicznemi wzory i barwy mienił się; pas po żupanie tegoż samego koloru, z tyfetyku perskiego wielkiej ceny Buty skórzane ponsowe, tak przychodzące do nogi i stopy, iż rzekłbyś, pończoszki jedwabne, podkówki złote. Lecz nadewszystko ozdoby z drogich kamieni były w oczy i prawie raziły swym blaskiem. Wielki soliter jak orzech włoski błyszczał w spince u szyi. Z jednego boku kontusza wszystkie haftki były brylantowe, a z drugiego każdy guz była jedna perła urykańska między dwa brylanty osadzona. Guzy zaś żupana wszystkie były także wielkie dyamenty. Równej zaś wielkości kamienie jak klejnot w spince okrywały całą rękojeść karabeli i część pochwy, reszty bowiem nie można było dostrzec pod zapuszczoną połą. Dziwnie pięknie blask tych wszystkich brylantów odbijał się na czerwieni spodniej szaty. Na piersiach miał gwiazdę także z ogromnych soliterów. Zrazu nie mogłem dostrzec, jaki to był order, tak mi klejnoty wzrok ćmiły; kształt przytem gwiazdy nie był podobny do tych, które mi były znane. Potem, przypatrzwszy się lepiej, ujrzałem na krzyżu gwiazdy te słowa, także brylantami wysadzone: *Vicisti vince*¹⁾, i przypomniałem sobie, że Władysław IV ustanowił order na cześć Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny, który, nie pamiętam już dla jakich powodów, nie przyszedł do skutku, bo dopiero król Sas utworzył order Orła białego z godłem: *Pro fide, lege et rege*. Piękny ten pan na obrazie miał jedną rękę wspartą na pasie, a w drugiej

¹⁾ Napis na krzyżu być miał: *Vicisti vince* (zwyciężyłeś, zwyciężaj), a na częściach łańcucha orderowego, z liter imienia Maryi kształtnie połączonych, składać się mającego: *Virtus unita* (Cnota połączona). Kwiatkowski, »Dzieje narodu polskiego za panów. Władysława IV« p. 133.

trzymał lekką czapkę z białym drobniutkim barankiem, piękne pióro czaple w kokardzie dyamentowej osadzone było.

Taka to była powierzchowność jego. Jakże nie miała mię zachwycić, zwłaszcza po tej przerażającej postaci pana hetmana Rewery. Z tem wszystkiem i jego wzroku nie mogłem dobrze wytrzymać, nie żeby mi był srogim, lecz że tak mocno w serce moje zdawał się wpatrywać, iż przed nim nie tam ukryć nie mogłem. Więc niespokojny byłem i czułem przez sen, jak mi twarz płonie, policzki były jak w ogniu. A kiedy myśl taką chciałem przepędzić, to znowu oczy te głęboko do głowy mi wnikały i długiem pojrzeniem przepatrywały tam nie tylko wszystkie myśli moje, ale same nawet zawiązki myśli, i słyszałem je w duchu wszystkie jaśnie wysłowione, na co sam nigdy-bym był się nie odważył; coraz się więcej mieszałem, a przecie nie było w mojej mocy odwrócić od siebie tych przenikliwych oczu, lubo powieki moje były zawarte. Nakoniec pan ten wspaniały, jakby litując się stanu mego, westchnął i sam już wzrok zasmucony obrócił ku młodzieńcowi, którego z początku chciałem poznać, ale mi tego nie dozwolono. I wnet takowe w sobie posłyszałem słowa: »Nieboże! pragniesz widzieć tego tam spoczywającego młodego panicza, który nas tak wielką troską nabawia, bo waść pono także do jego cechu należysz. Patrzże więc, pozwalam. Być może, że cudzej przypatrując się niedoli, pomyślisz o skutecznem zaradzeniu własnej. Jeno życzę ostrożnie i przyzwoicie się znajdować i dobrą straż przy ustach postawić, bo waść tu jesteś w poważnej komitywie. Mniejsza o mnie (*i tu się uśmiechnął*), ale za panów hetmanów koronnych nie ręczę, tak się więc sprawuj, żebyś czego nie oberwał, mój bracie«. Ubodły te słowa moją pychę, i począłem pod nosem sobie mrużyć: »Ktoby tam na wasze gderania zważał!! a potem czy to ja nie śpię? czyż to nie jest sen i nic więcej?« Mocniej więc jeszcze przytulilem twarz do poduszki i starałem się w tem przekonaniu utwierdzić, rozmyślając sobie, jakim sposobem takie widzenie nocne mogło mi się skleić w mózgowicy. Aha! już rozumiem, powiedziałem sobie. Portrety pp. Koniecpolskiego i Potockiego takiusieńkie znajdują się w sali pałacyku w Krzeszowicach, koło Krakowa, tam bawiłem więcej miesiąca i codziem przypatrywałem się tym pięknym obrazom, nie dziw

więc, że mi w fantazyi odżyły. Ale ten magnat polski cały w brylantach? Takiego obrazu nigdy nie widziałem. Wprawdzie cokolwiek doń podobnego znalazłem p. Ossolińskiego r. 18. w Warszawie, ale tamten był młody, w mundurze strzelców konnych i zupełnie inny miał wyraz twarzy. Któż to być może ten Sarmata wspaniała? Ot, sen i mara i nic więcej, lepiej więc przewrócić się na drugi bok i porządnie zasnąć!... Tylko com miał to uczynić, głośne, głębokie westchnienie pomimowolnie zmusiło mnie patrzeć przed sobą i pojrzałem, lubo powieki były zamknięte.

Młodzieniec zerwał się z łoża i począł niespokojnym krokiem przechadzać się po pokoju, mogłem mu więc z blizka dobrze się przypatrzeć. Mógł mieć lat około 23. Rysy twarzy były piękne, delikatne, lecz zniewieściałe. Włos jasno-żółtawy, rozczochrany, czoło zupełnie odkryte, brwi bardzo ciemne i skupione nad oczyma blado niebieskimi, i ta sprzeczność nadawała jego twarzy jakąś cechę dziwactwa, był to, (iż tak powiem), wybitny rys kaprysu. W rannej odzieży, z piersią i szyją odkrytą, niepewne stawiał kroki i zatrzymywał się często zamyślony, widać było zaraz, że to on tak głęboko przed chwilą westchnął. Porwał potem nagle lampę ze stolika, szybko postąpił do portretu, który po drugiej stronie komina trzeci po p. Koniecpolskim znajdował się, i zapalił lampę argantową, przymocowaną do jego ramy, urządzoną w celu malarskim, żeby obraz w przyzwyciem sobie ukazywał się świetle. Co ja widzę? (*pomyślałem sobie*) wszakże to Chmiel, bohater zbuntowanej Kozaczyzny, jak go zwał p. Kalinowski i wszyscy Polacy, co z nim na harc chodzili. Poznałem go zaraz po obwisłej czuprynie, kobuzim nosie i wąsie dobrze okręconym, bez brody. Takiegom widział na korytarzach wiśniowieckiego pałacu i w sieniach domu p. kasztelana Rzyszczewskiego. Taż sama ciemno-granatowa, niedźwiadkami podszyta szuba, w której cały był jakby zagrzebany, tak że prócz głowy i trochę w górze ponsowego żupana, ani rąk, ani nóg nie można było dobrze dostrzec. I tu także, jak na innych jego portretach, zpodółba patrzył niepewnym, siwym okiem, ponury jak zbójca, na uczynku złowiony. Nie lubiłem nigdy tego watażki, lubo on był szlachcicem polskim, a przez niegodziwości niektórych panów polskich ledwie na bohatera nie wyrósł. Więc nie chciałem i teraz długo mu się przypatrywać.

Ale młody panicz z zapalem wzrok swój w niego wlepił i głośno się tak odezwał:

»Co to za geniusz! jakaż to przedziwna twarz! pełna głębokich dumań o wolności i oryginalnych pomysłów! On jeden zgłębił i pojął ducha ruskiej krainy, i zrozumiał jak go wskrzesić! ale się na nim nie poznali starzy nasi napuszeni magnaci — waleczni durnie!!«

»Patrz, to był hultaj i zdrajca — nie bluźń!« Słowa te z pod podłogi grobowym, przeciągłym, podwójnym głosem wyszły, jak te, którymi zmarły król duński na cmentarzu do Hamleta się odzywał. A choć ani oka ku portretom panów hetmanów nie ośmieliłem się zwrócić, jakiś z ich strony przelatujący płomyk przekonał mnie, że to oni przemówili.

I zimny dreszcz mnie przejął.

Młodzieniec nie zdawał się słyszeć nawet tego, tak był zanurzony w swych myślach, lecz dalej postąpiwszy do czwartego, ostatniego z rzędu malowidła, podobną do tamtej przy nim lampę zapalił i rzekł: »Albo to? Co to za wielka kompozycya?« Potem lampę, którą w rękę trzymał, postawił na kominie, a sam odszedłszy kilka kroków, stanął z założonemi na piersiach rękami i patrzył na obraz z wielką uwagą.

Więc i ja tam patrzałem.

»Aha! to doktor Faust (*pomyślałem sobie*), rozmawiający z Mefistofilem. Ja znam ten obraz; jest on pendzla niemieckiego biegłego malarza, Schnorra. Widziałem go na wystawie malowideł w Wiedniu; tak, to ten sam, zapewne go ten panicz nabył«. Jest to scena z poematu Göthego, w której Mefistofil z pentogrammatu czarnoksięskiego siłą, mocą, zaklęciem dobyty, ukazuje się w postaci znakomitego męża przed Faustem. Obie figury były naturalnej wielkości, w stroju XVI wieku t. j. w płaszczyku hiszpańskim i z potężną krezą. Faust w gotyckiej komnacie, zarzuconej alchemicznemi i guślarskiemi narzędziami, siedzi przed stolikiem, hardzie z gniewem patrzy na zjawionego przed nim Mefistofila. Włos jego czarny, twarz piękna, rozumna, oko iskrzące się. Jedna ręka na stole oparta. Widać, że dopiero uderzył nią o stół z niecierpliwością namiętą; wszystkie żyły napięte drgać się jeszcze zdają w tej pięści, konwulsyjnie zwartej i jakby zakłętej. Całe piekło umieścił malarz

w tem żelaznem, zadartem, wyzywajacem czole i w tej zaciśniętej pięści, tak iż za pierwszym rzutem oka Faust bardziej na szatana wygląda, niżeli przed nim stojący Mefistofil, ale przypatrzywszy się lepiej, nic i temu nie brak. Równie pięknie ubrany w aksamity, stoi on niby pokornie, jak sługa przed panem, lubo zaraz poznać, że to kawaler wielkiego świata i lepszego rodu od pana doktora. Włosy miał mocno rude, płomienistego koloru, czoło pełne myśli głębokiej, rysy twarzy wszystkie najforemniejsze, jak na pięknych greckich posągach, wąsy i bródka hiszpańska tegoż koloru, co i włos; ale twarz blada i wymokła, wzrok zapadły, chytry, niepewny, jakimś skrytym ogniem żarzący się, jak u suchotnika, bardziej były jeszcze obrażające niżeli u Fausta; zato niewypowiedziany dowcip z lekkim wzgardliwym uśmiechem osiadł mu na uściech. Osobliwsza to rzecz, ale tak jest, nie inaczej. Tem połączeniem dwóch największych sprzeczności: ust szyderskich i prawie wesołych, ze wzrokiem wygasłym od ponurej melancholii, szczęśliwie utworzył malarz oblicze, odpowiednie wyobrażeniu chrześcijańskiemu o duchach wiecznie potępionych. Przytem tak zaufał swej sztuce, iż się nie lękał, aby się na szatanie jego nie poznano, albowiem nie przydał mu ani koźlego kopyta, ani ukrył pod włosom rogu, dla wskazania prawdziwego rodu jego dyabelskiej mości; jedno tylko nieznaczące piekielne symbolum umieścił w stroju. Płaszczyk hiszpański spiał mu pod szyją złotą klamerką misternej roboty, wyobrażającą wijącego się węża: tego więc pyszczek płomyki i iskry z siebie puszczał.

Młodzieniec, przed tym obrazem stojący, tak się nakoniec ozwał:

»Malarz, zapewne, pięknie oddał myśl Göthego, lubo kunszt jego nie ma dość potęgi do wyrażenia wszystkich jej odcieni. Do tego trzebaby pendzla Michała Anioła, malarza Ostatecznego Sądu... To nawet, co jest najlepszem w tym obrazie, jest jedynie z natchnienia Göthego, jest własnością poety. O, twórcza siła geniuszu! Ty jesteś jak bóstwo — z nicestwa wyprowadzasz istoty, światy niemi zaludniasz i nadajesz imię temu, czego nie było!«

— »Nie bluźń! Kto jest jak Bóg?« — jęknął powtórnie ów podziemny głos, i przedemną znów przeleciały płomyki od strony pp. hetmanów, a w górze trzy przeciągłe akordy harfy brzękły,

a przy każdym śpiew nadludzkiej słodyczy te trzy słowa zanucił: Mi-cha-el ¹⁾, ale tak łagodnie, miękko i czysto, iż wszelka mnie trwoga wnet opuściła, i niepojęta radość ogarnęła duszę moją. Długo mi potem te prześliczne trzy akordy w sercu dźwięczały, jakby echo śpiewów z wysokiej, bardzo wysokiej krainy płynących. I pomyślałem sobie we śnie: Boże mój! żebym ja tylko przebudziwszy się, nie zapomniał tych trzech Boskich tonów i mógł je sobie na jawie wypisać, — i ta myśl mnie dręczyła, a młodzieniec nic nie słyszał, ani zważał, tak był zakochany i zanurzony w swych myślach. Potem tak się odezwał:

»Co to za wielkość w tym oryginalnym pomysłe Göthego! Wolność niczem nieugiętą ducha ludzkiego, jego wieczną niepodległość i szlachetne pasowanie się z formami i dogmatami zastarzalemi, tę wspaniałą odwagę targania więzów, chcących go skrepować, ażeby w nieograniczonej swobodzie wszystkie swe władze rozwinął i na gruzach przesądu tron wiecznej chwały dla rozumu dźwignął. Wszystkie te nieśmiertelne cechy ducha i rozpierzchłe promienie po obszarach ludzkości upadłej, poeta w jedno skupił ognisko i tym płomieniem boskim, jak drugi Prometeusz, tchnął na swój utwór. Mefistofil ukazał się w świecie duchów prawdziwie żyjącą istotą. Najwyższe ideały wszelkich wspaniałych filozofii przejawily się w jego potężnej osobistości. Jest to rzeczywisty Demon, ale nie taki, jak go przesady z tradycyi hebrajskich ukształciły. Göthe użył tylko do palety swojej farb, które mu dostarczyły poezye gminne wieków średnich, i utworzył prawego Lucyfera — światłonoścy, wiecznego wroga obskurantyzmu i jałowych myśli!! Taka to jest potęga jednej płodnej, oryginalnej, szczęśliwej idei, w jednej szczęśliwej chwili dla geniuszu!!

Wtem turkot powozu, zajeżdżającego przed dom, dał się słyszeć, a ja pomyślałem sobie: »Chwała Bogu! ktoś do tego panicza przybył z wizytą; przerwie mu jego niedorzeczne monologi, które gniewają pp. hetmanów, a mnie wielka opada trwoga, ilekroć oni się odezwą«.

Jakoż w istocie, w kilka minut potem pokryte drzwi ada-

¹⁾ Mi-cha-el. Słowa hebrajskie znaczą: Któż jak Bóg?

maszką i zupełnie dotąd przeze mnie niepostrzeżone, z trzaskiem się rozwarły i wszedł do pokoju różnym krokiem dziwacznie przybrany młody człowiek. Był on twarzy wesołej i dość przyjemny, lecz wiekiem zdawał się być starszym nieco od tamtego panicza; w rękę trzymał maskę. Strój jego także był maskowy i najdokładniej naśladowający ubiór Mefistofila na obrazie, tak, że nawet o klamerce płaszczyka hiszpańskiego nie zapomniano. Włosy, wąsy i bródka były równie jak u Szafranca.

— Wszak to Miecielski? — zapytał młodzieniec, wahającym się idąc naprzeciw niemu krokiem.

Miecielski. Czyś mnie nie poznał odrazu, Zygmuncie? Przecież nie włożyłem jeszcze maski na twarz. A to przednia rzecz!

Z y g m u n t. Nie kładź jej wcale, Stasiu, tak będziesz lepiej mógł oddać charakter twarzy Mefistofila.

Miecielski. Dziękuję za łaskę, nie czuję w sobie najmniejszego powołania do zręcznego małpowania tego arcy-łotra i przejęcia się jego (jak ty mówisz) geniuszem. Przyznam ci się nawet, że ci niemały dał dowód przyjaźni, kiedym się zgodził na ten kostyum tego obmierzłego szatana — Niemca.

Z y g m u n t (*śmiejąc się*). O cóż ci idzie? wszakże i u nas w Polsce nieinaczej, tylko po niemiecku musi być ubranym.

Miecielski. Właśnie to też wielkiem głupstwem znajduję. Dlaczegoż my to nie możemy mieć naszego narodowego dyabła? Wy literaci ciągle rozprawiacie i piszecie o narodowości, a jeszcze nie zgodziliście się na kostyum dyabła polskiego. Nawet ten twój Mefistofil nie jest ubrany, jak powinien być, boć wiadomo, że dyabeł w kusym fraczku niemieckim ukazał się naszemu Twardowskiemu, a ten jest w hiszpańskim płaszczku.

Z y g m u n t. Ty nie rozumiesz tego, Stasiu! Wprawdzie niektórzy uczeni twierdzą, że Faust i Twardowski jedna była osoba, a nawet, że Twardowski był Polak i tylko w Niemczech przybrał nazwę Fausta. Ale ja mam zupełnie inne zdanie w tym względzie. Przygotowałem w tej materii rozprawę. Twardowski nie był Polakiem ani Niemcem i nigdy nie istniał. Jest to wielki *mythus* XVI wieku, podobny do tych, które Niebuhr w pierwszych zakresach dziejów Rzymu wykrył — obraz wie-

dzy, pasującej się z zabobonem, przedzierającej się krwawą cieniową drogą do krainy światła i wolności, tak jak Mefistofil jest mythus już tryumfującej wiedzy.

Miecielski. Proszę cię, dajno pokój tym twoim *mythosom* i *susom* twej szalonej imaginacyi.

Z y g m u n t. A co się tyczy kostyumu, Stasiu, wiedz, że hiszpański jest najwłaściwszy dla Mefistofila i Fausta, bo te wielkie wyobrażenia jaśnie poczęły krążyć dopiero w XVI wieku, w którym wszyscy wyższej klasy ludzie hiszpański strój przybierali. Widzisz więc, że malarz nie popełnił żadnego anachronizmu. Niemiecki dyabeł w kusym fraczku jest dopiero plodem późniejszym przesądów gminu.

Miecielski. A ja powtarzam, że wasza erudycya, panowie literaci, funta klaków nie warta, kiedy nie umiecie się zgodzić na kostyum dyabła polskiego. Stryj mój, pan kasztelan sandecki, wielki znawca i miłośnik starych gminnych powieści, zapewniał mnie, że wyobrażenia o dyablach w sukniach niemieckich zjawily się dopiero w Polsce wtedy, kiedy za Zygmun-tów nasza szlachta poczęła wysyłać dzieci do Wittembergu i innych akademii luterskich, z których potem oni niemieckie *nowinki* do kraju przywozili z sobą; lecz że przedtem dyabeł polski inaczej zupełnie wyglądał w oczach ludu.

Z y g m u n t. Jakże naprzykład?

Miecielski. Oto był cały czarny, jak murzyn, rogi miał na głowie, twarz najohydniejszą, oczy jak dwa żarzące się węgle, pół łokcia języka czerwonego z pyska mu wisiało, koźle kopyta miasto stóp ludzkich, potężne pazury u palców, nakoniec długi, sążnisty ogon. I na to są niezaprzeczone dowody po starożytnych obrazach w naszych starych cerkwiach i kościołach. Drwij sobie, drwij! To był prawdziwie dyabeł narodowy. Sto tysięcy razy charakterystyczniejszy, zabawniejszy i tępszego ducha od tego waszego, luterskiego, szwabskiego, wymokłego bakałarza, Mefistofila; (*potem spojrzawszy na siebie, dodał*) cierpieć tego kostyumu nie mogę i wolałbym już pójść na bal w stroju starego dyabła, z rogami i językiem karmazynowym.

Z y g m u n t. Nie gniewaj się, Stasiu, patrz, jak ci ten kostyum do twarzy. — To wyrzekłszy, powiódł p. Miecielskiego do zwierciadła, a potem podszedł z nim do obrazu Fausta z Me-

fistofilem i postosowawszy strój Miecielskiego z obrazem, rzekł wielce ucieszony: — Niczego nie brak, wszystko wybornie. Ruszaj teraz na bal do p. wojewodziny.

Miecielski. A ty, Zygmuncie, kiedyż się ubierzesz? Już późno. Gdzież jest strój pana Fausta? Nie widzę go tu nigdzie. Wszakże mieliśmy we dwóch, jak na tym obrazie, ukazać się na balu.

Zygmunt (*trochę zakłopotany*). Daruj, Stasiu, ja nie mogę dziś z tobą być na balu p. wojewodziny.

Miecielski. A toż znowu co? — niesłychany jakiś kaprys! Dlaczego nie możesz być?

Zygmunt. Dlatego że... że... proszę cię, Stasiu, nie pytaj mnie o przyczynę, bo jeśli ci ją powiem, będziesz się na mnie gniewał.

Miecielski (*zniecierpliwiony*). Jeszcze gorzej będę się gniewał, jeśli mnie nic nie powiesz, i zaraz się rozbiore i położę się.

Zygmunt (*zatrzymując go*). Zmiłuj się, Stasiu, nie rób mi tej przykrości. P. wojewodzina dowie się, że ja ciebie odciągnąłem od jej balu, a ona ciebie tak kocha, i cała burza na mnie spadnie; ty wiesz, że stara moja ciocia nie żartuje, więc wolę ci już wszystko powiedzieć.

Dzisiejszego wieczora, przerzucając Pamiętniki Moora o Bajronie, napadłem na jedno dziwne jego zdanie. Powiada on, iż żadne najżywsze uczucie najwyższego ziemskiego szczęścia, nie może się zrównać z tem, którego umysł ludzki doznaje, kiedy tworzy nową zupełnie ideę, że kreacya umysłowa jest to maksimum uciechy intelektualnej, prawdziwa Boska rozkosz. Tak mnie to mocno wzruszyło i do przekonania trafiło, że porzuciłem rozprawę moją o mitach, która już była na ukończeniu, począłem mocno dumać i wzdychać za szczęściem, jakiego doznawać musi każdy twórca umysłowy; pośród słodkiej tęsknoty, duch mój spragniony, jak jeleń czystego źródła, oczekiwał w skupieniu świętem, rychłoli błyskawica nowej jakiejś idei zapłodni wszystkie jego nieśmiertelne władze; z takiego usposobienia umysłu chciałbym korzystać, pojmujesz więc teraz, Stasiu, że nie mogę iść na bal maskowy, któryby we mnie wszelką inspiracyę zniweczył.

Miecielski. Zygmuntku, Zygmuntku, zobaczysz, że ty kiedyś zwaryujesz! Szukasz po całych dniach i nocach, czegoś nie zgubił! Szukasz pomysłów nowych i jakichś rozkoszy intelektualnych! To nie nowina dla mnie. Albowiem to się już mało napatrzył na twoje dziwactwa. Zapomniałeś może, jak razu jednego w Wiedniu, kiedyśmy razem tam byli, kazałeś sobie sprowadzić jakiegoś Niemca z harmoniką, żeby ci w drugim pokoju przygrywał? a ty tymczasem brałeś pióro w rękę, słuchałeś z oczyma w sufit wlepionemi, jak Cagliostro, i przed sobą zawiesiłeś portret Mickiewicza na skale krymskiej, w burce, dumającego, przed nim umieściłeś lampę. A kiedym cię pytał, co z tego będzie? odpowiedziałeś mi: nie przeszkadzaj! przygotowałem się przyzwoicie do przyjęcia natchnienia poetycznego; zamyślałem coś o Sonetach wiedeńskich, naksztalt krymskich. I długoś tak siedział, aż się Niemiec znużył graniem, a ty siedzeniem. I cóż? przyszło natchnienie? Nie przyszło; tylkoś migreny dostał, dlatego, żeś się zbyt okurzył cygarami.

Z y g m u n t. Stasiu, gniewaj się i mów, co chcesz, byleś poszedł na bal do wojewodziny.

Miecielski. Albo w Dreźnie, pamiętasz? Pierwszy raz dostała ci się do rąk dramatyczna sztuka twego poety piekielnika, Bajrona, *Manfred*, jeśli się nie mylę. Coś też ty nie wyrażał? Ciągleś mi ją tłómaczył; bywało, i przez sen całe strofy z nieznośną afektacją recytujesz. Jednego razu tyleś narobił hałasu, żeś się musiał przebudzić; gniewam się, patrzę, a mój Zygmunt łązi ostrożnie po pokoju między szafami, kanapami i kominem, i zdaje mu się, że on jest pośród jakichś skał Alpów niebotycznych i niezgłęzionych przepaści, jak w którejś tam scenie *Manfreda*. Służący przez zapomnienie koszulę na parawanie przy mojem łóżku zawiesił. A mój Zygmunt stanął przed nią, jak wryty, powitał ją jak piękną kaskadę, z góry Jungfrau spadającą, która miała potem przez jakieś gusła w bardzo piękną smutną panienkę się przemienić, jak w sztuce Bajrona; nuż do niej deklamować wiersze angielskie; mnie złość porwała; ściągnąłem gwałtownie koszulę, tak, że parawan grzmotnął o ziemię, a tyś to wziął za piorun; nieboże! jęknąłeś i poszedłeś napowrót do łóżka.

Z y g m u n t. Dobrze, dobrze, drwij sobie. Ty wiesz, że poeci

są jasnowidzący, jak lunacy; widzą, chodzą, działają, żyją życiem wzniosłem, duchownem, wśród najciemniejszej nocy waszego prozaizmu.

Miecielski. I, jak puszczyki poczciwym ludziom spać nie dają. Gniewaj się, nic to nie szkodzi, bo ja choć raz muszę ci *verba veritatis*¹⁾ dobrze wyrecytować. Co mi tam po waszem poetyckiem życiu, kiedy w niem zdrowego rozumu niema. Co mnie tam po waszej wyobraźni, co jak szalona dziewczka po domu biega, gotowa nawet z trzeciego piętra skakać, dlatego, że gospodarz domu, rozsądek, bezwładny leży, jakby paraliżem ruszony. Ja wiem, że to wy się niby tem szczycicie, iż się nie poddajecie zimnym rachubom rozumu i rozsądek kładzicie w rzędzie jałowej prozy. A jabym się niewiedzieć o co założył, że Homer, wasz protoplasta, że Dante, Milton, Wirgili, Szekspir i wielu ich tam liczycie ojców poezji, byli w swej sztuce pisania najrozsądniejsi ludzie. Wszakże sami ich pod niebiosa wynosicie z głębokiej ich znajomości serca ludzkiego i stosunków świata, który nam przed oczy stawia, jakżeby ją posiadać mogli bez rozwagi i rozsądku? Prawdziwy, nie sztuczny, zapal poetyczny nie lęka się rozumu, owszem bierze go za mocną podstawę wszystkich swoich utworów. Tylko chwilowy szal rozhu-kaniej fantazy nadrabia hałasem, żeby pokryć niedostatek siły duchownej i zrywa skwapliwie więzy przyzwoitości i odwieczne prawa umysłu, zupełnie w tem podobny do ckliwego szampana, którego pianka wysadza z trzaskiem korek z butelki, lechce trochę podniebienie, lecz w słabości sił nie podźwignie. A mnie się zdaje, że geniusz jest jak stare wino węgierskie, od którego naczynie nie pęka, lecz kto go w miarę umie zażyć, wzrasta na siłach i trzeźwy jest, nie doświadcza bólu głowy.

Zygmunt. *En vérité*, Stasiu, to ci się nieźle udało. Coś i ty zaczynasz być poetą.

Miecielski. Nie przerywaj mnie. Alboż myślisz, żem zapomniał, kiedy jednego dnia tak do mnieś się odezwał: U naszych poetów niema dość mocnego, głębokiego pojęcia przyrodzenia, ledwie im wystarczy natchnienia na sielskie, gminne obrazy, które są tylko słabą kopią Bukolik Wirgilego, także

¹⁾ Słowa prawdy.

mdłego naśladowcy Teokryta. Takimi są nasi Zimorowiczowie, i cały nasz szereg autorów Ziemiaństwa. A wiesz dlaczego? bo my na polach osiedli. Kraj nasz płaski, a prócz Karpatów romantycznych, nie ukrywa w sobie obfitych żył kruszcowych, nie ma podostatku drogich metali, które, magnetyczną sympatyą potężnie działając na psychiczne władze człowieka, tak dzielnie podsycają w nim zmysł natury, iż on w ściśle teluryczne stosunki wstępuje z wielką duszą świata. Sam Novalis przyznaje, iż nowe w sobie samym odkrył poezyi źródła, kiedy począł zwiedzać kopalnie kruszcowe w Saksonii i oddał się nauce górnictwa. A *Manfred*, w którym tak szczytna, ponura sympatya natury przejawia się, nie byłże plodem dumań wśród olbrzymich Alpów? A Tieck, ów sławny autor *Genowefy*, nie do tejże samej szkoły należy? Oni to, prawdziwie, zakłęciem geniuszu oswobodzili z więzów martwej rzeczywistości ukryte potęgi duchowne w całym przyrodzeniu. Jakób Boehme pozyskał tę wieczną chwałę, że im pierwszy w tym zawodzie uTOROWAŁ drogę. Tacy wieszczę są prawdziwi magowie. Duch ich wciela się w światy widzialne i niewidzialne, płonie w ogniu, szumi w strumieniu, drży w bladym promyku księżyca, wzdycha w powiewie zefiru, promieni w blasku słonecznym, krystalizuje się z rosą mrozem ściętą, igra świetnymi barwy tęczy, przemawia głosem piorunu, przelatuje na skrzydłach burzy po lśknących pierścieniach oceanu, w głazie pierwotnym połyskuje misternym blaskiem drogich kamieni; całą naturę do swego łona tuli, (wedle pięknego wyrazu Szyllera), jak kochanek kochankę, i udzielają sobie nawzajem wyższego życia. Ale takowe wyższe usposobienie umysłu pomyślnie się tylko rozwija w górzystych, przepaścistych krainach, a na tych naszych równinach i łąkach zbożowych wszystko martwe, nic nie przemawia do duszy prawdziwego artysty, i tylko materyalny hreczkosiej może w nich znaleźć natchnienie do zbierania rubli.

Z y g m u n t (*z niecierpliwością przerywając*). Ale ja to zupełnie inaczej wyraziłem. Zmiłuj się, chcesz ze mnie zrobić dziwoląga, karykaturę.

Miecielski. Nie przerywaj mnie. Mówileś może lepiej dobranemi słowy, nie przeczę, ale przecie to samo. Już temu minęło lat kilka, i teraz może tobie samemu wydawać się dzi-

wacznem, coś wtedy znajdował najważniejszym pomysłem. Temu się nie dziw. Za parę lat wiele terażniejszych ulubionych twoich pomysłów pójdzie pod ławę, a nowe na niej zasiądą, które z tamtych będą się natrzasać; to była kolej większych od ciebie literatów, więc się nie masz za co gniewać. Lecz kiedym ja w Dreźnie począł się niecierpliwić twemi bajronowskiemi dziwactwy, toś mnie porzucił samego na kwaterze, a wzięwszy z sobą kamerdynera twego Francuza, pojechałeś po miesiącu do Szwajcaryi saskiej, dając za przyczynę, że masz w głowie plan do poematu filozoficzno-religijnego, w guście Boskiej Komedyi Danta, i musisz ze skałami, kaskadami, przepaścistą naturą w magnetyczne stosunki wstąpić, nim rozpoczniesz twe dzieło. I cóż z tego wynikło? Stałeś z odkrytą głową przez całą miesięczną noc na wierzchołku Baszteju ¹⁾, słuchałeś świerszczów muzyki i patrzyłeś na drżący promyk księżycy póty, pókiś porządne go ślinogorza dostał, a Francuz twój scyatyki, z których was Krejsyg ledwie po dwóch niedzielach wyprowadził. I dotąd niema ukończonej nawet pierwszej pieśni twego poematu! Co do mnie, przyznam ci się, mój Zygmuntku, że gdybym miał powołanie na autora, piszącego nowe dzieła, i czułbym się po temu, tobym się sromał, jak żebrak po jałmużnę, wyciągać rękę za myślami do nocy miesięcznych, gór, harmonik, harf i obrazów szatańskich (jak ten twój, któryś dobrze osolił), i podobnych niemieckich sztuczek. Ja nie literat, mówię, co mnie zdrowy rozsądek wskazuje, i tak po prostu rozumiuję: Kto chce pisać, musi mieć jakikolwiek koncept w głowie, bo jeśli dopiero zabiera się go szukać, to już źle około jego autorskiego kapitału. Każdy więc, posiadający wielki czy mały fundusz myśli, powinien dobrze się obliczyć, przepatrzeć swój skarbnik, porządnie go ułożyć, oczyścić z pyłu, a do tej roboty zamknąć drzwi i okna, ażeby mu śłota lub złodziej nie zawadzali, i dopiero wtedy wystawić przed światem swoje *precyoza* w pięknym układzie. A wy, co robicie? Biegacie po górach, lasach i polach, polujecie na inspiracyą, jak na zająca, zupełnie podobni do owego generała, sławnego dystrakta w Warszawie, który będąc na

¹⁾ Basztej, jedna z gór Szwajcaryi saksońskiej, blisko Drezna, w przedudne widoki obfita.

obluzie warty zawołanym do w. ks. Konstantego, biegł za tymi, co go w szeregach szukali, i wraz z nimi wielkim głosem sam siebie wołał po imieniu. Wy także wszędzie i wszystkich pyta- cie o samych sobie i opamiętać się nie możecie, tak wam mi- łość własna potężnie wzrok olśniła. Jak z początku powiedzia- lem, szukacie, czegoście nie zgubili, jak myśliwi po polu, a wie- cie dlaczego? bo także, jak myśliwi, wielkie jesteście próżniaki. Teraz pozwalam ci, Zygmuntku, dowoli się dąsać, bom co tylko miał na sercu przeciw tobie, wyszło jak oliwa na wierzch.

Z y g m u n t. Wielki z ciebie Kozak, gaduła i ignorant, mój Stasiu! to pewna, ale nie mam serca gniewać się na ciebie, dla- tego, że twoje nieukowstwo, przy naturalnym bystrym dowcipie robi cię śmiałym i naprowadza cię (czego bardzo zazdroszc- zę), na nowe pomysły. Ty w twojej naiwnej, genialnej ignoran- cyi, sam nie wiesz, jakie ważne poruszasz kwestye. Jak kokosz siemienia szukasz, a perły wygrzebujesz; wprawdzie nie umiesz tych oryginalnych myśli scyntyficznie rozwinać, to nie twoja rzecz. Z tem wszystkim wyznać muszę, że wpadasz na nowe idee. Ty sam nie pojdziesz może całego ich znaczenia; ale po- wtarzam, zawsze to są iskry ducha.

Miecielski (*przerywając mu*). Dziękuję ci za komple- ment, z którego wynika, że nie rozumiem nawet tego, co mówię.

Z y g m u n t. Ty masz wielkie szczęście, Stasiu, żeś się nie przesycił czytaniem. Jak ja to dobrze czuję i rozumiem, dlaczego książki przyprowadzają do rozpaczki Fausta Göthego. Oj, te na- rowy szkolarskie, te wyklepane retoryki i poetyki, a nade- wszystko te nieznośne traktaty logiki, ta zaraza sylogizmu, scho- lastyczne porównywanie, szykowanie myśli, trzymanie rozumu na pasku, jak niemowlę głupie, te oschłe Dekolonusze, Locki, Kondylaki, Kanty i Hegle, wszystkie zgoła tradycye szkolar- skie, klasyczne, romantyczne, czy filozoficzne (mniejsza o to) są mi na śmierć obmierzłe. Owe gapiowate zapatrywania się na- szych literatów na Homera, Wirgilego, Danta, Bajrona i Mickie- wicza, to wieczne żakowstwo jest zgubą nowych, oryginalnych myśli, szczerej, naiwnej poezyi. Widzisz więc, Stasiu, że z tobą się w tem zgadzam. Pociesznie powiedziałeś jedną rzecz, ale wielką prawdę, oto że za konceptami, jak je zowiesz, nie go- dzi się wyciągać ręki po żebracku, ani do ludzi, ani do natury.

Wiesz, czy nie wiesz! Milton to samo powiedział tym pięknym wierszem:

The mind has its own place:

An can make a hell of heaven, and a heaven of hell.

Umysł ma właściwą sobie posadę:

Może piekło z nieba, a niebo z piekła utworzyć.

Uważaj, proszę! Ty, Stasiu, nie literat, tylko dowcipny nieuk, a przecie z jednym wysokim geniuszem poetycznym na jedną wpadłeś myśl, obaście to samo powiedzieli, lubo każdy wprawdzie po swojemu. To więc musi być prawdą, co się przejawiało w tak niepodobnych do siebie umysłach. Powiem ci więc, co już od kilku miesięcy przedsięwziąłem.

Miecielski. Cóż tedy? Zapewne nowe jakieś szaleństwo.

Zygmunt. Postanowiłem nic zgoła nie czytać, do żadnej nie zajrzeć książki, ani nawet do wielkiej księgi przyrodzenia. Staram się wszystkie moje dawniejsze prace wybić sobie z głowy. Wszystkie tradycje i pamiątki literackie wygluzować z pamięci i tym sposobem na nowy, niebity jeszcze gościniec skierować bieg moich wyobrażeń.

Miecielski. Strzeż się, żebyś tym sposobem jeszcze w co gorszego nie zabrął.

Zygmunt. Zaraz cię przekonam o pomyslnym skutku mojej metody. Słuchaj, Stasiu! Każdego wieczora, czasem w późną noc, albo przy szarzejącym się poranku, w chwilach, w których najłaciej skupiać duch, daję mojej wyobraźni zupełną wolność i puszczam ją na zwiady owej misternej krainy, w której kwitną nowe oryginalne pomysły, a przytem zamknawszy oczy przeciw roztargnieniu, mocno nateżam wzrok i słuch wewnętrzny ducha, żeby naprędce mogły pochwycić, co tylko im będzie ukazaniem lub powiedzianem. Wyobraźni używam tylko jak służebnicy, żeby mnie te nowe myśli w przyzwoite barwy i szaty stroiła.

Miecielski. Więc jeśli duch twój czuwa, słucha i przyjmuje to, co mu jest wewnątrznie ukazaniem lub powiedzianem (jak ty bajesz), toć już to nie będzie jego własnością, ani oryginalną myślą.

Zygmunt. Stasiu, czyś nigdy nie słyszał o *demonie* Sokratesa? W tej tradycyi filozofii pogańskiej głęboka myśl jest

ukryta. Wierz mnie, każdy umysł, nawet miernych zdolności, byle się odważył siły duchowne samobytnie rozwijać, posłyszysz w sobie głos owego przyjaznego geniusza, który mu jest od natury przydany, żeby mu jego własną objawił zacność; tylko trzeba przez samotne, śmiałe ćwiczenie ducha w krainie myśli usposobić się do rozmowy z *demonem* sokratesowym.

Miecielski. Panie bracie, pilnuj się, ażebyś, sądząc, że rozmawiasz z geniuszem Sokratesa, nie pokumał się czasem z prawdziwym jakim dyabełkiem, boć przecie uczono cię tyle katechizmu, żebyś wiedział, że i czarci z myślami do ludzi przychodzą.

Z y g m u n t. To są facecye, Stasiu; ale słuchaj dalej. Owóż kiedy razu jednego zastanawiałem się, który z wielkich charakterów naszej historyi byłby najprzydatniejszy na bohatera epepei narodowej, poczęły przesuwać się przed moją fantazją, jak cienie królów przed Makbetem, poważne postaci: Krzywoustego, Łokietka, Żółkiewskiego, Chodkiewicza, Czarnieckiego, króla Jana, Pułaskiego, Kościuszki, jakiś głos wewnętrzny szepnął mi do ucha: A Chmielnicki? to nie u ciebie? Powtórzyłem to imię w duchu, i wnet z tego jednego słowa, jakby z potężnego ogniska, prysnęły jak iskry nowe pomysły i wielkim blaskiem moją wyobraźnię rozświeciły. Chmielnickiego postać historyczna po raz pierwszy ukazała mi się w całym swym wysokim znaczeniu, prawdziwie epiczna i narodowa.

Miecielski. Zmiłuj się, co ty pleciesz; gadaj poprostu, jeśli chcesz, żebym cię zrozumiał.

Z y g m u n t. Więc poprostu ci powiem, Stasiu, że epoka Chmielnickiego nigdy nie była dobrze zrozumiana przez naszych kronikarzy i historyków. Oni w nim widzą tylko śmiałego watażkę, do rozpaczki przywiedzionego przez łotrowstwa Czaplńskiego i nieużytość pana hetmana Koniecpolskiego. W wojnie nieszczęśliwej kozackiej widzą jedynie krwawy odwet uciśnionego ludu ruskiego dumą magnatów polskich, a ja wcale co innego w niej upatruję. W Chmielnickim objawia mi się nowa idea, potężna i śmiała, jak myśl każdego bohatera reformatora, idea odrodzenia upadającego od wiecznych waśni ducha laciękiego, dziękem wprawdzie, lecz energicznem życiem Kozaczyzny.

— Czego się ty marszczysz, Stasiu? Powiedz mnie — nie zbiegowiskoż to łotrów i banitów upatrzyło sobie nad Tybrem, płową i mętną rzeką, (jak ją zowie Horacy), pagórek, a na nim swe szalase i tabory rozłożyło pośród starożytnej oświaty hetruryjskiej? a w kilka wieków potem pagórek ten stał się Capitolium, to jest stołeczną twierdzą, nie tylko Rzymu, ale całego świata starożytnego. Wszakże i Romulus nie był co innego, jeno watażka, Chmielnicki italskiej ziemi!! Wierz mi, nasze brodate senatory i hetmany nie pojęli ducha jego.

Miecielski (*przytłumiając gniew, postąpił do zwierciadła, począł poprawiać swój strój i po kilku minutach tak się nakoniec odezwał*). Gdybym nie znał dobrze twego serca, Zygmuncie, i nie wiedział, że tam masz wiele pięknych rzeczy, jedno z dwóch jużby dawno nastąpiło: albo noga moja nie powstałaby więcej w twoim domu, (bo ja mam także moje narowy), albo biłbym się z tobą, a wiesz za co? Oto za to, że ty chytrego opryszka, Chmiela tego zawołanego, chcesz na bohatera promowować, wbrew wszystkim historycznym faktom. Przyznawałeś mi nieraz, że ja choć nie taki uniwersalny literat, jak ty, Zygmuncie, z dziejów kraju mego lepiejbym mógł zdać egzamin od ciebie, i to żadna nie jest moja zasługa, bo mnie, leniucha, nieboszczyk ksiądz Łaski, profesor mój, Pijar, dobrze głodem morzył, żebym przynajmniej historię polską porządnie umiał. Ty, Zygmuncie, wszystkie filozoficzno-polityczne nowomodne brednie twoich francuskich i niemieckich broszurek kładziesz *par force* do głowy twego łotra, Chmielnickiego, i radbyś z niego utworzył to, co Bajron z Mazepy zrobił, co jeden znany mnie i tobie znakomity poeta chciał zrobić z Zyski Czecha, to jest urojoną, nigdy nieistniejącą istotę — wielkiego człowieka z ukształconym umysłem, — a kroniki, niezaprzeczone dzieje i zdrowa historyczna krytyka w oczy wam krzyczą: fałsz i bajka! Za to wszystko biłbym się z tobą, ale ja tego nie zrobię, bo wiem na ciebie lepszy jeszcze sposób, żeby cię od tych bredni odstraszyć.

Z y g m u n t. Jakiż naprzykład?

Miecielski. Oto pójde do ks. biskupa krakowskiego i twoje badania historyczne o Chmielnickim pod sąd jego poddam. Ty wiesz dobrze, że autor *Sybilli* jest patriarchą litera-

tury polskiej, nawet w oczach waszej terażniejszej szkoły romantycznej, i bardzo wielki także miłośnik słowiańskich rzeczy. Niech wie, że p. Zygmunt obrał sobie za bohatera Chmielnickiego, zdrajcę, szlachcica polskiego, który nawet tę swoją nie-szczęśliwą wyższość nad watażkami, jego poprzednikami, winien był edukacyi polskiej. Niech się od p. Zygmunta nauczy, z jak wysokiego stanowiska zapatrywać się należy na bunt Kozaczyzny.

Zygmunt. To cóż? wyklnie mnie i spali na stosie? Nie boję się. Ten miły staruszek, dawny przyjaciel ojca, jest na mnie także dość łaskaw. Nieraz pozwoił, abym w wielu rzeczach różnił się od niego zdaniem, przy całym szacunku, jaki wyznaję dla jego wysokich talentów.

Miecielski. Nie, on ciebie nie wyklnie, ani spali na stosie. Ale on ostrzeże p. hrabinę Żaluską i piękną jej siostrzenicę p. Zofię, Mazurkę, dewotkę, a nadewszystko patryotkę, jaki z p. Zygmunta miłośnik Kozaczyzny.

Zygmunt (*porywa się z łóżka i obejmując z trwogą Miecielskiego, mówi*): Stasiu, zaklinam cię, nie rób mi komerażów. Ja wiem, że ty jesteś wielki fantastyk; jak ci co do głowy wpadnie, coć się zdaje bardzo rozumnem, gotowys na noże pójść. Choćbym się z tobą bił, nie pomoże, bo choćbym ciebie zabił, przecie musiałbym uciekać od p. Zofii, kuzyny twojej, a jeśli-bym ciebie tylko poranił, to przez tobym ci ust nie zamknął, i tybys swoje zrobił, a w domu p. hrabiny uciekaliby ode mnie, jak od zarażonego, jak od Robespiera. Proszę cię, nie rób mi tej krzywdy, bo ja umrę. Chcesz, żebym na klęczkach ciebie błagał? i to uczynię, bo ja się nie wstydzę serca mego, a to serce nigdy przeciw tobie nie zgrzeszyło.

Miecielski. Ja wiem oddawna, Zygmuntku, że ilekroć z sercem twojem można się rozmówić, to nie przykra robota i interes można załatwić. Więc uspokój się, nic nie powiem, ale pod jedną kondycją, *sine qua non*¹⁾.

Zygmunt. Cóż tedy?

Miecielski. Oto, żebyś nie tylko mnie nigdy nie rozprawiał o twoim bohaterze Chmielu, lecz żebyś przestał nawet

¹⁾ Bez której nic.

myśleć o owej narodowej epopei, którą zabierałeś się dla niego utworzyć. Ostrzegam przytem, że jeśli mnie będziesz oszukiwał i trwał upornie w twoich marzeniach, to ci się na nic nie przyda, bo choćbyś mi słówka o tem nie wyrzekł, ja przecie zaraz zgadnę, że ty o Chmielu dumasz, tak ciebie na wylot znam i tak dobrze zmiarkowałem sobie pewny twój grymas misterny, kiedy przechodzisz koło jego portretu.

Z y g m u n t (*śmiejąc się*). Dobrze, dobrze, przystaję na wszystko, i bez tego nie mógłbym o Chmielnickim dłużej teraz myśleć, bo mnie pani Zofia podała nową myśl do noweli, którą przedewszystkiem muszę się zająć.

Miecielski. Pisz sobie, Zygmuntku, nowele i co chcesz, tylko o epopei Chmielnickiego wara nawet myśleć. Daj rękę i słowo.

Z y g m u n t. Daję rękę i słowo.

I obaj przyjaciele rozśmieli się i wpadli w dobry humor.

B) Opis podróży kijowskiej, odbytej w r. 1840.

(»Opis podróży kijowskiej, odbytej w 1840 roku«. Z rękopisu wydał dr. Antoni J. Lwów, 1886 »Przewodnik naukowy i literacki«).

Opisuje tu ks. Chołoniewski swoją podróż z Kamieńca do Kijowa, odbytą w celu wzięcia udziału w powitaniu cesarza Mikołaja I przez szlachtę gubernii kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej, i prezentacją tej szlachty przez gen.-gubernatora Bibikowa cesarzowi.

805) *Str. 205—209.* O ósmej z rana otworzyłem okna mojego pomieszkania, które wychodziły na bardzo piękną część miasta. Wtem słyhać przeciągłe hura i dzwony: Pewnie car przyjechał, odzywam się do stróża. *O niet* — odpowiada — *hura krzyчат żołdaty, bo to smotr, a kalakoły*, bo praznik w cerkwi. Jakoż był to *tabelny fest* (galowy dzień) i wszystko wkrótce ucichło.

O dziewiątej z rana, nadziawszy trzewiki *in gratiam* pięknej pory i przyjazdu cesarskiego, puściłem się na przechadzkę. Ulice zwykle najludniejsze, przeszłymi dniami ciągle od karet

uczęszczane, teraz bezładne, nigdzie ani powozu, ani wózka, doskonale wszędzie milczenie, prawie tak, jak w Pompei, z lawy odkopanej, albo jak w mieście, przez które dżuma przeszła, tylko zdala słyhać ze strony Ławry, słaby gwar, jak brzęczenie rójów; a po domach gimnazyalnych i pensyonach nieustanny szelest szczotek, pucujących pokoje i meble. Po ulicach tu i ówdzie ukazują się *budniki* (policyanci). Żelaznymi strugalcami zeskle błoto strugają po deszczu, co niedawno padał, a ponieważ i dzisiaj co pół godziny prószy, więc i *budnicy* z wielką rezygnacją to przysiadają około domów, to *da capo* błoto ostrugują i ulice pucują, i będą tak cały dzień robić, aż do przybycia cesarza; jest to wskazany im sposób przywitania Najj. Pana — każdy po swojemu wita. Panowie w Ławrze przy szpadach, a *budniki* nad błotem przy strugalcach. Jużem był zapominał, że cały Kijów od rana w fortecy skupiony, że dlatego miasto miało postać człowieka, co omdlał i bez ruchu leży, i tylko pulsacya serca daje poznać, że jeszcze jest przy życiu. Lecz kiedym przez ciekawość wstąpił do mieszkania Przeździeckiego, zaraz mnie wyprowadził z błędu służący, zapytany przeze mnie, czy są panowie w domu. »Oho! (odpowiedział), wszyscy panowie w Ławrze od piątej rano«. Ponieważ już dość długą przechadzkę odbyłem, i pora obiadowa zbliżała się, udałem się wprost do domu p. Elizy. Lecz i tu ta sama nowina. Pani z p. Józefem wyjechali na spotkanie cesarza.

Było już blisko trzeciej po południu. Prawdę mówiąc, byłem i ja trochę ciekawy, lecz wkrótce pokonałem tę chętkę przekonaniem, że na zaspokojenie ciekawości nie było godziwego sposobu. Wtem nadjechała Eliza z synem. Ciągłe baczna w swej uprzejmości, nie zapomniała o niej i teraz. Pospieszyła na czas obiedni, lubo się narażała na utratę widowiska cesarskiego. Wprawdzie nie była ona z damami w samej Ławrze, (co bardzo przyzwoitem z jej strony znalazłem), ale uprosiła sobie okno w pomieszkaniu p. Adolfa Grocholskiego, wychodzące na ulicę Nikolską, którą cesarz miał przejeżdżać z Ławry do miasta. Bardzom z tego był rad, bo tym sposobem i mnie odkryła się sposobność towarzyszenia jej. Jakoż po krótkim obiadowym posiłku pojechaliśmy spiesznie na oznaczone miejsce. W domu tym, prócz Elizy, Józefa i mnie, nikogo nie było, przed-

nia więc rzecz, bo każdy miał jedno zupełnie wolne dla siebie miejsce.

Było już blisko 4-tej, deszcz dobrze prószył. Wtem wielki dzwon Ławry począł posępnie mrużyć, jak niedźwiedź w borze. Znak, że przybył Najj. Pan. Naprzeciwko nas był także porządny dom, a w oknach pełno kobiet. Inne zaś domy próżne i ulice puste, prawie nic ludu, prócz niewielu kacapów po sklepach. Wielki *kołokoł* już nie mrużał pod nosem, ale ryczał jak niedźwiedź, a mniejsze jak ogary ujadły; deszcz kropił jak na pomorszczyznę i coraz gęściej przelatywały przez Nikolską ulicę obywatelskie powozy, oficerskie *drożki*, a kiedy niekiedy zziąjany policyant. Wszyscy, jakby ich kto gonił. Jużem był zniżył wzrok perspektywą. Tymczasem nagły ruch się wszczął między kupczykami przy sklepach, i prawie wszystkie karety poczęły wracać spieszenie, mówiono bowiem, że cesarz inną ulicą już przejechał. Otóż masz, pomyślałem sobie, szkoda moich oczów i perspektywki. Wtem jakiś za mną stojący sługa ozwał się: Jedzie cesarz! Dalej więc do okna i do perspektywki. I tak było rzeczywiście.

Ukazał się najprzód policmajster na zmęczonej szkapie, która ledwie już na *kurz-galop* zdobyć się mogła, a za nim 8 koni pocztowych, z trzema furmanami, wolnym bardzo kłusem ciągnęło szeroki kocz zielony opuszczony. Z lewej strony siedział, cały obwinięty w płaszczu wojskowym, mężczyzna silnej tuszy, z białą czapką na głowie, z prawej młodzieniec podobnie odziany, ku niemu zwrócony. Przytomna p. Eliza szybko rzekła: generał po lewej to cesarz, a po prawej to następca, i kilka razy pięknie z okna przejeżdżającym dygnęła. Cesarz ku naszym oknom obrócił się i do furazerki rękę przyłożył, ciągle w tę stronę patrzył, i my na niego. Lecz za pierwszym zwróceniem twarzy jego ku nam, pomimowolnie od okna na kilka kroków cofnąłem się — ścisnęło mnie coś za serce. Nie wiem dlaczego, bom jego rysów dobrze dostrzedz nie mógł, widziałem tylko, że łaskawie przyjmuje ukłony z okien.

Przejechał cesarz, a za nim opodał wielkim pędem Bibikow i reszta powozów obywatelskich.

806) *Str. 339—346.* ...Odbyłem więc w życiu mojem rozmaite prezentacye solenne. W Tuileryach u Ludwika XVIII, u hr. d'Artois (później Karola X), u książąt Angoulême, Berry i ich książęcych małżonek. W *zimnym dworcu* u św. pamięci cesarza Aleksandra, w pałacu marmurowym u w. ks. Konstantego i wielkich książąt braci jego, Michała i terażniejszego monarchy naszego, Mikołaja. Na Watykanie u trzech papieży: Leona XII, Piusa VIII i Grzegorza XVI. We wszystkich atoli takowych położeniach, zwłaszcza kiedy pewna ilość osób razem przypuszczona bywała do oglądania oblicza panującego, jednego zawsze doznałem wrażenia, to jest, że człowiek najkorzystniej się ukazuje światu wtedy, kiedy czuje blisko siebie i nad sobą wielką potęgę. *Ecce numen!* albowiem wszystko w nim, mimo wiedzy jego, do porządku się układa, a to, co jest w nim dobre, na jaśnie występuje. To doświadczenie jest, dla mnie przynajmniej, jednym argumentem, najpotężniejszym owego wyroku Pisma św., że *omnis anima sublimioribus potestatibus semper subdita est.*

.....

...Już pierwsza, a cesarz od godziny zajęty był musztrą na placu przed fortecą, gdzie się odbywał przegląd 12-tysięcznego korpusu gen. Kaysarowa. Ponieważ wolą jego było widzieć nas za powrotem z musztry, wszyscyśmy prawie pozbawieni byli tego wojennego widowiska, albowiem podczas kiedy zbrojne szeregi występowały przed monarchą na placu Marsowym, trzeba było naszym spokojnym obywatelskim hufcom na sali audyencyonalnej w przyzwoity sformować się ordynek.

Ale w tem też to był (jak to mówią) najgorszy sęk, bo jaki to będzie ten szyk obywatelski?

Wchodząc do sali audyencyonalnej, zastaliśmy już ją silnie zaludnioną trzema guberniami, wszystkich prawie stojących i witających się nawzajem, ale półgłosem. I już zaraz dostrzedz można było na twarzach owe niemal ascetyczne skupienie ducha, o którem wyżej się wspomniało.

Wśród rozmaitych mundurów cywilnych, ukazywało się niemało wojennych i dworskich, jako to: generałów *odstawnych*, oficerów gwardyi, szambelanów i kamerjunkturów. W drugim końcu sali, obok drzwi, prowadzących do apartamentów cesar-

skich, postrzegłem siedzącego senatora, Ilińskiego, *papuńcie* naszego. Zbliżyłem się do niego i powitałem z należytem uszanowaniem, co on łaskawie przyjął, a położywszy rękę na sercu, gwiazdą zakrytem, rzekł: *Je vous porte dans mon coeur, mon cher comte!* Napływ ciągly nowych mundurów nie dozwalał długo zabawiać się konwersacją z sąsiadem. Niektórzy z dawniej przybyłych zasiedli na kanapach i krzesłach, przy ścianach będących; większa jednak część przechadzała się po sali, wszakże cichym krokiem i w milczeniu. Był więc pewien ruch w tej masie obywatelskiej, ale tak nieznaczny i cichy, jak ruch i brzęk much, zamierających pod zimę w pokojach, kiedy za ukazaniem się promyka słońca jesiennego, leniwie się snują, więcej łażą, niż latają, to jest, kiedy są najnieznośniejsze. Przecież ruch ten co chwila się powiększał, gubernie poczęły się mieszać z sobą. Nawet kijowska, która zaraz przy wchodowych drzwiach zajęła mocne stanowisko pod dowództwem Tyszkiewicza, zeszła z planu. Już więc wszystko groziło przełamaniem demarkacji etykietalnych, a zatem spłynieniem wszystkich trzech stanów gubernialnych w jedno burzliwe jezioro, prawdziwe *mare magnum* szlacheckie, w któremby niechybnie przyszło zatonać samym nawet naczelnikom gubernii. Bacząc groźącego niebezpieczeństwa znaki, począł każdy marszałek gubernski do swego koryta sprowadzać strumień obywatelski. Pierwszy Tyszkiewicz jął się tego zbawiennego dzieła, i sam mocną zastawką stanął na poprzednim swoim miejscu, a za nim poczęła gęstemi falami unosić się szlachta. Za jego przykładem poszli p. Wołyński i Podolski. Lecz ich usiłowania były, niestety, *opus plenum laboris et doloris*.

— Panie marszałku, gdzież mamy stać? — woła każdy do swego naczelnika gubernskiego i każdy nań następuje, a on wskazawszy jednemu gdzie, skoro chce równie pokierować drugiego, już pierwszy z swego miejsca wystąpił i dalej goniąc za marszałkiem, woła: gdzie? I tak jeden po drugim ściga marszałka, jak w ślepą babkę; każdy pyta: gdzie? a on każdemu krzyczy: tu! i sam nakoniec od nich wszystkich ucieka, bo już sobie miejsca znaleźć nie może. Kręci się więc szlachta guberniami, jak nowe roje pszczoł, co do ula trafić nie mogą.

P. Wołyński zwłaszcza niemalą po sobie okazywał turba-

cyę. Co wprzód się pomknęło jednym wymierzonym krokiem, to znowu dwoma nazad się cofnęło. Ciągłe na palcach chodził, a kiedy do kogo kilka słów przemówił, to nie patrzył nań, lecz ku ziemi spuszczał oczy, jakby się lękał roztargnienia w ważnej chwili. Nakoniec jako tako gubernie jedne od drugich się odstrychnęły.

Wtem papier jakiś się ukazał w ręku naszego p. Podolskiego. Szlachta około mnie odezwała się: »Cóż to jest, p. marszałku?« A on na to: »Spis mających się prezentować cesarzowi, proszę więc za mną, panowie!« Sulatycki, mój protektor, pierwszy raz zabrał głos: »P. gubernski marszałku, gdzie ma stać ks. Chołoniewski?« nie przewidując, że tym niebacznym głosem wielkie w naszych szeregach sprawi zamieszanie. Marszałek na tę interpelacyę niespodzianą zaintonował swoje hm! hm! potem rzekł: »Ks. hrabia? pan będziesz za mną stał, przed obywatelami«. »Dobrze, odpowiedziałem, gdzie się panom podoba«. Na tę determinacyę p. Podolskiego powstał jeszcze żwawiej zacny mój prezes. — Ksiądz-prałat nie powinien stać za panem, lecz w pierwszym rzędzie, wyżej pana, bo wszędzie duchowieństwo nasze pierwsze miejsce zajmuje. Wtem szlachta kupą do tej dyskusyi wtargnęła. »Tak, tak — nalegali na mnie — naprzód idź pan«. »Panowie łaskawi, będzie jeszcze na to czas« — odzywam się z prośbą. Ale szlachta nie zważając na remonstracyę, w coraz gęstszy kłębek się skupia i napiera swą masą na p. Podolskiego, który ścisnąwszy mnie za rękę, na wszystkie strony się uśmiecha i powtarza: »Tak, naprzód!«

Uprosiłem wreszcie naglających, żeby *ad interim* zostawili mnie w drugim szeregu; jeszcze mieliśmy dużo czasu, cesarz o 3-ciej godzinie miał dopiero przybyć, a wtedy była druga.

Więc, Bogu dzięki, ucichli i przestali napierać.

Na nieszczęście w Przeździeckiego ręku błysnęła znowu ta fatalna karta prezentujących się. Sulatycki rzucił na nią bystrem okiem i zawołał: »W tym spisie niema księdza prałata, dlaczego to? To jest omyłka, p. marszałku!« — »A tak, dlaczego? odezwała się znowu szlachta, »dlaczego tam księdza niema?« I znowu ścisk, natłok, napieranie łokciami, wyciąganie szyi, głów, żeby w kartę zajrzeć, a dla mnie ponowiona niedola. — »Panowie — protestuję znowu — jakoś to będzie. Oto patrzcie,

idzie ktoś, co tę rzecz wyjaśni«. Jakoż w istocie wąską uliczką, którą przecie udało się marszałkom utorować między guberniami, ukazał się młody, rzutki, zwinny jakiś urzędnik kancelaryi Bibikowa. Był to Pisarew, figura rządowa (jak to mówią) nielada. Żwawo począł się zwijać, trzymając papier w ręku i bez ceremonii wywoływał każdego po imieniu, zaczawszy od marszałka gub., jak na *smotrze* wojennym. Jakoż ustawiwszy naprzód p. Podolskiego, a po nim w pierwszym rzędzie prezesa i marszałków powiatowych, dalej postępował, lecz niezmordowany Sulatycki zawrócił go i do mnie przywiódł, pytając go o miejsce dla mnie. Pisarew, niedługo namyślając się, wskazał mi je w drugim szeregu, za Przeździeckim, mówiąc: *Monsieur l'abbé se placera là!* i dalej pobiegł; ja dawno już tam stałem i cieszyłem się mocno, że przecie ktoś zrobił porządek, i o tem już nie będzie mowy — gdzież tam! Zaledwie się oddalił Pisarew, szlachta *item* poczęła napierać na pierwszy szereg. Do bywa się niedaleko mnie długa szyja, a z niej głos: *Je ne comprends pas, pourquoi on ne place pas le Prélat sur la première ligne. Ce n'est pas en règle.* Obzierał się, kto jest ten mój nowy protektor — i poznaję Butiagina, *quondam chargé d'affaires* w Paryżu, który grzecznym uśmiechem przywitawszy mnie, rzecze do drugich: *Nous avons servi avec le Comte au Département des affaires étrangères.*

A Podolanie bliżej mnie stojący nuż *da capo* wołać: — Idź pan naprzód! — Poczynam więc seryo już rozmyślać o rejteradzie w ostatnie szeregi, i jakoś dość szczęśliwie mi się powiodło. Na wolniejszym tem miejscu pewien staruszek, zupełnie mi nieznajomy, zdala od natłoku stojący, ponurego i surowego oblicza, począł mi się od stóp do głowy przypatrywać — widać było, że osoba moja była dla niego jakąś zagadką. Wreszcie przybliżywszy się, wręcz mnie zapytał dość sucho: »Skąd ksiądz tu przybyłeś?« »Jak to, odpowiedziałem, trochę zdekoncertowany — »czy pan dobrodziej chcesz wiedzieć, skąd ja do Kijowa przybyłem?« — A staruszek na to, patrząc na mnie z ukosa: »Pytam po prostu, skąd ksiądz jesteś?« »Z Janowa, mości dobrodzieju«. »Z Janowa — powtórzył, i dalej mnie już nie badał, lecz odchodząc, ciągle pozierał na mnie marsem z ukosa. Oczywiście, nie

podobała mu się moja biedna figura. Odtąd go z oczu straciłem i dotąd nie wiem, kto to był.

Już tedy, Bogu dzięki, stałem spokojnie na odwodzie, jak kapelan pułkowy w chrześcijańskim wojsku podczas bitwy, gotowy nieść posługi duchowne tym, których dla poniesionych ran z pobojuwiska wynoszą; brakowało jeno do dobrego porządku felczera, albowiem, żart na stronę, atmosfera zewnętrzna tak była ciężarna od gromowych chmur, a w sali tak nieznośny upał od ścisku szlachty, niespokojnej na ciele i umyśle, że się z tego wszystkiego utworzyło prawdziwe *sci-rocco*, nieustępujące w niczem rzymskiemu. Dodać i to należy, że w tej powodzi obywatelskiej, jak zwykle w gwałtownych zalewach, krzyżowały się prądy w rozmaitych kierunkach. I tak, jedno było potężne parcie szlachty na pierwsze szeregi napływającej, drugie boczne, silniejsze jeszcze, jednej całej gubernii na drugą, tak, że kijowska, jako liczniejsza, poczęła słabszą podolską z swej posady wyciskać, pomimo wszelkich remonstracyi tej ostatniej. Prądy te ukośne i mnie znienacka w swe wiry porwały — a skoro Podolanie między sobą mnie ujrzeni, po staremu ozwały się głosy: »Ks. prałacie — trzeba panu iść naprzód!« — Kręcę się na wszystkie strony, żeby powtórnie się zrejterować, tymczasem podczas tej ewolucyi słyszę głos tubalny ponad sobą: »Przypominam się panu, jestem Młodecki«. Patrzę w górę — widzę, żem się popadł, jak pod baterię na bastyonie, pod ogromnego, barczystego obywatela, z nie mniej potężnym nosem i marsowym wzrokiem. Jak mogę tedy kłaniać się pięknie, ale rejterować się dalej ani pomyśleć, bo p. Młodecki stanął *fortiter* na przesmyku i tak wraz ze szlachtą podolską powtórnie na mnie natarł. — Dlaczego jegomość nie stoisz w pierwszym szeregu? — Nie mogę, panie dobr., widzisz, panie, że już porządek przepisany. — Co tam przepisany (odrzekł p. Młodecki), kto tu może takie nieprzyzwoite porządki przepisywać? Jegomość idź naprzód! — Ale łaskawy panie, zawierz, że mi i tu dobrze... — Tu nie o Jegomości rzecz tylko idzie, ale o jego stan — to na szykanę nam tylko zrobiono — powtarzam, idź Jegomość naprzód koniecznie! — I tak ciągle z marszem na mnie nastając, począł szlachtę popychać na pierwsze szeregi i póty nie przestał napierać, póki w istocie mnie pod

nie nie wcisnął, dobrze już przyduszonego i zmiętego. Wtem Bibikow wszedł do sali dla przekonania się o dobrym porządku, zaprowadzonym przez Pisarewa. Trzyma i on w ręku nieszczęsną listę i każdego czyta po imieniu. Kiedy przybył do naszej gubernii i miał już mijać Przeździeckiego i Sulatyckiego — p. Podolski bacząc, że szlachta z Młodeckim z tyłu go oprymują o moje stanowisko, sam już podskoczył do Bibikowa, zawrócił i przywiódł go do mnie, przytem śmiejąc się i przymilając, te tylko słowa dobył z siebie: *le prélat, hon, hou, le prélat!* a Sulatycki kończył jego frazes: *V. E. voudra bien assigner une place au prélat.* Bibikow widocznie się wahał, lecz po krótkim namyśle rzekł: *Monsieur le comte, placez Vous entre le Maréchal Przeździecki et Mr. Sulatycki!* i dalej poszedł, a ci dwaj panowie porwali mnie natychmiast za ręce i nie bez wielkiej forsy z powodu ciągłego parcia, wszczepili mnie między swe łokcie. Otóż więc stoję jeden czarno odziany pośród całego tego długiego umundurowanego szeregu.

I przestała na chwilę burzyć się gubernia podolska, lecz nie przestała napierać na pierwsze szeregi, bo już zbliżała się chwila audyencji, a ciekawość przemogła inne uczucia. Za prośbą jednak Bibikowa, aby więcej placu wolnego wśród sali zostawiono, posunęły się wszystkie gubernie ku ścianom.

807) *Str. 431—438.* Już trzecia wybiła i Bibikow wyszedł z sali, i wszyscy stoimy w pięknym ordynku, przecież nikt się nie ukazuje. W pierwszym szeregu nieznośnie ciasno, nudno i cicho, a ja znowu pomyślałem sobie: Jak to ja dobrze pojmuję, rozumny Falstafie, te pamiętne słowa, wyrzeczone przez ciebie w jednej ciężkiej potrzebie, w której pomimo woli, jak ja na tem miejscu znajdowałeś się, i było ci także bardzo gorąco i tęskno, jak mnie dzisiaj: *I would, it should be night and all'over!* Chciałbym, żeby noc była i było już po wszystkim, bo jakież najwspanialsze widowisko w świecie nie spełnie i nie stanieje, jakaż najpotężniejsza ciekawość nie zamrze w człowieku w tak fatalnem położeniu, w jakim my tu od trzech godzin znajdujemy się...

...Ale oto już zdala u wchodu sali błysnął w lazurowym żandarmskim mundurze hr. Benkendorf, i wnet jak lekki zefiru

powiew przeleciał szmer po całej sali, unosił się coraz dalej, aż póki nie skonał na wargach ostatniego obywatela, stojącego na drugim jej końcu.

Już tedy jest cesarz i słyhać, że zaczyna się prezentacya od kijowskiej gubernii, najbliżej wchodu, ale tylko słyhać, bo dobrze widzieć osób nam, stojącym na drugim końcu, niepodobna, nie z przyczyny odległości, lecz z powodu blasku słonecznego, który z wysoka bijąc w okna przeciwne, wielki cień rzucał na cesarza i osoby przy nim stojące.

Z przyczyny tej nie można było nam Podolanom dobrze dostrzedz, jak się ta poważna scena odbywa. Ale czego oko nie potrafiło dokładnie rozeznać, o tem słuch nas lepiej ostrzegał. Monarcha poważnym krokiem postępował, a przed nim Bibikow z listą w rękę. Za każdym nowem poruszeniem obijało się o nasz słuch donośnym głosem przez Bibikowa wymówione nazwisko prezentowanego, a potem brzęk ostróg, oznaczający ukłon cesarski i nic więcej. I tak ciągle szła prezentacya. Dopiero, kiedy większą połowę sali przeszli i oba ku naszej gubernii zbliżyli się, począł znikać cień, padający na twarz cesarza, i mogłem mu się dobrze przypatrzeć. Niema co mówić! Wspaniała i dość kształtna postać. Czoło wysokie i znacznie ogolone z włosów, rysy wszystkie bardzo foremne, podobne do tych, które jego piersia nam oddają, pleć od słońca zupełnie ogorzała, a wyżej brwi kolor śniady, w kształcie promyka po białem czole wylatując, coś dziwnie fantastycznego przydawał do surowego oblicza. Kiedy z cienia zupełnie wyszedł na jasność słoneczną, która z naszego końca spotkała go, wówczas znów inaczej okazała się twarz cesarska. W cieniu wydała mi się tylko poważna i zasepiona, lecz w promieniu słonecznym cały jej wyraz rozmyślniej surowości na jaw się ukazał.

.

...Cesarz stawał naprzeciwko osoby prezentowanej, patrząc na nią spokojnie, lecz z twarzą wyżej opisaną. Bibikow dobitnie z karty czytał imię, nazwisko i tytuł osoby, a cesarz natychmiast w milczeniu się kłaniał. W mundurze był generalskim, przy szarfie i szpadzie, w prawem rękę trzymał kapelusz z piórami. Cała postawa poważnego wodza, a prócz zwykłej u ludzi

wojennych raźności, niema w jego ruchach owego bystrego natarcia, tak charakterystycznego w wielkim księciu Konstantym.

...Cesarskich ukłonów takich naliczyłem do 60 z górą i wszystkie cierpliwie z równą dokładnością się odbyły. Z żadnym marszałkiem gubernskim nie rozmawiał, bo nie można rozmową nazwać słówka *znakom* (znajomy), które Przeździeckiemu przebąknął. Nie można także rozmową nazwać kilku słówek, które kilku eksoficerom gwardyi rzucił o ich przeszłej służbie. W ten sposób przemówił do Tytusa Starzyńskiego, a odchodząc od niego, zatrzymał się i zapytał go raz jeszcze po rosyjsku: »Wasza familia (nazwisko) Skarzyński?« Imię to generała wojny rewolucyjnej, przygrywało mu w uszach i w błąd wprowadziło, z którego p. Tytus wnet go wyprowadził, a cesarz na to: »Starzyński, *da*, *znaju* (tak, wiem) i dalej postąpił.

Rozmawiał zaś cokolwiek z pułkownikiem Poniatowskim, z Bolesławem Potockim i z senatorem Ilińskim, a najdłużej z kupcami brodatymi, przy końcu prezentacyi. Bibikow, przedstawiając Poniatowskiego (przy którym wprzód czterem jego synom z drugich gubernii kazał stanąć), wspomniał krótko o zasługach pułkownika około przemysłu krajowego, a cesarz począł po rosyjsku dość obszernie objawiać swoje zadowolenie; głos jego nie jest chrapliwy, jak u w. ks. Konstantego, wszakże bez żadnego dźwięku, wymowa prędką i niewyraźną. Cały zaś ten komplement był powiedziany obyczajem pana, który, chwając nawet, upomina, a Poniatowskiego odpowiedzi w najniższych słowach wyrażały się.

To się wszystko działo o trzy kroki ode mnie. Dotąd miałem okulary na nosie i chciałem je zatrzymać, bo i stary Poniatowski nie zdejmował ich z oczu, lecz pomny na przestrogi, żeby wszystkiego unikać, czemby facyata moja zrażać mogła N. Pana, zdjąłem je w chwili, kiedy on się zbliżał do mego sąsiada Przeździeckiego. Po ukłonach z tym odbytych, cesarz dziwnie zręcznie przeniósł swe oczy do drugiego mego sąsiada, Sulatyckiego, tak, że nietylko o moją rewerendę, twarz, ale nawet o włosy mej głowy wzrokiem nie zawadził, a ponieważ Bibikow nie wyrzekł mego nazwiska, więc i cesarskiego ukłonu pozbawiony zostałem i tylko miałem przyjemność

dobrze się przypatrzeć całej cesarskiej osobie, kiedy on zwykłym milezącym ukłonem obdarzył mego sąsiada prezesa...

...Z Potockim było podobne przymówienie się, jak z Poniatowskim, tylko krótsze i po francusku. W kilka chwil potem ukończyła się prezentacya gub. podolskiej, a cesarz przeszedł do wołyńskiej. Na jej czele stał, cały purpurowy, papuńcio, bo żadnej nie było różnicy między barwą senatorskiego mundurku a jego twarzą. Biedaczek, dla zupełnej słabości nóg, nie mógł stać, jeno oparty na rękę synów. Skoro cesarz przystąpił doń, powitał go dość grzecznie po francusku i podał mu rękę, którą papuńcio chciał ucałować, ale cesarz bardzo szybko kilka razy mu ją umykał. Ponieważ gub. wołyńska naprzeciw naszej stała, więc tu już twarzy cesarskiej widzieć nie mogliśmy, bo z konieczności musiał do nas plecyma się obrócić. Słysząc było te słowa tylko: *Comment va? Monsieur le Comte! J'espérais vous avoir à dîner. — Mais Vous avez été indisposé.* — Ale za to od jaśniejszego karminem i radością oblicza senatorskiego, jak od szkła wypukłego odbijały ku nam promienie łaski cesarskiej. Wszczęła się potem urywana, cichsza konwersacya, której dosłyszeć nie mogliśmy — a podczas której papuńcio ciągle to dygał, to chciał całować umykającą przed sobą rękę cesarską — to nie mogąc się do niej dobrać, poruczał pocałunki zefirom, ażeby je doniosły do rąk cesarskich, to znowu wznosił miłośnie oczy i ręce ku niebu, to je kładł na sercu i widać było, że chciał na coś ważnego sprowadzić dyskurs, ale jak mnie mówili później bliżej tej sceny stojący Wołynianie, cesarz go starannie zagadywał nieznaczącymi grzecznościami, a potem przeszedł do jego sąsiada, ks. Józefa Lubomirskiego...

...Wracam do materyi. Cesarz kilka słów przemówiwszy do ks. Józefa Lubomirskiego, dalej postępował linią wołyńską i w kilka minut doszedł do kupców brodatych Kijowa. Z tymi najdłuższa była konferencya, lecz w tak wielkiej odległości, że nic słyszeć nie mogliśmy...

...Trzeba także i o tem wiedzieć, że póty szlachta była niespokojna i jak we wrzątku, póki cesarz pierwszej gubernii nie przeszedł. Lecz skoro spostrzegła, że cesarz przestaje tylko na lustracyi pierwszych szeregów w milczeniu, i wzrok jego nie w sali nie chce ani widzieć, ani znać, prócz osób jemu pre-

zentowanych, wnet się uspokoiła i nabrała owej fantazyi, która naszych braci w podobnych przygodach nigdy nie opuszcza. Jakaś wesoła, dobrodusznna ciekawość, nie bez lekkiej ironii, malowała się na wszystkich twarzach — lecz ani cienia złego humoru albo skruchy pokornej, albo li też przytłumionej urazy — broń Boże! Przecież była jedna chwilka, w której jeszcze szlachta spodziewała się, że ta audyencya weselej dla niej się zakończy. Miała jakąś nadzieję, że N. Pan, po ukończonej prezentacyi, do wszystkich mowę obróci — coś przecie nam powie — myślała sobie, bo jej to w głowę nie wchodziło, ażeby zgromadzenie obywatelskie trzech prowincyi mogło się obejść bez allokucyi cesarskiej. Ale N. Pan poważnym, rażnym krokiem, wystąpił na środek sali, trochę się zatrzymał, kilka razy na jedną i drugą stronę pięknym ukłonem pożegnał wszystkich, a potem śpiesznym krokiem udał się wprost do swoich pokojów. U drzwi tylko ścisnął raz jeszcze rękę senatora p a p u ń c i i wzbraniając się od jego pocałunku, rzekł: *Adieu — nous nous verrons encore*, i opuścił salę, a za nim następca (następca tronu) z Benkendorffem... a szlachta chwilę tylko po sobie spojrziała i wszystkie trzy gubernie w jednym mgnieniu oka powtórnie w jedno morze burzliwe się zlały. Wszakże pośród morza tego stanął mężnie nieporuszoną skałą pan generał-gubernator i zdawał się na to czekać, ażeby wszystkie fale i bałwany obywatelskie na niego natarły. Jakoż niedługo oczekiwał, albowiem wnet powódź szlachecka oblała go całego tak, że już trochę tylko czoła jego dostrzedz można było nad powierzchnią tego zalewu. Jednak stał na miejscu, niczem nie poruszony... i nie tylko nie dał się nacierającym tłumom z swego stanowiska wysadzić, ale nadto potrafił je przez chwilę na sobie zatrzymać. Oznajmił, imieniem monarchy, wiadome łaski — dodał przytem, że się ma za szczęśliwego być onych ogłosicielem, że one są zadatkiem większych jeszcze w dalszym czasie, że on, nakoniec, karmi w swem sercu błogą otuchę, że wszystkie trzy gubernie będą się starały na nie zasługiwać i t. d. Pierwsze szeregi trochę się zatrzymały przez ciekawość, ale drugie i trzecie, nie doczekawszy się konkluzyi allokucyi Bibikowa, poczęły wielkimi strumieniami wylewać się z sali na schody — jeno marszałkowie i urzędnicy pozostali do końca mowy Bibikowa, dla dokładnego wywiedzenia się o nagrodach.

Jakoż oznajmiono im zaraz ważniejsze: Tyszkiewicz został tajnym sowietnikiem, Przeździecki, ponieważ nim już był, otrzymał złotą tabakierę, lecz czy z wizerunkiem Naj. Pana, czyli tylko z cyfrą brylantową, o tem wątpliwość pozostała w umyśle p. Podolskiego, bo niektórzy twierdzili, że wizerunek cesarski to byłoby za wiele dla marszałka gub. — on zaś znów mniemał, że cyfra, choć brylantowa, byłoby zamało. Lecz że tabakiera dla p. Podolskiego miała przybyć z Warszawy, lubo on wcale tabaki nie zażywał, o tem najmniejsza wątpliwość nie pozostała w całej gubernii podolskiej, i z taką opinią wyszła gubernia z sali.

Na schodach i przy ganku pomieszkania cesarskiego największa czekała nas praca, jak zwykle przy ukończeniu każdego wielkiego dzieła. Opresya niewypowiedziana, ale że wszystkie ciała nasze były dobrze przez trzy godziny przygniatane i przyplaszczane, więc jakoś i tę ostatnią prasę bez szwanku wytrzymałyśmy, a siwosze jabłkowite prezesa szczęśliwie obu nas przywiozły do kwatery bratowej.

C) Z »Obrazów z galeryi życia mego« (1841).

(»Obrazy z galeryi życia mego«. We Lwowie 1890).

»Proroctwo Józefa de Maistre'a w Petersburgu, przesłane Janowi Potockiemu r. 1810, sprawdzone w Uładówce R. P. 1841«.

W »obrazie« tym, pisanym w r. 1841, Choloniewski daje plastyczną charakterystykę Jana Potockiego, znakomitego archeologa i badacza starożytności słowiańskich (1761—1815), który pisał wyłącznie w języku francuskim. Opowiada o stosunku swoim do niego, o strasznej śmierci jego i o spełnieniu się proroctwa Józefa de Maistre'a (†1821), (jednego z przedstawicieli reakcyi katolickiej przeciwko zasadom Rewolucyi francuskiej), że syn Jana Potockiego zakaże swemu synowi czytać bezbożne dzieła dziada, i że obaj tak będą myśleli, jak on, Józef de Maistre, a nie jak »be-zecny« (infame) Jan Potocki. — (O Janie Potockim pisali głównie: M. Baliński: »Pisma historyczne« III (1843) i A. Brückner: »Jana Potockiego prace i zasługi naukowe«. Warszawa 1911).

Podajemy ustępy z charakterystyki Potockiego.

808) *Str. 181—188.* Wrażenia dziecinne są najmocniejsze; a lubo w dojrzałym wieku dokładniejsze być mogą zarysy obrazów imaginacyi, nie wyrównają one jednak kolorytem obrazkom tej pierwszej pory, kiedy to w fantazyi, jak na puszkach motylka, żaden jeszcze pyłek malowny nie jest starty. Postacie, które po raz pierwszy w tej epoce życia się ukazują, odbijają się na tle pamięci w kształtach mniej lub więcej idealnych. Dzieci bowiem zdrowe, niezupełnie tępe i skażone, są jak wszyscy malarze, muzycy i tancmistrze. Pełno w ich główkach kolorów, dźwięków i skoków; tylko, co u starych kunsztistrzów jest porządnie uszykowanym, to w ich małym, nieukształconym świecie, jak w kalejdoskopie, wszystko się wkółko kręci i migoce.

Jedna z postaci, najpierwszą rolę grająca w mojej dziecinnej fantazyi, była Jana Potockiego, krajczyca koronnego; druga, zaraz przy niej, komisarza jego, Turka Ibrahima. Jakże bo to mogło być inaczej? Pierwszy kawaler maltański w purpurowym mundurze, z złotemi, prześlicznemi haftami i szlifami, który przybył do Janowa, był Jan Potocki. Pierwszy Muzułman, z fezem na głowie, w janczarskim aksamitnym ponsowym, misternie wyszywanym kaftanie, z gołą szyją i spodnią bielizną, jakby z pajęczyny wysnutą, a białą, jak śnieg, z kosztownym jataganem u pasa litego, z ogromnemi batystowemi szarawarami i papuciami kanarkowemi, który mi się ukazał przed oczy, a za którym tylko na obrazkach wojaków wzdychałem, był komisarz p. Jana Potockiego, Ibrahim — i do tego jeszcze Turek ten po francusku gadał, a grzechny był, jak najpierwszy szarmant w salonie paryskim. Obaj zaś byli niepospolitej urody ludzie. P. Potocki, kiedym go pierwszy raz widział, mógł mieć lat 40 z górą. Rysy twarzy jego były najforemniejsze. Czoło wysokie, pogodne, pełne szlachetnego blasku. Oczy szafirowe, wesole, bystre i uprzejme razem, uśmiech dobroci na powabnych ustach. W późniejszym wieku dopiero wzrok jego przybrał jakiś niemiły wyraz osłupienia. Mniej na to zważano, albowiem był to pan powszechnie miany za uczonego, czyli sawanta z profesyi. Jakoż zarobił sobie na ten tytuł długimi podróżami po Europie i na Wschodzie, rozmaitemi pismami w przedmiotach wyłącznie erudycyjnych, ja-

kiemi są badania początków plemion słowiańskich, opisanie etnograficzne niektórych krain wschodnich, a nadewszystko nowy jakiś systemat chronologiczny, nad którym całe niemal życie ślęczał.

W wolnych chwilach od tych żmudnych prac i, jakoby dla rozrywki, zabawiał się belletrystyką. Tworzył fantastyczne, humorystyczne powieści. Osnuwał je na podaniach hiszpańskich obyczajów. Jeden z owych płodów genialnego jego pióra uważać można za zwiastuna owej powodzi utworów fantasmagorycznych *à la Hoffman*, któremi świat literacki temi czasy zalany został. Znamcy zaś twierdzą, że w tym rodzaju, nie tylko dawnością, ale i wartością nawet romans Potockiego na pierwsze zasługuje miejsce..

...Był on (jakby to dawniej powiedziano), wielce srogim przyjacielem nieboszczyka ojca mego, który mu się nawzajem wywiązywał staropolską uprzejmością i szczerością serca, nieraz mu prawdę po chrześcijańsku w oczy mówił i upominał w jego usterkach, jak przystało na sędziwszego przyjaciela. Potocki godzien był tej sumiennej przyjaźni. Szlachetne serce jego zawsze brało górę nad miłością własną. Wdzięcznie, z czułością prawej duszy, przyjmował z ust ojca surowe częstokroć przestrogi. Nieraz po takowej przyjacielskiej *exproba*cyi na cztery oczy, przychodził do nas dzieci i z wesołą twarzą mawiał: Papa wasz dobrze mnie wyłajał — i niesłychane rzeczy mnie mówił.

.....

Wszakże pierwszą, główną przyczyną i niejako źródłem wszystkich tych anomalii ducha jego był *libertynizm* myśli, lekceważenie wielkich prawd Chrystyanizmu, owe *Cholera morbus* XVIII wieku, które niemal wszystkie umysły tej epoki, jeśli nie przyprawiło o zgon duchowny, to przynajmniej zaraziło nieuleczoną odrętwiąłością, wycieńczeniem żywotnych sił duszy. Nie dziw więc, iż nieb. ojciec, który do śmierci przechował w całości wiarę staropolską, liczne miał powody do sprzeczki z Janem Potockim, lubo wszelką oddawał sprawiedliwość szlachetnemu jego charakterowi.

.....

Ojciec mój po prostu, (jak to mówią), zapędzał go do kościółka i nastawał na zerwanie pewnych nieprawych stosunków, nie wdając się w żadne kontrowersye uczone. Potocki z nim nie drwił, nie mędrkował, lecz, jak mógł najskromniej, wykręcał się z podobnych przepraw. Niekiedy tylko w roztargnieniu, z zwykłym osłupionym wzrokiem, nakształt aktu strzelistego, wypuszczał taką protestacyę: »Kochany sąsiedzie, jestem uczonym!« (*Mon cher Voisin! je suis un Savant!*) To było z jego strony niejako przypomnieniem jego profesyi, która niby miała za usterki odpowiadać; jak gdyby, na przykład, rzemieślnik obuwia protestował się: Szewc jestem, cóż dziwnego, że mnie widzisz pijanym? Ale ojciec inaczej to uważał i mawiał do nas, dzieci: On mi powiada, że on *Savant* — a to jest tylko pycha. Szkoda człowieka!!

.....

Str. 192—195. ...Roku 1815, nie pamiętam którego dnia, miesiąca listopada, było to po moim z Warszawy powrocie. Siostry podówczas zimę przepędzały w Wiedniu z szwagrem moim. Grocholskim, i tylko ciotka nasza, Budziszewska, my dwaj synowie, kuzyn nasz, X. Konstanty Czetwertyński, i kilku przyjaciół domu, składaliśmy towarzystwo familijne przy ojcu w Janowie. Już od kilku niedziel dochodziły nas wieści z Uładówki o niedobrem zdrowiu p. Jana i atakach jego podagrycznych. Zbierałem się więc go odwiedzić, tem bardziej, że różne niedorzeczne pogłoski o nim krążyły po sąsiedztwie. Między innymi, jakoby on, niedawno powróciwszy z Krzemieńca, dlatego zachorował, że jego dzieło chronologiczne, w drukarni krzemienieckiej częściami wytłaczane, miało być w proch obróconem potężną krytyką erudyków Krzemieńca! *Risum tenentis amici!* Krzemieńca! który od początku założenia swego żadnego znakomitego filologa łacinnika, jakim był Naruszewicz, Piramowicz, a nawet Dmochowski, nie był w stanie ukazać, a cóż dopiero hellenistę, orientalistę albo archeologa??

Sam Potocki wezwał mnie do siebie tego dnia dość wesołym biletem. Jakoż podałem myśl kuzynowi memu, Konstantemu Czetwertyńskiemu, zabawienia się trochę łowami z chartami po drodze Uładowieckiej. Po rozrywce myśliwskiej mieliśmy konno odwiedzić sąsiada chorego. O trzeciej po południu na koń wsie-

dliśmy. Wyjeżdżamy na groble, prowadzącą do Uładówki. Jakiś zadyszany oficyalista biegnie przeciwko nam także konno. Był to koniuszy p. Potockiego. Nie dał nawet nam czasu zapytania się go, co się z jego panem dzieje — tylko, dopadłszy do nas, chrypliwym krzyknął głosem: »Nasz pan hrabia dopiero co się zastrzelił! Niech panowie zmiłują się i prędzej przybywają. P. rządcą po strzale, wpadłszy z ludźmi do pokoju, zastał pana z roztrzaskaną głową rozciągniętego na łożu; — lękając się odpowiedzialności, opieczętował pokój, który bez takowych, jak panowie, świadków, odemkniętym być nie może«... — Na te słowa mój kuzyn i ja oniemieliśmy, przerażeni zgrozą, a porzawszy po sobie chwilkę, rzekliśmy pospołu: »Niema co robić, trzeba jechać«. I dalej w konie.

Kiedyśmy przybyli do Uładówki, już dobrze zmierzchało, jak zwykle w krótkich jesiennych dniach. Znaleźliśmy w pierwszym pokoju rządcę z oficyalistami — wszyscy bladzi, nieruchomi i milczący. Podali świece, bo już noc była. Ukazała się oczom najprzód okropna pieczęć, na drzwiach pokoju sypialnego świeżo przyłożona. Prawdziwa pieczęć grobowa, lecz nie zwiastująca wesołego zmartwychwstania. Zerwano pieczęć. Już drzwi otwarte. *Voi ch'entrate, lasciate ogni speranza!* Kto pierwszy wejdzie? »Idź ty, bracie, pierwszy — ozwał się do mnie wrzucony Czetwertyński. — Tyś był jego przyjacielem!...« Okropny to był próg do przestąpienia. Wszakże wahanie się w tak ciężkiem położeniu jeszcze mi się przykrzejszem wydało. Porywam więc świecę — i wchodzę. Za mną drudzy. Wszędzie cichość wielka. Rzucam okiem po pokoju — wszędzie dość porządnie — nic w tem pomieszkaniu śmierci nie zdawało się zapowiadać gwałtownej jej ofiary. Tylko jeden zakątek, gdzie łóżko stało... ah! straszny to zakątek!... będę go długo pamiętał. — Nakoniec trzeba było i do niego przystąpić... Leżał na łożu Jan Potocki w szlafroku, obrócony niby twarzą do muru. Położenie jego ciała było tak spokojne, jakby człowieka głęboko uspięnego — żadnego nie było widać konwulsyjnego rzutu członków. Ręce przed sobą miał niby od niechcenia rozwarte, obok nich złowróźbny pistolet na pościeli, w części rozerwany. Przystąpił także ze świecą Konstancy i szuka oblicza — ale tego ani śladu nie było. Całe wysadzone zostało na miazgi potężnym strzałem,

i tylko tylni czerep głowy z mózgiem drgającym, jakby naczynie jakie garncarskie strzaskane, ukazał się przed oczy. Po ścianie, po posadzce, wszędzie wokoło nas było pełno mózgu. W mózgu Potockiego jednemu z nas noga się poślizła. *Abominatio desolationis!!!*

Niepodobna było długo wytrzymać tego widoku zgrozy. Obróciliśmy się więc w inne strony. Rzuciłem okiem na stół, gdzie były papiery i książki jego. Żadnego na nim śladu ostatniej jego myśli, uczucia, lub jakiegokolwiek woli nie znaleźliśmy — jeno, (i to było może najmniej pocieszającym) na jednej ćwiartce kilka karykatur dzikiej fantazyi, świeżo biegłą ręką naszkicowanych.

Pytaliśmy ludzi o szczegóły tej katastrofy. Wszyscy zgodnie twierdzili, że pan był wprawdzie niezdrów od kilku niedziel, lecz w tym samym dniu był dość wesół — a nawet zrana kazał wypłacić pensję wszystkim swoim oficyalistom; że się spodziewał mnie widzieć i oczekiwał mego przybycia; że nagle, po obiedzie, wypędził swego wiernego kundelka, *Pateau*, który, skowycząc, wciąż dom obiegał; że potem, w kwadrans, posłyszano strzał i nic więcej — a kiedy wpadli ludzie do pokoju, zastali to, cośmy sami widzieli.. Później nieco dostrzeżono, iż on, pistolet jakiś stary znalazłszy, nabił nie kulą, (bo jej nie miał), ale gałką ołowianą od pokrywki jakiejś puszki, którą, widać było, iż w miarę, jak go melancholia opadała, dość mozolnie nożem odrzynał, czego też w jednym dniu dokazać nie mógł.

Taki był koniec Jana Potockiego, krajczyca w. koronnego, wielu towarzystw uczonych członka!!

CIV.

HOŁOWIŃSKI IGNACY

(1807—1855).

Urodził się dnia 24 września 1807 r. w Owruczu. Ojciec, Piotr, szlachcic podupadły, był ekonomem, trudnił się potem handlem, zarządzał dobrami Bazylianów, osiadł wkońcu w Wiacowie, gdzie zakończył życie w r. 1810, pozostawiając wdowę z ośmiorgiem dzieci bez żadnych środków do życia. Matka Hołowińskiego, Dominika z Łęskich (zm. w 1837 r.), ciężko pracowała, aby móżdż wychować i wykształcić dzieci. Żywot ten pełen poświęcenia świątobliwej niewiasty opisał wdzięczny syn w pięknym wspomnieniu: »Życie mojej matki«.

Pierwsze nauki pobierał Hołowiński w szkołach pijarskich w Międzyrzeczu Koreckim; po ich ukończeniu, 18-letni młodzieniec obrał stan duchowny i wstąpił do seminaryum w Łucku w r. 1825 (29 wrześ.) gdzie się uczył do końca roku następnego (1826). Stąd wysłano go do Seminaryum Głównego w Wilnie. Przyjęty 17 stycznia 1827 r., kolegował tu z Tomaszem Dobszewiczem, późniejszym profesorem teologii uniwersytetu kijowskiego, a swoim następcą na katedrze, i z Placydem Jankowskim (księdzem unickim, odstępca i powieściopisarzem). Jako alumn seminaryum głównego, kształcił się Hołowiński na wydziale teologicznym uniwersytetu wileńskiego. Oddawał się w Wilnie nie tylko studjom teologicznym, ale i literaturze. »Profesor literatury, Leon Borowski, skąpy w pochwały, rozbierając ćwiczenia wierszem Hołowińskiego i ukazując ich wady i zalety, nie szczędził mu zachęty« (Ks. Dobszewicz, »Wspomnienia«). W r. 1830 studia swoje w Wilnie Hoł. ukończył ze stopniem magistra teologii; wyświęcony na diakona (7 lipca), wyjechał do Łucka. Tu, dnia 25 września 1830 r. otrzymał święcenie kapłańskie; poczem został »kapelanem« czyli nauczycielem religii w gimnazjum w Żytomierzu. W lat kilka potem (1835) mianowano go kanonikiem katedralnym żytomierskim i profesorem teologii w uniwersytecie kijowskim (1837). Gdy w r. 1839 zamknięto

chwilowo uniwersytet w Kijowie, Hołowiński wybrał się w podróż, przez Odesę i Konstantynopol, do Ziemi Świętej. Zwiedziwszy wszystkie miejscowości, upamiętnione w Żywocie Zbawiciela, — był i na Libanie, w klasztorze ormiańskim Betcheszban, gdzie mu zakonnicy opowiadali o Juliuszu Słowackim, że spędził u nich kilka tygodni i pisał »Anhellego«, — Hołowiński wrócił, po 6-miesięcznej podróży, pod koniec grudnia tegoż roku do Kijowa. Podróż tę opisał potem w dziele p. t. »Pielgrzymka do Ziemi Św.« (w formie listów do brata), jednym z najcelniejszych w literaturze naszej podróżniczej.

W Kijowie, który był wtedy ogniskiem życia umysłowego Wołynia, Podola i Ukrainy, Hołowiński stykał się z Grabowskim, Rzewuskim, Kraszewskim, Swidzińskim, Przeździeckim, brał udział w zebraniach literackich, był uczestnikiem zjazdu w Cudnowie w r. 1841 u Rzewuskiego. Z Rzewuskim i Grabowskim wszedł w bliższe stosunki, tworząc wraz z nimi coś w rodzaju tryumwiratu, który, przy pomocy »Tygodnika Petersburskiego«, usiłował kierować społeczeństwem w duchu zasad konserwatywno-klerykalnych. Pracę literacką w Kijowie rozpoczął Hołowiński od przekładów Petrarki i Szekspira; ogłaszał je pod pseudonimem Kefalińskiego, zgrecyzowanym odpowiednikiem swego nazwiska. W dwu tomach wydanych w Wilnie (1840—41) »Dzieł Szekspira« zawarł przekład sześciu jego dramatów: »Hamleta«, »Romea i Julii«, »Snu w wigilię św. Jana«, »Makbeta«, »Króla Lira« i »Burzy«. Tłumaczenia Hołowińskiego nie odznaczają się wogóle zaletami poetyckimi, ani wykwentem formy. Przekłady jednak Szekspira, pomimo, że Słowacki złośliwie się o nich w »Beniowskim« wyraził (»Szkoda, że w księdzu Kefalińskim znika Szekspir; przyczyną jest trudność połogu w stanie bezzennym«, pieśń II), były pierwszemi w naszej literaturze tłumaczeniami dzieł wielkiego dramaturga brytańskiego, dokonanemi nie z przeróbek francuskich, lecz wprost z oryginału i bez samowolnych zmian i skrótów. O tłumaczeniu »Hamleta« wyraził się nasz hamletolog, Matlakowski, że »stanowić będzie na zawsze w języku naszym epokę, jako pierwsze usiłowanie na drodze poznania i rozpowszechnienia u nas dzieł wielkiego pisarza bez pośrednictwa osób trzecich; Hołowiński pojmował doskonale ducha poety« (»Hamlet«, Kraków, 1894. Wstęp str. CCCLXXXIV). (Odmiennego zdania był Tyszyński).

W r. 1842 wezwany do Petersburga, Hołowiński mianowany został rektorem przeniesionej z Wilna do Petersburga Akademii duchownej. Rektorat i profesura — objął bowiem jednocześnie dwie katedry w Akademii: dogmatyki i homiletyki, — nie stanęły Hołowińskiemu na przeszkodzie do rozwinięcia płodnej, szczególnie w pierwszych latach pobytu w stolicy nadnewskiej, działalności literackiej. Pomimo że należał do t. zw. koteryi Tygodnikowej, nie był bezwzględnym wyznawcą skrajnie konserwatywnych poglądów Rzewuskiego i Grabowskiego, był bardziej umiarkowany i w listach do ks. Chołojewskiego oburzał się na absurda Rzewuskiego w »Mieszaninach«.

Ale w »Tygodniku Petersburskim« umieszczał dużo artykułów, a jej redaktora, J. E. Przeclawskiego, człowieka charakteru lichego, ślepo wielbił, bo »on pierwszy zdrowsze zdania puścił u nas w obieg« (Zob. list do Grabowskiego z r. 1842). To też młodzież postępową, skupiającą się około »Gwiazdy«, organu opozycji przeciwko obskurantom z »Tygodnika«, nie lubiła Hołowińskiego i ostro nań napadała, a w jednym z wierszyków ulotnych przezwała go »Akefalińskim nicownikiem Szekspira«.

Dwie przedewszystkiem rozprawy Hołowińskiego, w »Tygodniku Petersburskim« umieszczone, a duchem obskurantyzmu przeniknięte, musiały postępców razić: w jednej, p. t. »O metodzie filozofii« (1842) bronił metody scholastycznej w sporze między filozofią a religią; w drugiej: »O stosunku bezpośredniej filozofii do religii i cywilizacji naszej« (1846) wystąpił bezwzględnie przeciwko Trentowskiemu i przeciwko heglizmowi wogóle. Działalność E. Ziemięckiej, która w swym »Pielgrzymie« (1842—47) krzewiła t. zw. filozofię katolicką, Hołowiński popierał, a w piśmie jej m. i. umieścił dyalog dydaktyczno-moralny p. t. »Wieczór na wsi« (1842).

Utwory Hołowińskiego beletrystyczne, w dobie petersburskiej powstałe, w swoim czasie chwalone, zarówno wierszowane, — jak popularne niegdyś »Legendy« (1843) i poemat religijny w rodzaju »Przenajświętszej Rodziny« B. Zaleskiego, p. t. »Dzieciątko Jezus« (1846), — jak i powieść »Rachel« (1847), są płodami poronionemi. Inne pisma swoje wydał Hołowiński w dwu zbiorach: »Teki rozmaitości« (1844) i »Pisma Żegoty Kostrowca« (1848). W wykładach swych homiletycznych w Akademii Hołowiński pierwszy scharakteryzował i ocenił trafnie kazania mówców religijnych z doby »makaronicznej« (XVII w.) — Birkowskiego, Wereszczyńskiego, Młodzianowskiego.

W r. 1848 (24 grud.) Hołowiński wyświęcony został na koadjutora arcybiskupa Dmochowskiego, metropolity mohylowskiego, a w trzy lata potem, w październiku (22) 1851 r., po śmierci Dmochowskiego mianowany metropolitą mohylowskim, Hołowiński otrzymał pallusz z rąk cesarza Mikołaja I. Rządził archidiecezją sprężyscie. Zmarł w Petersburgu 19 października 1855 r.

Działalność Hołowińskiego arcypasterska nie jest jeszcze należycie oceniona, a stanowisko jego, jako Głowy Kościoła w Cesarstwie, wobec rządu nie jest dostatecznie wyświetlone. Sądy o nim są sprzeczne: jedni (jak ks. Dobszewicz) sądzą go surowo, inni starają się go zrehabilitować, (jak ks. Symon, ks. Czaykowski) i odrzucają legendę, jakoby grał wobec rządu rolę Wallenroda.

Jako kaznodzieja i profesor był Hołowiński ceniony i lubiany, czego dowodzi wspomnienie o nim pośmiertne ucznia jego, (którego na kapłana na krótko przed swoją śmiercią wyświęcił), ks. Szczęsnego Felińskiego, późniejszego arcybiskupa warszawskiego. Stylista utalentowany, ale poetą nie był.

BIBLIOGRAFIA.

A) Pisma Hołowińskiego: Osobno wyszły: »Dzieła Wil. Shakespear'a«, przekładał Ignacy Kefaliński, 2 t. Wilno, 1840—41. (Przekład dramatów: Hamleta, Romeo i Julia, Sen w wigilię św. Jana, Makbet, Król Lir i Burza). — »Pielgrzymka do Ziemi Świętej«. 5 tomów. Wilno. 1842—45; wyd. drugie w jednym tomie. Petersburg, 1853. — »Legiendy«. Wilno 1843; wyd. 2-gie Petersburg, 1855; 3-cie Złoczów, 1899 (Bibl. Powsz.). — »Teka rozmaitości« Wilno, 1844 (Zawiera: »Życie mojej matki«, »Opuszczony klasztor i ksiądz kapucyn«, »Wieczór na wsi«, »O metodzie filozofii«, »ŚŚ. Perpetua i Felicjta«, »O św. Teresie i jej dziełach«). — »Obraz Cebesza i Doręcznik Epikteta. Wilno, 1845 (przekład z greckiego, z wstępem i objaśnieniami). — »Dzieciątka Jezus« Wilno, 1846. — »Rachel« powieść, Wilno, 1847. — »Pisma Żegoty Kostrowca« 2 t., Wilno, 1848. (Zawierają: Tom I: Wstęp, »Korona« legiendy; »Rusałki«; »Dwie mary«, »Dziedzic«, »Dwaj bracia«; tom II: »Pisma św. Grzegorza Nazjanzeńskiego«, »O stosunku bezpośredniej filozofii do religii i cywilizacji naszej«). — »List pasterski«... 1852 (3 listy osobno wydane). — »List biskupa Karysteńskiego«... Kijów, 1850. — »Mowy pogrzebowe« Wilno, 1856. — »Hymny kościelne«... przełożył z łaciń. Ign. Hoł. Kraków, 1856. — »Miesiąc maj, poświęcony Najśw. Maryi Pannie«. Przerobiony z włoskiego. Kraków, 1857; wyd. 2-gie, 1859; wyd. 6-te, 1898. — »Kazania niedzielne, świąteczne i przygodne, oraz allokucyje miane w Petersburgu« Kraków, 1857. — »Homiletyka« Kraków, 1859. — »Akty i gramoty ob ustrojstwie rymko-katoliczeskiej cerkwi w Impierji Rosijskiej i Carstwie Polskom« Petersburg, 1849 (po rosyj. wyd. urzędowe). — Wydania popularne: »Betleem« wyd. ludowe. Lwów, 1888. — »Jeruzalem-Golgota« wyd. ludowe. Lwów, 1891. — »Życie mojej matki« w przekł. rosyjskim w czasop. »Sowremiennik«. — »Kazania J. Wereszczyńskiego« Petersburg, 1854 — poprzedzone wstępną rozprawą o Wereszcz. — Artykuły (rozprawy i inne) pomieszczał Hołow. w »Pamiętniku religijno moralnym« (p. m. i. o Wereszczyńskim, Młodzianowskim...); w »Tygodniku Petersburskim« (tu m. i. rozprawy: »O metodzie filozofii« (1842) i »O stosunku bezpośredniej filozofii do religii i cywilizacji naszej« (1846); w »Pielgrzymie« (tu m. i. »Wieczór na wsi« (1842); w »Athenaeum«. — Przekład niektórych sonetów Petrarcki w »Rusałce« 1842. — Listy: 7 listów do ks. St. Chołoniewskiego, »Kron. Rodz.« 1883; list do M. Grabowskiego. »Kron. Rodz.« 1883; z listu do tegoż uwagi o pokorze w religii w Grabowskiego »Korespondencji literackiej«, II; list w Wspomnieniach ks. Dobszewicza; 4 listy w art. ks. Symona w »Charitas«: list do H. Rzewuskiego w »Kwart. Teolog.« 1903; wyjątki z listów do E. Ziemięckiej w art. Chmielowskiego w »W. Encykl. Powsz.«.

B) O Hołowińskim pisali: Ks. Iwaszkiewicz: »Mowa na pogrzebie«... Petersburg, 1855. — Ks. Feliński: »Wspomnienie z życia

i zgonu Ign. Hołow. « Warszawa, 1856. (Toż w »Pamiętniku relig.-moraln.« 1856). — J. Bartoszewicz: »Hoł. Ign.« Enc. Orgelbr. XII (1863). — Przeclawski o Hoł. w »Ruskaja Starina« 1890 (niezbyt wiarygodne). — Kraszewski w »Athenaeum« 1845, I. — Ks. Feliński: Pamiętniki. Kraków, 1897. — Ks. Dobszewicz: Wspomnienia z czasów, które przeżyłem. »Przegl. Pol.« 1883. — Ks. Chołoniewski: »Opis podróży kijowskiej« Lwów, 1886. (Zob. też ks. Badeniego »Ks. St. Chołoniewski« Krak. 1888, str. 339—341). — Tad. Bobrowski: Pamiętniki. Lwów, 1900, t. I, 390—393. — xxx: »Konstanty Ireneusz Łubieński, biskup sejnejski«. Kraków, 1898, str. 55—57 i n. — Ks. Symon: »Z życia i korespondencyi ks. Hołowińskiego«. »Charitas«. Księga zbior. Petersburg, 1894. — Ks. Czaykowski: »Nowy komentarz do charakterystyki Hołowińskiego«. »Przegl. Powsz.« 1905. (Art. oparty na wspomnieniach ks. Owsianego). — Art. w Encykl. Kośc. — Ks. Popławski: »Hoł. Ign.« w »W. Encykl. Powsz.« — O utworach Hoł-go pisali: Ziemięcka w »Pielgrzymie« 1843—46; Kraszewski w Bibl. Warsz. 1846, III; K. W. tamże; B. Dziekoński w »Dzwonie« 1846; Bezimienny w »Pam. relig.-moraln.« 1851-57 — Tyszyński w »Rozbiorach i kryt.« t. I i III; Grabowski w »Koresp. liter.« I. — Chmielowski: »Hoł. Ign.« W. Enc. Powsz. (korzystał z listów do E. Ziemięckiej). — Struve: »Hist. logiki jako teorii poznania«. Warsz. 1911. — Ks. Gabryl: »Filozofia ks. arcyb. Ignacego Hołowińskiego«. »Ateneum kapłańskie«. 1911, czerw. — O przekładzie Szekspira pisali: Kraszewski w »Tyg. Petersb.« 1840. — Tenże: »Hamlet« w przekł. Kefalińskiego. Wybór. Pism X (Warsz.) — Tyszyński w Bibl. Warsz. 1841, III. — Tarnowski: »Szekspir w Polsce«. Rozpr. i Sprawozd. IV. — Matlakowski: »Hamlet«. Kraków, 1894. — Zahorski: Szekspir w Polsce. (Dzieła Szekspira, pod red. Biegeleisena IX. Lwów, 1897).

A) Pielgrzymka do Ziemi Świętej (1842—45).

(»Pielgrzymka do Ziemi Świętej«. Wyd. drugie, Petersburg, 1853).

Pielgrzymkę tę odbył ks. Hołowiński w r. 1839 — z Odessy, przez Konstantynopol i Azję Mniejszą.

Podajemy początek opisu Konstantynopola, opis klasztoru Betchesban na Libanie, w którym w r. 1837 przebywał Słowacki, i początek opisu Jerozolimy.

Konstantynopol i przedmieście.

809) *Str. 10—12.* Po trzykrotnem ogłoszeniu w gazetach odeskich o moim wyjeździe i po odbytych wielu formach, wsiałem dnia 9 lipca na statek parowy, Alexandra,

i o dziesiątej godzinie z rana puściliśmy się do Carogrodu. Piękny był widok, gdy w szybkim pędzie statku przedstawiały się kolejno wszystkie domy Odessy i wkrótce, bo w 10 minut, zniknęło miasto. Parochód pruł piorunem ciche morze; obracałem wzrok ku rodzinnej stronie, którą porzuciłem, nie będąc pewny, czy ją kiedy obaczę; jużem się zaczął smucić, gdy przyszły na pamięć słowa Bajrona: Czego mam płakać? za kim? i po kim? kiedy nikt po mnie nie płacze. Śmierć moja, myślałem, nie zrobi nikogo nieszczęśliwym: matka już u Pana Boga, a przyjaciele skończą na westchnieniu. Im dalej w lata, tem bardziej puścieje droga życia naszego: tem mniej wieźów doczesnych: tem swobodniej duch nasz, ten wędrowiec, często wzgardzony i niepojęty od świata, unosi się do Twórcy i tam składa skarby uczucia na łonie najlepszego Ojca. Mocno się cieszył, mój bracie, z mego samotnego położenia w świecie. Wesole rozmowy i śmiechy majtków wybiły mię z tego zamyslenia, i starałem się poznać moich towarzyszków podróży. Kapitan okrętu, Anglik, pod grubą powłoką miał czule i szlachetne serce; podróżujących ze mną było czterech: młody kupiec z Taganroga, Grek, dobrze ukształcony, kupiec z Odessy, co grał zabawnie rolę wielkiego pana, feldjeger z depeszami, Niemiec, który ustawnie o sznaps wołał, i dwudziestoletni Peryota, co zwiedził wiele krajów i mówił wielą językami. Przez cały dzień brzeg ziemi był widzialny, a po nim gdzieniegdzie usiane z początku kolonie i cerkwie uprzyjemniały widok. Najpiękniejsza pogoda ciągle trwała, i pierwszy raz w życiu oglądałem prześliczny zachód słońca na morzu. Około godziny dwunastej w nocy ujrzelśmy przy świetle księżyca wysepkę Serpentina, jedyną na morzu Czarnem, gdzie nic więcej niema tylko budki rybaków, przybywających tam czasami dla połowu ryb morskich; wysepka ta leży o 75 mil od Odessy. O, jakże ci opiszę ten nowy dla mnie widok? Całą noc przesiedziałem na pokładzie, tylko niebo i morze, oświecone tajemniczym blaskiem księżyca, przedstawiały się oczom. Nasz parochód jak ptak przelatywał puste i ogromne stopy wodne, który bijąc kołami, jakby skrzydły, zostawiał długi, prosty i biały szlak za sobą: z jego oddechu para stanowiła czarną wstęgę, ciągnącą się, jakby olbrzymiej długości bandera; po odmętach płynęły

złote rzeki, złożone z żywych iskierek księżycowego światła; koło statku często igrały stada delfinów, wznosząc nad wodę czarne i potworne grzbiety, odkrywały mnie świat drugi, świat morski. Wielka to przyjemność płynąć w piękną pogodę po morzu statkiem parowym! Ranek był śliczny, i słońce pomalutku podnosiło się z wody; ten widok wschodu na morzu daje pojąć w całej piękności tę baśnię Greków o noclegu Feba w kryształowym pałacu. Cały dzień dziesiąty lipca upłynął, i nie widzieliśmy ziemi; biedna ptaszyna zmęczona usiadła na naszym statku dla spoczynienia; napotykaliliśmy czasami okręty i witaliliśmy się wywieszeniem flagi. Parochody odeskie, które odbywają kolejno podróż do Carogrodu, chociaż bez porównania ustępują innym podobnym statkom, jakie potem widziałem, są jednak dość niezłe: za pierwsze miejsce płaci się 100 rub. as., a na pokładzie 25. Pierwsze miejsce stanowi niewielka salka, otoczona wkoło szafami, gdzie za firanką są łóżka na górze i na dole dla podróżnych; za stół płaci się sześć rub. as. dają rano i wieczór kawę i herbatę, przytem śniadanie, obiad i wieczerzę: bo masz wiedzieć, że na morzu wzrasta apetyt, chyba kto cierpi słabość morską; ale ja ciągle zdrów byłem. Jedenaściego lipca, około 8-mej godziny, ujrzeliśmy wzgórkowate brzegi Rumelii: tak więc we dwóch dobach przelecieliśmy 380 mil morskich, które liczą z Odessy do Carogrodu. Silniej uderzyło serce, kiedy powiedziano: Bosfor! Zdawa już się rysował ten kanał, jak ogromna rzeka; około przylądka Fanaraki czyli Fenerkei, ciągle walczą z falą skały cyaneńskie, które starożytni mieli za pływające. Młody mój towarzysz, Peryota, co w tej chwili chciał być moim cziczeronem, mówił mi, że na tych skałach jest ołtarz pogański z białego marmuru, na którym dawniej błagali Boga wiatrów przed zamierzoną żeglugą po niegościnnem morzu; ten ołtarz dziś zowią Kolumną Pompejusza. Brzegi Bosforu są dziwnie malownicze: naprzód się przedstawiają na stronie Azyi szerniałe wiekiem i porosłe drzewami mury genueńskiej twierdzy, a na europejskim brzegu tylko szczątki widać podobnej budowy. Potem rzędem, nad samym Bosforem, suną się tureckie baterye z ładniutką czworograniastą wieżyczką i strzałką, sięgającą wysoko. Często w prze-

ślicznych jarach, pokrytych cyprysami i ogromnemi klonami, co tu imię platanów noszą, można widzieć ładne wiejskie mieszkania z kamiennymi schodami aż do wody Bosforu. Wjeżdżając dalej w ten kanał, przy szybkim pędzie statku taki jest natłok uderzających przedmiotów, że opowiadacz nie w stanie wszystkich wymienić. Jest to chaos piękności, jest to prawdziwa panorama, gdzie opowiadacz ciągle pokazuje: to pałac letni sułtana, to Skutari, to Bujukdere, to Terapia, to przylądek Seraju, to kościół Ś. Zofii, to Pera i t. d. Wielki ten kanał, po obu stronach mający pasmo gór, spotyka wkońcu przylądek Seraju, oblany z jednej strony morzem Marmora, a z drugiej portem, co się nazywa Rogiem Złotym. U podnóża tych gór, otaczających Bosfor, wznoszą się pyszne gmachy i rozkoszne kioski, tak przy samym brzegu kanału, że fale płuczą marmurowe schody; stąd na górach kwitnące kwiaty i smutne cyprysy z innemi drzewami, co w całej swej wielkości pokazują się wyżej tych gmachów, zdają się zrazu babilońskimi ogrodami, wiszącymi w powietrzu. Wystaw sobie to mnóstwo wielkich budowli, pomieszanych często z gajem cyprysów, czyli cmentarzami; ten tłum meczetów, których lekkie i śliczne minarety zdały się lasem strzał, lecących w obłoki; te nadzwyczaj ściśnione domy, które się piętrzą po górach, i swoim nieładem piękniej je ubierają; wystaw sobie rozścielającą się ogromną płaszczyznę morza Marmora, i wspaniały Bosfor, ożywiony brygami i fregatami różnych narodów, wokół których tysiąc lekkich, pięknych i szybkich uwija się kaików, to jest łódek w kształcie księżycy na nowiu, a pojmiesz ten urok, w jaki mię wprowadziło tak cudne widowisko. Bardzo wierzę temu, co mówiono o jednym Angliku, który przyplłynąwszy do Carogrodu, obejrzał go tylko z Bosforu, i nasycony tym widokiem, nie wystąpił na brzeg, ale natychmiast odpłynął; bo w rzeczy samej, wiele się traci uroku za wyjściem na ziemię, gdzie lichota domków i nieporządek odczarowują; a nareszcie taka jest dziwna nasza natura, że to, co poznamy nawet po imieniu, już nie tyle uderza.

.

Liban...

810) *Str. 160—161.* ...Dnia 12 sierpnia, z rodzącym się dniem jechałem dalej ponad morzem i znajdowałem różne ślady: bądź skały nadbrzeżne, obrobione ręką ludzką, bądź głębokie cysterny, kute w opoce. Po godzinie drogi brzeg kamienny i w części zielenią okryty, zmienił się na piaszczysty, na którym, pod ogromną górą *Kastrawan*, widziałem dawny rzymski most nad suchem łożyskiem strumienia. Zaraz dalej rozciąga się wielka i dość szeroka zatoka, w której zawsze kilka batów postrzegasz i kilka chat na brzegu; nazywa się to miejsce *Dżiuni*, co ma znaczyć *Genue*, której mieszkańcy mieli na tem pobrzeżu osadę i port; lecz bardzo małe ślady zostały tej dawnej siedziby, to jest obrobione ręką skały, a w jednej z nich pokazywał mi rybak niby grób wykuty św. Jerzego; także kwadratowa wieża z ciosu, murowana, dla straży brzegów. Obejrzawszy te szczątki, powróciłem do rzymskiego mostu, za którym natychmiast wdzieralem się na bardzo wysoką nadbrzeżną górę, gdzie na szczycie wznosi się wielki klasztor armeński, nazwany *Betchesban*. Za przybyciem do klasztoru odwiedziłem natychmiast jenerała zakonników Ormian katolików, który mieszka w tym głównym ich domu: człowiek dość młody, wychowany w Rzymie, bardzo gościnnie i uprzejmie, lecz całe towarzystwo, bo nawet nowicyusze, okazywali gotowość usługi i uprzedającą grzeczność, co dziwnie gościa ujmuje. Klasztor porządny i czysto utrzymany, a końce korytarzów, jak to jest we wszystkich klasztorach, mając obszerne okna, dające widok na najpiękniejsze położenie, stanowiąc rodzaj bawialnych pokojów, są dywanami i sofami opatrzone; prócz tego mają pokój gościnny ładnie ubrany, z oknami obróconemi na najpiękniejszą okolice. Biblioteka klasztorna składa się z książek zupełnie w tym guście, jakie znalazłem w *Bezumar. X.* Jenerał i zakonnicy rozpowiadali mnie, że p. Juliusz Słowacki przepędził kilka miesięcy w tym klasztorze, i tu pisał swój poemat, *Anhelli*; nie można zarzucić naszemu poecie złego wyboru miejsca do natchnienia, bo z góry *Betchesban* rozwija się widok na różne wertepy skał i jarów, pokrytych wioskami, klasztorami albo zielenią ogrodów, a z drugiej strony, przy zatoce *Dżiuni* bly-

szczy nieogarniona płaszczyzna morza. Kościół, opodal stojący od klasztoru, może jest najpiękniejszy na Libanie: składa się tylko z jednej nawy i dwóch prezbiterii: jedno służy dla zakonników, drugie dla samej celebry. Wielki ołtarz znajduje się w głębi, a zaraz po jego bokach mieszczą się na pierwszym prezbiterium cztery ołtarze: malowidła włoskie dość ładne — wyrabiania esowate na białym libańskim kamieniu, nie są bez pewnego gustu, nawet kolumny wielkiego ołtarza, których trzy z każdej strony stoi w kształcie śruby, przeplatanej winną latością, mogą się bardzo podobać. W zakrystyi widziałem dawną kamienną urnę, obróconą na fontannę do umycia przede Mszą: ten kamień podługowaty, jak skrzyneczka, ma po bokach wieńiec dębowy, zawieszony na trzech byczych głowach, prześlicznie wyrabianych, a na samym brzeżku znajduje się następujący napis: Marek, Marka Juliusza syn, Centuryi pierwszej, żył lat 80¹⁾...

Jeruzalem.

811) *Str. 324—326.* Przykra, śliska i kamienna ścieżka wiodła nas po obnażonych i dzikich skałach, i po godzinie drogi od źródła Maryi przyszlśmy na dość obszerną dolinę, gdzieśmy znaleźli liczne ruiny jakiejś dawnej wsi albo miasteczka. Pusta i odarta ze wszelkiej zieleni dolina zowie się Wadi A tar, to jest miejsce głębokie; podanie utrzymuje, że na tej dolinie Jozue, gromiąc nieprzyjaciół, rozkazał stanąć słońcu: a więc to biblijna dolina Aja lon. Idąc tą długą doliną, ujrzelśmy po prawej stronie, na kamiennem wzgórzu, wioskę Bet-Cha n i n a, to jest D o m m i ł o s i e r d z i a. Tamże, nieco opodal odkryła się nam ogromnie wysoka góra, którąśmy ciągle widzieli aż do samej Jerozolimy, zowie się górą S a m u e l a; jest to dawne R a m a t a u m s o f i m, albo R a m a, co znaczy w y s o k o ś ć; tu się urodził i tu był pochowany Samuel. Całe dzieje Żydów pod tym sławnym Prorokiem nasuwały się pamięci na ten olbrzymiej góry widok, dziwnie czarujący, bo kiedy dokoła postrzegasz w dzikiej pustyni pokrajane skwarem opoki, których

¹⁾ M. M. Jul. K. P. vix. annis LXXX.

ani jeden listek nie uzienienia, wtedy wyskakuje góra Samuela, ustrojona bujnemi sadami. Sam jej szczyt zajmuje w zielonym wianku niewielka osada, ze dwudziestu kilku chat złożona, w której środku wznosi się bardzo stary meczet, zbudowany, wedle podania, na samym grobie Samuela, do którego tak Moślemini, jak i Żydzi z wielkiem uszanowaniem przychodzą. Z tej Rama, co w Nowym Testamencie nazywa się Arimateą, był rodem Nikodem i Józef arymatejski. Jednakże mieszkańcy pokazują nieco dalej, w końcu doliny Ajalon, zwaliska dawnej wsi Rum na samej pochyłości góry, którą wieś chcą mieć za Arimateę Nowego Testamentu.

Jakże ta droga usposabiała moją duszę do oglądania miejsca cierpienia i tryumfu Zbawiciela! Ta ziemia, pełna cudów i wielkości, z każdą chwilą nastroczała wspomnienia biblijne. Były to jakby przyśpiewki do wielkiego hymnu miłości Bożej, który dotąd wprawia w zdumienie ziemię i niebo; były to poprzednicze gońce, co zwiastowały miejsce tego widowiska, którego przedstawiały symbol albo przygotowanie. Gdyby okolica Jerozolimy uśmiechała się wdziękiem zieleni, rozkosznych łąk i gaików, gdyby ludnością roiła się ta strona i wesołemi wiejskimi obrazami nęciła przechodniów, wtedyby trudno było zebrać ducha do smutnych, ale szczytnych rozważań. Przeciwnie, teraz w całym obszarze od Biri aż do najświętszego w świecie miejsca głucha i straszna pustynia, nakształt Tebaidy Eremu, wtrącała mimowolnie w poważne dumania. »Nad górami wezmę płacz i lament i nad pięknymi puszciami narzekanie, bo spalone są dlatego, że nie masz męża przechodzącego, i nie słyszeli głosu dzierzawcy: od ptastwa powietrznego aż do bydła, przenieśli się i odeszli« ¹⁾. Drogi syońskie były puste, a cała ta przestrzeń dziwnie jest nastrojona do uczuć duszy chrześcijańskiej. W pośród wzburzonego morza tych skał, które ustawnie nakształt ogromnej fali piętrzyły się pod nieba, lub spadały głębokimi jarami, w pośród tej jednostajnie posępnej barwy, niosącej trwogę i smutek, wznosiła się najwyżej zielona góra Samuela, jakby wyspa przytułku lub nadpowietrzna oaza, na której z przyjemnością spoczywa wędrowca oko, zmęczone pu-

¹⁾ Jerem. 9. 10

stynią, jak ptak przelotem morskim. Podobnie i w duszy pielgrzyma, który się zbliża do upragnionego celu, do Jerozolimy, wśród tysiąca uczuć wzburzonych, wśród jakiegoś niepokoju i trwogi, wśród licznych myśli, którym wspomnienie tylu znie wag, cierpień, katuszy i śmierci Zbawiciela nadaje barwę jednostajnie ciemną i posępną, słowem, wśród tego morza boleści przebija się nad wszystko nieskończona miłość, Bóg-Człowiek, jako jedyny port słodyczy i pociechy, jako niebieska palma, oceniająca od skwarów tego świata.

W krainie górzystej, jak ci namieniłem, nagle odkrywa się widok miast i pospolicie wtedy, kiedy już się zupełnie zbliżysz, co nadzwyczaj przyczynia się do powiększenia pierwszych wrażeń. Nie potrafię ci opisać niespokojności, z jaką wdzierałem się na każdą po drodze skałę, w nadziei ujrzenia Grodu świętego; lecz długom się zawodził, a przynajmniej tak się wydawało mojemu gwałtownemu oczekiwaniu. — Ciało nadzwyczaj było znużone i drogą i skwarem, a dusza gubiła się w posępnych myślach. Słodko mię rozrzewniały wesole Galilei wspomnienia, z lubą choć niespokojną radością biegłem powitać Niepokalaną Dziewicę w Jej pomieszkaniu, a tu zbliżałem się jak syn, który wie, że lubego ojca zastanie już w grobie. Myśl, że grzechy ludzkie sprowadziły tę śmierć Boga-człowieka, obróciła oko duszy na własne sumienie: tak smutni i skruszeni podnosiliśmy oczy w stronę Jerozolimy. Nareszcie przybyliśmy około jedenastej godziny przed obiadem na białą wapienną górę i nagle ujrzelśmy przed sobą dość wielkie miasto, czepiające się po szczytach gór i opasane zębatymi wkoło murami. Jerozolima! wszyscyśmy krzyknęli i upadli na kolana, aby natłok uczuć wylać w świętej modlitwie. Trzej księża Bernardyni, moi towarzysze, co także po raz pierwszy mieli szczęście oglądać to najświętsze miejsce, nadzwyczaj mię rozczulili. W gwałtownem uczuciu boleści upadli na twarz, i wpośród łez, łkania i jęków powtarzali ustawnie: O Jezu, o mój Boże, o mój Zbawicielu! ale tak bolesnym głosem, tak z głębi duszy skruszonej pochodzącym, że to uczucie świętego żalu musiało się i we mnie przelać. Po tem pierwszym wrażeńiu, zebrawszy nieco myśli, odmówiliśmy głośno i razem modlitwy dla otrzymania zupełnego odpustu, który Kościół przywiązał do pierw-

szego ujrzenia Jerozolimy; i stąd tę górę zowią Chrześcijanie górą pokłonu, a na ten znak pobożni pielgrzymi układają w mały krzyż kamienie. Potem najserdeczniej uściskaliśmy się, winszując wzajem, że Bóg miłosiwny mimo naszą niegodność, osłaniał nas dotąd skrzydłem Swej opieki od wszelkich wypadków i pozwolił oglądać najświętsze miejsce na całej ziemi. Zdaje się, że nadal niewieleśmy dbali o wszelkie niebezpieczeństwa. »Teraz, Panie, puszczaj sługę Twego w pokoju, gdyż oczy moje oglądały zbawienie Twoje, któreś zgotował przed oblicznością wszystkich narodów«. — Długośmy stali, aby nieco oswoić się z tem widzeniem, i z tej białej góry, jak później się przekonałem, najwspanialej i najpiękniej przedstawia się Jeruzalem. Przyległa miastu opoka, po której czepiały się oliwy, panowała nad świętym grodem: to góra oliwna! Kościół Salomona, lub raczej meczet Omara, wznosił zgrabną kopułę nad wszystkie budowy; na Kalwaryi świątynia Grobu nieco wystawała nad inne pomieszkania; zresztą tłum ogromnych klasztorów i domów, rzadko przerywany wieżami i minaretami, nadaje odrębną postać świętemu miastu, zwłaszcza, że tu nie było drzew zieleni, pomieszanej z domami zwyczajem wschodnim, bo tylko gdzieś smutny cyprys wystrzelał samotnie; a jeszcze widząc tę masę kamienną domów, rzuconą na spiekłej opoce i otoczoną dokoła pustynią, trudno nie uczuć wielkiego wrażenia na ten widok stolicy skał, co wyłącznym pozorem i położeniem przybiera fizyognomię jakiegoś smutku i wielkości. Spodziewałem się znaleźć Jeruzalem albo w ruinach, albo niewielką i lichą osadą: z przyjemnem zadziwieniem postrzegłem miasto z wielkimi wieżami i ścianami, co tak tchną średnim wiekiem, że się może zdawać, jakby dotąd panowali tam Godfredy i Balduiny. »Jeruzalem, Jeruzalem, które zabijasz Proroki i kamienujesz posłańców Bożych, jakże mnogie i różne budzisz wspomnienia!« — Lecz ten tłum pamiątek, wszystkie dzieje Judy, wszystkie mordy i szturmy, a nawet wszystkie szanowne postacie prorocze, i ten Dawid z arfą, wszystko to bladło, gasło i znikało przed słońcem krzyża. Krzyż tylko i krzyż unosił się w myśli mojej nad tym grodem: Krzyż porywał do siebie całą duszę i serce; a tak otoczeni bolesnemi wspomnieniami męki i śmierci Zbawiciela, szliśmy piechotą do Jerozolimy i wstąpiliśmy do tego grodu przez damas-

ceńską bramę, przez którą zwykli byli wchodzić dawniejsi i pobożniejsi od nas pielgrzymi. Jednak teraz wolno chrześcijanom wchodzić każdą bramą, bez żadnej opłaty, bez żadnego pytania, albo przeglądania rzeczy, jak to było niebardzo dawno. Wkrótce przybyliśmy do klasztoru Zbawiciela.

B) Życie mojej matki (1844).

(»Teka rozmaitości«. Wilno, 1844).

812) *Str. 4—7.* Oddawna pragnąłem wywołać z mojej pamięci ten luby obraz, a im dłużej zastanawiałem się nad życiem matki, tem bardziej utwierdzałem się w mojem przedsięwzięciu. Czyż tylko ludzie sławni i wielcy mogą nas obchodzić? Czy w prywatnem życiu, pełnem nędz, choć próżnem głośnych czynów, nie może mieścić się wielkość charakterów? Czy w opisie podobnym nie można znaleźć silnego zajęcia i zbawiennej nauki? Wprawdzie znużeni jesteśmy ciąglem wywnętrzaniem się i dziejami osób, co tylko piszącemu nie są obojętne: jednak prócz największej przyjemności, jaką czuję w przywozowaniu na pamięć życia mojej matki, pragnę razem przedstawić zaciętą walkę obdarzonej wielkim umysłem kobiety z ostatniem ubóstwem i niemałemi cierpieniami, pragnę wykazać tę najżywszą ufność w Bogu, której wyraźne niepodobieństwa obalić nie mogły, w której nie zawiodła cudowna Opatrzność. Niechaj w tym zamiarze znajdzie wymówkę moja synowska miłość, która obudziła gwałtowną chęć wskrzeszenia pamiątki, najdroższej mojemu sercu.

.....

Rodzice matki mieli sześć córek i jednego syna, którego tylko pani Łęska lubiła, a dla córek była obojętną i surową. Ze wszystkich córek Dominika, dla swej przenikliwości i nadzwyczajnej żywości, zostawała w największej niełasce, stąd co dnia strofowania i kary, słusznie i niesłusznie, sypały się gradem na biedną Dominikę. Raz w domowej apteczce odkryła

się szkoda w konfiturach, a więc wezwano niewinną Dominikę, na nią bowiem zwalano wszystko, co się w domu stało, i kiedy starała się uniewinnić, wtedy jej matka w gniewie cisnęła kawał cukru, trzymany w ręku, i tak ugodziła w głowę niecierpianą córkę, że ta w omdleniu padła na ziemię, cała krwią oblana. Założono dziurę chlebem i pajęczyną i bynajmniej nie troszczono się, co z tego będzie. Ta surowość stanowiła całe wychowanie córek, które wówczas i w najbogatszych domach niewiele się uczyły. Pani Łęska mocno była przekonana, że prócz czytania, potrzebnego dla modlenia się, nic więcej nie powinny umieć panny; pisanie bowiem uważała za środek do zepsucia, jako nieczne narzędzie bilecików miłosnych. Jedyną chwilą, nieco przyjemną dla mojej matki, był czas przepędzony u jakiejś pani Mezerowej, niby na pensyi, gdzie się uczyła różnych kobiecych robót i ukradkiem pisania. Taka to była młodość i wychowanie, a ten wstęp, pełny cierpienia i nie osłodzony najmniejszą miłością matki, zdawał się zapowiadać nielepsze życie.

Nieład i różne klęski publiczne zrujnowały rodziców matki, którzy z ostatkami mienia przenieśli się na stałe mieszkanie do Międzyrzecza Koreckiego, gdzie mieli i dom własny i krewnego, rektora Pijarów, co im zawsze pomagał. W tak niekorzystnem położeniu wydanie córek było nadzwyczaj trudne i trzeba było o wiele spuścić ze zwykłego tonu, aby się pozbyć z domu ciężaru. Panna Dominika nie była piękna, ale przyjemna, wesola i pełna dowcipu, a w sądach swoich odkrywała niepospolity sposób myślenia.

W szesnastym roku jej życia przyjechał mój ojciec, Piotr, ze swoim bratem starszym, Jakóbem, dla starania się o rękę matki; a kiedy wieczorem udali się do przeznaczonego pokoju na nocleg, wtedy panna Dominika, zdjęta ciekawością, podsłuchiwała pode drzwiami następną rozmowę braterską: »Wszystko to dobrze — odezwał się Piotr — co mówisz o jej rozumie i szlachetnym charakterze, ale jaka szkoda, że nie jest ładna. — E! mój bracie — odpowiedział Jakób — piękności na talerzu nie krajać, a wianka z niej nie nosić«. — Lecz wkrótce i pan Piotr za bliższem poznaniem się z panną zmienił wyobrażenie i wstąpił z nią w dozgonne śluby.

To wyjście za mąż było jeszcze niżeniem się w stopniu towarzyskim, chociaż bowiem matka nie była majątną, jednak w domu obywatelskim przywykła do lepszego życia, a stosunki z lepiej ukształconemi osobami niemało przyczyniły się do jej oświecenia, zwłaszcza przy dziwnych zdolnościach przyrodzonych. Z tem wszystkiem, osoba młoda, żywa, wesola, z wyższemi pojęciami, umiała zastosować się do biedniejszego położenia. Mój ojciec pochodził z domu znanej szlachty Hołowińskich, ale ta gałąź oddawna jakoś zubożała, a do tego Piotr, jeszcze w małoletności osierocony przez ojca, nie odebrał wyższego wychowania i musiał utrzymywać się służbą ekonomską. W tak młodym wieku, w tak różnym sposobie życia, z tak wielkimi zdolnościami trzeba się było Dominice zagrzebać w najniższem towarzystwie na Polesiu i zająć się najniższemi pracami.

Matka mojego ojca, kobieta stara, prosta, ale poczciwa i wielka gospodyni, wcale nie była rada z tego ożenienia, uważała bowiem synową za paniątko, niezdolne do pracy i gospodarstwa. W samym początku, kiedy raz ojciec wyjechał z domu, świekra umyślnie wyprawiała za czemś sługę i sama nie wtrącała się do żadnej roboty, dla doświadczenia swojej synowej; wtem garnek zaczął zbiegać, matka w kłopotcie naciąga czempredziej rękawiczki, aby garnek odsunąć od ognia, ale i ręce popiekła i nic nie zrobiła. Świekra na to patrząc, rzekła poważnie: »Przepadł mój Piotr, wilki jego zjadły«, chcąc przez to dać poznać, że z taką żoną nie da sobie rady; ale matka wzięła te słowa literalnie i dalejże płakać po mężu, i biedna świekra nie tylko musiała garnek odstawić, ale jeszcze i cieszyć synową. W rok potem, świekra, przyjechawszy do syna, kiedy ujrzała czystość i porządek, a matkę gotującą jeść, kołyszącą dziecko i miotającą izbę, a wszystko to razem, wtedy w radości zawołała: »Ożył mój Piotr, i wilcy jego nie zjedzą«, bo rzeczywiście była to już bardzo rządna i pracowita gospodyni. Rok za rokiem pomnażała się familia w domu moich rodziców i z powiększeniem się wydatków i kłopotów, przy bardzo umiarkowanem życiu, nie tylko nie szemrała, ale z największą radością przyjmowała to błogosławieństwo Boskie. — »Panowie, — zwykła mówić — cieszą się majątkami, a my dziećmi«. I rzeczywiście, żaden ską-

piec, choćby idealny, nie miał tyle przywiązania do najdroższych skarbów, ile macierzyńskiej miłości spływało na nas z jej serca nie przebranego w najżywszą czułość.

.....

813) *Str. 11—19.* Ojciec, znękany więcej przeciwnościami niż laty, po całorocznej chorobie dokonał smutnego życia 1810 roku, zostawiwszy żonę i drobne dziatki zupełnie na Opatrzność Boską. Wszystko to sobie dobrze przypominam, miałem bowiem około lat dziesięciu. Z jakąż nieporównaną troskliwością zajmowała się matka po dniach i nocach około ojca, w czasie długiej jego choroby! Jak przy największym niedostatku umiała wynajdować środki, aby choremu na niczem nie zbywało! Z jakąż nareszcie boleścią przeniosła stratę tego, z którym przeżyła lat dwadzieścia, i który rzeczywiście był najlepszym mężem. Płakałem i truchlałem o własne jej życie. Biedna, kiedy jej męża zwłoki oddawano ziemi, kilka razy silnie zemdląła; my dzieci sądziliśmy, że i ona umarła, z wielką bowiem trudnością przywiodzono ją do przytomności. Skończył się bardzo ubogi i smutny obrzęd pogrzebu; biedna matka, nieutulona w żalu, widzi około siebie ośmioro sierot, z których najstarszy syn miał lat 18, a reszta od 14 lat aż do pięciu nieomal, szła stopniowo, bez żadnego grosza, sprzętu, wsparcia i żadnych krewnych; tuląc przeto do zboląłego łona biedne sieroty, rzewnie płakała, powtarzając: »Ach, dziatki moje! jakąż ja wam dam radę!« I rzeczywiście, sama jedna słaba kobieta, bez żadnej opieki, była rzucona igrzyskiem na ten świat szeroki, mając tylko w towarzystwie biedne sieroty, które jedynie z jej rąk utrzymania i wsparcia dla siebie wyglądały.

Gdyby tyle nieszczęść zważyło się razem na mężczyznę, mógłby upaść pod ich ciężarem; ale niezłomny umysł matki, przy wielkiej ufności w Opatrzność Bożą, nabierał w nowych przeciwnościach coraz większej tęgości i odwagi. Jej cnotliwe postępowanie, jej rzadność i znajomość w gospodarstwie, skłoniły jakiegoś szlachcica, cztery czy pięć chat mającego, do starania się o rękę biednej wdowy, a w tak wielkiej nędzy było to cudem; ale matka nie chciała i słyszeć o tem, bo w powrotnych związkach przewidywała niedolę swych dzieci — »moge

znaleźć męża, ale dzieciom ojca nie znajdę«. Takowe odmówienie oburzyło wszystkich znajomych, którzy ją upewniali, że zginie z tak drobnymi dziećmi; »nie zginę — odpowiadała — bo Pan Bóg jest ojcem wdowie i sierotom i pewnie mnie nie opuści«.

Nie było czasu oddawać się długim żalom, lecz należało myśleć o dzieciach: a naprzód opuściła strony owruckie, gdzie nikogo nie miała z krewnych, a przeniosła się w okolice Ostroga i Korca, kędy jej familii było gniazdo. Ale i tu nowy kłopot, bo któż przyjmie wdowę z ośmiu sierotami drobnymi; ledwo jeden Mikołaj, brat najstarszy, mógł się pomieścić w palestrze Ostrogskiej. W ostatniej przeto konieczności trzeba było rozdać choć połowę tej biednej dziatwy pomiędzy ludzi, aby i sama mogła gdzie znaleźć przytulisko i obmyślić jaki sposób wychowania synów. Był to cios dla niej najboleśniejczy i najcięższy, i bardzo często wspominała potem tę smutną epokę życia. »Mój Boże, — mówiła — co za okropne było moje położenie! Dzieci moje, wszystko moje, musiałam rozrzucać i nabijać się ludziom, aby to brali, co dla mnie tak drogie i na co me oczy napatrzeć się nie mogły«. Co to za boleść dla macierzyńskiego serca, trudno bez doświadczenia pojąć.

Tak miłosierdziu ludzi powierzywszy starsze dzieci, osiadła sama, z dzieckiem przy piersi, ze mną kilkoletnim i najstarszą córką, Teklą, przy rodzonej siostrze, która we wsi Sadkach miała kilka chat w dożywociu. Trudne to było położenie: ciotka była wprawdzie prosta, ale dobra kobieta, a choć matka i siostra pracowały w jej domu jak proste wyrobnice, jednak było to zawsze wielkim ciężarem dla niebogatej osoby, zwłaszcza dwoje dziątek drobnych niemało przynosiły kłopotu. Stąd łatwo wszczynaly się spory i wymówki, które się często kończyły wypędzaniem z domu, nim z ochłoniętym gniewem uczucie siostry znowu wzięło górę.

Tymczasem, jak na dobitkę, spalił się dom ciotki, i wszystkim potrzeba było znowu szukać schronienia. Tekla znalazła służbę w obcym domu: Sęstwo Gorlińscy wzięli na wychowanie najmłodsze dziecko, ledwo rok mające, ja byłem już nieco pierwej wzięty przez cioteczną siostrę mej matki, osobę dość majątną, gdzie razem była ze mną i moja siostra, Krystyna, niby

na opiece, a w rzeczy na służbie bez płacy, jak to zwykle wodzi się u krewnych.

O! tej ciotki nigdy nie zapomnę. Dziwna sprzeczność panowała w jej charakterze: lubiła bowiem towarzystwo, zabawy i dość była wesołą, a jednak dla domowych okazywała się najsurowszą. Edukacya moja szła następującym sposobem: wprawdzie siadałem do stołu, ale nadaremnie, bo przed najlepszymi potrawami był dla mnie szaniec nieprzebyty, to jest talerz pełny barszczu, którego jeśli czteroletnie dziecko nie zjadło, to nie mogło się tknąć następnych półmisków. Ten sam barszcz z obiadu przenosił się dla mnie na podwieczorek, na wieczerzę, nazajutrz na śniadanie, słowem póty mię ścigał zawzięcie barszcz niecierpiący, póki go z głodu nie zjadłem, a tu jak na biedę nowy następował. Prócz tego nie mogłem wywinąć się od kilku różeg co dnia, bo warunek był bardzo trudny: trzeba było nadrzeć pięknie kwaterkę pierza, które pociśnięte ręką, zawsze zostawiało próżne miejsce, a stąd zawsze mnie czyniło winnym. W czasie zabaw długich budzono mię w północ, dla śpiewania piosnek ukraińskich, które przestraszony i na pół rozbudzony nuciłem ze łzami, co kompanię niezmiernie śmieszyło. Nielepiej obchodzono się i z moją biedną siostrą. Dowiedziawszy się matka o podobnej opiece, przyjechała do pani siostry; lecz to przybycie matki niewiele mój los osłodziło, bo ciocia nie odstępowała w niczem od swej metody wychowania, a nie mając nigdy dzieci, nie pojmowała całej katuszy biednej matki, która musiała patrzeć na to znęcanie się nad dziećmi, a nie mogła dać żadnego ratunku. Jednak ta cierpliwość ostatniej nędzy nie wystarczyła przy wzrastającym humorze ciotki. Raz przyjechał brat najstarszy z Ostroga, co się darmo zajmował jej interesami; ciotka wówczas, nie wiem z jakiej przyczyny, była w gniewie na moją siostrę Krystynę i lżyła ją ostatnimi słowy; brat i matka ośmielili się jakieś słówko rzucić w obronie biednej dziewczyny; wtedy, uniesiona pasyą, tak uderzyła siostrę w głowę, że grzebienia zęby skaleczyły czaszkę i krew dokoła trysnęła. Cała ta scena stoi mi przed oczyma. Siostra skrwawiona, brat zбитy, matka w rozpacz potracona, i ten lament smutku, i ten krzyk gniewu, i to zbiegowisko wszystkich służących nie może zginąć z mej pamięci. Jednakże koniec tego dramatu, jak dla

mnie, był bardzo wesoly, kazała nas 'bowiem czworo wypędzić z domu. Na dworze była noc ciemna, choć oko wykol, błoto ogromne, a deszcz lał niemiłosiernie; wstęp do chłopskiej chaty surowym zakazem cioci był nam wzbroniony; ale jeden kowal, tknięty litością, dał nam ukradkiem schronienie w kuźni; tam brat z siostrą przepędził noc, a świtem udał się z nią do Ostroga; lecz matka ze mną umyśliła zebrać choć chwilowego przytułku u pobliskiego sąsiada ciotki; a że już było dość późno, przeto, nie tracąc czasu, pożegnała tamte dzieci, i wzięwszy mię na plecy, poszła biedna wśród ulewy do tego obywatela. W czasie drogi gorzko płakała; nie pojmując smutku, zwłaszcza wtedy, kiedy porzuciliśmy dom cioci, sądziłem, że się lęka o mnie i ciąglem powtarzał: »Nie bój się, mamu, ja się dobrze za szyję trzymam«. Łatwo wniesć, że ludzie obcy, ale bardzo poczciwi, przyjęli nas z największem współczuciem. Dotąd, prócz matki, nikt nie był dla mnie łaskawym, i nie mogłem się wydziwić, że sama pani domu osypywała mię niewymowną dobrocią; jakóż nieinaczej w dzieciństwie pojąłem naukę o niebie i piekle, tylko przez porównanie tych dwóch domów.

Synowie coraz podrastali i czas było do nauki, a tu żaden matce nie podawał się środek dopięcia tak upragnionego celu. Wszyscy litowali się nad jej położeniem, wszyscy byli pewni, że jej dzieci są przeznaczone na wieczną nędzę i prostotę, wszyscy kiwali głową, słysząc marzenia matki względem naszej edukacyi; ale to bynajmniej nie zachwiało ani jej przedsięwzięcia, ani ufności w najmiłościwszą Opatrzność Boską. W jej sercu macierzyńskiem głęboko leżało przekonanie, że swoim dzieciom da radę i pod starość ucieszy się owocem swoich krwawych wysiłków. W tych ciągłych zamiarach, łzach i modlitwach Bóg dobrotliwy natchnął jej myśl przeniesienia się do Międzyrzecza, gdzie były szkoły, i gdzie pracą mogłaby dzieci wyżywić i ukształcić; jednak brak pieniędzy dla najęcia mieszkania stanowił rozpaczającą tamę. Kiedy więc matka ubolewa nad tą przeszkodą, wtedy siostra Tekla, która na służbie potrafiła oszczędzić ze dwieście złotych, nie tylko oddała matce pieniądze, ale i siebie na usługę i pomoc dla wychowania braci. Takim to poświęceniem się i matki i siostry założył się początek naszego ukształcenia.

Z całą tą pomocą siostry była dziwna śmiałość przenosić się do obcego miasteczka, gdzie matka nie miała ani opieki, ani żadnej pomocy, a tylko na jednej i bardzo słabej nadziei utrzymywania uczniów budowała swój przytułek i wychowanie dzieci; ale z wiarą i ufnością w Boga jakież cnotliwy zamiar może być niepodobny? Początek bardzo był ciężki. Najęto część oficyny pijarskiej; oddawna stała pustką; okna powybijane obrazami przykryła, a mnóstwo gruzu trzeba było wynieść. Cały rok, jako nieznajoma nikomu, nie mogła mieć uczniów, nie miała przeto za co najać i sługi; w nocy, aby nikt nie widział, nosiła z siostrą wodę, prała bieliznę i najniższe spełniała posługi, a dniem szyła, robiła pończochy, aby jaki grosz na przeżycie zapracować...

.....

814) *Str. 21—23.* Rok za rokiem położenie matki stawało się lepszem, bo starsi synowie nie tylko już nie byli ciężarem, lecz za wyjściem na dozorców przy bogatych uczniach mogli podzielać się z matką oszczędzonym groszem. Tak przy ubóstwie było tam wiele przyjemnego, i nie bez rozczulenia obracam wzrok na te ubiegłe lata. Do dziś dnia stoi mi żywo w pamięci nasze pomieszkanie w Międzyrzeczu. Pierwszą izbę sama zajmowała, a drugi, dość wielki, pokój z alkierzykiem były napełnione łóżkami studentów. W tej pierwszej izbie stało w jednym kącie łóżko matki, a w drugim siostry; piec i kuchnia przy progu, okno jedno wysoko umieszczone i ławeczką opatrzone, na której matka lubiła siadać do roboty i odmawiać modlitwy, lub śpiewać pieśni pobożne, a szczególnie: o Boskiej Opatrzności, w którą miała nieograniczoną ufność i w niej starała się utwierdzać swe dziatki. Pamiętam, że prócz nauk w tym względzie dawanych, zdziałał na mnie niezatarte wrażenie mały obrazek, gdzie jedna ręka w obłokach sypała ziarno ptactwu, a druga rzucała chleb sierotom. O! jakże często lubiłem słuchać nauk o tej dobroci i opiece Boga, kiedy matka otworzywszy książkę do nabożeństwa, w której był obrazek wspomniany, tłumaczyła mi tę dziwną Opatrzność! — Dość pomyśleć, aby pojąć ten rozrzewniający widok biednej matki, otoczonej drobnymi dziećmi, żyjącej Opatrznością i śpiewającej o tej samej

Opatrzności, która, wedle wyrażenia pieśni, opuszczone kruczęta karmi. — Długo, długo, nie słyszałem tej pieśni, lecz kilka lat temu pokazywano mi pierwsze wydanie kantyczek, i przypadkiem otworzywszy książkę, trafiłem na pieśń o Boskiej Opatrzności, a czytając, nagle, z podziwieniem przytomnych, zalałem się łzami. Ach! bo z tą pieśnią związało się wspomnieniem całe pożycie ubogiej rodziny: do jej słów przylgnęły dla mnie na wieki i nuta i głos matki, na którego dźwięk w sercu, osobliwie po stracie tej najmilszej osoby, niepodobna się we łzach nie rozpląnąć.

Albo, jak zapomnieć te słodkie wieczory, kiedy dzieci zgromadzone przy matce, wśród wesołej rozmowy, wśród marzeń przyszłości lub różnych opowiadań, znajdowały przyjemne po pracy wytchnienie. Pamiętam raz w czasie wakacyi, kiedy przypadały imieniny matki, niektóre z dzieci umyślnie przyjechały dla złożenia powinszowań, i wtedy obudził się we mnie zapal do rymowania. O! jakże matka była szczęśliwą, nie tylko z widzenia szczerej wdzięczności dzieci, ale i z tego, że ksiądz prefekt Żebrowski chwalił moją ramotę...

.

815) *Str. 36—37.* ...Mój Boże, co to się działo w domu, kiedy które dziecko przyjechało! Był to prawdziwy gwałt wykrzyków radości, ale smutek zawsze w niej przemagał, i po pierwszym dniu już następowała żalność z przyszłego odjazdu syna lub córki, i z każdym dniem silnie wzrastała. Nie można było nawet żartem powiedzieć: »Chcę wyjechać, bo mama nie bardzo ze mnie kontenta« — prawieby się do nóg rzuciła, aby tylko zatrzymać. Trudno bez wielkiej boleści serca wspomnieć chwile odjazdu, kiedy matka posepna i w milczeniu grobowem patrzyła ze łzą cichą na przygotowanie do drogi. Mój Boże! do dziś dnia w mojej pamięci stoi ta smutna postać ze łzami, która w chwili odjazdu stara się zebrać moje drobnostki; darmo proszę, aby się nie chciała trudzić, darmo wezmę z rąk jej rękawiczki, to kapelusz miejsce zastąpi, a jeśli i ten wezmę, to z inną rzeczą stoi przede mną w niemej boleści: a to nie było skutkiem poważania swych dzieci, bo nikt lepiej nie umiał zachować godności macierzyńskiej, ale skutkiem nad-

zwyczajnej miłości, która znajduje największą przyjemność w najdrobniejszej usłudze lubemu przedmiotowi, co go ma stracić z przed oczu. O! smutny był każdy wyjazd, który matka długo, długo, łzawemi oczami przeprowadzała! O! smutniej i boleśniej jeszcze pomyśleć, że z jej stratą nie tej miłości nie zastąpi!...

.



WISZNIEWSKI MICHAŁ

(1794—1865).

Znakomity dziejopis literatury polskiej należał do rozgałęzionego rodu herbu Prus I, którego członkowie pisali się Wiszniewscy, Wiśniewscy, a nawet Wiszniowscy; jednym z protoplastów Michała Wiszniewskiego był Tobiasz Wiszniowski, poeta XVI w., słynny zaś prowincyał Pijarów, który odegrał znaczną rolę w dziejach »przewrotu umysłowego« w Polsce w XVIII w., ks. Antoni Wiśniewski, był stryjem jego dziada, Joachima Wiszniewskiego, i wychował jego ojca, Aleksandra. Ród Wiszniewskich pochodził z Mazowsza. Tradycya rodzinna głosi, że Aleksander Wiszniewski służył pod Kościuszką i część majątku na wojnę poświęcił, a po bitwie pod Maciejowicami schronił się do Galicyi. Około tego czasu ożenił się był z Marcyanną Borzkówną, córką Szymona Borzka, b. pułkownika wojsk polskich, i Zofii z Wężyków. Dnia 27 września 1794 r.¹⁾ urodził mu się w Firlejowie (pow. rohatyńskim, w ziemi Bełskiej) syn Michał. Matka odumarała go w niemowlęctwie, ojciec mało się nim zajmował. Pod koniec życia, wspominając o latach swych dziecinnych, Wiszniewski przytoczył charakterystyczny szczegół, że mając lat 7, czytał »z takim upodobaniem i zajęciem się« Żywoty Świętych Skargi, iż mu już »przychodziła ochota udać się na pustynię i tam przy żywym źródle kryształowej wody żyć korzonkami«. »Druga atoli książka, którą w tym wieku czytał, na wcale inną, jak opowiadał, zaprowadziła go ścieżkę«, — wznieciła w nim chęć zwiedzenia świata; — były nią osławione »Nowe Ateny wszelkiej sciencye pełne« księdza Chmielowskiego. »Ta książka tem silniej mnie zajmowała, iż zacny ks. Chmielowski był proboszczem w Firlejówce, gdzie ja się urodziłem, a pierwsze kroki stawiałem w ogrodzie, który on pierwszy ozdobił był łacińskimi napisami

¹⁾ Według metryki; rodzina twierdzi, że w r. 1796.

na deszczkach, które w tym dziele pilnie i wiernie podał dla wiadomości potomnych« (»Myśli« 104—106).

Gdy już Wiszniewski był pacholęciem, ojciec sprzedał swoją ziemię w Galicyi i przeniósł się na Wołyń; przedtem umieścił syna w szkole elementarnej we Lwowie, a niebawem oddał go do tak zwanego wówczas »gimnazjum wołyńskiego«, t. j. późniejszego liceum w Krzemieńcu. Tu odbywał nauki przez lat 7, od 1808 do 1815 r. (wstąpił do liceum w dn. 26 września 1808; otrzymał świadectwo ukończenia nauk dn. 1 maja 1815 r.); uczył się pilnie, a zachowywał przykładnie, ku zadowoleniu zwierzchności, za co też odbierał listy pochwalne. Od lat szkolnych datuje się cześć i uwielbienie, jakie Wiszniewski żywił przez całe życie dla Czackiego, i w pismach swoich kilkakrotnie złożył hołd jego pamięci i zasługom, czy to np. nazywając dobę 1795—1814 w dziejach literatury naszej »epoką Czackiego«, bo on »pierwszy zaczął«, według jego mniemania, »z prochu ocierać zagrzebaną naszą literaturę«, czy to wynosząc go, jako historyka, ponad Naruszewicza, czy ogłaszając na czele »Pomników historyi i literatury polskiej« nieznanego jego pisma z rękopisu (Zob. Historia liter. pol. I, Pomniki — wstęp; »Myśli«, 81).

Poza nauką szkolną w liceum oddawał się Wiszniewski gorliwie czytaniu dzieł filozoficznych i historycznych. Pewien wpływ na rodzaj lektury jego ówczesnej wywarły »Rady przyjacielskie« (1805) J. K. Szaniawskiego. »Młodzi naówczas wydzieraliśmy sobie w Krzemieńcu ową bałamutną książkę, a idąc ślepo za nieszczerą, choć to młodzieńcowi, a do tego przyjacielowi daną radą, porwaliśmy się do Kanta, ...którego p. Kalasanty jako cudo wieku i otchłań mądrości przed nami zachwalał i za jedyny sposób podniesienia do najwyższego światła podawał... gryzłem więc książkę Kanta z taką zajadłością, jak Ugolino głowę swojego wroga. Parę najlepszych lat na tej niewdzięcznej upłynęło mi pracy, czego nieraz gorzko żałowałem... Czacki... był wprost przeciwnego zdania: nie chciał do ulubionej szkoły swojej wpuszczać metafizyki i nie radził zajmować się filozofią niemiecką. Tego zdania był Jan Śniadecki«. (»Myśli«, 107—108). Niebawem i Wiszniewski odwrócił się od metafizyki niemieckiej i idąc w ślady Czackiego i Śniadeckiego, zwrócił się ku filozofii szkockiej zdrowego rozsądku. Znajomość języka angielskiego, nabyta w liceum, pozwalała Wiszniewskiemu oddawać się studyowaniu historyków angielskich. »Kilka książek, które w pierwszej młodości mi pod rękę wpadły, jak Robertson, Gibbon i różne autobiografie, jak Franklina lub Karpińskiego, nadały mi wcześniej dążność do dochodzenia prawdy metodą historyczną«. (»Myśli«, 80). Zamiłowanie do historyi i badań historycznych weźmie też w latach dojrzałych Wiszniewskiego górę nad młodzieńczym pociągiem do filozofii. Wielkim ułatwieniem dla Wiszniewskiego w nabywaniu wiedzy były zasobne księgozbiory krzemienieckie. Żałował później tych chwil, spędzonych w bibliotekach, tego młodzieńczego zapału, zużytego na wertowanie książek. »Najpiękniejsze

lata życia mego przepędziłem na wtajemniczaniu się w dzieła, które znalazłem w bibliotece Stanisława Augusta, do Krzemieńca przeprowadzonej, bibliotece zacnego Tadeusza Czackiego, Tarnowskiego i wielu innych w okolicy. Najszaleńsze zwykle lata w życiu ludzkim smutnie mi przeszły w tym labiryncie i odmęcie rozumów i dowcipów ludzkich... A jednakżeż, o złota młodości! te widma oprawne bogato, ze złożonym herbem Ciołka, wyglądające z półek i szaf, rzeźbami ozdobionych, wydawały mi się jakby wschodnie piękności, wychylające się z pod żaluzji. Rok 1812 obudził mnie był na chwilę z tego snu, który na nowo potem mniemanym szczęściem owładnął«. (»Myśli«, 8—9). Wiszniewski miał wtedy zamiar wstąpienia do wojska, t. j. pójścia w ślady i ojca i dziada, ale do tego nie doszło, »bo ci, co całą swoją młodość w wojsku przepędzili, jako to moi przyjaciele, gen. Błędowski, gen. Kropiński, właśnie wtedy wracali« (ib. 81).

Po ukończeniu nauk w liceum Wiszniewski przez parę lat pozostał w Krzemieńcu, zajmował się korepetytorstwem i pogłębiał swoje studia filozoficzne i historyczne w bibliotekach. W latach nauki i późniejszych studiów Wiszniewskiego w Krzemieńcu byli uczniami w liceum Tymon Zaborowski, Stefan Witwicki, Karol Sienkiewicz, Teodozy Sierociński, Józef Korzeniowski; czy z nimi Wiszniewski kolegował, niewiadomo; byli to, z wyjątkiem Sierocińskiego, o kilka lat młodsi od niego studenci; znał się z nimi niewątpliwie, a z Józefem Korzeniowskim, z którym później kolegował na katedrze profesorskiej, zawarł nawet bliższy, przyjacielski stosunek; do tajnego stowarzyszenia, zawiązanego przez nich pod koniec roku 1815 pod nazwą »Klubu piśmienniczego«, należeć już nie mógł.

W sierpniu 1818 r. 24-letni Wiszniewski ożenił się z 16-letnią Elżbietą Lisiecką i niebawem w jesieni tegoż roku wyruszył na studia naukowe do Włoch. W Medyolanie i Wenecyi (1819) pracował w bibliotekach; w Genui spotkał się z ks. Adamem Czartoryskim, który upodobał sobie młodego uczonego; Wiszniewski pozyskał poparcie księcia, wówczas kuratora okręgu wileńskiego, i obietnicę otrzymania posady profesora filozofii w Krzemieńcu. Tymczasem na dalsze studia udaje się do Paryża; tu widzi się ponownie z Czartoryskim i, z zachęty zapewne księcia, pisze (1820) rozprawę na konkurs, ogłoszony przez uniwersytet wileński, na temat: »Zasady logiki, metafizyki i filozofii moralnej«. Czartoryski posyła ją Śniadeckiemu, ale Wiszniewski znajduje współzawodnika w Józefie Gołuchowskim, którego praca, wyróżniona przez Śniadeckiego, zyskuje pierwszeństwo. Ks. Adam Czartoryski pisze w tej sprawie do Śniadeckiego w liście z Paryża (1821): »Żałuję, że wybór Uniwersytetu do katedry filozofii nie padł na Wiszniewskiego, przekonany będąc, że przy jego charakterze i wiadomościach, przy powolnym i zdrowym sądzeniu o rzeczach, dostalibyśmy byli profesora, któryby z filozofii zrobił naukę powabną, dostępną i do zastosowania użytecznego sposobniejszą. Ułożył on teraz drugą, obszerniejszą dysertację, którą wraz po moim powrocie

W. M. Panu przeszedł. Dowiedziałem się bowiem z wielką radością, że gotujesz dzieło o filozofii. Wszakże i po p. Gołuchowskim, którego tu w Paryżu z rekomendacji p. Szaniawskiego poznałem, niemniej dobrego spodziewam się profesora«. (Baliński: Pamiętniki o Janie Śniadeckim II, 434—5). Bardzo być może, że tą rozprawą konkursową Wiszniewskiego, odrzuconą przez uniwersytet wileński, (lub jej częścią) jest właśnie rzecz, pisana w Paryżu w r. 1820, a ogłoszona już po śmierci autora z rękopisu p. t. »O systematach filozofii moralnej« (Kron. Rodz. 1888)¹⁾. Poparcie więc kuratora nie wpłynęło na decyzję uniwersytetu, który oddał pierwszeństwo zaleconej przez Śniadeckiego rozprawie. Co dziwna, że Wiszniewski w rozprawie swojej okazał się zwolennikiem tej samej filozofii szkockiej, którą Śniadecki wielbił, gdy Gołuchowski był wielbicielem metafizyki niemieckiej i, aby się otrząsnął od niej, wysyłał go właśnie uniwersytet wileński do Anglii i Szkocji!²⁾.

W Paryżu słucha Wiszniewski wykładów Cousin'a, Guizot'a, Leona Say, obcuje chętnie z filozofem angielskim H. G. Macnab'em i pisze, być może pod jego wpływem, rozprawkę po angielsku, która tytułem (»On Moral Philosophy«) przypomina wymienioną powyżej pracę jego polską.

Z porady Piotra Maleszewskiego (który był spokrewniony z Wiszniewskim) jedzie Wiszniewski, pod koniec roku 1821, na dokończenie studyów, do Anglii i zapisuje się na uniwersytecie w Edyburgu. Studya naukowe nie przeszkadzają mu zawiązać bliższych stosunków nie tylko z profesorami, ale i z arystokracją angielską: bywa w Abbotsford'zie u Waltera Scotta, obcuje z Dugaldem-Stewartem, jednym z filarów szkoły szkockiej. Po latach (w r. 1850), wspominając swój pobyt w Anglii, w liście do Waleryana hr. Krasińskiego, zamieszkałego w Edyburgu, pisze: »Znałem starego już wówczas Dugalda Stewarta, brałem lekcye ekonomii politycznej u Mac Culloch, wydawcy »Scotsman«. Bywałem u prof. Pillans. Ale największą przyjaźń miałem z jednym młodym kupcem, gdyż wtenczas byłem *whig*, a nawet zakrawałem na zapalonego (bo i jakżeżby Polak nie miał zapalonej głowy przynajmniej w miłości) *radical*. Więc nie bywałem na obiedzie, którym Anglicy obchodzą pamiątkę Pitta, ale na obiedzie na pamiątkę Foxa siedziałem do 4-ej godziny po północy, słuchając mowy dzisiejszego premiera, lorda John Russel, lorda Jeffrey etc.« W Londynie Wiszniewski chodził często na posiedzenia parlamentu, a artykuły jego sprawozdawcze, zawierające ciekawe dla Anglików spostrzeżenia, drukował chętnie »Times«. W ogólności kultura Anglii zaim-

¹⁾ Może też ta rozprawa Wiszniewskiego jest tą »obszerniejszą dysercją«, przesłaną z Paryża przez Czartoryskiego Śniadeckiemu, o której w liście do niego wspomina.

²⁾ Jak biograf Śniadeckiego M. Baliński twierdzi, zalecił rozprawę Gołuchowskiego senatowi uniwersyteckiemu Śniadecki dla dobrego wykładu rzeczy i czystości języka. (Pam. o J. Śniad. I, 838).

ponowała Wiszniewskiemu, jak w kilka lat potem Słowackiemu i Stanisławowi Koźmianowi i, jak na Słowackim, Francya na nim uczyniła wrazenie niekorzystne.

Pod koniec roku 1822, czy też na początku roku 1823, Wiszniewski wraca do Krzemieńca i zostaje profesorem filozofii w liceum. Wykłada tu zasady logiki i psychologii oraz, jak się zdaje, filozofii moralnej. Wykłady krzemienieckie krótko trwały, gdyż tylko przez rok 1823—4. Ostrzeżony podobno przez Czartoryskiego, (gdy Nowosilcow rozpoczął już swoje rządy w okręgu wileńskim i sprawa filaretów była na porządku dziennym), Wiszniewski, który miał pewne powody obawiać się prześladowań, należał bowiem do któregoś ze związków tajnych, opuszcza Krzemieniec i udaje się do Włoch.

W czasie swego krótkiego pobytu w Krzemieńcu opracował Wiszniewski, na wzór głośnej podówczas książki panny Tańskiej, dziełko pedagogiczne pod tytułem: »Pamiętka po dobrym ojcu«, w którym daje rady i wskazówki 18-letniemu młodzieńcowi, jak żyć powinien, aby był zdrow fizycznie i moralnie. Odbił się w nim umysł przenikliwy, trzeźwy zarazem i praktyczny. Dziwne były losy tej pierwszej pracy literackiej Wiszniewskiego. Przed wyjazdem za granicę powierzył rękopis krzemieńczykowi, Teodozemu Sierocińskiemu, profesorowi szkoły wojewódzkiej zamojskiej (osławionemu później komentatorowi sonetów Mickiewicza), który miał się zająć jego wydaniem. Sierociński ogłosił »Pamiętkę« w roku 1825, »z rękopisu bezimiennego« pod swoim imieniem, pomnożywszy ją własnymi dodatkami, które jednak skrupulatnie gwiazdkami poznaczwał. W następnych atoli dwóch wydaniach (z r. 1830 i 1838) tak »Pamiętkę« przerobił, że jej już Wiszniewski za swoją pracę uważać nie chciał i wolał się jej wyrzec, podając publicznie do wiadomości, że nie jego jest dziełem.

W latach 1825 i 1826 przebywa Wiszniewski we Włoszech, prowadzi studia historyczne w Padwie, Mantui, Bolonii, a szczególnie w Wenecyi, gdzie nabywa cenny księgozbiór i rękopisy, dotyczące historii Rzeczypospolitej Weneckiej, od potomka doży, Da Ponte. Spędziwszy po powrocie do kraju zimę z r. 1826 na 1827 w Krzemieńcu, osiada Wiszniewski z rodziną na wsi — najprzód w Liszni (pow. dubieński), majątku teściów Lisieckich, a następnie we własnej wsi Strzelce (pow. włodzimierski), którą w tych latach nabył. Na te lata przypadają stosunki Wiszniewskiego z rodziną Januszewskich, z wujem Słowackiego, Teofilem Januszewskim, i matką, panią Bécu, którą w Wilnie i Krzemieńcu odwiedzał; tu poznał zapewne i ogniściego Julka, który z nim później, w ciężkiej dla siebie chwili (1839), zawiązał korespondencyę. W tym też czasie pobytu swego na Wołyniu oddał się Wiszniewski wytężonej pracy literackiej i naukowej. Wykończył »Bakona metodę tłumaczenia natury«, rozpoczął »Charaktery rozumów ludzkich«, opracowywał do druku krzemienieckie swoje wykłady logiki i psychologii (wydane dopiero w r. 1848 p. t. »O ro-

zumie ludzkim»; tłumaczył Historję Szwajcaryi Jana Müllera, pracował nad historją Wenecyi. Praca umysłowa i twórcza Wiszniewskiego w tych kilku latach, wybuch powstania poprzedzających, była szczególnie intensywna i w dwóch kierunkach się zwracająca — w filozoficznym i dziejznawczym. Spragniony wśród życia wiejskiego szerszej działalności i inteligentnej wymiany myśli, Wiszniewski obcuje równocześnie i koresponduje z Józefem Korzeniowskim, odbywa wycieczki do Wilna i Warszawy. W Warszawie znalazł się na wiosnę roku 1830 i wziął udział w posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk dnia 30 kwietnia owego roku. W sierpniu tegoż roku otrzymuje od Józefa Załuskiego, kuratora Uniwersytetu Jagiellońskiego, wezwanie do objęcia katedry filozofii w uniwersytecie, o którą ubiegał się Wiszniewski z wielu innymi kandydatami (pomiędzy nimi był Karol Mecherzyński). Trudności pasportowe wstrzymują natychmiastowy wyjazd jego za kordon, do Krakowa. Tymczasem wybuch powstanie.

W ruchu narodowym bierze Wiszniewski udział, niewyjaśniony jeszcze należycie; odgrywa rolę zagadkową, o której wiadomość mamy z jednego tylko źródła, więc trzeba ją przyjąć z zastrzeżeniem. Na wieść o wybuchu w Warszawie, obywatelstwo wołyńskie, w sekretnej zgromadzeniu, obrało Michała Wiszniewskiego posłem do polskiego rządu, dając mu polecenie, aby żądał posłania bezzwłocznego kilku pułków polskiego wojska na Wołyń, do których pułki litewskie, pod dowództwem oficerów polskich, na Wołyniu rozkwaterowane, przyłączyć się były gotowe, »coby było dało taką siłę moralną rewolucyi, że wojsko polskie w kilku marszach mogło zająć Wołyń, Podole i Ukrainę«. Z misją tą Wiszniewski udał się do Warszawy. W Lublinie próbował namówić generała Wincentego Szeptyckiego do ruszenia z pułkiem ułanów na Wołyń, ale bezskutecznie. W Warszawie przedstawił swą misję księciu Czartoryskiemu, ale spotkał się z odmową. Nie powiodło mu się i z dyktatorem Chłopickim, którego, wraz z Mochnackim ¹⁾, usiłował przekonać o konieczności wysłania wojska na Wołyń i przyjęcia taktyki czynnej, zamiast wyczekującej. Wtedy złączył się Wiszniewski ściślej z opozycją, z Lelewelem, z Mochnackim. W duchu poglądów Mochnackiego pisze artykuły polityczne w »Kuryerze polskim« i w »Nowej Polsce«. Podczas jego nieobecności Rosyanie zajęli Strzelce, a rodzina jego musiała szukać schronienia w Galicyi. Wiszniewski wyjeżdża do Krakowa i ponawia energiczne zabiegi o uzyskanie katedry w uniwersytecie.

Tymczasem Senat Rządzący Wolnego Miasta Krakowa, który jeszcze w listopadzie roku 1830 mianował był Wiszniewskiego profesorem filozofii w uniwersytecie Jagiellońskim, po wyjeździe zniechęconego kuratora, generała Załuskiego, do Warszawy, cofnął swoją

¹⁾ Mochnacki nie wspomina o misyi Wiszniewskiego i jego działaniu, aby, jak utrzymuje Adam Wiszniewski, syn Michała, nie skompromitować go wobec rządu rosyjskiego.

nominację i oddał katedrę poprzedniemu profesorowi filozofii, Jankowskiemu. Tedy Wiszniewski zgłosił się do Senatu o wakującą po śmierci prof. Juliana Czerwińskiego katedrę historii powszechnej. Pomimo oporu niechętniej Wiszniewskiemu Wielkiej Rady Uniwersytetu Jagiellońskiego, (do której należał też dziekan wydziału filozoficzno-literackiego, Jerzy Samuel Bandtkie), otrzymał Wiszniewski, za wstawieniem się prezesa Rządu Narodowego, księcia Czartoryskiego, od Senatu Rządzącego w październiku 1831 patent na profesora historii »uniwersalnej«. Wykłady rozpoczął jeszcze w półroczu zimowym 1831—32. W tym samym roku 1831 Towarzystwo Naukowe Krakowskie obrało go swoim członkiem czynnym. W Krakowie, gdzie połączył się niebawem z rodziną, pozostawał Wiszniewski przez czas pewien w wielkim niebezpieczeństwie: groziło mu, jako emigrantowi i podejrzanemu o udział w ruchu narodowym, wydalenie, a nawet zaaresztowanie przez władze rosyjskie, które każdej chwili mogły się wraz z wojskiem w Wolnem Mieście Krakowie (zostającym pod opieką rezydentów trzech mocarstw opiekuńczych) zjawić.

W r. 1833 przybyła do Krakowa Komisya Reorganizacyjna, wyznaczona przez trzy dwory opiekuńcze, która zabrała się i do reorganizacji uniwersytetu Jagiellońskiego. Pozostawiono Wiszniewskiego przy katedrze historii uniwersalnej, polecono mu nadto wykład historii literatury porównawczej, na miejsce usuniętego profesora, Pawła Czaykowskiego. Starania Wiszniewskiego u rządu rosyjskiego o zniesienie sekwestru nad majątkiem jego wołyńskim i pozwolenie powrotu nie odniosły pożądanego skutku, warunki bowiem, jakie rząd przytem Wiszniewskiemu postawił, były niewykonalne.

W latach od 1834—37 Wiszniewski wydaje dawniejsze swoje prace z zakresu filozofii i psychologii — »Bakona metodę«¹⁾ i »Charaktery rozumów ludzkich«, ale studia swoje poświęca teraz niemal wyłącznie badaniu źródeł dziejowych, dotyczących historii powszechnej; z chwilą rozpoczęcia wykładów historii literatury, skierowuje swoją uwagę i na źródła, jej dotyczące. Pierwszym owocem tych badań były »Pomniki historii i literatury polskiej« w latach 1835—37 wydane; ogłosił tu z rękopisu nieznane rozprawy Tadeusza Czackiego, oraz Kallimacha »Żywot Grzegorza z Sanoka«, poprzedziwszy te »pomniki« rozprawą »O historii wieków Piastowych i kronikarstwie polkiem przed Długoszem«, w której o »kunszcie historycznym« i zadaniu historyka wymownie się rozwódzi.

W roku 1835 należy Wiszniewski do komitetu, urządzającego szkołę techniczną w Krakowie, oraz do komisji, wyznaczonej dla porównania siedmiu kodeksów historii polskiej Kadłubka, znajdujących się w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego, i ustanowienia sposobu

¹⁾ »Metodę Bakona«, jak podaje sam Wiszniewski, ocalała z rękopisów, na Wołyniu pozostałych, jego żona i »za ostatni prawie grosz, jaki jej z ówczesnej rozsypki pozostał, w Krakowie wydała«. (»Myśli«, 82).

jej wydania, które jednak do skutku nie doszło. W tym roku odbył Wiszniewski wycieczkę do Karlsbadu dla pokrzepienia zdrowia, spędził tu kilka tygodni w towarzystwie dogorywającego Brodzińskiego i Wacława Hanki, z którym potem nawiązał korespondencję. Z Karlsbadu podążył do Pragi.

Podczas rządów »konferencyi« rezydentów trzech opiekuńczych dworów w Krakowie Wiszniewski powołany zostaje na początku roku 1836 przez Senat Rządzący na dyrektora liceum św. Anny oraz szkół wydziałowych Rzeczypospolitej Krakowskiej (po księdzu Janie Schindlerze). Urząd ten piastował Wiszniewski przez lat niespełna cztery, do końca września 1839 roku. Jednocześnie, t. j. w roku 1836, wszedł Wiszniewski do Wielkiej Rady Uniwersytetu. Wybór swój na te urzędy zawdzięczał zaufaniu, jakie zdołał pozyskać u sfer konserwatywnych i u rezydentów, co jednak nie rzucało cienia na jego działalność na tych stanowiskach. Była ona nieposzlakowanie polska i, pomimo wielkich trudności, wobec czujności trzech rezydentów, owocna: szkolnictwo ówczesne krakowskie zawdzięcza Wiszniewskiemu wiele zbawiennych reform, duchem postępowym nacechowanych. Wybrany w lipcu 1839 dziekanem wydziału filozoficznego uniwersytetu Jagiellońskiego, Wiszniewski składa godność dyrektora liceum św. Anny. Z urzędu, jako dziekan, powołany został do delegacji, wyznaczonej do opracowania nowego statutu dla Towarzystwa Naukowego Krakowskiego, w owym czasie jeszcze z uniwersytetem Jagiellońskim złączonego.

W dobie swego urzędowania Wiszniewski zbierał już po bibliotekach i opracowywał materiały do swej pomnikowej »Historji literatury polskiej« i zawiązał w tym celu ożywioną korespondencję z uczonymi polskimi i słowiańskimi; uczeni w Krakowie osiedli, jak np. A. Z. Helcel, Józef Muczkowski, niechętni byli Wiszniewskiemu: w »Kwartalniku Naukowym« Helcela ukazywały się niepochlebne dla Wiszniewskiego recenzje jego pism. Urząd dziekana sprawował Wiszniewski do roku 1841 (od 22 lipca 1839 do 29 lipca 1841). W tym roku opracowuje jeszcze, na żądanie wydziału, a z polecenia Towarzystwa Naukowego, »Plan książki elementarnej dla szkółek parafialnych«. Odtąd, poza obowiązkami profesorskimi, zatapia się już wyłącznie niemal w pracy nad »Historją literatury polskiej«. Rozkłada warsztat swój naukowy na szeroką skalę, rozsyła na wszystkie strony, do pisarzy i uczonych, kwestyonaryusze i prośby o nadsyłanie materiałów i przyczynków, gromadzi je i segreguje, myśląc wciąż o całości, obejmującej dzieje kultury polskiej od zamierzchłych czasów. aż do najnowszych. Tom I-szy wydaje w roku 1840, poczem idą szybko po sobie tomy następne; w pięć lat po pierwszym (w r. 1845) wychodzi już tom VII-y, ale niebawem dzieło i wydawnictwo przerywa się z powodu wypadków politycznych lat 1846—1849, w których Wiszniewski pewien udział bierze.

»Historja literatury« Wiszniewskiego, z wielkiem zaciekawieniem

i uznaniem przez publiczność i krytyków przyjęta, wywołuje z drugiej strony szereg nieprzychylnych recenzji. Rozgłos dzieła i jego autora sprawia, że się redaktorowie wydawnictw ze wszystkich dzielnic Polski zgłaszają do Wiszniewskiego z zaproszeniem do współpracownictwa (Skimborowicz, Tyszyński, Popliński, Łukaszewicz, Libelt, Przedziecki, Orgelbrand); że uczeni, jak Trentowski np. i Antoni Waga, aspirujący do katedr uniwersyteckich, zwracają się do niego z prośbą o poparcie. Znaczny spadek, odziedziczony po stryju, i sprzedaż majątku, z którego rząd rosyjski zdjął sekwestr, pozwalają Wiszniewskiemu przedsiębrać różne operacje finansowe. W 1845 r. zwiedza po raz trzeci Włochy, od Wenecyi aż do Sycylii, robi poszukiwania po bibliotekach, co mu nie przeszkadza przejmować się dziełami sztuki; owocem tej podróży będzie cenna książka p. t. »Podróż do Włoch« (wyd. w r. 1848). Po powrocie zabiera się do opracowania propedeutyki historycznej (»Nauka historyi«), ale wydawnictwo, przygotowane już w roku 1846 do druku, do skutku nie dochodzi.

Nadszedł groźny w następstwa dla Wolnego Miasta Krakowa rok 1846. Towarzystwo demokratyczne przygotowywało na emigracyi powstanie i słało emisaryuszów we wszystkie dzielnice Polski, przede wszystkim do Wielkopolski i do Galicyi; ale Rzeczpospolita krakowska nie przedstawiała dla nich na razie gruntu podatnego: rej w niej wodziły żywioły spokojniejsze i umiarkowane, rewolucyjnie nie usposobione — Senat Rządzący, profesorowie, szlachta wiejska i miejska, kupcy. Gdy jednak wojsko austriackie, po chwilowem zajęciu Krakowa, dnia 22 lutego z miasta ustąpiło, a za nim podążyli rezydenci, oraz Senat z prezesem swoim i milicyą, natychmiast utworzył się rewolucyjny rząd narodowy, który 24 lutego ogłosił dyktatorem Jana Tyssowskiego; prawą ręką dyktatora, a właściwie duszą rewolucyi, był zdolny pisarz, młodziutki Edward Dembowski. Sfery umiarkowane obywatelstwa krakowskiego, które reprezentowali głównie profesorowie uniwersytetu, obawiając się radykalnych zarządzeń niebudzącego w nich zaufania Rządu Narodowego, postanowiły obalić ten rząd i ująć ster władzy w swoje ręce. Do tego celu i do wykonania zamachu obrano Wiszniewskiego. Rankiem dnia 25 lutego Wiszniewski, przy pomocy gwardyi akademickiej, opanowuje siedzibę rządu rewolucyjnego w Szarej Kamienicy, ogłasza się »Naczelnikiem narodu polskiego« i zmusza Tyssowskiego do zrzeczenia się władzy, a ująwszy ją w swoje ręce, rozpoczyna rządy od podpisu szeregu proklamacyi i rozporządzeń. Ale rządy te Wiszniewski niedługo sprawuje; tego samego dnia jeszcze Dembowski, poruszywszy tłum wieścią (zresztą bezpodstawną) o porozumieniu się Wiszniewskiego z Rosyanami i zbliżeniu się Kozaków do Krakowa, wkracza wraz z Tyssowskim do sali posiedzeń i zmusza Wiszniewskiego do ucieczki, poczem Tyssowski obejmuje dyktaturę ponownie. Zwołany sąd rewolucyjny skazuje Wiszniewskiego za zradę na śmierć; on tymczasem przekroczył był granicę pruską i znalazł się na Ślązku, we Wrocławiu. Tu spot-

kał się z Aleksandrem Wielopolskim, który układał właśnie swój słynny »List szlachcica polskiego do księcia Metternicha« z powodu rzezi galicyjskiej (Lettre d'un gentilhomme polonais sur les massacres de Galicie, adressée au prince de Metternich).

Po zajęciu Krakowa przez wojska sprzymierzeńcze Wiszniewski powraca w drugiej połowie marca. Komisya śledcza wojskowa rządów opiekuńczych, a po wcieleniu Krakowa do Austrii (w listopadzie 1846 roku) rząd austriacki wytoczył Wiszniewskiemu proces o udział w ruchu rewolucyjnym. Dzięki wstawieniu się, przybyłego dla wizytacji uniwersytetu Jagiellońskiego, hr. Leona Thun'a i komisarza austriackiego, hr. Deym'a, Wiszniewski uzyskał w r. 1847 paszport tymczasowy na wyjazd do Włoch, dokąd wywiózł swoją rodzinę, i powrócił w jesieni do Krakowa; musiał teraz rozpocząć wykłady historii literatury polskiej i powszechnej, katedrę bowiem historii uniwersalnej powierzono komu innemu. Rozgoryczony opinią, szerzącą się o nim, że dokonał zamachu na rząd rewolucyjny w celu sprowadzenia wojsk sprzymierzonych do Krakowa (tak też zresztą sam swoją rolę w rewolucyi roku 1846 tłumaczył przed sądem austriackim, aby się od odpowiedzialności uwolnić), Wiszniewski postanawia opuścić kraj na zawsze. Jeszcze w roku 1846 powziął ten zamiar i zabrał się do likwidowania wszelkich swoich interesów w Krakowie. Konstantemu Macewiczowi odprzedał swoją »Historję literatury polskiej« i inne dzieła; powierzył mu oraz materiały do dalszych tomów »Historji« do przechowania, mając zamiar w przyszłości pracy podjętej dokończyć. »Było tam — pisze sam Wiszniewski — dużo rozpraw i opisów, zupełnie ukończonych, a szczególnie do Stanisławowskiej epoki bogate źródła«.

Tymczasem nadszedł brzemienny w wypadki rok 1848. W Wiedniu wybuchła rewolucya. W dniu 17-tym marca, w chwili powszechnego entuzjazmu w Krakowie i rozbudzonych nadziei, Wiszniewski podczas uroczystego posiedzenia w sali uniwersyteckiej wygłosił pełną zapału mowę, z powodu wypadków, zwiastujących wolność, którą zakończył, w odpowiedzi na okrzyk Wiedeńczyków: »Niech żyją Polacy!« okrzykiem: »Niech żyją Wiedeńczycy!« Niebawem rozpoczął wydawnictwo pisma w duchu liberalnym, lecz umiarkowanym p. t. »Jutrzenka«. Ale, po wydaniu kilku numerów odstąpił redakcyę komu innemu, zniechęcony zapewne napaściami niektórych gazet krakowskich na »Jutrzenkę«, na kierunek pisma zbyt konserwatywny i na redaktora, którego przeszłość polityczna nie budziła wśród sfer rewolucyjnych zaufania. Na wieść o wybuchłej w Medyolanie rewolucyi Wiszniewski wyjeżdża nagle z Krakowa, w połowie kwietnia, wśród roku szkolnego, do Włoch, aby się połączyć z pozostawioną w Medyolanie rodziną; wyjeżdżając, złożył na ręce rektora, Brodowicza, podanie o dymisyę i emeryturę. Przed ostatecznym opuszczeniem Krakowa zdołał jeszcze opracować tom VIII-my swojej »Historji literatury«.

Opuściwszy Medyolan, gdzie się poznał z Mickiewiczem, który

tu organizował legiony, osiadł Wiszniewski, wraz z rodziną, w Genui (w Piemoncie). W listopadzie Senat akademicki uniwersytetu Jagiellońskiego wezwał go do powrotu, ale Wiszniewski jednocześnie w liście do rektora, dr. Józefa Majera, zrzekł się ostatecznie profesury krakowskiej, podając za powód odebranie mu katedry historii powszechnej i słabe zdrowie. Wtedy Majer zwrócił się z propozycją do Mickiewicza, który ją przyjął, ale rząd austriacki, jak się zdaje, zatwierdzić go nie chciał. W rok potem, w październiku r. 1849, przesłał Wincenty Pol Wiszniewskiemu list ministra oświaty austriackiego, hr. Leona Thun'a, w którym ten wzywał go do powrotu do Krakowa i objęcia ponownego katedry historii literatury polskiej, ale Wiszniewski odmówił, wymawiając się chorobą. Katedrę ostatecznie zajął Karol Mecherzyński.

W Genui przemieszkał Wiszniewski lat dziesięć, przenosząc się od czasu do czasu, dla kuracyi nadwątlonego zdrowia, w okolice miasta: to do Sturli, to do miejscowości Varenna. Wszedł w bliższe stosunki z Cavour'em, pracując z nim razem w redakcyi dziennika »Il Diritto«. Gdy ten został ministrem skarbu sardyńskim, przedstawił mu projekt Towarzystwa Kredytowego ziemskiego. Cavour nieraz potem zasięgał jego rady. Król Wiktor Emanuel obdarzył Wiszniewskiego orderem i tytułem księcia. Przez szczęśliwe obroty pieniężne dorobił się Wiszniewski znacznego majątku, który się jeszcze podwoił po zamachu stanu Ludwika Napoleona dnia 2 grudnia 1851 roku. To zubożenie się swoje zawdzięczał Wiszniewski po części Zygmunтови Krasieńskiemu, pod wrażeniem bowiem rozmowy z nim w roku 1851, w której przepowiedział mu zamach Ludwika Napoleona i powodzenie jego, kupił po niskiej cenie rentę piemoncką, której wartość, po zamachu, w dwójnasób się zwiększyła. (Na list z tego powodu dziękczynny Wiszniewskiego Krasieński w liście z dnia 14 grudnia 1851 r. odpowiedział: »Zupełnie i czysto duchowo, bo jedynie przecuciem, wpłynąłem na kierunek materyalny Pańskich interesów«). W kilka lat później, w roku 1858, Wiszniewski, wskutek przesilenia finansowego, cały ten niemal dorobek pieniężny utracił.

Z literaturą i na emigracyi dobrowolnej Wiszniewski nie zrywa: pisuje artykuły do pism włoskich i korespondencye do polskich (do »Gazety Codziennej« Kraszewskiego w roku 1860, do »Kuryera Wileńskiego«, do »Gazety Narodowej« lwowskiej). W latach 1850—53 Wiszniewski opracowuje po angielsku i rozszerza »Charaktery rozumów ludzkich«, które wydaje pod pseudonimem Whitecross'a w Londynie (w r. 1853) p. t. »Sketches and characters«, układa »Słownik polsko-angielski«, poświęcając go młodzieży polskiej (1854) i zachęcając ją do bliższego poznania literatury angielskiej, którą przekłada nad francuską, za szkodliwą przez siebie uważaną, i niemiecką. W ostatnich latach pisze »Historję Jezuitów«, pracuje nad historją XIX w., (której dokończyć, z powodu choroby i śmierci, już nie może, kreśli wreszcie dla młodzieży »Myśli o ukształceniu siebie samego«, prze-

platając rady swe, owoc całożyciowego doświadczenia, wspomnieniami autobiograficznymi i melancholijnymi utyskiwaniami na niewdzięczność ziomków.

Pomimo materialnego dobrobytu i uznania w pewnych sferach, Wiszniewski, znękany przeciwnościami życia, do żywego dotknięty samowolnym wydaniem w roku 1857 przez Aleksandra hr. Przeddzieckiego i Teofila Żebrowskiego nieopracowanych materiałów, jako tomy IX i X jego »Historji literatury polskiej«¹⁾, przeżył ostatnie lata w ponurym nastroju ducha. W takim stanie znalazł go w roku 1858 w willi Danino pod Genuą, J. I. Kraszewski²⁾ i skreślił przejmującą charakterystykę starca w swych »Kartkach z podróży«. Gorycz i żal do rodaków przebija się w tych słowach jego »Myśli o ukształceniu siebie samego«: »Na tym świecie materialnym i niesprawiedliwym najwięcej ucierpiałem z woli drugich. Chciałem polepszenia kraju, a moja bezwładność przeciw mnie się obróciła. Gdy wejść w grób nicości, nie będę żałował tego świata, który mnie nie zrozumiał i który mi oddał niesprawiedliwością wszystko, co dla niego z miłości uczyniłem. W innym życiu może znajdę nieskończoność, której tu nadaremnie szukałem... Przewidziałem horyzont wielkości i spokoju dla swych braci, ale oni mej myśli nie zrozumieli; ja jeden przeczułem upadek... Lecz ten świat nie jest prawdziwym życiem — bo wszystko jest zmyśleniem i próżnością. Ojczyznę moją będzie ta, gdzie kochają dla kochania. Ja silnie tak kochałem wszystkich, co cierpią, a byłem zapomniany i często zdradzany. Pozostały mi tylko święte uczucia i przywiązanie rodziny — bo moi rodacy mnie opuścili... Dumając w ustroni od świata, od którego uciekam, widzę, że nic niema lepszego nad godność duszy... Oddany myślom wśród walki i smutku, wzdycham do wieczności, jak cudzoziemiec, który z daleka widzi obiecaną ziemię i którą przeczuciem już poznał, bo patrzy i widzi oczyma duszy dalej, niżli nasza nędzna ziemia zasięgnąć potrafi...« (Rozdz. XII).

W jesieni roku 1859 Wiszniewski opuścił Genuę i obrał sobie, z porady lekarzy, za miejsce stałego pobytu Nissę. Choroba sercowa, która oddawna nurtowała jego silny organizm, powaliła go wreszcie na łożo, z którego nie wstał. Zmarł 22 grudnia 1865 r.

Pod względem przekonań politycznych nie należał Wiszniewski do żadnej partji, ani arystokratycznej, ani demokratycznej, przechylił się jednak bardziej ku konserwatystom, czego dowodzą liczne jego przez całe życie bliskie i serdeczne nieraz stosunki z arystokracją

¹⁾ Zob. urywek autobiograficzny Wiszniewskiego w rękopisie Bibl. Ossol. Nr. 3298, ułamkowo drukowany w »Myślach«, a ogłoszony przez Biegeleisena w »Tygodniku Narodowym« 1901 r.

²⁾ Kraszewski oddawna był z Wiszniewskim w listowych stosunkach. Wiszniewski darował mu swą bibliotekę, w Strzelcach pozostawioną, którą przewieziono do Hubina. Osobiście spotkał się z nim poraz pierwszy w r. 1858.

rodową polską i cudzoziemską, z królem Wiktorem Emanuelem włoskim, z Oskarem szwedzkim.

Umysł jasny, trzeźwy, wykształcony na filozofii szkockiej, filozofii zdrowego rozsądku, pokrewny Janowi Śniadeckiemu, zwolennikowi tej samej filozofii, ale rozleglejszy, nie tak ciasny i ograniczony; pokrewny i Brodzińskiemu, ale bystrzejszy — nawołuje on do równowagi między rozumem a imaginacją, która prowadzi do jasności w myślach i gruntowności w rozumowaniu; pobudza wciąż do ćwiczeń umysłu, do myślenia o własnych siłach, inaczej nie stworzymy nic nowego, nic oryginalnego, lecz będziemy naśladować, a umysł nasz zniedołężnieje. Poznajmy więc naturę umysłu ludzkiego. Najszacowniejszy przymiot umysłu to zdrowy rozsądek. Nie otworzy on nam podwoi świata nadprzyrodzonego, ale wystarcza do życia na tym ziemskim padole. W tym mniej więcej duchu przemawia do młodzieży, w tym duchu wyklada. Pełen troski o jej zdrowie umysłowe i moralne, przeznaczając i poświęca »dla pożytku młodzieży polskiej« szereg dzieł i dziełek, przejrzyście i jasno opracowanych.

Troska ta o pożytek młodzieży zaprzęta jego umysł przez całe życie — rozpoczyna swą działalność pisarską od rad pedagogicznych dla młodzieży (»Pamiętka po dobrym ojcu« 1825) i kończy radami dla niej (»Myśli o ukształceniu siebie samego« 1862). Dla niej pisze książkę »O rozumie ludzkim«, dla niej układa »Słownik polsko-angielski«.

Chociaż napisał kilka dzieł treści filozoficznej, nie był Wiszniewski umysłem prawdziwie filozoficznym: miał umysł rozległy i fantazyę lotną, ale nie miał uzdolnienia do metodycznego myślenia i do syntetyzowania faktów. Jako zwolennik filozofii szkockiej, niecierpiał metafizyki niemieckiej; to też sąd o niej niepochlebny, niegdyś jej wielbiciela, Mochnackiego, który ją nazwał »filozofią czczości«, z zadowoleniem z artykułu jego »O rewolucyi w Niemczech« sobie wypisał (zob. rękopis w Bibl. Ossol.). Pod koniec swego zawodu naukowego stanął Wiszniewski w poglądzie swoim na filozofię, którą utożsamiał z metafizyką, na stanowisku, które później zajął Lewes, uczeń Comte'a — wykazywał jej nicość, bo obraca się wciąż w błędnem kole (»Myśli«, 109—110). Historia filozofii ma być »historią próżnych usiłowań ludzkiego rozumu«. Inaczej o niej pisał w przedmowie do »Bakona metody« (XVI—XVII). W młodzieńczej swej rozprawie (»O systematach filozofii moralnej« 1820) pisał, pełen przeświadczenia o prawdzie swoich słów: »Powątpiewać nie można, aby filozofia szkocka, ile mająca dobrą metodę... wkońcu wszystkich żądań rozumu zaspokoić nie miała, śledząc, co rozum wiedzieć pragnie i co wiedzieć może«; starcem będąc, zwątpił już i o wartości filozofii szkockiej: »Żadna filozofia — ani grecka, ani niemiecka, ani tem mniej francuska i szkocka, nie potrafiła rozwiązać wielkich zagadnień, do których rozum — zaraz, poczuwszy w sobie męskie siły — zwykle się zrywa. Rozwiązała je religia«. (»Myśli o ukształceniu siebie samego« 1862).

Pomimo, że są pod pewnym względem przestarzałe, trzy dziełka Wiszniewskiego treści filozoficznej: »Bakona metoda tłumaczenia natury«, »Charaktery rozumów ludzkich« i »O rozumie ludzkim« (przystępny wykład psychologii i logiki), nie utraciły i dziś swej wartości kształcącej.

Nie jako filozof przecież, lecz jako historyk literatury zajął Wiszniewski wybitne stanowisko w dziejach piśmiennictwa naszego. Jego »Historja literatury polskiej«, choć nie jest ukończona i pod niejednym względem wartość swoją dziś, wobec olbrzymiego postępu badań w dziedzinie dziejów piśmiennictwa polskiego, utraciła, pozostanie w historyografii literatury polskiej dziełem pomnikowem. Filozoficzne wykształcenie Wiszniewskiego pozwoliło mu ująć szeroko zjawiska literackie, w ciągu wieków się ukazujące, i zamiast historii literatury, w ścisłym tego słowa znaczeniu, utworzyć dzieje cywilizacji w Polsce, na szerokim tle europejskiem. Jest nadto dzieło Wiszniewskiego pierwszą źródłową i pierwszą krytyczną historją literatury polskiej, wykłady bowiem Brodzińskiego, nie zakrojone na skalę europejską, miały po części tylko ten charakter, nie były zresztą w swoim czasie drukiem ogłoszone. Pomimo że w niejednej wiadomości, w niejednym sądzie (np. w niekrytycznej, na fantazyi osnutej charakterystyce Grzegorza z Sanoka) jest »Historja literatury« Wiszniewskiego dziś już przestarzała, pozostanie na długo jeszcze skarbnicą wiadomości, ze źródeł zaczerpniętych (ogłosił np. niejedną nieznany tekst staropolski z rękopisu, np. Ortyłe magdeburskie) i sądów trafnych, a nie raz bystrych (np. określenie na wstępie zadania historyka literatury, ocena »Odprawy posłów greckich« Kochanowskiego). Współcześnicy nie docenili dzieła Wiszniewskiego, a niektórzy znaczenie jego i wartość przesadnie obniżyli; dziś słusznie uznano je za podstawowe w badaniach nad dziejami piśmiennictwa polskiego. Wiszniewski był przede wszystkim historykiem cywilizacji, a że zadanie historyka rozumiał doskonale, dowodzi tego to, co o »kunszcie historycznym« (t. j. sztuce dziejopisarskiej) we wstępnej do »Pomników historii i literatury polskiej« rozprawie napisał.

BIBLIOGRAFIA.

I. Pisma Wiszniewskiego: »Pamiętka po dobrym ojcu, z rękopisma bezimiennego przerobiona, pomnożona i wydana przez Teodozego Sierocińskiego, profesora szkoły wojewódzkiej zamojskiej«. W Warszawie, 1825. Dodane przez siebie ustępy oznaczył Sierociński gwiazdkami. Wyd. 2-gie wyszło p. t. »Pamiętka po dobrym ojcu, z rękopisma bezimiennego drugi raz przerobiona, pomnożona i wydana dla użytku młodzieży przez T. Sierocińskiego, profesora języka polskiego i lite-

ratury w Liceum warszawskim«. W Puławach, 1830. Wyd. 3-cie wyszło w Warszawie 1838; jest przedrukiem bez zmian wydania drugiego. Poraz pierwszy w tekście pierwotnym, bez dodatków Sierocińskiego, wydał »Pamiętkę« Wł. R. Korotyński p. t. »Pam. po d. o.« Z przedmową Wł. R. Korotyńskiego. Wydanie nowe, ozdobione portretem autora. Warszawa, 1897. — »Bakona metoda tłumaczenia natury, którą Michał Wiszniewski wyłożył i przydał wiadomość o Sędziwoju, alchemiku polskim«. W Krakowie 1834. Wyd. drugie wyszło w Warszawie w r. 1876 (w Bibl. najceln. utw. liter. europ.) — Pomniki historii i literatury polskiej«. 4 t. W Krakowie, 1835—1837. Zawierają głównie »Rozprawy« Tadeusza Czackiego (»O rzeczy mienicznej«, »O Cyganach« i inne); w t. IV tegoż zbioru wydrukował poraz pierwszy »Żywot Grzegorza z Sanoka« Kallimacha (po łac.); na czele tomu I-go umieścił Wiszniewski, jako wstęp, rozprawę (»Przedmowę«) p. t. »O historii wieków Piastowych i kronikarstwie polkiem przed Długoszem«. — »Charaktery rozumów ludzkich«. W Krakowie, 1837. Wyd. 2 gie, przejrane i poprawione, tamże w r. 1842; wyd. 3-cie wyszło w Warszawie w r. 1876 (w Bibl. najceln. utw. liter. europ.) — »Historia literatury polskiej«, 7 tomów. Kraków, 1840—1845; t. 8-my, przygotowany przez Wiszniewskiego do druku, wydał Konstanty Macewicz w r. 1851; t. 9-ty, opracowany z materyałów, pozostałych po Wiszniewskim, i t. 10-ty, zawierający spis alfabetyczny autorów, wydał, bez wiedzy i zgody autora, Teofil Żebrawski, nakładem Aleksandra hr. Przezdzieckiego, w r. 1857. — »O rozumie ludzkim, jego siłach, przymiotach i sposobach kształcenia, napisał M. W. dla pożytku kształcącej się młodzi płci obojej«. Warszawa, 1848. — »Podróż do Włoch, Sycylii i Malty« 2 t. Warszawa, 1848; wyd. 2-gie tamże w r. 1851. — »Sketches and characters or the Natural History of the human intellects«. By James William Whitecross. London. 1853. (Whitecross — pseudonim Wiszniewskiego); jest to rozszerzone (375 str. in 8-o) angielskie opracowanie »Charakterów rozumów ludzkich«. — Po śmierci Wiszniewskiego wydano z rękopisu »Myśli o ukształceniu siebie samego«. Dzieło pośmiertne z portretem i biografią autora przez Ludwika Niesiołowskiego. Warszawa, 1873. — Rozprawy i artykuły w czasopismach: »Grzegorz z Sanoka« (w Roczniku Tow. Nauk. Krak. XVI, 1841). — »O narodzie staropruskim przed zakonem teutońskim«. (1832). — »Kunszt poetycki i historyczny u Greków i Rzymian« (1833). — Artykuły w »Kuryerze Polskim« i »Nowej Polsce« (1831), w »Tygodniku Literackim«, »Orędowniku Naukowym« i »Dzienniku Domowym« (pozn.), w »Jutrzence« (1848), w »Kuryerze Wileńskim«, w »Gazecie Narodowej« (lwow.) i w »Gazecie Codziennej« (Kraszewskiego) w l. 1860—61, w Encykl. Orgelbranda; pisywał też do gazet angielskich i włoskich. — Książeczka Silvio Pellico »O powinnościach człowieka«, wydana w Krakowie w r. 1839, którą »przełożył z włoskiego M. W.«, nie jest, jak sądzili niektórzy (np. E. Dembowski w »Piśmien. pol.«) pracą Wiszniewskiego.

— Rękopisy Wiszniewskiego złożone są głównie: w Ossolineum we Lwowie, w Bibl. Jagiellońskiej w Krakowie, w Bibl. Przeździeckich w Warszawie oraz w Muzeum w Rapperswilu. Jest pomiędzy nimi kilka dzieł niewydanych, mianowicie: »Historya Jezuitów«, napis. ok. r. 1860, (autograf w Rapperswilu, kopia t. I-go w Ossolineum); wstęp, zawierający ogólny pogląd na działalność jezuitów, ogłoszono w »Kraju« (petersb.) z r. 1886 (nr. 14). »Nauka historyi. Wstęp do historyi powszechnej«. Książkę tę, »która się zrodziła, jak pisze Wiszniewski w przedmowie, »z 16 letniego wykładu mego historyi w Akademii krakowskiej«, ułożył »dla pożytku kształcącej się młodzi«. Jest to historyka czyli teoria i metodyka historyi. (Bibl. Jagiell.) — »O umyśle ludzkim ksiąg troje«. Jest to przygotowane, jak się zdaje do ponownego wydania, zmienione opracowanie książki, ogłoszonej w r. 1848 p. t.: »O rozumie ludzkim«. (Bibl. Jagiell.). — »Słownik polsko-angielski«, z dedykacją: »Młodzieży polskiej poświęca autor. Genua, 3 maja 1854«. Poprzedzony ciekawą przedmową, (w której zachęca Wiszn. młodzież do studyowania języka i literatury angielskiej, która więcej może przynieść korzyści, niż francuska) i rozprawą: »Porównanie języka angielskiego z polskim«. (Ossolin.). Ułożył też Wiszn. »Wypisy angielskie« w 2 tomach (niewyd.). — Rękopis »Historyi XIX w.« zaginął; ocalał tylko autograf przedmowy do tego dzieła. (Ossolin.). — Dwie rozprawy filozoficzne: »Spinoza« (z r. 1830) i »Sextus Empiricus. O Skeptycyzmie«. (Bibl. Jagiell.). — W Bibl. Jagiell. przechowują się kursy, nie przygotowane do druku, wykładów: »Psychologii«, »Logiki«, »Historyi powszechnej« i »Historyi literatury powszechnej«. — Materyały do historyi literatury polskiej złożone są w części (wyzyskanej) w Bibl. Jagiell., w części (mającej służyć do dalszych, nie opracowanych przez Wiszniewskiego tomów) w Bibl. Przeździeckich. — Z rękopisów, w archiwum Przeździeckich przechowanych, wydrukowano (Winc. Korotyński) następujące pisma Wiszniewskiego: Komedję w 1 akcie prozą p. t. »Plotki« (w Kronice Rodzin. 1888). Opatrzona własnoręcznym przypiskiem: »Komedyja »Plotki« przez M. Wiszn., dla lepszego zrozumienia kunsztu dramatycznego napisana dla siebie tylko, ale czytana na wieczorze u generałowej Rautenstrachowej, z domu księżniczki Giedrojcówny, w r. 1842«; Rozprawę z r. 1820 p. t.: »O systematach filozofii moralnej« (w Kron. Rodz. z r. 1888); Artykuł p. t.: »Bohdan Zaleski i jego poezye«, ogłoszony w Kron. Rodz. w r. 1890, nie jest Wiszniewskiego, lecz Goszczyńskiego (druk. w »Demokracie Polskim« r. 1842). — Korespondencję Wiszniewskiego, dotychczas nieogłoszoną drukiem, przechowują głównie biblioteki i archiwa krakowskie i lwowskie; są tu listy do ks. Ad. Czartoryskiego, Józ. Korzeniowskiego, Kraszewskiego, Lelwela, Jana Sowińskiego, T. Czackiego, H. Skimborowicza, A. Batowskiego, A. Weryhy Darowskiego, Żegoty Paulego, Józ. Brodowicza, Józ. Majera, Aleks. Przeździeckiego, K. Stronczyńskiego, bisk. Lętowskiego, ks. Schindlera i innych. Listy do J. Łukaszewicza i A. Popliń-

skiego w bibliotece Towarzystwa Przyj. Nauk w Poznaniu. Obszerna korespondencya Wiszn. naukowa z czasów krakowskich znajduje się w Bibl. Przeździeckich; część tej korespondencyi, mianowicie listy uczonych i literatów do Wiszn., dotyczące hist. lit. pol., wydrukowano w Kronice Rodzin. z l. 1886 i 1887. Listów Wiszniewskiego ogłoszono drukiem zaledwie kilka: 6 listów do Wacława Hanki z l. 1834—45 podał Francew w »Piśma k Wiaczesławu Hankie iz sławiańskich ziemiel« (Warsz. 1905); 2 listy do generałowej Wąsowiczowej z r. 1849 w »Kuryerze Warsz.« z r. 1902, nr. 303; list do Waleryana Krasińskiego z r. 1850 w przedmowie do »Myśli o ukształt. siebie samego«; list do A. E. Koźmiana w »Kron. Rodz.« 1887. — Dokładniejszą wiadomość o rękopisach Wiszniewskiego podał G. Korbut w broszurze: »M. Wiszniewski i puścizna po nim« (Warsz. 1901).

II. Pisma o Wiszniewskim: a) Życiorysy i przyczynki biograficzne: Życiorys Wiszniewskiego, napisany przez Ludwika Niesiołowskiego, wysnuty z opowiadań samego Wiszn. i syna Adama, oraz z dokumentów rodzinnych, niekrytyczny, nie zawsze wiarygodny, znajduje się w rękopisie w Bibl. Ossolin. (nr. 3096); do biografii dołączono kopie 8-miu dokumentów, dotyczących profesury Wiszn. w Uniw. Jagiell., dwu świadectw szkolnych (Krzemien.), metryki ślubnej ojca, listu Wiszn. do W. Krasińskiego, listu hr. Thuna (1849) i odpowiedzi Wiszn., listu Zygmunta Krasińskiego (1851), listu bisk. Łętowskiego (1857) i odpowiedzi Wiszn-go. Praca Niesiołowskiego ogłoszona tylko ułamkowo (ze wzgl. cenz.) na czele »Myśli o ukształc.« (1873). — Najdokładniejszy i najkrytyczniejszy życiorys Wiszniewskiego (do r. 1848) napisała M. Połączkówna, p. t.: »Michał Wiszniewski 1830—1848« (Rocznik krakowski. Tom XII. Kraków, 1910); oparła go na dokumentach archiwalnych lwowskich i krakowskich (m. i. na korespondencyi Wiszn.). Jest to »obraz życia Wiszniewskiego w Rzeczypospolitej Krakowskiej«, poprzedzony »szkicem biograficznym« lat młodych do r. 1830. W »Dodatkach« zamieściła autorka metrykę Wiszn., Raport Ign. Zajączkowskiego do c. k. komisarza hr. Deyma o Wiszn. z r. 1847 i Ustęp niedrukowany z życiorysu Wiszn. przez L. Niesiołowskiego, dotyczący jego dyktatury w r. 1846. — Ogólnikowy charakter mają życiorysy Wiszn. dawniejsze: Sobieszczańskiego w En-cykl. Orgelbr. t. 27, 1867, W. Korotyńskiego w »Tyg. Ilustr.« 1868, II; L. Sowińskiego w »Kłosach« 1877, II. — Ważniejsze przyczynki do życiorysu: J. Majer: »Pogląd historyczny na Towarzystwo Naukowe Krakowskie«. Kraków, 1858. — Kraszewski: »Kartki z podróży« (1858) w wyd. warszawskim z r. 1892, str. 91 i 229—232. — M. Baliński: Pamiętniki o J. Śniadeckim. Wilno, 1865 (t. I, 838 i t. II, 434). — Łyszkowski o »Pamiętce po dobrym ojcu«. »Tyg. Ilustr.« 1868, nr. 34. — W. Korotyński o »Plotkach«. »Tyg. Ilustr.« 1888, nr. 293. — Tenże: Wstęp do tekstu »Plotek«. Kron. Rodz. 1888. — »Listy do M. Wiszniewskiego«. Kron. Rodz. 1886 i 1887. — List Zygmunta Krasińskiego do Wiszn. »Kraj«, 1886, nr. 5. — Wł. Ko-

rotyński: List Zyg. Krasińskiego. »Kur. Warsz.« 1909, nr. 54. — List Winc. Pola do Wiszn. Księga pamiątek. Mickiewicz, 1898. — Wł. R. Korotyński: Przedmowa do nowego wyd. »Pamiętki po dobrym ojcu«. Warsz. 1897. — Ks. S. Feliński: Pamiętniki. Kraków, 1897, I, 223—227. — M. Rolle: Ateny wołyńskie. Lwów, 1898, str. 75—76. — Biegeleisen: Z autobiografii M. Wisz-go. »Tyg. Narodowy« (Lwów), 1900, nr. 38. — Sosnowski: Poezya krakowska z czasów Wolnego Miasta Krakowa. Kraków, 1901, str. 64. — G. Korbut: M. W. i puścizna po nim. Warsz. 1901 (wyd. poprawne i uzupełn. pracy ogłoszonej poprzednio w »Prawdzie« 1901). — Méyet: Słowacki i Wiszniewski. »Sfinks« 1909, wrześ. Toż uzupełn. osobno. Warszawa, 1909. — Tenże: Słow. i Wiszn. Uzupełnienie. »Sfinks«, 1911, lipiec. — Leniek: Książka pamiątkowa ku uczczeniu 300 rocznicy założ. gimn. św. Anny w Krakowie. Krak. 1888. — O dyktaturze Wiszniewskiego w r. 1846 pisali: J. Wawel-Louis: Kronika rewolucyi krakowskiej w r. 1846. Kraków, 1898. — Lisicki: A. Z. Helcel. Lwów, 1882, I, 139—145. — Polaczkówna: l. c. — M. Stecka: Edward Dembowski. Lwów, 1911 (odb. z »Przeglądu Histor.«). — Sala: »Geschichte des polnischen Aufstandes 1846«. — Wurzbach: Biographisches Lexicon des Kaisertums Oesterreich. t. 57. Wien, 1889.

b) Charakterystyki i oceny dzieł Wisz go: O »Historyi literatury polskiej« pisali współcześnie: Tyszyński: w Piśmiennictwie krajowem, 1840; Maciejowski w Bibl. Warsz. 1841; F. Zieliński w Bibl. Warsz. 1842; Aug. Mosbach w »Tyg. Literackim« (pozn.) 1842; Muczkowski: Rozmaitości histor. i bibliogr. Kraków, 1845; Maciejowski: Piśmiennictwo polskie, t. II, Warszawa, 1852 (str. 927—934). — Ks. Łętowski: Nauka poznawania ludzi. Warszawa, 1847. Sikorski: M. W. »Podróż do Włoch«. Bibl. Warsz. 1848. — Ks. Załęski: »Historia jezuitów Wiszn-go«. »Przeł. Powsz.« 1886, wrzes. — Chmielowski: »Metodyka historyi literatury polskiej«. Warsz. 1899. — Tenże: »Hist. liter. pol.« t. V, 44—47. — Tenże w »Poradniku dla samouków« t. II, Warsz. 1899. — Tenże: Ocena pracy G. Korbuta o Wiszn. »Gaz. Pol.« 1902, nr. 34 (por. też »Pamięt. Liter.« 1902) (charakterystyka Wiszn. jako filozofa). — Mahrburg w Poradniku dla samouków t. IV, 1902 (o utworach W-go filozof.). — Sinko: Spór o Grzegorza z Sanoka (wstęp do Kallimacha »Życie i obyczaje G. z S.« Lwów, 1909. — K. Morawski o Wiszn. w »Hist. uniwersytetu Jagiell.« t. I, str. 6.

Studjum monograficznego o Wiszniewskim i wszechstronnej oceny jego zasług, jako pisarza i historyka literatury, jeszcze nie posiadamy.

A) Pamiątka po dobrym ojcu (1825).

Dzielko, na wzór »Pamiętki po dobrej matce« (1819) Klementyny Tańskiej napisane, zawiera w 38 rozdziałach szereg rad, przeznaczonych dla 18-letniego młodzieńca, którymi się ma kierować w życiu. Wyszło w pierwszym wydaniu (1825) pod imieniem Teodozego Sierocińskiego, który do tekstu Wiszniewskiego pododawał ustępy swego pióra. — Podajemy rozdział XXIV i XXXI, na podstawie wydania Wł. R. Korotyńskiego (Warszawa 1897).

Rozdział XXIV. O obchodzeniu się z ludźmi.

816) Trudna to rzecz, mój synu, umieć się z ludźmi obchodzić, zwłaszcza, że z każdym nieco odmiennie trzeba postępować, a te liczne i częstokroć najdrobniejsze cieniowania biegły tylko znawca ludzi i świata jednym rzutem oka postrzega i rozpoznaje. Niedosyć nawet wiedzieć, jakie ma być nasze postępowanie względem innych, skoro nie mamy należytej trafności i wprawy w samym wykonaniu, na czem tu może najwięcej zależeć. Dlatego też umiejętne z ludźmi obchodzenie się nie jest nauką, którejbyśmy nabyć mogli z czytania książek, lub nawet przejąć ją od znawców przez dawane nam od nich przestrogi. W życiu dopiero społecznem otwiera się najlepsze do tego pole, tam się uczy my jedni od drugich, tam, niby pod wzajemną zostając strażą, często zwracamy uwagę na siebie samych i łatwo poznajemy nasze lub cudze błędy i uchybienia. Są jednak pewne prawidła, na doświadczeniu oparte, których się trzymać bezpiecznie możemy, byleśmy w ich stosowaniu roztropnie sobie poczynali; chociaż z drugiej strony, nie jest wcale pożyteczną rzeczą dla młodzieńca, w świat wychodzącego, obciążać się także wielu szczegółowymi przepisami, z których najczęściej żaden mu się nie przyda na nieprzewidziane wypadki, jeszcze go obłąkać i na złe naprowadzić może.

Z tego względu, mój synu, jeden ci tylko tu podam przepis, niezmiernie rozległego użycia w związku społecznym, ale wcześniej cię ostrzegam: trudny do wypełnienia. Oto w postępowaniu swoim z ludźmi, kiedy masz obowiązek i słuszność po sobie, bądź zawsze stałym i nieporuszonym, lecz staraj się tę

stałość niczem niezłomną, ile tylko można, osłodzić i uprzyjemnić, wybierając sposób wykonania łagodny i miły, albo przynajmniej nie przykry i nie obrażający. Przepis ten daje się w kilku słowach łacińskich najzwięźlej wyrazić: *Age fortiter in re, suaviter in modo.*

Trzeba mieć w sobie wiele uczciwości, uwagi i umiarkowania, aby w każdym razie szlachetną stałość z przyzwoitą łagodnością pogodzić. Są ludzie podstępni i zdraдлиwi, którzy, nachylając się na wszystkie strony, najłagodniejsi wtenczas, kiedy nas zdradzają; strzeż się takich, mój synu, aby cię nie przyprawili o jakowe nieszczęście lub zgubę; są znowu uczciwi, ale zbyt otwarci i nieumiarkowani, którzy w najmniejszej rzeczy wręcz nam się sprzeciwiają, a nawet i wtenczas, kiedy załość czynią naszemu żądaniu, nie dbając o umilenie swojej powolności, obrażają nas, zamiast coby zobowiązać mieli. Szukaj, synu, szczęśliwego środka między temi dwiema ostatecznościami, a łatwo sam sobie ułożysz szczegółowe przepisy postępowania na wszelkie przypadki.

Nigdy nie odstępuj i nie porzucaj raz powziętej myśli, zamiaru, czynności, chybaś się poczuł do winy lub błędu, lecz oraz nie dbaj o małe rzeczy dla większych, ani się zbyt upieraj tam, gdzie lepiej byłoby uleść, bo jakom ci już powiedział, upór nie jest stałością; ani bądź zawsze gotowym dla każdego na wszelkie usługi; odmawiaj niekiedy, byle grzecznie i bez obrazy. Kiedy masz co komu do rozkazywania, zładadzaj, jak możesz, ton wyższości, abyś, zachowując należytą powagę, ustrzegł się nawet pozoru dumy, przewodzenia i okrucieństwa, bo wyniośle i srogo dawane rozkazy, mówi Tacyt, będą raczej tłomaczone, niż wykonywane. Twoim zwierzchnikom bądź tak posłusznym, iżbyś w tem, co twoja powinność każe, starał się, jeżeli można, ich rozrządzenia uprzedzać; niechaj nie widzą w tobie najmniejszego znaku przymusu, nieufności, obawy lub nieukontentowania, czem najprędzej sobie ich zobowiążesz; ani nadstarczaj uchybień w danym ci obowiązku albo poleceniu zbyt niemi uleganiem, oświadczeniami i prawie niewolniczą powierzchownością, bo tego zacni ludzie niecierpią, a niegodni swego stopnia na samo posłuszeństwo zaledwo zasługują. Unikaj wszelkich uniesień i popędliwości, bo te chyba w nagłych ra-

zach, i to niezmiernie rzadko, na dobre nam wychodzą, a przynajmniej nic nie przedsięwzięj ostatecznie i nie wykonywaj, póki w sobie zapędu namiętności nie utrzymasz i nie uśmierzysz. Najwięcej przestrzegaj to wtenczas, kiedy o ciebie samego idzie, choćbyś najlepszą miał sprawę, aby nie było nawet powodu myśleć, żeś interesownym i mściwym, lecz tylko ściśle sprawiedliwym.

Jeszcze ci nader ważną dodam przestrożę, synu, abyś pilnie uważał, z kim szlachetną i otwartą śmiałością, a z kim skromnością łagodną i cichą najłatwiej dokazać możesz. Im kto ma więcej miłości własnej i wyżej o sobie rozumie, tem surowiej i często niesprawiedliwie sądzi o innych, i tak jest podejrzliwym, że niekiedy i dobre za złe bierze; z takimi zatem jaknajskromniej postępować wypada. Przeciwnie z ludźmi pełnymi cnoty i zasługi trzeba być śmiałym, bo tacy lubią szczerłość i prawdę, a skromna nieśmiałość mogłaby się im wydać niedość mocnem przekonaniem o słuszności naszego żądania, lub poczciwości.

Pamiętaj wreszcie, że najgorsza i najtrudniejsza sprawa ze złym człowiekiem, albo niepoznającym własnego dobra; unikaj takich ile możności i kończ jak najprędzej, jeżeli masz co z nimi do czynienia, — tę ci najlepszą i jedyną daję względem nich przestrożę.

Rozdział XXXI. O wesołości i pogodzie umysłu.

817) Nie taję tego przed tobą, mój synu, że bliższe obeznanie się ze światem i ludźmi serce twoje goryczą napełnić i do wszystkiego zniechęcić cię może: kiedy ujrzysz nieraz zawiedzioną dobroczynność lub przyjaźń, najlepsze chęci i zamiary za złe poczytane, a chytre i znowne podstępny, biorące pierwszeństwo zasłudze; kiedy na innych i na sobie samym podobnych niesprawiedliwości doświadczysz. Lecz bój się wpaść w ostateczność Heraklita, który płakał nad rodem ludzkim, widząc wszystko ze złej tylko strony; ani zapatruj się ciągle na zbrodniarzy, na rozpustników, lub niecierpiących swojego losu; i zachodź często do chatki pracowitego wieśniaka, gdzie obok smutnego ubóstwa i niedoli, pokój, radość i nawet szczęście przemieszkiwa. Głęboka uwaga i zastanowie-

nie się nad ułomnością naszą, nad przyczynami naszych win i błędów przekona cię, że na wszystko spokojny i wesoly nędzarz większą może ma słuszość po sobie, niż ów płaczący filozof; bo nie warto się dręczyć tam, gdzie nie począć nie można; bo od niesprawiedliwości ludzkiej mamy otwartą, chociaż smutną ucieczkę do naszego sumienia; bo samo przepelnienie miary nieszczęść, któreśmy na siebie ściągęli, jest już pocieszajacem, kiedy je mężnym i stałym umysłem znosić umiemy.

Sławny jeden Anglik powiada, że życie ludzkie dla czułych jest tragedya, a dla myślących komedya. Wiele ma w sobie prawdy to zdanie. Co do mnie, radzę ci, mój synu, abyś swą czulość miarkował rozumem, i nawzajem rozum czulością serca ożywiał. Tę zachowującemu przestrozę życie ludzkie wyda się jak dramat, w którym wesole po smutnych następują sceny. Wesolość i pogoda umysłu koniecznie nam jest potrzebna i do zdrowia, i do szczęścia, i do chętnego pełnienia naszych obowiązków, i do wytrwania w cnocie, i do wytrzymania najsroższych losu pocisków. Nie mówię ja tu o szumnej i prawie szalonej wesolości, która nas do zapomnienia się i zaślepienia prowadzi, ale o łagodnej i umiarkowanej, co nasze smutki i żale osładza, gniewy, niechęci i zajątrzenia uśmierza, broni przystępu rozpaczy wtenczas nawet, kiedy widzimy wszystkie nasze zawiedzione nadzieje, i każe nam uważać to życie, pełne trosk i cierpień, za samo tylko przejście do życia lepszego.

Taką ja ci wesolość najusilniej zalecam, mój synu; utrymasz ją i zabezpieczysz sobie na zawsze, tylko nie bądź zbyt wiele wymagającym od ludzi; przestawaj na szacunku i przychylności małej liczby ludzi poczciwych; żywo przejęty miłością bliźniego, umiej się poświęcać dla dobra społeczeństwa; szanuj swe zdrowie i kochaj życie dla możliwości dobrze czynienia; nie rozjątrzaj ran, które ci niewdzięczność lub nieprzyjaźń ludzka zadała; ani odrzucaj żadnej pociechy w nieszczęściu i utrapieniach, ciebie dotykających; niczego się nawet nie lękaj i nie obawiaj, chyba wyrzutów i zgryzot własnego sumienia.

B) O historii wieków Piastowych i kronikarstwie polskim przed Długoszem (1835).

(»Pomniki historii i literatury polskiej«. Tom I. W Krakowie 1835).

Biograf Wiszniewskiego (Niesiołowski) podaje, że największą namiętnością jego była historia i »kunszt historyczny«. Pogląd swój na zadanie historyka i na metodykę historyczną wypowiedział Wiszniewski kilkakrotnie (we wstępie do »Pomników historii i literatury polskiej«, w przedmowach do pierwszych tomów »Historii literatury polskiej«, w »Myślach o ukształceniu siebie samego«). Ułożył też »Naukę historii«, czyli teorię »kunsztu historycznego«. — Podajemy ustępy z rozprawy wstępnej, na czele t. I. »Pomników« pomieszczonej, w których Wiszniewski wyłożył pogląd swój na sztukę dziejopisarską.

818) *Tom I. Str. I—XII.* Historia nie jest nauką dla dzieci, które całe w terażniejszości żyją; nie jest ulubionem zatrudnieniem młodego: bo młodzież, cała żyjąc w nadziejach, jeszcze z obojętnością na przeszłość patrzy. Tylko ludzi dojrzałych minione czasy zajmują; stąd sama chęć obeznania się z przeszłością, samo upodobanie w historii, jest najlepszą dojrzewającego rozumu oznaką i rękojmią. Historia dla ludzi dojrzałych jest światłem i przewodnikiem rozumu. Człowiek stojący w środku życia, lubi zapuszczać się w przeszłość, aby przez porównanie obecne czasy lepiej rozumiał, a czasem i przyszłe odgadnął. Bo przewidywanie zakrytej przyszłości jest ciąglem usiłowaniem rozumu, wrodzoną jego skłonnością i największą chlubą. Lecz ludzie starzy, w rozliczne wspomnienia bogaci, najslodsze rozkosze w rozpamiętywaniu minionych czasów znajdując, najwięcej lubią myśleć przynajmniej powtarzać złoty wiek młodości, kiedy to wszystko szło lepiej, kochają się w przeszłości. I stąd to pochodzi to powszechne u starych upodobanie w historii, bądź familijnej i domowej, bądź swojej okolicy i ludzi, których zaznali, albo swojego narodu, lub rodu ludzkiego, w miarę oświecenia i nauki; każdy z nich ma żyłkę historyczną, skłonność do historii, tylko nie w jednakowym obrębie. Nawet pamięć mają najwłaściwszą do tego w historii upodobania, bo zapominając łatwo, co przed chwilą się działo, dawne rzeczy dobrze pamiętają i chętnie opowiadają. Zdaje się, że sama natura mądrze to opatrzyła, aby doświadczenie przeszłości, ten drogi skarb rozumu, dla ludzkości straconem nie

było; aby klęski i nieszczęścia jednego pokolenia były dla następnych przestrogą i nauką.

Więc tylko ludzie dojrzałą historią zajmować się mogą? Nieinaczej; tak wynika z natury rzeczy, a naturze przymusu narzucać nie można. Są wszelako części, przygotowania do historii, których się w młodości, przy świeżej i niezmordowanej jeszcze pamięci, najłatwiej nauczyć, np. geografii, genealogii królów i t. p. Tego dzieci do 14-go roku nauczyć się mogą. Mogą pamiętać niektóre zdarzenia, np. że dopiero za synów Bolesława Krzywoustego Szląsk odpadł od Polski; że Kazimierz W. był ostatnim królem polskim z Piastów, choć Piastowie dopiero razem z domem Jagiellońskim wygaśli; że zostawił dwie córki, a jednak siostrzanowi koronę przekazał, mając bliższych krewnych, Kazimierza ks. Szczecińskiego i Ziemowita Mazowieckiego, że Szlązaków pomine. Lecz wywód przyczyn, które go do tego skłoniły, rozwinięcie zwikłanych powodów, dla których naród od Piastów szląskich odstręczył się, pojęcie dzieci przechodzi. Tylko człowiek światły i dojrzałego rozeznania, co wraz z narodem przeszedł przez różne losów koleje, historię lubić i rozumieć może. I stąd to właśnie pochodzi, iż ludzie, których los z najwyższego szczytu potęgi i znaczenia stracił, albo łagodnie usunął, tęskne dni dla duszy, do ciągłych wyteżeń nawykłej, czytaniem lub pisaniem historii słodzili. Żadna inna nauka rozkołysanej ich duszy zająć długo nie mogła. Tukidydes skazany na wygnanie, że Brazydasowi dał ubiedz Amphipolis, opisał 21 lat wojny Peloponeskiej. Sulla zakrwawioną jeszcze ręką kreślił pamiętniki swojego czasu. Napoleon Bonaparte, wsparty na samotnej wśród Oceanu skale, olbrzymie jak sam pomyłki z historii wyrozumować usiłował. Wyżsi tylko rozumem ludzie kochają się w historii, a Pliniusz za szczęśliwego poczytuje tego, co zdziałał rzeczy godne opisu, lub napisał godne czytania; a najszcześniejszego, komu to oboje zdarzyło się.

Lecz aby zdarzenia historyczne powiązać w jeden ciągły łańcuch z przyczyn i skutków; aby dociec, jak naród w danym czasie sam siebie pojmował, i utworzyć sobie w myśli obraz jego prawdziwy i z płynącym przekształcający się czasem, niedość jest być w wieku dojrzałym. Potrzeba na to bystrogo pojęcia, szerokiej imaginacyi i rozumu, do głębszej roz-

wagi skłonnego. Żeby obraz przeszłości przenieść i wcielić w słowa, skreślić powieść, podobną do zwierciadła, które wier- nie oddawa, co w siebie przyjęło, jeszcze większej (pracą tylko nabyć się mogącej) nauki potrzeba. Zdolności poety, obok zimnej rozwagi, wymowa, obok ścisłości w rozumowaniu, doskonała znajomość i biegłość w języku, są zalety dobrego dziejopisa. I stąd to pochodzi, iż każdy naród mało liczy dziejopisów, choć ksiązek historycznych niezmierna jest liczba. W Grecyi, tak ży- znej w dowcipy, tylko Herodot, Tukidydes i Xenofont się zja- wił; u Rzymian Cezar, Sallustyusz i Tacyt; u Włochów Ma- chiavelli, Gwiczardyni i Paruta; u Anglików Hume, Robertson, i Gibbon do liczby prawdziwie wielkich historyków należą. Niemcy mieli Jana Müllera i Raumera. U nas ani świetne Bo- lesława W. czasy, ani szczęśliwe Zygmunów, wielkiego dziejo- pisa nie miały. Jeden Orzechowski mógł na coś lepszego zakroić, lecz zmienne tego człeka chęci i namiętności w inną go stronę uniosły.

Dwa są rodzaje historyków: jedni opisują, co na własne widzieli oczy, do czego sami wpływali, lub co im wielu naocz- nych świadków opowiadało; drudzy, zgromadziwszy przed sobą współczesne pomniki historyczne, kroniki, dzienniki, dyplomata, dawane posłom nauki, zdawane przez nich sprawy, dzienniki obrad sejmowych lub komory królewskiej i t. p. znosząc z sobą i porównywając te różnorodne świadectwa, wczytawszy się w nie długo i pilnie, oblicze i podobieństwo czasu z nich wydobyć usiłują; pisząc więc historję czasów odległych, z których już żadnego żyjącego nie widzieli świadka, przy świetle swojego czasu na dawne poglądając dzieje, najczęściej blade i nikłe jego obrazki i wizerunki malują; w ich historyi znamiona czasu albo bardzo niewyraźnie przebijają się, albo już całkiem zatarły się; i dlatego, nie czytając współczesnych dziejopisów, nigdy z nich historyi nauczyć się nie można. Bezstronniejsi w sądach, bo obo- jętni; w rozdzielaniu fałszów, przesądów, pozorów i złudzeń szczęśliwsi, większem światłem krytyki otoczeni, bo się na rzeczy spełnione już zapatrują, wszelako tylko dobrymi prze- wodnikami do czytania współczesnych dziejopisów być mogą, lecz ich całkiem nigdy nie zastąpią. Przeciwnie, współcześni nu- dni są częstokroć, nie tak wyglądzeni, lecz oddychają życiem

owego czasu; uderza w nich i duch czasu i namiętności, które sercem ludzkim wówczas najmocniej poruszały; oni w samym opisie wydarzeń panujące wówczas przesady i panujący sposób myślenia wykazują. Nawet ich milczenie jest dla nas nauką. Dzieła niewspółczesnych dziejopisów, choć mają więcej wymierności, choć potoczystsze w nich opowiadanie, choć więcej zaostrzają, karmią i lepiej zaspakajają ciekawość, wszelako cienie tylko czasu owego, nie jego oblicze nam pokazują. Dlatego choćby najlepsze, współczesnych dziejopisów zastąpić nie mogą. Ani z Długosza, ani z Naruszewicza czasów Piastowskich nauczyć się nie można. Chcąc tę pięciowieczną epokę dziejów naszych poznać, trzeba koniecznie wczytać się w Nestora, Galłusa, Mateusza herbu Cholewa, Kadłubka, Boguchwałę i Baszkona, Janka Archidyakona Gnieźnieńskiego i tych z Długoszem porównać. Naruszewicz do ich zrozumienia uściele drogę. A rozprawy X. Prażmowskiego, Czackiego, Ossolińskiego, Gołębiowskiego, a szczególnie Lelewela »Uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa« uczą, jak je czytać z krytyką i cenić ¹⁾. Treściwe wykłady historii polskiej, na których częstokroć światli nawet ludzie przestawać zwykli, które już w XVI wieku w literaturze naszej zjawiać się poczęły, pożyteczne są do uczenia młodzieży, lecz wszystkich potrzeb dojrzalszego rozumu zaspokoić nie mogą, a powzięte w nich historyczne wiadomości prędko nader zacierają się w pamięci, i jak nikle sny nocne szczeją na zawsze. Nawet najlepsze krótkie zbiory, jakimi są np. Kromera i J. S. Bandtkiego, tylko jako wyborne do czytania współczesnych dziejopisów przewodniki używać się mogą. Lecz chcąc głębiej jeszcze przeszłość naszą zbadać, chcąc przy pochodni dzisiejszego światła owym wiekom przypatrzeć się, jeszcze na kronikach i dziejopisach współczesnych poprzestać nie można. Dla uczonego i głębszego badacza dziejów, nieocenionym skarbem są wszystkie owych

¹⁾ O dziejopisach Polski i Litwy pisali: Hoppius, Struvius, Theoph. Krause, Semler (in actis Soc. Jablonov.), Braun surowo, ale najczęściej prawdę; X. Czartoryski G. Z. P. Czacki, Ossoliński, Bentkowski, X. Biskup Płocki Prażmowski, Lelewel (patrz: porównanie Karamzina z Naruszewiczem, znajdujące się w »Monitorze Warszawskim« nr. 61 r. 1824) i Gołębiowski.

czasów pomniki, w które mu pilnie wpatrywać się należy. Każdy głos współczesny, każdy z owych czasów zabytek, jest dla niego świadkiem, którego na ostre wypytanie brać musi. Najmniejszy pomnik piśmienny może czasem nader ważnych dostarczyć wiadomostek, wiele opacznych wyobrażeń sprostować, zmyśleń i dodatków późniejszego czasu odkryć i wątpliwości rozwiązać. W naszej historii koniecznie do tych źródeł historycznych cofnąć się należy: bo wszystkie kroniki przed-Długoszowe często bywały przekształcane, przerabiane lub przerzuczone ręką niewiadomych pismaków (jak np. Kronika Boguchwała) a autografy wszystkich zaginęły. I dla tych to przyczyn dyplomata i inne piśmienne historii pomniki, każdy z tem większą rozczytuje chciwością, im się bardziej ze współczesnymi dziejopisami oswoił, a im więcej mu wątpliwości historycznych się narodziło. Nie czerpając z tych pierwotnych, niezmaconych źródeł, nie można zostać dziejopisem. U nas takowe dokumenta, mimo szwedzkich grabieży, jeszcze w wielkiej znajdują się ilości; lecz rozrzucone, są własnością osób prywatnych. I dla tej to właśnie przyczyny u nas kunszt historyczny nie podniósł się, bo do pierwotnych historii źródeł nie każdy miał przystęp. Zaczynając od końca, podzielono się epokami, a o upowszechnienie drukiem źródeł historycznych po śmierci Czackiego nikt się nie postarał. Stąd poszło, iż (z małym wyjątkiem) wszystko na obietnicy i pięknych nadziejach skończyło się, a za rylce historyczny niezawsze biegła chwytiała ręka. Po Naruszewiczu Czacki miał skreślić dzieje pozostałych świetnych wieków. Po zgonie jego przedwczesnym, kilkunastu do tej roboty oburącz się jęło, i — nic nie zrobiło. Rzekłbyś, że jakieś karłowate plemię po tych dwóch olbrzymach historii się narodziło. Ze skrzętnością mrówki zbierano materyały, strzeżone zazdrośnie, jak nauki kapłanów egipskich, które też ledwie nie temu samemu uległy losowi. Kryjąc dla siebie tylko rękopisma, nie wiedziano snąć, że rękopisma, historyczne źródła są tak dla rozumu niewyczerpane, jak natura nas otaczająca; są jak ta tęcza, na którą tyle wieków patrzano, a którą Newton dopiero wytłómaczyć umiał. Już od lat tylu nad historią rzymską pracowano, wszyscy czytali Liwiusza, a przecież za dni naszych Niebuhr początkowe dzieje Rzymu na nowo przebudował i inszą nadał im postać.

Kunszt historyczny tak wielkim uległ odmianom, iż dziś w najoświecześniejszych narodach zakurzone dyplomata na nowo wydobywać z zapomnienia i rozwijać poczęto. Wszystkie narody okolo przerobienia dziejów swoich teraz krzątają się. We Francji po Vellym, Anketylu, Mablim i Turcie wystąpił Sismondi, Guizot, Thierry, a teraz Capefigue i Michelet. Historia angielska po Humie pod piórem Palgravego i Lingarda do niepoznania zmieniła się. Dziś zapleśniałe wieków średnich postacie, przy żywszem świetle, daleko inaczej na tle historii rysują się. Teraz dziejopis nie zawsze w komorze królewskiej, nie zawsze w złoconych trzyma nas komnatach; lecz oprowadza po ulicach, stawia wśród zgielku, przemawia grubym językiem gminu, prowadzi do izby sejmowej, lub na posiedzenia synodów, stamtąd na sądy lub tajemne spiskowych schadzki. Otwiera przed nami i sale gotyckie z malowanymi oknami, i poziome chaty, przybytek nędzy i ciemnoty. Potępionym od wieków późną oddaje sprawiedliwość i nieraz długowieczne uwielbienia w naganę zamienia. Nie zatrzymują go mury, baszty i mosty zwodzone stolicy, lecz do wszystkich zakątów królestwa czytelnika przenosi. Słowem ludzie w dawnych pomnikach historii teraz coś więcej szukają i znajdują, coś więcej wyczytywać umieją; a w malowanych teraz obrazach nie profil, ale całe oblicze czasu, całe życie narodu na jaw występuje. Lecz do takiego pojęcia minionych czasów późniejsi historycy nie wystarczają. Trzeba czytać współczesnych, a mianowicie kroniki i dyplomata; co już samo dowodnie okazuje, iż historia jest łatwą dla tych tylko, którzy jej nie umieją. Kroniki bywają niezgrabne i niepozorne, jak brakteaty, prostoduszne i szczere, jak malowidła Czymabuego i Perudżyna; mają właściwy sobie urok, lecz znudzą tylko i niczego nie nauczą tego, kto do nich z próżną przystępuje głową. Prócz niezbędnie potrzebnej znajomości łaciny wieków średnich, daleko od cycerońskiej trudniejszej, znajomości prawa i ekonomii politycznej, którą sławny dziejopis szwajcarski, Jan Müller, okiem historii nazwał, znajomość natury duszy i serca ludzkiego konieczne jest dziejopisowi potrzebną, bo historia narodów tylko równoległe z historią duszy i namiętności ludzkich poznać, objaśnić i wytłómaczyć się daje.

Użycie kronik ma właściwe sobie trudności; kroniki albowiem nie oświecają rozumu mgłą niewiadomości otoczonego, lecz są podobne do owych ciekawych malowideł w egipskich grobach, do których już z zapaloną pochodnią zapuszczać się trzeba. Kto nie poznał natury społeczeństw ludzkich, nie wie, na jakie elementa dojrzałe społeczeństwa koniecznie się rozkładają, jakie z tego podziału nowe potrzeby, życzenia i nadzieje się rodzą; kto się nigdy nie zastanawiał nad chorobami społeczeństw, może się dziwić, że dla niego kroniki są nieme, jak hieroglify? Aby lubić kroniki, pierwaj zmysł historyczny z uspienia obudzić, pierwaj oświecić się i wyostrzyć sobie rozum do historyi należy, przetrzeć oczy czytaniem dziejopisów, albo naucających, jak Heeren i Raumer, albo podnoszących duszę do wysokości historyi, jak Gibbon, Fergusson, Tuki dydes, Sallustyusz i t. p. Na takich to tylko dziełach rozum do kronik zaprawić się może, a kogo mimowolna ciekawość do kronik ciągnie, może być pewnym, że już daleko w historyi zaszedł.

Dyplomata jeszcze są pewniejszym źródłem historyi, niż kroniki. Historya wieków średnich, nie oparta na dyplomatach, jest romansiem z samych prawdopodobieństw uwitym, który żadnego nie wznieca przekonania i nie zasługuje na wiarę. Już w XVI wieku Lorencio Galindez de Caravajali i Ambrosio Morales w Hiszpanii, kanclerz Huitfeldts w Danii, a u nas Długosz w XV historyę na dyplomatach opierać zaczęli. Lecz jeśli niełatwo jest czytać i rozumieć kroniki, przystęp do dyplomatów większemi jeszcze założony jest cierniami. Jak dyplomata wyczytywać, wyczytane rozumieć, poznać czyli są prawdziwe, nie podrobione, odgadnąć ich dawność i jakie z nich dla nauk ciągnąć korzyści, uczy dyplomatyka. Wszelkie oryginalne przywileje cesarzów, papieżów, królów, książąt, biskupów, opatów i t. d. wszelkie dokumenta, pisma urzędowe, zowią się w ogólności dyplomata mi, od słowa διπλόω, składam; bo dyplomata, zwykle na pergaminie pisane, dla wygodniejszego przechowywania w kilkoro składano. Z czasem dyplomatów u wszystkich narodów bardzo wiele się namnożyło...

819) *Str. XV—XVII.* Nigdy świeży uczeń *Linneusza* z większą ciekawością wewnątrz kwiatowego kielicha nie zagląda, jak miłośnik historyi w dyplomacie, w którym się coś nowego wygrzebać spodziewa. Nie zraża go wyrazy krotkami pisane, cierpliwie przypatruje się zgłoskom przedłużonym, polamanym, pierzastym, płomienistym, umyślnie drżącą kreślonym ręką, albo przez splecenie w istną zamienioną zagadkę; bo równą rozkosz sprawuje zadeterminowanie dyplomatu, jak rośliny. Takie są trudności i ciernie, takie rozkosze badań historycznych.

Dziejopisem, równie jak poetą, nie każdy się rodził; najszersze chęci i największa gorliwość nie zastąpi zdolności. Dziejopis wielkie od natury dary, jeszcze nauką i pracą zasiląć musi. Jego czarodziejski geniusz wywołuje cienie z grobów, kilkowiecznym przysypanych gruzem; wstają z martwych mężowie i ludy, postać, jaką mieli za żywota. przywdziewając; opada zasłona z ich serca, widzisz teraz najskrytsze ich tajemnice, ujrzysz na oko rozwikłane pobudki postępków, których współcześni odgadnąć nie mogli. Patrzymy teraz z zadumieniem w ich myśli, dziejopisa odsłonięte ręką; przezieramy swobodnie ich sprzeczne chęci, zamysły i kryjówki serca. Wszystko tu aż do dna widać, jak przez nurty źródlane.

Lecz dziejopis nie tylko wywołuje przeszłość z za grobów, nie same cienie rysuje, nie samo wewnątrz minionych objawia czasów; w ogromnym i wspaniałym jego obrazie, tak umiejętnie puszczone jest światło, tak trafnie rozrzucone cienie, tak opatrzenie rozstawione osoby, tak żywe, tak prawdziwe naprowadzone kolory, iż ten świat cały żyjący, obracający się, wciąga w się oko, pochłania duszę i nieraz pamięć teraźniejszości na chwilę odejmuje.

Lecz nie na tem jeszcze misterne dziejopisa roboty się kończą: największy jego przemyśl ukrywa się przed okiem nieznanicy. Niedosć wywoływać cienie umarłych, niedosć malować żywy obraz minionych czasów; potrzeba, aby to malowidło spoczywało na tle, przez rozum przygotowanem, żeby w nim tkwiła myśl, duszą jego będąca, aby różne ogniwa w jeden spojone wątek, jedna myśl panująca, jak iskra elektryczna od końca do końca przebiegała i zapaliła wielką pochodnię prawdy histo-

rycznej, bez której historia byłaby tylko powieścią, niezaw-
sze zajmującą. Gdy więc dziejopis musi i odsłonić przeszłość,
i odmalować ją, i z mętnych baśni, przeistoczeń, pozorów, fał-
szów mimowolnych i umyślnych, czystą wydobywać prawdę,
któraby w życiu naszym przyświecać nam mogła, możnaż się
dziwić, iż wśród tak wielkiej ksiąg historycznych liczby, tak
mało dobrych dziejopisów widzimy? że trudny ten kunszt wiel-
kich zdolności i rozległej wymaga nauki? Kto ma zmysł wro-
dzony do pochycenia prawdy historycznej, w plątaninie fał-
szów ukrytej, kto już ma w sobie żyjący i odrysowany na dnie
wzór, ideał skreślić się mającego obrazu, kto się w cudzą osobę
łatwo przemienić, w różnorodne umie wchodzić uczucia, pojąć
np. dzikiego Tatarzyna, którym zwierzęce miotają chuci, dum-
nego Turka zaufalność i ślepotę, obłudę dwuznacznych Krzyża-
ków, owych Korteżów i Pizarrów XIII wieku; kto pozłoczone po-
zory od rzeczywistości rozróżnić umie, kto uzbrojony cierpliwą
wytrwałością, łącząc żelazną pracowitość z nabytą już nauką,
łatwowiernością, nadętością stylu, ciemną i dziką kronikarzy
laciną, mikroskopicznym ich rozumem nie zrazi się: ten tylko
grzebiąc w ciemności wieków minionych, szczerą prawdę wy-
niesie z głębi i nawiedzone ręką niewiedomości lub podchleb-
stwa farby z oblicza historyi zetrzeć potrafi...

820) *Str. XXVI—XXIX.* Tak więc Długosz napisał dzieje
Piastów bez krytyki, i z kolei kronikarskiej nie wyszedł.
Przeciwnie Naruszewicz wszystko roztrząsał, zasięgał wiadomo-
ści i od cudzoziemskich współczesnych kronikarzy, radził się dyplo-
matów, wiele zwłaszcza w przypiskach (najszacowniejszej części
dzieła swego) objaśnił, rozplątał i sprostował. Wszelako do wy-
sokości historyi się nie podniósł, nie historię narodu polskiego
pod Piastami, ale chronologiczną biografię Piastów napisał..

..... Naruszewicz albowiem wytłómaczywszy Tacyta
i napisawszy żywot Chodkiewicza (prócz wierszów pogań-
skich), już poniekąd pracami na zdrowiu, siłach i rzeźwo-
ści umysłu przytępiiony, niechętnie i tylko na rozkaz Stani-
sława Augusta wziął się do pióra; już, jak sam mówi, »myśli-
łem to czynić, co i drudzy duchowni, to jest siedząc w domu,

otiarum cum dignitate«. Jakoż widać to w jego historyi (choć z wielu względów szacownego dzieła), że nie z wewnętrznego popędu była pisana. Co pilność i praca zdziałać mogły, wszystko uczynił, wgrzebał się dość głęboko w czasy Piastów, uprawiał pracowicie tę rolę, przez trzy wieki odłogiem leżącą, ale bez zapалу, bez natchnienia, bez zamięłowania. Ustawiał już przy końcu; stąd w ostatnich tomach więcej pomyłek natrafia się. Nie miał ani cierpliwości trzydziestoletniej Gibbona, ani jego smutku, kiedy ostatnią kartę swojej historyi skreśliwszy, rylec historyczny kruszyć mu przyszło i rozstawać się z miłym zatrudnieniem, które mu z przeciagiem czasu w drugą zamieniło się naturę. Naruszewicz chętnie cisnął pióro dziejopiskie o ziemię i przez dziewięć lat pozostałych już się literaturą nie zajmował. »Przekonany jestem (mówi do króla, zabierając się do historyi polskiej) długim doświadczeniem o próżności zdań owych, którzy ustawiczne z naukami zabawy najslodsza rozrywką być rozumieją; którzy nieśmiertelność sławy literatom obiecując, w złotych wieczności księgach, w niezwiędłych wieńcach płonnemi wiatrami nadzieje i potrzeby ich tuczą«. Po tak odczarowanym poecie możnaż czegoś nadzwyczajnego spodziewać się? Rzekłbyś, że ten potulny dworak i podchlebca Stanisława Augusta zarwał coś nikczemności wieku, w którym żył i wzrastał, i którego owoców przed śmiercią doczekał się.

Naruszewicz złożył pióro dziejopiskie w godniejsze ręce Czackiego, który go światłem, obszernością nauki i gorliwością daleko przewyższał ¹⁾...

C) »Charaktery rozumów ludzkich« (1836).

(»Charaktery rozumów ludzkich«, W Krakowie, 1837).

Książka zawiera klasyfikację i charakterystykę usposobień i umysłów ludzkich. We »Wstępie« kreśli Wiszniewski charakterystyki właści-

¹⁾ W obronie Naruszewicza wystąpili Karol Sienkiewicz w »Skarbcu historyi polskiej« I (1839) (toż w »Pismach« 1862) i Julian Bartoszewicz w życiorysie Naruszewicza (»Znakomici mężowie polscy w XVIII w.« I, 142). Odpowiedź Wiszniewskiego w »Myślach o ukształc. siebie samego«, str. 86—87. (*Przyp. Red.*).

wości rozumu różnych ludów. W rozdziale I-szym charakteryzuje różne odcienia głupstwa; w rozdziale II-gim mówi o »przywarach i niedoskonałościach rozumów«; w rozdziale III-cim o różnych rodzajach ludzi rozsądnych, o Franklinie, o Lackingtonie; w rozdziale IV-tym o rozmaitych rodzajach ludzi dowcipnych; w rozdziale V-tym o rozmaitych rodzajach ludzi rozumnych, o Kancie; w rozdziale VI-tym o »duszach ognistych« i »głowach zapalonych«, o urojeńcu, o Dekarcie i jego metodzie kierowania rozumem; w rozdziale VII-mym o geniuszu ludzkim i jego rodzajach, o poecie, o geniuszu improwizatorskim, o geniuszu malarskim (charakt. Rafaela), o geniuszu Napoleona Bonapartego. — Pisał to dzieło Wiszniewski, »nie mając żadnego przewodnika«, »ożywiony myślą«, iż »dla przyszłego Linneusza rozumów« otworzył nową drogę, do poznania ludzi wiodącą. W r. 1853 ogłosił Wiszniewski »Charaktery« w opracowaniu angielskiem p. t. »Sketches and characters or the Natural History of the human intellects. By James William Whitecross« (London).

Podajemy ustępy z rozdz. II, o rozumach leniwych, z rozdz. III, o rozsądku, z rozdz. IV, o dowcipie, i z rozdz. V, o młodości i przesileniu rozumu.

821) *Rozdz. II. Str. 58—60, Rozumy leniwe.* Ludzie leniwego rozumu w społeczeństwie ograniczonemi i nieukami wydają się, lubo częstokroć idąc żółwim krokiem daleko postąpili w naukach. W pracach umysłowych biorą sobie za godło *Gutta cavat lapidem, non vi, sed saepe cadendo*, »Kropla wody wydrąży kamień, nie siłą, lecz często padając«. Wszystkie działania rozumu odbywają zwolna, idą jak wół w pługu, lecz miewają wytrzymalszą uwagę; zwolna obejmują, lecz jasno; powoli myślą, lecz rzadziej błędzą. Umysłem takim zbywa na imaginacyi, najzdolniejsi są na erudytów, filologów i pożytecznych szperaczy; mają bowiem potrzebną do tego wytrzymałość, cierpliwie po najnudniejszych szperają książkach, bywają nader pracowici, lecz częstokroć małe rzeczy biorą za wielkie; bo przy tych kunsztownych zatrudnieniach pamięci i rozsądku, niedołęźnieje rozum i wędnie dusza, jak kwiat przesadzony. Nowych myśli sami nie stworzą, nie miewają natchnień rozumu, ani szczęśliwych pomysłów, lecz cudze dobrze obejmują i przywodzą. Żadna, choćby najbardziej oschła praca, umysłowa zrazić ich nie zdoła: gotowi całe życie zbierać nieożywione myślą wyrazy, lub trudnić się rzeczami, które żadnej z władz umysłowych, a szczególnie rozumu mocno nie zajmują. Odwykają więc od rozumowania; rozum ich przy takich

zatrudnieniach stopniami tępieje, a w końcu do wyższych robót umysłowych całkiem niezdacnym się staje; i dla tej to niedo-
łężności rozumu, zbijając cudze zdania, przywodzą powagę ty-
siąca autorów, lecz we własnym rozumie ani jednego dowodu
lub zarzutu znaleźć nie mogą. Takich rozumów najwięcej na-
mnożyło się było w XVII wieku, szczególnie w Niderlandach.
Lenistwo umysłu pochodzi w części ze słabej pamięci, która
skarby sobie powierzone z trudnością zwraca, ze zmordowania
umysłu ciągłym i zbytecznym czytaniem i niewprawy z młodu
do prac umysłowych. Ludzie leniwego rozumu miewają stały
charakter i wielką w przedsięwzięciach wytrwałość.

Ludzie pieskliwie wychowani, którym najemnicy wszystko
w głowę kładli, którzy drzymiąc i leżąc brali nauki, lecz zdadni
z natury, bywają także leniwego umysłu; lubią słyszeć sam
tylko wypadek długich i mozolnych rozumowań, nie cierpią sy-
stematycznych wykładów, przenosząc historyczną wiadomość,
choćby powierzchowną tylko, i w tem jednym mają niejaki
z umysłami ognistymi podobieństwo. W potocznym używaniu
rozumu, zawsze po niewczasie wiedzą, co czynić należało.
Ogólne wyobrażenia, których pojęcie niejakiego natężenia umy-
słu wymaga, w wielkim mają obrzydzeniu, a szczegółów, dla
ich różnaitości i wielości, nie lubią. Bywają zwykle dojutrkami,
zawsze czekają, aż rzeka przepłynie, jedynie przez lenistwo roz-
wagi. Równie do nauk, jak do innych zatrudnień niezdadni; wszę-
dzie są miernemi, choć ich rozumowi na żadnej z władz umy-
słowych nie zbywa, lecz władze te opieszale i leniwo mu usłu-
gują. Ludzie leniwego umysłu nie mają innego przekonania,
prócz wiary, która w nich nie z rozumu, lecz z łatwowierności
się rodzi. Człowiek rozumny wierzy, bo w rozumie swoim znaj-
duje nieprzeparte do tego pobudki, człowiek leniwego rozumu
spuszcza się w tem i zapatruje na drugich.

822) *Rozdz. III. Str. 62—63.* Rozsądek nie tak daleko sięga,
jak rozum. Można trafnie sądzić, a jednak słabo rozu-
mować. Rozum naukami kształci się, rozwija, rozszerza i wzma-
cnia; z rozsądkiem, podobnie jak z geniuszem, rodzić się trzeba;
jest to osobisty i dosyć rzadki przywilej, spuścizna po matce.

Rozsądni zaciekać się nie umieją, długich, głębokich i sub

telnych rozumowań nie lubią, lecz o rzeczach potocznych trafnie i szybko sądzą. Rozsądek, dar wielce w codziennem życiu szacowny, wszystkim jakoby ludziom wspólny i właściwy, nie potrzebuje wielkiego od nauki wsparcia; bo człowiek przy tej latarce często lepiej widzi od uczonych, i w zwyczajnych okolicznościach prędzej sobie poradzi; choć trudne zagadnienia, jak Macedoński Aleksander węzeł gordyjski, nie rozwiązuje, ale przecina. Rozsądek zdrowiem, czerstwością rozumu nazwać się mogący, ma też wielki ze zdrowiem związek. Z postępem naukowej uprawy, czyli kultury umysłu, podobnie jak instynkt słabieć i zacierać się zdaje; stąd nierzadko widzimy ludzi mądrych i uczonych, którym zbywa na rozsądku. W ogólności rozsądek jest to rozum głów miernych, a nieukształconych naukami.

Prócz głębokości w rozumowaniu, rozsądek tem się jeszcze różni od rozumu, iż błędy jego zupełnie są inszej natury, od pomyłek rozumu. Rozsądny człowiek nigdy takich błędów, jak rozumny, nie popełni, bo tak daleko nie sięga. Człowiek rozumny lepiej wybierze cel i prędzej obmyśli środki, rozsądny lepiej tych środków użyć potrafi. Ludzie rozsądni tylko, co nie umieją zagłębiać się, w razie nagłej potrzeby, prędzej i lepiej sobie radzić umieją, jak ludzie głębokiego rozumu: bo nie przewidując wszystkiego, na małą tylko liczbę okoliczności oglądają się, idą zwykle za pierwszym natchnieniem, tem wyraźniejszym, im rozum mniej zastanawiał się i mozolił. Przeciwnie, ludzie rozleglejszego objęcia, przewidując wszystkie następności, przeszkody i trudności, nie mogą tak łatwo wśród ciżby rozmaicie wikłających się myśli, znaleźć pewności; coraz jej w czem innym i gdzieindziej szukając, nie znajdują nigdzie; zmuszeni poprzestać na prawdopodobieństwie, (które także niełatwo znaleźć), zbyt długo się wahają, roniąc sposobną, może jedyną do działania porę; i stąd to pochodzi: iż ludzie zwykle więcej w rozsądku, jak w rozumie pokładają ufności, i że nawet wielu filozofów, jak Oswald, Reid, Priestley, do powszechnego ludzi rozsądku się odwołują.

W rozsądkach ludzkich rozmaite postrzegać się dają odcięcia: są rozsądki skromne, trafne, wolne od złudzeń rozumu i imaginacyi, zdrowym rozsądkiem zwane. Jest to latarnia z czystego szkła, która niedaleko świeci, ale dobrze.

823) *Rozdz. IV. Str. 94 – 97.* Dowcip jest wrodzonym darem, spuścizną po matce; daje się rozwinać, wykształcić, nabywa poloru, lecz z dowcipem, podobnie jak z rozsądkiem i geniuszem, rodzić się trzeba.

Wesoly dowcip jest najprzyjemniejszy z darów natury, który wszystkich zachwyca, wszystkim bez różnicy oświecenia i stanu podoba się, choć jak sprawiedliwie *J a n Ż a b c z y c* powiada: »Dowcip czasem potrzebny, ale rozum zawsze«. Mężowie poważni, najslawniejsi z geniuszu i świetnych przewag ludzie, kochali się namiętnie w płodach wesolego dowcipu. Filozof *Demokryt*, *Filip Macedoński*, *Demetrius Poliorketes*, okrutny *Sulla* i książę mówców, *Cycceron*, lubili wesole żarty i pocieszne rozmowy, bo towarzystwo lub pismo ludzi dowcipnych jest godną zazdrości rozkoszą. Jeśli chcesz zapomnieć, że żyjesz, czytaj *Segiura*, powiedziała pani *Neker*. Pisma komików wiele pożytku, a jeszcze więcej przynoszą zabawy i przyjemności, której nikt oprzeć się nie może. *Sterne*, dostawszy dzieło *Rabelego*, z taką chciwością go czytał, iż zapomniał o upragnionej kanonii i zniknął ze społeczeństwa, którego był duszą. Górniesze od niego umysły, *Platon* i *Jan Złotousty*, komedye *Arystofana* wysoko cenili. Pierwszy miał o *Arystofanie* napisać: iż gracye, szukając siedliska na stałą dla siebie świątynię, serce tego komika ateńskiego na to obrały.

Można mieć zdrowy rozsądek i głęboki rozum bez dowcipu; oba te szacowne i wielkie umysłu przymioty najpracowitszą, najdoskonalszą uprawą na dowcip wyostrzyć się nie dadzą. Owszem, zbyt troskliwe i ustawiczne bieganie za dowcipem zabija go i tępi; dowcip albowiem najmniej ulega woli, a najpiękniej rośnie, kiedy niewymuszony, jak barwinek, U ludzi dowcipnych wyobrażenia kojarzą się w sposób pobudzający do śmiechu, u ludzi rozumnych, w sposób wykrywający naturę. Człowiek dowcipny wysmiewa słabości i zdrożności ludzkie; rozumny, wynajduje ich przyczynę i tłumaczy naturę. Dowcip okazuje się w wynalezieniu, rozum w objaśnieniu, rozsądek w rozróżnieniu, geniusz w utworze wielkiego obrazu lub budowie całego systemu prawd, ściśle z sobą powiązanych. Rozumny wynajduje zachodzące między rzeczami związki; rozsądny, różnice; a do-

wcipny jakieś podobieństwo i równość, nawet w rzeczach, w których rozumni i rozsądni same tylko widzą sprzeczności i różnice. Dowcipny nie posiada tyle światła, co człowiek rozumny, nie miewa tyle zastanowienia, co człowiek rozsądny, nie dosięga mądrego, wszelako częstokroć odrazu dociecze, co dla rozumnego było zagadką, nad czem człowiek rozsądny długo się mozolił, a co mądrym nigdy na myśl nie przyszło. W ogólności dowcipny prędzej się czegoś domyśli, jak rozumny. Rozumny zaś prędzej sobie wyrozumuje, niż się domyśli.

Dowcip jest skłonnością i wielką zdatnością do wynajdywania podobieństw w rzeczach i wyobrażeniach. Jest zaś kwitnący, gdy takowe podobieństwa oddane są w obrazach; trafny, kiedy je najprostsza szuka i odkrywa drogą; naturalny, kiedy podobieństwa i porównania jego bez żadnego natężenia umysłu pojąć się dają, kiedy nie ma myśli osłoniętych, wypracowanych i kunsztownych.

Ludzie poważnych obyczajów zwykle potępiają dowcipnych: może dlatego, iż dowcipni niekiedy granice przyzwoitości przekraczać lubią, iż dowcip bywa połączony z lenistwem rozumu, obojętnem sercem i jakąś w charakterze lekkością. Ludzie dowcipni zajmują, bawią i pociągają do siebie; lecz poznani z blizka, odrażają czczością, która w duszy ich panuje; podobni do jabłek przy jeziorze martwym, które do ust przytknięte, w popiół się rozsypują. Bawi nas dowcip *Krasickiego*, ale przebijająca się w pismach jego dusza, obojętna na wszystko, co dla nas najdroższego, jakieś stronienie od uczuć wrodzonych serca, jakieś przykre zimno, wiejące z jego dowcipu, sprawuje, iż lubiąc pisma, autora ich kochać nam nie podobna.

Ludzie dowcipni prędko, z wielką bystrością chwytają subtelne podobieństwa, prędkiej od innych wszystkiego domyślić się umieją, prędko wynajdują środki załatwienia jakich pomniejszych w życiu trudności, bystro postrzegają sprzeczności z prawami pięknego i dobrego; mają żywe objęcie, przytomność i czujną uwagę, wielką pamięć, lecz nie głęboki rozum. Systematyczności i klasyfikacyi wyobrażeń nie lubią; prześlizgują się, pełzają tylko po wierzchu myśli, i jak motyle z kwiatka przelatują na kwiatek. Głębiej w rzeczy zapuszczać się nie lubiąc, często niespodziane miewają myśli i celują w opowiadaniu; mają

z natury dar wzniecania ciekawości, umieją zwrócić uwagę, zachęcić słuchaczy do skwapliwego rozwiązywania zwicklanych wypadków, omylić oczekiwanie, zamącić wszystko, kładąc po szczególnej, rzecz jeszcze osobliwszą, wzniecié bojaźń i litość, zmartwić, poruszyć i nakoniec zmieniając treść, pozornie poważną, w żart wesoly, potrafią duszę zadowolić, zostawując imaginacyi wątek do nowych obrazów, a rozumowi do dalszych rozmyślań pobudkę. A gdy każda powieść, choć króciutka, zajmuje imaginacyę i wdzięcznie bywa przyjmowaną, nie dziw, że ludzi dowcipnych więcej lubią, choć więcej szacują rozumnych.

Ludzie, w których dowcip jest okrasą głębokiego rozumu, celują w komedyach, satyrach i romansach, malujących śmieszności, słabości i przywary ludzkie, i uściełają kwiatami drogę do prawd najwznioślejszych, mocnego przekonania, i że tak powiem prawdę na dłoni wdzięków okazują. Komedye Moliere'a, jak np. »Świętoszek«, »Szkoła kobiet« i t. p., więcej się do poprawy obyczajów we Francyi przyczyniły, jak wszystkie ówczesnych moralistów pisma.

Krasicki przywary i zdrożności ojców naszych w kontuszu i żupanie, już podcinanym na fraki, a Fredro dzisiejsze, od Francuzów przejęte, dowcipnie odmalował. Cervantes zniszczył w Hiszpanach namiętne upodobanie w romansach rycerskich, które odwodziło od czytania i pisania dzieł pożyteczniejszych. W ogólności dowcipni najwięcej śmieszności podstrzeżać i opisywać lubią. Oni wzięli od natury dar pobudzania do śmiechu, którym wedle Arystotelesa ludzie różnią się od zwierząt. Nielatwo jest wynaleźć obrazy i ustawić myśli w sposób rozśmieszający; dar taki nawet między dowcipnymi nie jest pospolity. Na stu ludziach, którzy nas do rzewnych łez pobudzą, ledwie jeden z prawdziwą żyłką komiczną się zdarzy. U nas, wśród wielkiej liczby poetów, tylko Krasicki i Fredro wesolym odznaczyli się dowcipem. Romans taki, jak »Don Kichot«, »Idzi Błażej z Santyllany«, »Modna żona«, »Nieszczęścia najszcześliwszego męża«, równie trudno napisać, jak poemat bohaterski. Między malarzami niewielu tak dowcipne karykatury kreśliło, jak Leonardo da Vinci i Hogarth...

824) *Rozdz. V. Str. 119—121.* Młodość i przesilenie rozumu. Dla duszy świeżej, serca nietkniętego boleścią, rozumu jeszcze żadną nie zrażonego i znękanego wątpliwością, wszystko na świecie w złotej okazuje się barwie. Młody rozum wszystko wiedzieć pragnie i spodziewa się; wierzy w cnoty, otwiera się z zaufaniem, wylewa na nadzieję. Niemasz tak wysokiej doskonałości, którejby dostąpić nie pragnął i nie spodziewał się. Przegląda się chciwie w świecie, gdzie wszystko dla niego nowe, świeże i wesołe, jak jego serce. Zachwyca się wszystkim, dziwuje i unosi; jak podróżny na górze Rygi, kiedy nagle z za skał alpejskich wyskakujące słońce pokryje różowym rąbkiem lody i siedm błyszczących jezior wśród rozkosznej okolicy odsloni. Młodość duszy, młodość rozumu! Szczęśliwy, kto w tym raju niewinności, po tych złocistych niwach długo bujać może. Z czasem naukami kształcony rozum coraz prędzej kroczyć poczyna, coraz więcej wyobrażeń ogólnych nabywa, i coraz większego w siłach swoich nabiera zaufania. — Jeszcze i temu wzrostowi i zbliżaniu się ku dojrzałości złota młodego wieku towarzyszy nadzieja. Młodzian nie wie i nie domyśla się nawet, iż są pewne wiedzenia granice, gdzie dwie rozstajne zaczynają się drogi. Póki do tej nie dobiegnie mety, postępuje wesołem sercem i mimo wielkich trudności, nie ostyga w zapale. Prowadzony za rękę, idzie zawsze ubitą i wskazaną przez innych drogą; tylko utartej dobrze trzyma się ścieżki, cudze tylko myśli rozumieć się uczy, i zawsze od wyrazów do wyobrażeń, a od tych dopiero idzie do rzeczy. Po gotowych już rozumowaniach, do pewnych prawd przychodzi. Zastanawia się nad tem, co mu wskazano, co bliżej niego leżało. Lecz w pewnej epoce umysłowego życia, poczuwszy w sobie pełnoletność umysłową, zaczyna o własnych siłach rozbierać i sprawdzać zdania, które dotychczas na wiarę od innych przyjął; z tego rodzi się w jego umyśle niespodziana wątpliwość, czyli przesilenie się rozumu, które cały umysł wstrząsa, silnie wpływa na przyszły jego charakter umysłowy i stawia go na drodze rozstajnej, z których jedna prowadzi do granic rozumu, druga do ciągłego powątpiewania.

Szczęśliwy, kto przebywszy tę ospę rozumu, pozna nieprzebytą możności wiedzenia granicę! o jednych rzeczach upewnia się dowodami; w drugie, ile żadnem dowodzeniem obalić się

i wyrozumować nie mogące, wierzy. Resztę kładzie w rzędzie prawdopodobieństw i domysłów; a po wytrzymanej nawałności, zawiąwszy szczęśliwie do portu, w rzeczach, rozumowi niedostępnych, ucieka się do religii. Spokojnym odtąd umysłem pogląda na granicę, której rozum przekroczyć nie może i żadnej już sprzeczności między sumieniem swoim a rozumem nie czuje.

Lecz nie wszyscy ludzie tak szczęśliwie te niebezpieczne przebywają porohy. Jedni przyligają ślepo do wszystkiego, cokolwiek trafem do nich przyplęnęło; drudzy na widok tak rozmaitych, sprzecznych i wzajemnie znoszących się zdań ludzkich, rozpaczają o rozumie i względem rzeczy najbliższej człowieka dotykających w wiecznej zostają wątpliwości. Jest to nader mądre rozrządzenie Opatrzności, że ludzie głupi i ograniczeni, o tych wątpliwościach wcale nie wiedzą i na takie niebezpieczeństwo narazić się nie mogą.

D) Historia literatury polskiej (1840—1848)

(»Historia literatury polskiej«. Tomów 10. Kraków 1840—1857).

Doprowadzona do połowy XVII w. Tom I zawiera »Przedmowę« z ogólnym rzutem oka na rozwój literatury polskiej, »Wstęp«, obejmujący charakterystykę epok literatury polskiej, spis dziejopisów zatraczonych lub w rękopisie i rzecz o źródłach historii liter. pol.; poczem następuje historia literatury polsko-słowiańskiej; historia poezji i prozy polskiej, poezji i wymowy polsko-łacińskiej i nauk przyrodzonych — za Piastów. Tom II — historię kronikarstwa polsko-łacińskiego, historię Akademii Krakowskiej do r. 1400 i historię prawa polskiego do r. 1400. Tom III — historię kunsztu drukarskiego, historię filozofii scholastycznej w Polsce w ciągu XV w., Grzegorza z Sanoka, historię języka i literatury łacińskiej w Polsce w XV w., historię poezji i prozy polskiej w XV w., Kallimacha. Tom IV — kronikarstwo polskie XV w., Długosz, Astronomia, Matematyka, historię Akademii Krakowskiej. Tom V — teologowie XV w., wymowa kaznodziejska, Kanoniści XV w., historię prawodawstwa polskiego i litewskiego w XV w., historię prawa Magdeburgskiego w Polsce, Ortyle. Tom VI — historię języka i literatury łacińskiej za Zygmuntów, historię języka i literatury greckiej w Polsce, historię poezji polsko-łacińskiej od Pawła z Krosna do Sarbiewskiego, historię języka polskiego, himnologię polską, tłumaczenia polskie pisarzy greckich, łacińskich i Pisma św. Tom VII —

historię nowej poezyi polskiej (Złotego wieku), romanse i powieści, poezję dramatyczną, historię kunsztu dziejopisarskiego od Miechowity do Kochowskiego, Paprocki, opisy Polski, podróże. Tom VIII — dalszy ciąg literatury historycznej z ep. Zygmunto-wskiej, historię kościelną, historię literatury i Kościoła ruskiego. Tom IX — literaturę teologiczną, prawniczą, filozoficzną, lekarską i nauk przyrodzonych. Tom X zawiera »Spis autorów«, wymienionych w 9 tomach. — Podajemy wyjątki z przedmowy i wstępu do t. I-go, z przedmowy do t. II i z rozdz. 7-go t. VII-go (»Historya nowej poezyi polskiej«).

Z Przedmowy do tomu I.

825) *Str. IX—XIII.* Pod Wazów i Sasów panowaniem wszystko się zmienia. Dyssydenci i Dyzunicy w prześladowaniu; Jezuici klóca się z Akademią krakowską i Pijarami w Wilnie, wszędzie zakładają szkoły i przywracają wieki scholastyczne. Część narodu, najwięcej z powodów religijnych, na własnych rodaków oręż podnosi: bo protestantów z izby poselskiej wyrugowano, a archirejów do senatu nie wpuszczono; nie założono obiecanej akademii w Kijowie (choć hetman Sahajdaczny Konarszewicz, idąc na pokutnika do Ławry peczerskiej, nie mało na jej założenie groszy był zapisał) i dano zburzyć Kudak. Szwedzi mszczą się na Polakach za to, że ich królowie snopek w herbie noszą. Nauki i oświecenie upadają. Wśród ciemności lęgną się brzydkie przesady; głupstwo pastwi się nad rozumem; ślepi prowadzą jednookich. Panowie piszą *pacta conventa*, frymarczą koroną, odgrywają toruńską tragedję i robią zajazdy. Wino węgierskie rodzi się na Węgrach, a wychowuje w Krakowie. Szlachta więc pije, pławi czarownice w stawie, zrywa sejmy i za łby się wodzi. Młodzież pod wąsem uczy się Alwara. Akademicy krakowscy piszą kalendarze i prognostyki, i wraz z całą zgrają pismaków, dmą w ogromne trąby pochwalne na cześć szlacheckich splendorów. Już teraz kto tylko pisze, chwalić musi koniecznie; na jednym tylko Zoilu wszystko się skrupiło. Przełęczona losem biskupa Piaseckiego historia zamilkła. Uczeni ubóstwo, nagość swego rozumu osłaniają łacina, nawet w potocznej mowie do polskich łacińskie mieszają wyrazy. Rozumy głębiej wnikające filozofia scholastyczna w żelazne pochwyciła pęta. Gdy się to dzieje, wraca z cudzoziemskich krain Konarski, a jak zwykle ludzie wiecy, nie zraża się trudno

ściami, krząta się, uczy, pisze, drukuje. Ale niesporo mu idzie; bo nie przywiózł z sobą pochodni, lecz tylko zakopconą latarkę; wszelako i przy jej bladym świetle dziwnie mu się wszystko w Polsce wydało. Zaledwie oczom swoim uwierzył, co tu jednocieczna ciemnota z narodu, niegdyś tak oświeconego, zrobiła; gdzie tylko szkłem obrócił, tam zaraz okropny nierozum w całej brzydocie swojej z ciemności wynurzał się; zwrócił li na szkoły, widzi Alwara, co jakby upiór jaki, rozumy młode w samym zatłumieniu kwiecie; widzi ludzi, którzy od zdrowego rozsądku odwykać i jemu ufać nie chcą. Zaczął więc podkopywać powagę Alwara i innych krajowych przesądów; a natomiast nowe szczepić wyobrażenia. Marszczyli się na te nowości starzy Polacy, głaskali podgolone czupryny, poprawiali niecierpliwie lite pasy, żal im było Alwara i panegiryków, do których od młodości byli nawykli. Wtem głośny i potężny zakon Lojoli upada. Podła chciwość rozrywa majątki jezuickie i rozprasza książki. Resztę cnotliwi ratują: Chreptowicz podaje myśl komisji edukacyjnej; Kołłątawy budzi drżymiącą od lat stu Akademię krakowską. A gdy wszędzie brak rozsądku, brak logiki czuć się daje, Ignacy Potocki, nie znalazłszy w kraju, aż do nauczyciela księcia Parmeńskiego po logikę dla Polaków posyła. Atoli i w kraju księgi elementarne się piszą. Kopeczyński na wielkich tablicach spisuje wyrazy z ich odmianami i układa gramatykę. Stanisław August daje obiady czwartkowe i bije dla uczonych medale. W Puławach chowają i pieczęją poetów. Na scenie pokazują dzieła oryginalne. X. Jeziński, X. Staszic i jeszcze jeden, tną prawdę szlachcie, pochwałami rozpieszczonej, a wtem piorun spadł z nieba i dom oddawna spróchniały obalił. Ci, co dotąd mówili po łacinie, podcinają sobie kontusze na fraki, nie chcą więcej golić głowy, mówią i piszą po francusku i dzieci swoje włóczęgóm z Francji na wychowanie oddają. Nowy więc w naukach i oświeceniu powstaje chaos. Po słabej czasów Stanisławowskich oświacie powszechnej zamęcenie głów nastąpiło. Miejsce Arystotelesa zastępuje Wolter i Rousseau. Pamiętniki francuskie, obrazy przedpokojowych przebiegów i plotek, stały za historią; ci, co dawniej Wirgiliusza czytali, czytają teraz Delilla; unoszą się nad komedyjkami, które w Paryżu z oklaskiem przyjęto; piszą

wiersze i to nazywają poezją. Literaci żalą się na ubóstwo polskiego języka, odgrażając się nawet, że go doskonalić poczną. O kwitnącej niegdyś wśród Polski literaturze cerkiewnej nie wiedzą, a o Zygmuntofskiej mało co. Języki słowiańskie zupełnie im nieznanne. Biskup Kossakowski, jadąc do wód karlsbadzkich, odkrywa przypadkiem naród, mówiący bardzo podobnym do polskiego językiem; a w Warszawie słuchają go z zadziwieniem, jak niegdyś Krzysztofa Kolumba na dworze Izabelli. Gadano wiele o potrzebie umienia, objaśnienia i pisania historyi krajowej; wszelako topografia pałacu wersalskiego, żywoty kochanek wielkiego Ludwika i szczegóły jeleniego parku, znajomsze im były, niż dzieje cnotliwej Jadwigi i dwór Jagiellonów. Były to wreszcie błogie dla literatów czasy: kto przetłumaczył jaką książkę francuską, zostawał literatem. Kto tuzin wierszy Rasy na, Floryana lub »Henryadę« Woltera przełożył, pisał się poetą. Sława jego szerzyła się po wszystkich zakładach pałacowych, choć go naród nie znał. Pochwalony polską francuszczyzną przy mahoniowym stoliku, uklonił się grzecznie i odtąd na wawrzynach zasypiał. Jeden tylko Tadeusz Czacki odgrzebywał gruzami przywaloną przeszłość, a Wronicz na ton swojacki lutnię nastroił..

Ze Wstępu.

826) *Tom I. Str. 17—21.* Nauczyło doświadczenie, iż ludzie nie korzystają z historyi, bo się historyą mało zajmują, a namiętności, jako mocniejsze, więcej wpływają na życie narodu, niż rozum. Lecz nie idzie za tem, aby historya literatury równie mało obiecywała i przynosiła korzyści. Ludzie zajmujący się naukami, wprawni do myślenia, chętnie czytają historyę literatury, która nie będąc wykładem żadnej teoryi, opisuje tylko, co się stało w dziedzinie myśli; opowiada, jakie zachodziły w świecie duchownym zmiany i z jakich powodów; z tego opowiadania następują się pożyteczne dla literatów przestrogi i doświadczeniem stwierdzone nauki. Nie wszystkie atoli epoki mogą mieć prawdziwą historyę: o całej epoce przedchrześcijańskiej tylko domysły, rozumowaniem wspierane, podać możemy. Historya literatury za Piastów, musi (dla niedostatku wiadomości historycznych) być składaną jak mozaika. Dzieje literatury

pod Jagiellonami tylko porównaniem z europejską skreślić się dadzą; w wiekach Zygmuntońskich, kiedy tyle pisano, historia literatury nie znalazła dziejopisa, tem mniej w czasie jej upadku do ks. Konarskiego. Tu jednakże zjawiała się bibliografia. Epoka Stanisława Augusta przeszła, co do historii literatury, w milczeniu. Od roku 1795 do 1815 upadła historia. W czasie piętnastolecia kwitła bibliografia; historia literatury była tylko zapowiadana. To wszelako jest jedna epoka, której możnaby skreślić prawdziwą historję, bośmy własnymi na nią oczyma patrzyli.

Wiadome nam są i przytomne w pamięci duch i barwa owego czasu, chęci, słowa i szczegóły, kluczem i tłumaczeniem wielu ważnych okoliczności będące; znaliśmy osobiście wielu mężów, znakomite w świecie literackim tej epoki miejsce zajmujących. Nie tak się ma rzecz z siedmiu poprzednimi epokami; do skreślenia dziejów literatury naszej przed 1815 r. potrzeba rzadko razem idących zdolności: tu bowiem cierpliwie policzyć i długo wpatrywać się w zabytki literatury zeszłych wieków należy; potrzeba z blizka każdej książce przypatrzeć się, oswoić się z tokiem myśli i stylem osobistym każdego autora, zebrać w jedno ognisko rozprószone myśli i wiadomości, szukać czasem poezyi w kronice, a kroniki w pieśniach; wymusić choćby jedno tylko słówko na autorze, który umarł od wieków; nieboszczyków na ostre brać wypytywanie, podchwytwać ich, łapać za słówko; bo inaczej uporne zachowają milczenie. Trzeba przeczytać dobrych pisarzy, których zbyt mało, i złych, których za wiele; nie gardzić żadnem ulotnem pisemkiem, zajrzeć nawet do kalendarzy. Jeśli pod taką pracą nie ulegnie umysł, nie ostygnie imaginacya, dopiero można do drugiej połowy tego dzieła przystąpić: poburzywszy wszystko, rozebrawszy aż do cegielki, trzeba rozpocząć nową zupełnie budowę, utworzyć sobie w myśli całość, której nie było, przelać w jeden obraz, nie psując podobieństwa. W powieści zmyślonej imaginacya ma otwarte szranki, skrzydła wolne; może budować, rozwalać, poprawiać wedle swego widzimisię: a im bujniejsza i gorętsza, tem piękniejsze i całkowitsze odleje się dzieło. Ale w odbudowaniu historycznem większe zachodzą trudności. Tu trzeba bystrego pojęcia, któreby za najmniejszy cień chwy-

tało, imaginacyi zdolnej dokończyć obraz, którego kawałek tylko i jakby przez mgłę ujrzeć zdarzyło się; zapalu, który ożywia, zimnego rozsądku, któryby rozbiegłe pióro wstrzymał, zbyt mocno nałożone farby zlagodził; potrzeba mieć rozum opatrzony siłą skeptycyzmu, która obala, i siłę twórczą rozumu, która buduje; potrzeba wszystko przeczytać, wszystko wiedzieć, a potem wszystko zapomnieć, aby się te różnorodne rzeczy w przypomnieniu w jedno przetopily, a potem na nowo w jednym odlały obrazie. G e t e posiadał talent takiego odlewania posągów, jak widzimy na jego Egmoncie; S z y l l e r idealizował obrazy ludzi, zachowując jednak prawdę i podobieństwo. Czytajmy np. Wallensteina i Maryę Stuart. S z e k s p i r w Koryolanie wyborny tego dał przykład. Jeśli więc w malowaniu obrazów ludzi historycznych tyle zachodzi trudności, cóż dopiero gdy idzie o utrafienie podobieństwa i oblicza czasu pod względem oświecenia i nauk? Nietylko my takiego dzieła jeszcze nie mamy; żadna literatura europejska podobną historiją jeszcze poszczycić się nie może; bo w ogólności jeszcze do historyi literatury nigdzie nie przystąpiono. Jeszcze się pióra dziejopiskie mocią z historiją powszechną, której wyobrażenie niedawno (bo przy końcu zeszłego wieku) przyszło do dojrzałości. Co do historyi literatury, żaden naród europejski jeszcze jej nie posiada; to co mamy, są to albo rozprawy o literaturze, żadnego z sobą, związku nie mające; albo biografie uczonych, albo bibliografie, ale nie historia. W a c h l e r a książka ¹⁾ tyle tylko ma wartości, iż całość obejmuje; ale jak mało na jego sądzie historycznym polegać można, nikomu nie tajno. W a c h l e r do późnej starości pracował i nic nie zrobił, bo się porwał do tego za wcześnie. Historyi literatury powszechnej niepodobna napisać, póki wszystkie narody dziejów literatury swojej nie spiszą. Wówczas dopiero da się uczuć potrzeba historyi literatury powszechnej, co może za sto lat jeszcze nie nastąpi.

Literatura jest to owoc duchownego życia narodu, zwierciadło, w którym całe jego oblicze najwyraźniej odbija się. Żaden inny pomnik przeszłości tak głęboko w duszę ludzką nie

¹⁾ Ludwik Wachler. »Versuch einer allgemeinen Geschichte der Literatur«. 4 tomy. Lipsk, 1793—1801. (*Przyp. Red.*)

sięga; bo w mowie największe tajemnice duszy i serca ludzkiego łatwo wcielają się. Jednak i język ma pewne granice: nie wszystko życie objąć w sobie i potomności podać może. Ani poezya, ani prawodawstwo, ani historia całego życia duchownego nie objęły. Literatura nie jest jedynym kluczem do przeszłości, w którą życie duchowne zapadło, bo płynęła tylko obok życia, ale nie była jego celem. Nasz naród nie był narodem piszącym tylko. Książki bywały tylko chwilowem objawieniem się życia; sama więc literatura go nie wyobraża, podobnie jak dzień nie wyobraża całkiem słońca, a błyskawica elektryczności. Dlatego dzieje literatury historją często objaśniać i dopełniać przychodzi.

Z Przedmowy do tomu II.

827) *Str. I—III.* Gdyby w historii narodów i literatury zaprowadzono porządek w wykładzie, za pomocą którego nauki przyrodzone dziś tak wysoko podniosły się, zacząłbym był historję od epoki dzisiejszej, od książek, które wszyscy czytali, od literatów wszystkim niemal osobiście znanych, lub żyjących jeszcze, a od znajomych nam z bliska czasów i osób, cofając się wstecz coraz głębiej w przeszłość, dopiero na końcu byłbym przyszedł do epoki Piastowskiej i czasów słowiańskich, słowem prowadziłbym czytelnika tą samą ścieżką, którą sam chodziłem. Takim właśnie trybem, już za pamięci naszej, rozwijały się nauki przyrodzone i zwróciły uwagę nawet ludzi nieuczonych, nawet najobojętniejszych. Zoologowie poznawszy dobrze zwierzęta żyjące, wzięli się do zwierząt kopalnych, przedpotopowych; a niebawem C u v i e r, trzymając w ręku jeden ząb lub goleń, zdumionym słuchaczom począł opisywać budowę, nawet przymioty i sposób życia zwierzęcia, którego nigdy nie widział, którego już ród na kuli ziemskiej zaginął. Spoczywające od tysiąca lat w łonie ziemi kości, stały się dla geologów ciekawą księgą, w której oni płynnie czytać umieją, i do tego już przyszło, że nas, niebiegłych w historii naturalnej, prowadzą po świecie przedpotopowym, jak neapolitański czyczerone po odkopanych uliczkach Pompei; wiodą przelęknionych po lesie olbrzymich paproci, między potworne zwierzęta, tu całe stado koni kopalnych, tam znowu górę usypaną z płazów nam

pokazując, a co dotąd przechodzień obojętnie nogą potraçał, to oni dziś skrzętnie zbierają, w to ciekawem wpatrują się okiem, o tem z uniesieniem mówią, piszą, rysują i malują. Patrząc się na nich, krzątających się jak mrówki, zazdrość prawdziwie bierze, że dla rzeczy tak na pozór oschłej, dla kości strupieszalnych i zwapnionych, tylu miłośników, opiekunów i zwolenników pozyskać umieli. Już przed dwudziestu laty widziałem w Edynburgu panny, które wypuściwszy z rąk świeży romans Walter-Scotta, mieszały się co żywo do sporu Wulkanistów z Neptunistami.

Otóż ten olbrzymi dziś wzrost nauk przyrodzonych, to powszechne niemi zajęcie się, jest skutkiem drobnej napozór przyczyny: metody i nic więcej. — Zoologowie skończyli na tem, od czego historycy od Mojżesza i Herodota zwykle zaczynają, i dlatego tak daleko zaszli. To samo byłoby z historią, gdybyśmy się naturalnego w jej wykładzie i uczeniu trzymali porządku; cofając się od skutku do przyczyny, zatrzymując na czasach wątpliwych, mgłą wieków przesłoniętych, nabywalibyśmy w początkach samych tylko pewnych, niewątpliwych i dobrze wyjaśnionych wiadomości historycznych, nauczylibyśmy się zawczasu odróżniać: prawdę od wieści, podanie od historii, rzeczywistość od domysłów; idąc od rzeczy łatwych do coraz trudniejszych, każdyby od młodości zaprawił się do krytyki historycznej. — Na historii bliższej naszych czasów, historii naturalnej społeczeństw ludzkichby się nauczył, a to w sposób łatwy, zajmujący i drogą nieomylną; poznawszy dobrze historię żyjących jeszcze narodów, łatwiejby pojął historię narodów zmarłych, i że tak powiem, kopalnych. Boć wreszcie kaźden z nas taką drogą historii nauczył się, to jest: wbrew przeciwnym porządkiem temu, którym się dziś historia wyklada i pisze. Ledwie teraz przewidzieć można, jak wysokoby się historia podniosła, gdyby się kiedyś tej metody chwycono. Obojętne dziś rzeczy dla czytającej powszechności najżywsząby wniecały ciekawość; najdrobniejszy szczegół, znaleziony w granitowych gmachach egipskich, nowa jaka litera w hieroglifach wypatrzona, poprawniejszy rękopis Baszkona kroniki, stara (a jak zwykle u nas bywa zszarzana i poszarpana) książka, szpargałem na starość zwana, nie samychby uczeńszych tylko zajmo-

wała. Niejeden z ludzi ukształconych, któremu teraz się zdaje, iż nad pamiętniki francuskie nie zabawniejszego niemasz na świecie, co patrząc się na czytającego szpargały ramionami tylko wzrusza, a nie śmiałyby otwarcie powiedzieć, co o nim w głębi duszy swej myśli, taką metodą wyuczony historyi, przewracalby, a nawet czytał sękowate kroniki z równą ciekawością, jak pamiętniki Tallejranda i pisane gawędki księżnej d'Abantes....

828) *Str. IV—VI.* Historia nie dowodzi, ale opowiada; nie jest księgą sławy, ale prawdy. Dziejopis niezawsze może kreślić obraz przyjemny, któryby każdej miłości własnej podchlebiał; częściej mu przychodzi przydawać cieni, ujmować pozłoty dla prawdy; nieraz mija obojętnie głośne w swoim czasie imiona, które sobie jakąś wziętość z niczego, jakąś lilipucką sławę zbudować umiały. Czyliż niedosyć nadgrody dla nich, że ich współcześni wielbili? Tak pisma ich, jak i dawanych im oklasków odgłos nie dojdą do potomności. Tylko górne śpiewy wielkich poetów, tylko dzieje społeczne, przez naocznych pisane świadków, potomni z upodobaniem czytać będą i pożytkiem. Reszta wszystko, wraz z tą tu moją książką, pójdzie w niepamięć i wieczne zapomnienie. Żaden wiek nietylko się nie cofnie, ale ani się obejrzy za siebie, aby uwielbiać osoby i ich książki, które go już nie obchodzą. Wreszcie próżne byłyby pochwały, którym dziś nikt nie ufa i w które nie wierzy, a znizeniem historyi do pochlebstwa, pobłażaniem próżności słusznie obraża się. Zajrzyjmy bowiem w księgi polskie XVIII go wieku, w których lada podpanek jest Katonem, Scypionem afrykańskim, macedońskim Aleksandrem i miał antenatów, którzy jeszcze z Lechem do tej tu ziemicy przybyli i już wtenczas takim herbem się pieczętowali. Cóż był za owoc tak obłudnych pochwał, którym nikt, prócz chwalonego, nie wierzył? Jakieżż okiem poglądamy dzisiaj na ówczesnych literatów, którzy w przedmowach do dzieł lichych dorabiali fałszywe genealogie, za antenatami swoich mecenasów aż do arki Noego włązili; co zamiast oświecać obłąkanych, prostować fałszywe wyobrażenia, jeszcze wiek swój utwierdzali w błędach i bieżącym nad przepaść jeszcze oklaski dawali? Co dziś za korzyść z literatury,

która samej tylko próżności wysługiwała się, co zamiast rzucać światło na wiek swój, cienie chińskie nam pokazuje? Mówić też ochylając, trudno co zbudować. Lepiej zaiste wręcz powiedzieć prawdę, niż wychwalać usta, co się w sercu i pokątnie nagania.

Niemasz nic szkodliwszego dla literatury, jak *apotheosis* mierności. Nie należy tak bardzo się gorszyć, gdy ktoś z innym od nas zdaniem w literaturze wystąpić odważy się. Mamyż, jak niegdy Grecy aleksandryjscy, zamknąć oczy, zatkać sobie uszy, a obłożywszy się książkami poprzedników naszych, tylko unosić się nad wszystkim i tylko uwielbiać, tylko karty obliczać? Nie czas jeszcze po temu, wszak niedawno natrafiliśmy na bity gościniec. Z dwojga złego wybierając, zbyt ostra krytyka w historii jest dla literatury naszej pożyteczniejszą, jak wymuszone względami pochwały: bo dobra książka i sama się obroni, a miernej obronić niepodobna i nie warto. Żadnego poety dzieła tak ganione i nicowane nie były, jak Bajrona. Najdowcipniejsi krytycy edynburscy, ludzie z wysokim rozumem, jak adwokat Jeffery, cały swój geniusz wyteżyli na poniżenie, podanie w pośmiewisko i wzgardę dzieł tego angielskiego poety, a jednak Bajron zajmuje pierwsze miejsce między poetami XIX-go wieku. Stary Fontenelle, żyjący w zepsutych moralnie czasach, zwykł był powtarzać: iż gdyby miał pełną garść prawdy, toby przez całe życie ręki nie otworzył. Długo, zbyt długo, nasi literaci tego prawidła trzymali się, zapomniawszy, że literatura nie żyje grzecznością jedwabną, względami dla osób, ale prawdą; inaczej stanie się rzeczą obojętną dla ogółu, straci zaufanie i wiarę u swoich i u obcych¹⁾. Jeżeli każdy nasz znajomy, każdy, któregośmy za życia szanowali i kochali, ma mieć przywilej, iż o jego pismach, choćby miernych, zdania swego otwarcie wyrzec się nie godzi, w cóż się obróci historia? Jeśli sami siebie łudząc, wszystko ryczałtem uwielbiać i wychwalać będziemy, jeśli nie damy zrobić żadnego rozróżnienia, znajdzie się łatwo jeszcze gorszy od Brauna krytyk, który ostro przywary

¹⁾ Na Poggiusza Brakeziolini, który napisał historią florencką z wielkimi dla Florentczyków podchlebstwy, takie napisano wierszyki:

Dum patriam laudat, damnat dum Poggius hostem
Nec malus est civis, nec bonus historicus.

wytknąwszy, o zaletach zamilczy. Chęć wreszcie pokrywania wad literatury naszej przed obcymi jest mylną życzliwości rachubą: bo literatura nasza jest jako człowiek dojrzały, który o swawoli i psotach swojej młodości mówić już może z uśmiechem. Nie poczytają sobie za ubliżenie dzisiejsi akademicy krakowscy, wyczytawszy w historii, że ich poprzednicy, podobno nawet Kopernik, astrologią bawili się, albo że Gall niczego się od Jana z Głogowy nie nauczył i nauczyć nie mógł; nie ujmie nic dostojności historii, choćby kto Naruszewicza o podchlebstwo pomówił. Do wieku panegiryków już nam nawracać niepodobna. Owszem, wszystkie myśli w to włożyćby należało, jakbyśmy oko nasze do blasku prawdy przyzwyczaić mogli. Jeszcze lat temu dziesiątek pisano pochwały, ale już tylko dla nieboszczyków; historia ani tych chwalić nie może, pochwały tylko zasłudze i geniuszowi oddając. Osoby albowiem znikają, a literatura wzrasta, upada, w coraz nowych odradza się kształtach i z życiem choćby największego poety lub dziejopisa nie kończy się.

829) *Tom VII. Rozdz. VII. Str. 1—9.* Historia nowej poezji polskiej od pierwszych jej w szesnastym wieku zawiązków do Aleksandra Koreywy, śmierć Zygmunta III oplakującego.

Poezyę, wymowę i historję dlatego wyłącznie nazwano literaturą, iż w nich dusza ludzka najmocniej ze słowem się łączy; że w tych dziełach geniuszu ludzkiego, jako w zwierciadle, wszystkie odrębne własności każdego narodu najmocniej się odbijają i wiernie malują. Matematyka, fizyka, chemia, są nauki kosmopolityczne: Francuz, Niemiec i Polak jednakowo o nich piszą. Niemasz matematyki lub chemii narodowej; ale poezya, wymowa, historia, a nawet filozofia i prawo, noszą na sobie właściwą każdemu narodowi cechę.

Lecz ze wszystkich poezya, będąca przelaniem prawdy w postać piękności, płynąca ze źródła, najgłębiej w duszy ludzkiej się kryjącego, jest najprawdziwszą własnością narodu, częścią jego duszy, zwierciadłem, oznaką życia i żrenicą oka. W poezji narodowej, jak w oku, poznajemy, czyli serce jest wesole lub zdjęte żalnością i smutkiem; w jej historii losy na-

rodu poznawać możemy; upadek poezji jest najpewniejszą oznaką, iż siły duchowe narodu słabieć poczynają ¹⁾.

Poeta wyrzeka to w słowach mocnych, czego naród ma dopiero niewyraźne przecucie; myślom, które jeszcze stoją na progu duszy, jeszcze się wiedzą nie stały, ciało dotykalne nadaje. Jest on arfą eolską, przez którą głos narodu przechodząc, w pięknych rozwija się melodyach i najgłębiej drzymiące w sercu uczucia obudza.

Będę więc teraz mówił o rozmaitych losach poezji, w której dusza ludzka swoją przyrodzoną piękność, swoje pokrewieństwo z bóstwem, najwybitniej objawia; zaprowadzę czytelnika w społeczeństwo ludzi natchnionych i podniosłego serca, mających zawsze otwarte do niebios wejście, w wyższych sferach duchowego świata żyjących; opowiem dzieje tej literatury, która w dziełach swoich zamyka wszystko, co naród posiada z najświętszych uczuć serca, ideałów szczęścia, co było dla niego żyjącem źródłem natchnień i boleści, co go niegdyś zajmowało i wzruszało najmocniej.

Dziecko, w którym zmysły są mocniejsze od władz rozumu, lubi opowiadać, co widziało lub widzi: jest to wiek Homera; młodzian pragnie wywnętrzyć się, oddać słowy uczucia, które w duszy jego się narodziły: to wiek Anakreonta; człowiek dojrzały, łącząc w sobie te dwie skłonności i odpowiadające im przymioty, lubi własne uczucia kłaść w usta drugich, patrzeć na losy, charakter, przymioty i wady ludzi, w postępkach się malujące: wtedy nastaje wiek Sofoklesa. Poezja każdego narodu przez takie trzy wieki przechodzi: najprzód powstaje epoka opowiadania, czyli epos i dydaktyczna poezja, które w dzieciństwie literatury zastępują historję i filozofję. Potem idzie epoka liryki, w której poeta opiewa pochwały Boga i bohaterów, uczucia podziwienia i miłości ku Bogu i wszystkiemu, co Go na ziemi najwięcej przypomina; maluje głębokie i najżywsze uczucia serca, zapal religijny, miłość ojczyzny, poświęcenie się, męstwo,

¹⁾ Muszę tu ostrzedz czytelnika, iż tu mówię o prawdziwych poetach, których bardzo bywa mało, nie o wierszokletach, wierszorobach, których zawsze jest aż nadto. Mówię tu o ludziach, którzy są poetami mimo swej woli, i nie mogą nie być, choćby nawet sami chcieli, ale nie o tych, co chcą być poetami, i piszą wiersze dla własnej rozrywki.

miłość i nienawiść, boleść i radość, uniesienia rozkoszy, a niekiedy lekkie, wesołe, z wiatrem przelatujące uczucia serca. Atoli z postępem światła, po wynalezieniu pisma, po zjawieniu się historii, kiedy czucie ustępuje rozumowaniu, wiara zamienia się na wiedzę, te rodzaje poezji już mniej zajmują i mniej do ukształcania ludzi są potrzebne. Odtąd poezya, nie tak ściśle z życiem duchowem ludzi związana, staje się zabawką, jak powiada *Horacyusz*:

. »*ludusque repertus,*
Et longorum operum finis«;

traci wziętość i powagę, i dopiero w kształcie dramatu nowe rozpoczyna życie.

A jako uczucia młodzieńca bywają żywsze, gwałtowniejsze, dla których dusza ludzka bardziej w siebie się zwija; podobnie poezya w młodości narodu objawia się w narodowym epos, który jest osobistą jego poezją, i w pieśni, która jest poezją człowieka; dopiero w dojrzałym wieku narodu, gdy okrąg jej rozszerzy się, objawia się w postaci dramatu.

Jest jeszcze czwarty stan usposobienia umysłów względnie do poezji, kiedy wiedza przemaga nad wiarą, rozumowanie nad uczuciem i imaginacją, kiedy już wszystko w duszach wygorzało, ostygło, ścięło się i oziębło; wtenczas ludzie już nie biorą, jak dotąd, poezji za narzędzie podniesienia się do wyższych uczuć, lecz unoszą się tylko i rozprawiają nad dziełem poety; jest to wiek krytyki poetycznej, do której ani w wieku *Zygmunta*, ani za *Stanisława Augusta*, ani do chwili obecnej jeszcześmy szczęściem nie przyszli. Każdy wolałby jednego poetę, jak stu najlepszych *Arystarchów*, owych ludzi, którzy nic nie robiąc, wiedzą jednakże najlepiej, jak co zrobić należało. Krytyka poetyczna (jak gramatyka dla języka, jak retoryka dla mówcy, jak logika dla filozofa) jest całkiem dla poety niepożyteczną; krytyk bowiem z wierszoklety nie robi poety, a poecie prawdziwemu na cóż się przydał? Pod ostrzem krytyka ginie urok, życie poetyczne wymyka się i ulatuje; bo poeta nie tworzy rozumując, jak krytykom się zdaje; w jego duszy nie rozum, ale wiara przemaga. Wyrozumowana poezya nie jest już poezją. Jak powstaje poezya w duszy, tego widzieć rozumem nie możemy, jak nie widzimy, jak ziola rosną, jak nie

możemy dopatrzeć, kiedy i jak kwiat się rozwinał, choć w niego długo wlepialiśmy oczy. Poeta, co własne plody rozumnie rozbiera, tak nieprzyjemne sprawia wrażenie, jak botanik, kiedy zerwawszy niemiłosiernie kwiat najśliczniejszy, z zimną krwią obrywa nadobne listki jego z korony, rachuje pręciki i ostrym nożem nasiennik rozcina. Gdzie się mnóstwo krytyków poezyi zjawilo, tam można być pewnym, że już poezya zagasła; ci więc, co krytyki estetycznej wyglądają i pragną, »nie wiedzą, co czynią«. Krytycy, estetycy, nie poprzedzają poetów, ale jak cień za nimi się wloką. U Greków poetyka (teorya poezyi, estetyka) zawsze była o jeden stopień niższą od dzieł poetycznych, jak o tem łatwo przekonać się możemy, porównywając ich literaturę epiczną, liryczną i dramatyczną z poetyką Arystotelesa. Poezya tam tylko kwitnie, gdzie ludzie nie rozbierają plodów poetyckich, nie mędrkują nad niemi, ale się w górę z poetą unoszą i wzlatują, i w duszy swej uniesienia jego powtarzać lubią i mogą.

Przez jakie koleje poezya przechodziła, co na nią wpływało, w historyi jej dowiedzieć się można; historia więc tej gałęzi literatury, na której obok wonnych kwiatów dojrzałe rosną owoce, może być przyjemną razem i pożyteczną.

Lecz poezya, nawet wśród najbardziej sprzyjających okoliczności nie płynie pasmem nieprzerwanem, nie podnosi się i nie wzrasta z czasem, jak inne gałęzie literatury, lub nauki przyrodzone; nie ma chronologicznej ciągłości; czasami tylko, i to niespodzianie, zjawia się, jak błyskawica, wśród nocy ciemnej zablýśnie, poświeci czas jakiś, roztoczy szeroko lunę, i znowu przebrzmi i ucichnie; a nikt przewidzieć nie może, kiedy się z powodzi czasu na nowo wynurzy.

Zobaczmy teraz, jakie było usposobienie duchowe Polaków ówczesnych do poezyi, i wśród jakich okoliczności poezya polska szesnastego i połowy siedemnastego wieku rozwijać się mogła.

Polacy w wiekach przedchrześcijańskich mieli równie piękny i obfity wątek do epopei, jak Grecy przed Homerem. Owe wędrówki z południa ku północy, Światowid z całym orszakiem bożków i bogiń, owe gonitwy Lecha, podania o Popielu, Krakusie i Wandzie, których słaby tylko odgłos do późniejszych

dochował się czasów, musiały żyć w pieśniach religijnych i świeckich, które przebrzmiały, zamarły w ustach ludu przedwcześnie, nie doczekawszy się polskiego Homera, któryby je był do poetycznego ideału podniósł, a nadając im więcej szlachetności, nie dał zagać. Tymczasem religia chrześcijańska, szerząca się z dwóch stron w środku leżącej Polsce, przerwała tę kulturę rodzimą, niosąc narodowi w nagrodę wyższe ukształcenie moralne i nadzieje nieba sięgające.

Poezya więc polska szesnastego wieku nie była dalszem rozwijaniem się poezji rodzimej, słowiańsko polskiej, ale *nową* całkiem poezją, pod cieniem chrystyanizmu i przemagającym literatury starożytnej wpływem zrodzoną. Poezya bowiem z czasów słowiańskich, której ślady na poprzednich wskazałem był kartach, wraz z bałwochwalstwem upadła, i cienistego drzewa religii pozbawiona, już od pięciu wieków rozwijać się była przestała; szczątki jej tylko przechowywały się jeszcze między ludem przez ustne podania, ale już na nową szesnastego wieku poezję żadnego niemal nie miała wpływu. Takim sposobem upłynął dla poezji polskiej wiek, w którym epos kwitnąć może. Wszakże jeszcze w wieku szesnastym (a nawet ośmnastym, jeszcze za naszej pamięci, jak Soplica dowodzi), jakieś ślady rodzimego *epos* postrzegać się dają; szlachta polska z natury ognista, z wyprawy na Turków, z pogoni za Tatarami, z polowania na niedźwiedzie i wilki, łosie i żubry, biegła na hałaśne sejmiki, trybunały i sejmy, objeżdżała kuligiem sąsiadów, biesiadowała chętnie. Wśród nader żywego i barwistego życia niemało było takich, którzy mieli szczęśliwy dar opowiadania. W tych nieujętych nigdy pismem powieściach, z chwilowego płynących natchnienia, gdzie zmyślenie bujnej imaginacyi dziwnie plotło się z rzeczywistością, a opowiadacz był poetą, sam o tem nie wiedząc, w takich tylko powieściach objawiały się kształty rodzimego *epos*.

Tymczasem przez akademię krakowską, odbierane we Włoszech, Francyi i Niemczech wychowanie, ukształceni Polacy tak się oswoili z językiem łacińskim, iż nawet wszyscy rymować w tym języku poczęli; ile w szesnastym wieku na to zmarnowano najpiękniejszych sił i zdolności poetycznych, już w przeszłym widzieliśmy tomie. Z tych żyjących w pierwszej połowie

szesnastego wieku tylko po łacinie rymowali: jak Krzycki, Janicki, Dantiscus; atoli od Reja z Nagłowic, który nie umiając dobrze po łacinie, ojczystym tylko rymował językiem, wszyscy poeci obok łacińskich i polskie wiersze składać poczęli, częstokroć równie dobre; mianowicie Jan Kochanowski, Klonowicz i Szymonowicz. Atoli i na tej *nowej* poezji polskiej zostały mocne ślady kształcenia się na poetach starożytnych Greków i Rzymian; bo najprzód poezya polska, przyjmawszy kształty starożytnej, przekroczyła wiek dziecinny, odrazu przyszła do dojrzałości, podniosła się, ominawszy epos, zaraz pochwyciwszy za lirę, do czego naród w wieku szesnastym największe miał usposobienie, odlamiała się od swego korzenia, to jest podań narodowych, a wpadłszy w obce koło wyobrażeń i uczuć, w świat pogański (podobnie jak filozofowie scholastyczni w okręgu arabsko-arystotelickiej filozofii) uwiązłszy w mitologii, z tego żelaznego koła, jakby zaczarowana, rzadko wylecieć mogła.

Poeci albowiem polscy przyswoili sobie byli wyobrażenia i podania rozwiniętej przez greckich poetów mitologii, i tak byli do tego nawykli, iż nawet dzika jej mieszanina z wyobrażeniami chrześcijańskimi wcale ich nie razila. W opisie *podróży do Szwecyi* przez Andrzeja Zbylitowskiego, Zygmunt III skolatany nawałnicą morską, stawia oltarze Neptunowi; gdy wiatr na Wiśle komięgami miotał, przestraszona królowa modli się do bogiń: Wisły i Wandy. X. Gałczyński »Praelat cnót pełen wielkich«, wypływając do Szwecyi, czynił ofiary Neptunowi i Eolowi. O sobie zaś poeta powiada:

»A ia siedząc u masztu, błagałem wierszami
Ślicznego Palemona i z iego Nimphami«...

O t w i n o w s k i Przemiany Owidyusza poleca jako księżę, »która własną jest pochodnią, która oświeca ciemne kąty niepojętney w wierszach, bądź rymach zakrytey mądrości, y którą ona z cienia na światło wychodzi«¹⁾,

¹⁾ »Metamorphoseon Przemieniania (mówi O t w i n o w s k i, piszący w r. 1638) są składem y skarbnicą wszystkich y uciesznych powieści, którymi greccy y łacińscy poetowie pisma swoje podsycać zwykli y nimi iako kosztownym złotem, drogimi y świetnymi kamieńmi y perlami roboty swe haftują y natykają. Póđźmy do Greków, Homera, Hezyoda, Pindara, Eurypidesa, Sofoklesa, nie masz tey karty, owszem ledwie

Ta więc *nowa* poezya kwitła tylko między wyuczonymi literatury greckiej i rzymskiej, a ile nie mająca korzeni w gruncie ojezystym, wystawiona na wszystkie odmienności i burze zachodniej Europy, długo ostać się nie mogła. Jakoż od połowy szesnastego wieku spory teologiczne, które wszystkich jak pożar jaki ogarnęły, podcięły skrzydelka imaginacyi poetów polskich i zmroziły w nich wszelki zapal, potłumiły natchnienie. W pierwszej połowie szesnastego wieku jeszcze wielu (jako to: Ciekliński, naśladowca Plauta, nieznamomi tłumacze Terencyusza i Jan Kochanowski) pisało wierszem miarowym; w drugiej i tego zaniechano. Poezya coraz niżej upadać i pełzać po ziemi poczynała; po Janie Kochanowskim już prawdziwego poety nie było. Prócz tego sejmy elekcyjne, frymarki koroną, upadek ducha publicznego, gdy szlachta, zapatrząc się na możniejszych, ubiegała się za prywatą, i w środkach nie przebierać uczyła; wreszcie przy coraz nowo wynurzających się sektach religijnych, zachwianie się w wierze, znalezione w literaturze rzymskiej przykłady urodziły i rozwinęły owego ducha satyrycznego, który się we wszystkiej polskiej poezyi szesnastego wieku, a mianowicie od jego połowy, coraz mocniej przebija. Najlepsi poeci: Rej z Nagłowic, Klonowicz, Miaskowski, Grochowski, a nawet Jan Kochanowski, pisali satyry. Poeci więc polscy szesnastego wieku jeszcze byli nie wyśpiewali wszystkich uczuć, które w nich wiek, tak pełen przygód i życia, mógł wzniecić, gdy nowe nastawały czasy.

Bajki o zaklętych, w ziemi tkwiących skarbach krążą najwięcej między ludem leniwym, w okolicy ubogiej; podobnie sielanki, opiewające swobodę złotych wieków, zjawiają się w literaturze w chwilach powszechnego zwątpienia i unudzenia. Ta ckliwa dla czerstwej duszy poezya jest ciężkiem zaskarżeniem przeciw pokoleniu, w którym kwitnęła; jest pewną oznaką, że tam coś w społeczeństwie zwichnęło się; że geniuszowi poezyi

jest który period, któryby w iakiej nie ukrywał się powieści. Nuż lacińscy: Virgilius, Horatius, Lucretius, Lucanus, Seneca y wiele inszych, iak często wiersze swoje temi kwiatkami przeplataią. Nie wspomnę Polaków naszych, których pisma są w rękach, azaż y ci, ile którzy się wyżey na Helikon wzbili, tych dowcipnych nie zażywają gadek?•

jakiś upiór przyłamał złośliwie skrzydła, aby już wysoko i daleko podlecieć nie mógł; wtenczas spłoszona imaginacya chroni się pod wiejską strzechę, w ustronia samotne, i usiadłszy nad przezroczystym strumykiem, marzy o niewinnem wśród natury, trzody i miłostek życiu. Takie właśnie w Polsce zbiegły się były okoliczności przy końcu tej epoki, kiedy znużeni satyrami poeci rzucili się do sielanek. Najpiękniejsza więc epoka Zygmuntowska na sielankopisarzach: Szymonowiczu, Zimorowiczu i Gawińskim skończyła się, i inaczej skończyć się nie mogła; bo jak nas uczy historia poezyi rzymskiej, (która polskiej za Zygmunta służyła za wzór i modłę), poezya, która nie miała młodości czyli *epos*, która cisnąwszy zawczasie lirą o ziemię, do satyr i sielanek porwała się, nie mogła się odrodzić i odmłodnić w dramacie, jak to w historii dramaturgii polskiej niżej zobaczymy.

W przyrodzonym biegu rzeczy ludzkich naród zwykle ma pierwiej poezję niż prozę, która bywa późnym owocem wykształconego już i dojrzałego rozumu. Dlatego mamy tak wiele narodowych poezyi; ale wiele narodów długie przeżyło wieki i upadło, nigdy nie doszedłszy do prozy. Literatura, mająca dojrzałych i dobrych prozaików, dowodzi: iż naród ujrzał już i przybył szczęśliwie na granicę, prozę od poezyi oddzielającą. Ale w naszej poezyi wieku Zygmuntowskiego, zwichniętej zaraz na początku z prawego toru, mamy osobliwsze widowisko, jakiego w innych literaturach widzieć nie zdarza się; u nas bowiem nie przestano wierszować, choć proza przyszła już do dojrzałości. To przeciągnięte w wiek dojrzały dzieciństwo umysłu było skutkiem owego cofania się w oświeceniu, które się już w drugiej połowie szesnastego wieku zaczęło. Poznawali to współcześni: Witkowski (*Złota wolność* 1606 r.) powiada:

»Siła nas takich, co rytmik piszemy,
Lecz wiersza mądrze nigdy nie stawiamy;
My rymolowcy, tamto poetowie,
Znać ich po mowie«.

Zimorowicz w jednej z swoich sielanek tak na tych nienatchnionych poetów narzeka:

»Pełna niedoszłych nasza poetów oyczyzna,
Że miary zawierzona nie ma już polsczyzna;

Lada partacz wyrwie się z pospolitych ludzi,
To wiersze niepoczesne natychmiast paskudzi.
Przedtym rzadki kto Muzy iak świętości ruszył,
Tylko kogo swym duchem Cynthus napuszył;
Teraz lada kto z niemi swata się po prostu;
Jeszcze nie umie kozie zawiązać i chwostu,
A iuż słowom ogony zwięzuie na rzeczy«...

Albowiem za Zygmunta III wszystkich opanował szal rymowania, wszyscy i o wszystkim wiersze pisali. Nie przykład Reja z Nagłowic, ale wrodzona w nas skłonność do poezyi zachęciła do rymowania nawet ludzi, poetycznej iskierki w sobie nie mających; stąd poszło, iż tajemnice wiary, lekarstwa na choroby, żywoty królów, krwawe wojny i pobożne rozmyślenia wierszem opisując, najlichszemi ramotami literaturę zarzucać poczęto. Przy końcu więc tego okresu, gdy nie stało poetów, namnożyło się mnóstwo wierszopisów, wierszokletów i wierszorobów, którzy poezyi nawet od historii odróżnić nie umiejąc, łatwość wierszowania brali za natchnienie, czem już Matys Strykowski odznaczył się; mając opisywać wspinały wjazd Walezyusza króla do Krakowa, pisze wierszem, a jednak nagania poetów!

»Bo poetowie oni, kiedy co pisali,
Folgując słów ozdobie, z gościńca chybiali.
Tak tylko słów, nie rzeczy, historyki byli,
A kto po prostu idzie, od prawdy nie zmyli,
Ja tobie czytelniku, com widział, to piszę«...

830) *Str. 71—73.* Jan Kochanowski, nie mając jeszcze w literaturze polskiej wzorów, musiał pierwsze kunsztu rymopiskiego łamać trudności; sam wynalazł kształty, język i styl poetyczny, czuły, poważny lub lekki, stosownie do przedmiotu; sam pierwszy dobierał dłuższych lub krótszych wierszy, dobierał miary, szukał średniówek lub końcówek, pisał wiersze rymowane i miarowe, których niewiele było i tylko w tłumaczeniu polskiem Terencyusza się pokazało. Wszystkie jego kilka- i kilkunasto-zgłoskowe wiersze, wyjąwszy wiersz czternastozgłoskowy, przydługi, którego użył w historii *Zuzanny*, i niektórych psalmach, wszystkie, mówię, jego rodzaje

wierszów dotąd z używania nie wyszły. On jeden ze wszystkich poetów polskich tej epoki pozostał wzorowym i co do języka i co do poezji lirycznej.

Ma wiersze niedbałe, a często dla rymu myśli rozwleczone i piękność pierwszego wiersza osłabiające; ale zato wszędzie język jego, noszący jeszcze barwę pierwotnej Słowian mowy, prostota wysłowienia, uczucia niezmyślane i niewymuszone, ale prosto z serca w słowa płynące, jakaś po wszystkim rozlana słodycz, sprawia: iż wiersze jego kilkakrotnie, nietylko bezkliwości, ale z prawdziwem czytać można upodobaniem i rozkoszą. Jan Kochanowski jest zawsze i wszędzie czuły z serca, narodowy z upodobania; w wyrażeniu najszlachetniejszych uczuć dziwnie prosty, a jednak rozmaity. Na wszystko patrzył okiem polskim, farb nie pożyczał, własne malując uczucia, właściwych z łatwością dobiera wyrazów i myśli obrazami objaśnia; nie wznosi się, nie przelatuje nad siły swojego geniuszu, i swoje uczucie wprost z serca w słowa przelewa. Nietylko właściwością języka ojczystego, ale i duchem i powszechnemi narodu uczuciami cały się przejąwszy, stał się rozumianym od wszystkich, ulubionym, narodowym poetą; trzy, godne światłego człowieka, duszy skłonności, które wówczas i cały naród ożywiały: religia (»Psalmy«), duch obywatelski (»Satyr« i »Zgoda«, »Odprawa posłów greckich«) i miłość rodzicielska (»Treny«), przebijają się w jego poezji, na której wysokiem wykształceniu widoczne są ślady wpływu literatury starożytnej, z którą tak dobrze się był w młodości obeznał i oswoił. I to jeszcze zadziwia, iż będąc poetą, równie dobrze pisał prozą, jak wierszem, że znał dobrze i nie przekroczył granicy, która prozę od poezji przedziela.

Zwyczajne, spowszedniałe myśli umie on odziewać poetycznemi ozdobami i nowego im przydaje uroku:

»Złoto środkiem ianczarów poydzie snadnie,
A przez twardą opokę gwałtowniey przepadnie
Niżli raz piorunowy
.

Takżec słuszna człowiekowi
Odeymać się frasunkowi,

A iako niewdzięczne brzemię
Uderzyć troski o ziemię«.

Albo gdy mówi o skonie Tarnowskiego:

»Nakoniec pelen wieku i przystoyney chwały,
Sam się prawie położył, iako kłós dostały«.

Albo następujące:

»Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie..
Chwałę, szczęście stateczne:
Nie chcieli też być wieczne?..
Śpuszczę, com wziął, a w cnotę własną się ogarnę..
A nam wina przynoście,
Z wina dobra myśl roście,
A frasunek podlany,
Taie, by śnieg zagrzany«.

Przymiotnikami dziwnie pięknie cieniować obrazy i na główną ich stronę zwracać uwagę umie; np. *wieczne światło, ciosane łodzie, okrągłe niebo, przyłomione lata* (Urszuli), *śmierć wszystkokrotna, noc nieprzespana*.

.....

E) Podróż do Włoch, Sycylii i Malty (pis. 1845—47).

(»Podróż do Włoch, Sycylii i Malty«. 2 tomy. Warszawa, 1848).

Podajemy kilka ustępów z obszernego opisu Wenecyi.

831) *Tom I. Rozdz. I. Str. 4—6.* ...W Tryeście krótko zabawiwszy, tegoż samego wieczora wsiedliśmy na statek parowy, który nas nazajutrz rano na mały rynek wenecki wysadził. Wjazd do poetycznej Wenecyi osobliwsze nastreca widowisko: »miasto pływające na morzu«; przyjezdny, nie umiejący jeszcze rozróżnić laguny od morza, nie pojmuje zrazu, jakim sposobem tu miasto stać może. Tu go na pierwszym zaraz wstępie rzeczy niezwycajne, osobliwsze, jakby z powieści arabskich wzięte, czekają; zamiast długich a częstokroć niebardzo powabnych przedmieść, rozsypane po lagunie wysepki; zamiast doliny, na

których zwykle miasta stoją, równa i lśniaca jak zwierciadło laguna, plewką srebrną pokryta; zamiast murów, otaczających miasto, olbrzymie groble, z ogromnych skał zbudowane; zamiast bramy, stojąca na trzęsawiskach twierdza św. Andrzeja z czerwonymi murami i strzelnicami, z trawy bujnej wyglądającymi, mocna, jakby w żywej była wykuta skale, choć ją rozhukane bałwany Adryatyku nieustannie tłuką. W tem to miejscu co-roczenie doża na złoconym statku, zwanym Bucentore (od łacińskiego wyrazu *bucentaurum*) wyjechawszy, brał ślub z Adryatykiem. Od roku 1520 do upadku Rzeczypospolitej, 250 pierścieni tu wrzuconych przetacza się po dnie morskiem, pomiędzy roślinami i muszlami; bo jeden tylko, polknięty przez rybę, później znaleziono; wypadek, który Paris Bordone w pięknym obrazie uwiecznił. Stąd płynąc ku miastu, cała Wenecya z wieżami i kopułami chwieje się i kołysze, jakby na czólnie płynęła; nareszcie po krótkiej żegludze wchodzi się odrazu na rynek najpiękniejszy, najosobliwszy, zaludniony, żyjący, ozdobny, a jednak cichy, jakby się bano obudzić śpiące duchy dożów w owym arabskim pałacu. Na rynku albowiem św. Marka nie słychać turkotu powozów, nie masz koni, prócz czterech bronzowych, nie trzeba się oglądać, żeby kto nie przejechał i dyszlem nie trącił; jest to przepyszny, ogromny salon, po którym wygodnie i bezpiecznie przechadzać się można. Tu się schodzą wszyscy cudzoziemcy, wszyscy, co lubią i mogą trawić czas na próżnowaniu. Przy wieczornym chłodzie i muzyce wojskowej niejedną miłą chwilę przepędzić tu można pod arkadami, które idą ciągiem przez trzy boki rynku św. Marka. W starych prokuracyach są sklepy i księgarnie niebardzo wielkie, nie tak okazałe jak w Londynie i w Paryżu, ale dosyć ozdobne i we wszystko opatrzone. Nad sklepami są niskie pokoiki *Casino*, które panie weneckie wynajmują i tu wizyty przyjmują. Rzecz bowiem osobliwsza, mając ogromne pałace, w których ledwie jakiś kącik zajmują, panowie weneccy nie przyjmują w nich gości, tylko albo w *Casino*, albo w łoży na teatrze, albo na rynku św. Marka. Do domów idą tylko ci, co biletami wizyty zbywają. Tu więc w pewnych dniach przesiadują i przyjmują odwiedziny.

832) *Str. 9—14.* ...Plac św. Marka, który w każdym przycho-
dzącym pierwszy raz podziwienie wznieca, wygląda jak
ogromny i najpiękniejszy na świecie salon, o którym Napoleon po-
owiedział, iż tylko niebo godne być jego sklepieniem. W rzeczy
samej jest to coś niespodzianie pięknego, coś do sennego marze-
nia podobnego; takiego drugiego rynku niema na świecie. Z trzech
stron otaczają go *prokuracye* nowe i stare, w łuki trzypiętrowe
zbudowane, gdzie mieszkali prokuratorowie św. Marka, którzy
po *Radzie Dziesięciu* największą w Rzplitej piastowali władzę.
Koło prokuracyi starych wznosi się wieża zegarowa, która swą
oryginalnością, jak tu wszystko, bardzo zastanawia. Piotr Lom-
bard, którego imię często się tu powtarza, po spaleniu dREW-
nianej zbudował terażniejszą roku 1496. Front zdobi ogromne
koło z zodyakiem, ze zmianami księżycy, tudzież koło podzie-
lone na dwadzieścia cztery godzin włoskim obyczajem. Nad tym
stoi N. Panna pozłacana, a koło niej drzwiczki, z których co
godzina wychodzą trzej królowie Maurowie w wielkim stroju
i przechodząc po półkolistym ganeczku, kłaniają się z uszano-
waniem N. Pannie, podnosząc z głowy korony, i drugimi drzwicz-
kami znikają. Nad tym znowu stoi złoty lew św. Marka, na tle
błękitnem, który swe niezmiennie godło *Pax tibi Marce evan-
gelista meum*, już był raz zmienił na *Droits de l'homme et du
citoyen*, co gondolierzy przeczytawszy, rzekli: »a przecież lew
kartkę przewrócił«. Nad lwem jest dzwon, w powietrzu zawie-
szony, o który dwóch Murzynów z miedzi ulanych młotkiem
godziny wybija. Skoro druga z południa na tym zegarze ude-
rzy, zlatują się z różnych stron tłumami gołębie i siadają na
środku rynku, czekając na stawę, którą im pewna pani
posyła.

Te gołębie nie chowają tu dla jedzenia, owszem, nie wolno
ich nikomu zabijać ani łapać, jak w Moskwie; są one w takim
poszanowaniu, jak w wielu krajach jaskółki i bociany; jednego
majtka, który zapłacony przez Anglika, złapał był parę tych
szarych gołębi, lud rozjuszony o mało nie zabił. Gdy admirał
Trevisano na początku trzynastego wieku oblegał Kandyę,
postrzeżono wiele gołębi w jednym ciągle kierunku lecących,
na miejsce, gdzie flota genueńska na kotwicy leżała. Zastrze-
liwszy kilka, znaleziono pod skrzydłami każdego liścik, w któ-

rzym Kandyoci donosili Genuenzom o wielkiem swem niebezpieczeństwie i prosili o odsiecz. Korzystając z tej wiadomości, Trevisano natychmiast wylądował i zdobył wyspę. W zamku gubernatora znaleziono wiele innych gołębi, które na posyłki chowano, które Trevisano, wraz z wiadomością o zdobyciu Kandy, posłał do Wenecyi, a które lud jako największą odniesionego zwycięstwa pomoc szanował i za nietykalne poczytał. Kar miono je kosztem skarbowym aż do upadku Rzplitej; i te więc gołębie są tu pamiątką historyczną, którą Wenecyanie szanować umieją.

Czwartą ścianą tego salonu jest pyszny front kościoła św. Marka z mozaikami na dnie złotem i stojącemi nad głównymi drzwiami czterma końmi z brązu, dzieło Lisippusa, sławnego snycerza za Aleksandra Macedońskiego, któremu tylko jednemu popiersie Aleksandra lać było wolno. Nie wiadomo, gdzieby te konie najprzód stały; to tylko wiemy, iż w pierwszym po Chrystusie wieku zdobyły w Rzymie łuk tryumfalny Nerona, a potem Trajana; przeniesione potem do Konstantynopola, stały przez dziewięć wieków na hippodromie. Marino Zeno, będąc gubernatorem zawojowanej stolicy Konstantego, przysłał je r. 1205 wraz z innemi dziełami kunsztu do Wenecyi, gdzie stały przez sześć wieków. W r. 1797 zabrał je generał Buonaparte do Paryża; potem przez dziewięć lat zdobyły łuk tryumfalny cesarza Napoleona. W r. 1815 wróciły do Wenecyi, gdzie je z uniesieniami radości przyjęto. Na wielkiem czólnie, czarnem suknie pokrytem, na podniesionem nieco rusztowaniu, wpłynęły te bluszczem przyozdobione zwierzęta na wielki kanał, otoczone wojskiem z zielonemi gałązkami u kaszkietów. Ten orszak otoczyło tysiące czólen różnego rodzaju; we wszystkich pałacach okna widzami były napelnione, których okrzyki gubiły się w okrzykach tłumu płynącego. Wysadziwszy je na brzeg na małym rynku, poprowadzono w uroczystości do ogromnego rusztowania, którem te konie na dawne dźwigano miejsce; rzecz niełatwa, jeśli zważymy, że każdy z czterech koni waży 1700 centnarów. Gdy je ciągnięto do góry, w tłumie, który cały rynek św. Marka zalegał, głuche panowało milczenie; dopiero gdy stanęły szczęśliwie na dawnem miejscu, po-

wstały okrzyki serdecznej radości, którą czytelnicy moi łatwo wystawić sobie zdołają.

Rynek św. Marka zarastał niegdyś trawą i należał do stojącego na nim kościółka św. Zaccaria; i wtedy nazywał się *bruolo*, z czego później powstał wyraz *broglio*, oznaczający dolne galerie pałacu dożów. Gdy miano zburzyć znajdujący się na środku rynku kościółek św. Zaccaria, rząd posyłał o pozwolenie do Rzymu. Papież odpowiedział: »że nigdy do złego nie upoważnia, ale przebacza, gdy się już stało«. Po zburzeniu kościółka papież za pokutę naznaczył roczną procesyę: co właśnie Wenecyanie namiętnie lubią. Szedł więc doża z wielkim orszakiem po rynku św. Marka na ono miejsce, gdzie dawniej stał kościółek; tam proboszcz zapytywał go: »kiedy wasza wysokość zechcesz odbudować mój kościółek?« Doża odpowiadał: »następnego roku«, i tak przez sześć wieków obiecywał.

Prokuracye nowo zaczęte w szesnastym wieku przez sławnego Sansovino, a skończone przez Scamozzego, który zmienił jego plan (z kolumnadą dorycką i jońską, na której stały posągi, jak to na *piazzecie* dochowało się), dobudowawszy jeszcze jedno piętro, psujące trochę harmonią. Między dwoma prokuracyami Napoleon zburzywszy kościółek, dobudował trzecie skrzydło, zupełnie według planu Sansovina, z posągami, służące za wejście i przedpokój do prokuracyi nowych, które teraz są pałacem królewskim.

Kościół św. Marka, zbudowany na wzór kościoła św. Zofii w Konstantynopolu, ale mniejszy, przewano złotym (*Chiesa aurea*), bo w pięciu swoich niszach u góry i u dołu i cały w środku pokryty jest mozaiką z dnem złotem, a z kilkaset kolumn zdobiących facyatę, z których większa część nie podpira, wiele jest tak rzadkich kamieni, że prawie równej są ze złotem wartości. Byzancyum, Grecya, Egipt, cały wschód swe bogactwa tu oddać musiał; to też mieszanina wschodniego gustu z greckim i rzymskim wybitnie tu się maluje; często na saraceńskim łuku stoi święty, średniowiecznem dłutem chrześcijanina wyciosany, a przy gotyckich wieżyczkach kapitele arabskie i cztery konie greckie. Jest to przepych bogacza, który w wieku swoim nie mógł znaleźć artystów.

Kiedy Wenecyanie, przewożąc Krzyżaków na wschód, co-

raz bardziej z tamtymi krajami się oswajali, a szkarłatna chorażew św. Marka coraz większej nabywała powagi, bo zawsze do Wenecyi z sławą i z skarbami wracała, z przywiezionych drogości i osobliwości wielką część dla św. Marka ozdoby obracano. W r. 1204, kiedy im na wschodzie nie dotrzymano traktatu, Henryk Dandolo, już ślepy prawie starzec, sam na czele floty weneckiej wyprawił się, dwakroć Konstantynopola dobywał, i zabrał wszystkie bizantyńskie posiadłości na Archipelagu; odtąd Kandya, Morea i Cypr płaciły daninę Wenecyanom, którzy przed bazyliką św. Marka trzy chorągwie zdobytych państw zawiesili, a zwycięska flota złożyła w hołdzie św. Markowi kolumny z porfiru i serpentyny, alabastry, posągi, wazy, płaskorzeźby, z starożytnej świątyni św. Zofii w Konstantynopolu wydarte, a część z Cypru, Lesbos i Kandyi. Każda więc kolumna św. Marka ma swoje osobne dzieje i wspomnienia, bo kościół ten z samych wschodnich łupów się budował. Na tych artyści weneccy kształcić się zaczęli i powoli sami go ozdabiać uczyli się, mozaiki w górnych i dolnych zewnętrznych sklepieniach kilkakrotnie odnawiając...

833) *Str. 27–28.* Wenecya, będąca dziełem ludzkim, jest jedynem miastem bardzo poetycznem, i niejednemu już poecie na widok tego miasta otworzyły się złote imaginacyi wrota. Lecz najpiękniejszym się wydaje przy świetle księżyca, kiedy gmachy i pałace z różnych wieków nabierają olbrzymich wymiarów, a wszystko przy panującym naokoło milczeniu jakąś tajemnicą wydaje się i mimowolnie ciekawość i obawę wznieca. Dziedziniec wewnętrzny starego dożów pałacu, galerye i wschody olbrzymów i cała okolica rynku małego (piazzetta) przy świetle księżyca czarujący sprawuje widok. To poezya z kamienia wykuta. Przy tem albowiem świetle znikają niedoskonałości sztuki, a zostają tylko ogólne, teraz mocniej wyskakujące rysy, w których się pomysł architektki, dzieło jego duszy, najlepiej odbija; prawda, że do tego uroku i osobliwsza natura kraju i ruch morski, z spokojnego brzegu widziany, niemało się przyczynia. Tu około wielkich i małych okrętów snują się cichaczem po srebrzystej wodzie czarne gondoly, już zwolna płynąc, już pędząc z szybkością strzały; tam znowu jak cienie ja-

kie, występują z wody wieże, kolumny i kopuły; dalej lekkim południowym wiatrem, który nie wieje, ale chucha, poruszona laguna, pokrywa się białą plewką; tam żółte światło latarek przy gondolach palących się rzuca tysiące iskier po morzu; tu znowu odpływający do Tryestu statek parowy wlecze za sobą czarny pas dymu, który księżyc bladą obwódką otoczył...

834) *Rozdz. VI. Str. 181—188.* W mieście stojącym na tak osobliwszem miejscu, które nie jest już morzem, a jeszcze nie lądem, gdzie po ulicach statkami pływają, gdzie drzewa i woda słodka jest rzadkością, zwyczaje i obyczaje inną zupełnie przybrać musiały postać. Godną jest zastanowienia rzeczą, jak tu się nasze lądowe obyczaje na ziemno-wodne zamieniły. Zamiast mijających się karet i turkotu koczów i wozów, ciche, lekkie jak piórka, prześlizgujące się po wierzchu wody gondoly; zamiast pięknych koni, rośli i zgrabni gondolierowie; zamiast herbów na powozach, zatknięta na przodzie gondoly chorągiewka; zamiast Corso, wielki kanał, przy którym mieszkając, koło pałacu Grimani, mieliśmy sposobność przypatrzenia się sposobowi życia na tej osobliwszej, jedynej w swoim rodzaju ulicy.

Rano dość długo okna w pałacach nie otwierają się; nie widać żadnej gondoly, tylko jarzyna, owoce, mąka, albo siano, cegła i ociosane kamienie płyną na ogromnej barce, którą dwóch a najwięcej trzech ludzi wiosłem popędza. Do przewiezienia tych rzeczy na lądzie potrzebowałyby kilkadziesiąt wozów i przynajmniej ze dwieście koni. Czasem widzieć można na dwóch czólnach jadący kocz lub karete, maszyny, która w tem mieście na nic się nie przydała, bo uliczki są tak ciasne, iż żaden kocz przemknąłby się nie mógł. Jednego poranku otworzyły się jednakże okna wcześniej, niż zwyczajnie, przechodził albowiem statek parowy, wyglądający przy gondolach jak słoń między myszami, który zabrał powozy W. Księżnej parmeńskiej, jadącej do Wiednia. Koło ósmej już wszystkie okna i galerye powoli się otwierają; wychylają się mieszkańcy strony, której słońce nie oświeca, a na kanale tylko ludzie, mający różne sprawy i sprawunki do załatwienia, i Anglicy z familiami poczynają się snuć w różnych kierunkach, dla zwiedzenia ko-

ściółów i obrazów. Od południa aż do wieczora zamykają się szczelnie okiennice, szczególnie w stronie na słońce wystawionej, i nie otwierają, aż się słońce za pałac Pizanicz skryje; wtenczas dopiero panowie starzy siedząc, a młodzi leżąc, wypływają na wielki kanał w gondolach, miękkimi wyłożonych poduszkami, które wreszcie z wierzchu niczem się nie odznaczają od innych, tylko iż mają po dwóch gondolierów w skromnej bardzo liberyi, najczęściej z płótna lub nankinu, na której zamiast burtów i galonów, bawelniane białe wstążki bielegają się. Taki ruch jadących w różnych kierunkach gondol z damami trwa aż do godziny dziewiątej, o której wszyscy idą do teatru. Jeszcze i po teatrze słychać po ciemku częste uderzenia wiosel i krzyki: »*stal he, ca premi*«, jeszcze długo migają się latarki, przy gondolach palące się; nakoniec wszystko się uciszyło; z jednej strony księżyc srebrne pasy rozrzuca po wodzie i między pałacami, które stoją ponure jak czarne widma i milczą; z drugiej ku Ponte-Rialto gazowe lampy błyszczą żółtem światłem, odbijającym się w zwierciadle kanału, a na samym końcu most Rialto, czarny olbrzym, mający nad sobą w powietrzu zawieszoną dużą latarnię, wyglądającą jak oko Polifema.

Lecz to jest życie panów i cudzoziemców; bo lud wenecki żyje w innej stronie miasta, na Riva dei Schiavoni, począwszy od pałacu dożów, i tu tylko prawdziwym weneckim obyczajom przypatrzeć się można. Tu na brzegu stoi kilkadziesiąt statków, *trabaccoli* zwanych, o dwóch masztach, z pomalowanemi żaglami, które z Tryestu, Fiume, Grecyi, a nawet z Neapolu i Sycylii przyplłynęły; dalej znowu w porcie stoją okręta norweskic i angielskie; wiele znowu innych przy komorze zarzuciło kotwicę. Na brzeg słowiański wychodzi prostopadle kilka ulic czyli kanałów; z tych najszerszy, z mostem drzewianym zwodzonym, idzie od arsenału, na innych są piękne marmurowe mosty o jednej arkadzie bardzo wyniosłej. Domy na tym brzegu są dosyć niepozorne, a nawet nędzne: tu idą same szynkownie, proste kawiarnie, sklepy golibrodów i proste sklepy dla marynarzy i wyrobników. Najciekawsze dla cudzoziemca są huńki marynarskie i fezy czerwone; dalej sprzedają smołę, chorągwie morskie i inne rzeczy, i wszelkiego rodzaju

żywność, którą na odpływające okręta zakupują. Na przyległej zaś ścianie wiszą duże klatki z gołębiami, kosami, drozdami i t. d. Dalej idą koszary i magazyny, a ledwie gdzieś napotkać można dom weneckiej architektury, i w jednym z tych miał Petrarka od rządu naznaczone mieszkanie. A jednak jest to najpiękniejsze, od północy całkiem zasłonięte położenie, skąd wreszcie najpiękniejszy rozciąga się widok na Malamokko, na najpiękniejsze z nowszych trzy kościoły, S. Giorgio Maggiore, il Redentore i la Salute, i na komorę z osobliwszą choroągiewką, to jest: brązowym posągim fortuny, stojącej końcem nogi na bani, którą olbrzym dźwiga, a która choć z kruszcu, za każdym powiewem wiatru w inną stronę obraca się. Skoro świt przyplływają tu rybacy kjodzeńscy z sardelami, które przedawszy, rozwieszają cienkie sieci, korkowem drzewem naokoło obłożone, przez które widok jak przez zasłonę jeszcze piękniejszym wydaje się. Tymczasem chłopcy szybko naprawiają stare sieci, albo robią nowe, inni rozścielają na brzegu żagle albo maty, na których siadają kupkami, starsi zwykle ludzie w cy-cowych kurtkach, grubych pończochach z pilźni, bez trzewików, tylko w chodakach, na głowie czerwony fez ze zwieszonym granatowym kutasem, które od Greków przyjęli, albo ciemnobłękitną czapkę zwieszoną na głowę; ci znowu z wąskiego domowego płótna robią żagle, pilnie szyjąc, nie patrząc na przechodzących. Na ostatnim zaś krańcu tego brzegu czarną smołą obwodzą przewalony na bok okręt, tam znowu innemu nowe wstawiają żebra, a dalej całkiem nowy statek buduje się. Około dziewiątej zaczynają się i lądowi mieszkańcy przebudzać i wychylać z domów. Pod kościołkiem S. Francesco di Pola, naprzeciw ogrodu, kilku ludzi drzemie jeszcze, grzejąc się na słońcu. Tam znowu szwaczki biegną z gotową już robotą do sklepu, w którym cały dzień szyć mają. Już i kowale i blacharze na strada nuova stukać poczynają; już się zwijając zaczynają tokarze, szewcy, krawcy, ci co pletą kosze i t. d. Dalej, naprzeciw magazynu, przybiły do brzegu z młyńa parowego obładowane promy, z których silni parobcy, bez koszuli, tylko w kamizelce, znoszą wory mąki i chleba żytniego dla wojska. Około dziesiątej brzeg słowiański coraz więcej ludem zapełnia się. Ludzie, którzy, Bóg sam wie, gdzie noc przepę-

dzili, wloką teraz tutaj cały swój dobytek i tu się jakby we we własnym roztasowują domu. Jest to rodzaj kocującego wśród miasta narodu, którego domowe życie nie kryje się w ścianach. Tu szewc, postawiwszy przed sobą mały stoliczek, naprawia stare trzewiki i naprawione na dziurawe mienia, na małym pienneżnym dodatku przestając; za nim żona coś niebardzo białego ceruje czy szyje, a koło niej na wpół nagie dzieci po ziemi, a raczej po bruku tarzają się. Tuż koło nich siada wyrobnik i na swoim płaszczu połatany nową jeszcze łatę pilnie przyszywa, tymczasem siedząca koło niego żona, rozrzucając krucze włosy, czesze się w najlepszą i z tyłu je nieco porządniej związuje. Tam znowu stary jakiś człowiek, mający przed sobą palącą się lampę, zlepia lakiem stłuczony talerz; tam przedają cukierki; tam pierniki, albo *galettini*, to jest bułeczki z mąki kukurudzianej, drobnymi rodzenkami posypane. Ten znowu siedząc za większym nieco stołem, z wielkiego miedzianego dzbana nalewa w szklanki wodę z cysterny, (bo w całej Wenecyi niema wody źródlanej), a wpuściwszy kilka kropel anyżówki *del mistra*, robi poncz *à la barcajola*. Tam znowu przedają limonadę, to jest wodę bez cukru, kilku kropelkami soku cytrynowego zaprawną, albo wodę, w której się gotowały suszone jabłka i gruszki. Obok niego przedają te same jabłka na kijek wbite; im bliżej pałacu dożów, tem droższe przedają się owoce: figi, daktyle, rodzenki, migdały, kasztany i pomarańcze. Tymczasem z odległej części miasta Żydzi już rano przywieźli tu na kółkach ogromne skrzynie, i dobywszy z nich różne rupiecia, na bruku rozścielają: tu grzebienie i szczotki, tam czarne i pomalowane litografie, tam znowu stosy różnokolorowych chustek i kamizelek, tam noże i nożyczki, stare książki w różnych językach, obok drewnianych łyżek, fajek i różnego szkła starego. Obok tego marynarze kjodzeńscy siedli do obiadu na okręcie i poczęli jeść *polentę*, to jest ciepłą lemieszkę z żółtej grubej mąki kukurudzianej bez soli, a na wety muszle i ślimaki, *cape e caragoli*, które się na lagunie obnażonej poławiają; dobywszy je z muszli igłą, żywcem połykają. Tymczasem na pobliskim trójbocznym rynku rybackim, *Campiello della pescaria*, założonym stolami, różnego rodzaju ryby i skorupiaki przedają się; naokoło zaś przed domami, albo w sklepikach

drewnianych, sprzedaje się chleb, polenta, mięso, kielbasy, ser; jarzyny już ugotowane w wielkich kotłach się dymią, tu gotują rybę, tam smażą fryturę, tam znowu kawałki polenty rzucają w skwarzący się smalec, skąd wyciągnąwszy blaszaną łyżką, prosto w gębę się kładzie; ale do tego trzeba wprawy i dawnego nałożenia. Tu młody, przystojny *marinero* połknął taką fryturę, a gdy mu smakowała, drugi kawałek cukrem posypać każe i kładzie w usta czarnobrewej dziewczce, która pod domem na długich kilku niciach paciorki nawleka. Tymczasem przybywa mała, zgrabna, w czarnym męskim kapeluszu, z czarną aksamitką, ale złotą frendzlą zakończoną, *furlanerina* czyli *bigolante*, w białych pończoszках i czarnych włosach, które jej nadobną twarzyczkę pięknie oceniają. Są to osoby ubiorem, wzrostem, postawą zwracające uwagę, osoby, które po całym labiryncie ciasnych uliczek, rano, w południe i wieczór spotkać można, roznoszą bowiem w małych miedzianych wiaderkach wodę, czerpaną w cysternach, do domów, które cystern nie mają. Zdaje się, że pochodzą z Friulu i od niepamiętnych czasów mają monopolium roznoszenia wody. Zwykle niezamężne, przez kilka lat roznoszą wodę w Wenecyi, a uzbierawszy cokolwiek pieniędzy, wracają do swojej ojczyzny. Taką furlanerinę zatrzymał dziarski wyrobnik, pije jej wodę, a w nagrodę poglaskał ją po brodzie. Tymczasem na brzegu słowiańskim otwarły się popołudniu budy z woskowemi figurami, diorama i zbiór dzikich zwierząt; ale większe daleko kółko zebrało się około wysokiej budki Poliszynella, w której lubo zawsze na scenę te same wychodzą osoby, lud jednakże zawsze się niemi mocno uraduje i głośno uśmieje; ależ nie rozumiemy, że tu same uliczne komedye się dają; czasem nawet Goldoniego komedye tu widzieć można. Właściciel tego teatru trzy lub cztery razy głos zmieniać umie i widzów swoich rzewnie ubawionych odprawia. Tymczasem improwizator, zrobiwszy koło z krzesel, rozpoczyna swoją powieść głosem cichym, który coraz wyżej się podnosi, coraz mocniej grzmieć poczyna i nakoniec w krzyk się okropny zamienia. Ten improwizator zowie się Scior Tonin, Bona Gracia, Nobile di Torsello. Otaczają go najwięcej marynarze; bogatsi i Grecy, przechodząc tędy, podwajają kroki, bo chłopiec z puszką chwilowe zatrzymanie się

placić sobie każe. Stąd idąc, natrafiłem nakoniec na kosz pisanek czerwonych, w które tu grają zupełnie tak, jak chłopci na Wołyniu koło cerkwi w dzień Wielkanocny, ale tutaj codziennie. Właściciel tych pisanek stłuczona u siebie w ręku oddaje bezpłatnie; ci więc kupując pisanek od niego, próbują ją o zęby; znają się na tem równie dobrze, jak nasze parobeczki wiejskie.

Na ożywionym brzegu słowiańskim brakuje tylko krzykliwej gry *alla mora*, w całych Włoszech znanej, której zakazano dla częstych bójek i kłótni; przez to jednakże to miejsce nie jest wcale ciche; owszem, zgiełk i wrzask chłopców z zapalkami i cygarami i rozmawiających Włochów zagłusza, choć rozwesela i niezwykłością bawi.

F) »Myśli o ukształceniu siebie samego« (1862).

(»Myśli o ukształceniu siebie samego«. Warszawa, 1873).

Jakim sposobem matematyka do ukształcenia człowieka pomaga.

835) *Rozdz. III. Str. 19—23.* Wielu nieustannie mówią z pogardą o ludziach, co pracują nad urządzeniem lub powiększeniem swego majątku. Oni z inszej ulepieni gliny, do wyższych zmierzają rzeczy, takie zatrudnienia mając w pogardzie.

Tymczasem przychodzi do tego, iż ci, co tak górnio latają, muszą służyć tym, co się trzymają przy ziemi, i nie tylko służyć. Często są oni dworakami, podchlebcami swoich panów, otaczają ich murem chińskim, a człowieka zacnego i światłego (który temu panu pożyteczniejszym mógł być) wcześniej obrzucają błotem, rzucając na niego z zawziętością obelgi.

Te przywary uważałem często w tych, którzy za młodości wielką odznaczali się łatwością w uczeniu matematyki, łatwość, która niezawsze jest oznaką wielkich zdolności rozumu.

Gray, znakomity poeta angielski zeszłego wieku, którego »Julia«, w pięknym tłumaczeniu Niemcewicza dobrze polskim czytelnikom jest znana, w liście do przyjaciela szkolnego powiada:

»Mamże się zatopić w metafizyce? Niestety! mnie nie jest dano widzieć w ciemnościach, natura nie wyposażyła mnie narzędziem optycznym koła. Mamże ślęczyć nad matematyką? Niestety! Nie mogę widzieć przy blasku światła, nie jestem orłem«.

I rzeczywiście, nie niema, zwłaszcza dla umysłu od natury głębszym opatrzonego rozumem, nie niema do pojęcia trudniejszego, jak to właśnie, co w matematyce jest najłatwiejszem. Znałem dobrze zdadne głowy, dla których pierwsze zadanie Euklidesa było równie trudne do pojęcia i zrozumienia, jak dzieło Monteskiusza: »O duchu praw« dla Kanta; której to książki Kant, (jak sam wyznaje), nigdy zrozumieć nie mógł.

Ze wszystkich nauk matematyka jest najłatwiejszą. Łatwiej daleko nauczyć się matematyki, jak np. prawa, historii lub ekonomii politycznej.

Umysły, kształcone na samej wyłącznie matematyce, mają właściwą sobie cechę nieudolności. Przyzwyczajają się do wiedzy z pewnością niezachwianą, — wiedzą, że dwa a dwa są cztery — i na tem przekonaniu zasypiają spokojnie. Stąd wynika, iż pogardzają tem, cokolwiek z taką samoczewistością dowieść się nie da, nabierają nałogów dogmatycznych, za którymi idzie zarozumiałość i pycha, rozum ich starczy nie ma potrzebnej w życiu codziennem podajności, giętkości; rozumiejąc, iż wszystko można wiedzieć z pewnością, (przynajmniej to, co wiedzieć można i warto), nie umie ocenić stopni prawdy, ani się wedle tego kierować. Pogardza więc wszystkim, co jest tylko przybliżeniem do prawdy, ale jeszcze nie prawdą dowiedzioną. A że wszystkie niemal powody działania i czynienia z takich tylko prawd wynikają, stąd pochodzi, iż w życiu potocznem nie wiedzą, czyli iść na prawo lub na lewo, i radzić sobie nie umieją. Napoleon, który w początkach swego olbrzymiego zawodu tylko matematykę szacował, uchwyciwszy największą we Francyi władzę, zaraz wezwał La Place'a, sławnego matematyka, do rady stanu, ale po kilku dniach z podziwieniem opatrzył się, iż ten wielki matematyk do rządów żadnej nie miał zdolności.

Matematyka przyzwyczajają do poznania, jakby wszystko

być powinno, a nie uczy wcale, jak się wszystko dzieje i toczy na świecie, a nawet z tej drogi sprowadzać się zdaje.

Z tego wszakże nie wynika, iż matematyki teoretycznie uczyć się nie należy; owszem, przeciwnie, uczyć się matematyki, bo to jest logika praktyczna, przyzwyczajają do ścisłości w rozumowaniu i daje sposobność rozumowi rozwijania sił swoich. Uczy rozróżniać zasady, pierwiastki prawd od prawd wywiedzionych, lub potrzebnie dowiedzionych, słowem uczy rozróżnienia prawd, wnioskowania i dowodzenia. Matematyka wtedy tylko ma szkodliwy wpływ na ukształcenie człowieka, kiedy jej wyłącznie całą młodość poświęcamy, bo tym sposobem wszystkie inne władze umysłu, ile leżące odlogiem i zaniedbane, wraz z rozumem rozwijać się nie mogą, a tym znowu sposobem psuje się równowaga między własnym umysłem, który jest zdrowiem rozumu, i sprawuje, iż mimo wyższego światła, nigdy nie czynimy rozbratu z prostym rozsądkiem...

.

Dwa razy dwa, nie jest cztery.

836) *Rozdz. IV. Str. 27—28.* A naprzód, mój drogi, masz o tem wiedzieć, że dwa razy dwa, nie jest cztery. Jakto! dwa a dwa nie jest cztery, a przecież nietylko to jest prawda, ale co większa, dwa a dwa jest cztery. Chcesz zapewne powiedzieć, że to jest prawda matematyczna, a zatem niezawodna, i tak to mówią, i z dachów opowiadają matematycy, i słusznie, bo to jest prawda, ale tylko w obrębie matematyki. Przeniesione bowiem do świata, najczęściej nie sprawdza się; — i tak, jeślibyś złemu człowiekowi wyrządził dwa razy tyle przyśług, zrobił dwakroć tyle łask, coś robił dotąd, nie okaże ci przeto dwa razy większej życzliwości jak dawniej.

W ekonomii politycznej najmocniej się o tem przekonano, że dwa razy dwa, nie jest cztery. Bo np. nakładając dwa razy większe cło na towary, nie ma skarb dwa razy większego dochodu, — owszem, najczęściej mniejszy, niżeli dawniej, i nawzajem — zmniejszenie o połowę opłaty od listów, zamiast zmniejszyć o połowę dochód skarbowy z poczty, powiększyło go znacznie, jak się to zdarzyło w Anglii, Francyi i innych krajach. Powiększenie kapitału banku krajowego nie powiększa

o dwa razy jego kredytu, owszem zmniejsza dochody akcyonaryuszów. Napoleon, mając pięćdziesiąt tysięcy wojska, odnosił sławne we Włoszech zwycięstwa i zasiadł na tronie francuskim; — wyprowadziwszy na Rosyę pięćkroć sto tysięcy wojska, zginął marnie i umarł na skale.

Więc dlatego tu o to bardzo mi chodzi, abyś tego dobrze się nauczył, iż dwa razy dwa nie jest cztery, co ci w życiu bardzo będzie pożytecznem. Kto tę prawdę pojmie i na nią nieustannie oglądać się będzie, uniknie w życiu wielu nieszczęść, które mu życia zatruwać nie będą i w biegu zatrzymać mogą.

Wiedzieć: że dwa razy dwa nie jest cztery, jest wielkim w ukształceniu siebie samego krokiem.

O uczeniu się języków. — Jak się nauczyć języka polskiego?

837) *Rozdz. X. Str 99—105.* Języka polskiego dlatego najstaranniej uczyć się i w nim ciągle doskonalić się potrzeba, że mimo znajomości innych starożytnych i dzisiejszych języków, zawsze tylko macierzystego języka za narzędzie myśli używać możemy. Od tego wybiegać się trudno. Sama nawet pani hrabina, choć ciągle mówi po francusku, jednakże w szyku polskim myśli swoje układa, sama o tem nie wiedząc, — dlatego jej francuzczyzna jest tylko dyalektem francuskiego języka, który Francuz przez grzeczność tylko rozumie.

Jest u nas zwyczaj zaczynania wszystkiego od gramatyki; zaledwie dziecko nauczy się czytać, dają mu w ręce gramatykę — jeśli się zabiera do wyższych nauk, dają mu gramatykę łacińską, — jeśli chce nauczyć się jakiego obcego języka, dają mu gramatykę.

Co większa, chcesz się nauczyć swego własnego języka — powiadają ludzie uczeni i nieuczeni: weź gramatykę języka polskiego, a masz ich bez liku. Spróbujmy aby raz inszego sposobu — gdy ten dawny, jak nas smutne doświadczenie uczy, nie na wiele się przydał: zamiast zaczynać od gramatyki, kończmy na gramatyce.

Ale jakże to być może! wszak przecież trzeba się nauczyć przypadkowania, czasowania przynajmniej? A któż ci broni? chcesz się nauczyć przypadkowania i czasowania, to się naucz, weź gramatykę, tam to znajdziesz łatwo.

A wszakże jeszczeby się trzeba nauczyć prawideł składni!

A to się naucz, — ale co będziesz składał, kiedy jeszcze nic nie umiesz?

Otwarcie mówiąc, to wszystko nie na wiele się przydało. Chcesz się nauczyć języka obcego — to się go ucz tym samym sposobem, jakęś się nauczył po polsku, co umiesz najlepiej; ale jeśli tak nie możesz, bo do tego potrzebaby mieć mamę, mamkę, niańkę, mało co starszego brata i równolatkę siostrę, więc użyj innego sposobu: naucz się od kogo czytać po angielsku. A kiedy niema Anglika? To się sam naucz. A jakże się mogę nauczyć dobrego wymawiania? Jeśli się nie możesz nauczyć dobrze wymawiać, to wymawiaj źle — dość z ciebie, abyś rozumiał język. A jak pojedę do Anglii? To powiedzą, że jesteś cudzoziemiec. Czy widziałeś kiedy Anglika dobrze mówiącego po polsku?

Uczenie się gramatyki zaraz w pierwszej młodości nie tylko jest rzeczą nie przynoszącą pożytku, ale jest szkodliwą — bo na pierwszym wstępie do nauk uczy nieuwagi. Pewny poczciwy proboszcz, postrzegłszy w chłopaku, którego uczył czytać, uderzające zdolności, chciał mu otworzyć drogę do wyższych wiadomości; a więc torem zwyczajnym kazał mu uczyć się gramatyki, naznaczył mu kilka wierszy z pierwszej kartki, bo i to był zwyczaj naznaczania kilku lub kilkunastu wierszy, spodziewano się bowiem, iż tym sposobem młodzież nauczy się gramatyki, choć każdy mógł dobrze wiedzieć z własnego doświadczenia, iż tym właśnie sposobem niczego się nie nauczył. Ale troskliwy o swego wychowanka proboszcz nie przestał, jak to zwykle bywa, na tem, ale chciał jeszcze wypróbować, czyli chłopiec rozumie, czego się wyuczył na pamięć. Była to »Gramatyka Kopczyńskiego«; zapytał go więc, czyli rozumie jej pierwsze słowa, t. j. »Czem się różnią ludzie od zwierząt?«

Chłopiec namarszczył czoło, podniósłszy oczy w niebo, i długo się namyśliwszy, nakoniec odpowiada: »Tem, iż ludzie piją szklanką, a zwierzęta językiem«.

Ale na cóż mam przytaczać przypadek zacnego proboszcza, kiedy ci mogę o sobie coś podobnego powiedzieć? tylko to zachowaj dla siebie. Byłem pierwiastkowo w szkołach, gdzie

naówczas dawano nam w ręce tak zwane szulbuchy; na syntaksymę był przepisany taki szulbuch, mający, ile pamiętam, bo to już temu pół wieku minęło, sześć cali grubości, — a zaczynał się od słów: »*Condita nuper urbe et aperto in eo asylo Romanus populus coaluit*«. O! tego okresu (ja, który czytam Tacyta i Sallustyusza bez najmniejszej trudności) jeszcze teraz bez niejakiego zastanowienia się rozumieć nie mogę, takem się przyzwyczaił, żeby tego nie rozumieć.

Zwykle bywa, iż młodzież uczy się długo gramatyki łacińskiej, a nigdy samego języka, — to też go umieją tylko ci, którzy odłożywszy na bok gramatykę, sami się wzięli do języka.

Przypuśćmy, żeby zamiast grubej gramatyki, młodzieniec wyuczył się wszystkich mów Cycerona na pamięć; można zaręczyć, że dobrzeby umiał po łacinie, a zrozumienie innych trudnych autorów, jak Liwiusza i Sallustyusza, jużby go nie wiele kosztowało pracy. Ale my w uczeniu się języka łacińskiego zaczynamy od końca.

Żeby się dobrze wyuczyć po polsku, trzeba czytać książki z szesnastego i siedemnastego wieku, wiązaną i niewiązaną mową pisane. Trzeba czytać Kochanowskich, (bo od poczciwego Reja niczego, i języka nawet, nauczyć się nie można), Zimorowicza, a szczególnie mowy sejmowe różnych, nawet »Swadę«, wszystkie kazania Skargi, choć w nim polszczyzna zbyt się do języka łacińskiego nagina; trzeba abyś czytał nawet jego Żywoty Świętych, bo lubo ś. p. biskup ołycki Osiński to dzieło z pewnych względów nagania, a i sam Skarga tylko przez posłuszeństwo dla swojej starszyny tego dzieła dokonał, wszelako zaprzeczyć nie można, iż to jest niewyczerpany skarb pięknej, szczerzej polszczyzny. Jeżeli cokolwiek umiem po polsku, winienem to Żywotom Świętych Skargi, które — nie dla języka, ale z pobożności, — mając dopiero lat siedm, czytałem z takim upodobaniem i zajęciem się, iż mi już przychodziła ochota udać się na pustynię i tam przy żywym źródle kryształowej wody żyć korzonkami. Druga atoli książka, którą w tym wieku czytałem, na wcale inną mnie zaprowadziła ścieżkę: wznieciła chęć zwiedzenia świata, i dotąd jeszcze lubię żyć i wałęsać się między obcymi, może najwięcej dlatego, iż wady

i przywary obcych znoszą się z obojętnością, a swoich z boleścią i smutkiem. Książki tej tytuł jest: »Nowe Ateny wszelkiej scienciey pełne, przez autora tu *enigmatice* wyrażonego... *alias* X. Chmielowskiego«.

Ta książka, rodzaj encyklopedyi, doskonale odbijającej światło swego wieku, tem silniej mnie zajmowała, iż zacny ks. Chmielowski był proboszczem w Firlejówce, gdzie ja się urodziłem, a pierwsze kroki stawiałem w ogrodzie, który on pierwszy ozdobił był łacińskimi napisami na deszczkach, które w tem dziele pilnie i wiernie podał dla wiadomości potomnych. A lubo polszczyzna ks. Chmielowskiego jest zapstrzona łaciną, wszelako co tu jeszcze jest w polskim języku, nosi cechę niepokalanej polszczyzny

GRABOWSKI MICHAŁ

(1804 — 1863).

Miejsce i data urodzenia głośnego w swoim czasie, a później rychło zapomnianego krytyka i powieściopisarza, nie są dotychczas ustalone¹⁾. W każdym razie ustanowić możemy w przybliżeniu, że urodził się w r. 1804 albo 1805, w Zołotyjowie albo Tajkurach (miejscowości blisko siebie leżące, na Wołyniu w powiecie Rówieńskim). Ojciec jego Antoni wywieziony podczas Konfederacyi Barskiej w głąb Rosyi, wychowany był przez Drewicza, służył wojskowo i w dojrzałym już wieku powrócił do kraju, gdzie pojął za żonę Teresę z Dworzańskich. O najwcześniejszej młodości Grabowskiego posiadamy bardzo skąpe wiadomości. Możemy tylko przypuszczać, że atmosfera domowa nie była zapewne przesiąknięta zbyt silnymi pierwiastkami narodowymi, co odbiło się później w sposób znamieny w pewnych przełomowych epokach życia Grabowskiego. W 10 roku życia oddano go do kolegium Jezuitów w Romanowie, skąd wyniósł nietylko »ugruntowanie w wierze« — jak twierdzi jego biograf Jan Krechowiecki — ale zapewne i zadatki późniejszych przekonań konserwatywno-klerykalnych. Po kilku latach pp. Grabowscy przenieśli się na Ukrainę, do Aleksandrówki w pow. Czehryńskim, i oddali syna do szkoły bazylińskiej w Humaniu. Nastąpiło to prawdopodobnie w r. 1818. Teraz

¹⁾ Jan Krechowiecki (»Wiadomość o życiu i pismach M. G.« Kraków 1868) podaje rok 1804 »lub najpóźniej 1806« (str. 4), bezimienny autor »Kilku wspomnień biograficznych« (»Czas« 1866) przytacza dokładną datę »25 września 1804 r.« rzekomo zaczerpniętą z autentycznego listu Grabowskiego. Chmielowski przyjmuje raz rok 1805. (W. Encyklop. illustr. t. XXV) drugim razem rok 1807 (Hist. lit. polskiej t. V, 207), Michał Rolle (»Żywot polityczny M. G.« Przewodnik naukowy i lit. 1908) i Tadeusz Grabowski (M. G. Kraków 1901) również rok 1805. Jako miejsce urodzenia podany jest w tych studiach bądź Zołotyjów bądź Tajkury.

rozpoczyna się nowa epoka w życiu młodzieńca, znana nam już nieco bliżej ze wspomnień Krechowieckiego, oraz pamiętników i listów Goszczyńskiego. W szkole humańskiej uczyli się już od kilku lat Zaleski i Goszczyński. Ten ostatni w następujących słowach skreślił wrażenie, jakie na nich wywarł świeżo przybyły Grabowski: »Dziecko ładne... jak dziewczyna, niewinny, rumieniący się, a przytem zamknięty, poważny, arystokrata, zwrócił na siebie uwagę kolegów i wielu podbił jak kokieta, między innymi Bohdana Zaleskiego. Stąd ściślejszy między nimi stosunek, aniżeli był mój. Byliśmy jednak dobrze. Kiedy Bohdan kochał się w nim prawie jak w dziewczynie, my byliśmy na stopie męskiej przyjaźni, związani wzajemnem ocenianiem naszych przymiotów męskich, zalet męskich«. (Teki Goszczyńskiego VII. Chronologia mego życia. Cyt. u Tretiaka: »Bohdan Zaleski«, Kraków 1911, str. 51). Niebawem po wakacyach roku 1818 znaleźli się trzej przyjaciele w jednej klasie. Było to w czasie, kiedy hasła nowej, romantycznej poezji zaczęły stawać się przedmiotem dyskusji w czasopismach polskich, zainaugurowanej przez Brodzińskiego rozprawą »O klasyczności i romantyczności«. Że koledzy humańscy mieli i czytali te pisma, że zaczęli przejmować się nowymi prądami, świadczą o tem zapiski Goszczyńskiego. Szczególniej zaś upodobać sobie musieli »Ćwiczenia naukowe« wydawane wówczas przez Glücksberga w Warszawie, bo na wzór tego wydawnictwa założyli własne, uczniowskie pismo litografowane p. t. *Ćwiczenia umysłowe*, mające być organem trójki literackiej pod nazwą *Za-Go-Gra*. W tych czasach i w związku z tem pismem powstawały pierwsze próby poetyczne Zaleskiego i Goszczyńskiego. Możemy więc z pewnem prawdopodobieństwem przypuścić, że i Grabowski próbował wówczas swych sił na tem polu, zwłaszcza, że znamy jego późniejsze utwory poetyczne i wiemy, że myśl o twórczości poetyckiej prześladowała go nawet w czasach, kiedy już dokładnie zdał sobie sprawę z braku talentu w tym kierunku.

Wspólna praca umysłowa trzech przyjaciół została jednak rychło przerwana przez zatarg z władzą szkolną. Surowy rygor, panujący w szkołach bazylikańskich, ciężyć musiał młodym »literatom«, rwącym się do swobody i szerszej działalności, i wywoływać niezadowolenie. Stosunki zaostrzyły się bardziej z powodu nietaktownego postępowania prefekta szkoły ks. Skibowskiego, zręcznego karyerowicza, który nie posiadał żadnych danych, aby wzbudzić w swych uczniach miłość i zaufanie ku sobie. Po zajściu z Goszczyńskim, bardzo przykrem dla tego ambitnego i pełnego temperamentu młodzieńca — nastąpiło jeszcze przykrzejsze zajście z Grabowskim. Prof. Tretiak przedstawia je w ten sposób: »Poróżnił się on (Grabowski) z profesorem prawa ks. Rolińskim. Czy ks. Roliński przejął od ks. prefekta jego »ton pogański, despotyczny«, tego nie wiemy; to tylko wiemy, że Grabowski, który pomimo panińskiej powierzchowności, miał w młodości bardzo awanturnicze usposobienie, uczuł się przez niego obrażo-

nym i na obrazę odpowiedział obraźliwemi słowami. Za to musiał klęzczyć w klasie, co go tak ubodło, że z końcem roku szkolnego 1818/19 opuścił Humań«... (l. c. str. 67). Nie mogło się to naturalnie stać bez zezwolenia rodziców, którzy jednak niezbyt fortunate wybrali mu miejsce na dalszą edukację. Wysłali go mianowicie do liceum Richelieu'go w Odessie »zapewne w widoku lepszej instrukcyi — powiada J. Krechowiecki — a więcej może idąc za przykładem możnych swoich sąsiadów Rosyan«¹⁾.

Przypuszczać można, że ten drugi wzgląd był decydujący i świadczy wymownie o zaznaczonym już powyżej, braku starań o prawdziwie narodowe wychowanie syna. Pobyt w liceum Richelieu'go nie mógł wpłynąć korzystnie na rozwój młodzieńca. Uczono tam wprawdzie wszystkich języków europejskich, literatury starożytnej i nowożytnej, towarzystwo jednak młodzieży arystokratycznej rosyjskiej, którą wysyłano tam dla »nabrania poluru«, nie mogło oddziaływać na Grabowskiego w tym duchu, co jego koledzy humańscy. Oto jak przyjaciel jego Krechowiecki, do którego znowu się odwołujemy, jako do najważniejszego źródła biograficznego — przedstawia wpływ pobytu w Odessie na usposobienie i charakter Grabowskiego: »Pozostało mu wszakże z pierwotnych, tam w liceum odebranych wrażeń, jakieś kosmopolityczne wyobrażenie stosunków towarzyskich, gdzie forma pewnej dystynkcyi zastąpić mogła brak istotnego wychowania i obyczajów... Polur był tam ostatnim cywilizacyi wyrazem. ...Otóż młody podówczas Michał Grabowski, olśniony był tym fałszywym połyskiem, lubo dojrzalszym potem poglądem różnice te dostatecznie oceniał, jednak z tem pobłażaniem, z tą łatwością wchodzenia w stosunki i zawikłania siebie w niewłaściwe pozory prawie do ostatnich dni życia swego pozostał« (str. 7).

Pobyt Grabowskiego w Odessie nie mógł trwać dłużej jak rok lub najwyżej półtora roku, gdyż Zaleski i Goszczyński, przybywszy w jesieni 1820 r. do Warszawy, już go tam zastali. Udał on się tam zaraz po śmierci swego ojca, co mogłoby świadczyć, że niebardzo dobrze było mu w Odessie i uczuwszy się niezależnym od woli ojca, porzucił ją coperędzej. Przybywał do Warszawy w czasie coraz bardziej wzmagającego się ruchu literackiego wśród młodych (może to pociągało go najbardziej) i bardziej jeszcze intensywnych robót spiskowych. Co do tych ostatnich jednak, zachował się już wówczas z rezerwą, nie okazując bynajmniej zapału, właściwego jego wiekowi, do tego rodzaju działalności. Na tem tle różnicy temperamentów musiały już teraz wyniknąć pewne nieporozumienia pomiędzy nim, a dwoma jego przyjaciółmi, którzy w początkach r. 1821 uroczyście wprowadzeni zostali do związku »Wolnych Polaków«. Goszczyński, pisząc o tych czasach, powiada: »...nasze kółko słabo się trzyma, harmonia

¹⁾ l. c. str. 6. Podano tu przez omyłkę Moskwę jako miejsce wyjazdu G. i siedzibę liceum Richelieu'go.

trudna. Grabowski salonowy panicz, Francuzik ze wszystkimi wadami Francuzika...« Słowa te, pełne goryczy i ironii, świadczą wymownie o zawodzie, jaki Grabowski sprawił swemu przyjacielowi, który wtedy, jak sam powiada, był »cały w polityce, rwący się do ruchu«. Pomimo to jednak miała ta trójka jeszcze wiele wspólnego z sobą, kiedy — jak świadczy znowu Goszczyński, — »przeciągali swoją spółkę literacką, zbierali się i czytali swoje utwory«. Nie brakło i nowych znajomości, jak Żukowski, Ostrowski, Fr. Grzymała, Humnicki, Rydzewski i inni, wszystko ludzie młodzi, zachwyceni nowymi prądami w poezji, rozdzielający swe zachwyty szczerze pomiędzy Byrona, Mickiewicza i... Odyńca. Tryb życia Grabowskiego w Warszawie, jak się o tem dowodnie przekonujemy z listów jego pisanych do Zaleskiego, był dość urozmaicony i bynajmniej nie spokojny. Uczęszczał zdaje się początkowo do liceum, potem zaś do uniwersytetu jako wolny słuchacz, ale niedługo i bez wielkiej gorliwości. W dwa lata po przyjeździe zdecydował się wstąpić do biura ministerjum oświecenia i wyznań, gdzie miał poparcie u imiennika swego, ministra St. Grabowskiego; został nawet po jakimś czasie referentem wydziału wyznań. Ale i praca biurowa niebardzo mu odpowiadała — wreszcie »znecierpliwiał się cierpkim obejściem sekretarza jeneralnego Komisji oświecenia, kasztelana Jana Tarnowskiego, który mu nieczytelne jego referaty zwracał« i przestał chodzić do biura, co nieskończenie tolerowano, ponieważ był protegowanym ministra (Krechowiecki l. c. str. 8). Pozatem studyował kronikarzy, Naruszewicza, poetów polskich w. XVII, z zagranicznej literatury zaś specjalnie Byrona i Waltera Scotta — oraz tracił czas na hulankach, grze w karty, robieniu długów i częstych pojedynkach. W liście z 4 maja 1824 r. tak np. określa swój stan duchowy: »...nudzę się, robię długi, czytam romanse W. Scotta, tracę pieniądze bez potrzeby i przyjemności i staram się przekonać, że w chwilach, w których się najwięcej trzpiocę i śmieję, jestem szczęśliwy... Gdybyś wiedział przytem, jakie jest chaos w mojem sercu, ile tam przeciwnych uczuć chcę przytłumić, nie dziwiłbyś się, że tak starannie unikam wszystkiego, coby mnie mogło wyrwać z letargu, w który się pogrążam«. Do tego wszystkiego przyłączyła się jeszcze miłość do pięknej śpiewaczki warszawskiej Wilkowskiej, która do reszty pogrążała go w melancholii, zwłaszcza, że »wkorzenione arystokratyczne przesady i duma« nie pozwalały mu wzdychać do aktorki. W wypowiedzeniach tych (i wielu innych podobnych) przebija się wyraźnie stan duszy młodzieńca o walczących z sobą instynktach poziomego używania życia i pewnych wyższych, szlachetniejszych potrzebach. Kto wie, czy nie właśnie w tych pierwszych, łącznie z całokształtem warunków, wśród których się chował, tkwiło źródło jego chłodnego stosunku do spraw ogólniejszej natury, które entuzjazmowały podówczas jego najbliższych przyjaciół. Sam się do tego nawet pośrednio przyznawał w tych słowach pełnych bystrej autokrytyki, w liście z 30 marca 1824 r.: »Józefie, świat, pośród którego żyję,

nauczył mnie wstydzic się wszelkich uczuć głębokich i prawdziwych, nauczył mnie wstydzic się wszystkiego, co nosi na sobie piętno entuzjazmu i poświęcenia się...« W wyznaniu tem jest wiele zniewalającej szczerości i mógłby się od niego rozpocząć zasadniczy nawet przełom moralny. Cóż, kiedy Grabowski równocześnie niemal marzy o karierze dyplomatycznej, a w liście z 2 lutego 1825 r. znajdujemy taki zastanawiający ustęp: »..Wyobraź sobie, że dotąd miałem jeszcze nadzieję, iż za przyjazdem Nowosilcowa będę mógł się umieścić lub przy nim lub przy Mohrenheimie, nie potrzebowałbym jechać do Petersburga i t. d.« Jakkolwiek nie można zapatrywać ówczesnych ludzi na Nowosilcowa i Mohreima i na służbę »dyplomatyczną« przy nich mierzyć miarą dzisiejszych naszych poglądów — to jednak z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że Grabowski różni się wyraźnie pod tym względem od swoich najbliższych przyjaciół, Goszczyńskiego i Zaleskiego. Trudno sobie wyobrazić, aby oni mogli w takich czasach myśleć o takiej karierze jak Grabowski, którego dezoryentacja i brak kontaktu duchowego z ówczesnym życiem podziemnym objawia się tu dobitnie. W ocenie więc jego stosunku zarówno do robót spiskowych i powstania jak i późniejszej jego działalności politycznej, nie należy tych momentów tracić z oczu, choć znaczną rolę odegrała tu niewątpliwie z natury trzeźwa i chłodna umysłowość Grabowskiego. Przebija się ona wyraźnie i w sposób ogromnie charakterystyczny w pierwszych jego wystąpieniach literackich. W r. 1825 ogłasza Grabowski w czasopiśmie »Astrea«, wychodzącem w Warszawie pod redakcją Franciszka Grzymały, artykuł p. t. »Uwagi nad balladami Stefana Witwickiego, z przyłączeniem uwag ogólnych nad szkołą romantyczną w Polsce«¹⁾. Poddając krytyce bardzo surowej, ale i bardzo słusznej ballady Witwickiego, wypowiedział kilka uwag ogólnych, ciekawych przez swój obiektywizm i spokój w traktowaniu tak drażliwej podówczas sprawy, jak stosunek romantyzmu do klasycyzmu. Dwudziestoletni krytyk oświadczał na wstępie, że nie należy do żadnego »stronnictwa lub bractwa naukowego«, pozbawiony więc jest wszelkich niechęci lub »zazdrości rzemiosłowych«, kładł nacisk na traktowanie poezji jako »wynikłości wyobrażeń, uczuć, obyczajów i stanu oświaty ludów, od których bywa uprawiana« i z tego punktu widzenia historycznego uzasadniał romantyczność w poezji. Następnie dawał bardzo trafną charakterystykę Brodzińskiego, jako połowicznego wprawdzie, ale w każdym razie pierwszego inicjatora nowego kierunku, w słowach pełnych uznania mówił o Mickiewiczu, zastrzegając się tylko przeciwko »brakowi smaku« tego »ucznia szkoły

¹⁾ Jest to stanowczo pierwsza drukowana praca Grabowskiego. Wprawdzie J. Krechowiecki (l. c. str. 11) wspomina o jakimś artykule »o ludowej poezji« umieszczonym w »Bibliotece polskiej« a wiadomość tę powtarza za nim Nehring (»Ż młodych lat B. Zaleskiego«, Bibl. warsz. 1887) — ale artykułu takiego niema w wydanych tomach tego czasopisma.

niemieckiej«, bez zastrzeżeń chwalił styl malowniczy i sugestywność poezji Zaleskiego. Rozumiał potrzebę wprowadzania do poezji pierwiastka nadprzyrodzonego i głęboko ją uzasadniał, protestował jednak silnie przeciwko nadużywaniu czarownic i upiórów, które w balladach Witwickiego święciło prawdziwe orgie. W zakończeniu artykułu nawoływał do zaprzestania kłótni o słowa: klasycyzm i romantycyzm, które »są brzmienia próżne, same przez się nic nie znaczące«. Nową szkołę określał jako »wynikłość długiej kolei wieków i pojęć«, a obronę klasycyzmu jako niedorzeczność, równającą się chęci cofnięcia »wieku daleko już za nami będących wyobrażeń, stanu rzeczy, a nawet uczuć«¹⁾. Do tej samej kwestyi powrócił Grabowski w artykule p. t. »Myśli o literaturze polskiej« ogłoszonym w »Dzienniku warszawskim« z r. 1828²⁾.

Pisał go Grabowski już po wyjeździe z Warszawy, co nastąpiło w lecie 1825 roku. Niebardzo chętnie zapewne wyjeżdżał ze stolicy, z którą łączyło go wspomnienie »szerokiego« życia i w której pozostawić musiał przedmiot swej miłości. Zamiary jego na przyszłość świadczą jednak wymownie, że w wyborze zawodu, a więc określeniu pewnego wyraźnego stosunku osobistego do życia — nie powodował się i dalej żadnymi względami głębszej natury. Oto przyjechawszy na Ukrainę, chciał początkowo wstąpić do wojska. Ponieważ zaś matka była temu przeciwna, więc podjął znowu myśl o karierze dyplomatycznej i postanowił jechać do Petersburga, gdzie wojenny gubernator Milanowicz(?), »rzadki« przyjaciel jego ojca, miał mu dopomóc do umieszczenia się w departamencie spraw zagranicznych. Podróż ta jednak odwlekała się, a tymczasem Grabowski żalił się w listach do Zaleskiego na brak wszelkiej atmosfery umysłowej na Ukrainie, na tych »barbarzyńców, Scytów i Antropophagów«, wśród których zmuszony był przebywać. Jedyną ucieczką stała mu się teraz praca literacka, do której zabrał się z całym zapałem. Zajął się przedewszystkiem żywo najnowszą literaturą rosyjską, z której sprawozdania przysyłał swemu przyjacielowi; pozatem nie zaniedbywał i niwy poetyckiej, jakkolwiek oficjalnie wyrzekł się jej, pisząc do Zaleskiego (8 grudnia 1825), że z poezją zamierza się pożegnać na zawsze. Świadczą o tem umieszczane w ciągu roku 1827 w »Dzienniku warszawskim« »Melodye ukraińskie«, którym brak rzeczywiście rzetelnego natchnienia poetyckiego. Równocześnie zaś pod wpływem lektury Walter-Scotta, zamierzał spróbować swych sił na polu romansu historycznego i w tym samym liście donosił, że zaczął już pisać powieść z czasów klęski warneńskiej, a układał sobie jeszcze inne dwie, mianowicie o Samuelu Zborowskim i »spisku« konfederatów barskich. Nie zaniedbywał jednak i pracy krytycznej, zwłaszcza, że poezya szła mu dosyć opornie, niemniej jak zbieranie pieśni ukraiń-

1) Zob. Wiek XIX. Sto lat myśli polskiej. Tom III str. 269.

2) Zob. poniżej wstęp do wyjątków z tej rozprawy.

skich, do czego się wreszcie zupełnie zniechęcił. Śledził także ruch literacki w Warszawie, jak o tem sądzić możemy z ciekawych uwag, dotyczących »Maryi« Malczewskiego, a zawartych w liście do Zaleskiego z 17 lutego 1826 roku. Nie wzbudziła ona w nim entuzjazmu: »...nie rozumiem -- pisał — jak można upodobać sobie tak dziwną igraszkę rozumu, ażeby pełne energii pomysły i wysłowienia odziewać tą naciągniętą nienaturalnością i psuć wszelki efekt tak dziwaczną ciemnością stylu«. W tym też czasie powstał zapewne omawiany powyżej artykuł »Myśli o lit. polskiej«, jak również tworzyć się musiały pomysły rozpraw, które weszły następnie do 1-go tomu »Literatury i krytyki«.

Przybycie na Ukrainę Goszczyńskiego (w kwietniu 1826 roku), wspólne przebywanie z nim i z Krechowieckim w majątku tego ostatniego w Leszczynówce, wyrwało nieco Grabowskiego z przykrych rozmyślań nad atmosferą umysłową Ukrainy; pełen przedsiębiorczości i energii postanowił obecnie wprowadzić w czyn dawno już żywiony zamiar wydawania Rocznika literackiego, któryby był organem nowej poezji i opierał się głównie na współpracownictwie czterech ukraińskich przyjaciół. Przynajmniej pierwszy rocznik tego wydawnictwa prawie wyłącznie miał być wypełniony ich pracami. Według dochowanego planu miał tam umieścić Grabowski »Rys historii literatury polskiej od czasów przedchrześcijańskich aż do upadku kraju«, recenzję »Pojaty« Bernatowicza, oraz nie oznaczoną dokładniejszym tytułem »powieść ukraińską prozą«. Możemy się domyślać, że artykuł p. t. »Myśli o literaturze polskiej« był właśnie częścią projektowanego tu »Rysu hist. lit. polskiej«. Z ogromnym zapałem donosił Grabowski o tym projekcie Zaleskiemu, prosił go o zdanie w tym względzie i o zajęcie się stroną wydawniczo-księgarską Rocznika. Projekty te jednak nie doczekały się zrealizowania, częściowo z powodu niezbyt entuzjastycznego stanowiska, jakie zajął wobec nich Zaleski, a częściowo także z powodu prawdopodobnych trudności w znalezieniu nakładcy. Wśród takich projektów i zajęć upływało życie Grabowskiego na Ukrainie. Wpływ towarzystwa Goszczyńskiego i Krechowieckiego okazał się bardzo dodatnim, gdyż Grabowski powoli zapominał o swoich marzeniach dyplomatycznych i coraz bardziej oswajał się z myślą pozostania na Ukrainie. »Pocóż mam się włączyć po świecie — pisał w liście z 4 lutego 1827 r. — i szukać cudzych bogów, kiedy mogę mieć kąć własny i spokojny w ziemi rodzinnej, piękny zawód nauk i przed sobą cel wielki i szlachetny na całe życie?« Nie chciał również opuszczać matki, którą bardzo kochał, a ponadto miał zamiar ożenić się. Taki sobie ułożywszy plan dalszego życia, nie ustawał Grabowski w pracy i w pobudzaniu do niej swoich przyjaciół. Donosi więc Zaleskiemu o napisanej jeszcze w Warszawie legendzie z XVI w. p. t. *Wawrzyniec Powodowski*, o 3 częściach powieści słowiańskiej w rodzaju »Atali« Chateaubrianda, o projekcie romansu historycznego z czasów Władysława Łokietka i t. p. Zajmuje

się również historią; jeszcze w r. 1825 zjawiała się w »Bibl. polskiej« recenzja 1-go tomu Historii Narodu Polskiego Naruszewicza, prawdopodobnie pióra Grabowskiego; teraz zaś przygotowuje on sobie materiały do historii Ukrainy, która miała być unieszczona w 2-gim tomie Rocznika literackiego. Nie przerywał również studyów nad literaturą rosyjską, a pilne rozczytywanie się w czasopiśmie rosyjskich dało mu powód do skarg nad stanem czasopiśmiennictwa i krytyki literackiej w Polsce. (List do Zaleskiego z 13 marca 1828 r.). Próbował nawet nawiązać stosunki z »Telegrafem moskiewskim«, a kiedy ukazał się tam artykuł o literaturze polskiej, »oparty na danych, poczerpniętych z pisma »o krytykach i recenzentach warszawskich«, a więc napastujący literaturę polską klasyczną i wystawiający ją w szyderczym świetle« — Grabowski, uważając przedmowę Mickiewicza za »wyborny pocisk polemiki«, ale nie za »dokument historyczny, bezstronny i rzetelny« — napisał artykuł po francusku, w którym stał w obronie historycznego znaczenia klasycyzmu, powołanego w swoim czasie »do czuwania nad zachowaniem języka narodowego, do troskliwości o jego czystość, do pielęgnowania i wykształcenia według istniejących w tym czasie wyobrażeń«¹⁾. Artykuł ten nie został wydrukowany, ale redaktor »Telegrafu«, Uszakow, przyznał Grabowskiemu rację i niebawem przy recenzji »Zamku Kaniowskiego« »złączył oględniejszy i sprawiedliwszy obraz literatury polskiej«. Praca ta powstała prawdopodobnie już po powrocie Grabowskiego z Wiednia, dokąd udał się był w lecie r. 1828 na kurację w towarzystwie Goszczyńskiego. W drodze powrotnej zabawili przez kilka tygodni w Warszawie, i tu Grabowski odświeżał sobie dawne swoje wspomnienia karciane, ale równocześnie podjął na nowo zabiegi w sprawie wydawania czasopisma literackiego. Tym razem układał się jednak nie z Zaleskim, ale z Maurycym Mochnackim, którego świeżo właśnie poznał w Warszawie. Chodziło o pismo w rodzaju »Revue universelle«, gdzieby »każdy dział miał swój cel, swoje przeznaczenie«; a więc miały tam być działy następujące: informacyjny, o tem, »co się myśli i co się robi w Europie«, dalej »Literatury Narodowej«, któryby »zcentralizował prace naszych teoretyków i literatów«, dział literatury zagranicznej t. j. przedewszystkiem tłumaczenia, wreszcie specjalny dział przeznaczony dla poezji. Ale i tym razem sprawa się przewlekła tak, że Grabowski w lecie r. 1830 znowu przybył do Warszawy, w towarzystwie Goszczyńskiego, ażeby wreszcie zamiar swój doprowadzić do skutku. Trafił jednak na czas zupełnie nieodpowiedni do zakładania czasopisma. Zbierali się wprawdzie w jego mieszkaniu wszyscy młodzi literaci dla omówienia tej sprawy, ale w dysputach coraz bardziej przeważać zaczął pierwiastek polityczno-rewolucyjny nad literacko-naukowym. Umysły były podniecone świeżym wybuchem rewolucji w Paryżu, prochy nagromadzone w dostatecznej

¹⁾ Ob. »Kilka wspomnień biograficznych«, »Czas« 1866, Nr. 133.

ilości. Doznał więc Grabowski znowu zawodu w swoich planach wydawniczych, a nawzajem sprawić musiał zawód wszystkim tym, którzy mogli jeszcze liczyć na jego współdziałanie w przygotowywanym dziele. Znając jego usposobienie i rodzaj poglądów, a właściwiej powiedziawszy, brak w danej chwili, wszelkich poglądów politycznych, nie będziemy się dziwili, że stanął w opozycji przeciwko przyszłym Belwederczykom, a wśród tych nieporozumień rozbiły się i układy o pismo. Grabowski wyjechał z Warszawy na kilka miesięcy przed wybuchem powstania. Stosunki jego nie tylko z Mochnackim i Ostrowskim, ale także z Goszczyńskim i Zaleskim musiały znacznie ochłodzić. Udziału w powstaniu oczywiście nie brał. Krechowiecki usprawiedliwia to szybkim upadkiem działań powstańczych na Ukrainie i zapewnia przytem, że Grabowski brał udział we wszystkich przygotowaniach do ruchu na Ukrainie, jakkolwiek wie dobrze o stanowisku, zajętem przez niego w Warszawie.

Nie wiemy nic o tem, jakie wrażenie uczynił na nim wybuch powstania, jego przebieg i upadek. Te lata jego życia przykrywa gruba zasłona. Wiemy tylko, że wtedy napisał »połowę tego dzieła, które w części ogłosił w 1-szym tomie »Literatury i krytyki« pod nazwą »O poezji XIX w.« Przez kilka lat następnych trwa »zawieszenie trudów literackich«. Dopiero w r. 1834 znajdujemy w »Tyg. petersburskim« rozprawę Grabowskiego p. t. »O poezji narodo wej« (przedrukowaną później w 1-szym tomie »Lit. i kryt.«). Sam wybór tego ultrareakcyjnego pisma świadczy dowodnie, że wypadki 1831 r. popchnęły Grabowskiego jeszcze bardziej na prawo i że odsuwał on się ideowo coraz bardziej od swoich przyjaciół młodości, którzy tymczasem dzielili niedolę Emigracyi. W r. 1835 wstąpił Grabowski w związek małżeński z Pauliną Rościszewską i zajął się przygotowywaniem do druku swej »Literatury i krytyki«, której pierwszy tom ukazał się w Wilnie w r. 1837.

Rozgłos i sława, jaką zyskał Grabowski umieszczoną w »Tygod. petersb.« rozprawą »O poezji narodowej« doszły obecnie, po wydaniu »Literatury i krytyki« do szczytu. Stał się on koryfeuszem krytyki literackiej w kraju, wydającym sądy i wyroki bez apelacyi. Wpływały na to zarówno niewątpliwa wartość tego wydawnictwa, jak i warunki i okoliczności, wśród których się pojawiło. Wobec zupełnego odrętwienia piśmiennictwa w kraju, wobec wielkiej szczupłości prasy peryodycznej (którą np. na Litwie i w prowincjach zabranych reprezentował wyłącznie »Tygodnik petersburski«) — mogła »Literatura i krytyka« robić rzeczywiście wrażenie meteora, zjawiającego się na ciemnym niebie ówczesnego ruchu umysłowego w kraju. Tem się też tłómaczy nadmierny wpływ, jaki zyskał Grabowski wśród nielicznego grona pisarzy, działających podówczas na Litwie i Rusi. Z pomiędzy nich najściślej związał się Grabowski z człowiekiem, który miał niebawem odegrać wybitną rolę w literaturze polskiej, smutnie natomiast zapisać się w dziejach apostazyi narodowej. Hr. Henryk

Rzewuski oczarował Grabowskiego odrazu zaletami swego umysłu i talentu. Jeżeli wierzyć Krechowieckiemu, poznał się z nim jeszcze przed wybuchem powstania listopadowego; bliższe jednak stosunki przypadają dopiero na czas popowstaniowy, od chwili zaś zjazdu w Cudnowie w czerwcu r. 1841¹⁾ datuje się epoka ścisłego współpracownictwa w kierunku znanych poglądów Rzewuskiego. Znając dotychczasowe usposobienie polityczne Grabowskiego, mając na uwadze jego »słabość pobłażania dystynkcyi rodu, jaką wyniósł z kosmopolitycznego liceum odeskiego«, (Krechowiecki l. c. str. 26) — nie będziemy się dziwili, że uległ on zupełnie i ślepo urokowi Rzewuskiego, i zaczął używać swego pióra i talentu na bezwzględne popieranie jego zamierzeń. Uwidocznilo się to wyraźnie już w recenzji »Mieszanin obyczajowych«, którą umieścił Grabowski w »Tyg. petersb.« z r. 1841 i 1842. Oświadczał w niej, że »nikt z piszących dzisiaj w naszym języku nie stoi bliżej nademnie opinii religijnych, moralnych i społecznych nowozjawionego pseudonima« — nazywał go »człowiekiem z geniuszem, nauką, rozumem, silną i oświeconą wiarą, z gorliwością istotną o dobro ziomków...« — zachwycał się takimi zdaniem Bejły jak np.: »naród wytrawiony z żywiołów społecznego bytu ma tylko dwa widoki: albo najohydniejszą i martwą dzikość, albo przejście przez podbój, który mu nową przyszłość otworzy...« i t. p.²⁾

Niebawem postanowili przyjaciele rozpocząć szerszą propagandę swoich poglądów. Na zjazdach literackich w Kijowie podczas kontraktów, na których bywali oprócz Grabowskiego i Rzewuskiego również Świdziński, ks. Hołowiński i czasami Kraszewski, ustalono ogólny program działania. Pod niewątpliwym wpływem Rzewuskiego program ten przybrał charakter ultraugodowy; chodziło w nim głównie o ocalenie wiary, języka i obyczajów, ale pod protektoratem Rosyi, wyrzeczenie się wszelkich mrzonek, przeciwdziałanie wpływom Emigracyi i rosnącemu prądowi radykalno-demokratycznemu wśród młodzieży w kraju. Równocześnie powstał w tej grupie ludzi pomysł wydawania własnego organu p. t. »Słowianin«. Zredagowaniem jego programu i staraniami u władz zajął się Grabowski. W tym celu wysłał w r. 1843 do Pisarewa³⁾, szefa biura generał-gubernatora Bibikowa, pismo, w którym przedstawił program »Słowianina«, jako ze wszech miar godny poparcia ze strony rządu. Pismo to wykradzione z kancelaryi generał-gubernatora i rozpowszechnione wśród obywateli przybyłych na kontrakty, wywołało wśród nich łatwo zrozumiałe oburzenie, skutkiem czego Grabowski — jak świadczy Krechowiecki — »w kraju dozna-

¹⁾ Ks. Badeni: »Książd St. Chołoniewski«, Kraków 1889, str. 318.

²⁾ Jeszcze w r. 1841 pisać do Rzewuskiego, apocrozował w słowach przesadnych jego rodzinę, w której »historja i socyalność polska przycho- dzily do samopoznania«.

³⁾ Tak przedstawia sprawę Krechowiecki (l. c. str. 33). Inni biogra- fowie nie wspominają o piśmie do Pisarewa, lecz tylko o liście do Stru- tyńskiego.

wał otwartego niemal prześladowania«. Listu tego do Pisarewa nie znamy. Znamy natomiast inny list, do hr. Juliusza Strutyńskiego, który miał stanowić podobno usprawiedliwienie się i rehabilitację Grabowskiego. W jaki jednak sposób starał się tu Grabowski zrehabilitować i jakim duchem przejęte było całe pismo, niech świadczy o tem następujący znamieny ustęp: »Składam więc naprzód moje wyznania: mniemana historii polskiej samoistność jest zakończona, odtąd być ona tylko może jako członek Rosyi lub Słowiańszczyzny. Patryotyzm więc Polaków zakładam na tem, ażeby być działaczem powolnym i użytecznym w losach wielkiego rosyjskiego państwa... Jedność słowiańska nie może się spełnić, tylko pod patronatem Rosyi... Jedynowładztwo rosyjskie uważam za jedyne i nieodzowne narzędzie. Uważam nadto to jedynowładztwo za talizman potęgi i wyższości północy nad karłowaciejącą i słabnącą coraz Europą i za najtwardszą posadę porządku, spokojności i szczęścia ludów«¹⁾.

Pomimo to wszystko wydawnictwo »Słowianina« do skutku nie doszło. Zawiedziony w ten sposób w nadziejach jakiejś szerszej akcji politycznej, starał się Grabowski piórem i czynem przeciwdziałać przynajmniej tym prądom we własnym społeczeństwie, które uważał za szkodliwe. Działalność jego w tym kierunku zwróciła się przede wszystkim przeciwko »Gwieździe«, czasopismu założonemu dla przeciwdziałania konserwatywno-ugodowym tendencyom »Tygodnika petersburskiego«. Zawziętość Grabowskiego przeciwko młodemu ruchowi radykalnemu, którego organem było to pismo, musiała być wielka, skoro, jak świadczy jeden z redaktorów »Gwiazdy«, Benedykt Dołęga, »znakomity estetyk ze swoim JW. przyjaciąłem, Konstantym Świdzińskim, obsedował nieustannie władzę tysięcznymi skargami na moją publikację, nawet z rąk prawie cenzora wyrывał przepuszczone już przez niego artykuły, tłómaczył je na rosyjski język po swojemu t. j. po jezuicku...«²⁾. Starania grupy Grabowskiego odniosły też rzeczywiście skutek, gdyż w końcu listopada 1850 r. »Gwiazdę« zawieszono.

Co się tyczy działalności literackiej Grabowskiego — to była ona w tych czasach dosyć ożywiona. Należą tu liczne artykuły, zamieszczane w »Tyg. petersb.«, w »Rusałce«, wydawanej przez Aleksandra Grozę, wreszcie w »Athenaeum«, wychodzącym w Wilnie pod redakcją Kraszewskiego. W jednym z nich, a mianowicie w recenzji z powieści Kraszewskiego »Poeta i świat« ujawnił Grabowski głębsze strony swych poglądów katolickich, którymi niemniej silnie był przejęty, jak konserwatyzmem i skrajną ugodowością. W tymże artykule znajdujemy również ciekawe oświetlenie dróg, jakimi szło pojęcie poety i poetyczności. Jest to niemal ostatni artykuł Grabow-

¹⁾ Cyt. w rozprawie M. Rollego: »Żywot polityczny Michała Grabowskiego« Przewodnik nauk. i lit. 1908, str. 704.

²⁾ P. Chmielowski: »Z dziejów, postępu i reakcyi u nas«, »Prawda« książka zbiorowa dla uczczenia A. Świętochowskiego, Lwów 1899, str. 97.

skiego, poruszający kwestye ogólniejsze, wykazujący pewną dążność do syntezy. Dalszy bowiem rozwój jego działalności krytycznej idzie w kierunku przeciwnym, a mianowicie drobiazgowej i szczegółowej, często pedantycznej analizy utworów, jakich dostarczała ówczesna literatura krajowa. Takim zbiorem analiz i roztrząsań jest wydana w r. 1842 w Wilnie, dwutomowa »Korespondencya literacka«. Powstała ona z rzeczywistej korespondencji, jaką Grabowski prowadził z całą rzeszą literatów i poetów, którzy przysyłali mu swoje utwory do oceny, udawali się doń po poradę w różnych kwestyach literackich i t. p. Omawia w nich autor cały szereg publikacji, rozdając na prawo i lewo pochwały i nagany, często bez należytego uzasadnienia, często budząc podziw swoim zachwytem nad dziełami, o których dzisiaj już nikt nie wie. Utworów literatury emigracyjnej omawiać mu nie było wolno; jest jednak rzeczą dziwną i znamioną, że utwory te, które niewątpliwie znać musiał, (wspomina raz o »Nieboskiej Komedyi«) nie pozostawiły na nim jakiegoś trwalszego śladu, nie skłoniły do zastosowania w metodzie krytycznej jakichś szerszych i głębszych kryteriów. Z tego niema ani śladu w tej »Korespondencyi«; niewątpliwe zaś czytanie, spora doza zdrowego rozsądku, pewne ciekawe nawet pomysły i błyski myślowe — giną w coraz bardziej przytłaczającej wszystko gadatliwości, w dość płytkim utylitaryzmie społecznym oraz bardzo nieokreślonych i mglistych kanonach estetycznych.

Równocześnie zajmował się Grabowski w dalszym ciągu dziedziną, która interesowała go już dawno, a mianowicie poezją ludową. Artykuł jego w tej kwestyi umieszczony w »Rubonie« z r. 1845 p. t. »O gminnych ukraińskich podaniach« świadczy, że Grabowski rozumiał dobrze i zdawał sobie sprawę z wartości poezyi ludowej, nawoływał jednak zupełnie słusznie do krytyczności i jakiegoś systemu w zbieraniu pieśni i podań ludowych. Głos ten był bardzo na czasie, zwłaszcza wtedy, gdy już odczuwać się dawało pewne przesycenie »poezją gminną« i bezkrytyczny zachwyt nad wszystkim, »układanie na wysokich szczudłach nawet rzeczy zupełnie maleńkich« Chcąc takiemu stanowi rzeczy zaradzić, podał Grabowski sam w pomienionym artykule parę szczegółów poezyi ludowej ze zbiorów własnych i cudzych, dając równocześnie przykład metody zbierania ich i kolekcjonowania. W tym samym celu podjął obszerniejsze wydawnictwo p. t. »Ukraina dawna i terażniejsza«, Kijów, 1850.

Wśród tylu różnorodnych zajęć znajdował Grabowski jeszcze dosyć czasu na zajęcie się sztuką polską i dosyć fantazyi na pisanie obszernych powieści. W r. 1849 wychodzą w Warszawie jego »Artykuły literackie, krytyczne, artystyczne« jako dalszy ciąg »Literatury i krytyki« oraz »Korespondencyi literackiej«. Pisane również w formie listów, »są to poprostu — jak powiada autor w przedmowie — ślady myśli i praktycznych starań, czy też sztuka nie potrafi się u nas rozwinąć«. W szeregu listów zastanawia się Grabowski nad tą kwestyą, rozbiegając twórczość współczesnych ma-

larzy polskich (głównie Suchodolskiego i Smokowskiego) i podając rozmaite projekty dźwignięcia sztuki polskiej oraz dostarczenia pomocy materialnej artystom polskim.

Pisaniem powieści przeplatał sobie Grabowski działalność literacko publicystyczną. Marzeniem jego było dać literaturze polskiej powieść na wzór Walter-Scotta — jego też naśladuje stale i wytrwale w swych płodach belletrystycznych. Już w r. 1838 wychodzi pierwsza jego powieść (pod pseudonimem Edwarda Tarszy) p. t. *Koliszczyzna i stepy*. Zachęcony powodzeniem, wydaje w dwa lata później 5 tomową »Stannicę hulajpolską«, dalej »Tajkury«, »Pan starosta Zakrzewski«, »Pan starosta Kaniowski« i inne drobniejsze. Największem powodzeniem cieszyła się »Stannica hulajpolska«, w której autor na tle przyrody ukraińskiej, zwyczajów, obyczajów i przesądów ludu ukraińskiego, oraz stosunku Polaków do Kozaczyzny, skreślił dzieje romantyczne Jerzego Mogilańskiego. Wkładał autor i w tą i w inne powieści cały zasób swej wiedzy historyczno-archeologicznej, starał się o bardzo szczegółowe malowanie tła i kolorytu lokalnego, przeplatał opowiadanie legendami i podaniami. Tym sposobem chciał zbliżyć się do Walter-Scottowskiej metody odtwarzania rzeczywistości historycznej. W postaciach jednak i charakterach jego powieści, jak również w przeprowadzaniu akcji znać zasadniczy brak fantazyi i intuicyi twórczej: są to wszystko figury konwencyonalne, bez życia indywidualnego i bez ruchu. Gadatliwość i rozwlekłość Grabowskiego święcą tu tryumfy. Obszerne epizody, wtrącone w bieg akcji, bez żadnego z nią związku — świadczą o bardzo słabym zmyśle kompozycyjnym. Trudno wobec tego nie zgodzić się z opinią Tyszyńskiego, że Grabowski »poświęcenia powieściowego« nie miał. Trudno przyznać im nawet jakieś znaczenie historyczne — bo wszak równocześnie tworzyli na polu powieściopisarstwa Kraszewski i Rzewuski. Pomimo zerwania stosunków z Tygodnikiem petersburskim (nieporozumienia z nim datowały się już od r. 1842) nie zaprzestaje Grabowski swej pracy recenzyjno-sprawozdawczej. Artykuły jego zjawiają się obecnie w latach 1851—1860 bądź w założonym i redagowanym przez Rzewuskiego »Dzienniku Warszawskim«, bądź w konkurującej z nim »Gazecie codziennej«, a również w »Nowinach« lwowskich i w »Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych«. Utrzymane w stylu i metodzie »Korespondencyi literackiej« nie przynoszą już nic, coby mogło rzucić nowe światło na działalność krytyczną Grabowskiego.

O ile jednak w tej dziedzinie trwał na raz obranem stanowisku, o tyle w jego poglądach politycznych dostrzedz można pewną, nie zasadniczą zresztą zmianę. Dopiero teraz zrozumiał, że się w swoich poglądach politycznych co najmniej grubo mylił. »Ze smutkiem i żalem myślę — pisał w r. 1859 — że na drodze, którą uważałem zawsze [za] trudną, ale możliwą, widzę teraz nieprzewyciężone przeszkody i niepodobieństwa, dlatego żadnej z tego nie robię tajemnicy, a jeżeli

doświadczenie może być dla kogo przestrogą, nie sędzę, że opłacone to będzie za drogo zawodami i upokorzeniami całego mojego życia».

Wśród tych upokorzeń, najsilniejszym było chyba upokorzenie, wywołane owym słynnym listem do Pisarewa. I tutaj przyznaje się Grabowski szczerze do popełnionego błędu. »Co do wytłumaczenia mego postępu — pisze w r. 1860 do Strutyńskiego — sędzę, że go może wytłumaczyć całe życie... Jeżeli w ciągłym zaprzętnieniu raz sobie poraziłem głupio, to niech mi to przebaczą«.

Częściowa ta zmiana przekonań politycznych, tycząca się głównie stosunku do rządu, przypada już na początek panowania Aleksandra II, kiedy to Grabowski osiadł w Kijowie, zawierał stosunki z Małorusinami i starał się przeciwdziałać ich rosnącej niechęci ku Polsce. Niebardzo mu się to jednak udawało, a to z powodu zupełnej utraty popularności wśród młodzieży ukraińskiej i polskiej. Niezrażony tem, krząta się Grabowski około założenia Towarzystwa rolniczego i Towarzystwa kredytowego ziemskiego; doprowadza wreszcie do skutku stworzenie Komisji archeologicznej, której kustoszem zostaje Krehowiecki. Dzięki tej wyteżonej i zapobiegliwej pracy odzyskuje powoli dawne poważanie między obywatelstwem, które wybiera go na dyrektora Kijowskiego banku handlowego.

Tymczasem weszła na porządek dzienny kwestya uwłaszczenia włościan. Grabowski, trzeźwo obecnie patrzący na politykę rządu, a stale stojąc na stanowisku zachowawczem, uważa projekty uwłaszczenia za rewolucyę, z którą walka byłaby daremna; jedyny ratunek widzi w indemnizacyi przy pomocy banków włościańskich, przez które szlachta wzięłaby »w swoje ręce sterownictwo wszystkich wewnętrznych krajowych interesów«. O zmienionem, opozycyjnem stanowisku wobec rządu świadczy również wszczęta przez Grabowskiego polemika przeciwko polityce eksterminacyjnej na Rusi, której dał wyraz w artykule, umieszczonym w piśmie moskiewskiem »Parus« (Krehowiecki l. c. str. 46), i w napisanej po francusku, przesłanej ks. Czartoryskiemu a nieogłoszonej drukiem odpowiedzi na artykuł niejakiego Józefowicza, umieszczony w dzienniku »Le Nord,« a występujący przeciwko »uroszczeniom« polskim na Rusi.

W r. 1862 powołał go Wielopolski z Petersburga, gdzie bawił w sprawie zatwierdzenia Tow. rolniczego i kredytowego, do Warszawy, na urzędnika w Komisji oświecenia i wyznań religijnych. W r. 1863, po śmierci Korzeniowskiego, został Grabowski dyrektorem tej Komisji. Umarł 19 listopada 1863 r.

Z wielostronnej spuścizny literackiej Grabowskiego wartość trwałą posiadać będą chyba tylko jego pisma krytyczne z epoki 1825—1837. Już w pierwszych swych wystąpieniach, ujawnia Grabowski rzadkie zalety trzeźwego i zrównoważonego umysłu, znajomość literatury zachodnio-europejskiej w. XIX, przejęcie się poważne nowym prądem romantycznym, co jednak nie przeszkadza mu poszczególnych jego objawów oceniać krytycznie i spokojnie, jak również

z wytrawnego i przemyślanego stanowiska historycznego przyznawać należne znaczenie przebrzmiałym już kierunkom w literaturze. Cechuje go ponadto w tej epoce widoczna i owocna dążność do syntetycznego ujmowania zjawisk literackich, uwypuklania ich na tle całokształtu stosunków społecznych, uzasadniania poszczególnych objawów twórczości obcej czy rodzimej, drogą związku ich z zagadnieniami filozoficznymi i moralnymi. Te zalety i dążności stawiają pierwsze prace Grabowskiego godnie obok współcześnie ogłaszanych artykułów Mochnackiego i dzielnie im sekundują w torowaniu drogi nowym pojęciom twórczości i krytyki. Pragnął Grabowski niewątpliwie, tak samo jak Mochnacki, stać się *świadością* ruchu romantycznego, ukazać mu własne jego oblicze, a może nawet wpłynąć na kierunek jego rozwoju; to też tłumaczył jego genezę i konieczność pojawienia się w danej epoce, analizował poszczególne jego objawy i cechy, wyjaśniał znaczenie i wartość dla kultury polskiej, opierając się w tym względzie głównie na rezultatach współczesnej mu filozofii i krytyki niemieckiej i francuskiej. Przyswoiwszy je sobie, starał się na ich podstawie dać własną teorię piękna i poezji w rozprawie »O poezji XIX w.« (zamieszczonej w I tomie »Literatury i Krytyki«) Zależność jego wywodów od wzorów niemieckich i francuskich jest widoczna, czy są one jednak tylko »odbiciem i przerobieniem części szczególnych z »Kursu literatury« Villemaine'a, dzieła Guizota o Cywilizacji i artykułów w »Edinburgh Review« — jak twierdzi bez przytoczenia dowodów Tyszyński¹⁾ — to pozostaje jeszcze do zbadania.

Pisząc stylem jasnym i przystępnym, jakkolwiek niezawsze poprawnym, nie przeładowując swych rozpraw zbyt niemiernym nagromadzeniem trudnych, skomplikowanych terminów i pojęć filozoficznych, mógł Grabowski łatwiej trafić do szerszych kół społeczeństwa, niż Mochnacki i oddawać tym sposobem wielkie usługi sprawie zrozumienia i odczucia poezji romantycznej. I tak się też działo, temu, między innymi, zawdzięcza Grabowski swą wielką popularność u współczesnych. Z wzrostem tej popularności jednak, w epoce od r. 1838 mniej więcej, zaczęła dokonywać się w jego poglądach ogólnych i metodzie krytycznej pewna ewolucja, polegająca na powolnym zanikaniu tych cech i dążności, które charakteryzowały jego działalność w pierwszym okresie, dochodzeniu natomiast do głosu właściwości i zamiarów odrębnych, pozostających z dawniejszymi w bardzo luźnym związku, a często nawet w sprzeczności. Z przyrodzenia chłodny i trzeźwy umysł Grabowskiego nie pozwalał mu na zrozumienie i odczucie literatury emigracyjnej, równie wrodzone skłonności zachowawcze bronią go od przejęcia się ideami polityczno-społecznymi Emigracji; chłód zaczyna wyradzać się w obojętność, brak wrażliwości na przejawy tej drugiej epoki romantyzmu polskiego. Podstawy stanowiska

¹⁾ Rozbiory i sprawozdania, Petersburg 1854, t. III, str. 318.

historycznego, z którego dawniej tak słusznie oceniał prądy literackie, zaczynają się chwiać, a miejsce ich zajmują dość ciasne oryentacje moralizatorsko-utylitarne. Ujawnia się to bardzo dobitnie w obszernej rozprawie o »Literaturze szalonej«, w której Grabowski, przesadzony przesadą i jaskrawością niektórych objawów literatury francuskiej współczesnej, potępia ją całą w czambuł — nie umiając w niej odróżnić wartości rzeczywistych i trwałych od nieistotnych i przemijających. Dążności syntetyczne i ambicje oparcia krytyki polskiej na dorobku filozofii zachodnio-europejskiej ustępują miejsca coraz bardziej rozwijającemu się zamięłowaniu do drobiazgowej, pedantycznej analizy i przystosowywania kryteriów krytycznych do rodzaju i zakresu ówczesnej literatury krajowej. Osobiste uprzedzenia i niechęci zaczynają wywierać wpływ widoczny na sądy krytyka, jak o tem świadczy, między innymi, zasadniczo zmieniony w tym czasie stosunek do Kraszewskiego i jego twórczości. Nawet styl i język Grabowskiego ulega niekorzystnej zmianie, staje się gawędziarskim, rozwlekłym i bezbarwnym.

Na ten zasadniczy zwrot w działalności Grabowskiego złożyły się przyczyny różnorodne: zarówno niezbyt silny charakter, poddający się łatwo wpływom otoczenia (Rzewuski), jak pozbawienie towarzystwa przyjaciół młodości, które działało nań pobudzająco, jak wreszcie okoliczności i warunki, wśród których wypadło mu kontynuować swą działalność krytyczno-literacką i polityczno-społeczną.

Co do jego poglądów politycznych, to nie należy oceniać ich zbyt surowo, mając na uwadze, że obłąd, któremu uległ Grabowski, był wówczas chorobą niemal ogólną, jakkolwiek przemijającą. Wychowanie jego i edukacja nie uczyniły nic albo bardzo mało, żeby go od niej uchronić, nie dziw więc, że jej uległ w stopniu silniejszym, niż inni. Cenić natomiast potrzeba szczerłość, z jaką się wypowiadał i z jaką się potem do popełnionych błędów przyznawał. Nic również nie uprawnia do posądzania go o złą wolę lub chęć zrobienia karyery. W poglądach i działalności społecznej opierał się Grabowski na zasadach konserwatyzmu i katolicyzmu. Sam szczerze religijny, umiał w uzasadnieniach potrzeby religii i jej znaczenia dla życia duchowego ludzkości, zdobywać się na akcenty głębsze, jak o tem świadczy kilka ustępów z zamieszczonej poniżej rozprawy o powieści Kraszewskiego »Poeta i świat«. Naogół jednak katolicyzm Grabowskiego nie ma w sobie nic z mistycyzmu i zachwycenia, nic z apostołstwa czy reformatorstwa, jest dlań — jak sam powiada — »prawem a nie orężem«.

W pierwszej epoce swego życia związany ściśle z młodymi, wyruszającymi w bój przeciw klasycyzmowi, oddzielony od nich wybuchem powstania, pozostawiony, po upadku tegoż, w warunkach ciężkich i mogących zniechęcić zupełnie do jakiejkolwiek działalności — nie opuścił Grabowski rąk, ale jął się pracy na ziemi, opuszczonej przez najlepszych jej synów. Można się nie zgadzać z ideałami i celami, jakie stawiał tej pracy Grabowski, można mieć wątpliwości co

do dróg, jakimi do nich zdązał — nie można jednak zaprzeczyć, że pracował wszechstronnie, z wytężeniem, wytrwale, niezrażony przeciwnościami i przeszkodami, cierpliwie znosząc dotkliwie przykrości, a nawet utratę wpływu i znaczenia wśród własnego społeczeństwa. Jeżeli w czasach po powstaniu listopadowem nie zamarło zupełnie życie duchowe i społeczne na ziemiach polskich, jeżeli wychodziły jakieś książki, drukowały się jakieś czasopisma, jeżeli nie ustał zupełnie ruch umysłowy i zainteresowanie się sprawami ogólniejszej natury, jeżeli powstawały nawet pewne instytucje o charakterze społecznym — to jest w tem wielka część zasług Michała Grabowskiego.

BIBLIOGRAFIA.

I. a) Pisma krytyczne: »Uwagi nad balladami Stefana Witwickiego, z przyłączeniem uwag ogólnych nad szkołą romantyczną w Polsce« (»Astrea« 1825). »Myśli o literaturze polskiej« (Tamże 1828). »O poezji narodowej« (»Tygodnik petersburski« 1834, przedrukowane w »Literaturze i krytyce« t. I, str. 78—113). »Literatura i krytyka«, Tom I. Wilno 1837. T. II 1838, T. III i IV 1840 r. O »Mieszaniach obyczajowych« Jarosza Bejły. (»Tygodnik petersburski« 1841—1842). Tamże inne drobne artykuły. Artykuły w »Rusałce« Al. Grozy (1838—1842) i w »Pielgrzymie« Ziemięckiej. »Świat i poeta« przez J. I. Kraszewskiego (»Athenaeum« 1841). »Korespondencya literacka«, 2 tomy, Wilno 1842—1843. »O gminnych ukraińskich podaniach« (»Rubon« 1845). »Do pana Aleksandra Grozy« (tamże). »Pamiętniki domowe«, Warszawa 1845 (obejmują Pamiętniki Wacława Borejki, Kazimierza Micowskiego i inne). Grabowski Michał, Przeździecki Al. i Malinowski. »Źródła do dziejów polskich«. Tom I i II. Wilno 1843—1844. Grabowski Michał, Świdziński K. i Szoduar(?): »Pamiętniki«, Kijów, 1845. »Artykuły literackie, krytyczne i artystyczne«. Warszawa 1849. »Ukraina dawna i terażniejsza«. Tom I. »O zabytkach najgłębszej starożytności«. Kijów, 1850. »Pamiętniki o literaturze polskiej« (»Dziennik warszawski« 1851). Tamże w latach 1851—1855 i inne artykuły. »Listy o literaturze« (»Gazeta codzienna« 1854 r. O Kaczkowskim, Ign. Chodźce i innych). Artykuły w »Kronice wiadomości krajowych i zagranicznych« 1856—1860. »Graf Genrich Rzewuskij« (po rosyjsku) Moskwa 1858. »Zamietki na statiu: Otwiet Poliaka russkim publicistam po woprosu o Litwie i Zapadnych guberniach« (»Z Kijewskiego Telegrafu«) Kijew 1862.

b) Poezye: »Melodye ukraińskie« (»Dziennik warszawski« 1827).

c) Powieści (pod pseudonimem Edwarda Tarszy): »Koliszczyzna i stepy«, Wilno 1838 (toż p. t. »Opowiadania Kurenego«. Żytomierz 1860. Przekład czeski p. t. Koliština i stepi. Zpominki z dawného života ukrajnskeho. Praha 1851). »Stannica Hulajpolska« T. I—V. Wilno

1840—1841. (Toż Kraków 1900—1901, nakładem »Nowej Reformy«). »Obleżenie Płocka« (»Orędownik naukowy« poznański 1843). »Tajkury« T. I—IV. Wilno 1845—1846. »Pan Starosta Zakrzewski« (»Pamiętnik umysłowy« 1845, Wilno i osobno Kijów 1860). — »Złotomierz« (Dziennik warszawski 1851). »Pan Starosta Kaniowski«, Warszawa 1856. »Zamieć w stepach«. Petersburg 1862. Poza tem urywek powieściowy »Stypa« (»Rubon« 1843).

II. Prace o życiu i pismach Grabowskiego. J. Krechowiecki: »Wiadomość o życiu i pismach M. G.« Kraków 1868. (Odbitka z »Czasu«). Anonim: »Kilka wspomnień biograficznych«. »Czas« 1866, Nr. 121 i n. Chmielowski: »G. M.« Wielka Encyklopedia powszechna illustr. t. XXV. Tenże: »Dzieje krytyki literackiej«, Warszawa 1902. Tadeusz Grabowski: »M. G. jego pisma krytyczne i pojęcia polityczne«. (Odbitka z »Przełądu polskiego« 1900) Kraków 1901. (Tegoż art. o Grab. w »Albumie sławnych Polaków« t. II). M. Rolle: »Żywot polityczny M. G.« Przewodnik naukowy i lit. 1908. Wł. Jabłonowski: »Z korespondencji M. G.« Tyg. ill. 1902, Nr. 41—44. Tyszyński: »Rozbiory i krytyki«, Petersburg 1854. T. III. (O »Stannicy Hulajpolskiej«). Tenże: »Dwaj ostatni krytycy w Polsce« (Tyg. Petersb. 1837. Przedruk w »Pismach krytycznych« t. I. Kraków-Petersburg 1904). Kraszewski: O »Literaturze i krytyce«, Tyg. petersb. 1839. Pośrednio o Grabowskim traktują: Nehring: »Z młodych lat Bohdana Zaleskiego«, Bibl. warsz. 1887. Z. Wasilewski: »Narodziny poety romantyka«, Ateneum 1895 (toż w książce »Od romantyków do Kasprowicza«, Lwów 1907). Tenże: »Między kolegami z Humania«. Księga pamiątkowa na uczczenie setnej rocznicy urodzin A. Mickiewicza t. I. Warszawa 1899. Chmielowski: »Z dziejów postępu i reakcyi u nas«. »Prawda«. Książka zbiorowa dla uczczenia 25 letniej działalności A. Świętochowskiego, Lwów-Petersburg 1899. Tenże: »Józef Ignacy Kraszewski«, Warszawa 1888. Tenże: Henryk Rzewuski (»Nasi powieściopisarze« Kraków 1887). Dr. Antoni J.: »J. I. Kraszewski i ks. St. Chołoniewski«, Lwów 1878. Rawita-Gawroński: »Rok 1863 na Rusi«, Lwów 1903. Tretiak: »Bohdan Zaleski«, Kraków 1911. Ks. St. Chołoniewski: »Obrazy z galeryi życia mego« Kraków 1890. Tad. Bobrowski »Pamiętniki« Lwów 1900 (t. II-gi).

III. Listy Grabowskiego: a) do A. Grabianki (»Kronika rodzinna« 1884). b) do G. Puzyniny (Tamże 1891). c) do B. Zaleskiego (Tyg. illustr. 1890 i w dziele Tretiaka o Zaleskim). d) do Kirkora (Księga pamiątkowa Mick. t. I). e) do Ziemięckiej (w artykule Chmielowskiego »Z dziejów Pielgrzyma« — »Charitas« 1894). Pozatem znajdują się wyjątki z listów G. w wyżej wymienionych rozprawach Wł. Jabłonowskiego, M. Rollego, i Wł. Nehringa.

A) Myśli o literaturze polskiej.

(Dziennik warszawski, maj 1828 r. Nr. 36, str. 107—161).

Jest to pierwsza na większą skalę zakrojona praca Grabowskiego, poświęcona ogólnemu przeglądowi literatury europejskiej i polskiej, oraz najważniejszym zagadnieniom twórczości i krytyki. Stoi tu Grabowski zupełnie na stanowisku nowoczesnym, skodyfikowanym przez panią de Staël, Herdera i Schległów. Zaczyna od skarg, że krytyka u nas nie zdążyła za postępem literatury, coraz piękniej rozwijającej się (»Grażyna«, »Dziady«, »Marya«, »Sonety Krymskie«). Stąd chaos, brak stanowisk i zasad, fałszywe zdania, krążące o literaturze nowszej, o »romantyczności«. Dalej zwraca uwagę na wielki przełom, jaki dokonał się w literaturze europejskiej. »Poeta-fantasmagoryk Goethe, poeta-filozof Schiller — powiada — ...dowiedli, że każdy wiek ma swoją poezją, wynikłość potrzeb i ducha czasu«. Zaznacza również wielką doniosłość prac p. de Staël, Sismondi'ego i W. A. Schlegla, który »dał teorię romantyczną«. Takie samo zadanie mają Polacy wobec swojej literatury. »Chcemy, aby nasi nowi poeci mówili nam w duchu narodowym o dziejach domowych, o uczuciach jeszcze żywych w sercach i pojęciach przyrodniczych« (str. 111). Wielkie nadzieje pokłada w kursie literatury Brodzińskiego i w »pełnych zalety pismach« Borowskiego.

Poniżej przytaczamy dwa wyjątki z tego artykułu, w których podane jest niejako wyznanie wiary literackiej Grabowskiego, jego poglądy na poezję jako twórczość, kreację, a nie naśladowanie natury, na krytykę, klasycyzm, jego zasługi i braki, wreszcie na niebezpieczeństwa, grożące romantyzmowi polskiemu.

II. Myśli estetyczne. Widok historii literatury.

838) *Str. 127—132.* W naturze, gdzie się wszystko stopniuje, wszystko wiąże, gdzie łańcuch stworzeń od mniej doskonałego do coraz doskonalszego postępuje, — człowiek kończy ten zadziwiający porządek. Doskonałością składu organów, pięknnością, zupełnością, on trzyma pierwsze w naturze fizycznej miejsce; lecz duszą swoją on zupełnie do niej nie należy. On ma pojęcia, same potrzeby, które zdradzają wyższe pochodzenie, wskazują inne przeznaczenie jego. Tą częścią swojej istności on żyje w świecie niematerialnym. Tak, obywatel dwóch światów, do obydwóch dwiema różnymi częściami swej należący natury, co przyjmuje w jednym, wykonywa w drugim.

Człowiek na tej ziemi, gdzie się zagadka jego istnienia nie rozstrzyga, czuje nieraz nadmiar życia, przepelnienie uczuć bez-

celnych; żądze jego są olbrzymie w porównaniu z małością celów i ze sposobami ich osiągnięcia: miłość, entuzjazm, tkliwość, tęsknota, rodzą się nieprzygotowane w jego łonie i budzą w niem drżenia tem żywsze, im mniej zrozumiane. On chce przelać nadmiar wrażeń, które odbiera; dusza jego szuka, coby mogło jej odpowiedzieć, i nie znajduje nic, coby było tutaj jednej z nią natury. Przedmioty jej sympatyj są w innym świecie, z którego i ona pochodzi; więc się zwraca, zagłębia sama w sobie, chce znaleźć w kontemplacji własnych wrażeń ideał, którego w materialnym nie było świecie; — i tak w tem uczuciu niezaspokojonych dotąd życzeń już się odkrywa i źródło i potrzeba sztuk pięknych.

Lecz też dusza człowieka, która uczuła tę żądzę, tę potrzebę sympatyzowania z istotami jednę z sobą natury, uczuwa nareszcie, iż ona może im zadość uczynić. W niej jest coś, co mówi: iż ona wrażenia swoje tajemne może wydobyć z łona i do zewnętrznej natury przenieść; że jej myśl może także kształt oblec; że w niej jest część tej siły twórczej, która świat ten wyprowadziła z niczego; że może także pomysł duchowny zamknąć w dotykalne formy i utworzyć świat swój, gdzie wszystko tylko będzie dla niej i jej celem żyło, jej uczuciami sympatyzowało, jej wyrażało pojęcia. Tak, lecz ciemno, objawia się pierwsza siła inspiracji; tak się wykrywa siła twórcza geniuszu artysty.

Już człowiek uczuł w sobie wzruszenie poezji i siłę inspiracji, lecz jakże ją wyda? On wstępuje w krąg natury fizycznej, której jest także obywatelem; i to, co pojął niematerialnie, wydaje przez emblemmata materialnej natury. On zawiera w sobie dwa principia i utwór jego także musi zdradzać dwa początki. To, co było w jego duszy, on wydał na wierzch, i podobne wzruszenia obudził w sercach współczujących (liryk); lub z form zewnętrznej natury, która oczy jego uderza, utworzył nową kombinację podług ideału swej duszy, gdzie wszystko także żyje, sympatyzuje, lub się nawzajem odpycha (poeta epiczny). I oto już powstał kunsztmistrz, a stosownie do tego, w jakie kształty obleka swe wyjawiane wzruszenie, to poeta, rzeźbiarz, malarz lub muzyk.

W łańcuchu wszystkich sztuk pięknych poezja trzyma

pierwsze miejsce. Ona bowiem najbliższej stanęła swego początku, najczyściej oddała swą inspiracyą; ideal jej jest najrozciąglejszy, siła twórcza najobfitsza. Kiedy inne sztuki piękne musiały ograniczyć zakres swych działań, państwo poezyi zostało zawsze jak myśl ludzka rozległe. Poeta mógł swoje umysłowe kreacje ożywić kolorem, podnieść harmonią, obdarzyć mową, ruchem, całem życiem namiętności. Świat, który on tworzył, mógł być niemniej żyjący i rozmaity, jak ten, z którego brał pojedyncze kształty i idealną całość. Ideal jego tworzył się skończony w jego duszy; dosyć mu było wywieść go stamtąd w czystości, żeby dosięgnął szczytu sztuki. Kiedy pierwszy człowiek otworzył oczy ze snu nicości i ujrzał około siebie cuda natury, a wszedłszy w siebie, zadumiał się nad istnością swoją, której nie pojmował początku ni celu, — ten podziw, ta religijna trwoga, ta niewiadomość, której nic zaspokoić nie mogło, były pierwszym uczuciem poezyi; lecz kiedy, otworzywszy usta, nazwał słońce, rzeki i drzewa, każde swoim imieniem, — te słowa były najdoskonalszą poezyą. Kiedy jeden z pisarzy tegoczesnych chciał wydać gorzkie przesycenie wiadomości ludzkich, i ten stan umysłu objawił mu się w kształtach dziwnych, rozmaitych, a jednak harmonizujących z sobą, w obrazach sprzecznych nieba i ziemi, cnoty i występku, wiadomości i zabobonów, w sercach wzniosłych i gminnych, w malowidłach fantasmagorycznych i codziennych, powiązanych z sobą tylko jedną i smutną myślą, bujającą nad całym tym różnorodnym chaosem: — świat ujrzał jedną z największych kreacyi poetycznych: Fausta Goetego. Tak w najdalszych od siebie epokach historii człowieka tworzenie się ideału jest też same. W kilku słowach, jak w całym utworze, gdzie wszystkie części odpowiadają sobie, zarówno silnie może się piętnować uczucie piękności, pojęte w głębi duszy, wydane w formach zewnętrznej natury; w jednym jak w drugim razie widzimy skończoność i doskonałość; w jednym jak w drugim razie zarówno się dziwimy najważniejszemu fenomenowi umysłowej historii człowieka: nieśmiertelnej duszy ludzkiej, upłodnionej twórczą siłą geniuszu.

Tak więc, poeta nie naśladuje materialnej natury, on tylko przez jej zmysłowe symbola intelektualne swoje pojęcia wy-

raża; on jej nie naśladowuje, bo wzory jego kreacyi są tylko w jego duszy; lecz, przywiązany do ziemi częścią fizyczną swojej istności, on musi na niej szukać znajomych kształtów, które imiby odziane jego myśli mogły innym komunikować wrażenia według jego intencji. Dlatego też, kiedy inne sztuki piękne mogą mieć formy stałe i niezmienne, poezya ich mieć nie może, nie odstąpiwszy zupełnie od swego źródła, in spiracyi swobodnej. Bo lubo jej ideał zostaje zawsze jeden i ten samy; jednakże głównym środkiem jej sił praktycznych będąc myśl ciągle się kształcąca, zapatrywanie się na naturę tak różne z różnych punktów towarzyskiego ukształcenia, formy poufałe poecie, któremi swoje kreacje odziewa, ona musi być wolną i nieuległą żadnym jednostronnym prawidłom w wybieraniu sposobów, któremi mówi do imaginacyi i czucia, ona musi postępować razem ze stopniem oświecenia, kształceniem się charakterów, całym bytem ludów, u których powstaje, przebywa wszystkie epoki towarzyskiej cywilizacyi, przybiera wszystkie barwy miejscowości, i zostając zawsze jedna w swoim początku — w wydaniu swego ideału może ulegać tylu odmianom, ile jest modyfikacyi myśli, tyle przybierać kształtów, ile może być form, poufałych poecie. Tą uwagą objaśnia się cała historia literatury narodów.

Następnie daje Grabowski charakterystykę poezyi wschodniej, hebrajskiej, greckiej, rzymskiej i średniowiecznej, przyczem Nibelungi nazywa »poematem romantycznym« a Szekspira określa jako pisarza, »któremu się natura w poufałych objawieniach jako ulubieńcowi swemu pojmować dawała« (str. 142). Przegląd poezyi polskiej jest dość powierzchowny i chaotyczny. Charakterystyka literatury pseudoklasyecznej zawiera taki znamieny ustęp: »To skierowanie (literatury) jakkolwiek mało sprzyjało rozwinięciu się sztuki, z drugiej strony było pomyślnem dla ogólnego postępu myśli; i trzeba powiedzieć, iż tylko tym szczeblem mogliśmy się wznieść na to stanowisko, na którym dzisiaj jesteśmy«. W rezultacie widzi Grabowski w historii literatury dwa wielkie działy: »literatury starożytne i literatury nowej chrześcijańskiej Europy. W tych ostatnich trzy następne po sobie epoki: literatury romantyczne, w obyczajach, wyobrażeniach każdego i wspólnej cywilizacyi chrześcijańskiej początek biorące, do końca XVI w.; literatury XVII i XVIII wieku nowożytne, klasyczne, towarzyskie, naśladownicze; nakoniec nowe literatury XIX wieku« (str. 151).

839) *Str. 152—161.* Teorya wyjaśnia i historia sztuki wspiera: iż poezya nigdzie nie kwitnie zdrowa i samotwórcza, nie będąc hodowaną na gruncie codziennych uczuć, wspomnień i wyobrażeń, nie harmonizując z ogółem bytu narodowego, nie żywiona swobodną inspiracją; zostawmy więc jej wolne ruchy, nie narzucajmy jej systematów według upodobania, ona sama wynajdzie ton, który jej przystoi, i sprężyny, które właśnie będzie czas i miejsce poruszyć: to się nazywa poezją wieku.

Klasyfikowanie i prawidła tej tak nazywanej sztuki poetycznej zostawmy tym, którzy (w tym wieku, gdzie się tyle dróg otwarło poszukiwaniom i ciekawości człowieka) mają jeszcze czas do tracenia na dystynkcyach szkolnych, — tym nareszcie, którym mechanizm sztuki może się zdać na co; pedanckie przyjęcie nie powinno spotykać płody sztuk pięknych w obiegu towarzyskim. Nie mając innego zamiaru, jak nasłuchać się utworami sztuki, przyjmujmyż jej dary w sposób liberalniejszy. Radźmy się tylko uczucia i wrażenia, które odbieramy w sądzie, jaki o nich dać mamy. Mniej dbali o niewczesne teraz wyroki szkoły, to co będzie mówić do serca, co potrafi strunę szlachetną i wielką duszy, bez wahania się miejmy za dobre i piękne; i nie omylimy się: bo przeznaczenie sztuk pięknych jest właśnie mówić do serca, rozwijać i ćwiczyć władze i pojęcia duszy. Jakiegokolwiek kształty oblecze sztuka, jeżeli jej przewodnikiem będzie geniusz, przyjmujmy ją jako niebieskiego gościa, który nam niesie orzeźwienie i ochłodę, część woni i światła swojej wysokiej sfery w nasze niskie, powszednie życie.

Fałszywy smak wierszopisarstwa, z którego się ledwie otrząsamy, i gdzie wszystko prawie było w oderwanych sentencyach i antytezach, wraził nam złe przyzwyczajenie: i teraz jeszcze, mówiąc o płodach nowych naszych poetów, wybieramy z nich pojedyncze miejsca, i te, bez względu na całość, ganimy lub chwalamy, żalimy się na jakieś nierówności lub gniewamy, że niektóre szczegóły nie są tak oddane, jak być powinny. Takowy sąd o sztukach pięknych jest zupełnie błędny i niesprawiedliwy. Zalety lub wady szczegółów w kompozycyi są bardzo względne, one zależą od tego, jak harmoni-

zują z całością; dlatego ganić je lub chwalić oderwane jest za równo niesłusznie. Poezja jest kreacją. Szukajmy więc w niej tej pierwszej myśli, tego zarodu inspiracji, którego cała kompozycja jest tylko rozwinięciem: poeta, tworząc swoje dzieło, ma ideał swojej kreacji w duszy; wtedy on odżywia je kolorytem i formami według swojej intencji; do tej pierwszej myśli, nie do czyichś dowolnych żądań, ma stosować wszystkie części obrazu. Co na pierwszy rzut oka w całości lub częściach może się] komu wydać nierównością i dysharmonią, bywa nie-raz koniecznym do nadania utworowi kształtów, w jakich go chciał widzieć poeta. Kto myśli, iż *Dziady* Mickiewicza mógłby według innego przetworzyć planu, lub z *Maryi* Malczewskiego jedne poodtrącać, drugie przerobić miejsca, a przez to i *Dziady* i *Maryę* zrobić lepszymi, — daje dowód, iż nie rozumie, co to jest poezja, piętno pierwotne kreacji, co to jest indywidualność utworów sztuki. Poznać błąd tej częściowej krytyki jest bardzo ważnym dla chodu naszej literatury. Zróbmy krok w tem jeszcze: przestańmy uważać poezję jako zbiór sentencji, wnieśmy się do rozumienia ogółu, do pojmwania całości kompozycji: wtedy sztuka z swoim posagiem rozmaitości, życia i prawdy, odkryje wdzięki, da uciechy i nasłódzenia, których się, trwając w tym guście deklamacji i tirad, ani domyślamy teraz.

Historja poezji (nawet tak, jakeśmy jej ciąg przejrzeni), pokazuje nam, iż jedyną epoką, którąby nazwać można klasyczną, był wiek poezji greckiej, a romantyczną tej poezji, która kwitnęła w średnich wiekach Europy. Teraz więc nazwiska klasyczności i romantyczności używane są mylnie, i z takowego mylnego zastosowania mylniejsze jeszcze wynikają skutki.

Myśleć, jak to u nas w niektórych utrzymywano pismach, iż nowa poezja bierze początek w obudzonych wspomnieniach i cofnięciu się ku przeszłości, wiekom rycerskim i feudalizmowi, jest rzeczą fałszywą. Kilka przykładów uwiodło w to rozumienie opaczne; lecz jest to brać szczegółowe zdarzenia za cały systemat, którego niema. Poeci niemieccy, zastawszy swoją literaturę leniwo zdążającą za cudzemi wzorami, upadłą i martwą, uczuli, że jej potrzeba bujniejszego zarodu życia, niż to jałowe nasładownictwo, którem się dotąd żywiła. Tego zarodu

szukali w zabytkach dawnych narodowych poezyi i wspomnieniach wieków rycerskich, które były przeszłością ich historii: oni zrobili to samo, co u nas J. B. Zaleski, który tony dum ukraińskich, kolory pieśni słowiańskich i figury krajowych dziejów zaczął przyswajać naszej poezyi. Tak Goethe pisał swego Gotfreda z Berlichingenu; Herder puszczał w obieg (*rendait populaires*) swoje ballady, a te nie były tam przywożone, tak jak u nas, one były oddawna znajome, jako gminne poemata niemieckiego ludu: i poezya oblekała wyłączną fizyognomię i charakter, które i musiały mieć w sobie coś feudalnego i gotyckiego, piętno ich rodu i historii. Te rodzinne, czyste źródło orzeźwiło literaturę niemiecką, że odtąd bujna i zdrowa, mogła się rozwijać swobodnie i osiągnąć to wysokie stanowisko, które teraz zajmuje. Dziś już sami poeci niemieccy, lubo istotnie winni rewolucyę swojej literatury balladom i wspomnieniom wieków feudalności, dalecy są jednak mniemać, iż poezya, którą romantyczną nazywają, nie powinna za te szranki wychodzić. Piętno nowej poezyi nie jest w jej przedmiocie, ono jest raczej w sposobie uważania tego przedmiotu. Nam więc dzisiaj szukać romantyczności w naśladowaniu miejscowych uczuć niemieckiej literatury, w poniewolnem nakręcaniu do naszych obyczajów obcych nam zwyczajów feudalnych, w tem nawodnieniu ballad, jest naprzód rzeczą niewczesną, potem błędem. Mickiewicz to uczuł i porzucił swoje ballady¹⁾, jakkolwiek ich powodzenie mogło go z prawdziwej zbić drogi. Z przykładu Niemców uczmy się tylko hodować poezyę na własnym gruncie, jeżeli chcemy, żeby stale i swobodnie zakwitła. My mamy także przeszłość i wspomnienia, które dla nas będą tem, czem jest dla Niemców rząd feudalny i instytucye kawalerskie. Zresztą nie mieszajmy koniecznie romantyczności z wyobrażeniami jakiegoś gotycyzmu. Naszym poetom nie cofać się do nieoświecenia dawnych wieków, im raczej trzeba wszystkie usiłowania łożyć, żeby się wznieść i utrzymać na wysokiem stanowisku dzisiejszem. Te czasy i kształty tylko do nich należą, jak i cała puścizna prze-

¹⁾ My możemy mieć także rodzaj poezyi gminnej, który odpowie za granicznym balladom, o czem w dalszym ciągu tych uwag powiemy, te bowiem, które mamy, zbyt trącą cudzoziemczyzną, aby się mogły unarodowić. Legendy już są lepsze. (Przyp. Aut.)

szłości jest własnością myśli każdego oświeconego człowieka. Tego nie można dosyć powtarzać: Poezya, jakiej potrzebujemy, poezya, którą romantyczną nazywamy, jest wynikiem kultury Europy w dzisiejszym stanie, bez względu, co dało pierwszy popęd zdeklarowaniu się nowej reformy literatur. Childe-Harold Bajrona, liryczne poezye Szillera, Dziady Mickiewicza, nie mają w sobie nic gotyckiego, a jednak są arcydziełami nowej poezyi.

Klasycy w podobny błąd wpadają, każąc swoje wywie-
trzałe teorye, lecz w nierównie więcej oburzający jakąś niesprawiedliwą i niczem nieusprawiedliwioną dumą i zarozumia-
łością. Z tyłu [sic!] naśladować naśladowniczą literaturę francuską nie daje żadnego prawa pogardzać usiłowaniami (jakieby te nie były) młodych pisarzy, którzy chcą dać narodowej poezyi byt własny i niepożyczany. Zresztą, co to jest być teraz właściwie klasykiem? prawdziwie nie rozumiem! Pojmujemy, iż formy greckie mogą się podobać, iż poeta może lubić wskrzesić te formy skulpturyczne, piękne swoją harmonijną całością i starożytną prostotą. Tak pojmował je Goethe, kiedy nam dał jedyny może utwór klasyczny w nowej Europie Ifigenią w Taurydzie. Nasi klasycy niech nam podobną zrobią przysługę. W tym wieku tolerancyi gustów, owszem, kiedy wszystkie rozrody płodów umysłu ludzkiego zyskały równe prawo do uwagi i powszechnego interesu, my ciekawi będziemy widzieć między nami wskrzeszony duch starożytnej sztuki, i te formy proste i wspaniałe poezyi Homera i Sofoklesa; lecz jeżeli zamiast tego oni będą nam tylko dawać, jak dotąd, swoje z drugiej ręki pseudo-klasyczne kompozycye, cały duch sztuki zakładać na zachowaniu jakichś dowolnych prawideł, i z namysłu prawie ociągając się za postępem wieku¹⁾, to nie zwodźmy się nazwiskiem kla-

¹⁾ Jeden z takowych naszych klasyków nie wahał się powiedzieć na publicznej prelekyi, że takie tragedye, jak Szillera, może każdy student napisać. Na to nie potrzeba komentarza. Jest między śmiesznościami natury ludzkiej, że o niczem tak chętnie nie mówimy z pogardą, jak o tem, czego nie rozumiemy. — Drugi znowu z tych wielkich (swojem własnem zdaniem) pisarzy, oświadczył jeszcze wyraźniej swój wstręt ku wszelkim postępom wieku i sztuki. Mówią, iż on się przechwalał, że od czasu, kiedy w szkołach uczuł się zdolnym rozumieć Horacyusza, już nie otwiera żad-

syków, które przybierają: to nie są klasycy, to są tylko źli poeci.

Te ostatnie myśli resumuję. Nową, taką, jak się już zdeklarowała, poezję zakładajmy jedynie w jej duchu i wysokiej inspiracyi; na formy, które przybiera, obojętni być możemy. Goethe, prawdziwy Proteusz poezyi, tą różnaitością kształtów, pod któremi objawia swój nieporównany geniusz, dobrze tłumaczy swoją pogardę i małą wagę, którą potrzeba przywiązywać do zewnętrznych form sztuki.

Nie zwiedzeni pretensyami klasyków, nie bierzmy z innej strony mylnego kierunku, który nam nazwisko romantyczności dać może.

To nazwisko dane teraz nowej szkole jest błędne; lepiejby było zupełnie go zaniechać. Mając Brodzińskiego, Mickiewicza, Malczewskiego, mamy już nową szkołę w rzeczy (*de fait*); o nazwisko mniej być możemy troskliwi. Nigdy poezya w wieku, w którym kwitnęła, nie miała wyłącznego nazwiska. Poezję grecką Homera, Eschyla i Sofoklesa nie nazywali spólcześni klasyczną, ani poezję Szekspira i Calderona romantyczną, choć

nego spólczesnego obcego ani narodowego poety, bojąc się, żeby sobie nie popsul i nie skaził smaku. To zdanie byłoby tylko zabawne, gdyby nie ukazywało zdala ułożonego całego systematu przesądów literackich. Jaktó? Dzisiaj, kiedy ktokolwiek raz tylko z oka spuścił chód i postęp wyobrażeń, już zaraz, po kilku latach, mógł się zobaczyć bardzo w tyle stanowiska wieku, — dzisiaj ten klasyk chce nam narzucać swoje pomysły, które niedożrały od czasu szkół? Jaktó? z temiż-to opóźnionemi innego świata wyobrażeniami on myśli osiągnąć wpływ, który w rzeczy samej powinien mieć poeta nad swoimi współczesnymi? Wiek jest na górze, on jest na dole, i chceż on, aby wszystko tylko krążyło około jego nieruchomego stanowiska? Na szczęście wiek nie daje się zatrzymać złowrózдьми klasyków z takowego chodu prognostykami; i może się zabawnie żdziwić, że kiedy właśnie ukończą doskonalic i oczyszczać smak, gładzić i poprawiać przez trzy razy dziewięć lat swoje klasyczne utwory, wtedy wiek już będzie tak daleko, że im nie zostawi ani jednego czytelnika dla tych arcydzieł smaku. My notujmy takowe zdania, jako ciekawe pomniki obłędu w jaki fanatyzm systematu może wprowadzić. — Dwa zacytowane przykłady dają tego dotykalne wyobrażenie. Dodajmy jeszcze do nich to uroczyste odesłanie do Laharpa o nawodnieniu barbarzyńców, któreśmy w N. 1 Biblioteki polskiej na rok 1825 z powinnem przerażeniem (!) czytali. (*Przyp. Aut.*)

te nazwiska jedynie tym epokom należą. Historya literatury sama tylko jest w prawie odróżniać nazwaniami różne od siebie sztuki, bo ma cały jej bieg przed sobą. Późniejszy wiek, stosując, co było wprzód, z tem, co było potem, da dopiero wierne nazwisko naszej poezyi, którą my możemy przestać na nazwaniu nową, XIX wieku poezją. Zresztą lepiej się z tem nie śpieszyć, niżeli dawać nazwiska niewłaściwe i wprowadzające (jak się to już po części stało) w mylne wyobrażenia.

W zakończeniu zapowiadał autor »obraz historii literatury polskiej« (z tego powodu zapewne poprzednio traktował poezję polską tylko bardzo ogólnie) — który jednak nie doczekał się opracowania; artykuł pozostał nieskończony.

B) Literatura i krytyka.

(Tom I — 1837; II-gi — 1838; III-ci i IV-ty — 1840).

Tom pierwszy tego wydawnictwa składa się z 2 części i zawiera następujące rozprawy: »O poezyi XIX wieku«, »Literatura francuska«, »Co znaczy kozaczyzna?«, »Pieśni ukraińskie«, »O elemencie poezyi ukraińskiej w poezyi polskiej« i »Czy można mieć w dzisiejszych czasach epopeję narodową?«. Cały tom drugi wypełnia obszerne studjum »O nowej literaturze francuskiej, nazwanej literaturą szaloną«. Tomy trzeci i czwarty mieszczą prace: »O szkole ukraińskiej poezyi« i »Literatura romansu w Polsce«. Wartość tego zbioru, który powstawał w ciągu szeregu lat, jest dosyć nierówna. Znajdujemy w nim zarówno rozprawy, charakterem swym należące do pierwszego okresu działalności krytycznej Grabowskiego, jak i takie, które zapowiadają już ton, panujący w »Korespondencyi literackiej«.

Poniżej zamieszczamy początek studjum »O poezyi XIX wieku«, napisanego w końcu 1830 roku. Miało się ono składać pierwotnie — jak sam autor powiada — z dwóch części: »teoryi i zastosowania«. Z planu tego opracował Grabowski tylko część pierwszą, w której wypowiada ciekawe poglądy o zadaniach literatury, ideach i teoriach ogólnych w stosunku do życia, zastanawia się nad tem, co to jest poezya, sztuka, literatura, i stara się dać własne definicje i własny systemat estetyczny. Pozatem dajemy wyjątek z rozprawy: »O szkole ukraińskiej poezyi«.

840) *Str. 7—21.* Każdy wiek, każda epoka, tak w historii politycznej, jak umysłowej, tak w losach człowieczeństwa, jak w losach rozumu ludzkiego, ma swoje wyraźne a od-

dzielne od innych przeznaczenie, ku spełnieniu którego trudy całych pokoleń, wszystkie zdolności, wszystkie zasoby tego ułamku czasu czują się powołane. Są to jakby owoce, które pewne peryody usiłują wydać i wydają. Nasiona tego bywają rzucone zdala. Łono wieku się zapładnia i staje brzemieniem. Wszystko się zbiega i zaczyna sprzyjać nie świeżo odkrytym, ale już wcześniej istnącym potrzebom; na każdej chęci, na każdym umyśle jest mus, niewola, która się nazywa duchem czasu. Cały wiek jest jakby zakłócony i już się nie ostoi póki się nie rozwiąże sprawa przeznaczenia. Wtedy bywa chwila ciszy, pogody, odpoczynku: aż nagle widzisz, jak się wszystko do niepoznania przemienia, bo wiek już znowu dzieło inne rozpoczął. Kto więc zechce sprawiedliwie ocenić fenomena jakiegokolwiek peryodu czasu, musi koniecznie odgadnąć jakie jest właściwie jego zadanie. Przechodząc do literatury, pytamy się, do czego zmierza to nowe dążenie europejskich literatur na początku XIX wieku, tak widoczne i od dawniejszego tak różne, żeśmy go nawet rewolucją nazwali, lecz z którego przeznaczenia nie zdaliśmy sobie sprawy, ani widzimy jasno celu dotąd?... Na to trudne pytanie odpowiadamy bez wahania się: zadaniem literatury naszego wieku jest utworzenie Poezyi narodowej, albo raczej Poezycji narodowych. Ciągłem następnych uwag spodziewam się rozwinąć myśl moją i dowieść sprawiedliwości tego zdania. Rzucam go tutaj tylko jako aforyzm, dlatego, że ono jest myślą wziętą za ośnowę tego pisma; że to, co się gdzieindziej powie, będzie w wielkiej części mówione dla wsparcia jego; że z różnych stron do niego wracać będę, i że właśnie zamiarem moim jest dowiedzieć się, ile prawdziwość tego zdania widna jest z kierunku naszej literatury, i jak daleko posunęliśmy przypadającą na nas część tej pracy, do której naszym zdaniem Europa w XIX wieku jest powołaną.

Nie jest to bynajmniej myślą nową w historyi politycznej, że każdy okres czasu był rozwinięciem pewnego a nie innego faktu, tej a nie drugiej idei, i że aby go sądzić, trzeba się umieścić na jego własnym stanowisku. Nikt już dzisiaj nie wątpi, że tażsama skala nie służy do ocenienia drobnych rze-

czypospolitych Hellady i kolosalnego Rzymu. Nikt nie mierzy moralności politeizmu moralnością objawionej religii. Każdy wie, że zadanie wojen krzyżowych a reformacyi było zupełnie inne. Każdy z tych fenomenów historii rodu ludzkiego rozwijał się samodzielnie, w niczem niezależnie od innych, przebiegał on (że tak rzekę) swoją elipsę we własnej sferze, i wykonywał swoje przeznaczenie doskonale. Jeżeli tak się dzieje z losami towarzyskiego bytu, nie będzie zuchwałą rzeczą utrzymywać, że też same koleje przechodzi życie umysłowe. Jeżeli idea prawdy i dobra (tak nazwał ideę historii pewny pisarz), nie może przetrwać niezmienna i stała w ocenianiu dzieł ludzkich, możnaż wymagać, ażeby idea pięknego (idea literatury) była wciąż nieruchoma i wiecznie jednostajna?... Możnaż z wyobrażenia poezyi, z wyobrażenia, które ze swojej istoty jest tak odmienne, tak ulotne i niecierpiące określenia, zrobić coś w najwyższym stopniu dokładnego, coś sztywnego, przeznaczonego, aby przez wszystkie wieki i miejsca było jedyną miarą najdelikatniejszych płodów umysłu ludzkiego? Tak nie jest. Idea poezyi, jak wszystko inne, cierpi umiarkowania, zmienia się, nagina, i nietylko to nie jest żaden niedostatek, ale owszem przymiot wielki, bogaty. Inaczej nie byłaby to wcale idea żywa, iż tak powiem z poetą, w korzeń bytu wszczepiona. Zróbmy sobie naprzykład stałą, jakby jeometryczną ideę prawdy, czy piękności, jaką sobie co moment robią teoretycy, i rozciągnijmy ją na przeszłość i przyszłość historii lub sztuki, ile zdołamy; prawda, jest w naszym umyśle coś foremnego, wymierzonego, ściśle pewnego; cóż kiedy to takie smutne, takie nagie, ubogie, obok różnowzorego kobierca zdarzeń i myśli, jaki nam wystawia świat, nie naszym rozumem rządzony? Dlaczegoż to? Dlatego, że zaraz instynktowie ostrzeżeni jesteśmy, iż gdzie zachodzi jednostajność, tam niema życia, którego różnorodność i zmienność są najistotniejszym warunkiem. Tak jak w świecie dynamicznym odbywa się ciągle proces roślinny i chemiczny, tak w świecie moralnym na wszystko działa ustawny proces życia, który ciągle rozwija, zmienia, przeobraża i objawia się w tych niewyrachowanych fenomenach, których milionową część ledwo zatrzymuje w pamięci historia, przechowuje u siebie literatura. Ze wszystkich bowiem rzeczy tego świata jedno

jest tylko najwidoczniejsze, najpewniejsze i że tak powiem, dowiedzione: życie. Jakie przeznaczenie jego? Do czego wiedzie ostatecznie ród ludzki? Nie wiemy. Lecz nie jest już rzeczą małej wagi, żeśmy pośpieszyli dostrzedz stopniowe kształcenie, do którego ono losy ludzkie przyprowadza: nie jest rzeczą małej wagi, że widzimy, iż w danych okresach czasu wypadki jego składają jakby fakta dotykalne, wytrzymujące najściślejszy rozkład i analizę, iż kształcą jakby jakie wielkie osoby moralne, których dążenie, prace i powołanie najdokładniej zbadać możemy. Jeżeli więc nie znamy przeznaczeń życia ludzkości wogóle i ostateczności, znamy przynajmniej przeznaczenie niektórych jego działów, co już tak ważną jest rzeczą! Historia nie jest już dla nas dzisiaj prostą nomenklaturą nazwisk i dat: jest to raczej niezmierny łańcuch zdarzeń, charakterów, katastrof, uczuć, widoków, scen, zdumiewających swoją wielkością, bogactwem, poezją, zgoła najrozmaitszą grą życia. Wśród jej perspektyw gubi się oko, zachwyca dusza człowieka. Nie wiemy, co to jest czas?... jak on stał się odłamkiem wieczności i ku czemu dąży? dość, że widzimy, iż w biegu swoim rozdrobił się na części przystępne naszemu pojęciu, charakterystyczne, w naturze swojej wyrozumowane, a więc świadczące głośno, że chód jego nie jest bez celu, że kres jego niemaloważny. Pocieszająca nauka wyprowadzona z historii, a którąby i z literatury można było wydobyć.

Tak więc jako w historii są pewne peryody różne i odrębne jedne od drugich, wypełniające swoje przeznaczenie oddzielnie, i każące się sądzić tylko stosownie do celu, do którego zmierzały; przez samą tedy analogię sądzić należy, że takież same działy muszą być w literaturze, jako w dwóch formach, albo raczej w dwóch kategoriach jednegoż rozwinięcia się ludzkości w czasie. Rzecz jest widoczna, że wśród tylolicznych kolei, któremi świat nasz szedł dotąd, musiał unosić za sobą i zdania estetyczne. Literatura więc doświadczała tyleż przeobrażeń, ile i wszystko inne. Nie dziw zatem, że w różnych czasach zadanie jej bywało różne, i że nieraz odmiennie była widziana. Przenieśmy się myślą w te niedawne jeszcze chwile, nim się Europa zdobyła na Herderów, Nieburów, Simondich, Tierrych; przypomnijmy sobie, jakie sądy były o historii. Czterdziestowiekowy zawód ludzkości chciano mie-

rzyć podług wyobrażeń, wylętych w kilkunastu ostatnich leciech. Była, że tak powiem, urobiona forma na moralność, cnotę, swobodę, oświecenie: wszystko, co w tę formę wchodzić nie chciało, nazywano skażeniem, występkiem, niewolą i barbarzyństwem; bez względu, że moralność nie może być wciąż jedna, że swobód jest kilkanaście, że cywilizacya jedna może być zupełnie niepodobną do drugiej; a i tak było jeszcze wiele zjawisk w losach ludzkości, co historyk poprostu odcinał, obciosywał; bo widząc, że się nie godzą z żadną ogólną formą, brał je za jakieś potworne wyrośle, za brodawki ciała historycznego. Ponieważ zaś kochano się wyłącznie w wyobrażeniach swojego wieku (co zresztą bardzo naturalnie), a tym wyobrażeniom nie wiele było odpowiedniego w przeszłości, o mało więc szło, żeby nie przypuszczono zdania, iż od nich dopiero, to jest od ludzi XVIII wieku, zaczyna się prawa historia, a wszystko co było dotąd, było tylko wstępem, rodzajem nowicyatu rodu ludzkiego. Czyż nie to słowo w słowo dzieje się dotąd w zdaniach o literaturze?

Nie mówiąc już o tych śmiesznych teoryach, które początek poezyi umieściły w naśladowaniu śpiewu ptaszego, ani o tej puściźnie zastarzałej scholastyki, która dotąd przynajmniej pokątnie dyszy; weźmy owszem najnowsze ideje krytyki estetycznej, oczyszczonej i filozoficznej pojętej, tak jak je nowi badacze puścili w obieg pospolity, a które ośmielając się w pewnej części zbijać, daleki jestem, żebym je lekce sobie ważył albo mało szacował. Dzisiejsze nawet teorye sztuki czyż zaspakają wszystko, czego po nich wymagać możemy? Wyznaję, że co do mnie przynajmniej, nigdy się z nimi zgodzić nie mogłem zupełnie. W czymże główną ich niedokładność zawsze znajdowałem? Oto w tem, że najczęściej ogłaszano mi literaturę, jako rozwinięcie idei pięknego, a takowa definicya wprowadza zaraz w wyobrażenia ciasne, sztywne, absolutne, że tak powiem, formalistowskie. Nie jestże to to samo, co w historii szukać ustawnie konwencyonalnej idei dobra, prawdy?

Wszystkie takowe ideje nazywam konwencyonalnemi, bo istotnie na to wychodzi. Ponieważ nikt się nie sprzeciwi, że ostatecznego kresu rzeczy tego świata nie wiemy, wszystkie więc wyobrażenia absolutne są obłądne, wszystkie, że tak na-

zwę bite drogi, które chcemy przez świat i życie poprowadzić, wytykane są na domysł. Nie mówię bynajmniej, żeby dusza ludzka nie miała żadnego wiecznego typu tak sprawiedliwości jak piękności: ale ten typ nie jest także ani być może stały zupełnie; jest on owszem ruchomy, niejako przenośny (*portatif*) i dający się zastosować (*applicable*), i właśnie czyniąc coraz dalsze postępy, zastosowany do korzyści żyjącego, to jest zmieniającego się *individu*um. Ten typ porównaćby można do jakiego instrumentu matematycznego, np. linii, która raz położona nie zboczy z prostej drogi, ale położyć się może w tylu kierunkach, ile się komu podoba.

Tu wykrywa się jedna z własności moralnych, przyczyna skutków, często napotykanych na polu estetycznym. Przeciągając wyżej wzięte porównanie, — tak jako prosta linia matematyczna nie zdoła się w biegu swoim ugiąć ani skrzywić, tak równie chce natura umysłu ludzkiego, ażeby utworzony raz ideał był koniecznie przez całą swoją rozciągłość równy, jednostajny, wyłączny, praw swoich zazdrośny. W różnych czasach i stosunkach ideał będzie odmienny: lecz jaki jest, musi być koniecznie bezwzględny, sam tylko udający się za prawdziwy, i ze wszelakiej różnorodności wymagający ofiary. Stąd absolutyzm w literaturze.

Tak nazwani klassycy nasi i europejscy nie mieli tak często jak my w ustach słowa ideał, jednakże mieli niemniej mocne jego uczucie. Ideałem ich poezyi była poprawność, gładkość, wykwinny gust rymotwórczej kompozycyi. Patrzmyż, jak nieprzeblaganie okrywali wzgardą, nazwiskiem barbarzyństwa, wszystko, na czem nie było tych znamion; jak stanowczo odsądzali to od godności poezyi, literatury. Oddajemy im wet za wet. Nie przeczę, że może mamy zdrowsze od nich uczucie prawdziwej poezyi, lecz czy zdanie nasze mniej jest absolutne? Czyż nie tak samo, jak oni, z całego zbioru kwiatów dawnej i nowej literatury wybieramy to tylko, co sympatyzuje z nami i naszymi wyobrażeniami, a odrzucamy wszystko inne? Jakoż inaczej być nie może, skoro chcemy trzymać się logicznie raz przyjętego zdania. Owszem, musimy być surowsi w sądzie naszym niż sami klassycy: gdy zdanie to nasze nie jest narzucone żadną powagą, ale wywiedzione i wyrozumowane przez nas sa-

mych, trzymamy go się więc z tem większem przekonaniem z tem mocniejszą wiarą, ponieważ bez zadania sobie moralnego gwałtu, nie możemy uznać za poezya, co w naszych oczach nią nie jest. Ideał nasz, chociaż jest mniej wyłączny, mniej wybredny i niesprawiedliwy, niż bywał w innych epokach, niemniej dlatego jako ideał jest pojedynczy, określony; panuje on nietylko wyobrażeniom naszej epoki, ale rozciągamy go nawet na przeszłość i przyszłość sztuki; dlatego więc wszystko przyjmuje, co z sobą znajduje jednorodnego, od Ossijana do Bajrona, od piosnki gminnej do wykształconej poezyi; co się z nim nie łączy, odrzuca. Na nieszczęście odrzuconego jest dużo. W oczach naszych strącono z pierwszego miejsca nietylko pojedyncze sławy, ale nawet całe literatury, całe odnogi literatur. Naprzykład element komiczny, jeżeli nie został odsądzony od praw poezyi, to jedynie tylko jako ironia; inni idą dalej, nie przyznając zupełnie wesołej poezyi. U nas jeden znamienity pisarz, a co bardziej poeta, nie przystaje na poezję exaltowaną (Bajronowską). Drudzy w całej naszej literaturze do ostatnich czasów nie widzą poety. Ten tak obszerny ostracyzm literacki, ta proskrypcya, ciężąca na tyłu bezbronnych głowach, zadały mi szczególnie do myślenia. Czy nie ma fałszu, niedokładności w gruncie opinii estetycznej, która się w obiegu powszednim w nietolerancyą wyrodziła?... Mówią mi naprzykład, że poezya Krasickiego niepodobna do poezyi Mickiewicza; ani słowa przeciwko temu. Mówią mi, że poezya Krasickiego nie jest poezją — niech i tak będzie. Jednakże musi to być coś przecie: a więc co takiego? Dlaczego w swoim czasie ona nietylko się podobala, ale nawet unosiła, zachwycala i zaspakajala wszystkie żądania swoich współczesnych? To nie mogą być przymioty utworu całkiem chybionego, rzeczy zupełnie rozminionej z swym celem. Jeżeli literatura jest rozwinięciem idei pięknego, czemu się dzieje, że to rozwinięcie szło takimi nierównymi skokami, nie było dokonane aż za naszych czasów, albo bardzo rzadko dawniej, i ustawicznie ulegało skrzywieniom i chorowitemu stanowi? Nie! Musi być jakaś idea obszerniejsza, prawdziwsza, która te rozdwojenia łatwiej pogodzi, te różności jaśniej wytłumaczy, wystawi regułę nie tak rzadką, a wyjątki od niej mniej częste. Powtarzam, musi być jakaś wada w myśli teoretycznej, bo przy

tak sławionej naszej tolerancji jest podobno trochę zanadto wystawiać połowę plodów umysłu ludzkiego jako twór poroniony, niepobłogosławiony od Opatrzności.

Tę »ideę obszerniejszą« znajduje Grabowski po długich i dość mętnych wywodach w definicji, określającej jako poezję »cały świat i jego dziwy«, i w zasadzie, uznającej wszystko co istnieje za konieczne.

O szkole ukraińskiej poezji.

[»Literatura i krytyka«, tom pierwszy (tak na karcie tytułowej, choć jest to właściwie tom trzeci tego wydawnictwa) Wilno 1840, str. 1—142]. W rozprawie tej stara się Grabowski ująć charakterystyczne cechy twórczości »szkoły ukraińskiej«, wykazać jej odrębność i znaczenie dla literatury polskiej. Omawia ogólnie twórczość Zaleskiego, Malczewskiego, szczegółowiej zaś analizuje utwory Grozy i Olizarowskiego, w dodatku daje obszerniejszy rozbiór »Zamku Kaniowskiego«. Podajemy tu wyjątek z tego rozbioru, jak również ustęp, w którym autor podkreśla oryginalność i odrębność poetów ukraińskich.

841) *Str. 34—41.* Poezja polska posiada istotnie oddzielną szkołę ukraińską. Nie jest to tak pospolita, jak się здаwać może. Któż nie wie, że w wieku rozlanego powszechnie oświecenia szczegóły miejscowości najdalszych krajów, obyczajów tych krajów, zdarzeń, które się tam kiedykolwiek toczyły, mogą być doskonale świadome ludziom oświeconym innego narodu, a więc mogą być brane za przedmiot utworów przez poetów tego narodu. Takim sposobem Irlandczyk Moor wybiera na scenę swych zmyśleń Indye, Kaszemir, Persyą; zaprawia swą poezję barwami wschodu. Młody poeta rosyjski Kukolnik w dramacie Dominikino przenosi się pomiędzy malarzy włoskich, wnika w ich pożycie z sobą namiętne, zazdrośne, miłości dla sztuki i natchnienia pełne; wystawia ich zabiegi o roznoszenie lub ozdabianie bazylik rzymskich. Nie idzie zatem, ażeby w poezji angielskiej była szkoła indyjska, albo w rosyjskiej włoska. Bliższy przykład przywiode. Za jedno z głównych praw do wielkiej sławy istotnie bardzo znakomitego rosyjskiego poety Puszkina mają niektórzy (nie ja) poemat jego Połtawę, wzięty z ukraińskich dziejów, a przynajmniej oparty na przeważnym zdarzeniu, rozwiązaniem na polach Ukrainy. Poemat ten winien swą wziętość wielu istotnie pięknym miejscom, które nie mogły nie powstać z pod pióra tego twórczą siłą obdarzonego człowieka; takimi są niektóre opisy

bitwy, figurą Piotra W. i inne, lecz jako malowidło Ukrainy zachował on tylko profil publicznego, historycznego wypadku, na prywatny zaś byt tej krainy, na szczególny charakter mieszkańców, ich zwyczaje, wszystko, co malowaną powierzchowność narodów i krajów stanowi (a czego nawet nowi historycy skrętnie dziś śledzą), nie przelano najmniejszego światła. Figury, działające według swych tylko nazwisk i znajomych przygód życia, są ukraińskie, ale w ich mowie, w pobudkach czynności, nie słyhać najmniej przyrodniego ich charakteru, nie znać właściwego im wtedy stopnia uobyczajenia, który był jednak jednym z najcharakterystyczniejszych i w dzikiej swojej prostocie z najsposobniejszych do wydatnego kształtowania w poezji. Przynajmniej według mego osobistego zdania, Mazepa i piękna Maria Koczubejówna nikogo bardziej nie przypominają, jak Dołę i Dogaresę z drammatu Marino Falliero, a jednak daleko z Wenecyi do Połtawy. Samą nawet miejscowość ukraińską lekko i pobieżnie zbywa poeta, racząc ją ogólnemi przymiotnikami: nieobejrzane pole, siny Dniepr, noc ukraińska, co ostatnie jedynie ma niejakie znaczenie, przywołując sobie na pamięć, że poeta musi porównywać w umyśle swoim noc tutejszą z surowszą nocą północy...

Inaczej się rzecz ma u polskich poetów ukraińskich. Ich prawa do stanowienia osobnej szkoły zasadzają się nie na tem, że obierają na treść swoich utworów przedmioty z historyi tej ziemi, ale raczej, że przyjmują całkiem duch i barwę właściwej poezyi ukraińskiej, jednej z najdoskonalszych gałęzi samorodnej poezyi słowiańskiej, więc z pierwszych całego świata. To jednak, co powiedziałem, źle jeszcze istotę dzieła tłumaczy. Wszak i Moor podszywać się stara pod toki wschodnie, a jednak jest to pożyczona szata, jest to przebranie, które nikogo nie zwodzi; przeciwnie polscy poeci ukraińscy przejęli tę właściwość szczerze, unarodowili ją sobie; rozumieją ją głęboko, bo jest dla wszystkich domową, dla wielu rodzinną. Ten podział na szkoły pięknie tłumaczy pan Tyszyński w swoim wyżej wzmiankowanym dziele¹⁾ i w artykule Dwaj ostatni krytycy w Polsce, umieszczonym w Tygodniku peters-

¹⁾ »Amerykanka w Polsce« (*Przyp. Red.*)

burskim. Nadto ci poeci nie poprzestają na pożyczaniu ozdóbek u poezji ukraińskiej, oni sami rozwikływają dalej poetyczność tych miejsc i obyczajów, idą za bytem tej ziemi i losami tego ludu w rozmaitych czasach i rozlicznych stosunkach ich historyczności i w każdym z takowych dostrzegają jego poetyckiej fizjonomii; na miejscu, gdzie zastali tylko pieśni gminne, budują epopcję i romans.

Patrzmy naprzykład na utwór Malczewskiego. On spoziera poprostu na Ukrainę, tylko jako na najsmutniejszą prowincję swojej ojczyzny; prowincją dziką, bezludną, pustą, *ora finitima* ukształceńszej i weselszej Polski. Stąd ustawicznie powtarza:

I pusto, tęskno, smutno, jak gdy szczęście minie,
I pusto, tęskno, smutno w bujnej Ukrainie.

Malczewski widać kocha się w smutnym widoku tych pól, pól przyległych jego rodzinnemu Wołyniowi, i z których musiała nawiać ta głęboka melancholia na jego charakter i umysł. Poemat jego składa się z tego tylko, że tę pustynię głuchą wybrał na scenę dzikiego uczynku przemocy i pychy, którym też najwłaściwsze miejsce w tej dziczy i dalekości oka ludzkiego. Bez zachodu rozwijając swą rzecz szykownie, przestaje na tem, że ukazał tam kilka obrazów posępnych i zakończya zawsze przez swoje »i pusto, smutno, tęskno« etc.

To przejęcie barw poezji gminnej ukraińskiego ludu, w którym nie chcieliśmy powyżej uznać, ażeby się miało zamykać całe znaczenie szkoły ukraińskiej, najsluszniej jeszcze możnaby przypisać samemu jednemu Zaleskiemu, choć i ten dalekim jest od przestawiania na rysach już gotowych, a owszem, jako prawdziwy poeta, tłumaczy dalej (nie mogę się inaczej wyrazić) serce ludu, którego został śpiewakiem. Mazepa, który jest bohaterem powieści Puszkina, ale już jako starzec i dumny hetman, jest równie bohaterem jednej z dum Zaleskiego. W tej dumie Mazepa młody, tęskniący za wojenniczem życiem swego narodu, poniewolnie trzymany w przedpokoju króla polskiego Jana Kazimierza, gotuje się potajemnie uciekać do swego kraju. W słowach, które mu w usta kładzie Zaleski, słyhać dobitnie tę narodowość kozacką, którą młody paż musiał chować jak tajemnicę rodzinną pomiędzy obcego

rodu i ukształcenia ludźmi, a która naturalnie odzywa się w nim głośno w tej chwili, w której sercem wyprzedzał swój powrót w kraj bujniejszych traw Oczakowskich, w kraj zdrowych wód dniewprowych. Być także może, że pan Zaleski pod zasłoną historycznego imienia, wypowiedział swoją własną tęsknotę za Ukrainą, od której był oddalonym, i że odsłonił nam poufale barwy i uroki, w których jego własnej imaginacyi ukazywała się jego daleka, rodzinna, żywa, sprzeczna obyczajami i pozorem z Mazowszem strona. Ten to nieudawany duch ukraiński, te to głębokie rozumienie przedmiotu, bo osobistym uczuciom nieobcego nadaje inną przyrodę tworum polskiej ukraińskiej szkoły, jak innym, choćby skądinąd najgenialniejszym na przedmiotach ukraińskich zbudowanym dziełom. Ukazaliśmy to chociaż w lekkim zbliżeniu tworu Puszkina; możnaby jeszcze było wesprzeć dowodem z przykładu Bajrona, dwaj ci bowiem tak znakomici poeci nie tylko dotykali rzeczy ukraińskich, ale właśnie rozebrali niejako pomiędzy siebie przygody życia Mazepy: jeden romansową i niebardzo prawdziwą przygodę jego młodości, drugi stanowczy jego starości historyczny wypadek..

W dalszym ciągu zastanawia się autor pokrótce nad »Zamkiem Kaniowskim« i wykazuje na przykładach, że wszystko w nim jest »wysnute z samej treści miejscowych podań, obyczajów, wierzeń, historyczności: stąd w wysokim stopniu oryginalne, ukraińskie« (str. 43—44). Do utworu tego wraca Grabowski jeszcze raz w »nocie«, zamieszczonej na końcu rozprawy, gdzie rozwija swe poglądy szerzej i daje poniżej zamieszczoną analizę »Zamku Kaniowskiego«.

842) *Str. 135—142.* Prolog czarodziejski, którym Goszczyński poprzedził swój poemat, zawiera niejako w sobie wątek całej kompozycyi. Oprócz fantastycznego zdarzenia, które zawiązuje późniejszą tragiczną akcyę, jeszcze w odsłonionej nam romantycznej scenie widzenia się dwóch kochanków poznajemy te dwie główne osoby powieści i ich stosunki z trzecią, (Rządzcą), i już imaginacya nasza żywo jest podstrzykniona, a interes obudzony do tego, co ma nastąpić. Tak pod względem poetyczności pomysłu jak sztuki wykonania prolog mam ledwie nie za najlepszą część kompozycyi. Nasi dyletanci, których tak raziała rozmowa puszczyków, dali tą razą dowód, że zasła-

nia im jeszcze oczy bielmo klasycyzmu, którego się niespełna na chrzcie romantycznym wyrzekli; inaczej mogliby byli zostać uderzeni niepospolitym darem młodego pisarza, który odważa się nie na wzmiankę, jak inni, tego lub owego przesądu, ale dokazuje osnować na duchu wyobrażeń gminnych całą akcyę; który bierze śmiało żywioł mytologicznych wierzeń ludu i z nich składa sceny, życiem i dramatycznym ruchem obdarzone. Od ballad Mickiewicza, które niektórzy mają za *nec plus ultra* romantyczności, do takiego utworu, jakim jest prolog Kaniowskiego Zamku, jest jeszcze bardzo, bardzo daleko! Ta noc, taka pełna dziwów i widzeń, odziana takim pełnym mocy kolorytem i taką grą fantazyi tam, gdzie poeta polubił wymysły ludu-poety, jest bezwątpienia najzupełniejszą kreacyą romantyczną, jaka była kiedykolwiek w naszej literaturze: więcej powiem, prolog Zamku Kaniowskiego nie zblednie ani przy Sobótce Goethego, ani przy prologu Makbeta.

Właściwa część pierwsza zaczyna się od apostrofy do zachodzącego słońca. — To nie jest opis, to jest hymn wyniosły i uroczysty: uznano to powszechnie. Ze wschodem miesiąca lud kaniowski (śródm którego odtąd ciągle będziemy) zebrał się na schadzki wieczorną na pobrzeżu dniewrowem. Pojawienie się Kseni topielicy i nieprzytomność atamana Nebaby nabawiają zgromadzonych niespokojnością i przeczuciem nieszczęścia. Ataman nie przychodzi dlatego, bo w umówionem miejscu, pod brzozą, nad krynicą, ścian zamkowych spodem, ma się widzieć ze swoją Orliką. Poeta robi piękny obraz z tego niespokojnego oczekiwania. Ale Orlika nie przychodzi i nie przyjdzie; zamek brzmi przygotowaniami uczty, i Orlika po długiej, tajemnej rozmowie z Rządzą, gdzie musiało iść o śmierć lub życie, zgodziła się zostać jego żoną; Nebaba dowiaduje się o tem od chłopaka, który spieszył na zamek z torbanem. Myśl rozpacz i zemsty rodzi się w jego duszy; podczas kiedy zamek i jego okolice brzmia wesołemi odgłosy, on przesuwa się niepostrzeżony przez zakręty ciemnych, spadzistych ulic, — spieszy na brzeg i każe się przewozić na drugą stronę Dniepru, gdzie błyszczą ognie hajdamaków, którzy rozpoczęli już powstanie. — Wszystko to się dzieje jednego wieczora, a poeta umie każde miejsce i każdą chwilę doby malo-

wać z właściwą barwą. Przeprowadzanie się Nebaby przez Dniepr w nocy i z rozpaczą w duszy, podczas kiedy z okien starościńskiego zamku biją światła weselne, kończy poetycznie część pierwszą.

W obrazie nocy, od którego zaczyna się część druga, uderza nas znowu Szekspirowski pędzel, jakim Goszczyński maluje często naturę. U niego noc jest zawsze chwila tajemnicza, pełna brzęków łagodnych, miłych, głuchych, któremi powietrzne igrające duchy ożywiają ciemność i ciszę. Nagle w tym uspionym zamku we drzwi Rządzcę puka goniec od granicznej czaty i przywozi groźące wiadomości o poruszeniach hajdamaków. Poeta przenosi nas zaraz w las, gdzie leży dziki obóz powstańców. W doskonałym obrazie, który z tego robi Goszczyński, wydaje się on prawdziwym malarzem. Następuje scena, w której Nebaba namawia kozactwo do buntu przeciw ospałego watażki; tu poeta obmyśla tok dalszych wypadków.

Od strofy jedenastej znowu przenosi się akcja do Kaniowa. Ze zwykłym talentem maluje poeta wieczór i wieczorną modlitwę garnizonu zamkowego; — z cudownym wdziękiem ciche zatrudnienia ostatniego dnia mieszkańców. Śród kobiet, zaprzątionych niewieściami pracami, widzimy Orlikę zmienioną, obłąkaną rozpaczą i zamysłem zbrodni. — Sposób, w jaki poeta maluje stan jej duszy, daje przeczuć jej dzikie zamiary i usposabia do spodziewania się jakichś okropnych skutków jej rozpaczki; ten sposób jest pełen zręczności i odkrywa w geniuszu Goszczyńskiego nowy element tragiczny, którego nie spodziewaliśmy się dotąd. Tymczasem wieść o buncie rozchodzi się po Kaniowie; wszystko jest w strachu i pomieszaniu; w obrazach takowego popłochu są właśnie miejsca, które mieliśmy w myśli, mówiąc wyżej o przejętej z żywej pamięci i serc ludu barwie poezji Goszczyńskiego. Lecz już upłynął ten dzień pełen trwogi, rozjaśniony pod koniec zawodną spokojnością. W poemacie zaczyna się jedna ze scen największych. Przygotowania do morderstwa żony i sen trwoźny przeczuciami męża są zaiste dziwną i wielką poetycką kreacją. Ponieważ kilka razy ośmieliliśmy się już wspomnieć wielkie imię Szekspira, znowu więc powiemy, że podobnej sceny może dać wyobrażenie chyba sen *Ledy Makbet*, tak cudow-

nie w grze pani Ledóchowskiej znajomy. Tego jednego miejsca dosyćby było, ażeby przekonać o wielkim talencie Goszczyńskiego. Zaraz dalej zaczyna się ciąg przerażających wypadków: wzięcie zamku od hajdamaków, zabójstwo rządcy, pogoń za zranioną Orliką. Okropność dochodzi do najwyższego stopnia; są to karty krwią pisane.

W trzeciej pieśni poeta, jak gdyby chciał nas uspokoić po silnych wstrząśnieniach, którycheśmy doświadczyli, wprowadza nas w zupełnie inny świat poezyi, w świat pełen światła, nieba i perspektywy. Cała połowa trzeciej części jest natury bardziej lirycznej i razem bardziej malowniczej, jak wszystko, cośmy dotąd widzieli. Sen Nebaby pod dębem puszczy Lebedyna przypomina liczne podobne obrazy w pieśniach i skazkach ruskich. Ślepy lirnik, tu wprowadzony, jest także na miejscu w takim malowidle; rysunek jego przytem pełen prostoty, a więc barwy; a wątpliwość, którą lubił poeta rzucić na przyrodę tej istoty, zamiast szkodzić tej kreacyi, (jak to niektórzy myśleli) naszym zdaniem, nawodząc owszem lekki nań cień cudowności, robi ją jeszcze poetyczniejszą. W powieści i pieśni lirnika rozświeca się nam tajemnicza także istota Kseni. Nic romantyczniejszego jak jej historia, a wymysł pieśni do latawca jest to ta szczerą poezją gminną, o której ledwie że nie zropaczono w naszym wieku. Od strofy 9-tej zaczyna się dziwny rodzaj poezyi, który formami i barwą jest prawdziwym malarstwem, a wyrażeniem głębokiem, tajemniczem, budzącem nieokreślne uczucia, szczerą muzyką. Cudowny tu jest widok z dębu, drugi Moszen, trzeci progów dniewprowych, — opis wieczoru Kupaly na jeziorze, — opis uczuć i wspomnień Nebaby. Następują ciągle po sobie obrazy natury, obrazy stojące w myśli, w pamięci, w marzeniu, i jak fale morskie, kiedy w oczach naszych idą jedno po drugich, wprowadzają nas w rozkoszne i głębokie zamyślenie.

Po tem lirycznym wytchnieniu, od strofy 13-tej zaczyna się znowu dramat. Opis wieczornej drogi Kozaków jest wyborny. Bitwa. Potem powieść szybko idzie do rozwiązania. Wszędzie tam są miejsca z niezwykłą, atletyczną siłą pisane. Między najlepiej oddanemi wspomnę skon Kozaków, goniących

Orlikę, opis dymiących zgliszczy w 27-ej strofie, strofę 30-tą, która może być uważana za epilog i ostatnią.

C) Świat i poeta przez J. I. Kraszewskiego.

(Athenaeum z r. 1841, tom III, str. 142—169).

W artykule tym zasługuje na uwagę nietyły rozbiór powieści Kraszewskiego, dosyć zresztą pobieżny, ile pogląd Grabowskiego na poetów i poetyczność oraz na znaczenie religii w twórczości ducha ludzkiego. Przytaczamy go prawie w całości.

843) *Str. 143—165.* ...Bardzo dowcipny i zdrowo myślący pisarz, który ukrywa swe istotne nazwisko pod przybraną nazwą Pana Pietruszki, wystąpił przeciwko panu Kraszewskiemu, za niewłaściwe, jak mu się zdaje, nazwanie bohatera powieści, o której mówimy, poetą. Nie można zaprzeczyć, że zdrowy sąd tego pisarza odkrył mu odrazu słabą stronę dzieła, a przynajmniej jedyną, z której można mu coś zarzucić.

Ten, który pisze te uwagi, najdalszym jest także od tego, ażeby w Gustawie uznawał prawdziwego poetę. Ta różność wyobrażeń, które w tym przedmiocie są mu zwyczajne i wydają mu się gruntowne, z temi, według jakowych pojął Pan Kraszewski swego słabego i namiętnego marzyciela, prześladowała go w całym ciągu czytania tego dzieła, ujęła mu zapewne wiele wdzięku w jego oczach, klóciła jego myśli, a jednak poddawszy teraz te same, ocknione przez to czytanie myśli chłodnej rozwadze, powziąłem przekonanie, że nie możemy z Panem Pietruszką obwiniać Pana Kraszewskiego ani o błąd nierozumny, ani o zamysł niegruntowny wystawienia, jakim go wystawił, swego poety. Widzę jasno przyczynę, dla której rozminęliśmy się z nim tak bardzo w naszych wyobrażeniach, i biorę się to wyłożyć, znajdując, że nastęrcza się przez to najposobniejsza pora przelać niemało światła na pytania o poezji i na całe jej dzisiejsze stanowisko.

Pan Pietruszka, naprzeciw wizerunku, skreślonego w Gu-

stawie, stawi obraz wieszczą z Czarnego Lasu, i w tym dobrowolnym wieśniaku, niedostępnym ambicyi obywatelu, czułym ojeu Urszuli, przyjacielu kończącym życie na stawaniu o zabójstwo krewnego, widzi urzeczywistnionym istotny wzór poety. Ma wszelką słusność za sobą. Życiem swoim, bardziej jeszcze niż zostawionemi pismami, dowiódł Jan Kochanowski, że należał do rzędu ludzi, jednoczących w sobie najokazalsze przymioty człowieczeństwa, przymioty rozumu i serca. Był on więc niewątpliwie poetą; lecz chociaż był nim, któż go dotychczas uznawał za takowego nie jako pisarza, ale jako człowieka? Kto uznawał za znamiona własne poety to mądre panowanie nad postępkami życia, nad namiętnościami serca, tę głęboką czulość rodzinną, to wyrzeczenie się siebie i poświęcenie dla drugich, które składają piękny wizerunek moralny wieśniaka z Czarnego Lasu? Nikt do ostatniego krytyka, i nie można się temu dziwić, albowiem w najnowszych chwilach dopiero powstało takowe wyobrażenie o poetach i poezyi, a sprawiedliwiej może jeszcze będzie powiedzieć: powstaje, zamiast powstało. Już to samo, żeby odkrywać charakter poety w całości życia, a nietylko w rytmach i piśmiennych utworach, jest bardzo nowym pomysłem; do ostatniej wszelako reakcyi za jedyne znamiona tego charakteru brano niespokojność geniuszu, serce namiętne, umysł nieukrócony i wglądający głębiej w życie, niż jego powierzchowność, pogardzający niem, i cierpiący na nie. Po tych cechach poznawano istotę odmienną od pospolitej ciżby, poetę; takim wystawił swego Gustawa P. Kraszewski, i poparł to jeszcze obrazem artystów i geniuszów różnego wieku. Taka charakterystyka genialnych duchów nigdy nie wydawała się i nie była w samej rzeczy istotniejszą, jak w ostatnich czasach, w epoce Bajronizmu, kiedy poswarzenie się z życiem zdało się nieuleczonem i wiodącym prosto do rozpaczy. Tymczasem wypadło, że właśnie w oczach naszych epoka rozczarowania, prawdziwa noc moralna, ustąpiła przed brzaskiem obecnej chwili, opromienionej piękniej niż kiedykolwiek słońcem wiary i nadziei. Tej przemianie musiał odpowiedzieć ogólny wzgląd na rzeczy; wszelako zaszło to tak niedawno, że umysły są podzielone między zakończonym i zaczynającym się peryodem; owszem, jedni i ci sami, z obydwu tych stron coś mamy w so-

bie i jak to o samym P. Kraszewskim powiedziano: »linia demarkacyjna przecięła go na dwoje: głową przeszedł daleko na jedną stronę, serce zostało na tamtej, i głos jego odzywa się jeszcze tęsknotą zeszłego wieku, chociaż już dziś ta posępna atmosfera mgły, chmur i burzy, z której są rodem jego pienia, jest u niego pod nogami«.

Są to trafne wyrazy wydawcy »Tygodnika Petersburskiego«¹⁾, w przypisku do artykułu w Nr. 81 tego pisma umieszczonym, pod nazwą: duch poezji Pana Kraszewskiego. Te dwie rozprawy, które zdają się być tylko ciągiem jedna drugiej, do skonałe określają charakter przeciwny dwóch epok, i pokazują, czem ostatnia, jako sprzymierzona z religijnością, musi być dla poezji, jako i ogólnie dla wszystkich wyobrażeń moralnych, owszem dla całej przyszłości; gdyż dzielić możemy w wielu względach zdanie historyozofów, jak np. ziomka naszego Augusta Cieszkowskiego, że stoimy właśnie na rozgraniczu najważniejszych epok w życiu ludzkości i zaczynamy jedną z tych, która być musi doskonalsza od wszystkich dokonanych, jako to w której ludzie będą chętnymi i samowiednymi wykonawcami przeznaczeń Opatrzności.

(Patrz Prologomena do historyozofii, Berlin 1838).

Jeżeli tak wysokie nadzieje karmić się godzi, to jedynie na widok coraz rozprzestrzeniającego promienie światła wiary, które obiecuje być nieodstępnością i znamieniem tej świeżo rozpoczętej epoki, światła wiary, które już dziś nie jest, jak niedawno jeszcze było, przeciwnikiem rozumu, odstaniem nieudolnym od jego pomysłów i odkryć, niezrównaniem z oświeceniem wieku, własnością poziomych i pospolitych duchów; ale dziś jest przeciwnie zdobyciem najtęższych i najdalej na przodzie wieku stojących umysłów, geniuszów, przez które (jak tenże nasz sławny historyozof powiada) postępuje ludzkość, poetów, w których pojętność czasu skupia się i odświecila.

•Chwała wam męże wyższego natchnienia,
Bo przez wasze zjawienia
Zegar mądrości idzie i bije«.

(Goszczyński).

¹⁾ Przeclawskiego. (*Przyp. Red.*)

Rzecz jawna, że co do usposobień moralnych i umysłowych, ludzie się różnią pomiędzy sobą: jest tłum mierny i spokojny, są także duchy niecierpliwsze, żywsze, dzielniejsze, wyższą zdolnością cierpienia i używania obdarzone; bądź życiem, bądź postępami, bądź utw. orami, muszą się one okazać, czem są. Te duchy dobiegną koniecznie do kresu ostatecznego, jaki w ich czasach był dostępnym, a od tego, jaki to był kres, zależy, czem się okażą drugim: mędracami czy szaleńcami? Otóż właśnie w oczach naszych kres się ten przemienił tak nagle, że widzimy jeszcze jednych zatrzymanych w pół biegu, drugich rozbieżających w przeciwne strony, i tych nawet, co stają na stronie i przypatrują się tym zawodom, rozróżnionych w zdaniu, ku której mecie pośpiech jest słuszny. Lubo wątpliwość w tym względzie coraz ustaje, lubo żądalibyśmy sami jak najprędzej i jak najostateczniej ją rozstrzygnąć i dowieść, że jeden tylko jest tor prawy, tor zbawienny i istotnego naszego postępu, wszelako zdaje nam się, że to sprawić może tylko poznanie gruntowne przyczyny przeciwnych zapędów.

Jak właściwiej nazwać człowieka dręczonego sercem i imaginacją, i tym, jak znamieniem Kaima, od pospolitej, przestającej na swoim ciżby odróżnionego, jeżeli nie poetą? Miał więc słuszność P. Kraszewski, kiedy tak nazwał swojego Gustawa; lecz dodajmy zaraz, że Gustaw jest poetą z przeszłej epoki, z epoki Bajronizmu, z epoki romantyzmu francuskiego, z tej, w której nie znano chrystyanizmu, lub używając go tylko jak nazwy, do najopaczniejszych naginano tłumaczeń. Pan Pietruszka i ja, i inni, co z nami trzymają, nie uznajemy go za takowego, bo równamy go w umyśle naszym z poetą myślącym i postępującym według tych religijnych natchnień, które nam się dziś zdają jedynie sprzymierzone z wyższym rozumem, które są w oczach naszych właśnie cechą geniuszów, znamieniem człowieka, stojącego na przodzie wieku; wszelako słuszność woła, ażeby przyznać P. Kraszewskiemu, że mógł on bez anachronizmu nawet śród obecnej chwili wystawić swego Gustawa plemiennikiem Larów i Czyld Haroldów. Niesprawiedliwie powiada P. Pietruszka, że ten niedoleźny marzyciel nie jest poetą; o nie, ta dusza płomienna nie jest niedoleźną; to, co ją uniedoleźnia, robi występłą i nieszczęśliwą, to uległość wyż-

szemu prawu, które samo tylko i ludzi pospolitych i geniuszów może nauczyć, jak rozumieć i na co używać życia. Poetycka więc przyroda Gustawa jest niewątpliwa, ale że wydaje się nam dzisiaj zmarnowaną i poniżoną, jest to sprawą chwili naznaczonej na jej wystąpienie w szranki wieku, które ją w obwodzie ciasnym i fatalnym zamknęły.

Znajduję potrzebnem nastać, że P. Kraszewski nie chybił, wystawując swego Gustawa za poetę. Zawsze i wszędzie te przymioty, które mu przyznają, utworzyłyby niepospolitego człowieka; ale stosownie do wyobrażeń, z którymi się sprzymierzy, stosownie do celu, który sobie założy, okaże się inaczej w innym czasie, w innych stosunkach, jak w drugich. Ta jest przyczyna tak nieobrachowanej różnaitości spraw i postępów ludzkich, pomimo tak niewielkich różnic w charakterze, zdolnościach, namiętnościach ludzi wszystkich wieków. Skutkiem zbiegu w obecnej chwili dwóch różnych moralnych epok (o cze-
meśmy wyżej mówili), ponieważ podobano się p. Kraszewskiemu okazać swego bohatera obróconym ku przeszłości, gniewamy się na niego, że nie widzimy na jego czole blasku promienistego wschodu, którym jesteśmy zachwyceni sami. Ta sama postać niechby się obróciła, nie poznalibyśmy jej za to, czem była pierwiej. Nie wolno więc wymagać, ażeby P. Kraszewski większymi przymiotami serca i rozumu nadał swego Gustawa, dla okazania go godnym imienia poety, lecz ażeby on dzisiaj naszym do tego słowa przywiązanym wyobrażeniom odpowiadał, należało było wystawić ten niepospolity charakter nie w rozpasi-
niu filozoficznej samowolności, niedawno panującej, ale pod prawem chrześcijańskim, w które dziś najznamienitsze umysły właśnie jako w jedyny tryb możliwego doskonalenia się z upragnieniem i rozkoszą wchodzą. Gdyby jednak tak był postąpił autor Świata i Poety, zupełnieby inny cel naznaczył swemu utworowi; bo nietylko nie mogłyby się wysnuć te zdarzenia, które odmalować zamierzył, ale nawet musiałby był odrzucić całe to wejrzenie ironiczne i anatomizujące na świat, ludzi i życie, które tu jest tłem niejako całego dzieła. Pod tym ostatnim względem szkodaby była, żeby to zaszło; bo jakkolwiek mamy to wejrzenie za błędne i niesłuszne, ale ponieważ w obcych literaturach długi czas było panującym, ponieważ zaprzeczyć nie

można, że i u nas było w obiegu, dobrze więc, że w obrazie narodowego pisarza pozostało dla śladu. Życie podobno to ma przeznaczenie, żeby wyczerpać wszelką myśl i wszelką kombinację myśli; sam błąd, żeby przeszedł i nie wracał, musi się przejawiać.

Warto prawdziwie zastanowienia, że z tego sprawiedliwego widoku, iż ludzie z geniuszem żywsze mają uczucia, płomienniejszą imaginację od reszty, wyciągniono tak błędny wniosek, że właściwa im a nawet przyzwoita różnić się od innych dziwactwem i dziecinnością postępków. Dzieje się tak niestety, ale to wtedy, kiedy uczuciom serca i porywom wyobraźni nie panuje żaden przewodnik w rozumie, w przyzwoitości towarzyskiej, w karności religijnej; wtedy ich zapędy nie są zaiste torem genialnym, ale właśnie zapomnieniem na geniusz, wybocheniem zwierzęcej natury; nie rozjawiają jego szlachetną, ale owszem spodleniem i zmarnowaniem. Pojmujemy np., że ów wrodzony sercu ludzkiemu egoizm silniej szturmuje do namiętnego serca, ale zupełnie niewłaściwie, ażeby to serce tem też mu się łatwiej poddawało, — owszem szło za pierwszemi jego poszeptami, jak dziecię uwiedzione widokiem cacka. Jest to geniusz brać za jedno z dziecinną płochością, albo z chęcią nierozumnego bydlęcia. Jak upadła się wielce Gustaw, kiedy łamiąc wiarę i przywiązanie do dobrej żony, zamienia ją na napotkaną przypadkowo stronniczkę swoich literackich upodobań. Nietylko nie wierzymy odtąd w jego rozum i uczciwość, ale pomimo wszelkich jego rozpraw o duszy kwiatków, mamy go za człowieka płytkiego i zimnego serca, kiedy w nim upodobanie chwilowe mogło zagłuszyć tak łatwo ów wzgląd na cierpienie ukochanej osoby, owe przywiązanie do spółniczki losu, które w tkliwej duszy z każdym dniem, z każdą godziną się rozrasta i niebawem dwa istnienia w jedno i nierozdzielne na doczesność i wieczność spaja. Wystawiać, że człowiek z wyższym umysłem dla dogodzenia pierwszemu upodobaniu może przynosić tak wielkie ofiary, zrywać tak silne związki, tak nieczule siebie samego nad wszystko przekładać, jest to wystawiać, że człowiek godziwie może nie mieć innego celu w życiu, jak dogodzenie samemu sobie; jest to stawiać go niżej od tych wszystkich dusz pospolitych, które z nim mają sprzecz-

ność stanowić: bo jużciż taki marzący samolub nie jest w niczem wyższy od głupiego skąpca, podłego spekulanta, całej tej ciżby wiążącej dusze w brudnych uciechach tutejszego świata. Biednyż to geniusz, który się tylko obaleniem szczęścia własnego i spodleniem się dobrowolnem dowodzi! Lecz nie sam Gustaw służy w dziele, o którym mówimy, za przykład niepodobieństwa genialnemu człowiekowi trzymać się cichego i prostego toru zwyczajnego życia; dowieść tego potężniej jeszcze mają przytoczenia z biografii artystów, stanowiące epilog. Widzimy tam ludzi pamiętnych imion w sztukach, występujących przed swymi współczesnymi z płodami rzadkich talentów i postępками szalonymi, a przynajmniej zupełnie dziecinnymi. Mająż one być nierozłączne? mająż ostatnie być warunkiem pierwszych? Nigdy się na to nie zgodzimy; pierwsze są tylko przejawą geniuszu; drugie dowodem, że lub nieszczęśliwa epoka, lub fatalne okoliczności, lub położenie towarzyskie i stosunki życia, nie dozwoliły połączyć ten geniusz z wyższem pojęciem celów człowieczeństwa, z szacunkiem, na który zasługiwałyby te rzadkie przymioty od samych szczęśliwych ich posiadaczy. Przyznaliśmy już wyżej, że namiętniejsze dusze łatwiej dojdą do zbytków w każdym rodzaju, lecz kiedy te zbytki są widocznie potępienia warte, nie uszlachetnia ich w naszych oczach udział, który w nich brali geniusze, ale owszem w nich mamy widzieć przyczynę, dlaczego się te geniusze jeszcze okazalej, jeszcze obficie nie przejawiały. Wskutek tylko oblędu ostatniej epoki, która miała cały porządek rzeczy wywrócić na nice, i dla nowości sprawy wszystko dawniej pogardą okryte za rzecz ważną i uczciwą ogłaszała, stało się, że w anegdotach o nieporządnem życiu artystów szukano źródła ich talentu; ktokolwiek zna wycieńczający wpływ rozpusty na władze moralne, nie uzna w niej zapewne żywiołu talentu. Jeżeli widzimy tyle przykładów geniuszów, których życie było ciągiem sprzeczności, bujania samopas pod natchnieniem chwilowych namiętności; zadziwienie nasze na ten widok ustać powinno, kiedy się zastanowimy, jak do dzisiejszej pory publiczna karność moralna zostaje na niskim stopniu, jak właśnie zbywało jej na środkach ujęcia najznamienitszych umysłów i jak rozliczne mniemania panowały, że jest dla nich niepotrzebna i szkodliwa?! Dzisiej-

szy wiek dopiero, gruntując ideę religijną, ustawia naturalnie panowanie prawa, uczciwości i rozumu nad człowiekiem w powszechności, nad geniuszem i ubogim w duchu zarówno, i nikomu pod żadnym pozorem walki przeciwko niemu nie przebacza. Ta dążność, jeżeli się ustali, przeważne zaiste zmiany spowodzi i istotnie nowy okres stanowić będzie. Należy najnamiętniej tego pożądać; tymczasem ci wszyscy, którzy chcą zalecić geniusz jako szlachetną część ludzkości i znamię odróżnienia od pospolitej ciżby, nie mogą przestać na wystawieniu go w niezmiennej naturze gwałtownego ale ślepego uczucia, widnego z przejaw świetnych, ale nieraz bardzo blizkich szaleństwa. Za to go dość powszechnie miewano, i usprawiedliwia to w części owe tysiąc razy klątwą okryte sądy pospolitego zdrowego rozsądku, który go pogardzał, a przynajmniej który go się lękał. Najstosowniej będzie dowieść, co jest istotna, że to tylko zewnętrzne i najszkodliwsze jemu samemu wpływy, duch czasu, kraju, towarzystwa, wiodły go czasami do tych dzikich nadużyć; lecz sam z siebie usposobiony był jedynie do przejawień wzniosłych, czystych, rozumnych. Kiedy mówię r o z u m n y c h, nie wywodzę tego przymiotnika od wyrazu rozum, który w nowem i najpospolitszem rozumieniu kładą jako władzę duszy w wielkiej hierarchicznej niższości od geniuszu;... gdzie tam? mają go ledwie nie za przeciwieństwo geniuszu; ja używam tu wyrazu rozum, jako sumienia myśli, jako sądu, czy też rzecz dana z żadnej strony zarzutowi i naganie nie podlega. Taka tylko rzecz, jest rzecz rozumna. Jeżeli geniusz jest siłą, rozum jest władza. Ostatnia może godziwie wymagać od pierwszej, żeby na rzecz słuszną była użyta; może jej naznaczyć pęd i kierunek, da wsparcie i pomoc, według tej myśli, w którą choćby jak w przypuszczenie wierzyć można, że najzacniejsze władze ducha naturalnie się sprzymierzają i godzą. W powierzchownem nawet wejrzeniu łatwo zmiarkować, że poważny widok życia, wyższe cele użytku naznaczy dla geniuszu, niżeli niewiadomość i poziome pojęcia o przeznaczeniu człowieka, tak samo, jak w moralności nauka poświęceń i cierpliwości innym będzie żywiołem dla duszy, jak przestawanie na zaspokojeniu zwierzęcych gustów i swawoli!! Byłoby w biografjach geniuszów nietyle ulicznych i szynkownych anegdot, ale o ileż mniej

mogliby być zapoznani te zaszczyty ludzkości! W najogólniejszem zdaniu byłaby to różnica geniuszu w ludziach, od geniuszu w dzieciach.

Tak samo, jak zbytek władz i życia w genialnych duszach otacza je niebezpieczeństwem nadużycia, albo wywarcia na niegodne przedmioty; równie też niespokojność umysłu im właściwa, że chcieliby przeniknąć w głąb bytu, wtedy, kiedy jej żaden przewodnik nie służy, dowiedzie łatwo do rozpaczliwej pogardy życia, do cierpkiego nieukontentowania z siebie i ze wszystkiego. Zaledwie wynurzamy się z przeciągłej epoki, gdzie ten czarny zamęt kłębił się we wszystkich głowach, a w sztuce wyjawił przez poetyzm Bajroński. Niektórzy myślą, że jest to ostateczną poezją ekscentryczną, tak jak rozczerwujące i rozpaczliwe myśli, z których powstaje, są ostatecznym wypadkiem wszelkiego logicznego, potężnego i genialnego myślenia. Dziś już można zaprzeczyć, żeby tak było. Wejrzenie to, obnażające tak doskonale całe życie, jest ostatniem dojrzaniem umysłu, zostawionego samemu sobie; lecz stanowisko następne, wyższe od poprzedzającego, chociaż także takiej wyniosłości, że pod niem życie maleje i znika, przynależy wejrzeniu geniuszu, oświeconego przez najwyższą mądrość i prawdę, przez objawienie. Narowem ludzi wykarmionych plewą światowej mądrości XVIII wieku, i tutaj jak we względzie moralności, gotowiśmy się obawiać, ażeby ta prawda opowiadania zarówno mędrcom i prostaczkom nie zrównała głów genialnych pod poziom głów pospolitych; lecz to jest marne lękanie: bo chociaż religia daje jednostajne pewniki dla wszystkich, ale zaiste nie sprawi, ażeby dusze wrzące zamieniły się w dusze obojętne i nietrwożne nigdy zagadką bytu; uspokoi je nie przez nieczułość, ale owszem przez ukazanie im wyższych widoków i szlachetniejszych nadziei. Ostatni wypadek myśli badającej życie jest przekonanie o nicości tutejszego świata, jestto to samo, co religia jako najprostszą prawdę ogłosiła; lecz podczas kiedy odkrycie myśli oburza człowieka, do narzekań i walki go powołuje, twierdzenie religijne jest spokojne, bo objawia to jako rzecz koniecznej i dostatecznej przyczyny. Jednem z miejsc, wywierających najdzielniejsze wrażenie na czytelnika Świata i Poety, jest lekcya anatomiczna; — lecz nie wiedzieliśmy-że

dawniej, że człowiek składa się z nieśmiertelnej duszy i śmiertelnego ciała, które ostatecznie nie jest w niczem innym różnie od każdej innej ziemi, każdego innego prochu? Znajduję wszelako właściwem to wystawienie dotykającego obrazu znikomości: śmierć ciała nie zdaje się być ku temu głównie wymierzona, ażeby trwożyć ducha widokiem nicestwa, i zmysłowe dowody śmierci stawiać w walce z instynktem tylko i nadzieją nieśmiertelnego życia? W uczuciu religijnem nie zapoznajemy bynajmniej tej przeraźliwej rzeczywistości; nie jest nam wzbronno nawet przenikać się zgrozą tego widoku; słabym tylko umysłem godzi się zejść stąd do grubej doktryny materyalizmu. My przeciwnie, pojmując, że zawsze śmierć fizyczna powinna była pozornem zniszczeniem człowieka przerażać; rzeczywisty widok sali anatomicznej, obraz poety, który nam wszystkie jej obrzydliwości odsłania, uważamy za wspierające to mocne wrażenie, które nam wytrzymać nie zawadzi; lecz wynosimy stąd jeszcze szersze przekonanie o różnicy pomiędzy duchem ożywiającym a organami, które mu służyły, póki ich do swych usług używał. Tak samo wejrzenie poety, które wykrywa wszystko złe i niedoskonałość tego świata, wykrywa istotną prawdę, lecz taką, którą umysł religijny dawno znał i spodziewał się, dlatego panuje nad nią z wysoka i do niepotrzebnej z nią walki, do gniewu nań i oburzenia nigdy nie schodzi. W umysłach religijnych musi być zatem pogoda i cierpliwość, których inne nie znają, a które nie są wcale nieczułością. Owszem, człowiek wierzący cierpi zarówno z całą ludzkością wszystkie ciosy, nieodłączne od pielgrzymki po tej krainie próby, lecz znosi to, uznając za warunki swojego bytu. Wiara jego nie uwalnia go od cierpienia, ale naucza go z szlachetną je cierpliwością ponosić. Ci, którzy zasadzają wielkość człowieka w cierpkości, rozczarowaniu i sile melancholii, do których według ich mniemania dostępuje tylko śmiały umysł, zgłębiający wszystkie sprzeczności, czczość i smutek tego życia, myślą się, kiedy zapoznają, że przy religijnem wejrzeniu, te sprzeczności, ta czczość, ten smutek, są równie widne i ciągle umysłowi przytomne, a to właśnie że wierzymy, jako te prawdziwe znamiona doczesności są konieczne i w wyraźnych, lubo teraz dla nas nieprzenikniętych celach dopuszczone, daje tym pomysłom i czuciom rozle-

glejsze jeszcze wymiary melancholii, przy których dzieciństwem jest najszczytniejszy gniew Bajroński na świat i ludzi. Jest bowiem i siła, i energia w poddaniu się chrześcijańskiem, w znoszeniu życia, od którego odbieramy tysiączne bole; w przywiązaniu do pewnego, chociaż nieznanego porządku, fenomenów, sprzeczności i bezładu, które dostrzegamy. Zresztą inna jest natura cierpień odnoszonych z niesłusznych wymagań po życiu, albo ze skutków własnych przewinień (na co się zwyczajnie skarżą poeci rozczarowania), od cierpień, które wytrzymuje człowiek z nieszczęść nieuniknionych, z nieszczęść warunków bytu jego na tej ziemi, bez winy, bez oburzenia, bez skarg, poddając serce pod krwawe ciosy, w boleści, której wie, że niema tej ziemi ratunku i lekarstwa, a w zagrobowej tylko nadziei, że tam się dopiero odsłonią tajemnice Miłosierdzia, które mu wytłumaczą cel tych niewymownych udręczeń życia.

Niech się nikomu nie zdaje dziwnem, że bronię religijności pod względem sprzyjania melancholii życia, która zdaje się wielu osobom (i niezupełnie niesłusznie) głównym żywiołem poetyckim. Ci mniemają, że stała wiara zawraca do martwej i ograniczonej spokojności. W tem nawet religijność jest przyczyną postępu; rozszerza ona jeszcze granice i oddzielność melancholii pojmowania świata, lubo wstrzymuje ją w godziwych szrankach i zamiast urojonych, daje jej sprawiedliwe przyczyny.

Rzecz uwagi godna, że podczas kiedy wizerunek poety, skreślony według wyobrażeń niedawno panujących, a nawet i teraz w połowie przynajmniej istnących, wydał się nam wielce niewłaściwym, upatrzyliśmy wzór najodpowiedniejszy naszym pojęciom w tym względzie w poecie XVI wieku, w Janie Kochanowskim. Jest to rzecz bardzo naturalna, o tyle bowiem musi nam być jednorodną wszelka przynależność religijnej choć oddalonej epoki, ile jest obcym i sprzecznym graniczący z nami okres. Jan Kochanowski jest wyższy człowiek i chrześcijanin razem; dzisiaj każdy wyższy umysł musi odpowiadać wyobrażeniom chrześcijańskim, jeżeli ma być synem swojej epoki, nie zaś opóźnionym za wielkiem i ostatniem stanowiskiem czasu. Nim zaś epoka nasza zdobędzie się na wzór takiego męża, godziwie

bardzo możemy go szukać w wiekach nieposzczerbionej idei religijnej, szczęśliwiej, że nasza własna literatura następcza nam wizerunek tak doskonały, jak wieszczą z Czarnego Lasu. Mam za prawdziwą zasługę pisarzowi, który ukrył swoje nazwisko pod tyle razy wspomnianym pseudonymem, że dotknął tak istotnego względu; radbym, żeby kto jeszcze rozwinął tę samą myśl szczegółowiej, w poważniejszym nawet tonie i w umiejętnem skreśleniu wizerunku Jana Kochanowskiego, który przy skromnym i spokojnym biegu swego życia był tak genialnym, tak czułym, tak wzniosłym, wystawi ów godny wzór człowieka, do którego nie możnaby zbliżyć nawet poety według ostatnich wyobrażeń, żeby się nie okazał chyba śmiesznym tylko histryonem ¹⁾.

Po najdziwniejszej przerwie czyli zawieszeniu wyobrażeń religijnych, Europa dziś do nich powraca; przynajmniej jawne i liczne są tego ślady, a jeżeli te nie zawiodą, jeżeli szczególnie fatalizm jaki nie zwiedzie na uboczne te szczęśliwe dążenia, zostanie godziwie myśleć, że świadkami jesteśmy najważniejszego i wielce błędnego kroku ludzkości. Prace pokoleń, koszt doświadczeń, koszt klęsk, walka wyobrażeń, wszystko, z czego się ostatni wypadek rzeczy wysnuł, nie mogą pozostać bez śladu, stąd więc ta zmiana nie może się uważać za prosty powrót, za wznowienie dowolne raz już umarłej przeszłości (jak to niektórzy utrzymują); nie, to będzie peryod nowy, peryod samoistny, peryod postępu, który we wszystkim musi wystąpić z własnym obliczem. Wszyscy wiemy, że dwuwiekowy kończący się okres, który najwłaściwiej okresem reformacji nazwaćby można, był wypadkiem rozumu powstającego nad wiarę, dzisiaj przeświadczenie rozumne o pierwszeństwie i nieomylności wiary jest zapewne zawodem niemniejszej i niemniej osobliwej ery. Śród właściwości tej rodzącej się w oczach naszych

¹⁾ Nie mamy takiego wizerunku J. Kochanowskiego. Dawniej silono się tylko na cześć deklamacye. Krytyka w Przyjacielu ludu przed kilku laty umieszczona, była wcale gruntowna, ale ciężka, oderwana, zbyt technicznie niemieczczyzną odbijająca. Panna Tańska napisała jakąś chwalebą biografię, gdzie nawet nazwisko Kochanowskiego od kochania, jak gdyby jaki Jezuita wywodzi. Uwagi o pismach Kochanowskiego przez byłego profesora Borowskiego z wielkim naszym żalem spoczywają w rękopiśmie.

przyszłości w rozmaitych względach, jakim uleż będzie musiał nagięciom geniusz można dziś chociaż z wątplych analogii wnosić.

Żeby wszelako uniknąć nieporozumień, teraz do wyrazu religii wiążących się, znajduję stosownem opowiedzieć z góry, że ile razy mówię o Chrystyanizmie i powrocie do Chrystyanizmu, rozumiem zawsze rzeczywistą naukę naszego kościoła i przyjęcie jej, nie zaś nieokreślne widzimi się modnych dzisiejszych pisarzy, albo rozliczne zapędy tak słusznie potępione od stolicy apostolskiej. Najłatwiejszą próbą rozeznania istotny Chrystyanizm od tylu dzisiejszych doktryn, pożyczających tego płaszczyka, byłoby pamiętać, że nasza religia nie jest bynajmniej modłą, do której innych nagiąć powinniśmy, ale według której własne namiętności karcić nam i poskramiać należy; nie namawia ona nas do reformowania świata, ale do poprawy osobistej, do starania się o doskonałość własną, czyli jak skromniej nazywa, o zbawienie; obiecuje błogość nie przez odmiany towarzyskie, ale przez pilnowanie dróg sprawiedliwości przez każdego pojedynczego człowieka, zgoła, jest ona dla nas prawem, a nie orężem. Jedyne więc zasady, zgodne z jej mądrością, są miłość ludzi, skromność ducha, baczność nad sobą, a dla wszystkich innych powolność i wyrozumiałość.

Wtedy więc tylko przyznam, że duch religijny rozwija się we właściwym sposobie i w zawarowaniu od groźących mu teraz zboczeń (na które uskarżałem się w innem miejscu), kiedy zacznie działać w swoim zwyczajnym charakterze trybu moralnej uprawy na umysły i serce, kiedy zacznie działać z dawną powagą i prostotą, a w tem cechę wieku wykaże, że przyjmowany będzie z przekonaniem na doświadczeniu opartem, że on jest jedynym i najdoskonalszym środkiem doskonałości i jej warunkiem. Ta wiara, poślubiona przez umysły przodkujące wiekowi i ludom, przez artystów, przez geniusze, przez piszących, rozproszy natychmiast wszystkie wyobrażenia o mniemanych cechach wyższości i talentu w rozpasaniu się na szaleństwo albo na namiętność; wrazi myśl, że ani talent pisarza, ani charakter artysty nie może się udowodniać tem, co jest poniżeniem człowieka; zaszczepi nadewszystko wstyd i obrazę sumienia puścić się tą drogą dobrowolnego błędu. Tak mistrzując

nad sumieniem i postępami artysty, wpłynie naturalnie na sposób, w który przejawiać się będzie w artystycznym dziele. Tu zbiega się filozofia moralna i krytyka literacka.

Wyniknie naturalnie z powyższego założenia, że wszystkie zewnętrzne przesadne okazy muszą zostać powściągnięte, że wszelkie uczucia muszą zejść do samych rzetelnych, głębokich, w duszy skupionych; pomysły więc nabiorą nieznanym dotąd gruntowności, będąc oparte na szczerości i przekonaniu; uczucie będzie przenikliwsze, jako mimowolny prawie wylew nieudanej, ale urodzonej i powszechnie pojętej tkliwości.

Wszystko zaś to wyjawi się radziej przez pośrednie, niżeli przez bezpośrednie środki, co zawrze sztukę w najwłaściwszych dla niej granicach; skracając bowiem wodze temu zbyt uczynnemu liryzmowi, który żywi się to mędrkowaniem umysłowym, to manią obnażania się teatralnego i który zapłynął całą dzisiejszą poezję, zwróci ją raczej ku poważnemu epos i żywej dramaturgii. Niech bowiem co chcą mówią, poznaką poety jest możność tworzenia postaci ludzi żywych, świata i życia swojego wymysłu. Ten, który posiada ten dar szczególny, przejawia swój obraz myślenia, swój sposób czucia przez ten tryb artystyczny. Wielka owa karność chrześcijańska, którą będzie wywierał nad sobą, posłuży mu do pojmowania bezstronnego, ogólnego, z wysokiego punktu świata i ludzi, ich losów, ich namiętności i gry ich życia. W tym ostatnim widzieć on będzie zachwycający i nieprzepatrzony świat, który od t w a r z a ć jest powołany, i takim sposobem na tej kończyźnie cywilizacyi znowu będzie miejsce temu niepofałszowanemu odwzorowywaniu się rzeczywistości w poezyi, które nad młodzieńczemi epokami jak jasna luna dotąd świeci.

Stanęliśmy tu wobec kwestyi obszernej, różnostronnej, nowej; powiem przynajmniej, jakimi ogniwami myśli się moje tu wiążą.

Myślę, jak wszyscy myślimy, że wstąpiliśmy od lat kilkunastu w epokę zupełnie nową; lecz widzę zaród tej nowej ery nie w czem innem, tylko w przeświadczeniu rozumu o potrzebie zacności i nieomylności wiary. Po gruntowaniu się wyobrażeń religijnych miarkuję stopień dojrzewania nowej epoki, usamo-

wolnienie się jej od przeszłości, coraz wyraźniejsze odróżnianie od niej.

Sądzę, że te zmiany pociągną za sobą zmiany w całym ogóle, w wyjawie ducha, a zatem i w poezyi; o tej ostatniej duchu i kształtach wnioskuje.

Wbrew mniemaniom, że Chrystyanizm uduchowcił na zawsze poezję i dał przewagę liryce i idealizmowi, zdaje mi się naprzeciw, że w epoce to spokojnej i doskonale chrześcijańskiej zjawi się znowu doskonała poezya obiektowa, realna.

W religijnem bowiem dopiero oświeceniu i uspokojeniu trafimy na prawdziwy punkt widzenia natury i świata, i będziemy mogli ją odobrazowywać zupełnie. Tak było zawsze w epokach wiary, co liczne przykłady potwierdzają; a ponieważ dzisiejsza ma to być wiara gruntowniejsza i całkowitsza niż kiedykolwiek, jako przez ludzkość na postępie uzyskana, rozumienie natury powinno też być teraz zupełniejsze jeszcze i doskonalsze.

Że ugruntowanie się religijnej cywilizacyi wyda poezję przedmiotową, możemy wnosić chociażby z tego, że epoki przechodowe zupełnie przeciwne temu płodzą zjawiska. W istocie wśród wyobrażeń wrzących, ścierających się z sobą, wątpliwych, nic rzetelnego nie powstaje. Myśl niespokojna nie może stworzyć obrazu skończonego. Widzimy tego najjawniejszy przykład na poezyi Bajronowskiej. Lary, Konrady, Giaury są uosobieniem myśli rozpaczliwych o świecie i życiu. W odpowiedzię myślom błędnym, powstaje świat z pół szatanów i z pół-aniółów, ale nie z ludzi rzeczywistych złożony; świat sofistyczny, różny od istotnego. Świat ten jest dziki, posępny, wzniosły; ale zapewne świat rzetelny celuje go harmonijną proporcją, a szczególnieją tą niewyczerpaną różnaitością, przy której ustawiczna jednostajność tamtego jest nigdy niezamaskowanym śladem ubóstwa.

Według takiego wyobrażenia o naturze postępu, leżącego dzisiaj przed ludzkością, nic dziwnego, że nie wszystko, co dziś mają za krok ostatni, mam jeszcze za takowy; a niejedną przejawę niby nowego ducha, widzę za pochodzącą wyraźnie od przeciwnego jemu pierwiastku niedosnutej przeszłości.

Tak samo jak idea religijna, dzisiaj chodząca, z trudnoś-

cią otrząsa się z nawyknień bujającego rationalizmu, tak samo w sztuce barwami chrześcijańskimi chcą osłonić dawne natchnienie. Stąd niemało jest dzisiaj utworów, które mają stanowić nową szkołę, a nie stanowią jej bynajmniej. Takimi są, według mego mniemania, epiczne fragmenta Lamartina; takimi u nas nawet niektóre poemata. Kiedy postrzegam wybujałość marzeń, zaciekłość namiętności, wyobrażenia o świecie w złem czy dobrem przesadzone, widzę, że ten poeta używa jako obcej przyprawy znaków chrześcijańskich, tworzy dalszy ciąg tej poezji ognistej, która niedawno była najjawniejszym symptomatem gorączki i cierpienia wieku; płodem człowieka, który cierpiąc od życia i nie wiedząc, na jaki to cel on cierpi, rwał się przynajmniej w sztuce samowolnie niem rozrządzać. Nie jest to jeszcze płód duszy uleczonej, uspokojonej chrztem prawdziwej wiary. Ciągłe bowiem powtarzam, że Chrystyanizm nie jest systemat filozoficzny, ale prawo moralne; widny on nie przez słowa, ale przez uczynki. Chrześcijanin wie, że ten świat jest znikomy, koniecznie niedoskonały, padół płaczu i cierpienia, naznaczony na szranki bolesnego doświadczenia; nie namawia go więc żadna namiętność, żadna gorycz, żadne zamniemanie geniuszu, ażeby ten świat według własnego wyobrażenia przetwarzal; ale jeżeli w nim jest zdolność twórcza, będzie go bez usiłowania swobodnie i ustawicznie odtwarzał, i to dopiero jest poezya rzetelna, szczerza, nigdy niewyczerpanej treści, jak sama natura.

Jest to kilka tylko w bardzo małej liczbie względów wielce zajmującego przedmiotu; boję się wszelako, ażeby i te nawet nie okazały się równie powierzchownie dotknięte, jak niespodziewanie (zdawać się komu będzie) w tę rozprawę zajęte. Ten ostatni zarzut byłby niesłuszny. Mówiąc o tem, jak wyobrażenia o poezji i poetach, niedawno jeszcze panujące, przestały rymować z wyobrażeniami ostatniego stanowiska pojęć, przywiedzeni zostaliśmy naturalnie do mówienia, czem jedna i druzy, według nich i w zgodzie z niemi będą?..

Stąd wypadło nam wytłumaczyć się, za co głównie uważamy nowe dążenie wieku?.. i wyznaliśmy za wielką liczbą znakomitych głosów, że za wzmagającą się powagą idei wiary; następowało pytanie: jaki będzie poeta religijny?.. jakie będą

utwory poety katolickiego?... a to ostatnie wiodło do rozległych i zupełnie nowych literackich widoków. Na niektóre z nich ukazał się chociaż pobieżnie. Przestajemy tą razą na odsłonięciu samem tego obszernego horyzontu nowej krytyki, którą nazwiemy krytyką katolicką. Dotąd bowiem wejrzeniu krytycznemu panowały przeważnie wyobrażenia innego rodowodu; od niejakiemu czasu poznać się dało dążenie ku zmianie stanowiska; teraz za ustaleniem się nowych pojęć, czas ażeby otwarcie one przewodniczyły sądowi gustu i rozumu. Zostaje więc obejrzyć w zupełnie nowem świetle całą prawie literaturę; zostaje odtąd zdanie o rzeczach i osobach zasadzić nie na przeminionych i cudzych, ale na obecnych i własnych naszych pojęciach; zostaje, uchylając niedorozumienia, zgodzić sąd nasz literacki z ogółem mniemań, które za prawdziwe i wiarę naszą mające ogłaszamy.

Otóż tej to zgody dotąd niedostawało. Za zasługę sobie kładę, że pierwszy tu krytykę literacką na wyraźne stanowisko katolickie wprowadzę. W wątlej tej rozprawie sama ważność, rozległość i nowość przedmiotu utrudzała mi wyłożenie jego porządne i jasne; lecz nie wątpię, że odtąd i mnie i każdemu łatwo będzie tę myśl rozwinąć w jej ciągu, następstwach i szczegółowych przystosowaniach.



CVII.

TYSZYŃSKI ALEKSANDER.

(1811—1880).

Po r. 1831 i wyjeździe Mochnackiego z kraju, przez długi czas nie było w Polsce wybitnego krytyka. W r. 1837 ukazały się dwa dzieła pokrewnej treści, których autorowie odtąd przez szereg lat stali na czele krytyków, w kraju piszących: »Literatura i krytyka« Grabowskiego i »Amerykanka w Polsce« Tyszyńskiego. Po r. 1840 powaga Grabowskiego jako krytyka powoli maleje, Tyszyńskiego — wzrasta; od r. 1854 (od wydania »Rozbiorów i krytyk«) Tyszyński dzierży już berło krytyki, na filozofii ugruntowanej, przez czas dłuższy niepodzielnie.

Tyszyńscy pochodzili z województwa krakowskiego; w w. XVIII osiedli na Podolu. Ojciec Aleksandra, Erazm Tyszyński, prawnik z zawodu, urzędnik w Sądzie Głównym podolskim, ożenił się z Teresą Sartyni (wołoskiego pochodzenia). Zostawszy plenipotentem ks. Michała Ogińskiego, przeniósł się do Helenowa w powiecie Oszmiańskim (gub. Wileń.), a w parę lat potem osiadł w Petersburgu. Dnia 21 maja r. 1811 urodził mu się tu syn Aleksander. Wiodło się w Petersburgu Erazmowi Tyszyńskiemu nieźle, bo prowadził dom na pańską stopę przyjmując u siebie przedstawicieli sfer arystokratycznych i dygnitarских. Po wojnie 1812 r., wraz z interesami księcia Ogińskiego zachwiały się interesy i jego pełnomocnika. W 1815 Erazm Tyszyński udaje się w sprawie swego patrona do Warszawy i na Litwę, pozostawiwszy rodzinę w Petersburgu. W Mińsku, po krótkiej chorobie, umiera, zdala od rodziny. Wdowa z dziećmi porzuciła stolicę nadnewską (w 1816) i zamieszkała w Mołodecznie na Litwie, ale już w następnym roku przeniosła się do pobliskiej Miassoty (w pow. wilej.), przekazanej jej przez ks. Ogińskiego na własność, tytułem wynagrodzenia za trudy przez Erazma Tyszyńskiego około jego interesów położone.

Aleksander Tyszyński uczył się w szkole OO. Trynitarzy w Młodziecznie, w której przed nim pobierał nauki Tomasz Zan, a przygotował go do niej brat jego, Stefan. Mając zaledwie lat 15, wstąpił Tyszyński do uniwersytetu w Wilnie, na wydział prawny, w r. 1825, równocześnie z Słowackim. W czasie studyów Tyszyńskiego i Słowackiego uczęszczali do uniwersytetu wileńskiego m. i. Hipolit Klimaszewski, Józef Mianowski, Stanisław Kierbedź, Ignacy Hołowiński, Konstanty Tyszkiewicz; czy się z nimi znał Tyszyński, niewiadomo. Uniwersytet ukończył w r. 1828, a więc w tym samym roku, co Słowacki; obaj ze stopniem kandydata obojga praw. W pamiętniku swoim wspomina Słowacki z goryczą, że ominęła go pierwsza nagroda, przeznaczona dla najbardziej celującego, której był pewny, i że się ona »komu innemu dostała«. Tym »kim innym« był właśnie Tyszyński. (zob. L. Janowski. Lata uniwersyteckie Słowackiego. Lwów, 1909, str. 36).

Po ukończeniu nauk wrócił Tyszyński do Miassoty. W powstaniu r. 1830—31 udziału nie brał. W 1832 r. został urzędnikiem kancelaryi powiatowej marszałkowskiej w Wilejce, a wkrótce potem — sądu gubernialnego w Mińsku. Po trzyletnim urzędowaniu udał się Tyszyński w r. 1835 do Petersburga i tu oddał do druku pierwszą swoją pracę literacką — »Amerykankę w Polsce«; ale ukazała się ona dopiero w r. 1837. Przez lat kilka (3) był też Tyszyński współpracownikiem »Tygodnika Petersburskiego«; umieścił w nim m. i. artykuł o Mochnackim i Grabowskim p. t.: »Dwaj ostatni krytycy w Polsce« (1837).

Powróciwszy na Litwę, Tyszyński został wybrany na sejmiku w Mińsku (pod koniec r. 1835), na 3 lata sędzią granicznym, poczem przeniósł się do Warszawy, gdzie w 1839 r. otrzymał posadę w Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych. Bywał na zebraniach literackich w salonach Rozalii Rzewuskiej, Niny Łuszczewskiej, Lewockiej, Nakwaskiej, Leona Łubieńskiego i innych. Zawiązał serdeczny stosunek z A. J. Szabrańskim, redaktorem »Panoramy literatury krajowej i zagranicznej«, któremu jeszcze w r. 1839 dał do oceny dramat, jak sądził Krupiński, (a za nim Chmielowski), nieznaną z tytułu i drukiem nieogłoszoną, bo skrytykowaną widocznie przez Szabrańskiego. Był to zapewne wydrukowany w »Przeglądzie Warszawskim« Skimborowicza z r. 1840, w streszczeniu i w wyjątkach, dramat w trzech obrazach, p. t. »Próba«. Po chybionej »próbie« dramatycznej i chybionych również trzech obrazkach powieściowych, wydanych p. t. »Morena albo powieści blade« (1842), Tyszyński zwrócił się niemal całkowicie w dziedzinę krytyki literackiej, oddając się jednocześnie studjom filozoficznym; pomieszczał, od czasu do czasu tylko w »Bibliotece Warszawskiej« i w »Przeglądzie Naukowym« poezye oryginalne i tłumaczone. Głównym odtąd polem działalności piśmienniczej Tyszyńskiego staje się »Biblioteka Warszawska«, do której pierwszych założycieli należał, wraz z Michałem Balińskim, Leonem Potockim.

i Antonim Szabrańskim. Przez lat 40, aż do zgonu, był Tyszyński najczynniejszym współredaktorem i współpracownikiem tego pisma. Pierwszą pracą, którą w nim umieścił, była cenna na swój czas rozprawa: »Rys historyczny oświecenia Słowian« (1841); najobszerniejsza, rzecz w »Bibliotece« r. 1850 i 1851 drukowana p. t.: »Początki filozofii krajowej«. W r. 1854 zebrał Tyszyński wszystkie swoje artykuły, w ciągu lat 12-stu z górą w »Bibliotece Warszawskiej« ogłoszone, i wydał je w trzech tomach p. t. »Rozbiory i krytyki«. Zamykają one pierwszy okres współpracownictwa Tyszyńskiego w najstarszym miesięczniku naszym.

W roku następnym (1855), po śmierci brata Kazimierza, gospodarującego w Miassocie, Tyszyński opuścił Warszawę i wrócił na Litwę. Wybrany teraz został »deputatem dworzańskim« z powiatu wilejskiego do Zgromadzenia Szlacheckiego w Wilnie. W dwa lata po powrocie Tyszyński (1857) zaślubia pannę Felicję Frybesównę, córkę Wincentego Frybesa, b. gubernatora archangielskiego.

Obowiązki ziemiańskie, nieraz uciążliwe, nie zrywają łączności Tyszyńskiego z literaturą i nauką. Pisuje (1856) do »Dziennika Warszawskiego« i późniejszej »Kroniki wiadomości krajowych i zagranicznych«, bierze udział w redakcyi »Teki Wileńskiej« (1857), umieszcza artykuły literackie w »Piśmie zbiorowem« wileńskim (1859), w »Kuryerze Wileńskim« i w »Gazecie Codziennej« warszawskiej; do »Biblioteki Warszawskiej« posyła w r. 1860 p. t. »Trzy loiki«, ustęp z dzieła, nad którym oddawna już pracował, a które miało mieć napis: »Książka o biegu dziejów czyli Logika filozofii praktycznej«.

Z powodu zmiany warunków ekonomicznych po r. 1861 i 1863 i uszczuplenia się dochodów z gospodarstwa, Tyszyński podążył pod koniec r. 1865 znowu do Warszawy, do której zawitał po 10-letniej w niej niebytności. Mianowany profesorem historii literatury polskiej w Szkole Głównej, objął katedrę w r. 1866. Wykładał przez lat trzy, aż do przekształcenia Szkoły głównej na uniwersytet rosyjski w r. 1869. Wykłady jego odznaczały się sumiennością, metodycznością i źródłowym opracowaniem. Pomimo krótkiego swego profesorstwa, zdołał Tyszyński wykształcić kilku wybitnych później historyków literatury i krytyków; z ich grona wyróżnili się szczególnie Chmielowski i Chlebowski.

Po ustąpieniu z katedry, Tyszyński zabrał się do wykończenia dzieła, nad którym pracował lat około 30-tu, i które uważał za najważniejsze z dzieł swoich, owej »logiki praktycznej«; przerobiwszy ją ostatecznie, wydał w r. 1870 pod zmienionym tytułem: »Pierwsze zasady krytyki powszechnej«. Następnie, w ciągu lat trzech (1870—73) ukazał się cały szereg jego studyów literackich w »Bibliotece Warszawskiej« i w »Kronice Rodzinnej«: o »Wizerunku« Reja, Szymonowiczu, Starowolskim, Komedyi polskiej XVIII w., Marcinie Bielskim, Wacławie Potockim, Drużbackiej... które, wraz z późniejszymi, o Kadłubku, W. Polu, Kondratowiczu, przedrukowano w jednym zbior-

rze (z wyjątkiem rozprawy o Potockim) p. t. »Wizerunki polskie« w Bibliotece najcenniejszych utworów (1875). Osobno wydano »Dwie Świtezianki«.

W r. 1873 Tyszyński opuścił po raz drugi Warszawę i wrócił do swej Miassoty. W tym samym roku (d. 7 lipca) krakowska Akademia Umiejętności wybrała go na swego członka czynnego. W ostatnich latach, oprócz kilku większych i mniejszych rozpraw, pisał Tyszyński przeważnie sprawozdania krytyczne do »Biblioteki Warszawskiej«, »Kroniki Rodzinnej«, »Ateneum«.

Zmarł 5-go listopada 1880 r. w Miassocie. Pochowany w Radoszkowicach.

Znaczenie Tyszyńskiego najtrafniej określił Chmielowski w zdaniu: »Tyszyński był pierwszym u nas gruntownie w filozofii wywiczonym krytykiem literackim«. Istotnie, nie był nim ani Brodziński, ani nawet Mochnacki, wielbiciel zrazu metafizyki niemieckiej, której się potem wyparł, ani tembardziej Grabowski. W chwili, kiedy 24-letni Tyszyński rozpoczynał swoją działalność na polu krytyki, starszy latami Grabowski, który już wtedy miał 10 lat pracy krytyczno-literackiej za sobą, występował z głównem swem dziełem, a więc z sądem wytrawnym. Z młodzieńczym jeszcze zapałem Tyszyński rozprawia o poezji w »Amerykance w Polsce«, określa, czem jest w długim wywodzie, ale nie stara się jeszcze sformułować krótkiego określenia, dać definicyi poezji; czyni to już Grabowski (»Poezja — sztuka jest to swobodna kreacja umu ludzkiego, nosząca na sobie znamię piękności« — Liter. i kryt. I, 68). Grabowski sięga nawet głębiej i stając na gruncie filozoficznym, (choć krytykiem filozoficznie wykształconym nigdy nie był), dochodzi do przekonania, że właściwie cała natura, t. j. świat widomy, jego fenomena (zjawiska), które odpowiadają czemuś, co jest poza granicami naszej wiedzy, jest wytworem naszej wyobraźni, a więc poezją (Liter. i kryt. I, 32...). Takiego stanowiska wobec pojęcia poezji Tyszyński w r. 1837, filozoficznie jeszcze nie wywiczony, zrozumieć nie może. (Zob. »Dwaj ostatni krytycy w Polsce«). Później, po latach studyów filozoficznych, Tyszyński tworzy sobie definicyę poezji, którą odtąd, z małemi modyfikacyami, powtarza w swoich rozbiorach utworów poetyckich (Zob. np. Rozb. i kryt. III, 14, 178—9, Pisma kryt. I, 283). Pogląd Tyszyńskiego na poezyę da się odrzuciwszy niejasne jego wysłowienie, sformułować w sposób następujący: »Głównym żywiołem poezji« jest fantazya; poeta więc jest twórcą, przetwarza bowiem (nie naśladuje, przerabia) artystycznie rzeczywistość (podmiotową czy przedmiotową), albo cudze pomysły Tak np. Słowacki (jak Szopen) przetwarzał samoistnie motywy cudze i tworzył, jakby się wyraził Tyszyński, »coś nowego«.

Przeciwno mniemaniu, że sztuka sama sobie jest celem, które Grabowski podzielał, Tyszyński, rozbierając jego »Literaturę i krytykę«, jeszcze nie występował; uczynił to później, w walce przeciwko heglistom, Kremerowi i Libeltowi. Grabowski sądził, że »poezya wy-

maga nieodzownie inspiracji swobodnej i nie cierpi w żadnym razie innego celu, jak siebie samą« (Liter. i kryt. I, 74). Tyszyński godził się z Grabowskim tylko pod tym względem, że natchnienie uważał również za niezbędny czynnik poezji: »Poeta nie pisze wtedy, kiedy pragnie, ale kiedy mu natchnienie przybywa«. (Zob. »Ameryk. w Polsce« I, 248...).

Spostrzegłszy niejednorodność charakteru poezji polskiej, odrębności w duchu i w stylu poezji twórców oddzielnych prowincyi, Tyszyński skupił niektórych poetów XVIII-go i XIX-go w. w pewne grupy, które nazwał »szkołami«. Każda prowincya Polski: Litwa, Ukraina, Mazowsze, Kraków i t. d. »ma oddzielną przeszłość, oddzielne podania ludu, oddzielną naturę wokoło i oddzielne niebo«... »Jakie były przyczyny, które jedną lub drugą (poezyę) stworzyły: niebo, ziemia, czy ludzie« — o tem, jak sam Tyszyński wyznaje, nic pewnego powiedzieć nie może, można bowiem tylko domyślnie co do tego tworzyć zasady. Przyznawał wprawdzie, że np. klimat na umysłowość człowieka »wywierać wpływ musi.. Stąd mamy ów podział poezji świata na południową, której cechą imaginacya wesola, i na północną, której melancholia matką« (»Ameryk. w Polsce« I, 246—7) ale tego czynnika i innych nie podkreślił wyraźnie i myśli swojej nie rozwinął. Starał się to uczynić, w 50 lat potem, Chlebowski, idąc za wskazówkami Taine'a, i wykazał dobitnie znaczenie różnic terytoryalnych, etnograficznych, i t. d. dla naukowego badania dziejów literatury polskiej ¹⁾. Z teorią Taine'a Tyszyński się nie godził, przyznając wpływ główny na rodzaj i jakość twórczości czynnikowi duchowemu, tkwiącemu w indywidualności twórcy (Zob. »Wizerunki polskie«, 207—208, i »Pisma kryt.« I, 147—8). Wszystkich wybitniejszych poetów polskich nie udało się Tyszyńskiemu podzielić na »szkoły«; takich szkół upatrzył tylko cztery: litewską, ukraińską, puławską i krakowską. Poza tem, wbrew swej zasadzie terytoryalnej, (zresztą »puławska« nie reprezentuje nawet prowincyi), wspomina jeszcze o »rycerskiej szkole«, do której zalicza Godebskiego, Goreckiego, Tymowskiego i t. d. czyli t. zw. legionistów. O wielu poetach nie wie, do której szkoły ma ich odnieść; niektórzy, według niego, sami dla siebie wyłączną stanowią szkołę. Tyszyński sam czuje chwiejność swego podziału. Charakterystyki szkół i poetów są naciągane lub niedokładne, a powody, dla których tego lub owego poetę zaliczył do pewnej grupy, bardzo słabo są uzasadnione. Sam to przyznaje co do Woronicza. Charakterystycznym jest, że poetów nie grupuje na klasyków i romantyków; a czyni to rozmyślnie. (Zob. »Pisma kryt.« I, 437). Pod wpływem Tyszyńskiego niektórzy historycy literatury (Bartoszewicz, Nehring) dzielili potem poetów XIX w. na »szkoły«, wogóle jednak nazwy te się nie utrzymały, z wyjątkiem »szkoły ukraińskiej«, określenia używanego i przez

¹⁾ Zob. rozprawę Chlebowskiego »Zadanie historyi literatury polskiej« w Ateneum 1885 i w »Pismach«, I.

Grabowskiego. Można się jednak zgodzić na zdanie Chmielowskiego, że »obok pracy Mochnackiego (O Literaturze pol. w XIX w.), obok jednostronnej i pesymizmem przejętej rozprawy Goszczyńskiego («Nowa epoka poezji pol.») traktacik Tyszyńskiego »O szkołach poezji polskiej« przedstawia się jako najlepszy, najpełniejszy i najbezsronniejszy na owe czasy zarys poezji naszej z początku w. XIX«.

Inny podział Tyszyńskiego — dziejów literatury na okresy — również się nie utrzymał. Podał go Tyszyński w swej »Prelekcji wstępnej w Szkole Głównej« w r. 1866 (Pisma kryt. II). Podział ten jest niewątpliwie oryginalny, ale sztuczny, nienaturalny, jak też podobne podziały Maciejowskiego, Majorkiewicza i innych. Upatrzwszy analogię między rozwojem duchowym narodu a rozwojem pojedynczego człowieka, podzielił Tyszyński dzieje literatury polskiej na 3 okresy: 1 okres pamięci (od XII—XV w.), odpowiadający okresowi dzieciństwa (główne utwory — kroniki); 2 okres fantazyi (1500—1650) odpowiadający okresowi młodości (główne utwory — poezye) i 3 okres rozważgi (1650—1800), odpowiadający wiekowi męskiemu. Wieku XIX go wprawdzie do tego podziału nie włączył, ale uważał go niewątpliwie za ciąg dalszy okresu rozważgi. Podział ten jest wynikiem ogólnego poglądu Tyszyńskiego na dzieje rozwoju umysłowego ludzkości. Jak ludzkość wogóle, tak i pojedynczy naród przechodzi, według niego, przez trzy stadia rozwojowe, podobnie jak pojedynczy człowiek. Ludzkość w rozwoju swoim »przeżyła niegdyś dobę swego dzieciństwa, dobę młodości, a dzisiaj w wiek swój męski wstępuje. W dobie pierwszej wzniosła i wyraziła swoją zbiorową pamięć, w następnej zbiorową fantazyę, w obecnej, jak musi wznieść, tak i mieścić, jeden zbiorowy sąd. («Pierwsze zasady krytyki powszechnej» I, str. III; por. »Rozb. i kryt.« I, str. XVIII). Podział zatem Tyszyńskiego dziejów literatury na okresy jest podziałem filozoficznym, nie historycznym, jedynie racjonalnym. Odbił się w nim wpływ tryjady heglowskiej.

W rozprawie, oryginalnie pomyślanej, p. t. »Dwie Świtezianki«, Tyszyński dał charakterystykę poezji naszej w okresie, »który się zaczął w r. 1822 a ukończył w r. 1862«. Napisał ją w formie t. zw. przez siebie »paraleli« czyli przeciwstawienia sobie dwu utworów, z jednej strony pokrewnych, z drugiej wręcz, kontrastowo odmiennych. Tyszyński pierwszy u nas używał tej formy w rozbiorach krytycznych¹⁾. Do tej kategorii należą jeszcze jego rozprawki: »Stefan Czarniecki« i »Pacholę hetmańskie« i »Dwie poezye przedśmierne — ojca i syna Słowackich«.

Tyszyński był jako krytyk subiektywistą (»Kryterjum prawdy w nauce i piękna w sztuce w nas samych jest«. Cel krytyki. Rozb. i kryt. I, XV) uznającym, jak sam powiada, jeden kodeks krytyczny:

¹⁾ Tę formę krytyczno-badawczą przejął od swego mistrza Chmielowski, pisząc rozprawę »Dwie Sobótki«.

»pamięć na przyszłość« (Wizer. pol. str. 273). W sądach swoich jest zwykle wytrawny i spokojny; nie na wszystkie atoli jego sądy można się zgodzić. Tak np. »Grażynę« nie docenia i wyżej od niej stawia »Mindowsa« Kraszewskiego (Pisma kryt. II, 704, I, 456); nie docenia Mochnackiego, Garczyńskiego; przecenia natomiast Gosławskiego, Józefa Massalskiego, Deotymę, Siemieńskiego, Boguckiego (»Pisma kryt.« II, 295).

W »Amerykance w Polsce« Tyszyński posługuje się jeszcze manierą pseudoklasyków, którą już Mickiewicz wyszydził w »O krytykach i recenzentach warszawskich«, — charakteryzowania poetów, ich utworów lub stylu za pomocą nic nie mówiących określników. Szczególniej upodobał sobie określnik słodki, słodycz, słodkość; (np. »styl Odyńca ma więcej jeszcze, niż styl Mickiewicza słodyczy; Niemcewicz odznacza się słodkością stylu; duch słodki Schillera; Feliński najśłodszy z poetów; Euz. Słowacki słodki prozaista; styl wiersza Korzeniowskiego budują słowa słodkie; Szymonowicz w stylu słodki, najśłodszy w czterowierszach i t. p.)

Artystą słowa Tyszyński nie był; pisał stylem ciężkim i zawiłym, miał swoje ulubione słówka, którym nadawał nieraz odmienne znaczenie, formy przestarzałe i zwroty, niezawsze zrozumiałe, (np. zawarcie, rozwicie, stanność, istnąć i t. d.)

Jako filozof, Tyszyński był zależny od filozofii niemieckiej, pomimo, że wobec Hegla zajął stanowisko krytyczne i, wraz z Trentowskim, Libeltem i Cieszkowskim rozwijał ideę filozofii narodowej. (Zob. »Początki filozofii krajowej«, t. j. narodowej i »Pierwsze zasady krytyki powszechnej«). Struve uważa Tyszyńskiego, jako kierującego się w wywodach swych filozoficznych względami praktycznymi, za poprzednika t. zw. pragmatyzmu.

Ostatecznie, objawszy wieloletnią działalność Tyszyńskiego, naukową i literacką, zgodzić się trzeba z Chmielowskim, że Tyszyński »gruntownością, bezstronnością, wytrawnością smaku i głębokim filozoficznym poglądem przyczynił się w wysokim stopniu do rozwoju uświadomienia narodowego«.

BIBLIOGRAFIA.

I. Pisma Tyszyńskiego: Osobno wyszły: »Amerykanka w Polsce« 2 t. Petersburg, 1837. — »Rys historyczny oświecenia Słowian« Warszawa, 1841 (przedruk z Bibl. Warsz.). — »Morena albo powieści blade«. Warszawa, 1842. — »Rozbiory i krytyki« 3 t. Petersburg 1854. (Tom I zawiera rozprawę wstępną »Cel krytyki« (I—XVI) oraz »Początki filozofii krajowej« (1—424), w której autor rozbiera głównie dzieła przedstawicieli filozofii idealistycznej w Polsce (w 1 poło-

wie w. XIX), poprzedziwszy rzecz ogólnym rzutem oka na rozwój filozofii aż do Hegla; w t. II i III zebrał Tyszyński recenzje swe i krytyki, przeważnie w »Bibliotece Warszawskiej« umieszczane (z l. 1841—54); niektóre w przerobieniu. — »Pierwsze zasady krytyki powszechnej« 2 t. Warszawa, 1870. W »Dodatkach« do t. II przedrukował Tyszyński: wyjątki z dwu rozbiorów dzieł Majorkiewicza i Maciejowskiego, oraz rozprawy: »Cel krytyki« i »Trzy loiki« (z Bibl. Warsz. 1860). — »Dwie Świtezianki czyli rzut oka na ostatni okres poezji polskiej«. Warszawa, 1871 (odb. z Bibl. Warsz.). — »Wizerunki polskie« Warszawa, 1875. (Bibl. najceln. utworów liter. europ.); obejmują rozprawy: Wincenty Kadłubek, »Wizerunek« Mikołaja Reja, M. Bielski, Szym. Szymonowicz, Szym. Starowolski, Elżb. Drużbacka, Komedia polska w w. XVIII, Ludw. Kondratowicz, Winc. Pol (druk. przedtem w Bibl. Warsz. i Kron. Rodzinnej). Nie weszło do tego zbioru studjum o Wacławie Potockim, druk. w Kron. Rodz. 1874, a przedruk. w r. 1880 przy »Wojnie Chocimskiej« (Bibl. najceln. utw. liter. europ.). — »Pisma krytyczne« 2 t. Kraków. 1904 (zebrał Piotr Chmielowski); zawierają ważniejsze artykuły i rozprawy z czasopism wydobyte, nie objęte poprzednimi zbiorami; przedrukowano tu nadto trzy listy o literaturze polskiej z »Amerykanki w Polsce« i studjum o Winc. Kadłubku z »Wizerunków polskich«, oraz cztery artykuły, nie należące do zakresu krytyki: »Sextus«, podanie rzymskie, »Czynsz czy pańszczyzna«, »Ty, wy, pan« i wspomnienie o Antonim Muchlińskim. Oprócz rozbiorów znajdujemy tu następujące rozprawy: »Prelekcję wstępną historyi literatury polskiej z r. 1866« (z Bibl. Warsz.), dwa wykłady w Szkole Głównej, z rękopisu ogłoszone: »O pisarzach historyi literatury polskiej« i o kronice Galla, »Dwie Świtezianki«, »Doświadczenie jako kryterjum prawdy« (z Bibl. Warsz. 1876) i »J. I. Kraszewski i jego powieści historyczne« (z Ateneum 1877 i 1879). — Artykuły swe i rozprawy krytyczne pomieszczał Tyszyński w »Tygodniku Petersburskim« (od r. 1837), w Piśmiennictwie krajowem (1840), »Przeglądzie Warszawskim« (tu wyjątki z dram. »Próba« 1840), Bibliotece Warszawskiej (od r. 1841; najwięcej) w »Athenaeum« Kraszewskiego (tu w r. 1847 o »Listopadzie« Rzewuskiego), »Przeglądzie Naukowym«, »Dzienniku Warszawskim« (i »Kronice wiadomości kraj. i zagran.), »Kuryerze Wileńskim«, »Gazecie Codziennej«, »Kronice Rodzinnej«, »Kłosach«, »Ateneum«, »Tygodniku Ilustrowanym«, Piśmie zbiorowym wileńskim (1859), Encyklopedyi Wychowawczej (art. »Bojaźń Boża« w t. I). — Z rzeczy, pominiętych lub przeoczonych przez Chmielowskiego w ostatnim zbiorowem wydaniu pism Tyszyńskiego, na wyróżnienie zasługują: wspomnienie »Józef Kraszewski w Warszawie w grudniu 1846 r.« (Kłosy 1880) i rozprawy: »Korespondencya Mickiewicza« (Kron. Rodz. 1875), »Stefan Czarniecki i Pacholę hetmańskie« (Kłosy 1873), »Wacław Potocki« (Kron. Rodz. 1874), »Dwie poezye przedśmiertne — ojca i syna Słowackich« (Tyg. Ilustr. 1879). — Listy Tyszyńskiego: trzy

do Michała Wiszniewskiego, w Kronice Rodz. 1886, trzy do Kirkora i Odyńca, w »Księdze Pamiątk. Mickiewiczowskiej« (1898).

II. O Tyszyńskim pisali: Chmielowski: »A. T. Zarys biograficzno-literacki«, oparty na materiałach rękopiśmiennych i wspomnieniach rodziny, na czele t. I »Pism krytycznych« Tyszyńskiego (1904).

Tenże: A. T. — w wydawn. »Szkoła Główna Warszawska«. Tom I. Kraków, 1900. (Charakterystyka Tyszyńskiego jako profesora). —

Tenże: A. T. w »Dziejach krytyki literackiej w Polsce«. Warszawa 1902. (Charakterystyka Tyszyńskiego jako krytyka). — Fr. Krupiński: »A. T.« Bibl. Warsz. 1881, t. I. (Charakterystyka Tyszyńskiego jako filozofa). — T. Grabowski: »A. T. jako krytyk literacki«, Pamiątkowa Księga dla Tarnowskiego. I. Kraków, 1904. — Struve:

Historia logiki jako teorii poznania w Polsce. Warszawa, 1911. — G. Korbut: O Aleksandrze Tyszyńskim. Pamiętnik Literacki. 1905. —

Zob. nadto artykuły o Tyszyńskim: Wójcickiego w »Kłosach« 1866, K. Kaszewskiego w »Tyg. Ilustr.« 1866, A. Pługa w »Kłosach« 1880, Chmielowskiego w »Tyg. Ilustr.« 1880 r.

A) »Amerykanka w Polsce« (1837).

(»Amerykanka w Polsce«. Romans. 2 części. St. Petersburg. 1837).

Powieść napół psychologizna, napół dydaktyczna, napisana w formie listów; pierwsza powieść psychologizna w naszej literaturze; (po Tyszyńskim dopiero wystąpili z takimi powieściami Szyrmer i Żmichowska).

Legionista Adolf Rajewski, po rozbiciu się w r. 1802 okrętu, dążącego do St. Domingo, dostał się do Huronów w Ameryce Północnej. Tu ożenił się z Indyanką Karistą. Po latach kilkunastu wysłał swą żonę, wraz z córką Anakoaną, na Litwę, do Minogrodu; tu z woli stryja i ojca zaręczyła się z Władysławem Odorskim, ale pokochała Zbigniewa, młodzieńca o usposobieniu wrażliwym i zmiennym, o bujnej wyobraźni i umyśle refleksyjnym i krytycznym. Zbigniew pokochał gorąco Anakoaną, ale gdy ona rzuciła mu się w objęcia, zerwał z nią i wyjechał. Gdy wrócił do kraju, zastał już Anakoaną zamężną. Zbigniew jest fatalistą, ale wierzy jednocześnie w wolną wolę człowieka. Jest on główną postacią powieści i charakterystyce jego psychy poświęcił Tyszyński najwięcej uwagi. — Do osnowy powieściowej wplótł Tyszyński kilka rozpraw, pisanych przez Karistę, zdającą mężowi sprawę ze swoich studyów na Litwie: »O religii chrześcijańskiej« (Cz. I, str. 79—90); »O języku polskim« (I, 155—211); »Rys historyczny oświecenia w Polsce« (II, 1—16); »O szkołach poezji polskiej« (II, 17—108); »O dawnej poezji polskiej« (II, 120—186); »O poezji polskiej komicznej« (II, 187—209).

Podajemy dwa ustępy: *a)* z osnowy powieściowej, z rozmowy o wpływie klimatu na człowieka i rodzaj literatury, o natchnieniu i o poezyi gminnej, oraz *b)* z rozprawy »O szkołach poezyi polskiej«.

844) *Cz. I. Str. 246—272. List XX. Zbigniew do Walerego.*
...»Tak jest, odpowie Pan Pryzma, i cośkolwiek w tym sporze o doświadczeniu powiedzieć mogli, nie przestaje ono być jawnem w tem, że na rodzaje ludzi wpływ klimatu jest widoczny; dla czegoż innego byłby Europejczyk białym, zachodni Indyanin miedzianym, a mieszkaniec Afryki czarnym? Czyliżbyśmy odmiennych naznaczać im przodków chcieli?«

— Tego, rzekłem, dowodzić nie myślę, i owszem wierzyć musimy, że jak na ciało, tak i na dowcip człowieka klimat wywierać wpływ musi, dowodzę tylko, że nie na stopień, ale na rodzaj wpływa; i oto nowy jest dowód, jak jedną i tęż samą uwagę brać ilorako możemy. Przez długie lata i wieki ludzie jednego kraju zostają w dzikości stanie, nagle odmienia się obraz, lubo nie zmienia się klimat. Za czasów dawnego Rzymu Galia, Germania, Brytania były to zapewne barbarzyńskie ludy, któż więc zaręczy, że i te, które są nimi dzisiaj, nie zmieniają się w ciągu wieków? Co większa, oto wiek jeszcze nie mija, jak klimat dzisiejszych Niemiec do natchnienia geniuszem za niesposobny był miany, a oto tegoż wieku umysłowe dzieje jak świetnie odparły potwarz. Co do wpływów fizycznych zatem, to tylko tu dodać możemy: że rodzaj klimatu, rodzaj tego powietrza, które nad nami krąży, w siłę żywotną się wpaja, wpływa w odcieniu swoim na rodzaj natchnionych geniuszów; stąd mamy ów najpierwszy i najwyraźniejszy (przynajmniej w niepopsutych początkach natchnienia) podział poezyi świata: na południową, której cechą imaginacya wesoła, i na północną, której melancholia matką. To zaś wszystko, co mówię, dodałem, nie nazwę doświadczeniem zapewne; doświadczenie albowiem bierzemy za rzecz skończoną i dowiedzioną, tu zaś zostaje pole do dalszych postrzeżeń, warunków i wniosków; a utrzymuję i twierdzę, że nie wadą to klimatu było, iż pierwsi Ameryki ludy tak długo w zupełnym dzikości zostawały, i jeszcze zostają, bycie.

— »Mocno przeprosić muszę, odpowie mi P. Pryzma, ale co mię z tego wszystkiego zadziwia najmocniej, to w ustach

zimnej rozwagi słyszane słowo natchnienie, i gdyby zaczęto ze słowników mniej potrzebne wykreślać słowa, to zaprawdę o biedne natchnienie mocnoby się trwożył. Cóż bowiem jest to natchnienie, które tak świetnem nazywać lubią imieniem? Jest-że to ów wykrzyknik, który się wyciska miłem albo bolesnem wrażeniem? jestże to jaka nowa serca albo umysłu władza, nowego znaczeniu swemu wymagająca dźwięku? i nie jestże to raczej nadanie świetnego brzmienia temu pospolitemu słowu, które po prostu zwykło się mówić uczucie?»

— Natchnienie, rzekłem, jest to uczucie, to pewna, jednak między natchnieniem, a uczuciem prostem różnica jest nader wielka; wszakże i brylant jest kamieniem tylko, a przecie odmiennego wymaga nazwiska. Za najlepszy tu dowód różnicy natchnienia od innych codziennych uczuć położyćby można to, iż osoby, które go nie doznały, pojąć go nawet nie mogą. Natchnienie jest to ogień, obejmujący umysł, stawiający mu nowe ludy i nieznanne światy; natchnienie jest to siła niezatrzymana niczem, budząca do wcielania ludzkich uczuć w słowa; rodzaje jego są liczne, jak liczne mogą być źródła; jedno unosi, drugie rozrzewnia; jedno nas dręczy, drugie mile bawi. Są natchnienia tak silne, udzielane Twórcą, że posuwają umysł do widzenia przyszłości nawet, jak to widzimy w poezjach hebrajskiego ludu. Owe źródła natchnienia, dodałem, są niewyliczone; może nas natchnąć natura, może piękne oko, może wielkość Boga i Niebo. Jaka zaś tegoż natchnienia jest rzadkość i nad inne uczucia wyższość, czują najlepiej to ci, których jest ono udziałem, czują to wieszcz. Poeta nie pisze wtedy, kiedy pragnie, ale kiedy mu natchnienie przybywa; im ono silniej uderza, tem potem naglej opuszcza. Miłość pozostała własna, chęć udzielenia natchnień, każe rozumem dotaczać przerwy utworu i tak go potem objawić; i stąd to w płodach geniuszu te nagle spadki i zmiany. Spokojne natchnienie talentu może go utrzymywać ciągle w przyjemnej równości; geniusz podnosi się wyżej, lecz też i niżej upada. Wszystko to jest dowodem bytności natchnienia. I nie jest to, wręście dodałem, gwałtowne wrażenie uczucie, owszem, przybywa ono, gdy uspakaja się umysł i gwałtowność uczucia przemija.

Te powiedziawszy słowa, znudzony przydłuższą rozmową,

nie czekając odpowiedzi, wstałem i do milszego przesunąłem się grona; ujrzałem wolne miejsce przy Anakoanie i tam usiadłem. Moja rola kochanka uczynić mi to kazała.

Ona się uśmiechnęła, kiedym się do niej przybliżał.

— »Dziękuję ci, rzekła, Zbigniewie, za tve uczone rozmowy; kiedy się nimi zapalisz mocno, pamiętać musisz o tem, co cię otacza, mocno czuć musisz serca, co koło cjebie biją; gdyś mówił o przekleństwie naszej ziemi ludów, każdyby sądził, że one ci obce zupełnie«.

— Jakżeś niesłuszna, rzekłem, o Anakoano, mamyż się zdradzać przy świecie; ale jeśli to wszystko, com o natchnieniu mówił, może mieć jaką zaletę, spojrzuj mi w oczy choć na jedną chwilkę, niechaj dziękuję tym, co pierwsze poznać je dały.

— »Pierwsze ci dały poznać, rzekła, ściskając mi skrycie rękę, po co ta obłuda, Zbigniewie; czyliżeś nie widział przede mną natury, która, jak powiadasz, równie natchnąć może«. I jakby zazdroszcząc skrycie: »co do mnie jednak, dodała, przyznam się, że nie mogę pojąć, jakim sposobem to, na co patrzymy z dzieciństwa, niepowszedniem wrażeniem natchnąćby nas mogło«.

Jam już nie kochał, ale Anakoana tak była piękną dnia tego, że myśl szatańska w tej chwili nagle mię objęła.

— Natchnienie jedno, rzekłem, nie jest równe drugiemu, dlatego, Anakoano, natchnienie twojego oka nazywam najpierwszem mojem; ale byćże to może, aby tve czule serce nie mogło pojąć natchnienia pięknej natury; patrzymy na naturę z dzieciństwa, to pewna, lecz nie zawsze ona jest jedna; o, gdybyś o wschodzie słońca mogła tę widzieć dolinę, po której strumyk szeleści i którą odcienia gaik, tę naprzykład dolinę, co leży za drzewy tamtemi; wody wtedy strumyka czyściejsze, rzeźwiejsze i żwawsze, gaika cichość bardziej uroczyta, piękność jego nowsza i pogodniejsza; gdybyś, Anakoano, mogła tam być o tej porze, poznałabyś wtedy, co to jest moc natchnienia.

— »Spróbuję jutro«, odpowie, czulej wzrok topiąc w mych oczach, a ręka, jak głos jej drżały; »jutro tam będę, by poznać, czyli istotną są prawdą twoje, Zbigniewie, słowa«.

Kobieta, która kocha, żadnej prośbie nie da odmowy, byleby nie występny był pozór.

— Jutro tam będziesz o wschodzie słońca, rzekłem, o jakąż rozkoszą będę się poił ukryty, jeśli twe oczy odwołujące ujrzę, zadane kłamstwo mym ustom!

Mówiliśmy jeszcze chwil kilka, Anakoana była szczęśliwa i o jutrzejszym tylko wspominała ranku.

Tymczasem powołany, zmuszony byłem powstać i przybliżyć się znowu do kończących spór o natchnieniu; z natchnienia poszło do szczegółów poezyi, i o niej teraz mówiono. P. Pryzma oburzał się na poezye gminu, będące utworem prostego, nieokrzesanego dowcipu, i stąd na poemata z owych poezyi tworzone, na w nich zawarte dziwactwa.

— »Dziwactwa w nich są wielkie«, powie Henryk, który się niemiłosiernie poważną rozmową nudząc, pragnął jakkolwiek ją zmienić, a może i inny powód miał jaki, w którym go podejrzewam mocno; blisko bowiem nas siedział, gdyśmy z Anakoaną poufałą wiedli rozmowę, a głos jego, którym się odzywał, nie był głosem szczerego, właściwego mu zawsze wesela — »dziwactwa w nich są wielkie, mówił, tak jest; jest jednak zawsze razem i pewna nauka; teraz np. słyszałem już o balladzie żydowskiej, umiem ją nawet na pamięć; ballada ta, wyjąwszy, że jest żydowska, z wielu mi się względów podoba«. Zaczęto prosić, aby ją powiedział; zdaje się, że Henrykowi szło o to właśnie, z radością się zgodził i gdy się wszyscy uciszyli, tak głosem złośliwym zaczął:

Lija.

(Ballada żydowska).

Sluchajcie pieśni, dziewice młode,
Pięknej wam Lii śpiewam przygodę,
Czulej jak miesiąc, jasnej jak zorze,
Powabnej myśli w każdej dnia porze.

Efraim z Sarą miał córkę Liję,
Zrobił ją mądrą po długim trudzie,
Kochał ją, ściszał i dalby szyję,
Iż nie jest taką, jak inni ludzie.

»Proś ją do gości — ona się chowa,
Mów jej o mężu — ona jak skała.
Cud nie istota na moje słowa!«
A Lijka na to skrycie się śmiała.

— »Odwiedź, żołnierzu! odwiedź nasz kątek,
Weźmij mię z sobą, ja mam ochotę,
Ale żołnierzu, nie przychodź w piątek,
Nie w piątek tylko, ale w sobotę.

W sobotę rano przyjdź tamtą grzędą,
Jak tylko zacznie świt się rumienić,
Rodzice w szkole modlić się będą,
A my, żołnierzu, będziemy się żenić.

Przywiedź trzy konie, ale z wózkami,
Na jeden włożym kufer bogaty,
Na drugi wózek suknie, piernaty,
Na trzecim wózku pojedziem sami«.

W sobotę rano przybywa żołnierz,
Na piękną Lijkę mruga z oddali;
Ona drży, leci, chwyta za kołnierz,
Na wózek skacze — i pojechali.

A żołnierz zaraz — w miłość się odziać
Cieszył się z Lijką, bawił się, klócił;
Gdy się nacieszył, nie miał gdzie podziać,
Powiózł do rzeki — i w rzekę wrzucił

— »O ja nieszczęsna!... o ty zwodniku!...
Już woda we mnie, jam w wodzie cała;
Pośród zgryzoty ginę ja krzyku,
Ojcam ni matki nie pożegnała.

O Niebo!... daruj!... jakżeś skaralo!
Ach, moje nogi szarpie gad srogi,
Ach, moje ręce u ryby w szczęce,
Ach, moje ciało, jak ślizkie ciało!«

Taką to Lii śpiewam przygodę,
Słuchajcież pieśni, dziewice młode,
Czule jak miesiąc, jasne jak zorze,
Pieśń tę śpiewajcie o każdej porze.

— Co za przekłeta ballada, myśliłem i długo nie śmiałem zmieszany spojrzeć na Anakoanę; gdym się jednak ośmielił, ujrzałem ją śmiejącą się, wesolą i najspokojniejszą; kobiety nieraz więcej daleko mocy i przytomności mają, i nas odważnych i śmiałych ratują i wiodą jak dzieci. Sam jednak lękając się wydać z mojem zmieszaniem, starałem się czynnie oddać nowozaczętej rozmowie.

— »Ciekawy jestem, powie P. Pryzma, wysłuchawszy cierpliwie ballady, co znaczy wyrażenie *czule jak miesiąc*«.

Henryk, który z rodzaju miłości własnej czuł powód uniewinniania ballady:

— »Zapewne, powie, pieśni tej twórca uważał miesiąc czułym, że lice jego bywa nieraz czułych obrazów świadkiem; albo też może dlatego, że lice jego jest zadumania pełne; i wreszcie może dlatego, że od kochanka-słońca jest wzięte«.

— »Treścią ballady tej, rzekłem, zda mi się być pieśń gminna, w niektórych guberniach Litwy śpiewana«.

Tu znowu P. Pryzma na pieśni gminne powstał, na gust tych, którzy je wyszukują: »Jeżeli już tak poeci nasi polubili bliskość natury, rzeczy, czemuż już lepiej nie smakują w sielankach; nie jestże to właśnie pieśń gminna, piórem wykształconego smaku oddana?«

Miałem potrzebę mówienia, chwyciłem się podanego przedmiotu.

— Lubo wyrazy *gmin* i *sioło*, rzekłem, tak są znaczeniem blizkie, poezya jednak gminna różni się wiele od sielskiej; poezya sielska jest ta, która ma lud wiejski za przedmiot, poezya gminna jest ta, którą sam lud ów tworzy; pierwsza mając na celu kreślenie rozmów lub obyczajów ludu, zawsze musi być płodem spokojnego ducha, wyobraźni sztuką popsutej, naśladowniczej; druga przeciwnie samego natchnienia jest dzieckiem, stąd zawsze życia i wdzięku pełna, w myśli i wyrażenia nowa, mocą natchnienia błyszcząca. Wypracowaniem więc tylko może

sielanka od pieśni gminnej być wyższą, z każdej zaś innej strony pierwszeństwa ustąpić jej musi. Dzisiaj Teokryt i Gessner mało zajmuje kogo, przeciwnie w Europie całej wyszukują się gminu natchnienia. Statystyk i historyk, filozof i poeta, z równą chciwością je zbiera, równe owoce z nich ciągnie. Nie skąpe to zapewne dla miłośnika moralnych badań, dla filozofa źródło, gdzie widzi, jak niepopsuta natura ludzka z otaczających przedmiotów wrażenia odbiera, jak je drugim udziela, jak i jakim kształtem; jak harmonią duszy z harmonią mowy łączy.

Obficie zasili się jeszcze ów dziejów ludzkich badacz, który z piosenek dawnych poznaje narodowego w każdym czasie ducha, uczy się obyczajów i zwyczajów ludu, z uwagą je roztrząsa, natrafia na podobne w oddalonych krajach, stąd wgląda bliżej w ich dzieje, słucha ich języka, dochodzi dawnych ich ze swoim związków, ich wzajemnych stosunków; nowe mu błyska światło w zbyt ciemnej nauce o przesiedlaniu się ludów; ich początkowych dziejach; a i do późniejszych czasów historyi i prawodawstwa uczony komentarz pisze. Możebyśmy, mówi jeden z pisarzy, doszli z piosenek naszych, że z nad Gangesu idziemy. Nieraz jedna myśl pieśni, nieraz i jeden wyraz jej przeniesienie się zdradzi; w śpiewach np. ludu, z których wzięta ballada, którąśmy dopiero słyszeli, nieraz natrafia się wzmianka o kryciu kitajką zmarłego, kiedy tymczasem lud ów nietylko obrządku podobnego nie zna, ale nawet nie wie, co to jest kitajka; trafia się nieraz wzmianka o cisowem drzewie, o którem nie wie nawet, czy jest gdzie na świecie; z pomiędzy tychże śpiewów są jedne podobne całkiem do pieśni wielko-rosyjskich, inne znów do śpiewanych litewskim językiem, do serbskich i nowogreckich.

Jeżeli jednak filozof i historycznych prawd badacz tak wieloliczne owoce ze śpiewów gminnych wyciąga, ileż ich ciągnie poeta, ile poezya, która właśnie głównym ich celem, a raczej źródłem była. Oryginalność myśli, wyrażen i zwrotów, duch i kształt tworów owej poezyi gminu podaje geniuszowi poety nowe zasady do utworzenia nowej, odrębnym duchem błyszczącej. Dziś mianowicie, przy usuniętem tyle od miejscowej domowej natury, a tak podobnem do siebie wszystkich

europijskich ludów wychowaniu, samo tylko zajrzenie do natchnień prostego ludu oświecić drogę nam może. Słabą jest sama przez się wyobraźnia siłą. Królowa władz umysłowych, zewnętrznych wrażeń jest slugą¹⁾. Jest ona czystem zwierciadłem, jest jasnym morzem bez głębi, otaczające przedmioty bez końca odbijającym, ale wymaga przedmiotów, które odbijaćby mogło. Ludy, pośród płaszczyzny i pustyń żyjące, w silne widoki ubogie, więcej wrażenia ciągną z czytania opisów obcych, niż z tego, co ich otacza; ich natchnienie bywa pośrednie, poezya ich naśladowną; lecz jeśliby te ludy zapragnęły wiedzieć, jakie to silne władze po ich ziemi krążą? co po niej rozsiane serca, nietknięte złamanym smakiem, może poruszyć, unosić? — niech zajrzą do pieśni ludu, on nie zna cudzego nieba, on obcych natchnień nie czytał; te jego pieśni będą odpowiedzią.

Jakoż każdego kraju narodowa poezya ze śpiewów ludu wzrastała. Z pieśni Eumolpa, Orfeusza i owych Skolijów powstała poezya grecka; z bretońskich bardów, minstrelów i skalatów, wzrosła Anglików i Szkotów; z trubadurów teutońskich niemiecka; z przedstawień prostego ludu wzrósł hiszpański dramat. Poeci Rzymsey naśladowali Greków, Włosi i Francuzi jednych i drugich; dlatego też ani Francya, ani Rzym stary i nowy narodową poezją chlubić się nie mogą. W Polsce jej nawet dawni poeci nie pogardzali pieśnią gminu. Jan Kochanowski w opisanu święta sobótek, w śpiewach w niem przytaczanych, tak jest prostotą, naturalnością myśli i wiersza blizkim poezyi ludu, iż nie możemy nie wierzyć, aby lub wprost jej przekładaczem nie był, lub arcyblizkim naśladowcą; Zimorowicz wyraźniej jeszcze w sielankach i Roxolankach swoich ze znacznej liczby pieśni czerwonoruskich korzystał. Mimo to jednak, (mówilem dalej, zbierając i przytaczając wspomnienia dla poparcia potrzeby wpatrywania się w pieśni ludu), mimo to jednak ani Jan Kochanowski, ani Symeon Zimorowicz naśladowani nie byli; i poezya polska w ogóle swoim nie była narodową; owszem kształciła się długo na wzór starożytnej i włoskiej, a wkońcu, tak co do toku myśli, jak co do powierzchownego

¹⁾ Mimo tak jawne zdanie, nie sądzimy, aby Zbigniew miał być sensualistą; inna jest rzecz: lubię Alpy, a inna lubię Szwajcaryę.

poematów składu, naśladowcami się stano naśladowniczej Francuzów szkoły. Przeniesienie do poezji polskiej smaku tak odległego narodu, naśladowanie poetycznych form tak niepoetycznego jak francuski języka, nie dziw, że nie utworzyło tyle lubionej od narodu i mocno nań działającej poezji, jaką tylko własna być może. Upadał smak poetyczny, zmniejszała się liczba piszących, i ledwie w niedawnych czasach, obeznając się bliżej z sąsiednią literaturą Niemiec i dziwiąc się jej nagłemu wzrostowi, przekonać się wręście musiano, że tylko z piosenek gminnych, własnego kraju dziejami i własnem niebem natchniętych, poezji narodowej gmach budować można. Mnóstwo nowych utworów, w które w niedługim czasie poezya odziała się polska, mocniej jeszcze dowiodły tej prawdy. Wprawdzie znajdują się ludzie, którzy ją odtąd naśladowną poezji niemieckiej mianują, ale krzywe ich oko bierze w obrocie swoim przyczyny za skutki, sposób za samą istotę. Podobnie możnaby twierdzić, że np. francuski Lafontaine był naśladowcą Szekspira, równie bowiem jeden jak drugi brali przedmioty utworów ze znanych skądinąd powieści. Inna jest naśladować duch obcy, oryginalny, inna zaś naśladować drogę do odkrycia nowego ducha.

— »Ciekawiż jesteśmy bardzo, przerwie mi tu P. Pryzma, co to za narodowa powstała u nas poezya? Mamyż się pysznić i chlubić, że dzikie powieści o Nebabie i Szwaczce albo też o litewskich upiorach i potępieńcach stanowią narodowość poematów naszych? Zaprawdę, dlatego jedynie pragnąłbym usunąć wiarę w zalety poezji wyrabianej z gminnej, a wolę powtarzać i wierzyć, jak też to jest istotnie, że narodowej poezji polskiej szukać raczej mamy w pełnych tkliwości Jana Kochanowskiego trenach, w Kazimierza Brodzińskiego Wiesławie i Franciszka Książnina Sielankach«.

— To zdanie, odpowiedziałem, może być w części i słuszne; zbyt mało, a przynajmniej nie nazbyt trafnie trudniono się u nas dotąd rozbiorem poezji naszej, dlatego więc żadnym poważnym nie poparty głosem, nie śmiem własnego wyjawiać; zdaje mi się jednak, iż krytycy polscy w rozbiore krajowej poezji nazbyt na cudze patrzą. Chcieliby ją widzieć odrębną i narodową, a wzoru narodowości szukają po wszystkich kra-

jach! Sielanki Brodzińskiego, Książnina są narodowe istotnie, powieści o Nebabie i Szwaczce są narodowe równie, poemata treści litewskiej są narodowe także; duch jednak i sam pozór tych wszystkich poezyi niezmiernie są różne od siebie; jedni więc, zalamując ręce, tracą nadzieję wszelką, abyśmy mogli mieć kiedyś jedną narodową istotnie, drudzy znów w jednej jej części zamilowani tylko, na inne spoglądać nie chcą, zowiąc je przypadkowemi, wyrodnemi; a nie znalazł się dotąd głos żaden, któryby zdania te złączył, wyobrażenia zbliżył, i niepodległem spojrzawszy okiem, jedno ogólne wyciągnął.

— »O, co z tej strony, powie Pani Rajecka, istotnie poezya polska bardziej jest nieszczęśliwą, niż wszystkie; przy tem nieporównanem bogactwie wewnętrznem jest za ubogą mianą; przy najsilniejszych narodowości cechach, za dziwaczną lub naśladowną. Jak niegdyś gramatycy polscy, pisząc prawa języka swego, nie w tym ich języku szukali, ale we wzorach łacińskich, tak i rozbierający poezję polską, nie patrzą na jej odrębność, w jakiej wyrasta, szatę, ale szukają zdań angielskich, francuskich, niemieckich, któreby do niej zastosować mogli; chcą koniecznie widzieć tę jedność, tę wspólną wyłączną barwę, jaką każdy widzi we swojej, nie pomnąc, że rozmaitość, że wielostronne tej barwy lice, właśnie nowy, oryginalny budować nam musi obraz. Istotnie, narodowa poezya polska ten nowy i zajmujący przedstawia nam widok, iż zbiorem jest kilku innych, narodowych, odrębnych. Dawne Królestwo Halickie, Litwa, Ukraina, Poznań, Mazowsze i Kraków, w jednym języku polskim natchnienia swoje piszące, są to oddzielne w pierwiastkach swych ludy. Każdy z nich ma oddzielne historyczne pamiętki, własne miejscowe wspomnienia, klasyczne miejsca, zabawy, zwyczaje; każdy z nich ma oddzielny charakter, obrót, ledwie nie mowę; a ten zbiór wspomnień i ten duch miejscowy, oddzielnem piętnem na swoich tworcach wyciska. Te charakterów, zwyczajów, mówiła dalej Amerykanka, w odległych prowincjach różnice, i innym znane są krajom; ale w nich wspólną modą, lub wychowaniem wspólnem tłumią się, w jeden zlewają; tu w Polsce czy przypadkiem, czy wychowania rozkładem, czy też może silniejszą, bo nie prowincjonalną, ale istotnie różnoplemienną w pierwiastkach swoich różnicą, te odrębne duchy miej

scowe wybiły się w odrębnych poetycznych szkołach, a recenzenci polscy to nieznane gdzieindziej bogactwo, ten nowy i szczególny poezji polskiej charakter ubóstwem nieszczęśliwym i nieszczęśliwym brakiem charakteru mienia. Co za różnica w duchu i stylu tych poezji polskiej gałęzi!... Jaka np. różnica w poetycznych utworach Litwy i Ukrainy!«

— Uwagi te nader są trafne i słuszne, rzekłem, żałować tylko musimy, że nie przywykliśmy do nich.

— »Ha! już też przyznać należy, odpowie P. Pryzma, że na rozumowaniu nigdy u nas nie zbywa, ale proszę mi powiedzieć przez litość, jakie to skutki z postępu tych rozmów widzimy? Oto romanse dzisiejsze, zamienione na historyczne, stały się wręcz tak suche, iż w nich ani historycznej prawdy, ani też powieściowej nie mamy rozrywki. W utworach zaś poetycznych, zamiast malowania natury, przebija się wszędzie słabość malowania siebie. Homer nie był rycerzem, ani Wirgiliusz wędrownikiem, weźmyż dzisiejszy jaki zagorzały utwór, Korynnę, Larę, Harolda, cóż w nich ujrzymy, jeśli nie autora, samego siebie na plac wystawującego?«

— Wielu dziś siebie samych robi bohaterami swych utworów, ale to wcale, rzekłem, nie jest słabości skutkiem, pochodzi to raczej z doznania zbyt mocnych, gwałtownych uczuć, które się w nasze serca wpoily i naszym kierują piórem. Pojąć niektórzy nie mogą, dlaczego kreślenie siebie, tak przykre w mowie potocznej, w mowie piśmiennej tyle ma pociągu; przyczyna tu jednak jasna: autor za bohatera sztuki nie kładzie siebie wyraźnie, za szczegóły, przesadę w obrazie, odpowiedzialnym nie jest; a domysł, że przedstawiony charakter, że liczne kreślone uczucia są właściwe i dobrze temu, który je kreśli, znane, więcej uderza nas prawdą, większą przejmuje ufnością, silniej porusza, unosi. Malowanie też siebie nie jest naszych czasów nowością. Sofokles, krzywdzony od synów, przedstawił siebie w Edypie; Seneka w trajedyi *Oktawia* prosto siebie na scenę wprowadził; sam Homer i Wirgili, jeśli nie w swych naczelnych poematach, to w innych, drobniejszych, stan swój, swe zajęcia opiewali. Pieśni Ossyana i innych północnych bardów, chociażby pierwiastkowo nie były prosto takimi, jakie nam dziś wypisują, zawsze jednak widzimy, iż są nader często własnych

czynów młodości kreśleniem (E vir·Allen, Oina Moral, Crom a i t. p.); i wreszcie, że pomijając wielu, przystąpimy bliżej, sławny Genewieński filozof i krasomówca opisał wyraźnie siebie w Nowej Heloizy kochanku. Jednak o tym ostatnim wspominam dlatego tylko, abym me zdanie poparł, bo z innej strony (dodałem) ten tak sławiony Nowej Heloizy romans nie podoba mi się wcale.

— »Może dlatego, przerwał mi P. Pryzma, że jest zbyt prosty«.

— Tego powiedzieć nie mogę, i zarzut taki nie mógłby być zarzutem; więcej owszem zalety, większej potrzeba sztuki zająć naturalnym ludzkich wypadków biegiem, niżeli ostrzającymi ciekawość węzłami; lecz aby nastąpić to mogło, nie powinniśmy najprzód widzieć owej przesady...

— »Przesada, przerwie mi P. Pryzma, w malowaniu uczuć, jak w malowaniu na płótnie, powinna być koniecznie, nazbyt albowiem sztuka jest od natury niższą, aby uderzyć nas mogła prostem jej podobieństwem zdjęciem«.

— Temu nie przeczę, rzekłem, lekka przesada natury jest nieodbitą nawet, aby sprawiła wrażenie, ale nie lubimy przesady nienaturalności. Autor Nowej Heloizy obarcza nas mnóstwem rozumowań i filozoficznych uwag; czuję wrodzoną odrazę do tych rozprawiań i twierdzeń hipotezyjnych, dowolnych; nic łatwiejszego, jak rozumować długo, kłaść wyraz po wyrazie, jak go przyniesie pióro, mówić słowo po słowie, co nam przyniesie ślina; jaby m chciał uwag filozoficznych mocnych, na pewnej, widocznej, dotykanej zasadzie wspartych, w działaniu innych osób i w naturze własnej postrzeganych; te tylko prawdziwy użytek w postępowaniu naszym przynieść zaiste mogą. Miłość Nowej Heloizy jest także w nienaturalności swojej przesadna i w wyrażaniach się ckliwa. Pierwsze listy, najgorętszej miłości pełne, już dzisiaj w swym stylu i składzie zbyt zdają się pospolite, słabe. Możemy się popsuli, jednak to naturalnie skądinąd, że więcej dziś gwałtowności pragniemy w obrazie, i dzisiejszy pisarz romansu bez poetycznej siły poruszyć już nas nie może.

— »Podobają się więc panu zapewne, odpowie mi P. Pryzma, owe ciągle karykatury lub zbrodnie, które wyłącznym

prawie przedmiotem dzisiejszych się stały romansów; szacuję nowość, jeśli pełna zalet, tej jednak kłaniam się nisko, każdego bowiem kraju czytelnik powieści lubi się stawać kopią kreslonych w nich bohaterów«.

— Nie sądzę, odpowiedziałem, by to, co sprawia odrazę, stać się nam mogło wzorem; z drugiej zaś strony trochę cierpliwości nam trzeba. Zapewne ową skłonnością do samych gwałtów i zbrodni pochwalić się nie możemy, zdaje się jednak, że to zjawisko smaku, natchnione we Francyi zwłaszcza krwawemi jej ostatniego wieku scenami, będzie, jak owa burza, która je natchnęła, krwawić, wytepiać, niszczyć, aż z pośród niepospolitych tych dziejów powstanie umysłowy, jako był powstał polityczny olbrzym, który się wzniesie geniuszem i całe lądy podbije. Chybabyśmy nie mieli *Boratyńskiego*¹⁾, dodałem po krótkiej przerwie, gdybyśmy mogli narzekać na historyczne romanse; co za wspaniały widok żyjących w XVI wieku charakterów, jak zajmujące obrazy. Romanse towarzyskie, które się u nas tworzą, a nawet administracyjne²⁾, zbyt wiele mają jasnych i dotykalnych zalet, byśmy potrzebowali dłużej dowodzić skutków, jakie z postępów rozumowania w naszych czasach widzimy.

— »Z pomiędzy romansów towarzyskich i narodowych polskich, powie pani RajECKa, żaden mię nie zachwycił tyle, jak *Pierwsza Młodość, Pierwsze Uczucie*³⁾. Gustaw w milczeniu tylko żałujący Augusty, nieznaczone przejście Karoliny z miłości Henryka do miłości Gustawa, jej niewinność i niegwałtowność uczucia, skreślenie towarzystw naszych i sąsiedzkich zabaw, wszystko jest nowe, wierne i poruszające. Styl i uwagi

¹⁾ »Hipolit Boratyński«, powieść Aleksandra Bronikowskiego. *Przyp. Redakcyi.*

²⁾ *Pan Podstolic* [Tomasza Massalskiego *Przyp. Red.*] pod prostą formą romansu jest zbiorem tylu niepospolitych i nieraz wielkich (zwłaszcza w ostatnich 3-ech tomach) myśli, że słusznie do rzędu arcydzieł europejskich z lat ostatnich policzyć się może; co zaś w nim szczególnie uderza, to owa pewność zasad, systematyczność pióra, gruntowność uwagi każdej i jasne jej rozwinięcie, przymioty, tak dalekie od wszystkich prawie dzisiejszych jakiegobądź kraju pisarzy.

³⁾ *Pierwsza Młodość, Pierwsze Uczucie*, powieść narodowa w 4-ech tomach przez autorkę *Wieczoru Adwentowego*, tudzież *Zofii i Emilii*.

autorki tak z każdej strony śmiało są i pewne, iż mocno przypominają nam tę, która na czele niewiast autorek stanęła«¹⁾.

— Zdziwiał też nas autorka, dodałem, nowością i poetycznością porównań. Co jednak do prowadzenia rozmowy towarzyskiej, rzekłem, więcej zajmują nas jeszcze Hr. Skarbka powieści: nie wspominam tu o prawdziwie narodowym *Ruszczycu* i innych historycznych tegoż autora romansach, ale jego obrazy dzisiejszych towarzystw, a mianowicie *Pan Starosta*, są w swym rodzaju jedyne²⁾.

— »Mało czytuję romansów, powie P. Pryzma, ważniejszą jednak zdaje mi się być *Pojata*«.

— »Z poetycznych utworów P. Bernatowicza, rzekłem, najwięcej podoba mi się *Nalęcz*; ładnym stylem pisane *Nierozsądne śluby* są niczem więcej jak *Heloizą Nową*, z jednej strony zmienioną dodaniem powikłań, z drugiej ujęciem filozoficznych rozpraw. *Pojata* naciskiem tylko dziwnych romansowych wypadków, ich powiązaniem sztucznym i uromantycznieniem historycznych pamiątek Litwy zalecać się może. Co się zaś tycze historycznych Franciszka Wężyka romansów, ponieważ już tu wspominamy celniejszych tego rodzaju pisarzy, te...

Wtem, właśnie kiedym to mówił, drzwi się otworzyły i weszła niespodzianie Pani Lińska z córką i mężem; wracali z Minogrodu i zajechali po drodze. Przerwały się nasze rozmowy i pomieszało się w różne kształty nasze towarzystwo. Panna Melania mię zachwycała; tak była ładna, tak miła, ciągle siedziałem przy niej; Anakoana nieraz na mnie wyrzucającem

1) Zapewne tu mowa o autorce *Korynny* i *Niemiec*.

2) W kreśleniu towarzyskiej rozmowy i szczególnych towarzystwa obrazów niedorównanym jest dzisiaj autor *Czterech Wesel* i *P. Karola*. Niektórzy w P. Kraszewskim nie więcej nie widzą, jak Paul de Kocka polskiego; krzywdą pierwszego widoczna. Wprawdzie pióro autora ma skłonność do śmiechu i pełnych trzpiotostwa obrazów, jak pióro francuskiego pisarza, ale do siły komicznej tego ostatniego łączy i siłę traiczną, obrazy pełne okropności i mocy, plotące się razem z śmiesznymi i nagle, niespodziane z jednych do drugich przejście, są główną sztuką i piętnem P. Kraszewskiego utworów. Styl komiczny autora, nieporównany w ucin-kach i toku, w miejscach traicznych nieraz jest pełnym poezji (*Cztery Wesela*, *Raj* i *piekło*, *Improwizacye*; dawniejsze: *Pan Karol*, *Wielki świat małego miasteczka* i t. d. i t. d.)

spoglądała okiem, mogłem jednak siedzieć bezpiecznie, bo ciągle jedna tuż przy drugiej była. Mile spędziliśmy wieczór, musieliśmy się wreszcie rozjechać; ja powracając, myślałem o umówionej schadzce.

Lecz już mi oczy kleją się, Walery, patrzę na zegar, już trzecia. — Dokończę jutro.

O szkołach poezji polskiej ¹⁾.

845) (*Cz. II, str. 17—27. List XXII. Karista do męża*). Do innych odkładam listów uwagi me o wymowie, z której kraj wasz tak słusznie nawet u obcych słynie ²⁾, a o samej poezji mówić dziś tylko będę.

Poezja! Jakież to są obrazy, które to czarodziejskie wiąże do siebie słowo. Nie widzę ja bardziej zimnych, mniej pojmujących ją ludzi, jak tych, co ją pragnąc wyjaśnić: wierszowaniem, rymotwórstwem, wierszopistwem ³⁾ zowią i szukają greckiego pierwiastku, z którego jej brzmienie urosło! Jest to nieszczyściem mowy początkowej, że nieraz na wydanie obrazu, tysiące mieć mającego znaczeń, tysiące umysłowych, dla słowa nowych odcieni, musi używać znanego, ze znanem znaczeniem dźwięku, ścieśniać i krzywić nowego pomysłu obraz. Nieszczyściem to jest, powiadam, mowy pierwiastkowej, mowa

¹⁾ Winniśmy tu dodać i ostrzedz, że tak o czasie pisanych przez Amerykankę listów, jak o ich całkowitem zawarciu wiadomości żadnej nie mamy; mamy tylko znalezione w jej zbiorach urywki, kawałki, o których z odmienności jedynie piśmiennych materyałów i treści mogliśmy robić wnioski, iż do jednego albo do drugiego, do poprzedniego lub do późniejszego należeć muszą listu; i podobnie je tu przedstawiamy, najczęściej bez początków i końców.

²⁾ Maury w dziele *Principes de l'éloquence*, w rozdziale de l'éloquence anglaise, przyznaje, że sejmów polskich wymowa najbliższej do rzymskiej i greckiej przystępuje. — »S'il était permis (powiada Caraccioli w listach do zmarłej Polki) de faire de compliments aux morts, je vous féliciterais sur l'éloquence de votre pays... Oh! que nous sommes faibles dans nos productions, malgré tout notre bel esprit, en comparaison de ce qui sort de la plume de vos orateurs!« (Caraccioli, *Lettres à une illustre morte, décédée en Pologne* 1771 p. 222).

³⁾ Pisarze polscy rozmaicie lubią poetów mianować: poeta, rymotwórca, wierszopis, pisorym, rymopis, składacz i. t. d. mają to być wszystkie niby jednoznaczne wyrazy.

bowiem pochodna, a tem lepiej obca, znajdując wyraz gotowy, nie ze słów mu znajomych powstały, całą nowość, całą nieokreśloność może w nim widzieć pomysłu. Nie pragnę zatem tłumaczyć, zostawiam wyraz nietknięty; jeżeli bowiem jaki, tedy zapewne obraz niewysłowionego uczucia poezyi równego do-brodziejstwa wyciąga.

Jakież więc jej znaczenie? skąd wielkość? Poezya jest to doskonałona władza wyobraźni, władza, która istotę ludzką od innych ziemi tej istot najsilniej, najznakomiciej odróżnia; jest zatem przeznaczeniem, jest ona potrzebą człowieka, i nie było podobno jednego na całym świecie ludu, któryby jej nie poznał, nie uczył, i nie zostawił uczucia swego pomników. Poezya jest to wrażenie owe, które odbieramy ze wszystkiego tego, co proste zmysłowości przechodzi granice; wszelki więc pomysł wyższy nad pospolite, znajome oku obrazy i jego widoma szata, ze słów mowy ludzkiej związana, od potocznych języka wyrażen daleka, budują ludzkiemu oku tę półzmysłową, półumysłową całość, którą poezją zowiemy.

Jakież jej prawa? ustawy? — Prawa, ustawy poezyi objęte są w jej określeniu. Im dalej myśl utworzona uniosła wyobrażenie z pospolitego uczuć i wyobrażeń koła, im bardziej szata, która ją wydaje, odległa jest od prozy potocznych wyrażen, tem owa myśl, owo jej wydanie, poetyczniejsemi być muszą. Ich niepowszedniość, ich układ, dają nam poetyczną budowę. Mogą uderzać nas łącznie, mogą i rozłącznie, dostatecznym jest bowiem jeden z tych warunków, by proza przestała być sobą. Z tej ostatniej uwagi tłumaczę się jaśniej. Proza być może poezją, jeżeli myśl, która ją ożywia, strojna jest w poetyczne zalety, a myśl pospolita i prosta może się odziać w poezję przez wyrażenie jej samo. Tak kiedy odludnego, ponurego *Edmunda* ¹⁾ przyjaciel wyrzuca mu z żalem, dlaczego odepchnął szczęście, wesolość i pokój, ten mu odpowiada: ...»A więc jestem spokojny, wesoly, szczęśliwy; spokojny, jak puls umarłego, wesoly, jak kwiat w jego ręku, szczęśliwy... jak mi życzysz, panie«. W tej odpowiedzi nic nie widzimy zapewne, jak pospolite słowa, w pospolitej złożone mowie, lecz o jakże dalekie od prozy! Przeciw-

¹⁾ Bohater poematu Stefana Witwickiego. (*Przyp. Red.*)

nie, kiedy poeta wśród lirycznego zapału, wśród ognistego na zdradliwą niewiastę gniewu, woła:

»Śmiertelne ścisnę wkoło szyi twojej wieńce!«

kładziemy książkę zdumieni, jak śmiały geniusz poety mógł tu użyć, zamienić w poezję prosty zduszenia pomysł. W pierwszym przykładzie myśl sama, w drugim sam wyrażenia sposób, uczucia pospolite zmieniły w poezję.

Ciągła nowość, ciągle uniesienie, ciągła słowem poetyczność myśli lub zbyt w wyrażaniu się sztuka, musiałyby nas mordować, przesycać; słusznie więc dla pośredniego imaginacji naszej bawienia wynalezione są zewnętrzne i stałe formy, które prosto samym swym składem mogą pragnienie nasze niepowszedniej piękności nasycać; te formy powynajdywane są: tony, miary, liczby zgłosek, rymy, układ których ogólnym nazwiskiem mianujemy wiersza; samo zaś ich zachowanie tak okazało się wdzięczne, że nieraz poemat cały, nie mając jednej poetycznej myśli, poetycznie nas ludzi i bawi, jak to widzimy nieraz w powieściach, poematach żartobliwych, bajkach, satyrach, dramatach komicznych i t. p.

Raz tedy jeszcze powtarzam, że czuć poezję możemy wewnątrz i zewnątrz, że myśl i wydania jej sposób główny wpływ wywierają na poetyczne uczucie. Utwór i układ myśli tworzą w poemacie to, co duchem jego zowiemy, a wyrażen odcienia budują nam styl. Duch zatem i styl są to naczelne, bijące o umysł nasz władze, z ich to rodzajów, gatunków odmienne tworzą się cechy, odmienne lica poezyi; przynajmniej na mnie, Adolfie, nienagiętej z dzieciństwa do waszych przedmiotowych na poezje liryczne, dydaktyczne i t. p. podziałów, owe odmienne lica działają najsilniej. Nie znam ja jeszcze dobrze dawnej poezyi polskiej. Pozwolisz mi więc, mój drogi, że o poezyi i poetach waszych nie czasowym, czyli chronologicznym mówić będę porządkiem, ale przedstawię dzisiejszą w ogólnej, jak uderzyła mię, masie; i że nie będę ją dzielić na bajki, elegie i t. p. ale na te wielkie oddziały, które duchem i stylem w mych oczach silnie się odznaczają i stale.

Na szerokich, rozległych ziemiach rozsiane różnorodne pierwiastkiem, a jednym językiem, zwanym powszechnie polskim, wyrażające się ludy, tak rozmaite położeniem i przezna-

czeniem swoim, grodzone jedne od drugich wychowaniem wewnętrznym i zewnętrznym przedmiotów wpływem, mające oddzielne dzieje, pamiątki, zwyczaje, musiały koniecznie w swych odrębnych masach odrębny wycisnąć charakter, który mianowicie na owej giętkiej, zapalnej władzy, na imaginacyi, najwyraźniejszy odcisk objawia. Dawne Królestwo Halickie, Litwa, Ukraina, Podlasie (Jadźwingi), Prusy, Poznań, Mazowsze, Kraków; każdy z tych krajów ma oddzielną przeszłość, oddzielne podania ludu, oddzielną naturę wkoło i oddzielne niebo; każdy jednak z tych krajów jednym językiem pisze, i lejąc natchnienia swoje, tworzy jedną, ogólną, pełną różnorodności krajową poezję, jedynym na stałym łądźcie przykładem. Przypomnijmy dopiero, jakie ów duch wewnętrzny, w tak oddzielnych umysłach krążący, w języku, którym miał władać, znalazł zewnętrzne sposoby. Język ten, jakeśmy to widzieli, w różnorodności dźwięków nad wszystkie obfity, w bogactwie słów nieprzebrany, w naginaniu ich nieskończony, w swobodzie szyku i składni nieograniczony, tyle okazał się zdolnym do wybijania swym stylem różnorodnego poezyi ducha, i tak był szczęśliwie przez tych, którzy go użyli, chwycony, że prawdziwie, drogi Adolcie, kiedy widzę przed sobą rozmaite szkół waszych poetycznych twory, wierzyć prawie nie mogę, że są jednym i tymże pisane językiem, i umiejąc jeden wasz język, zdaje mi się, że umiem ich kilka.

Chcąc zatem przejrzeć, ocenić poetów, czyli raczej poezję polską, nie mogę to trafniej uczynić, jak dzieląc ją podług charakteru i stylu na główne wybijające się szkoły. Nie wszystkie z wymienionych tu krajów błysnęły już własną poezją; wymieniliśmy tylko prowincye, z którychby każda podobnie mogła odznaczyć się nową. Jakże zaś były przyczyny, które jedną lub drugą stworzyły, niebo, ziemia czy ludzie, i do jakiego stopnia każda z nich postępować, wiązać się wzajem i dalej odmieniać może, o tem nic nie mówię, Adolcie, bo jakem to rzekła wyżej, wszystkim zjawiskom ziemskim jedną tylko — przedwieczną naznaczam wolę. Przyczyny wszelkie, okiem widziane ludzkim, nader są liczne, nader różnorodne, a owe oko nader przytępione (przynajmniej tak jeszcze jest dotąd), aby z nich czyste, niezmiennie wyprowadzać umiało wnioski. Nie myślę

więc prorokować, ani domyślne tworzyć i opowiadać zasady, rozważam tylko, co widzę, i rozważone określam. Te liczne ciała, co nas otaczają, cel wrażeń ich nie jest nam jasny; a dłonie nasze ślepe to narzędzia. Ja sama, mój Adolfie, która ci list ten piszę, nie wiem zaprawdę, co czynię; jeśli go piszę, to nie dlatego może, aby ci przyniósł rozrywkę, bo czy przyniesie ją, nie wiem; nie dlatego, by stał się wzorem albo bodźcem, bo nie wiem nawet, czy go kto czytać będzie; nie dlatego nareście, że mi pisanie jest miłym, pisanie ma swe przykrości; lecz oto dlatego prosto, że mi go pisać dano; dla którego zaś z owych celów? lub może dla innych jakich, których nawet nie znam, to dopiero bieg czasu okaże.

W obrazie poezji polskiej odróżniają się mianowicie swą twarzą: szkoła litewska, szkoła ukraińska, szkoła puławska i szkoła krakowska; te przynajmniej dotąd najznakomiciej swe odznaczyły piętno. Nad każdą z nich pokrótce chcę się zastanowić, nie rozbierając pisarzy, nie wchodząc ściśle we wszystkie ich znane utwory, to bowiem musiałoby stworzyć oddzielną krytyczną księgę; ale o tyle tylko wzmiankując o każdym, ile wyciąga potrzeba, by jaśniej odróżnić szkoły i główne ich rysy wykazać.

Szkoła litewska.

Dziwna, że owa Litwa, tak długo obojętna, milcząca, przez cały ciąg połączenia się swego z Polską nie wydająca żadnego prawie znakomitego poezji ni prozy pisarza, w przeznaczeniu swem miała w ciągu lat kilku nową utworzyć poetyczną szkołę, a szkoła ta stać się miała w Poezji Polskiej naczelną.

W ogólności uczucia słodkie są panujące w tej szkole. Uniesienie miłości platońskiej, uczucie przyjaźni bratniej, widzenie poetyczne każdego powszedniego obrazu, każdego powszedniego uczucia, rozbieranie, drobnienie owych obrazów i uczuć, oto główne znamiona poetów Szkoły Litewskiej. Nie mając oni wokoło zewnętrznej dziwiącej natury, a siłą nieubłaganą wewnętrznego natchnienia parci, w sercu swoim, w jego uczuciach znaleźli poezji żywioł; bawią się z niem, jak z dzieckiem, miotają niem w różne strony, na końcu świata, pod niebo; zdają się lękać piekła i jego obrazu, a jeśli czynią gdzie wzmiankę, to mówią jakby o miejscu, co z niebem w zgo-

dzie zostaje, w stylu rozkosznym, uśmiechem przeszłości. Ta idealna piękność, ta umysłowa miłość, która jest celem i ich pióra życiem, oni ją widzą wszędzie; widzą ją w opisie natury, w obrazie miejsc niewidomych; czuje ją nawet dusza uwolniona z ziemi i ciała. Miłość poetów Litewskich nie jest radośna, wesoła, jak w śpiewach szkoły Krakowskiej, — wesele i radość jest ich poezyi obce, nie jest ona cielesna, rozwiązła lub dzika, jak miłość Ukraińskich poetów; ani też zalotna, światowa, jak miłość poetów Puławskich; nie jest też ona w deklamacye próżna, rozwlekłe narzekania na okrucieństwa, na zdrady obfita; zbytnia ekliwość rzewności, jak z innej strony ponurość i dzikość, są obce poetom Litewskim; niepokój duszy, słodkie zadumanie, pokrycie myśli i uczuć jakąś mgłą tajemną, w nieskończoności niknącą, są to, jak to już rzekłam, cechy poetów Litewskich. Styl równie, pełen słodyczy i wykończonych wdzięków; mnóstwo wyrazów miejscowych, już dzisiaj powszechnie utartych; rym nie zbyt łatwy ni trudny, nigdzie nie zaniedbany; zupełny brak i wygnanie wyrazów przesadnych, nadętych, a używane słowa znajome, potoczne, z położenia jedynie, z użycia ich formy poezyi nabierające, oto jest widoma, poetyczna poezyi Litewskiej szata.

Naczelnii i znakomici poeci Szkoły tej są: Adam Mickiewicz, Józef Korzeniowski, Antoni Edward Odyniec, Stefan Witwicki, Chodźko Aleksander i Julian Korsak

B) Cel krytyki (1852).

Rozprawa pomieszczona jako »rozdział wstępny« na początku »Rozbiorów i krytyk« t. I. Petersburg, 1854. Przedrukował ją później Tyszyński w dodatkach do »Pierwszych zasad krytyki powszechnej« (1870).

I.

846) *Tom I. Str. I—XVI.* Cel krytyki, to jest sądu, do różnych rozwić ludzkości przez nas zwracanego, zawartym jest w tym koniecznym skutku, takim lub innym, który kiedyś ma być wypadkiem tych rozwić. Gdybyśmy mogli wiedzieć, jakie być mają szczegóły tego wypadku, wiedzieć moglibyśmy, jakim być winien, w najdrobniejszych szczegółach swoich cel krytyki.

W wszechświecie jest wszechjedność, jest wszechharmonia; — z tychże przyczyn płyną też skutki; — z rzeczy znanych możemy więc dochodzić biegu oraz istoty rzeczy nieznanych.

Ludzkość ma rozwicie i życie, bieg jej przeto przypodobanym być może wszelkiemu szczególnemu bytowi, który ma rozwicie i życie. Od gorczycznego ziarna i jego losu, od figowego drzewa, od plonu roli możemy się uczyć podobieństw losów ludzkości. Ziarno zboża po swym upadku, swej śmierci, idzie w przebieg roślinny, a ostatnim wypadkiem tego przebiegu jest podobne mu ziarno lub liczne ziarna. Tak też i ludzkość. Rozrosła jako krzew z ziarna, jako krzew stopnie wzrostu swego przebywa, jako krzew doby przemian objawia, do kwiatu i do wydania kiedyś owocu dąży. Lecz czyniąc wnioski z podobieństw, powinniśmy też pamiętać na warunki podobieństw. Podobieństwo to nie tożsamość. Ziarno zboża ma za wypadek ziarno sobie podobne, nagie, — ziarno wiśni albo jabłoni, ziarno otoczone mięsem owocu, — istność z pierwiastkiem ducha, a ducha żywego — człowiek, w wypadku swym musi wydać owoc z nowym odcieniem ducha i wyda go w obrazie przewagi duchowej. »Stał się, mówi Pismo, pierwszy człowiek Adam w duszę żyjącą, pośledni Adam w ducha ożywiającego« 1. Korynt. XV. 5.

Ten owoc, ten nowy Adam, czyli ta ostateczna ludzkość w swem przerodzeniu i odrodzeniu, ten cel, do którego dążymy, jakież nam mają dać obraz w swych szczegółach?

Nie zadawaliśmy jeszcze sobie podobnych pytań na drodze nauki, — i jest w tem słuszność.

Wiemy wprawdzie, iż obowiązkiem jest naszym dotykać je, a dotykać coraz częściej i śmieiej, gdyż nad inne rzecz-wistszej wagi są dla nas; — gdyż winniibyśmy poraz drugi unikać wymówki Bożej: iż »postawy niebios i ziemi rozróżniać umiemy, a nie umiemy rozróżniać i zgłębiać znamion okresów« (czasów). Matt. XVI. 3. Łuk. XII. 56.

Wiemy, iż jako środek w badaniu tem każdy z nas otrzymuje od Twórcy talent pojęć, z których jeśli nie dziesięć, tedy przynajmniej pięć albo cztery w zarobku przysporzyćby winien; — iż każdy z nas ma dar uczuć, uczuć wiary, nadziei i t. p., i te winny mieć swój wpływ równoległy na talent po-

jęć; — iż za pomoc i źródło kierunków na drodze badań mamy przed sobą przeszłość z dziejami ludzi, mamy dzieje sztuk, nauk, mamy zwłaszcza wśród innych: Pismo mówiące o czasach przyszłych, a duchem Bożym natchnięte (Pismo Święte), i że to w ramach należnych zgłębiać, i z niego, jak ów człowiek gospodarz ze skarbu swego »stare i nowe rzeczy« powinniśmy umieć wyciągać. Matt. XIII. 52.

Wiemy o tem wszystkiem, mówimy, lecz wyznać też trzeba: na nasz czas za twardej są jeszcze treści owe pytania; na nasz czas dosyć jest, że je przynajmniej zapiszemy przed sobą.

Cokolwiek rozróżniamy i oceniamy naszym pojęciem, nie możemy rozróżniać i oceniać innym jak naszym, to jest ludzkim, ułomnym.

Koniec biegu dzisiejszego ludzkości przyjść kiedyś musi, równie to pewnem jest, jak to, iż był kiedyś jego początek. Jako jednak ten czas początku (który był, lecz nawet chociażby nie był nigdy) przechodzi zawsze swoją istotą nasze dzisiejsze pojęcie, tak też i koniec.

Naszem pojęciem pośredniem oceniamy i rozróżniamy tylko dokładnie rzeczy pośrednie, nie wyższe i ostateczne.

W naszej dobie, na swoją skalę, nasze pojęcie ludzkie cóż widzi, i co umie rozróżnić w świecie? co wie z pewnością?

Patrząc na świat przed siebie, na naszą ziemię, widzimy najprzód w stworzeniach: ich pozór, zewnętrzne kształty, i widzimy, że te kształty, ten pozór, to piękność, lecz że je ranią co chwila: szpetność, kalectwo, ohydy, bóle i wreszcie śmierć.

Widzimy, że w tle tych stworzeń jest myśl, znaczenie każdego, iż we wszechświecie jest światło, lecz iż to światło niszczy cienie, pomroki, burze, głupstwa, szaleństwa i t. p.

Widzimy, iż w szczegółach tworów, w ich związkach, stosunkach wzajemnych, jest wszechharmonia, zgodność, czyli tkwi miłość; lecz że tę niszczy co chwila zawiść, nienawiść, wzajemne żarcie się tworów, żarcie żywiołów i t. p.

Bieg rzeczy, widzimy słowem, to walka, a walka Dobra i Zła. Rdzenią rzeczy (i to jeszcze na oko widzimy) jest Dobro, — przybytkiem, przechodem Zło. Walkę wygra silniejszy z pierwiastków, a przeto Dobro.

Skoro jednak ten czas dopełni się kiedyś, skoro nadejdzie,

kiedy, mówiąc słowy Pisma Bożego (i jak to przepowiada codziennie Kościół Chrześcijański), Duch Pański raz zstąpi, i »oblizcze tej ziemi odnowi się«; lub — jaśniej (a mówiąc zawsze samego Pisma słowami): kiedy ten świat nasz dzisiejszy skończy się, a wszelka nieprawość, zło wszelkie, w piec ognisty będą wrzucone«. Matt. XIII. 41. 49; gdy nasz ostatni ludzki nieprzyjaciół, śmierć, będzie zniszczoną 1. Kor. XV. 26. i »otarta z oczu ludzkich łza wszelka«. Apok. XXI. 4. i gdy tem samym pozór, myśl, związki rzeczy nam znanych, przybiorą znowu byt rajski:

gdy Piękność zstąpi i wszelką piękność przemienią w niezmienną,

gdy Światłość zstąpi i wszystko, co jest cieniem, rozproszy,

gdy Miłość zstąpi i wszystko, co jest złością wyniszczy,

gdy Żywot zstąpi i wszystko, co jest śmiercią wytraci, i co było umarłe w Duchu, do życia zbudzi,

i słowem:

gdy Prawda zstąpi i rozporządzi wszystkim według swej treści,

będzie to stan, który, powtarzamy, jeszcze w swych szczegółach zbyt nad biegnące dziś pojęcie ludzkie jest wyniesionym, będzie to stan, o którego szczegółach to tylko dziś wiedzieć możemy, iż te będą harmonijnym wpływem z dzisiejszych szczegółów; iż będzie w nim (jak Pismo św. w odniesieniu do ludzi mówi) oddane każdemu według uczynków (dzisiejszych) jego, według każdego drobiazgu tych uczynków, lecz co do reszty, tę w ideałach tylko dziś pojmujemy.

Wszakże wypadek ostatni, owoc, poprzedza w roślinie każdej, w każdym przebiegu roślinnym czas przed-owocu, czas kwiatu, czyli przyjście do stanu blasku pierwiastków, które składają przebieg życia rośliny. Owoc dziejów ludzkości, to ów, taki lub inny, wieczny i ostateczny wypadek jej dzisiejszego biegu, życia jej roślinnego; lecz kwiat, to zakwitnienie pierwiastków i szczegółów jej, jeszcze za tego jej życia, »najprzód trawa, potem kłos, potem pełne ziarno w kłosie, potem (dopiero — uczy nas Ewangelia mówiąc o losie na ziemi Królestwa Prawdy) żniwo«. »czyli ów ostateczny koniec«. Mar. IV. Ten kłos z pełnym ziarnem czyli ów kwiat, czas jego, jeszcze wśród dziejów ludzkich nie istniał, —

ten czas jest to więc cel bezpośredni, do którego dążymy. Cel ten tkwił zawsze w rozwiciu, w szczegółach rozwić ludzkości, lubo bez wiedzy jej (wschodziło i rosło nasienie, gdy on nie wiedział. Mar. IV), lecz dalej ma się stać przedmiotem i wiedzy, gdy i sama ta wiedza (stosownie do raz nadanego porządku przez Stwórcę, i jego woli), dochodząc do czasu kwiatu, sama siebie świadomą stawać się będzie, i pozna »wszelką prawdę i przyszłe rzeczy«. Jan XVI. 13. Czasów jednak i bliższych jak dalszych nie przekraczajmy, a cofając się jeszcze o stopień, spojrzymy według dzisiejszych słów naszych, poranionych i biednych, na leżące dzisiaj w nas samych i nami będące szczegóły i kierunki.

II.

Trzy są względy, które w każdym stworzonym szczególe rozróżnia głównie nasze pojęcie: pozór, wewnętrzze (jak to już uważaliśmy) i łączność, t. j. powód, iż ten pozór i to wewnętrzze łączą się i przedstawiają tak, nie inaczej.

Względy te, nauki dociekające, dyalektyka, według różnych odcieni tych nazwisk, zowią: obiekt, subjekt, idea; — treść, forma, istota i t. p.

Względy te, uważane w składzie utworu, który śród stopniowania utworów, w największem ukazuje rozwiciu składowe utworów pierwiastki — w człowieku, przedstawiają nam i pozyskują nazwiska: ciało, myśl, duch.

Jak człowiek, tak też odbiła te względy w swoim rozwiciu Ludzkość, czyli zbiorowy człowiek.

Wzgląd 1-szy czyli Ciało Ludzkości, uosabia nam w jej rozwiciu i bycie to wszystko, co wydaje jej pozór, wpływa na byt jej zewnętrzny, formy, pomoc, ozdobę i t. p. jako: Przemysł, Sztuka, Kształty społeczne, Dzieje i t. p.

Wzgląd 2 gi* czyli Myśl, uosobiły: szereg umiejętności i nauk.

Wzgląd 3-ci czyli Duch: Natura (w czasach danych) pozorowi i myśli; — a tło to, jako wyraz związku cząstek ze wszechcałością, wszechczasem, związku stworzeń ze Stwórcą, od słowa *religere* łączyć, otrzymało w głównem uosobieniu swoim nazwisko Religii.

Te szczegóły, uważane odrębnie, tak różne, tak niezależne od siebie, nieraz sobie przeciwne, mają jednak wydać w końcu wypadek łączny i spólny, więc pewną jedność (chcę, aby byli jedno... aby byli doskonałymi w jedno... Jan XVII).

Jeśli tkwi jedność w skutku, tedy i w biegu. W którymże z względów powyższych źródło jej?

Ta jedność (przyczyna jedności) nie leży w pierwiastku ciała, to jest nie znajdujemy jej w tych szczegółach, które uosiły bieg ciała ludzkości, bo bodźcem i celem chwili w rozwięciu tych szczegółów jest jakby utrzymanie jedynie zdrowia materyalnego czyli bogactw, piękności, dobrego bytu i t. p.

Nie leży w pierwiastku Myśli, bo myśl nie znała i nie zna istoty tych ostatecznych szczegółów, do których dąży.

W czemże więc?

Oto w tym bodźcu, w tej sile, która i kroki ciała i zwroty myśli, we wszystkich czasach i miejscach, mimo ich celów chwili i mimo ich niewiedzy o swoim ostatnim celu, stale, harmonijnie i łącznie do tegoż celu zwracała i zwraca, — w sile, która iż jest w nas, czujemy, i dziś poznajemy, lecz której materyalnie nie znamy, a przeto zowiemy ją — duch.

W treści i prawach ducha tkwi powód, który sprawia jedność i łączność w biegu wszystkich gałęzi rozwięcia ludzkości; — gdybyśmy poznać mogli tę treść i te prawa, i w oddzielnej nauce je ująć, otrzymalibyśmy naukę, łączącą i kierującą wszystkie nauki.

Lecz oto kiedy mówimy, nauka, choćby nauka ducha, już nie jesteśmy wyłącznie w krainie ducha, jesteśmy w gałęzi myśli.

Punkt wpływu pierwiastku ducha na kroki ciała i zwroty myśli w człowieku, jakże nazwiemy myślą? — Punkt ten ma w sobie cel, t. j. głównym jest sprawcą celu. Punkt ten przeto w stopniu podniesienia do myśli, do wiedzy, t. j. do stopnia, który może dać nam naukę, nie możemy nazwać inaczej, jak tylko są d.

I na odwrót więc:

Sąd jest to moment śród myśli, który w treści swej wpływ i pierwiastek ducha głównie odznacza.

Autor pism, wydanych pod ogólnem nazwiskiem Filozofia

i Krytyka ¹⁾ w tomie ich 3-cim t. j. Systemie Umnictwa, użalając się, iż jedna z władz ducha ludzkiego, wyobraźnia, pomiatana dotąd była w filozofiach rozumu, jako podrzędna, służebna, uznał w niej, jako twórczej, wyższość nad rozum i tworzy w tym swym systemie filozofię nową twórczości czyli wyobraźni (Umnictwa), zaręczając jej wyższość stopnia nad filozofią rozumu. Jeżeli to ujęcie się za wyobraźnią, za ten odcień myślenia błędny, niesforny, przechodni, ale żywy i rzeczywisty, ma swoją słusność, tem więcej wymagajacem sprostowania, tem szczególniejszem jest pomiatanie w dotychczasowych systemach dyalektycznych pierwiastkiem sądu.

Sąd, to »w budowie zdania połączenie subjektu i predykatu«, uczyły logiki scholastyczne.

Sąd, to »poznanie na stopniu przypuszczenia będące« (Locke), to »drugi moment myślenia podmiotowego« (Hegel), »drugi moment myślenia jako przeczenia« (Trent.).

Sąd, słowem, to »nikły, podrzędny moment, jednego z podrzędnych działów naszego poznania«. To była ogólna teoria logiki i dyalektyki.

Ocenianie to nie tłumaczy jednak i nie rozjaśnia bynajmniej tego pierwiastku, tej władzy.

Sąd w sobie nie jest wcale nikłym i podrzędnym pierwiastkiem.

Wódz ludu może nie wiedzieć wcale, co podmiot, co zdanie, a rzutem sądu staczać i stanowić o bitwach, które przemieniają dzieje całej ludzkości.

Artysta muzyk, albo Artysta-malarz, owszem Artysta-poeta, mogą nie wiedzieć wcale co jest Filozofia, a sądem swym tworzyć rzuty genialne barw, perspektywy, melodyi, efektu, pieśni i t. p.

Prostaczek może nie wiedzieć nawet, iż istnieje wyraz ten filozofia, a całodzienne uczynki sądem swym tak lub inaczej rozrządzać.

Nie przypuszczeń, nie przeczeń, nie odcienia podmiotu ode-rwanego, lecz twórczą, twierdzącą, główną, w rozwiciu sztuk, nauk i dziejów ludzkości gra rolę sąd.

Sąd jest to moment myślenia, ale ów moment, który jak

¹⁾ Karol Libelt. (*Przyp. Red.*).

właśnie rzekliśmy, obecność i czynność w nas ducha głównie wyraża, i jest jakby myślą-narzędziem tego pierwiastku. Mieści i wyraża go w sobie i kolej utworów i kolej dociekań. Odbija go równie Praw Kodeks i dzieło Sztuki, Historya i Teologia, traktat o roli i traktat o matematyce; jest to właśnie punkt tego związku, który łączy wewnątrznie te tak na pozór różne i nie łączące się gałęzie rozwić ludzkości; — punkt związku, który je razem do takich, nie innych następstw ukształca i zwraca.

Gdybyśmy prawa sądu ująć, uosobić mogli w oddzielną naukę, zyskalibyśmy właśnie naukę, mogącą łączyć i kierować wszystkie nauki.

Sądu w życiu ludzkości jakież są dzieje?

Sąd jest tak dawny, jak ludzkość, dawniejszy, niż którykolwiek system *dociekań*, niż jakakolwiek *ustawa*, niż *wynalazek*, niż nawet *pieśń*; — objawił się on już wówczas, kiedy, jak mówi Pismo, wszelkie utwory ziemskie przywiódł Bóg do Adama »i nazwał je Adam imionami ich«. Sąd ten choć bez nazwiska istniał i przebijał się dalej we wszystkich zwrotach i dojściach ludzkich, w wynalazkach, ustawach, sztuce, gałęziach nauk, dziejach i t. p. Jego dzieje, obecność, leżą w tem piętnie, tym charakterze, jaki w danych czasach i miejscach odbijał, albo odbija w kierunkach rozwić natura ducha. W tym stosunku zawarta i jego przyszłość. Spuszczający się, to jest stopniowie kształcący się i odnawiający (w miarę odnawiania się gruntu swojego: *ducha* ludzkiego) sąd, jak był sprawcą stopniowych przemian, okresów, tak stopniowie rozwijając się, wznosząc, dzieje i odcienia dziejów ludzkich zmieniając, sprawiać ma nowe, aż kiedyś (kiedyś jeszcze po wiekach) wyrzeknie wkońcu o wszystkim, i zjednoczy go z sobą, Sąd Boży, sąd ostateczny.

Lecz to ideał wypadku, a w naszym biegu do kwiatu, w tej liczbie potworzonych i rozwijanych nauk, w tych moralnych gałęziach, które się poksztalciły, nie ujęłaż i nie uosobiłaż dotąd żadna tego pierwiastku?

I owszem; — uosobiła go właśnie ta, o której i z powodu której piszemy te słowa: — *Krytyka*.

Krytyka, wyraz grecki, ukształcony od wyrazu *krinein* sądzić, jest gałęzią uosobioną w rozwiciu nauk, która za swój

żywiół obrała wyłącznie sąd. Jak wszelka gałąź moralna, jak wszelka istność, krytyka w swoich początkach nie okazywała nawet tego znaczenia i celu, jakie mieć mogła, mieć miała. Stosując do istot moralnych prawa istot fizycznych, gdzie miarą długości życia są lata wzrostu: — w późnem tak narodzeniu i trudach rozwijania się krytyki można właśnie szczególną skalę znaczenia i trwałości jej nadal, widzieć wskazówkę.

Zbierając i zapisując dzieje krytyki jako nauki w dwóch słowach, przypominamy: że użycie tego wyrazu po raz pierwszy dostrzedz się daje w literaturze greckiej, dopiero przy rozpędaniu się jej, to jest w czasie zakwitnienia pierwszego szkoły Aleksandryjskiej. *Zenodotus* z Epiru, retor, pierwszy miał sobie nadanem nazwisko *krytyka*. Wszyscy też prawie dalej uczeni tej szkoły mieli nazwisko krytyków, a krytyka ta było to tylko jakby proste *rozpamiętywanie* odkwitłej literatury greckiej, t. j. zajęcie się urządzeniem kodeksów jej dzieł, rozbiorem zgłosek, głosek, składni i t. p. Krytyka była tu prawie tylko gramatyką czyli *lingwistyką*. Krytyka zastosowaną następnie została do całości dzieł sztuki, tworców *fantazyi*, i owszem, do końca wieku zeszłego niczem innem prawie nie była, jak krytyką sztuki. »Zasady Krytyki« Home'a (*Elements of Criticism* T. 3, 1762), najobszerniejsze dotąd pismo w dziejach literatury, poświęcone teorii krytyki, z tem jej nazwiskiem, obejmuje tylko przedmioty późniejszej Estetyki. Od dzieł Kanta »*Kritik der reinen Vernunft*« i »*Kritik der Urtheilskraft*«, zastosowaną została do rozbioru pojęć *rozwagi* czyli do *filozofii*. Za wzrostem *uczuć* i *pojęć* w życiu ludzkości, za wzrostem *Sądu* wzrastać też musi w swoich granicach, w swoim zakresie *Krytyka*. Krytyka w swoim zwrocie do dzieł, do przedmiotów, oceniać je od-tąd będzie nietylko pod względem ich formy czyli grammatyki, nietylko pod względem pierwiastku w nich piękna czyli estetyki, nietylko pod względem ogólnego znaczenia ich czyli idei, ale zarówno pod każdym z tych względów; — oceniać będzie dane dzieło, czyn, przedmiot, nietylko w odniesieniu do siebie, do jego chwili, ale też w odniesieniu do całej gałęzi, której jest częścią, w odniesieniu do innych gałęzi, w odniesieniu do ostatecznych celów, tak danej, jak wszystkich gałęzi, będzie słowem kierowaniem i posuwaniem owych rozpadłych gałęzi w każdym kierunku,

które wymieniliśmy, do ich jedności, czyli zbliżania, tak każdej w szczególe, jak wszystkich wogóle, do stanów ich kwiatu.

III.

Takiej krytyki jakież być mają prawa, gdzie jest ich kodeks?

»Schwer ist die Entwicklung, leicht die Kritik«, mówi Ludw. Feuerbach w Rozbiorze zasad Leibniza; — »nie łatwo być filozofem, ale łatwo krytykiem« — rozumowania jednak Feuerbacha w tymże Rozbiorze: o *duchu najwyższym*, o *zgotowaniu poprzedniem*, naturze *woli*, w samej ojczyźnie recenzenta są dziś prawie bez zwolenników, i okazało się, że i krytykiem równie przynajmniej być niełatwo, jak filozofem.

Istotnie, — jako nie w *materyalnych* przepisach dawnych Sztuk Rymotwórczych, — ani w działach, podziałach i podpodziałach estetyk *spekulacyjnych* szukać możemy zasad krytyki *sztuki*, — tak też w żadnym znanym nam dotąd kodeksie form albo formuł nie znajdujemy wcale zasad *ogólnej* krytyki, *rzeczywistej*. Kodeks formuł i form *rzeczywistych* zawartym jest, jak uważaliśmy, w owym ostatecznym skutku, wypadku rozwić ludzkości, którego nie znamy. Znamy nazwiska gałęzi, któremi dążymy do kwiatu, i lubo nie znamy dobitnie, znamy już jednak bliżej, i tuszymy, poznamy wnet jeszcze bliżej mające być szczegóły kwiatu, — jeżeli jednak nie znamy dobitnie ich dziś, tem więcej nie znaleźliśmy wczoraj, i stosowanie się do formuł i form, które były spisane wczoraj, byłoby oddalaniem się raczej od kwiatu, jak przybliżaniem.

Nie znamy tych szczegółów kwiatu, do których dążymy, jednak *dążymy*; — nie mogąc dojrzeć ich w skutku, którego nie znamy, szukać musimy w źródle, które je *zna*.

Źródłem uczynków ciała, uczynków myśli, jest duch. Głównym przybytkiem ducha w człowieku jest ludzkie serce. Z serca płyną takie lub inne myśli, takie lub inne uczynki. Jest na dnie serc ludzkich duch spólny, który w jednostce każdej ma jednostkowy swój *odcień*, lecz w *gruncie* jeden jest. Ten sprawia, iż każde zdanie myśli, które jest *prawdą*, dla ka-

żdego widzi się prawdą, — iż co rzetelnie jest *piękne*, dla każdego widzi się piękne. Kryterium więc prawdy w nauce i piękna w sztuce w nas samych jest. To jest z pewnością prawdą, z pewnością pięknem, co sami przed sobą mamy rzetelnie za prawdę, mamy za piękne. To kryterium z pozoru tak liche, jednak istotne jest. Samolubstwo, zawiść, nienawiść, pycha, cel zysku, sławy chwilowej i t. p. sprawiły lub sprawiają co chwila w sądach, — tak w sądach oceniających jak i tworzących — niepamięć lub raczej zacieranie z umysłu owego kryterium. Źródła te, zrazu najmniejsze, zrodziły jednak, wydały te wszystkie rozrosłe fałszy, ohydy, szpetności, drogi wsteczne i błędne, owszem, nieraz zbrodnicze, w gałęziach sztuk, nauk, związków społecznych i t. p., które świat kształcą.

Zwrot więc najprzód do prawdy w duchu to jest kryterium kryterów.

Dane dzieło mamy oceniać, powiedzieliśmy, w odniesieniu do swej gałęzi, w odniesieniu do innych gałęzi, do praktyki.

Krytyka ma kierować nauki, stosować do życia; — obowiązkiem więc krytyka jest: poprzednia znajomość nauk, znajomość życia. Rzetelny krytyk winienby znać nie jedną tylko gałąź z rozwić ludzkości, lecz wszystkie. Nie jeden tylko zawód z życia ludzkości, lecz wszystkie. Znać winien wszelkie rodzaje pojęć i dzieje ich; — wszelkie rodzaje uczuć i dzieje ich; — znać przeszłość, znać obecność, znać owszem przyszłość. Musząc w sobie być takim, jakimi działać ma innych, winienby nadto i przede-wszystkiem: *Wiarę* mieć w siebie i umieć zaprzeć się; — *Nadzieję* mieć i poddanie się; — świat *Kochać* i nawidzieć go.

Złączenie tych wszystkich warunków razem wziętych, tak nieraz sprzecznych, na pozór niepodobieństwem jest; — i owszem, jest niem istotnie.

Miara wszakże zbliżania się gruntu objawianego sądu do tych warunków może być tylko miarą zbliżania się do ideału dobrego sądu. Ten się też wkońcu pozna w całości swojej, i pozna szczegółowie i jasno cel swój, cel krytyki.

C) »Pierwsze zasady krytyki powszechnej« (1870).

(»Pierwsze zasady krytyki powszechnej«. 2 tomy. Warszawa 1870).

Główne dzieło Tyszyńskiego, nad którym pracował lat około 30-stu. Pierwotnie miało nosić nazwę »Logiki filozofii praktycznej«. »Celem tej książki jest: śledzenie i oznaczenie zasad sądu powszechnego, to jest tych części ludzkiego sądu, które się odnosić mogą i muszą do wszelkich zarówno gałęzi rozwoju ludzkiego: nauki, sztuki, praw, codziennego życia, dziejów, religii i t. p.« Tych zasad krytyki powszechnej filozofia dotychczasowa określić nie potrafiła. Tyszyński chce tedy »użyć i uczynić próbę metody nowej«, którą, że będzie wychodzić głównie ze względów praktycznych, nazywa »metodą *myśli praktycznej*«. Metoda ta zasadza się na »prostocie w sądzeniu«, t. j. na uznaniu oczywistości, że »zmysły i rozum człowieka dostatecznymi być muszą dla potrzeb i losów człowieka«, więc i dla poznania »*prawd ludzkich*«, »umysł nasz bowiem« nie jest zdolny do poznania prawdy bezwzględnej. Z tego stanowiska Tyszyński przystępuje do rozpatrzenia dziejów ludzkości w przeszłości, w których rozwoju widzi okresy niemowlęctwa, dzieciństwa, młodości i wieku męskiego; rozwój tych dziejów rozważa pod trzema względami: ducha, myśli (dzieje umysłowe) i ciała (dzieje zewnętrzne). Przedstawivszy, jaką była przeszłość ludzkości, zastanawia się Tyszyński nad przyszłością, wreszcie z tych rozważań wyciąga wnioski, jaką ma być obecność, t. j. jakim być winien nasz, zwracany do wszelkich przedmiotów sąd, t. j. na jakich zasadach moralnych ma być oparta »krytyka powszechna«. Innemi słowy, jakim ma być człowiek, a więc i krytyk, aby jego sądy były słuszne.

Podajemy »Słowo wstępne«.

Słowo wstępne.

847) *Tom I. Str. I—III.* Nauka krytyki nie ma dotąd spisane go swego kodeksu. Nauka ta nie ma nawet jeszcze swych bliższych określeń, spisanych dziejów. Ma ona, rzecz to można, dopiero się stworzyć i przedsięwierzemy rzecz nową, mając zamiar skreślić tu jej pierwsze zasady ¹⁾.

Wyraz *krytyka* (od wyrazu greckiego *krisis* sądzenie) użytym był niegdyś po raz pierwszy przez uczonych Szkoły Aleksandryjskiej pierwszej (z czasów Ptolomeuszów), a zadaniem jej wtedy było szkodować tylko, poprawiać i wreszcie oce-

¹⁾ Spółczesna nam obszerna publikacya Renouvier'a »*La critique générale*«, jest zestawieniem obok siebie krytyk różnych gałęzi, nie zaś wyszukiwaniem i oznaczaniem wspólnych im zasad.

niać szczegóły kodeksów rękopiśmiennych pierwotnej literatury greckiej, a rozbierać i oceniać prawie tylko wyłącznie pod względem użycia głosek, wyrazów, wyrażeń, i była ona zaledwo nie jednoznaczna wtedy z gramatyką. Po wskrzeszeniu wyrazu za wieków nowych, odniesionym on był głównie do oceniania sztuki, i gałąź poezji była jedyna, która otrzymała spisane swe prawa krytyczne (Poetyki). Z końcem jednak zeszłego, a początkiem obecnego stulecia znaczenie wyrazu wzrosło i wszechstronnie się rozszerzyło. Kant wszystkim swym głównym traktatom filozoficznym nadawał nazwisko krytyk. Wkrótce też okazała się ścisła krytyka źródeł dziejowych. I owszem, wzrost dzisiaj w ogólnem rozwiciu umysłowości ludzkiej pierwiastku sądu (który to wzrost w tym czasie tak się stał snąc koniecznym i naturalnym, jak wzrost tego pierwiastku w pojedynczym podrosłym człowieku) wnet się dobitnie objawił w uprawie i wszystkich innych gałęzi umysłowości. Filozofia, Historia, Sztuka, Nauki przyrodzone, Prawo, Polityka, sama nawet Religia (Teologia), wszystkie słowem te wielkie działy, które wydała myśl ludzka, z ich poddziałami bez końca, zyskały i ukazują dzisiaj i dział swój krytyczny. Uprawie tej towarzyszy nawet szczególna czynność, poświęcane są jej, widzimy, liczne pióra, liczne talenta, stałe nawet pisma czasowe, kwartalne, miesięczne, tygodniowe, nawet codzienne (polityka); ta czynność, to rozwinięcie, okazały w ten sposób nowe, a szczególnej wagi znaczenie dawnego skromnego wyrazu. Przez krytykę, jak to widzimy, rozumianym jest dzisiaj nietylko sąd prosty, czyli ocenianie, lecz nadto i kierowanie, kierowanie piszących, kierowanie myślących, kierowanie danej gałęzi, razem wziętych gałęzi, czyli całego wogóle umysłowego rozwinięcia ludzkości, życia ludzkości, do pewnych celów.

Jeżeli jednak ta czynność i to znaczenie krytyki jest dziś tej wagi, jeżeli jasnym to jest, że jej zadanie kierować rozpadłe i rozdrobnione drogi ludzkości, a mianowicie różne gałęzie jej nauk do jakichś celów; — rażącem i smutnem zarazem jest to, iż w tej czynności nie dostrzega się dotąd wcale jakowaś jedność, w pojmowaniu przynajmniej tych szczegółów bytu i rozwinięcia, które odnosić się muszą do każdej zarówno gałęzi i które tem samem służyćby powinny i mogły za punkt związku

w sądach i kierowaniach — w pojmowaniu np. ogólnego znaczenia i treści istnących rzeczy, ich ogólnej przeszłości, ogólnej przyszłości, stosunku do Siły Stwórczej i t. p. Wyobrażenia i przekonania krytyków w tym względzie tak są dziś owszem różne i sprzeczne, a z taką objawiane pewnością, iż rzeczy można, że są wpływem nie jednego spólnego ludziom pojęcia, iż idą od różnych istot stworzonych, — i że wszelkie dalsze kształcenie krytyki w duchu jedności jest niemożliwe.

A jednak:

Ludzkość (jak to ujrzymy wkrótce) to pewna Jedność. Wyszła ona z jednych łącznych początków i zdąża do łącznych celów. Jest to Zbiorowy Człowiek, który jak w swem życiu zewnętrznym, tak i w życiu wewnętrznym takież przebywa doby i takież rozwija siły, jak Pojedynczy. Przebyła ona niegdyś dobę swego dzieciństwa, dobę młodości, a dzisiaj w wiek swój męski wstępuje. W dobie pierwszej wzniosła była i wyraziła swoją zbiorową Pamięć, w następnej zbiorową Fantazję, w obecnej jak musi wzniesć tak i mieścić jeden zbiorowy Sąd. Sąd ten jest i właśnie ma być przewodnikiem do owych jej celów łącznych, musi więc mieć i jakąś skrytą łączność w swoich zasadach. W jego kierunkach różnych, kierunkach sprzecznych, tkwić musi i pewna jedność, a w jej tle i owa zgodność z ostatnim celem. Idzie tylko o ujęcie tych zasad, rozróżnienie ich i oznaczenie.

Temu to rozróżnieniu, ujęciu i oznaczeniu poświęcone jest właśnie pismo obecne.

D) »Dwie Świtezianki czyli rzut oka na ostatni okres poezji polskiej« (1871).

(»Dwie Świtezianki czyli rzut oka na ostatni okres poezji polskiej«. Warszawa, 1871).

Zestawiwszy »Świteziankę«, fantazję dramatyczną Lucjana Siemieńskiego (1843) z »Świtezianką«, balladą Mickiewicza, Tyszyński charakteryzuje okres romantyczny w naszej literaturze i zastanowiwszy się głównie nad twórczością Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, dochodzi do wniosku, że okres ten stanowi nietylko krok naprzód w rozwoju naszej

poezyi, ale także w powszechnej, z powodu rozwinięcia idei »miłości wszechludzkiej« i wieszczenia czasów, które tę ideę urzeczywistnią.

Podajemy ustęp, w którym Tyszyński daje ogólny rzut oka na rozwój poezyi naszej, oraz charakterystykę Słowackiego.

848) *Str. 11—12.* Poezya polska od XVI-go wieku bogatą już była w nader liczne i nieraz obszerne utwory. Kolorem ich wtedy był prawie wyłącznie dydaktyzm, niekiedy liryzm (zwłaszcza religijny) i opisowość, a w drugiej połowie wieku XVII głównie historyczność. Po upadku (w tej drugiej połowie XVII wieku) smaku poetycznego pamięć o tej poezyi znikła była prawie wśród kraju; a po wskrzeszeniu następnie smaku (w połowie XVIII wieku), za przedmiot jej było też wzięte obszerniej i serce ludzkie, to serce, którego słabości zdaje się, iż się wstydzili dawni poeci nasi i jeśli jej ulegali, ukrywali się pod maską wiejskich jednostek (Sielanki). Te jednak pierwsze śpiewy o sercu ludzkim nie przedstawiły się w naszej poezyi zbyt idealnie.

Okres poezyi polskiej z końca wieku zeszłego (z czasów Stanisława Augusta) stworzyli byli wyłącznie poeci miasta, natchnienie miasta, a to miasto odbijało głównie natchnienie oddanego zabawom Dworu; w stronie więc swej wybitnej, oryginalnej, a odznaczonej talentem, miał on głównie za wyraz: galanteryę tylko i satyryczność (epopeje komiczne, dramata komiczne, satyry, satyryczne bajki i t. p.)

Początek naszego stulecia, który tchnął bojami po świecie, stworzył był też i w naszej poezyi poetów-żołnierzy, poetów, śpiewających niekiedy wdzięcznie, których śpiew nie wzniósł się był jednak nigdy do utworów poezyi głębszej.

Wiek pokoju, który po wojnach nastąpił, stał się był zrazu jakby ciszą i w kraju poezyi; był to, że tak rzec można, czas jakby spoczynku sennego, pokoju nocy, tej jednak nocy, która poprzedza gwar pieśni, mających nagle zabrzmieć wśród pól i lasów.

Gwar ten świeży rozpoczął się właśnie z owym 1822 r. Literatura nasza przed rokiem 1822 nie miała oryginalnych poetów. Niemcewicz za Stanisława Augusta, na chwilę genialny komik, w wierszu poważnej treści, był tylko wierszopisem tkliwym i gładkim. Brodziński silnym był tylko w prozie,

a wyjątkowy wśród poezji jego obrazek *Wiesław* był raczej echem szkół dawnych, nie twórcą nowej. Smak estetyczny wśród kraju kształcił się wprawdzie i wzrastał, lecz celem kształcenia się natchnień, celem upodobań powszechnych, (którymi kierują wzór nie teorie) były głównie: piękna struktura wiersza, jego rozsądek i gładkość; berło poetów-mistrzów trzymali tylko tłumacze. Okres ten był jednak zapewne z pewnej strony postępnym nad wiek Stanisława, w miejsce epepei komicznych, dramatów komicznych, przedmiotem zamiłowania stały się były wtedy raczej epepeje bohaterskie, wyższych lotów tragedye i t. p.; wiersz przekładów dochodził nieraz istotnie jakby rzeźbiarskiej piękności.

Te przedmioty i taka szata uznane właśnie zostały za szczyt piękności w poezji, ideał do naśladowań; gdy nagle w roku owym 1822, w stronie kraju i w miejscu, z których (mimo rytmotwórcze duchy Kołakowskich, Krajewskich, Ejsmontów, Bartoszewskich, poetów z XVI w. i innych), właściwie mówiąc, nie ukazywały się nigdy i nie nadlatały kwiaty poezji, wyszedł zbiorek, który równie wewnątrz jak i zewnątrz ukazał się w zupełnym kontraście z modą społeczną, a losem którego jednak było: sprawić okres na polu, na które przyszedł.

Zbiorkiem tym były dwa małe tomiki poezji Adama Mickiewicza.

849) *Str. 22—28.* ...Słowacki zrazu był przyjacielem autora *Irydyona*, podobny mu z upodobania w poezji, z oddawania się wyłącznie poezji, był z nim jednak wielkim kontrastem w nucie swych pieśni. Jeżeli w gruncie serca śpiewaka *Brzasku* [»Przedświtu«] tkwiła miłość dla samych swych przyjaciół, Słowackiego serce i śpiewy gorzały, można rzec, nienawiścią dla samych przyjaciół. Obdarzony siłą ironii, chwycił za nią co chwila, śmiał się z wszystkich, z wszystkiego; i w jednym z poematów swoich, półpsychicznym, półhistorycznym, w którym skądinąd najwięcej może rozsypał kwiatów i myśli i słowa (*Beniowski*), oraz w niejednym dramacie, zdaje się, iż wziął był za temat wszystko, co czcili ci przyjaciele, co kraj: osoby, czyny, wypadki, śpiewać na nutę szyderstwa, okrywać szyderstwem. Dotknięty w owych *Trzech pieśniach* [= *Trzech*

psalmach] jakimś słowem autora ich, może właśnie ustępem, na który wskazaliśmy, jako zwróconym do partyi, której sprzyjał więcej, napisał do tegoż autora wiersz, który w czasie swym nader był głośnym (lubo może z powodów ujemnych), a w którym pożegnał przyjaźń i na nutę zupełnie odmiennych zasad zaśpiewał ¹⁾).

Ta niezgodność nie trwała jednak długo. Słowacki, którego historia pieśni w trzech różnych rozwiązała się dobach, w ostatniej zbliżył się wiele, może nawet zupełnie, do zasad, przeciw którym wychodził, i przyjaźń z autorem *Pieśni* [= *Psalmów*] znowu wróciła. Pozostanie to zagadką na zawsze, w czem tkwiła ta skryta moc i ten pociąg, któremi (w czasie, o którym mówimy) autor *Biesiady* [Towiański], autor tak niewielkich zdolności piśmiennych i przynoszący naukę duchową tak mało nową, zdołał być, począwszy od mistrza, tyle umysłów tak wysokich zalet, takiej różności zasad, a serc tyle dumnych olśnić, zadziwić, podbić i jedną ich wspólną nauką duchową na czas jakiś zjednoczyć. Był to fakt jednak, a w liczbie tych umysłów złączonych znalazł się i Słowacki. Zstąpił on z tronu pychy z innymi, uderzył przed nowym mistrzem czołem, i od zwrotów do materyalizmu i ironii przeszedł w ekstazę.

Słowacki w pierwszym okresie swych natchnień (do wydania początku *Trylogii*) [*Kordyana*] dawał wprawdzie utwory ram dłuższych, o wierszu paradnym, ale treści zimnej, naśladowanej. Od trylogii i Balladyny dał szereg utworów oryginalnych i poetycznych, które jednak nazbyt właśnie odznaczał ów sarkazm lub materyalizm — w ostatnim zaś tym zwrocie obok bogactwa słowa, poezji słowa, odznaczył też treść ich wewnętrzzną dogmatyzm duchowy.

Słowacki zostawił wiele powieści i wiele dramatów, należących do każdej z tych epok, a jakkolwiek, jak Bajron, w żadnym z nich nie dał ani arcydzieła powieści, ani arcydzieła dra-

¹⁾ W wierszu tym (»Do autora trzech pieśni«) zaczynającym się od słów: »Według ciebie, mój szlachcicu!«, poeta zarzucał między innymi ich autorowi, iż siedząc przy ciepłym kominku, wszystkich miał za podobnie siedzących, że zbyt szafował porównaniami, braniami z Mickiewicza.

I napelnił wóz Chrystusem
Jak Owidyusz Faetonem i t. p.

matu, to jednak przyczyną tego nie była, jak u Bajrona, wyłączna subiektywność, ale przeciwnie, zbyt oddawanie się szczegółom obiektywnym, z zapominaniem na mechanizm utworów.

Słowacki nie dał nam ani genialnych powieści, ani genialnych dramatów; dał jednak genialne ustępy powieści i genialne sceny w dramatach.

Tu dosyć będzie wspomnieć na ostatni z tych zwrotów, jako głównie oryginalny i będący ostatnim kwiatem myśli i fantazyi autora. Do okresu tego należą mianowicie z dramatów: *Sen srebrny Salomei* i *Wieszcz-kapłan* [*Ksiądz Marek*], z powieści: *Król-duch*.

Owo unoszenie się w wiek przyszły, wiek ów pokoju ducha, miłości w duchu, — wiara w jego nadejście, stały tu się, widzimy, uznaniem także natchnionem szydery-materyalisty. Wyrażała się ta treść natchnienia w różnych odcieniach i zwrotach, a nieraz i bezpośrednio, jawnym była wyznaniem.

Ow *Wieszcz-kapłan* np. który poprzednio w »Beniowskim« kreślonym był na nutę ironii, w dramacie z tego okresu przedstawiony jako rzetelnie natchniony, i w swych lirycznych wołaniach, czyniąc aluzją do owego przyszłego wieku, tak się np. wyraża:

...bo tu, gdzieśmy żyli,
Śród naszej niby opieki,
Bogu i ziemi na chwałę
Poczęło się *dziecko małe* (owa idea),
Które będzie żyło wieki.
Kto jest ono, (dodaje), nie powiem,
Ale że tu jest to dziecię,
To wiedzą nawet ptaszęta,
Świergocące na błękiecie.

O tem wie i on, jako prorok, i tak określa się (terminami swej szkoły duchowej):

Bo zaprawdę, jestem w lidze
Z duchami i ze świętami;
A chociaż niski na ziemi,
To duchy okryte zbroją
Na ramionach moich stoją,

I kończą się gdzieś w bezkońcach,
 W świecie, gdzie gwiazd zawierucha,
 W gwiazdach, meteorach, słońcach,
 Za słońcami, w słońcu Ducha.

Areydzielem Słowackiego z tej epoki jest jego poemat szczególnie bogaty i w myśl i w obrazy, jakkolwiek w swym skutku chłodny, jako z serca niegdyś egoisty idący. Za bohatera poematu tego obrany został przez autora Duch-duchów, Duch-rządca ludzi i dziejów, czyli *Król-duch*. Ten Król duch, jak się okazuje wkońcu, to *Duch-miłości*: wszakże nie przemówił z pozoru słowami miłości; rozumiejąc sam siebie, nie troszczył się, aby być zrozumianym od innych, i oblekł się w obrazy i słowa szczególnej ciemności. Czyli to było skutkiem tego powodu, że społecznie ze śpiewem tych naszych poetów, o których mówimy, na pierwszy plan wystąpiły były w kraju i po świecie nauki spekulacyjne, i odtrąciły były utwory fantazyi na drugi plan, czyli iż mieliśmy poetów żadnym innym zawodem niezajętych, a oddających się, rzec można, po dniach i nocach poetycznemu rozmyślaniu, czyli z obu tych przyczyn razem, lub z jakiej trzeciej: dosyć, iż było to faktem, że mieliśmy w owym czasie całą szkołę poetów ciemno-piszących. Do takich należał między innymi nie w jednym swym utworze wierszem i prozą, i autor »Trzech pieśni«, a jakby kwiatem maniery tej błysnął właśnie w owym poemacie swoim Słowacki.

Czy ciemność ta była skutkiem bezłoiczności, pomieszanych władz umysłowych, czy tylko jakiejś loiczności odrębnej?

Ciemność myśli zdarza się i zdarza się nieraz na polu spekulacyjnem, począwszy od Platona do pism filozofów niemieckich z ostatniej epoki; jeśli bowiem myślący filozof oddany rozbiorowi, rozwadze prawd umysłowych, przechodzi w procederze swej myśli od pojęć do pojęć, od wniosków do wniosków i dochodząc do pewnego wypadku, kreśli tylko wypadek, bez objaśnienia owego procederu: frazes albo frazesa, które wtedy wyraża, mogą być bardzo jasne dla jego własnego pojęcia, ale dla czytelnika muszą być bardzo ciemne; stają się owszem wkrótce takimi i dla samego autora, i wiadoma jest powieść z życia Kanta, który na zapytanie, co znaczy jeden z jego fra-

zesów w którymś z pism jego, po odczytaniu miał odrzec szczerze: iż należało go o to zapytywać w kilka dni po wydaniu.

Skutek taki, który się nieraz zdarzał wśród sfery dociekań, zdarzał się właśnie wśród sfery poezji i w utworach poetów naszych: oddani oni wyłącznie tworzeniu obrazów, przechodząc w procederze swojej fantazyi z obrazu do obrazu, od myśli do myśli, i wkońcu bez objaśnienia tej drogi, czyli tych obrazów i myśli poprzednich, kreśląc tylko wypadki, tworzyli wyrażenia, strofy i poemata całe, tak zawikłanej całości i szczegółów, iż niejednokrotnie, jak szczegóły, tak nawet i sama całość, zaledwo nie przez samych tylko autorów rozumiane być mogły. Wypadkiem takiego skutku, takiego procederu, był też właśnie *Król-Duch*. Iż poemat ten nie był tylko fantastyczną zabawką myśli i na żart z czytelników kreśloną łamigłówką, dowodem tego jest stosunkowa loiczność strof pojedynczych i dowodem jest mianowicie ta okoliczność: iż mimo nader zimne przyjęcie ogłoszonych ustępów tego poematu, autor jednak całą prawie resztę swojego życia poświęcił na ich prowadzenie dalsze (jak widzieć to można z ogłoszonego po śmierci autora obszernego dalszego ciągu i objaśnień wydawcy). Stylu tego i takiej manieri pisma bynajmniej nie uwielbiamy¹⁾, i obojętność w tym razie na zdanie czytelników egoizmowi chyba przypisać możemy: nie idzie jednak z tego, aby tak piszący poeta nie był poetą, iżby jego poezya nie była poezją przez to tylko, iż ro-

¹⁾ Jeden z reprezentantów tej szkoły ciemności, poeta *Cyprian Norwid*, broniąc tej metody czyli tego faktu w poezji Słowackiego, wyraził zdanie: iż gdy prawda i życie są ciemne, przeto i obraz, jeżeli jest istotnie z prawdy i życia, musi być ciemnym. (Prawda, mówi, obejmuje życie, jest więc niejasna, bo obejmuje rzecz ciemną, gdybym odjął prawdzie życie, odjąłbym to, co ją sprawdza, ale byłaby jasnym fałszem). (*Odczyt o Słowackim*) Nie zajmujemy się tu tą razą rozbiorem tej kwestyi, zwracamy tylko uwagę, iż twierdzenie to jest kontrastem z twierdzeniem tych, którzy na polu spekulacyi są zdania: iż przeciwnie prawdziwem kryterjum prawdy jest jasność, — iż ci poeci, których głos powszechny uznał za poetów pierwszego rzędu, wszyscy mieli przymiot jasności, — i wreszcie, że hieroglif, chociażby mieścił myśl najszczytniejszą, ma dla historii i dla postępu myśli człowieka znaczenie żadne. Jakoż i wszystkie, widzimy, poezye Cypryana Norwida, mimo swe rzetelne zalety, z żalem dla sztuki, tenże los właśnie mają.

zumianą być nie może bez komentarza. *Król-Duch* we wszystkich swych szczegółach i odcieniach nie jest zapewne i dotąd nam jasny; znając wszakże zasady szkoły autora, jest on nam jasny o tyle, iż możemy rozumieć główną myśl jego, główny cel. Autor śpiewu, widzieć to można, wierzy (razem ze szkołą) w rodzaj metempsychozy, wierzy w harmonię epok, czasów, rozwojów, w istnienie pewnych podobieństw, tak w rozwiciu całości i części, jako też tych między sobą i t. p. Król-Duch (bohater poematu) istnieć więc i wyrażać się może i musi i w jednej i w drugiej jednostce ludzkiej, mieścić go może taki wódz, taki wieszcz (do jednostek takich autor zalicza i siebie), taki rządca, jak jednostka, tak naród, tak jakaś część ludzkości, okres ludzkości i t. p. Pojęcia te czynią zapewne jawny zamęt, gdy bowiem poeta mówi np. w poemacie: »ja«, nie jest łatwo odgadnąć, czyli to mówi o sobie, o kraju, o jakiejś epoce ludzkiej, o samym duchu i t. p.; gdy kreśli jakiś wypadek, wyraża uwagę, jest to zawsze prawie zagadką, o czym mówi, do kogo je odnosi? Mimo to wszystko jednak dosyć to jasne, iż jeżeli treścią poematu jest opowiadanie różnych dróg Króla-Ducha wśród dziejów ludzkich, to znowu, iż celem zarazem jest: wieszczanie i wyznawanie wieku, w którym ma nastąpić jego wygrana. Iż duch ten jest to duch *miłości*¹⁾, jest duch *chrześcijaństwa*, objaśnia to najlepiej samo zakończenie tego ustępu, który autor sam jeszcze za życia był ogłosił i według którego najprędzej możemy go sądzić.

Ogłoszony ten przez autora ustęp poematu opowiada jeden z okresu dziejów Króla-Ducha, a treścią pieśni są wyłącznie obrazy mordów i krwi, »Cierpienia moje« (t. j. Ducha), jak wyraża autor w zaczęciu. Tak bowiem jak brylant, nim się stanie owym kosztownym brylantem, w pierwszej epoce bytu być musi kamieniem ciemnym, tak równie każda idea, każdy bieg, każdy utwór, nim wzrosną, nim się rozjaśnią, muszą pierwej przebyć swe doby ujemne; taki los jest też losem rozwoju świata: ci więc, którzy przedstawiają w tym losie swe doby,

¹⁾ Popiel, bohater ogłoszonych pieśni, morderca rodu, wyraża tu między innymi:

Okropne ze mnie na wiatr wyjdą cienie,
Wszecmiłość zmyta w krwi...

straszą czynami, ale zaletą tych czynów, iż przyspieszają czas kwiatu, epokę lepszą.

Takim np. był wiek Popielów (który właśnie jest głównie treścią ustępu) w kraju Popielów, nim przyszedł Mieczysław, takim był cały wiek dawny, nim przyszło chrześcijaństwo i t. p ; ale zakończy to wszystko z czasem wiek ducha, królestwo ducha. Autor więc kończąc ustęp, żegna epokę krwawą, która minęła, niby (zarazem) cały wiek starożytny, ową pierwszą formę dziejową, i tak się wyraża:

»Śpijże, mój *kształcie pierwszy*, z ducha zdjęty!
Świecący w dali jak księżyc na nowiu,
Upiorny, za krew wylaną przeklęty!
W koszuli z drutów i w czepcu z ołowiu.
Kłątwa na ciebie!... jak na *dyamenty*,
Na bazaltowe kolumny w pustkowiu,
Pierwszej natury z ducha budowane,
W ciemność i w chmury i w piorun odziane.
Lecz *ja* na tobie nogę postawiłem,
I szedłem dalej, a jużem był *Boży!*

Przy wzmiance tej o chrześcijaństwie, pożyczają też autor wyrażenia z prorocत्व chrześcijańskich.

»Morza się cofną, góry pójda pyłem,
I świat się komet deszczami zatrwoży,
Gdy duchem spełnię, co ciałem spełniłem!
Duch, ukazany w pierwszej świata zorzy,
Któremu Pan Bóg zasłon swych uchyla,
A lat tysiące są jak jedna chwila.

E) Z »Wizerunków polskich« (1875).

(»Wizerunki polskie«. Zbiór szkiców literackich. Warszawa 1875),

Podajemy wstęp do studium: »Ludwik Kondratowicz i jego poezye«, (druk. pierwotnie w Bibl. Warsz. 1872), w którym Tyszyński występuje przeciwko jednostronnej, materialistycznej teorii, że poezya jest wytworem przyrody, która warunkuje jej charakter.

850) *Str. 205—208.* Wiek nasz nie jest wiekiem poklasków dla dzieł poezji. Zainteresowanie się dziś tak silne i tak powszechne treścią i wypadkami badań materialnych nie sprzyja zwrotom duchowym. I nie twierdzimy bynajmniej, iżby ten prąd materialny był prądem wstecznym. Po wybudowaniu tak silnem, lecz jednostronnem w pierwszych dziesiątkach naszego stulecia badań przeważnie duchowych, a po zawrodzie ich, stosownie do praw rozwicia, przyjść musiała z kolei doba kontrastu. Członkowie doby, nie możemy owszem i sami odjąć się dobie i nie podzielać jej wrażeń, ale w okresie każdym, jakkolwiek hasłem każdego jest jednostronność, tkwi i wszechstronność. Okres nasz, lubo jest materialny przeważnie, jest jednak chronologicznie postępnym, a jako taki, nim dopełni swe koło i ustąpi znowu z kolei miejsca zwrotom przerwany (t. j. nowemu okresowi ducha w postępie nowym), może i musi wydać i niejedno dojście postępane wśród swych gałęzi, a dojście to, jeśli będzie dojściem postępnem istotnie, chcemy rzec »dojściem prawdy«, musi pójść mimo wiedzy swych sprawców i na ogólną korzyść wszystkich gałęzi. Takie np. prawdy, do uznania których, myśląc tylko o swym zakresie, doszedł był ostatni okres duchowy, jako: istnienie praw pewnych rozwoju, jedności bytu, harmonii i t. p., przejął i zastosował do dojść swoich obecny materialny, podobnie też niejedno dojście i tego, które sam mniema być śmiercią, pogrzebem ducha, może w istocie pójść raczej na jego tryumf.

Objaśnimy to bliżej.

Po zakwitnieniu i śmierci z końcem wieku zeszłego, a po wskrzeszeniu w połowie naszego czci wyłącznie materji, reprezentanci tego kierunku, po ponowieniu zrazu dawnych swych twierdzeń o odwieczności materji i odwieczności jej kształtów¹⁾, pochwycili następnie, przejęli za własną i poparli masą dowodów tę niedawno zjawioną hipotezę: iż owszem pierwotnem nastaniem (t. j. sposobem stworzenia) tych wszystkich istot ziemskich, na które patrzymy, było nie ich trwanie odwieczne w dzisiejszych formach, lub też ich samorodne zjawienie się obok

¹⁾ Rozprawiać o powstawaniu gatunków istot jest to rzecz próżna, gatunki bowiem odwieczne są te same. Aug. Comte.

w formach sobie podobnych, ale ich stopniowe i harmonijne wywijanie się (ewolucya) z formy w formę, przez odmęt wieków. Szkoła wniosła, iż dojście to jest pokonaniem ostatecznem ducha i wszelkich z tego wyobrażenia idących »duchowych mrzonek«. Dojście to jakież jednak istotnie musi mieć skutek? i do jakich właściwie wieść wniosków?

Jeżeli ten pomieniony dopiero wykład nastania różności istot jest prawdą, (a sądzymy, iż wszelki wykład, który w stworzeniu rzeczy widzi harmonię i mądrość, nie zaś bezład i bezpowolność, jest bliższym prawdy)¹⁾, jeżeli istotnie nad naszą ziemią przepływały miliardy wieków i w biegu tym wydawały tylko przemiany form materyalnych, a dopiero przed czasem stosunkowo niedawnym, przed kilku tysiącami lat, jedna z tych form, z tych utworów, ukazała się z przybytkiem nieznanego dotąd pierwiastku: ducha żywego (z pierwiastkiem twórczym), pierwiastku, który ją odróżnił o całość i wyniósł o całość nad wszystkie utwory poprzednie; tedy o ileż nam droższym, o ile silniej strzeżonym i wyżej wielbionym być winien ten tak świeży na ziemi gość, ten duch ludzki! Jak ciekawie badane, jaką czcią otaczane wszystkie jego objawy, jego produkcye! Z formą ludzką (właśnie według teorii tej nowej) ukończony, wypada rzec, został zewnętrzny rozwój natury, a wszelka od-tąd zjawiana na ziemi nowość szła tylko od ducha ludzkiego.

Pierwiastkiem tym (duch i twórczość) połączył się bezpośrednio człowiek z pierwiastkiem (Duchem-Stwórca) wszechrzeczy. Pierwiastkiem tym zapanował on na ziemi, rządzi i włada wszelką istotą ziemską, z dniem każdym wnosi jakąś na ziemię nowość, nieznaną od dni stworzenia; w świecie swoim (ludzko-

¹⁾ Wykład ten wyrozumowanego dzisiaj (w wieku XIX) logicznie dojścia, dziwnie się nawet zbiega z podaniami lub nauką natchnień pierwszych historyków ziemi. Główne np. punkta twierdzeń Genesis Hebrajskiej: iż ród ludzki nie jest odwiecznym na ziemi, iż na ziemi, po jej nastaniu przybywały epokami postępnie coraz bogatszej organizacyi utwory, i że wreszcie ludzkość cała dzisiejsza jest rozrodem z jednej pierwotnej pary, są to właśnie główne punkta teorii dzisiejszej o pochodzeniu istot, zwanej teorią Darwina. (Co do ostatniego z tych punktów, t. j. wyjścia wszelkich pokoleń ludzkich z jednej wspólnej pary, widzieć mianowicie dowody w najnowszem dziele Darwina: »Pochodzenie człowieka i wybór pleiowy«).

ści) wydał on i wydaje szczegóły takie jak: dzieje, religie, świat wynalazków i nauk, dzieła sztuki i t. p. Badanie i ocenianie każdego z tych szczegółów jest to więc owszem głównej żywotności zadanie dla badań ludzkich. Zajmuje nas i naucza zapewne badanie i przebywanie wśród np. starych jaskiń i skał, wśród sfery lodów i wód, pośród prochu i kości istot zaginionych, i badania te jako badania także czeią otaczamy; lecz badania te jako badania, w razie nawet skutków najlepszych, objaśnić nam tylko mogą i objaśniają martwość i przeszłość. Zagadkami głównymi dla ludzi są: wewnątrz istoty ludzkiej i losy ludzkie, a rozwiązanie tych zagadek prędzej i bezpośrednio nam dadzą, dać nawet, zdaniem naszym, jedynie mogą, nie tyle badane np. przepaście i ognie wśród kształtów i treści ziemskich, ile raczej przepaście i ognie serc ludzkich i myśli ludzkich.

Poezya, ta właśnie jedna z gałęzi dzieł sztuki, jeden z głównych utworów ludzkiego ducha, według objaśnień i twierdzeń szkoły materialnej, jest to tylko przygodnia produkcyja wrażliwszych mózgów, a treść jej to odbicie działań przyrody na nerwy czaszki. Ten też właśnie był grunt i krytyki materialnej z wieku zeszłego, zwanej klasyczną. Skala zgodności poezyi danej z jej typem t. j. naturą, której jakoby naśladowniczką tylko być miała, poczytywaną była za jedyną skalę wartości utworu. I nie wszystko też wcale było fałszem wśród spostrzeżeń i reguł krytyki tej; ujemnością i fałszem w krytyce tej było to tylko, co jest ujemnością i fałszem w ogólności całej tej (materialnej) szkoły, to jest jednostronność w poglądzie i pewna ciasność. Iż poezya, a zwłaszcza słowa poezyi, są dzieckiem mózgu, iż obrazy jej mogą, a nawet muszą być odbiciem natury zewnętrznej, jest to istotną prawdą; wszakże nie tylko w tym fakcie i nietylko w tej treści leży jej całość.

Mamy właśnie przed sobą zbiór natchnień śpiewaka z nad Niemna, zbiór obszerny, dziesięć tomów utworów obejmujący, a treść ich była to istotnie produkcyja jego mózgowej tkanki, działań na nią okolic i słońca nad Niemnem. Lecz oto nad tymże Niemnem, wśród tychże okolic, jakaż ilość (uważać to można) i istnieje i istniała od tyłu już czasów innych mózgowych tkanek i czaszek, na które działają toż słońce, też okolice, które nawet łącznie lub jednocześnie wzrastały i żyły ze śpiewakiem

utworów tych, a więc wśród tychże wrażeń zewnętrznych i wrażeń wewnętrznych, wśród myśli podobnych dziennych i uczuć dziennych, które nawet dzieliły jawnie taką wrażliwość, miały równie upodobanie w śpiewach i chęci własnej do śpiewu¹⁾; dlaczegoż jednak z liczby tych kroci jednej tylko danem było odezwać się i długo odzywać, a odzywać na taką, nie inną miarę, na taką, nie inną nutę? Dlaczego wśród tejże strony, wśród tych okolic, niegdyś płynęły wieki i nie dawał się słyszeć śpiew żaden? Dlaczego nie dał się słyszeć odtąd? Dlaczego (że się wyniesiemy na chwilę za punkt i mgnienia) i tam i gdzieindziej, wśród biegu dziejów i wieków, wśród kroci, milionów jednostek, jedna tylko w danym miejscu i czasie ukazuje się taka, nie inna, otrzymuje przywilej śpiewu, i łącznie ze śpiewami, myślami i innymi utworami społecznych mózgów i czaszek sprawia jakąś epokę daną, jakiś odcień w ogólnej, jakąś miejscową? Oto wszystko to właśnie dlatego: iż oprócz tych ludzkich mózgów i myśli, istnieje jeszcze, jak wśród wszechświata, tak w świecie ludzkim, pierwiastek trzeci, który obraca i rządzi, tak treścią mózgów jak myśli, który ich wypadki i dzieła układa do jednej harmonii, który sprawia, iż w takich, nie innych kształtach ukazują się czasy przeszłości, w takich, nie innych nadejdą kiedyś przyszłości, w takie, nie inne obleka się tło obecności, a który ma imię — duch.

Duch jest początkiem wszystkiego i końcem wszystkiego, tak nauczyła nas właśnie szkoła materialna dowodem nowym. Z utworów, które pośród dzieł ludzkich najbogaciej odbijają i rozwijają pierwiastek ten, jest właśnie, mówimy, poezya — i powtarzamy znowu: zajmować się tą gałęzią, nie jest to wcale zajmować się sferą »mrzonek«.

¹⁾ Przychodzi nam tu na myśl mnogość z owego czasu poezyi w Rocznikach, Noworocznikach, Pamiętnikach i w innych ówczesnych zbiorach miejscowych, a które dla podpisanych pod nimi nazwisk były (w razie najlepszym) zarazem i głosem skowronka i głosem łabędzia.

F) Dwie poezye przedśmiertne (ojca i syna Słowackich) (1879).

(«Tygodnik Ilustrowany» 1879, t. II).

W »Amerykance w Polsce« (II, 103) Tyszyński scharakteryzował twórczość swego współzawodnika szkolnego w 7-wierszowym przypisku (»Syn słodkiego prozaisty, poeta paryski, Słowacki, stylem Szkoły litewskiej przedmioty ukraińskie opowiadać się stara. Budowa wiersza w poematach jego wspaniała i harmonijna. Obrazy i myśli pospolicie poezyi pełne. Ale tak w ich układzie, jak w układzie całości, brak pospolicie trafnej, uderzającej harmonii. W samym zaś stylu rozwlekłość, lubo wystawna«). Niniejsza paralela jest uzupełnieniem charakterystyki Słowackiego, w »Dwu Świteziankach« zawartej.

851) Mamy przed sobą dwa wiersze, napisane przed zgonem przez dwóch naszych poetów, i chcemy je zbliżyć. Słusznie albo niesłusznie, lecz jest to mniemaniem powszechnem, iż duch ludzki, gdy już skończył swój rozwój i na odlocie jest z ciała, widzi ostrzej, widzi proroczco; stąd poezye przedśmiertne podwójny miewają interes. Nieczęste to są jednak produkcyje. Duch ludzki w godzinę śmierci, nawet u poetów, zajęty jest zwykle raczej znoszeniem cierpień fizycznych, lub myślą o losie swym wiecznym, niż dobieraniem rymów. Ma jednak kilka i takich nasza poezya, a o dwóch, ojca i syna Słowackich, chcemy rzec właśnie słów kilka.

Ojciec i syn Słowaccy, Euzebiusz i Juliusz, byli to dwaj nietylko krwią z sobą złączeni nasi pisarze, ale w części i losem. Obaj oni byli przeważnie zwolennikami jednej sztuki — poezyi, obaj umarli młodo (w latach około 40-u), obaj z choroby piersiowej. Były wszakże i dobitne różnice w obu tych losach. Ojciec był przyjacielem pracy: prócz poezyi zajmował się i obowiązkiem publicznym — syn przez cały ciąg życia tylko poezyą. Ojciec, który miłował spokój, był oddany życiu familijnemu i pozostawił syna, a syn ten, mimo burze fantazyi, wdychał wprawdzie także przez całe życie do założenia domowego ogniska, całe jednak spędził samotnie i umarł samotny. Lecz nadewszystko, jakkolwiek zamiłowani w jednej sztuce, różnili się z sobą o epokę całą w jej pojmowaniu. Ojciec lubił sztukę dla sztuki, dla wdzięków jej, jako ozdobę; syn pojmował ją

i oceniał z punktów jej związku z życiem, z ludzkością, światem, a same nawet zewnętrzne jej wdzięki czuł różnostronniej. W zawodach obu były więc różnice fizyczne, różnice umysłowe, różnice duchowe. I o tem kilka słów bliższych.

Biografia nader mało nam przechowała szczegółów z życia Euzebiusza. Urodzony w r. 1772, po ukończeniu szkół, mimo powzięte upodobanie głównie do nauk zwanych pięknemi, zajął się jednak zarazem uprawą gałęzi, przynoszącej i materyalną korzyść, był bowiem zrazu geometrą rządowym. Zajęcie się to dało go bliżej poznać w jednym z zamożnych domów Wołynia, który zatrzymał go na domowego przewodnika syna, a tu poznany i oceniony przez Czackiego, wezwany został do wykładania wymowy i poezyi w gimnazyum krzemienieckim. Konkurs, ogłoszony w r. 1811, zjednał mu powołanie na katedrę tegoż przedmiotu w uniwersytecie wileńskim. Zajmował ją prawie do końca r. 1814, w którym zakończył życie.

»Głównym charakterem Euzebiusza, mówi jego biograf (Leon Borowski), była łagodność duszy, która spokój nadewszystko przenosiła«. Charakter ten odznaczył też wszystkie główne kierunki jego zawodu.

Miłość spokoju zwróciła go do szukania szczęścia w zaciszu domowym, wśród życia familijnego.

Miłość spokoju kazała mu umilować sztukę, uprawę poezyi, a uprawę właśnie w smaku tej poetycznej szkoły, która mu była społeczną. Szkoła ta, wychodząca rzec można z zasad dzisiejszego pozytywizmu, to jest czerpiąca swój sąd z doświadczenia, patrząc na arcydzieła, które wieki uznawały za piękne, wniosła, że dla tworzenia piękna, potrzebnem jest tylko wierne odbicie wzoru. Nauczając o tem klasycznie, zwaną też była klasyczną. Łagodność (t. j. nie gwałtowność, namiętność, rzutność) sprawiała więc, że poeta Euzebiusz szczerem był zwolennikiem podobnej szkoły. Mógł mieć gotowe ramy, gotową dykcję, prawie treść całą. Prace swoje poświęcał nadto głównie przekładom, rzadko tworzeniom własnym; pisał wszakże i dramata, a z zawodu swojego niekiedy krytyki. Czulość (że tak powiemy suchotnicza) smaku sprawiała, że styl jego prozy miał zawsze gładkość i słodycz, że wiersz zawsze był gramatycznie i logicznie ściśle poprawnym, a rozbiory (zwracane głów-

nie do strony zewnętrznej utworów) umiały trafnie schwytywać odcienia zboczeń i zalet.

Miłość wreszcie spokoju, łagodność, odziała też w taką nie inną cechę i ducha Euzebiusza. Wychowaniec moralny końca XVIII i początku XIX stulecia, być on musiał pod względem duchowym (religijnym) takim, jakim była większość naszych uczonych z owego okresu t. j. wielbicielem i zwolennikiem słynnej Encyklopedyi. Iż nie był ateuszem, tego dowodem jego przekład »Modlitwy powszechnej« z francuskiego (Dziela IV, 355); iż dotykalnie uznawał praktyczną potrzebę religii, tego dowodem jego ustęp w mowie, mianej w Krzemieńcu do uczniów i ich rodziców w r. 1808 o religii, w którym wyraził, iż ona tylko istotnie jest źródłem i poręką wszelkiego porządku i szczęścia na ziemi (III, 333); — że jednak nie był żadnym ze ściśle określonymi pojęciami mistykiem, ani też wogóle zwolennikiem mistyki, tego dowodem także treść jego pism. Pomimo rozmaitość rodzajów i przedmiotów, nigdzie prawie nie widzimy w nich zwrotów do religijnej treści. Tłumacz Henryady był oczywiście wielbicielem autora Henryady. W rozbiorach naszych pism dawnych (t. III) czynił głównie przytoczenia z pism protestanckich, a przytaczając ze Skargi wyjątek z dzieła jego: »Cztery końce życia ludzkiego«, uprzedzał, iż było to dzieło »pochylonej starości polskiego kaznodziei«. Cechą, słowem, i religijnych wyobrażeń tego autora była także owa miłość spokoju, t. j. nie żadna trwoga, troska lub zapał, lecz — obojętność.

Bliżki zgonu, stygnącą już, jak mówi jego biograf, ręką skreślił Euzebiusz Słowacki uczucia swe w owej chwili ulubioną sobie formą rymową. Tu wyznaje, iż kończąc zawód, spotyka się z tajemnicą, iż może go oczekiwać przejście do innego żywota; lecz ufny w rękę, której opieki doznawał przez cały swój żywot, z ufnością i spokojem patrzy i w los swój dalszy. Dykeya² gładka, zdrowy rozsądek (te dwa główne warunki szkoły) i wreszcie ów spokój, to są główne, zewnętrzne i wewnętrzne, cechy tego wierszyka — a brzmi on następnie:

Wędrowiec, w drodze życia mdłą stargawszy siłę,
Wkrótce rzucę, co miłe i co mi niemiłe.

Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,
Który znagła w nieznane przeniesie mię strony,
W tę spokojną uchronę, gdzie wieczność przebywa,
I które chmura pełna tajemnic ukrywa¹⁾.

Nazwanie w tym wierszyku miejsca, »gdzie wieczność przebywa«, spokojną uchroną, pozwala mniemać, iż poeta, kreśląc go, myślał raczej o materyalnym swym grobie, niż o nowym żywocie ducha, a jednak i to jasno wyrażał, iż się tu miał za przechodnia, iż miał przeniesionym być nagle w nieznane strony, a wyrażenie ostatnie, że cały los jego przysły »chmura tajemnic ukrywa«, jest wyrażeniem, które mógłby powtórzyć każdy chrześcijanin. Euzebiusz Słowacki słowem, lubo nie był, jak uważaliśmy, żadnym twierdzącym mistykiem, ale też nie był, jak widzimy, twierdzącym sceptykiem.

Poetą z nader odmiennem słowem, odmienną barwą był syn Euzebiusza, Juliusz. Jeżeli mówiąc o ojcu, musieliśmy zacząć od tego, iż nie mamy prawie żadnych bliższych szczegółów z jego biografii, o synu można przeciwnie rzec, iż nie mamy pisarza, o którego życiu mielibyśmy ich tyle, a mimo to treść tego życia krócej jeszcze da się określić, niż ojca, t. j. iż całą tą treścią, jedynym zawodem i wypełnieniem jego była — poezya. Drażliwych uczuć, odbijał Juliusz Słowacki epokę sobie społeczną. Jedną z cech epoki owej było wyswobodzenie poezyi ze wszelkich więzów; — nie krępowały też, dodać trzeba, poety żadne więzy społeczne, żadne nawet zawodu materyalnego. Swobodne więc i najswobodniejsze bujanie myśli, swobodne i najswobodniejsze chwile ich wcielania, były powodem, iż szczególnem bogactwem obrazów, szczególnem bogactwem formy lśniły jego utwory, jakkolwiek przedstawiając jedynie wnioski, bez objaśniania poprzedniej drogi rozmyślań, stawały się też i zbyt ciemnymi nieraz dla czytelnika. Takim był jeden z odrębnych, a najogólniejszych rysów charakteru utworów poetycznych Juliusza. Bliższe ich cechy zawarte są w charakterze tej szkoły, którą odbijał.

¹⁾ Dzieła E. Słowackiego t. IV, stronica ostatnia. Wierszyk ten przytaczając, biograf, we wstępie, w wierszu ostatnim które zamienił na które. Wypada trzymać się przedruku z autografu.

Szkoła ta, to jest ostatni okres naszej krajowej poezyi, była trochę potrącaną i poniżaną w ostatnich czasach. Autor naprzykład głośniej przed dwoma laty rozprawki p. n. *Romantyzm i jego skutki* (F. K.)¹⁾ objaśniał: iż szkoła ta, powoławszy do życia średniowieczne wierzenia, czary, widma, upiory i t. p., poniżyła rozum krajowy, i że mistrz jej powoływał nawet wyraźnie do wzgardy tego pierwiastku. Nie zaprzeczając wcale ani zdatności pióra, ani rozlicznych zasług autorowi rozprawki, nie możemy jednak nie dodać, iż sąd taki był raczej spleenem krytycznym, nie krytycyzmem. Bo oto najprzód, zbliżając i przypominając treść głównych utworów tej szkoły, któremi są Grażyna, Marya, Wallenrod, Pan Tadeusz, Zamek Kaniowski, Irydyon, Nieboska, Przedświt, pieśni Pola, wszystkie prawie dramata Słowackiego i w. i. nie znajdujemy w żadnym z nich ani widm, ani czarów, ani upiorów. I powtóre, nie znaczy to wcale czynić zarzutu poezyi, gdy się mówi, iż jest poezją. Alegoryczne widma, alegoryczne upiory i t. p. nie więcej mogły poniżać rozum, jak naprzykład rozmawiające strumyki i pieski bajki klasycznej. Co do stosunku wreszcie naszej ostatniej poezyi do tego pierwiastku (rozumu), dodajmy pół słowa.

Jest to pewnik, na który wskazuje i najsurowszy dziś pozytywizm, iż wśród natury istniejącej jest sfera »nieznanego« (Herb. Spencer). To istniejące nieznanne, przez to samo, iż jest dla nas nieznanne, poświadcza: iż to, co istnieje, jest wyższe nad nasze poznanie, więc nad nasz rozum, iż pośród wszechistnienia wszechświata istnieje jakiś układ głębszy, stosunki doskonalsze, niż je dziś znamy; lub jaśniej: iż pośród świata istnieje jakiś wszystko tworzący i wszystkiem rządzący rozum, który nasz ludzki, powszedni, dopiero badać i do którego stopniowo zbliżać się ledwo może. To nieznanne nie przestaje też istnieć, mimo to, iż nam nieznanne, i łączyć się w taki lub inny sposób z resztą stworzenia. Nie łączy się ono z nami dziś przez nasz rozum, gdyż jest »nieznane«, a jednak łączyć się musi — łą-

¹⁾ Ks. Franciszek Krupiński w rozprawie, drukowanej w »Ateneum« z r. 1876. *Przyp. Red.*

czy się więc i działa przez inne koryta, jako to: przez instynkta, uczucia, natchnienia i t. p. więc np. i przez poezję.

Poeta (jest to niemilą dla naszego ludzkiego rozumu prawdą, lecz jednak prawdą) prędzej też nieraz i jaśniej uczuwa porządek ów wyższy, misję spólludzi i własną, niż nawet filozof. Wie, iż jest wykonawcą, narzędziem owej skrytej a wyższej siły, jej celów — i stąd też np. woła: »Łam, czego rozum nie złamie«, to jest »łam (z woli rozumu wyższego to), czego (nasz powszedni ludzki) rozum nie złamie«. Wykrzyk ten więc nie był wcale potępieniem rozumu ludzkiego, lecz owszem podniesieniem do potęgi wyższej tego pierwiastku ¹⁾.

Te cele mistrza istotnie odbiła i cała szkoła. Szersze ramy, głębsze poglądy, polot ku nieznanemu, wyższość w obrazach, uczuciach, samych pojęciach, bogactwo w formach, to były główne cechy i główne różnice tej szkoły od szkoły poprzedniej. Szkoły takiej jednym właśnie z budowników głównych był Juliusz. Oddany jedynie poezji, tworzeniu jej, poznawaniu, skutki tej łącznej pracy objawiał w swoich utworach. Były też one z kolei odbłyskiem dzieł głównych mistrzów poezji, jak Bajrona, Szyllera, Szekspira, Kalderona i i. Zaś w końcu, oddany wyłącznie zgłębianiu własnego ducha, skutki tego odbił w obrazach z gruntu oryginalnych. Ten był zawód Juliusza fizyczny, ten umysłowy.

Kiedy zgon nadszedł, uczucia swoje w tej chwili, równie jak ojciec, skreślił wierszem, a wierszowi temu dał nazwę Testament ój.

Wiersz ten przechował nam jego biograf (Małecki) i zakończył nim jego biografję. Wiersz ten odbija też naturalnie również głównie swą chwilę t. j. myśl o nadeszłej śmierci; ale podczas gdy ojciec (reprezentant epoki swojej) myślał tylko o sobie — syn myślał ledwo nie więcej o bliźnich, o rodzinie,

¹⁾ Iż taki, nie inny, był tu rzeczywiście cel poety, dowodem jest między innymi jego pismo z epoki późniejszej p. n. »Ludzie rozumni i ludzie szaleni«, w którym krótko, ale faktami objaśniał, że sprawy przewrotów większych, tak w polityce, jak w nauce, przez spóczesnych nie za rozumnych, ale za szalonych byli zwykle miani. Potępiał więc w gruncie nie rozum, ale sądy ludzkie o rozumach, i tylko śród poezji wyrażał się poetycznie.

spółziomkach, o tem, co spełnił, jak się łączył z przeszłością, w czem i jak wpłynął na przyszłość i t. p. — pod względem słowa nie okazał się w tym utworze Juliusz takim mistrzem liry, jakim w podobnej chwili okazał się np. Siemieński, jakim bywał sam w innych chwilach. Zawsze jednak był mistrzem, i powtórzymy tu ten wiersz jego ¹⁾..

»Duma jest duszą duszy mojej« — te słowa, które wyraził o sobie jeden z bohaterów dramatów Juliusza Słowackiego (Horsztyński), wyrażał jeszcze o sobie i sam poeta w tej nawet ostatniej chwili. »Sternik duchów«, z laurem na czole, przypisywał nawet sobie zasługę w tem, iż się zgadzał: »iść bez oklasków«, mieć »nieplakaną trumnę«, co jednak nie zależało wcale od zgody i woli jednostki. Kreśląc Testament swój, poeta nie był jeszcze tym, jakim się okazał w chwili ostatniej, gdy oddając w rękę przyjaciela (Szczęsnego F.) rękopis swój, z którego w wigilię dyktował, rzekł: »wszystko to głupstwo« — (Małecki 345). Słowacki (Juliusz) w swych utworach z lat młodszych nader lubił szyderstwa. Odznaczył się niemi mianowicie jego poemat Beniowski — poemat, który na szczęście nie mógł nigdy być popularnym, bo jak treść jego wogóle, tak i każda nieledwie strofa w szczególe, złożone są z samych nawiasów, — poemat jednak jeden z najbogatszych tego autora w fantazyę, dowcip i sztukę słowa, ale jedną z cech którego były także ciągle a kolejne ironie ze wszystkich i wszystkiego, co kraj jego miał za najświętsze. W Testamencie odbił się wprawdzie w miniaturze cały Juliusz Słowacki, ale Juliusz już ostatniego okresu. Poeta był tu jawnie duchowo twierdzącym, chrześcijańskim, z odcieniem tylko jakiejś ostatniej mistycznej szkoły, zaciemnej dla nas. (»Jeżeli będę duchem« — wyrażał — to się wam ukażę«. Czemże innem może być dusza, jeśli nie duchem? Chciał chyba poeta rzec: jeśli będę materią). Autor nie żenował się tu, jak widzimy, jawnego wyznania Boga, wiary swej w żywot pośmiertny i w nagrody lub kary w owym żywocie. (»jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę«). Miłość i mizantropia, wpółduma i wpółpokora, — Bóg i świat — matka i spółziomkowie — myśl o tem,

¹⁾ Tu autor przytacza »Testament mój«. (*Przyp. Red.*)

co żyjąc sprawił, co pragnął sprawić, plotły się tu naprzemian. W rozżaleniu do ludzi, do swych współziomków, nie mógł im i przy zgonie oszczędzić mniej wdzięcznego przydomku zjadaczy chleba, ale przebłagał wkońcu wyznaniem, iż cokolwiek czynił za życia, to czynił dla nich, iż ufał, że pokochają duch jego, i że ten duch przerodzi ich pokolenie.

Takie były te dwie poezye przedśmiertne ojca i syna, reprezentantów dwóch naszych szkół poetycznych. Zbliżyliśmy je, jako ostatnią spowiedź dwóch poetów, jako obraz dwóch różnych poezyi i obraz ostatniej ich wiary, a treść ta nie może być, jak sądzimy, niemiałą i dla przyjaciół poezyi, i dla przyjaciół wiary.

Przyjaciół ostatniego okresu naszej poezyi ujrzy i w tem odbiciu całą różność wewnętrznego bogactwa dwóch szkół.

Przyjaciół wiary pozna, iż kwestya pośmiertna przez zwolenników szkół obu w chwili przedśmiertnej dodatnio była popartą.

CVIII.

CYBULSKI WOJCIECH.

(1808—1867).

Wybitny slawista, krytyk i historyk poezji polskiej romantycznej, poprzednik Nehringa na katedrze slawistyki w uniwersytecie wrocławskim. Urodził się 10 kwietnia 1808 w Koninie w Poznańskim, (w pow. bukowskim) z rodziców niezamożnych. Uczył się w gimnazjum św. Maryi Magdaleny w Poznaniu. Nauki wyższe odbył w uniwersytecie w Berlinie, w latach 1828—1830; poświęcał się tu studjom filologicznym, filozoficznym i historycznym; chodził na wykłady Hegla wraz z Libeltem i Garczyńskim. W 1829 r. Cybulski poznał Mickiewicza, który w początkach czerwca tego roku przybył do Berlina, »powitany przez uczęszczającą tu wówczas na uniwersytet liczną młodzież polską z niewypowiedzianym zapałem i przyjmowany przez nią z czcią, prawie do ubóstwienia posuniętą«, jak opowiada Cybulski w relacji swojej o pobycie wieszca w Berlinie (w art. »Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko« — »Rok« 1845, VIII, 34—35 i w »Geschichte der polnischen Dichtkunst«, I, 298—302).

Gdy wybuchło powstanie Listopadowe, wziął udział w kampanii r. 1831 i dostał się do niewoli rosyjskiej, która trwała trzy lata. W r. 1834 powrócił do W. Ks. Poznańskiego, ale musiał odsiedzieć 6 miesięcy więzienia w twierdzy Świdnickiej, poczem wrócił (1836) do przerwanych studyów w wszechnicy berlińskiej. Za rozprawę »De bello civico Sullano« otrzymał w r. 1838 stopień doktora filozofii; od-tąd oddał się wyłącznie badaniu piśmiennictw i języków słowiańskich. Odbył w tym celu dwuletnią podróż po krajach słowiańskich; rok bawił w Pradze czeskiej, korzystając z wykładów Szafarzyka i zawiązując stosunki z Palackim, Jungmanem, Hanką, Presslem i innymi wybitnymi uczonymi czeskimi; w Wiedniu wszedł w stosunki z Kopitarem; był też w Krakowie, Budapeszcie, Belgradzie, Zagrzebiu. W r. 1840 powrócił do Berlina i habilitował się jako docent prywatny na kate-

drze filologii słowiańskiej. Prelekcyje swoje rozpoczął Cybulski w r. 1841. »Kursa słowiańskie bardzo dobrze mi idą«, pisał Cybulski do Wacława Hanki w r. 1843 (w liście z d. 12 kwietnia); »co-raz więcej obudza się tu dla wspólnej literatury naszej interesu. Usiłowania i prace uczone Czechów imponują Niemcom«.

I oto w dwu stolicach europejskich na katedrach uniwersyteckich przez kilka lat jednocześnie prowadziło swoje »kursa słowiańskie« dwu Polaków — na jednej poeta improwizator (Mickiewicz), na drugiej uczony slawista (Cybulski), i jak różne były organizacje duchowe obu profesorów, tak różne być musiały ich wykłady. W półroczach zimowych 1842/43 i 1844/45 wykładał Cybulski o poezyi polskiej najnowszej, t. j. romantycznej. Prelekcyje uniwersyteckie nie przeszkadzały Cybulskiemu nauczać oficerów pruskich języka polskiego w Królewskiej Allgemeine Kriegsschule. W tych latach i następnych pisywał dużo do czasopism poznańskich: »Rok«, »Przegląd poznański«, »Tygodnik literacki«, »Orełdownik naukowy«, m. i. artykuły z dziedziny słowianoznawstwa (»Przeglądy literatury słowiańskiej« w »Roku«, »O najdawniejszych pomnikach języka czeskiego« w »Przeglądzie Poznańskim« i inne). Z tych artykułów na szczególne wyróżnienie zasługuje w ewolucyi poglądów na stanowisko Mickiewicza jako poety narodowego, w dziejach poezyi i ducha polskiego wogóle ważne znaczenie mająca rozprawa: »Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko« (»Rok« 1845).

W r. 1848 (w marcu) bierze Cybulski udział w ruchu rewolucyjnym w Berlinie; przewodniczy, wraz z Janem Koźmianem i Henrykiem Szumanem (późniejszym prezesem Koła Polskiego w Berlinie, zmarłym w r. 1910), obradom młodzieży akademickiej i urzędników Polaków; chwilowo był komendantem legii akademickiej polskiej, którą po nim objął H. Szuman; uczestniczył następnie w Zjeździe słowiańskim w Pradze. W latach późniejszych po dwakroć posłował z W. Ks. Poznańskiego do sejmu pruskiego. Zostawszy członkiem Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego, umieścił w jego »Rocznikach« m. i. pierwszą naukową rozprawę o »Dziadach« (1864), która miała wpływ na późniejsze studia nad tem arcydziełem. W r. 1860 otrzymał Cybulski katedrę (założoną w r. 1842) profesora zwyczajnego filologii słowiańskiej w uniwersytecie wrocławskim (którą niegdyś zajmował Czelakowski), i aż do śmierci z niej wykładał. Zaproszenia Wielopolskiego objęcia katedry historii literatury polskiej w Szkole Głównej nie przyjął. Ożeniony był z Józefą Machczyńską (siostrą znanej autorki, Antoniny Machczyńskiej). Zmarł nagle dn. 16 lutego 1867 r. we Wrocławiu.

Cybulski jeden z pierwszych pogłębił krytykę polską i w wywodach swoich szukał oparcia w filozofii. Z rozpraw jego estetyczno-krytycznych wyróżnić należy przedewszystkiem: »Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko«, studjum o idei »Dziadów« i »Dzieje poezyi polskiej w pierwszej połowie XIX wieku«. W rozprawie o Mickiewi-

czu, napisanej z powodu potwarczej broszury Wł. Gołombiowskiego, potępił mesyanizm, głoszony przez wieszczka z katedry Kolegium francuskiego, który nazwał »marzeniem sennem«, ale wysoko podniósł Mickiewicza jako poetę narodowego. Głęboko ujął charakterystykę jego ducha i znaczenie jego poezyi; wyprzedził wprawdzie Cybulskiego Krasieński, dając po raz pierwszy w naszej literaturze głębsze i trafne określenie stanowiska i znaczenia Mickiewicza jako poety, ale Cybulski szerzej rozwinął i pierwszy naukowo uzasadnił swoją charakterystykę. On pierwszy spróbował wyjaśnić zasadniczą ideę »Dziadów«, które uważał za »najszczytniejszy plód twórczej wyobraźni poety, zenit potęgi geniuszu jego«. On też pierwszy nakreślił na szeroką skalę obraz poezyi naszej romantycznej w wykładach swoich berlińskich, których nie opracował, niestety, jak zamierzył, w języku polskim w całości. Ogłoszono je w oryginale niemieckim dopiero w r. 1880 p. t. »Geschichte der polnischen Dichtkunst in der ersten Hälfte des laufenden Jahrhunderts«. (Przekład polski, niezbyt udatny, wyszedł o dziesięć lat wcześniej — w r. 1870). Po wstępie, w którym wystąpił przeciwko panslawizmowi i ostro skrytykował prelekcye Mickiewicza paryskie ze stanowiska naukowego, Cybulski scharakteryzował dobę, poprzedzającą wystąpienie Mickiewicza, poczem przystąpił do charakterystyki jego twórczości przed r. 1830 i twórczości Szkoły Ukraińskiej. W części drugiej na tle historii powstania Listopadowego rozbiera Cybulski poezję rewolucyjną r. 1830—31, w której się odzwierciedlił przebieg Wojny narodowej, a więc utwory Garczyńskiego, Słowackiego, Goszczyńskiego, Pola, Gaszyńskiego i innych; Cybulski jest tu pierwszym dziejopisem poezyi powstania Listopadowego. Następnie omawia utwory Mickiewicza z doby popowstaniowej, poezye jego religijne, Księgi Narodu i Pielgrzymstwa, III część »Dziadów«¹⁾, oraz Garczyńskiego »Wacława dzieje«. Scharakteryzowawszy krótko twórczość Słowackiego, w przeciwstawieniu do Mickiewiczowskiej, stając w obronie Słowackiego przeciwko Mickiewiczowi, przechodzi do oceny twórczości Zaleskiego po r. 1831, głównie »Ducha od stepu« i »Przenajświętszej Rodziny«. Kończy swój obraz charakterystyką poezyi poety »Bezimiennego« (t. j. Krasieńskiego) — »Irydyona«, »Nieboskiej Komedyi«, »Trzech myśli Ligenzy« i »Przedświtu«.

Ten kurs poezyi polskiej z pierwszej połowy XIX w. Cybulskiego, zawierający pierwszy w naszej literaturze naukowo traktowany zarys dziejów romantyzmu naszego, nabiera tem większej wagi, gdy go zestawimy z improwizacyami genialnego dyletanta na polu historii literatury, jakimi były, współcześnie z wykładami Cybulskiego wygłaszane, prelekcye paryskie Mickiewicza.

¹⁾ Rozbioru »Pana Tadeusza« nie daje, odkładając to na później.

BIBLIOGRAFIA.

A) P i s m a Cybulskiego: Osobno wyszły; »De bello Sullano civili«. Berolini 1838. — »Slavische Ortsnamen der Insel Potsdam und der allernächsten Umgegend«. Berlin 1859. — »Dziady Mickiewicza«. Krytyczny rozbiór zasadniczej idei poematu«. Poznań, 1864. (Odb. z Roczników Tow. Przyj. Nauk. Pozn.) — »Odczyty o poezji polskiej w pierwszej połowie XIX wieku«. Przekład z niemieckiego Franciszka Dobrowolskiego. 2 tomy. Poznań 1870. (Drezno. Druk. J. I. Kraszewskiego). Z przedmową Kraszewskiego. Przekład nieszczególny, nie nadający się do użytku naukowego. — »Geschichte der polnischen Dichtkunst in der ersten Hälfte des laufenden Jahrhunderts«. (»Vorlesungen über die neueste polnische Poesie gehalten in den Wintersemestern 1842/43 und 1844/45 an der Berliner Universität«). Posen 1880. 2 tomy. Z przedmową Ludwika Kurtzmanna. — W czasopiśmie i innych wydawnictwach ogłosił m. i.: »Przeglądy literatury słowiańskiej (w »Roku« 1843 i n.). — »O Ewangelii Rheimskiej« — »O najdawniejszych pomnikach języka czeskiego« (Przeł. Poznań.) — »Kilka uwag nad prelekcyami Mickiewicza«. (Orędownik naukowy. 1841). — »Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko« (»Rok« 1845). — »Die letzte Revolution Polens und die ihr vorangehende politisch-literarische Bewegung« (Prutz's Litterar-historisches Taschenbuch, 1846). — »Obecny stan nauki o runach słowiańskich« (Roczniki Tow. Przyj. Nauk. Pozn. 1860). — Listy W. Cyb. do Wacława Hanki (1840—1847) ogłosił Edw. Jellinek (Poznań 1894, odb. z »Przeł. Pozn.«) oraz Francew w dziele »Piśma k Wiaczesławu Hankie«. Warszawa 1905 r.

B) Materyałów do życiorysu ogłoszono mało.

O Cybulskim pisali: Kraszewski w »Rachunkach« 1867, II. — Tenże w przedmowie do »Odczytów«. — L. Kurtzmann w przedmowie do »Geschichte d. poln. Dichtk.« — Zacharyasiewicz: W. C. (»Tyg. Ilustr.« 1867). — Chmielowski w »W. Enc. Powsz.«. — Wł. Mickiewicz w »Żywocie Ad. Mickiewicza« t. II i III. — H. Szuman w »Wspomnieniach Berlińskich i Poznańskich z r. 1848«. Warszawa, 1900. (Bibl. dzieł. wyb.) — Nehring w Götting. Gelehrte Anzeigen. 1880. — Chmielowski scharakteryzował Cybulskiego jako krytyka w »Dziejach krytyki literackiej w Polsce«, Warszawa 1902 (str. 323—333). — Tretiak pisał o krytycznym rozbiórce »Dziadów« w »Młodość Mickiewicza« t. II, str. 184—199.

A) Mickiewicza moralne i poetyckie stanowisko (1845).

(»Rok« 1845, III).

Rzecz napisana z powodu pismka Wł. Golembiowskiego p. t. »Mickiewicz odsłoniony i Towiańszczyzna« (Paryż, 1844), które było paszkwilem, wymierzonym przeciwko Mickiewiczowi; miała być wyjątkiem z niedrukowanego dzieła »Historya nowoczesnej poezyi polskiej«. (Por. Geschichte der polnischen Dichtkunst, I, 298—302 i II, 181 i następne). — Cybulski wynosi w tej rozprawie wysoko Mickiewicza jako poetę, ale surowo go ocenia jako profesora i mistyka. Potępia mesyanizm Mickiewicza, który nazywa plodem chorobliwej imaginacyi; powstaje przeciwko poglądom wstecznym i szowinistycznym »Przedświtu«: niema wybranego narodu, — wszystkie są wybrane do spełnienia misyi; nie uwódźmy się nieszczęśliwą mesyańską teorią Mickiewicza, ani słowami wieszczki »Przedświtu«: »Zginięcie me pieśni, wstańcie czyny moje!« »Więcej w zdaniu tem szumu, niż treści. Pieśni, literatura — to dzisiaj czyny nasze!« Poczem daje Cybulski charakterystykę Mickiewicza i określa wymownie znaczenie jego twórczości dla narodu. Opowiada następnie o pobycie Mickiewicza w Berlinie, o jego improwizacyi i wrażeniu, jaki wywarł na młodzieży, w uniwersytecie berlińskim studyjacej. Wyjaśnia dalej stosunek Mickiewicza do powstania i do emigracyi; broni go przed zarzutami, że nie wziął udziału w powstaniu i że nie chciał należeć do żadnej partyi politycznej na emigracyi, że nie przyjechał do kraju, aby pobudzać zapal wojowniczymi wierszami. Mickiewicz nie mógł być Tyrteuszem, poetą rewolucyjnym, poetą ludowym, natchnionym chwilą, bo był poetą-w i e s z c z e m, poetą-artystą. Mickiewicz nie jest poetą okolicznościowym, lecz ideowym; »Dziady« to najszczytniejszy plód twórczej wyobraźni poety, zenit potęgi geniuszu jego«. Żaden z poetów współczesnych więcej od Mickiewicza fantazyi swej na wodzy nie trzymał, dlatego tworzył prawdziwe dzieła sztuki. Kończy Cybulski swą rzecz rozbiorem wiersza »Do Matki Polki« i słowami: »Żalując dzisiejszego obłąkania Mickiewicza, szanujmy przeszłość jego i umiejmy w nim już dzisiaj wielbić wieszczę, któremu potomność posągi stawiać będzie«.

Podajemy charakterystykę Mickiewicza jako poety narodowego i twórcy, oraz opis pobytu jego w Berlinie.

852) *Str. 20—25.* Jeżeli powiedzieliśmy wyżej, że Mickiewicz stał się głównym jego [t. j. pierwiastku narodowego] wyobrazicielem w naszym czasie; powiedzieliśmy to nie w innej myśli, jak w tej, że w nim duch narodowy nietylko jako szczegółowo-polski, ale także jako ogólnie ludzki, czyli europejski, najzupełniej i w formie najskończeniwszej, przyszedł do uznania się w swoim jestestwie. Duch ten jest owocem całej przeszłości narodowego życia. Najgenialniejszy poeta

nie byłby w stanie na jaw go wyprowadzić, gdyby go w całym jego pochodzie przeszłym nie starał się przeniknąć i żywotną się stroną jego napelnić. Każdy prawdziwy geniusz ma zawsze, już to skutkiem daru nadzwyczajnego, już pracy osobistej, świadomość przeszłego i obecnego ducha czasu. Tworząc, zdaje się, że stary świat z gruntu wywraca i buduje nowy. Tymczasem wywraca on tylko, co spróchniało, co się zużyło, zmarło; to, co zdrowem, co silnem, co żywotnem pozostało, zachowuje, bierze i pcha do ruchu, już to tworząc od razu, już też tylko przygotowując nowy kształt rzeczy i porządek. Prawdziwy geniusz ma tę samą dyalektyczną naturę ducha, co historia: jest razem wywracający i budujący; chociaż są ludzie genialni, między nimi i poeci, którzy tylko negacyjny mają kierunek. Mickiewicz należy do pierwszych. Jest on poetyckim geniuszem w całym znaczeniu wyrazu, geniuszem, który wywrócił świat stary poezyi i stworzył nowy, to jest, odrzucił to, co stało się martwem, a zachował, pchnął do nowego życia i nadał kształt doskonalszy temu, co było i jest dziś jeszcze żywotnem w organizmie ducha narodowej poezyi. Mickiewicz, odbywszy w duchu swoim, jak w mikrokosmie, cały historyczny rozwój poezyi europejskich, przejąwszy się wykończoną plastycznością poezyi greckiej i rzymskiej, przyrodzoną fantastycznością poezyi średnich wieków, głębokiem uczuciem poezyi włoskiej, dowcipnym rozsądkiem klasyczno-francuskiej, wszechstronną psychologicznością angielskiej, a filozoficzną idealnością poezyi niemieckiej; poznawszy nadto gruntownie to, co z naśladownictwa poezyi tych weszło jako przyswojony, nieodłączny żywioł w poezję polską, a co w niej było pierwiastkiem odrębnym, samoistnym, własnym, i przeniknąwszy tym sposobem bystrością geniuszu swego i pracą wszechstronniej i głębiej, niż którykolwiek z poprzedzających go wieszczów, to, co wogóle absolutną jest zasadą poezyi każdej; — Mickiewicz miał tem samem za sobą bezwzględne prawo geniuszu, historii i ducha narodowego; gdy przed dwudziestu laty, wbrew istniejącym teoryom i zwyczajom, inne poezyi polskiej wskazywać zaczął kształcenia się drogi, wracając jej przedewszystkiem przyrodzoną myśli i formy swobodę. Wiadomo, jakie wówczas było usposobienie ducha narodowego wogóle. Duch ten potrzebował

czynu, a nimby do niego przystąpił, potrzebował słowa, któreby go objawiło i poniosło od Niemna do Warty i Dniepru. Słowem tem miała być literatura narodowa wogóle. Lecz gdy literatura ta, oprócz matematyki i nauk przyrodzonych, ani w historyi, ani w polityce, ani w filozofii w formie im właściwej, bezpośrednio, rozumowej, objawiać się nie mogła, bez ściągnięcia na siebie niezwłocznego prześladowania ze strony rządu; objawiać się musiała w formie pośredniej, fantazyjnej, poetycznej. Rozum bowiem bierze rzeczy za takie, jakimi są; bada, rozkłada, łączy i wskazuje istotę ich wprost; nie umie zataić zbadanej prawdy; czarne nazywa czarnem, białe białem, i zdradza tym sposobem bezpośrednio dążność pracy swojej.

Przeciwnie fantazyja, wyobraźnia, zostawia rzeczy nie-
tknięte i w całości; przenika wzrokiem swym duchowym naturę ich bez rozbioru; wydobywa na wierzch stronę ich tylko najwewnętrzniejszą, tę bierze za rzecz samą, nadaje jej kształt nowy, odmienny, podnosi do ideału, odziewa w szatę fantastyczną, eteryczną, i przenosi niejako w świat nadziemski; żyjąc przeto jakoby poza granicami świata rzeczywistemi, zakrywa, zataja tym sposobem pozornie istotną swą dążność. Duch Polski owego czasu, pełen nadziei, pełen oczekiwania, był rzeczywiście pod wpływem wyobraźni. Poezya była jego oblubienicą, jego zwiastunką, jego słowem, słowem, tem więcej czarującym, że lekką, powiewną wyobraźni szatą przesłonionem. Mickiewicz wyrzekł to słowo tajemnicze — a jednak przystępne, zrozumiałe dla każdego, kto serca i ducha swego nie oderwał od łona i oblicza cierpiącej Matki swojej. Oto cała podstawa moralnego i poetyckiego stanowiska Mickiewicza i stosunku jego do narodu. Kto zdania tego nie podziela, niech sobie przywoła w pamięci wrażenie, jakie sprawiały na umysłach poezye jego przedrewolucyjne. Widzieliśmy ludzi wszelkiego wieku i stanu, stawających w ich obronie ustnie i piśmiennie, przeciwko tym, którzy trzymali się dawnego, przeżytego rzeczy porządku. »Od czasów kłótni Orzechowskiego z Stankarem i Modrzewskim, uważa słusznie Mochnacki, żaden rozsterek piśmienny nie był u nas tak głośny, jak walka Romantyków z Klasykami«. Mickiewicz poezyami swemi rozstrzygnął ją zwycięsko na stronę pierwszych. Wielkie były zwycięstwa tego skutki w estetycznym

i moralnym względzie. Poezya stała się odtąd udziałnym, wyzwołonym kunsztem, a zarazem wyobrazicielką ducha narodu, głosem opinii publicznej; stała się, jak kiedyś u Greków, poezją ludu, w wyższem wyrazu tego znaczeniu. Mickiewicz ducha jej i mowę rozwiązał. Więcej powiem: Mickiewicz nauczył mówić Polaków po polsku; nauczył ich mówić z serca i z ducha, tak jak niegdy ksiązę poetów Stanisławowskich nauczył ich mówić po polsku — z formy. Literatura i historia zbiegły się tu po raz pierwszy do jednego ogniska, przy którem poznały się wszystkie dzieci rozdzielonej Matki. Mickiewicz »serce ku sercu zaśpiewał swem pieniem z środka goryczy — tak jak Lumir ów, co potęgą pień i słów wstrząsał Wyszegrad i włości wzruszeniem, on wstrząsał braćmi, wstrząsał ich duszą. Śpiewaj, dobrego piewcę bogi kochać muszą; śpiewaj, ty śpiewaj — wołał ku niemu naród — ty masz dar od bogów, pieśnią zagrzewać serca przeciw wrogom«. Mickiewicz wreszcie kochać nas nauczył, dawszy nam mowę miłości, mowę zdolną tłumaczyć najskrytsze uczucia serca. Mieliśmy poetów miłości Boga, miłości Ojczyzny, familii, kraju; nie mieliśmy poetów serca, poetów miłości, właściwie tak znanej. Mickiewicz wprowadził nas w ten świat idealny młodości naszej. Wypłynął z niego cały rój poetów drugiego i trzeciego rzędu, którzy tę stronę serca ludzkiego aż do ekliwosci ośpiewali. Mickiewicz tem się odznacza przed nimi, że uczucie jego jest prawdziwe, rzeczywiste, nie w głowie, nie w fantazyi, lecz w sercu mieszkające. Dlatego to poezye jego miłosne, większe i mniejsze, jakkolwiek w bezpośredniej, indywidualnej osobistości poety poczęte, mają przecież wszystkie jeszcze coś ogólnie ludzkiego w sobie. Miłość bowiem prawdziwa, będąc pierwszym uznaniem się człowieka jako jednostka, jako osoba, jako ja — udziałne, niepodległe, wolne, będąc pierwszym poczuciem się iskry nieśmiertelnej ducha jego, ma w samej naturze swojej charakter ogólnie ludzki, że nie powiem boski. Uczucie to, uduchownione i uświęcone przez religię chrześcijańską, stało się źródłem prawdziwej moralności, duszą wszelkich towarzyskich związków ludzi między sobą, węzłem społeczeństw narodowych, kamieniem węgielnym postępu i ostatniego urządzenia się ludzkości. Uczucie to jest planetą i w świecie poetyckim Mickiewi-

cza. Około niego krążą wszystkie jego, większe i mniejsze, arcydzieła sztuki. Nie znam poety, któryby istotę, ducha miłości głębiej pojął i obszerniej i cudowniej przeprowadził przez niemal wszystkie życia ludzkiego sfery. Miłość ta ciągnie się przez nie, jak nić złota, począwszy od bezpośredniego związku człowieka z naturą, aż do zlania się ducha jego z Bogiem. Drobnym sonetem, malującym ciszę stepową, i Rozmowa wieczorna z Ojcem niebieskim, prosta piosenka na cześć kochanki i śpiew bohaterski Wajdeloty, pełen ognia i górnego polotu Hymn do młodości i rozdzierająca serce Elegia do Matki Polki, obłąkany pozornie Gusta w w chacie pustelniczej i jasnowidzący Konrad w więzieniu, ballada i epos, romans i powieść historyczna, zgoła cały wewnętrzny i zewnętrzny świat poety płynie z jednego miłości źródła i ściśle jest z sobą na wszystkich punktach związany. Świat ten jest pełen życia i prawdy. Mieści się w nim cała psychologiczna strona ducha polskiego. Indywidualność poety jest tu zarazem narodową i ludzką. To właśnie, co jest prawdziwą cechą każdego wielkiego geniuszu. Mochnacki, powiedzieliśmy wyżej, indywidualność tę Mickiewicza nie należycie ocenił. Wszystkie bowiem utwory tego wieszca, czy to z bezpośredniej osobistości jego poczęte, czyli z treści świata zewnętrznego układane, mają na sobie ową potrójną cechę geniuszu. Stąd to ich wielki wpływ moralny na naród; stąd ich szybkie po całej Polsce rozpowszechnienie; stąd owo rzadkie w dziejach ludzkości zjawisko: że ludzie wszelkiego wieku, płci i stanu, objawiając sobie wzajemnie uczucia, myśli, marzenia, nadzieje, smutki, lzy swoje — objawiali je słowy Mickiewicza; stąd wreszcie wiecznie trwała utworów tych świeżość, ich wdzięk, ich urok nieśmiertelny. Naród, mówiąc po prostu, żył Mickiewiczem; mówiąc właściwiej, żył samym sobą, ale w Mickiewiczu znalazł wieszca, którego serce było jego sercem, którego słowo było jego słowem...

853) *Str. 32—35.* I gdybyśmy w ciągu historyi naszej więcej takich, jakim jest Mickiewicz, mieli byli indywidualności, naród nasz nie byłby nigdy przyszedł do dzisiejszego poniżenia. Mickiewicz uratował go od takowego przynajmniej w literackim względzie. Naród nasz choruje na brak indywi-

dualności; a oto tym, którzy nad powierzchnią gminu głowę podnoszą, urąga lada duszek i ciągnie w błoto, z którego sam dla własnej nieudolności wyleźć nie może, a z osobistej pychy przez drugiego wyciągniętym być nie chce. Kiedy przed dwudziestu laty Mickiewicz stanął na grobie Polski, i jako geniusz narodu dźwiękiem pieśni swej poruszać zaczął prochy i kości ojców i wskrzeszać postacie zmarłej przeszłości, budząc do nowego, jednomyślnego życia znękanę klęskami i walką drobnych ambicyi, rozprężone i podupadłe czasu swego plemię; — podniosła przeciwko niemu — jak żaby Arystofanesa — wrzask zawiści i niedołęstwa cała czereda zwolenników przekwitłego klasycyzmu, nie rozumiejąc ani ducha czasu, ani potęgi geniuszu, który wstąpił na widnokrąg poczynającej odradzać się narodowej literatury. Mickiewicz, świadomy swego powołania, przejęty uczuciem swojej wyższości, przekonany o historycznej konieczności wziętego przez siebie kierunku, Mickiewicz mógł sumiennie i bez obawy ściągnięcia na siebie zarzutu zarozumiałości, z dumą odeprzeć powstałą przeciwko sobie krzykliwą a niepojętą zgraję literatów, krytyków, pamfletarzy, paszkwilarzy i tym podobnych pismaków, kładąc na czele jednej swojej w tym literackim sporze rozprawy owe pamiętne, przeciwników na łeb porażające słowa: »Krzyknęli, nie pozwalam! uciekli na Pragę«. Któż dziś nie przyzna, że Mickiewicz miał rację? Kto poważy się, nie chcąc być wyśmianym, posądzać go z tego względu o zarozumiałość, dumę i uporeczywość w zdaniu? Zwycięstwo Mickiewicza odniesione nad klasycyzmem wywarło niesłychany moralny wpływ na naród, bo było zwycięstwem ducha nad formą. Pod wpływem tym rozwijała się cała następna literatura; wpływ ten do dziś dnia nie ustał. Tylko geniusz, który ducha narodu na wskrós przeniknął, zdolen był sprawić takową w umysłach przemianę. Od Mickiewicza liczyć się też będzie *nowa epoka* literatury polskiej.

...Mickiewicz, wyjechawszy za granicę, przybył w r. 1829 do Berlina. Powitany przez uczęszczającą tu wówczas na uniwersytet liczną młodzież polską z niewypowiedzianym zapalem i przyjmowany przez nią z czcią prawie do ubóstwienia posuniętą — poeta na zgromadzeniu jednym, w ciągu żywej o rze-

czach ojczystych rozmowy, którą wszystkich umysły i serca uniósł już był ku sobie, nagle zatrzymał się i oświadczył, że będzie improwizował. Uroczyste milczenie nastąpiło w zgromadzeniu. Wieszczy sam stał przez chwilę nieporuszony i niemy. Wnet jakaś cudowna siła rozpromieniła jego oblicze. Wzrok pełen nadzwyczajnego blasku i niewypowiedzianego wyrazu jednym rzutem jak iskra elektryczna przeleciał po przytomnych. Cała osoba Mickiewicza w nadziemską zdawała się być przemienioną istotą. Jakiż dźwięk czarujący jego głosu! jaka niepojęta potęga słów jego! Wieszczy - Mistrz — Posłannik Boży — uderzył głosem, jak różdżką Arona, w serca słuchaczy — i lży stanęły im w żrenicach! Wieszczy - Prorok — zwiastował przyszłość Polski i Litwy — i wszystkich dłonie, jak w modlitwie, wyciągnęły się ku niemu! Wieszczy - Rycerz — wiódł na bój święty waleczne hufce braci — i każdy z przytomnych krokiem naprzód ku niemu postąpił. Entuzjazm doszedł był do najwyższego stopnia, kiedy poeta, czy to w uczuciu boskiej twórczości w sobie, czy w świadomości bezwzględnej władzy swej nad duszami, czy też w zamiarze, aby młodzież, kształcąca się za granicą, i w zagranicznej poezji i literaturze więcej może upodobania, niż w swojej własnej znajdującą, właściwszym i zawięniejszym dla kraju natchnął duchem — kiedy poeta, mówię, w chwili powszechnego uniesienia, kończąc swoją improwizację, wyrzekł z całą dumą wewnętrznego przekonania słowa, któreśmy wiernie zachowali w pamięci: »Czyś ty mi, Szyller lub Göthe — widział równego poetę?« O nie! nie! odpowiedziały głosy. Tyś wieszcz nad wieszczami! Tyś wieszcz z ramienia Boga! Wieszczy z archanielskimi skrzydłami i głosem, dzierżący w ręku miecz Archaniola! Tyś Polski, tyś naszym duchem! Tyś Polski, tyś naszym Archaniołem - Stróżem! Ty naród, jak nas w tej chwili, uszczęśliwisz!.. Oto wrażenie, jakie na słuchaczach sprawiły słowa Mickiewicza. Oto bezpośredni sąd o potędze jego geniuszu. Ludzie zimni i krótkiego wzroku nazwą natchnienie takie zarozumieniem i dumą. My nazywamy wewnętrznym przeświadczeniem ducha, iskrą boską, która wszędzie, gdzie padnie, nowe życie zapładnia. Jaki zaś od czasu pobytu Mickiewicza w Berlinie aż do chwili Powstania panował duch pomiędzy młodzieżą polską w tem

mieście, nie tu pora o tem mówić. Dosyć nadmienić, że od tego czasu zgoda, miłość, braterskość, zapal do nauk, obyczajność w życiu i pożyciu, przytem pewien rodzaj egzaltacyi, przecucia i oczekiwania, nadzieja i wiara w przyszłość, ożywiały wszystkich umysły i serca. Zdawało się, jakoby duch Promienistych przeniósł się z Wilna do Berlina. Całą tę przemianę sprawił kilkodniowy pobyt Mickiewicza...

854) *Str. 42—43.* ...W wykonaniu dzieł sztuki przedewszystkiem idzie o to, aby forma zupełnie odpowiadała idei, to jest, aby obiedwie jedną nierozdzielną, idealnie wykończoną całość stanowiły. To nazywamy kompozycją. Takowa nie będzie zupełną, jeżeli, przy najwykończonej nawet formie, idea będzie przewrotną, albo niejasnie pojętą; również nie będzie zupełną, jeżeli, przy najprawdziwszej i najgłębiej pojętej idei, forma będzie koszlawą lub surową. Najwyższy stopień fantazyi nic tu nietylko nie pomoże, ale nawet zaszkodzi, jeżeli artysta nie ma wrodzonego i wykształconego estetycznego uczucia. Cóż to jest to uczucie? Nic innego, jak jasność w widzeniu istoty rzeczy i prawdziwego związku ich z sobą w świecie zmysłowym i umysłowym zastosowana do dzieł sztuki. Bez tego jasnowidzenia fantazyja tworzyć będzie kształty dziwaczne, potworne, senne, niemające ani duchowej podstawy, ani rzeczywistego bytu. Takie dzieła sztuki mało dla nas mają wartości i są tylko zabawką wyobraźni. Wyobraźnia powinna być rozumna, to jest: artysta w najwyższym stopniu uniesienia, natchnienia, szalu, powinien zachować równowagę innych władz ducha, czyli przytomność umysłu. Przymiot ten rzadki, niezmiernie wysoko ceniony przez Starożytnych, i uważany przez nich sprawiedliwie za najwyższą cechę geniuszu i za cechę prawdziwej twórczości boskiej, zwany u Greków *σωφροσύνη*, co Rzymianie oddawali przez *mens sana, integra*, a my wytłumaczyć możemy wyrazem: *rozumność* albo *względność*; przymiot ten, który powstrzymując swawolę fantazyi i zachowując wszędzie słuszną i piękną miarę, zarówno w pomyśle, jak w wykonaniu, dzieła geniuszu greckiego uczynił tak plastycznymi, że dotychczas pierwotną swą świeżość i żywotność i cechę prawdziwie ludzką zachowały; przymiot ten, przygłu-

szony niesforną egzaltacją i fantastycznością średnich wieków, powróciwszy do swego prawa w epoce odrodzenia się nauk, oderwany od wyobraźni i pogrążony w martwej prawidłowości epok następnych, oswobodzony nareszcie z więzów i uznany w naszym wieku za to, czem był u Greków i czem jest istotnie, to jest za przytomne a rozumne wiedzenie się ducha w chwili twórczego natchnienia; przymiot ten, który w każdym pomysle i przedsięwzięciu, w każdym słowie i czynie, tak plastycznym czynił Napoleona, a z poetów nowego czasu najwięcej może odznaczał Göthego; przymiot ten, mówię, jest także panującą cechą w geniuszu Mickiewicza. Mickiewicz nie tworzył, czego jasno nie widział, a tworząc, nigdy fantazyi z wodzy nie spuszczał, nigdy swawolnie bujać nie dozwalał, nigdy jej niewolnikiem, a zawsze był panem. W najwyższej nawet ekstazie ducha: w *Improwizacyi Konrada*, nie stracił świadomości siebie i rzeczy. Improwizacya ta pełna jest rozumu i rozmysłu, a niezrównana w formie. W tym podwójnym względzie, powiedzieliśmy wyżej, żaden z poetów naszych Mickiewicza nie przewyższył, chociaż niejeden blaskiem fantazyi i śmiałością pomysłów prześcignąć go usiłował. To właśnie idealne przeniknienie się myśli i formy czyni także utwory jego poetyckie tak plastycznymi, a przymiot ten mógł tylko być osiągniętym przez poetę, że panem był przedmiotów, które śpiewał i przedstawiał artystycznie, to jest z życia powszedniego przenosił w życie idealne...

B) *Dziady* Mickiewicza (1864).

Krytyczny rozbiór zasadniczej idei poematu.

(Poznań, 1864).

Podług Cybulskiego, zasadniczą ideą całego poematu »jest uczucie miłości, przenikające wszystkie warstwy i stosunki świata społecznego«. Uczucie to miłości przytem »przedstawia się wszędzie jako naruszone, pokrzywdzone, pogwałcone w naturze swojej«. Rozwijając tę myśl, stara się Cybulski dowieść, że II cz. *Dziadów* »przedstawia nam uczucie miłości w sferze pospolitego życia ludowego, w jego pierwotnych, bezpośrednich, przyrodzonych stosunkach, które stanowią grunt dalszego towarzyskiego rozwoju«. IV cz. »przedstawia w szczegółowem rozwinięciu uczucie miłości indywidualnej«, ostatnia zaś t. j. III cz. — »uczucie miłości, obrazowane na tle historycznego i politycznego życia narodu«.

855) *Str. 1—3.* Ze wszystkich poetyckich utworów Adama Mickiewicza najwięcej trudności, tak pod względem treści jak formy, przedstawia naukowej krytyce poemat, noszący nazwę »Dziady«. Treść jego różnorodna, zmienna, nie osnuta na tle jednego, w przyczynach, przebiegu, skutkach rozwiniętego i skończonego wypadku, czynu lub pomysłu; forma liryczno-dramatyczna z opisowymi ustępami; artystyczny układ czyli kompozycja bez organicznej całości, podzielona na części, zewnętrznie tylko z sobą spójne, rozszerzona ustępami, całkiem na uboczu stojącymi; cały poemat, tak jak go mamy przed sobą, zamiast z czterech, z trzech złożony części, zdaje się, że niedokończony. Te są trudności, które na pierwszy rzut oka przedstawiają się estetykowi i krytykowi, gdy po ochłonięciu z doznanego wrażenia zaczną się temu cudownemu utworowi bliżej przypatrywać.

Zwyczajny czytelnik, oczarowany pięknnością poematu, mało pospolicie zważa na estetyczne skrupuły ludzi z profesyi. Wrażenie, którego doznaje, jest dla niego wszystkim. To też żaden utwór Mickiewicza nie był więcej czytany, jak »Dziady«, żadnego nie uczono się więcej na pamięć. Po wyjściu dwóch pierwszych części nie było młodego człowieka w Polsce, któryby ich nie był umiał w całości, lub w większych ustępach powtórzyć. Poeta przemawiał w taki sposób do serca każdego, że nie swoje, lecz drugich uczucia wyrażać, lub drzemiące jeszcze w piersiach rozbudzać się zdawał. Pojedyncze części poematu zdawały się być, albo były rzeczywiście dla każdego zrozumiałemi. I to może też było przyczyną, że nad istotną myślą, nad właściwą zasadniczą ideą poematu, mało się kto zastanawiał, a wielki tłum czytelników wcale się nawet o nią nie pytał. A jednak o wykazanie tej to myśli, jak w każdym utworze poetyckim, tak i w »Dziadach«, idzie przedewszystkiem naukowej krytyce.

Nikt też, o ile mi wiadomo, bo nie mogę tu nawet policzyć Mochnackiego, o poemacie tym w obszerniejszej naukowej rozprawie nie traktował. Na ogólnych, zarazem i na inne utwory poety rozciągających się krytykach, nie zbywało. Rzekłbym niemal, że upiór Gustawa, bohatera jednej części poematu, odstraszył teoretyków od przypatrzenia mu się bliżej. A wyjęte z Szekspira godło, które poeta umieścił na czele utworu: »Śą

dziwy w niebie i na ziemi, o których ani śniło się naszym filozofom«, aż nadto wystarczało, aby tych filozofów z góry uprzedzić przeciwko niemu i wbić ich w pychę, że się czuli zwolnionymi mozolu i pracy, wprowadzać z pomocą krytycznego rozumu »duchy karczemnej twory gawiedzi, w głupstwa wywarzone kuźni«, na widownię rzeczywistego świata ludzkiego. Wszakże nie inaczej obeszli się z poematem, mający się także za filozofów tego rodzaju, klasyczni krytycy warszawscy, gdy znaną wrotkę tegoż przerobili na: »ciemno wszędzie, głupio wszędzie, co to będzie, nic nie będzie«, mniemając w najlepszej wierze, że zadość uczynili swemu powołaniu.

Z tego samego prawie stanowiska świata rzeczywistego zapatrywał się na osnowę »Dziadów« i przeciwnik klasyków, Mochnacki. Przedstawiała ona mu się tylko jako omamienie i złudzenie fantazyi, ale tak silnego uroku, »że poeta podbija nią pod posłuszeństwo swojej wiary rozum i imaginacją czytelnika«. Jest w tem orzeczeniu »*contradictio in adjecto*«. Złudzenie, o którym się wie, że jest złudzeniem, może bawić imaginacją i zajmować umysł, ale nie podbija rozumu. Mochnacki czuł jednak potęgę osnowy poematu, nie umiał sobie tylko zdać należytego rachunku z tego, co tę potęgę stanowi. Znalazł ją w uroku formy. Nie winimy go o to. Znał on tylko dwie pierwsze części poematu, kiedy pisał swoją książkę »O literaturze polskiej«. Trzecia zaś część, wydana w parę lat później, odsłoniła dopiero jego właściwą ideę zasadniczą, a tem samem podała klucz i do gruntowniejszego pojęcia dwóch pierwszych...

856) *Str. 6—7.* ...Co sobie Mochnacki pomyślał, przeczytawszy trzecią część »Dziadów«? Coby był pomyślał, gdyby był dożył wyjścia na świat »Pana Tadeusza«? Byłby zapewne zmodyfikował zdanie swoje? Ja wątpię o tem. Zdanie wypłynęło z teoryi, rozwiniętej na obszernej i pod wielu względami uzasadnionej podstawie. Pisarz krytyk, takiego zakroju jak Mochnacki, nie zmienia odrazu teoryi, chociaż mu coś do niej nie przypada. Sądzę, że uznając wysoką poetycką wartość »Pana Tadeusza«, byłby powiedział o nim to, co o Grażynie, to jest, »że poeta zapomniał w nim o sobie«. Trzecia zaś część Dziadów, mimo rzeczywistości większej części osnowy, byłaby

go tylko, tak mi się zdaje, podobnie jak Konrad Wallenrod, utwierdziła w zdaniu; byłby prawdopodobnie powtórzył, co o tym ostatnim wyrzekł: »Jedno z największych dzieł literatury naszej, choć się tylko z pięknych fragmentów składa, i zarazem przykład, jawnie i jaśnie pokazujący, jak trudno sztukmistrzowi indywidualnemu (?), subiektywnemu, przenieść się z swej idealnej sfery w sferę wielkiego poetyckiego realizmu«.

Ta to właśnie niedostatecznie zgłębiona i jednostronnie pojęta subiektywność i obiektywność, idealność i realność teorii Mochnackiego, obalamuciła i skrzywiła sąd jego i wielu następnych pisarzy o naturze poetyckiego ducha Mickiewicza i jednej części jego poezji. Znajomość pierwszych elementów filozofii i estetyki powinna była wystarczyć na sprostowanie tych teoretycznych błędów. Dziwić się przychodzi, że tak myślący pisarz sam się na nich nie spostrzegł. Prawda, że w piśmie swoim nie chciał być ani filozofem ani estetykiem, zowiąc wszystkie i wszelkie teoretyczne prawidła w dziedzinie sztuki »wymysłami krytyki, tchnącej obskurantyzmem estetycznym«. Sam jednak nastawił tak teorią, która właśnie w niektórych kierunkach wiodła wprost do podobnego obskurantyzmu, to jest: »do zapatrywania się na poezję z punktu optycznego fantazyi, i do wykreślenia z tego punktu linii architektoniki poetyckich efektów«...

857) *Str. 8—12.* ...Otóż i teoria Mochnackiego. Jego podział poezji na realną i idealną, albo wedle innej nazwy, na obiektywną i subiektywną, jest tylko źle pojętym i zdefiniowanym podziałem na poezję epiczną czyli opisową i na liryczną czyli uczuciową. Główną różnicą ich ma być to, że w pierwszej poeta całkiem zapomina o sobie, w drugiej jest całkiem samym sobą. Jakże się tedy ma rzecz z poezją dramatyczną, która, jak wiemy, jest jakoby zespoleniem poezji epicznej i lirycznej? Wedle teorii Mochnackiego, rozumując ściśle, powinna to być taka poezja, w której poeta zarazem i zapomina i pamięta o sobie. Mochnacki czuł snać śmieszność takiej konsekwencji, bo nic o poezji dramatycznej nie powiedział. Z przytoczonych tylko nazwisk Getego i Szekspira dowiadujemy się, że ją policzył do poezji realnej. Natura, charakter, istota, idea treści

poetyckiego utworu mniej Mochnackiego obchodzą. Niespodzianką jest prawie dla nas, gdy w rozbiorze Wallenroda mówi: »że Mickiewicz nie wyczerpnął idei swego poematu«. Daleko go więcej zajmuje pytanie: jak się poeta indywidualnie s t a w i a do treści swoich utworów. Wedle tego sądzi i o nim i o tych. Im więcej poeta o sobie zapomina, tem wyższy i on i utwór jego. Mochnackiemu nie przyszło na myśl, że najpośledniejszy twór opisowy da się pod tę rubrykę podciągnąć. Również, im więcej poeta z indywidualnej istoty jestestwa swego snuje i wynurza, tym znikomszym jest utwór jego »w architektonice poetyckich efektów«. Ostatecznie forma o wszystkim decyduje: postaciowa, snycerska (?), plastyczna dla realnej, śpiewna, muzykalna dla idealnej poezyi. »Tamta zmierza do postaci, do form statecznych, determinowanych, określonych, widomych« — »tej kształty mniej określone, coraz bardziej oddalają się od statuy (!), od posągu, i rozwiewają w nic przed obliczem naszym, jak duchy, na chwilę jawiące się w cielesnej postaci, jak niknące cienie«. — »Figury marmurowe (!) poetyckiemu służą realizmowi; muzykalne jest misterstwo poetów filozofujących, dumających«.

Widzimy z tego wszystkiego to, com już wyżej powiedział, że subiektywość, w pojęciu Mochnackiego, wychodzi ostatecznie na jakieś błędne, znikome, żadnego stałego i rzeczywistego gruntu pod sobą nie mające filozofowanie, rozmyślanie, dumanie, marzenie, widzenie. Z stanowiska takiego pojęcia niepodobna mu też było rozumieć istotnej treści i idei poematu »Dziady«, ani zgłębić natury poetyckiego ducha jego twórcy. To też wedle przytoczonego wyżej sądu, wypadłoby pomieścić Mickiewicza w tłumie tych pseudo-poetów pomiędzy romantykami owej epoki, których tak słusznie i dowcipnie wyśmiał Franciszek Morawski. Bez ducha, bez natchnienia, bez wyobraźni, bez nauki, bez wiedzy, bez treści w głowie i w sercu, bez walki i doświadczenia w życiu.

»Ledwie, że się z infimy, a nawet z pieluszek
Jakiś tam romantyczny wyrwie geniuszek,
Jużci się do nieszczęścia powołanym sądzi,
Błąka się w ciemnych lasach, po cmentarzach błądzi,
Z jakiejś tam urojonej tęsknoty usycha,
Je dobrze, pije lepiej, a do grobu wzdycha«.

Takiego to rodzaju poetów twory nie mają zaiste żadnej realnej, rzeczywistej treści w sobie. Wszystko tam jest zmyślonem, znikomem, przelotnem, nie prawdziwem, trwałem; ale także i nie indywidualnem, nie idealnem, nie subiektywem. Bo subjekt jest duchem, ma przyrodzony pęd do rozwoju, do napełniania się treścią, wyrabianą albo w samym sobie pod wpływem i naciskiem zewnętrznego świata, albo przejmowaną i przyśwajaną z tegoż bezpośrednio. Wśród trudów i przeszkód, wśród walki i znoju, wśród nadziei i zawodów, wśród doświadczeń i cierpień, treść ta coraz więcej się wytrawia, uszlachetnia, idealizuje. Mówi poeta niemiecki:

»Kto nigdy swego chleba nie jadł z łzami,
Kto nigdy swoich troski pełnych nocy
Nie spędzał, siedząc na łożu z smutkami,
Ach! ten was nie zna, o! niebieskie mocy!«

Z kolei przyrodzenie, nauka, wiara, przyjaźń, miłość, rodzina, naród, Rzeczpospolita, ludzkość, napełniają treścią swoją umysł i serce człowieka. One w nim istnieją i żyją. On bywa ich wyobrazicielem, przedstawicielem, prawodawcą, apostołem, wieszczem. Subjekt przedzierzga się wtedy, że tak powiem, w obiekt. Dzieje ludzkości opierają się i wznoszą na tej dyalektyce ducha.

Taką jest prawdziwa subiektywność. Ona już w przyrodzonym, bezpośrednim uczuciu ma zaród rzeczywistej treści, a zdolną jest przyjąć w siebie uczucia i myśli, ważące się w łonie całego świata. Im większa ich pełność, im głębsze pojęcie, im szczytniejsza rzeczywistość, tem silniejszy skutek artystycznego, idealnego obrazowania. Siłą takich to przymiotów i własności, a nie »optycznym złudzeniem fantazyi«, podbił twórca »Dziadów« pod posłuszeństwo poetyckiej wiary rozum i imaginacyę swoich czytelników. Toż i koloryt stylu, namiętności, uczuć w utworze tym nie jest pośmiertny, jakby zafarbowany tynkiem myśli namiętnego wywołańca grobów, tułacza martwych krain; nie jest stylem rozpamiętywań upiora, lecz stylem rzeczywistego, w rzeczywistym świecie żyjącego człowieka, stylem rozpamiętywań kochanka poety. Więc i czwarta część »Dziadów« nie jest jakoby drugą częścią i dokończeniem »Wertera« Getego, z którym nasz poemat nie ma właściwie nic wspólnego. Lecz

przypuszczając porównanie, powiedzielibyśmy, że Gustaw nie jest z grobu wywołanym, lecz żyjącym duszą i ciałem Werterem. A o ileż on jest rzeczywistszym, prawdziwszym i wyższym od Wertera Getego! bo on nie uśmierca się duchowo i fizycznie w skutku rozmarzonej, przesadzonej, chorobliwej sentymentalności, lecz siłą ducha unosi miłość swoją z rozbitej rzeczywistości świata zmysłowego w wyższą, duchową, idealną rzeczywistość świata przypomnienia, świata prawdziwej artystowskiej obiektowości. Zewnętrzny tylko stosunek miłości rozerwał się i zakończył, ale wewnętrzny, duchowy związek pozostał, wraz z indywiduum. Więc zmysłowa śmierć tegoż jest tylko pozorna, dokonywa się tylko w dyalektyce ducha. Duchowe indywiduum zwycięża, nie umiera, nie ginie. Subjektowość wstępuje w krainę wyższej obiektowości.

Lecz nie uprzedzajmy bliższego, istotnego rozbioru poematu. Chciałem tylko zaraz na wstępie okazać, że osnowa i idea poematu, tak jak je Mochnacki przedstawił, i jak dość powszechnie, przynajmniej co do dwóch pierwszych części, dotąd są pojmowane, nie mają ani realnego ani idealnego gruntu pod sobą, a bynajmniej nie wystarczają, aby sobie wedle nich złożyć i wyobrazić strukturę kompozycyi całego poematu, a zwłaszcza, aby poznać i pojąć panującą w nim ideę.

Bo o cóż właściwie i głównie w tym poemacie chodzi? Treść podaje się, jak tego każde prawdziwe arcydzieło sztuki wymaga, sama przez się: częścią wypływa z religijnych obrzędów i wyobrażeń ludowych, częścią wynika ze stosunków prywatnego życia poety, częścią wzięta jest z męczeństwa narodu polskiego w Litwie i w Koronie. Uważam to za znane, i szczegółowe skreślenie treści w tem miejscu za zbyteczne. Rzeczby się zanadto rozciągnęła. Poeta zresztą sam oznaczył w dwóch przedmowach charakter treści utworu swego. Chodzi mi tu głównie o wykazanie: jaką jest zasadnicza idea znanego nam w trzech częściach poematu? Czy poemat stanowi artystowską całość, czy nie? Czy był tworzony według pewnego planu, według pewnej odrazu i z góry powziętej idei? czy też jest owocem różnych czasowych wrażzeń, wpływów, poglądów? Jakim sposobem nareszcie, chociażby druga połowa ostatniego pytania okazała

się uzasadnioną, dadzą się pojedyncze części poematu ująć i spoić w jedną całość?

Wyznaję otwarcie, jak to już na samym wstępie rozprawy uczyniłem, że pytania te, które każdemu nieuprzedzonemu krytykowi nasuwają się same przez się przed oczy, są w niemalej mierze ambarasującymi dla chcącego śmiało, stanowczo, bezwzględnie na nie odpowiedzieć, odpowiedzieć, być może, z uszczerbkiem dla kompozytorskiego talentu poety. Przyczynia się do pomnożenia skrupułu rozgłoszona, nie wiem, pewna czy niepewna, wiadomość, że w pozostałych po Mickiewiczu rękopismach znalazła się jeszcze jedna część *Dziadów*. Niebezpieczna zaiste jest sądzić poetę, dopóki całego głosu z piersi nie wydobyl, dopóki ostatniego słowa nie wyrzekł; niebezpieczna konstruować niedokończony utwór. Mamy przykład obojga na Mochackim. Ależ jeżeli ze szczęki przedpotopowego zwierza można wnosić o całym jego ustroju organicznym, jeżeli ze szczątek greckiej świątyni można wykreślać całą jej budowę, jeżeli z torso starożytnego posągu można odgadywać całą jego postawę; toć z trzech skończonych i wykończonych części poematu »*Dziady*« godzi się, mniemam, sądzić o jego całości, o jego artystowskim układzie, o jego zasadniczej idei, bez zbytniego kłopotania się o treść nieznaney części. Może ona przydać jakiś nowy szczegół: wchód, przedsiónek, facyatę do przedstawiającej się oczom naszym budowy; ale nie może zmienić jej głównego, widomego zarysu i kształtu. Okaże się to bliżej jeszcze z następującego rozbioru ¹⁾...

858) *Str. 20—21.* Zawód profesora odwiódł Mickiewicza od powołania poety. Myśl nowej części dramatu utonęła w kursie literatury. Wielka i stosowna dla pierwszego, nie była na swoim miejscu w drugim. Ma ona jednak dla nas tę ważność, że rzuca światło na tworzenie się poematu, który powstał nie odrazu, i nie wedle odrazu wogóle i w szczegółach wykreś-

¹⁾ Po zapoznaniu się z fragmentami I-szej cz. »*Dziadów*«, ogłoszonymi w paryskim wydaniu poezyi Mickiewicza z r. 1861, Cybulski w »*Dopisku*« na końcu rozprawy dodał m. i. słowa: »Nie mają one na krytyczny pogląd rozprawy mojej żadnego wpływu, jak to z góry przewidywałem... Dla mnie część I *Dziadów* nie istnieje«... (*Przyp. Red.*)

lonego planu, lecz w różnych epokach, każda część w takiej epoce, w której poeta indywidualnie żył całkowicie jej treścią i myślą, wcielał je niejako w siebie, stawał się żywym ich wyobrazicielem, przedstawicielem, wieszczem. Ogólna tylko myśl poematu zabłysnąć mogła odrazu w duchu wieszczą; szczegółowy jej rozwój coraz pełniejszy, coraz szerszy, coraz wyższy, mógł się tylko stopniowo, w czasie, z wiekiem poety dokonywać. Na ostatnią część dramatu zabrakło mu siły, odstąpił swego poetyckiego posłannictwa, »stał się synem ziemi«. Bohater nie-
dośpiewanej pieśni, zamiast po drugi raz z Bogiem rozmawiać, wdał się w rozmowę z codziennymi ludźmi; oni go nie zrozumieli, nie pojęli, nie poszli za nim; słowo objawione nie przeszło w czyn, lzy się nie skończyły, sny nie spełniły, słowiczek zaśpiewał bez skutku na pożegnanie i nie przyniósł Dawidowego hymnu narodowi i ludzkości na pocieszenie, na zbawienie.

A jednak — jednak — losy świata i narodu naszego nie przedstawiły się w zupełnej osłonie apokaliptycznemu widzeniu wieszczą. Jedna część już się spełniła, drugą wieździe »Anioł pachole«. Lecz to już nie należy do przedmiotu rozprawy.

859) *Str. 35—38.* ..Otóż to we wszystkich sferach i położeniach wszechwładne i w objawach swych cudotworne uczucie miłości, ta wieczna, ciągle krzywdzona i podkopwana, a żadną inną niezastąpiona zasada społeczeństwa chrześcijańskiego, to mówię uczucie miłości jest, mojem zdaniem, główną i zasadniczą ideą poematu »Dziady«. Czy ją sobie poeta odrazu w całym szczegółowym pojęciu rozważył lub nie, trzecia część dramatu poświadcza, że znał jej logiczny rozwój, i że jak na drugim, tak i na trzecim stopniu jego wyczerpnął ją aż do najgłębszych głębi. Dzieło takie nie mogło też powstać na jeden raz i w jednym czasie. Są myśli i pojęcia, tak w historii, jak w literaturze, które powoli w duchu ludzkim dojrzewają, i wtedy dopiero przechodzą w czyn, gdy świat zewnętrzny i człowiek, ich przedstawiciel, zetkną się z sobą i usposobią jakoby na narzędzia do ich urzeczywistnienia. Historyczna przeszłość życia narodu leżała jak otwarta księga przed oczyma poety, ale obecność była jeszcze w walce. »W krajach ludzkości noc głucha, żywioły chęci jeszcze są w wojnie« Poeta prze-

czował blizki wybuch narodowego boju, sam miał najczynniejszy udział w patryotycznych owego czasu dążnościach i stał się wraz z innymi ofiarą prześladowania, które barbarzyństwem swem mogło tylko przyspieszyć chwilę pożądanego oswobodzenia.

Ten więc stan wewnętrznej duchowej fermentacji i walki musiał wprzód rozwinąć się w całej swej sile, musiał wyjść z siebie na zewnątrz i przyjąć jakąkolwiek postać skończonej rzeczywistości, zanim mógł być stosowną materią do poetyckiego utworu, w którym sumienie umęczonego narodu miało spowiadać się przed światem i Bogiem. Dopelniono się to powstaniem narodu 1831 r. Katastrofa jego i w ślad za nią idące barbarzyńskie prześladowania wycisnęły ostatnie piętno na historii całego poprzedniego męczeństwa. Osnowa, jakkolwiek świeża, była w myśli i w rzeczywistości dokonana, skończona, była w skutku plastycznego bezwstydu prześladowców dojrzałą dla historyka, dojrzałą tem więcej dla poety. On wzrósł w niej, żył w niej, patrzył na nią żywymi oczyma przerażonych zmysłów i bolejącej duszy, a jak w latach pierwszej młodości przejął się wyobrażeniami i pomysłami gminnego ludu, jak w latach wieku młodzieńczego zapalił się uczuciami przyjaźni i indywidualnej miłości, tak w wieku dojrzałej męskości wcielił w siebie żywot i ducha rozbitego na krzyżu narodu i stał się jego przedstawicielem i wieszczem. Trzecia część »Dziadów« jest tego wcielenia słowem i czynem. Tu się właściwie skończyła liryczno-poetycka misja wieszca. Mógł on odtąd być tylko epikiem i nauczycielem objawionego słowa.

Był jednym i drugim. Czy tego ostatniego posłannictwa nie byłby skuteczniej dopełnił, tworząc nowy dramat, osnowany na tle przyjaźni, braterstwa, unii narodów, dramat, przedstawiający walkę przeznaczeń ludzkości, »wychodzący z zamętu świat ducha«, świat wyłaniającego się w boleściach Królestwa Bożego na ziemi, na który wskazywał inny natchniony współczesny wieszcz i jeden przed innymi myśliciel, w księdze, mającej tytuł pożyczony od Modlitwy porannej¹⁾; czy, mówię, wieszcz takiego dramatu, który, jak się tego już wyżej domyślałem, stał mu prawdopodobnie przed myślą, nie byłby silniej i skuteczniej

1) Krasziński i Cieszkowski. *Przyp. Red.*

odpowiedział powołaniu swemu, aniżeli nauczyciel kursu literatury? nie daję na to odpowiedzi, bo takowa, w braku rzeczowego dramatu, byłaby tylko nowym domysłem. Dosyć, że się tak nie stało i stać nie mogło. Czas wcielenia w słowo nowego poetyckiego ideału i wspomnianego filozoficznego systemu nie był jeszcze przyszedł. Odemknęły się na chwilę jego podwoje w r. 1848, i na nowo zatrzasły, bo wdzierali się przez nie do przyszłego kościoła braterskiej unii narodów poświęceni i niepoświęceni, z bronią w ręku, brat na brata. Niedługim tą razą był czyściec zwycięskiego despotyzmu. Duch-czas jak karze samolubstwo fałszywych przyjaciół wolności, tak nie przepuszcza samolubstwu jej wrogów, i oto podwoje arki nowego przy mierza znów stanęły otworem. Spieszą ku niej ludy wielkie i małe. Jest w ich liczbie i lud polski, który czuje i wie, że go Opatrzność postawiła na straży dokonywających się w ludzkości wyroków swoich, i uczyniła »widomym namiestnikiem wolności na ziemi«. Jakiż będzie koniec tej nowej walki, której zdaje się, że na przemian aniołowie i szatany przywodzą?

Wieszcz nasz oddał ducha Bogu w tem oczekiwaniu. Umarł jak bohater tragicznego dramatu, za ideę, której zwycięstwo ma naród polski z domu niewoli, ludzkość z nocy przesądów i z kałuży materialnego samolubstwa wyprowadzić. Umarł, dziwnem zrządzeniem Opatrzności, prorok narodu daleko od ojczyzny, na pograniczu cywilizacyi i barbarzyństwa, jakby na znak, że tam się losy narodów i ludzkości ostatecznie rozstrzygną i wznijdzie nad światem »zbawienia słońce«.

Okazawszy ogólną, zasadniczą ideę poematu, którą jest uczucie miłości, przenikające wszystkie warstwy i stosunki świata społecznego, zobaczymy teraz, jak się ono szczegółowo w utworze naszym uzewnętrznia i obrazuje, i jaka moralna dążność spowita jest w tych idealnych obrazach sztuki. Nie mam zamiaru wdawać się tu w wszechstronny ich rozbiór; powszechna i gruntowna znajomość utworu uwalnia mię od tego. Chcę tylko w krótkości podnieść to, co szczególniej jeszcze i wyraźniej, aniżeli co dotąd było powiedzianem, charakteryzuje pojedyncze strony idei zasadniczej.

Przedewszystkiem ogólnie co do wszystkich części poematu zauważyć należy, że uczucie miłości przedstawia się wszę-

dzie jako naruszone, pokrzywdzone, pogwałcone w naturze swojej. A że ono jest przyrodzonym pierwiastkiem istoty ducha ludzkiego, nieodłącznym czynnikiem życia człowieka, źródłem i podstawą moralności wszystkich jego stosunków, więc pogwałcenie to pociągać musi w każdym razie karę za sobą i dopóki takowa nie nastąpi, i uczucie miłości nie powróci do swego prawa, indywidualum, rodzina, społeczność, naród, ludzkość znajdują się w stanie moralnej walki z potęgami gwałtu, — cierpią. Wiara i nadzieja osładzają ich cierpienia, czynią gotowemi do ofiar i poświęcenia, wskazują drogi ratunku i wiedzą ostatecznie do zwycięstwa, do tryumfu panowania miłości nad panowaniem gwałtu. Taka jest moralna dążność poematu...

860) *Str. 63—66.* ...Uważmy dalej, że w istocie poetyckiego geniuszu Mickiewicza leżała spowita od samego początku myśl odrodzenia się ojczyzny przez rozbudzenie i podniesienie w narodzie tych wszystkich moralnych sił i potęg, przez które pierwotny duch chrześcijański pokonał materyalny pogański świat, wskazał tworzącym się narodom i państwom ich misye i przeznaczenie i położył w związanem nową wiarą społeczeństwie ludzkim fundamenta do zapowiedzianego Królestwa Bożego na ziemi. Pielęgnowała myśl tę braterska spójność w życiu młodzieży uniwersyteckiej w Wilnie; podnosiły naukowe, literackie, polityczne, patryotyczne, mistyczne kierunki pojedynczych ludzi i towarzystw lokalnych; umacniało ogólne natężenie i oczekiwanie ducha całego narodu; wstrząśniętą i zawiedzioną chwilowo przez nieszczęśliwy koniec powstania narodowego rozżarzyły na nowo i rozplomieniły aż do egzaltacyi nieznanne dotąd cierpienia i prześladowania. To, co wieszcz wyśpiewał w swym dramacie, nie jest niczem innym, jak wiernem odbiciem różnych promieni tej jednej myśli, która miała się stać nowo w pierwotnym duchu chrześcijańskim odrodzoną wiarą narodu polskiego, mającą go usposobić i poprowadzić do spełnienia wskazanej mu przez Opatrzność misyi w dziejach ludzkości.

Za dalekobym się oddalił od właściwego zadania rozprawy, gdybym się wdał w szczegółowy rozbiór tej głównej myśli poety. Nie potrzeba tego. Uczynił to wieszcz sam w swoim

»Kursie literatury słowiańskiej«. Mniemałem dawniej, że teorie kursu tego nie mają żadnego związku z moralnem i poetyckiem stanowiskiem wieszca, i że tylko przypadkowy i zewnętrzny wpływ zrodził je w duchu jego. Pisałem o tem w piśmie peryodycznem »Rok«, które wychodziło w Poznaniu, w tomie za rok 1845. Głębsze zastanowienie się nad całym psychologicznym rozwojem ducha poety i ściślejsze porównanie myśli, złożonych w utworach jego, a mianowicie w dramacie, o którym tu mowa, z myślami, rozwiniętymi w kursie literatury, przekonały mię, że pomiędzy poetą a profesorem nie było wtedy w gruncie tak wielkiego, jak wtedy mniemałem, rozstępu. Rozstęp ten, rozstęp widomy, był w formie, był w zewnętrznym przedstawieniu; był w usiłowaniu przenoszenia ideałów sztuki w świat powszedniego biegu rzeczy; był w wysnowaniu z poetyckich pomysłów i idei wszelakich umiejętnych teorii: politycznych, socyalnych, literackich, dziejowych, ba i religijnych; był w pojmowaniu i urządzaniu jedną wyłączną siłą uczucia, egzaltacyi, entuzyazmu, takich nawet stosunków realnego świata, które tylko rozumem pojmwane i urządzone być mogą — co było na swoim miejscu u poety, ale nie u profesora; — był nareszcie rozstęp ten — a to była najsmutniejsza ostateczność — w przedziergnięciu się raz jeszcze w ducha wyższej potęgi, Konrada w Apostoła nowo objawionego chrystyanizmu, według którego ludzkość powtórnie się miała odrodzić i urządzić.

Plato wygnał poetów z rzeczypospolitej swojej, jako ludzi niepraktycznych i szkodliwych, bo zmyśleniami bezrzeczywistemi umysły ludzkie zajmujących. Mickiewicz wygnał filozofów z odrodzić się mającego świata i jako poeta i jako apostoł, bo »martwe znają prawdy, nieznanne dla ludu«, i formułują tylko to, co się już przeżyło. Plato głosił, że rzeczypospolite wtenczas dopiero będą szczęśliwe, kiedy filozofowie niemi rządzić będą. Mickiewicz śpiewał:

»Daj mi rząd dusz!...

Niech ludzie dla mnie będą jak myśli i słowa,
Z których, gdy zechcę, pieśni wiąże się budowa,
Jeśli mnie nad duszami równą władzę nadasz,
Jabym mój naród jak pieśń żywą stworzył,

I większe, niżli ty, zrobiłbym dziwo,
Zanuciłbym pieśń szczęśliwą!«

Plato pół wieku strawił na próżnych usiłowaniach, aby Rzeczpospolitą swoją w którym z państw greckich praktycznie zaprowadził. Mickiewicz nie znalazł sposobności nawet w r. 1848, w tym roku powszechnej miłości, egzaltacji i entuzjazmu, do zrealizowania swoich poetyckich i apostolskich ideałów. Ale widzieliśmy wtedy innego poetę, który stał na czele rządu wielkiej Rzeczypospolitej. Wiemy, co z niej zrobił, co zrobił z olbrzymiej potęgi ówczesnego ducha czasu. Są ludzie najwyższych zdolności, wieszczych pomysłów, proroczych objawień, którzy zdają się być żywą inkarnacją narodów, przenikniętych i przenikających się za posłyszeniem ich głosu temiż samemi myślami i uczuciami, a którzy przeciw do szczególnych sfer życia praktycznego żadnego nie mają zmysłu. Takim był Mickiewicz przed, podczas i po powstaniu, w kraju i za granicą. Bo on był duszą i ciałem poetą, i tylko poetą, i tylko też jako poetę sądzić go można w teoriach tych, które wykreślał jako ewangeliczne zasady przyszłego życia społecznego.

Improwizacja była istotnie, jak to sam czuł i wyrzekł, zenitem jego poetyckiej twórczości. Walka wieszca Konrada z Bogiem powtórzyła się w wykładzie Apostoła Mesyanizmu. Upadek pierwszego był osobliwym zrzędzeniem losu przepowiednią upadku drugiego. Pierwszy upadł, bo poeta nie był jeszcze tak daleko doszedł w uznaniu mesyańskiego przeznaczenia swego, aby się nie był miał przed mądrością Opatrzności i świętością i powagą wiary upokorzyć. Drugi nie myślał podobno ani o upadku ani o upokorzeniu się. Świat cały był słuchaczem wykładu. Bo świat ten napajany w tym czasie różnemi filozoficznemi, ekonomiczno politycznemi, socyalnemi teoriemi, przeczuwający blizkie przesilenie ducha swego, niezmiernie był ciekawy, co też szczególnego do tego powszechnego, umysłowego ruchu wniesie poeta tak głośnego imienia, wieszcz tak słynnego a nieszczęśliwego, ale o przyszłość swoją nie rozpaczającego narodu, co wniesie członek olbrzymiego, w ciele i w duchu swym ruszać się poczynającego, i straszną, bo tajemniczą przyszłością brzemienneego Słowian plemienia? Niemale zadanie!

Opracował G. KORBUT.

SIEMIĘŃSKI LUCYAN HIPOLIT.

(1809—1877).

Poeta, tłumacz, krytyk i publicysta, urodził się dnia 13 listopada 1809 r. w Kamiennej Górze, w par. Magierów, w okolicy Rawy Ruskiej. Podstawę bytu rodziny stanowił niewielki kapitał, zniewalający do cichego życia na wsi. Nauki szkolne, odbywane u Pijarów w Lublinie, ukończył r. 1828. Szkoły wszczepiły mu cześć dla klasyków starożytnych, upodobania i zasady pseudo-klasyczne. Mimo to, w młodzieńczych próbkach poetycznych, z lat 1828—1830, odbił się wpływ ballad Mickiewicza, znajomość z Szyllerem i Byronem. Obok ballady sentymentalnej »Janusz i Mitona«, znajdujemy tu melancholiczną alegoryę życia w wierszu: »Podróżny« i erotyczną »Łzę«. W r. 1831, porwany prądem uczuć patryotycznych, wstępuje do wojska i w jesieni tegoż roku jako jeńiec przebywa z kolei w Żytomierzu, Kijowie, Odessie. Uwolniony, wraca r. 1832 do Galicyi. Zetknięcie się, w wojsku i w niewoli, z rzeczywistością życiową wywołało przewrót w upodobaniach i pojęciach literackich młodzieńca. Świat ballad i romansów rycerskich, zamków średniowiecznych i minstrelów, stracił swój urok i, jak sam się wyraża w późniejszej powiastce »Romantyk«, jedna piosneczka ukraińskiej baby... jedna karta starej kroniki, wreszcie rzeczywistość poetyczniejsza, bo prawdziwsza, niż wszystkie ballady almanachowe, zaczęły teraz pociągać ku sobie młodą wyobraźnię. To też gdy, po przybyciu do Lwowa, zapoznał się z żywo interesującym młode koła literackie »Rękopisem Królodworskim«, zabrał się bezzwłocznie do jego przekładu. W r. 1834, w wydawanej przez młode koło »Ziewonii«, ukazały się części tego przekładu p. t. »Dumy czeskie«, całość zaś wyszła z druku r. 1836 w Krakowie. W tej pracy uwydatnił Siemięński swe uzdolnienie do odtwarzania obcych utworów, łączącego wierność oryginałowi co do tonu, myśli, obrazów, z piętnem polskości tak w języku i stylu — przez wprowa-

dzenie archaizmów i form mowy ludowej — jak i w obrazach — przez podsuniecie pokrewnych rysów kulturalnych. Jednocześnie próbował S. tworzyć oryginalne opowieści z odległej przeszłości ojczyźnej językiem i stylem przekładu powyższego. Owocem tych usiłowań były: »Trąby w Dniestrze« obrazek z czasów Chrobrego, dość udatny w po-myśle i wykonaniu, i niefortunna, pod wpływem opowieści o pułku Igora, z wysiłkiem wymęczona, ciężka i zimna »Potrzeba warneńska«.

Dla scharakteryzowania tego utworu dość przytoczyć takie wy-powiedzenie się Warneńczyka:

I król zgromił sny swoje: Tfu, mary!

Patrona Ungariae! Ptak kary

Siadł na gałce i trąbił mi w ucho

O Dunaju, a Dunaj, ot stary,

Szklni zorzami, by pogańską juchą.

I w namiotach czeladka na poły

Śpi, wrzkomo w ogroju apostoły.

Jedno u mnie jakaś w myśli burka.

Drobny obrazek »Cień królowej Barbary« (Przyjaciel ludu 1835) ukazał się jednocześnie w przekładzie niemieckim: »Königins Barbara's Schatten« w lwowskiej »Mnemozyne«.

W ciągu pięcioletniego pobytu we Lwowie S. bierze żywy udział w budzeniu życia narodowego i umysłowego przez rosnące stopniowo koło młodych poetów i literatów. Uwięziony przez policję austriacką w r. 1837, po półtorarocznym pobycie w więzieniu, ucieka, z pomocą Fran. Morawskiego udaje się do Francji i osiada na czas dłuższy w Strasburgu, oddając się studjom przez uczęszczanie na wykłady uniwersyteckie, a zarazem propagandzie idei demokratycznych, którymi się przejął we Lwowie jeszcze, pod wpływem stosunków z Goszczyńskim. Bierze teraz udział w redagowaniu »Pszonki«, noworocznika, wydawanego przez Zienkowicza, przedstawiciela skrajnej grupy w obozie demokracji emigracyjnej. Urządza tu r. 1839 uroczysty obchód z powodu zgonu powieszzonego w Wilnie Szymona Konarskiego. Pomieszcza następnie w »Pszonce« opis ostatnich chwil Konarskiego i powiastkę: »Panna Antonina, czyli wejście Austryaków do Lwowa r. 1809«. Z tego czasu pochodzi też utwór »Trzy wieszczby« (Paryż 1841 str. 115), wprowadzający w formie udratyzowanych obrazów postacie trzech przepowiadaczy przyszłości narodowej, opata jędrzejowskiego, z wieku XVI, i pociągające tak wyobraźnię i serca ówczesnych wieszczów i patriotów świeższe osobistości: ks. Marka i Wernyhore. Anegdotyczne traktowanie przedmiotu odebrało jednak tym postaciom powagę i wieszczbom ich grozę. Słabym również jest drugi utwór z tego czasu, »Świtezianka« (Poznań 1843 str. 100), fantazyja dramatyczna, parafraza arcydzieła mickiewiczowskiego, rozwlekła, rażąca niesmacznymi pomysłami. Świtezianka w postaci Królowej Palmiry przyływa okrętem — (na jeziorze), po swego lubego, porywa

go śród uczty i odpływa, zostawiając strwożonych gości, ginących od zalewającej ich powodzi.

Po niefortunnych próbach twórczości oryginalnej zwrócił się S. do najwłaściwszych jego uzdolnieniu przekładów pieśni ludowych obcych. Pod tytułem »Piosennik ludów« ogłosił naprzód zbiór pieśni bretońskich (Poznań 1842 str. IX i 88), a następnie w drugim zeszytcie pieśni skandynawskie (Pozn. 1843 str. 96). Jednocześnie, zachęcony radą Grabowskiego Michała (w ocenie przekładów Bielowskiego i Siemińskiego), przełożył na próbę szóstą pieśń Odyssei i ogłosił ją r. 1844 w »Orędowniku naukowym«. Użył tu wiersza rymowanego 13 zgłoskowego. Powtórna próba, dokonana wierszem 11 zgłoskowym, białym, był przekład Pieśni I, ogłoszony w »Przyjacielu ludu« r. 1847. W związku z tym zwrotem ku poezji ludowej i pierwotnej i przekonaniem, że »poezja w znaczeniu prostem i pierwotnem nie istnieje dziś prawie, tylko między gminem, który sam jeden jest panem potrzebnych do tego warunków« zostaje, ogłoszony r. 1845 w Poznaniu zbiór p. t. »Podania i legendy polskie, ruskie i litewskie« (str. X, 163). Najpiękniejszym owocem ludowego okresu w działalności S. są skreślone popularnie opowiadania z dziejów Polski, włożone w usta starego wojaka Grzegorza, p. t. »Wieczory pod lipą«, (Poznań 1845 str. 424). Prostota i wdzięk naiwny opowieści Homera, w której się współcześnie rozczytywał, przejęcie się duchem poezji ludowej, którą się wtedy zajmował, pozwoliły mu obrazy dziejowej przeszłości ukazać w odbiciu duszy ludowej poniekąd, ciekawej i odczuwającej żywo duszy kronikarza poety, nieświadomego zadań historyka i celów dydaktycznych.

Książka ta, której tytuł pełny brzmiał: »Wieczory pod lipą, czyli historia narodu polskiego, opowiadana przez Grzegorza z pod Racławic«, pomimo tamującego jej obieg zakazu cenzury rosyjskiej, zyskała odrazu gorące uznanie i szerokie rozpowszechnienie. Już w r. 1847 wychodzi drugie wydanie, a w 1848 trzecie w Paryżu (Wal. Wielogłowski), czwarte z kolei w Krakowie 1851 (dla użytku młodzieży szkolnej) z drzeworytami. Wreszcie, pod zmienionym tytułem, jako »Wieczory w Ojcowie« i ze zmianami ze względów cenzuralnych, ukazuje się w Warszawie r. 1858, 1860 i 1873. W przeobrażeniu i powiększeniu (przez J. K. Turskiego) z 46 rycinami wychodzi w Krakowie 1863 i następnie 1868, 1872 i 1873. Przekłady czeskie ukazały się w Bernie (1863 i 1868) i Pradze (L. Röttersberg 1866 r.)

Na kierunek i charakter działalności obecnej S. wywarło wpływ przeniesienie się do Wielkopolski i zetknięcie zarówno z tamecznym ludem, jak i życiem umysłowem, bujnie dość wtedy rozkwitającym. Poślubiwszy w r. 1841 Ludwikę hr. Potocką, osiedla się r. 1843 w Poznańskim. Jako podejrzany politycznie, z powodu swych poprzednich stosunków z emigracją polską we Francji, zostaje uwięziony. Odzyskawszy wolność za staraniem Seweryna Mielżyńskiego, przebywa trzy

lata w jego domu, lecz skutkiem wypadków r. 1846 zmuszony jest szukać schronienia w Brukseli. W tych latach, prócz wymienionych wyżej z życiem i twórczością ludową związanych prac, ogłosił S. jeszcze swoje drobniejsze utwory wierszowane («Poezye» Poznań 1844 str. 118) i obszerniejszy znacznie zbiór powiastek i obrazków prozą, ogłaszanych dawniej w »Rozmaitościach lwowskich«, »Ziewonii«, »Przyjacielu ludu« i innych wydawnictwach, pod wyszukany, romantyczno-orientalnym tytułem: »Muzamerit, czyli powieści przy świetle księżycy« (Poznań 1843 r. 2 tomy, t. I 246, t. II 230 str.). Zarówno ścieśnienia cenzuralne jak i uboga kultura umysłowa ówczesnych czytelników, szukających w lekturze zadowolenia potrzeb wrażliwej lecz słabej i płytkiej uczuciowości, nie dozwalały ówczesnej beletrystyce sięgać do głębin duchowych, rozwijać doniosłe idee, dążyć do artystycznego wykończenia. Siemieński, przy wysokiem uzdolnieniu odtwórczem, nie posiadał twórczej wyobraźni, wynalazczości, opracowywał i przerabiał zwykle obce pomysły lub zdarzenia prawdziwe, lecz nie umiał wlać życia w przedstawiane postacie. Czytelników ujmował jedynie wdziękiem opowiadania, tonem rozlanej w nim uczuciowości, starannością wysłowienia. Kraszewski, któremu wydały się one »miluchnemi«, scharakteryzował je w słowach: »Z jednego nic, z podania, z wieści przelotnej umie on wysnuć coś bardzo zajmującego — wskrzesza, ożywia, ustawia, każe żyć, i żyją i uśmiechają się umarli«. Życzliwy dla S., z którym zostawał w korespondencyi, przyznał mu, w drugiej połowie powyższej charakterystyki, zalety, jakich brak właśnie odebrał trwalszą wartość opowiadaniom »przy świetle księżycy«, które pojawiwszy się w ponownem wydaniu p. t. »Powieści« (Petersburg, Wolf 2 tomy 1852), z opuszczeniem niecenzuralnych obrazków, nie znalazły gorętszego uznania u publiczności. Inny zbiór późniejszych drobiazgów literackich S. wyszedł p. t. »Wieczornice«, powiastki, charakterystyki, życiorysy, podróże — Wilno 1854, tom III str. 263, 335, 294). Do okresu wielkopolskiej działalności piśmienniczej S. należy wydanie »Pamiętników o Samuelu Zborowskim, zebranych ze współczesnych dzieł i rękopisów biblioteki kórnickiej« (Poznań, 1844, str. XXIII i 77), wspomnienia pośmiertnego »Cichy Anioł« (Joanna Boczkowska) — Paryż 1845 str. 21, książeczki dla szkół ludowych: »Czytania postępowe«, zbiór powiastek, legend, żywotów, wyd. szkolne, Leszno i Gniezno 1848 str. 133, i wreszcie broszura: »Pomysły o harmonii społecznej, napisał Jan z Wygnańcyc Dąbrowa« (Poznań 1845, str. 73). Oprócz powyższych Estreicher podaje, jako utwór S., książeczkę: »Przewodnik myśliwca« (Leszno i Gniezno 1848, str. 158) tudzież »Księcia Don Huana Manuela, Rady Patroniuszowe czyli historyczne przykłady opowiadane hr. Lukanorowi, z hiszpańskiego wydane po polsku przez L. S.« (Poznań 1847, 2 tomy, str. 156 i 148). Podejmowanie dla zarobku przekładów i przeróbek dla księgarzy, zaspakajających potrzeby i upodobania ówczesnej publiczności, jest zwykłym zjawiskiem w ciężkich warunkach naszego życia umysłowego.

Różnostronna działalność literacka S. i uwydatnione w niej uzdolnienie, obok nawiązanych przez ożenie z hr. Potocką i pobyt w domu Mielżyńskiego stosunków ze sferami arystokracji i zamożnego ziemiaństwa, utorowały drogę S. do zajęcia katedry literatury w Krakowie i stanowiska redaktora zakładanego w tem mieście, przez Adama Potockiego i Leona Rzewuskiego, dziennika, mającego, wobec wzmagających się prądów rewolucyjnych, demokratycznych, bronić interesów i zasad zachowawczych. Dziennikiem tym był »Czas«, rozpoczynający swe istnienie dnia 3 lutego r. 1848. Chociaż jednak na żadnym z tych stanowisk dłużej się nie utrzymał, bo z katedry uniwersyteckiej, z rozkazu władzy centralnej, musiał wkrótce ustąpić, a redaktorstwo naczelne »Czasu« złożył po roku w ręce M. Manna, który od 5 maja 1849 r. podpisuje już dziennik, jednakże, jako redaktor działu literackiego, a głównie »Dodatku do Czasu«, wychodzącego od r. 1849 w dziesięciodniowych odstępach, a od 1856 do 1861 r. w postaci miesięcznika, rozwinął teraz S. żywą działalność literacką, trwającą niemal trzy dziesięciolecia. Pozyskawszy rozgłos i uznanie, stał się pożądanym współpracownikiem dla rozrastającej się prasy peryodycznej polskiej i różnorodnych wydawnictw. Działalność swoją skierował głównie na pole krytyki literackiej i artystycznej, tudzież przekładów poetów starożytnych, wschodnich, włoskich, hiszpańskich. Obok tego zajmuje się wydawnictwem i opracowaniem różnych świadectw historycznych i publicystyką. Twórczość oryginalna zato maleje. Ogłasza teraz tylko przedruki (w Petersburgu, Wilnie i Krakowie: »Mozaika« 1853) zbiorów dawniejszych obrazków i opowieści i zbiory poezyi »Rapsody historyczne i liryki« (Petersburg 1853 str. 201 w »Skarbczyku poezyi polskiej«) w lipskiej »Bibliotece Pisarzy polskich« (t. XXII, str. VII, 303). Kilka opowiadań S. w przekładzie niemieckim wyszło r. 1877 w znanej Bibliotece Reclama. »Ogrody i poeci« (Warszawa 1881) ukazały się też po niemiecku w »Magazin f. d. Liter. des Auslandes« (Lipsk). Z oryginalnych utworów uzyskał jedynie szerszą popularność »Wachmistrz Jaszczółd«, gawęda wierszem, osnuta na fakcie rzeczywistym z dziejów kampanii r. 1809 w Galicyi (Kraków 1848, str. 31). Ogłoszona w »Tece wileńskiej« r. 1858 (i osobno) powieść sentymentalna »Mimoza« przy kwiecistości stylu nie budziła interesu dla ubogiej i bladej akcji. »Fantazya majowa w Giulistanie« poświęcona Mannowi (r. 1872), jest ciągiem refleksyi wiosennych człowieka starszego, nie mogącego się pogodzić ze zmianami, jakie zaszły dokoła niego w pojęciach i uczuciach. Z prac i wydawnictw historycznych, rozpoczętych ogłoszeniem Pamiętników o Zborowskich, ważniejsze są: »Opowiadanie szambelana Stan. Augusta« (»Mozaika« Kraków 1853), »O dążnościach w pisaniu historyi z powodu dziejów panowania Augusta II« (Dodat. do »Czasu« 1853), »Żywot i pamiętniki St. Małachowskiego« (»Czas« r. 1853 i odbitka). »Prace historyczne Lelewela« (Dod. do »Czasu« 1858), »Dwór Jana III w r. 1688 i 1689« (Dod. do »Czasu« 1859), »Ostatni rok życia Stanisława Augusta« (Kraków,

1862 str. XXXX i 191). »Ostatnie chwile króla wygnańca«. (Wizer. i roztrząs. nauk. Poznań 1869), polski przekład dzieła Bignon'a »La Pologne en 1811« (Paris 1861) wydany w Krakowie 1862. »Listy Kołłątaja pisane z emigracyi w r. 1792, 3 i 4, zebrał L. S.« (w zbiorze Pamiętn. z XVIII w. t. XII — dwa tomy w jednym — Poznań 1872). »Kilka ustępów z życia Kościuszki« (Bibl. Ossolin. VII, 1865). »Żywot Tad. Kościuszki« (Wyd. dzieł tanich i pożyt. Kraków 1866 — niedokończony). »Listy Tad. Kościuszki do gen. Mokronowskiego i innych osób« (Lwów 1877). »Kaz. Pułaski w Ameryce« (Przegląd pol. 1870 i »Dzieła« t. II r. 1881). »Generał H. Dąbrowski i jego oszczercy«. (»Amilkar Kosiński — Legiony polskie we Włoszech 1795—1803 — Poznań 1877). »Wąwóz Samosierra« (»Czas« 1875, i Dzieła). »Generał Bem w Siedmiogrodzie i Węgrzech w r. 1848 i 1849 wedle podań szefa sztabu armii siedmiogrodzkiej ułożył L. S.« (Poznań 1862, str. 162). »Dwaj Juliusze — kartki z ostatnich dni ich, zebrał L. S.« (Kraków 1869 r. str. XXIV i 195 z 2 rycin.) (Wspomnienia o Jul. Małachowskim poległym r. 1831 i Tarnowskim w r. 1863). »Machiavelli i jego system polityczny«. (Kraków 1850 str. 45), toż z dodaniem aforyzmów. (Lipsk i Kraków 1851 str. 71). Prace te mają małą bardzo wartość. Materiały i świadectwa różnorodne są tu zużytkowane dla celów literackich na lekturę dla szerszej publiczności. Pospieszne opracowanie, przy braku przygotowania naukowego, powierzchowna znajomość przeszłości, odbierają tym robotom i wydawnictwom trwalsze znaczenie. Powstały one dla zaspokojenia potrzeb czytelników, pragnących łatwo i zajmująco, anegdotycznie, poznać się z przeszłością. Ubóstwo sił umysłowych zniewalało w tych czasach każdego niemal ruchliwszego i zdolniejszego pracownika do rozpraszania się w różnych kierunkach i podejmowania najróżnorodniejszych zadań. Działalność Wójcickiego, Kraszewskiego i wielu innych stwierdza to częste bardzo w naszym życiu umysłowem zjawisko. Zajmując stanowiska redaktorów różnych miesięczników, tygodników i t. p. wydawnictw, musieli jeszcze ówcześni pisarze zastępować brakujących im współpracowników w różnych działach, zwłaszcza w dziale sprawozdań krytycznych, przyczem otrzymywali do zużytkowania nadsyłane im pamiętniki, zbiory listów i rozliczne materiały, które, dla braku specjalnych wydawnictw, pomieszczać trzeba było po czasopismach, a nawet w odcinkach pism codziennych. W takich warunkach rozwijała się również działalność S. w zakresie historii literatury i sztuki, tudzież krytyki literackiej. Artyzm, uwydatniony w oryginalnej twórczości, a w całej pełni jaśniejący w świetnych przekładach, umożliwił S. zajęcie wydatnego na tem polu stanowiska, jednakże brakło gruntowniejszego wykształcenia filozoficznego i naukowego, nawyku do sumiennej, systematycznej pracy, pogłębienia moralnego i pojęciowego w duszy rozpraszającej się w różnych kierunkach i stąd niezdolnej do koncentracji, do sięgania w głębie pisarzy i artystów, których twórczość wypadało mu rozbierać.

Działalność w tym kierunku rozpoczyna S. dopiero z chwilą objęcia katedry uniwersyteckiej i redaktorstwa »Czasu« w Krakowie. W pierwszych numerach »Czasu« z r. 1848 pomieszcza ocenę »Psal-mów przyszłości«, a w pierwszym numerze tegoż dziennika z r. 1849 zdaje sprawę z wiersza »Do autora trzech psalmów«, przyznając wie-szczą palmę twórcy »Przedświtu«. Biografowie S. wyrażając swe zdu-mienie wobec przewrotu w pojęciach, skutkiem którego niedawny ra-dykał-demokrata stał się głosicielem i obrońcą zasad konserwatywnych, szukają jakichś ukrytych, nieznanych czynników tego nagłego jakby nawrócenia. Przyczyny tej nie należy szukać daleko. Przy swej wrażliwości, uczuciowości rozlewnej, nie posiadał S. głębszych przekonań, silnych uczuć i dążeń, wyrobionych pracą myśli pojęć religijnych, filo-zoficznych, społecznych, stąd łatwo ulegał wpływow otoczenia, do-stosowywał się do atmosfery, w której żyć mu dłużej wypadło. Gdy więc znalazł, na nowem stanowisku, tak przyjazne warunki dla użyt-kowania posiadanych uzdolnień i zadowolenia upodobań literackich, estetycznych i towarzyskich, zespolił się z nowem otoczeniem tem łat-wiej, iż pobyt u Mielżyńskich już osłabił zapewne poprzedni rady-kalny nastrój.

Jako krytyk zaczyna S. swą działalność od oceny ostatnich poja-wów kończącego się, poza granicami kraju rozkwitu wielkiej poezyi, a rozpoczynającej się we wszystkich dzielnicach Polski reakcyi konserwa-tywnej po klęskach i zawodach r. 1846 i 1848, w połączeniu z osłabie-niem twórczości i obniżeniem poziomu umysłowego. Rozpatrując i oce-niając skromnej bardzo wartości formalnej i treściowej utwory, zmu-szony przytem obowiązkami stanowiska i przynależnością do obozu konserwatywnego chwalić niejednokrotnie, wbrew przekonaniu, mier-noty i nędzoty, produkowane przez członków stronnictwa, zwłaszcza z pośród duchowieństwa, przywykał do powierzchownego, gładkiego, zręcznego omawiania ocenianych książek, bez wnikania w ich we-wnętrzną, istotną wartość. Przeciwny ze swych upodobań artystycznych wszelkiej tendencyjności w sztuce, chwalił przecie każdą książkę, choćby najlichszą, która głosiła pojęcia i dążenia obozu, któremu słu-żył. Tak np. w obszernym rozbiorze podnosi wysokie zalety słabej bardzo powiastki Manna p. t. »Szara godzina«, a zamilczenie o wa-dach kompozycyi w »Felicycie« Odyńca usprawiedliwia względem na-świętość przedmiotu, którego nie należało profanować przez poddanie wymaganiom artystycznym. Pozbawiony zdolności do syntezy, nieskory do analizy, obojętny dla zasad i teoryi, wrażliwy jedynie na piękno formy, o które tak trudno właśnie w ówczesnej literaturze, unika S. w swych ocenach zdania stanowczego, sądu umotywowanego, nie umie pochwycić zasadniczych cech rozbieganego dzieła. Czytelnika stara się pozyskać przez zręczną, powabną co do języka i stylu pogadankę, nie wymagającą wysiłku umysłowego. Dobry smak stanowi dla niego kryterium sądu estetycznego. Stąd ceni on w dziełach sztuki głównie harmonię i ład, miarę i wdzięk, średnie tony i stopnie uczucia —

głębi i szczytów nie lubi. Odyssea i Horacy odpowiadają najlepiej jego ideałowi artystycznemu. Wielkie dzieła współczesnych wieszczów nie pociągają go wcale, Mickiewiczowi i Krasińskiemu poświęcił tylko pobieżne »Wspomnienie pośmiertne«. Woli on zajmować się drugorzędnymi postaciami z przeszłości i chwili obecnej; strona anegdotyczna ich życia i twórców interesuje go więcej, niż sama twórczość. Ufny w swój dobry smak, zaleca i podnosi w utworach to, co mu się podobało, nie troszcząc się o wyjaśnienie istoty i czynników ukazwanego piękna.

W związku z krótkotrwałą działalnością profesorską S. zostaje ogłoszony później »Przegląd dziejów literatury powszechnej« (Kraków 1855, tom I str. 364), praca niedokończona. Późniejsze studia nad poetami obcymi ogłasza bądź w odbitkach z czasopism jak: »Św. Franciszek z Assyżu« (Przeł. lwow. i odb. Lwów 1873, str. 39), »Mistyka i poezja św. Teresy Hiszpanki« (Kraków 1870, str. 31), bądź w większych zbiorach jak: »Roztrząsania i poglądy literackie« (Poznań 1869, str. 405) mieszczące: »Historję romansu«, »Juliusz Cezar i Szekspir«, »Byron«, a obok tego prace: »Zakon kaznodziejski«, »H. Rzewuski i Bartłomiej Michałowski«. Przekłady poetów starożytnych, wschodnich i włoskich, poprzedzają zwykle obszerniejsze wstępy, charakteryzujące autorów. Prace poświęcone pisarzom polskim dawniejszym i nowszym ukazywały się również w oddzielnych zbiorach, z których najważniejszym są: »Portrety literackie« (Poznań, 4 tomy 1865—1875 — i ponownie w Zbiorze pism). Zaczawszy od Dantyszka, Kromera i Reja, przesuwają się tu zrećźnie i powabnie, lecz bez głębszego i pełniejszego ujęcia naszkicowane wizerunki, zarówno pisarzy jak wybitniejszych osobistości, przeważnie z końca XVIII i pierwszej połowy w. XIX. Morawskiemu Franciszkowi poświęca S. cały tom (pierwotnie w »Przeł. pol.« z r. 1856). Tu również mieści się »Obóz klasyków, ustęp z wyobrażeń literac. w XIX w.« (pierwsze wydanie jako odbitka z »Czasu« Kraków 1866, str. IX, 116). Do lepszych należy wizerunek Trembeckiego. Drugi, wcześniejszy zbiór, mniejszej wartości ukazał się p. t. »Kilka rysów z literatury i społeczeństwa od r. 1848 do 1858« (Warszawa 1859, tom I, str. 406, II str. 439). Mieszczą się tu, między innymi: Deotyma, Wielogłowski, Syrokomla, Odprawa posłów, Felicjan, Pamiętniki Felińskiej, Groza i Padalica, Kajetan Koźmian. Mniejsze zbiory wychodziły jako odbitki z »Czasu« p. t. »Pogadanki literackie« (Kraków 1855, str. 89), »Polne kwiatki« (1871 r. z 19 listop. str. 14). Osobno wydane były: »Żywot Kaz. Brodzińskiego w powiastkach«. (Kraków 1851, str. 120 — przełożył na czeski F. Volsk, Praga 1864). »Religijność i mistyka w życiu i poezjach Ad. Mickiewicza« (Krak. 1871 str. 157). »Wincenty Pol i jego utwory« (Kraków 1873, str. 272). Praca poświęcona Węgierskiemu: »Podróże i pamiętniki« zamieszczona w dodatku do »Czasu« z r. 1850 przedrukowana była w »Wieczornicach« (Wilno 1854 t. I) a »Manu-

skrypt podhorodecki« (Wacław Rzewuski i Emir) w »Muzamerycie« (Pozn. 1843).

Do zakresu historii sztuki i archeologii odnoszą się prace: »Przeгляд wystawy starożytności i sztuki w Krakowie« (odb. z »Czasu« 1858 str. 57), »Kartka z dziejów sztuki i poezji« (Żytomierz 1860, str. 171), »O kobiernictwie i arrasy z kobierca Zyg. Augusta« (»Przeł. pol.« 1875—76). Różnorodne pojawy kulturalne dostarczyły S. osnowy do popularnych, felietonowych pogadanek i obrazków jak np. Ogrody w historii i poezji (Zofiówka głównie), Księżyc w archeologii, poezji, sztuce; Dzwon Zygmunowski i Dzwony; Pióro i pisanie, Słowik, Róża, Starożytne i nowożytne widowiska; Biografia, Pamflet i paszkwil; Dramat historyczny, Niewiasta homeryczna, Album amicorum, (»Przewod. nauk. i liter.« 1877); Wigilia Bożego Narodzenia; Wierszokleta starej daty (Jaksa Marcinkowski). Oprócz wspomnianych już, dla szkół ludowych przeznaczonych wypisów z r. 1848, wydał jeszcze w r. 1860 książeczkę: »Godzina czytania dzieciom ku rozrywce i nauce, ułożył autor Wieczorów w Ojcowie«. (Żytomierz 1860, str. 258). Najtrwalszą wartość w tej obfitej a tak różnorodnej spuściźnie literackiej S. mają jego przekłady, łączące ze starannością i wiernością piętno artyzmu odtwórczego. Na pierwszym miejscu postawić tu należy najwcześniejsze rozpoczęty i najszcześliwiej dokonany całkowity przekład »Odyssei«, jedyny dotąd w naszym piśmiennictwie. Pracę nad tym poematem, przerwana r. 1848 po ogłoszeniu na próbę dwu pieśni, podjął na nowo S. w Krakowie i r. 1856 ogłosił w dodatku do »Czasu« pieśń 22, w której powrócił do formy wiersza 13-zgłoskowego. W dziesięć lat później ukazały się w »Bibl. Ossol.« (z r. 1866 i 69) pieśni: 1, 2 i 4 (z tych 1-a na nowo przełożona wierszem 13-zgłos.). W r. 1871 »Kłosy« warszawskie pomieściły pieśni: 3, 5 i 8. Wreszcie w 1874 r. ukazała się całość epepei, z ilustracyami, wydana w 800 egzemplarzach. Nowe wydanie w »Bibliotece najcenniejszych utworów« (Lewentala) wyszło w Warszawie r. 1876. Kilka późniejszych wydań świadczy o rosnącym, dzięki piękności przekładu, zainteresowaniu się czytelników polskich tą czarującą opowieścią Homera. Zarówno zaznaczone powyżej cechy artyzmu i uczuciowości S. jak prace nad przekładem Rękopisu Królodworskiego i Piosennikiem ludów, uzdolniły go do odczucia i odtworzenia prostoty, spokoju i wdzięku opowieści homerycznej, wypowiedzenia dusz bohaterów, a zwłaszcza nieśmiertelnych, urokiem swoim, postaci kobiecych. Dla wybrednych czytelników, ceniących w »Odyssei« harmonijne zespolenie wdzięku i prostoty, płynących z duszy twórcy, owładniętej czarem tych postaci i obrazów, wpatrującej się w nie z zachwytem artysty-Greka — przekład S. niejednokrotnie obniża ton opowieści, nadając jej charakter gawędy, wprowadzając rysy słowiańsko polskiej kultury przedhistorycznej do obrazów życia helleńskiego. Niepodobna jednak żądać od tłumacza czy kopisty, by zajął względem przedmiotu — w swem odtworzeniu — stanowisko już nie identyczne, ale

choć współmierne ze stosunkiem uczuciowym i wierzeniowym twórcy samego. S. w przekładzie swym zbliżył się — o ile to było możliwe — do pierwowzoru i dla niezających oryginału odtworzył, z możliwą wiernością, ducha i cechy formy oryginału.

Wysoką wartość ma również leżący w skali artyzmu S. przekład częściowy Horacego, ogłoszony w »Bibliot. Warsz.« z r. 1867 (osobno Kraków 1869). Mniej szczęśliwą była próba przekładu Eschylosa (Agamemnon w »Bibl. Warsz.« 1851 t. III). Interesując się literaturą Wschodu, przełożył — nie z oryginału jednak — ustęp z »Szach Nameh« poematu Firdusi'ego, poety perskiego p. t. »Biszem i Menisze« (Bibl. Warsz. 1853 i osobno Warsz. 1855). Zwróciwszy się do poezji włoskiej, przełożył z twórców M. A. Buonarotti'ego 40 sonetów (ze stu) i ogłosił je w r. 1861 (Kraków i Cieszyn). Pod wpływem rosnącej w ostatnich latach życia religijności, której wyrazem była »Legenda liryczna o św. Stanisławie« (odb. z »Czasu« 1870 str. 48), zajął się przekładem poezji mistyków, włoskich i hiszpańskich głównie. W r. 1877 wydał p. t. »Święci poeci. Pieśni mistycznej miłości« (Lwów 1877) przekłady poezji, wizyi i modlitw św. Franciszka z Assyżu, św. Bonawentury, Jacopone de Todi, św. Teresy, św. Jana od Krzyża, Anioła Szlązaka. Wyrazem nastroju religijnego, z jakim kończył swój ziemski zawód, był na niedługi czas przed śmiercią, przypadłą r. 1877, skreślony wiersz: »Komu w drogę, temu czas«. Zwłoki S. zostały złożone na Skałce, w grobach dla zasłużonych krajowi mężów.

BIBLIOGRAFIA.

a) Biografia. Szeroka popularność S. sprawiła, iż zaraz po śmierci pojawiło się kilka biograficzno-krytycznych zarysów jego życia i działalności. St. Tarnowski ogłosił wspomnienie pośmiertne w »Roczniku« Akad. Umiej. za r. 1878 i obszerniejszy zarys w »Przełądzie polskim« (r. 1878 t. III i odbitka 1879 r. oraz w tomie II jego »Rozpraw i sprawozdań«). Zathej H. podał nekrolog w »Przeł. polskim« (1878). Duchińska Seweryna ogłosiła »Wspomnienie pośmiertne« (Kraków 1879), wreszcie gruntowne, trafnie charakteryzujące człowieka i utwory, opracowanie skreślił Adam Bełcikowski (»Bibl. Warsz.« t. III i IV r. 1879 i odbitka Kraków 1879). Ocenę S., jako krytyka, podał Chmielowski w pracy: »Dzieje krytyki literackiej w Polsce« (Warsz. 1902, str. 263—281 i 496—500. Odtąd pojawiła się tylko rozprawka Fr. Walczaka: »L. Siem. i jego stanowisko w literaturze polskiej«. (Spraw. gimn. w Bochni za r. 1899 i odbitka, Kraków). Korespondencyę Siemieńskiego z Gaszyńskim (listy Gaszyńskiego z lat 1851—1866) wydał S. Kossowski (Lwów 1911 r.). Listy Siem. do W. Hanki podał Francew w »Piśma k Wiaczesławu Hankie« (Warsz. 1905); listy do A. Bielowskiego i curriculum vitae (pisane w r. 1834), ogłosiła H. Fischówna w »Pamiętniku literackim« r. 1910.

b) Bibliografia pism. Oprócz ogłoszonych za życia i wymienionych w zarysie biograficznym wydań, po zgonie S. wyszło w Warszawie wydanie zbiorowe w 10 tomach (1881 r.) obejmujące z jego utworów: zbiory opowieści i obrazków zawartych w »Muzame-ricie« i »Wieczornicach« przekłady: Królodworskiego Rękopisu, »Odyssei«, Firdusiego, Horacego, Pieśni mistycznej miłości, Piosennik ludów, Podania i Legendy, poezye oryginalne, Roztrząsania i poglądy literackie, Kilka rysów z literatury i społeczeństwa, Portrety literackie (wraz z Obozem klasyków). Jedynie przekład »Odyssei« miał po śmierci S. trzy wydania (licząc pomieszczone w zbiorze pism), w Warszawie, z tych jedno ozdobne, miniaturowe, w r. 1895.

A) Poezye oryginalne.

a) Trąby w Dnieprze (około r. 1835).

861) Stał obóz polski, stała Ruś w taborze,
A między nimi Bugu święte łoże.
Rusin jedwabne rozpinał namioty,
Pawłoczemi opończmi czerwienił;
Srebrne tam szable i złocene groty:
Obóz Rusinów jak położ się mienił.
Pod gołem niebem, w kozuchu baranim,
Lach obok konia: szczyt i zbroja na nim; —
Twardy ich żywot, jak żywot pokuty,
Chłop, koń i puklerz z jednego ukuty.
W dzień pierwszy głązy miotali kamienne,
W dzień wtóry strzały miotali kalenne;
W dzień trzeci z brzegu Błud obelgi miota
Na króla Lachów:
— Ej ty tuczny wieprze!
Ażac Bug przebrnąć nie bierze ochota,
Kiedy się kusisz wody napić w Dnieprze?
Ażac żal sadła na ruskie pazury?
— Na tu! na! wieprzu! ryknie Ruś, jak tury.
A Błud, czarownik, stroił strachy lepsze,
Zaklął Peruna i wszystkie kumiry,
Bug w mgłach rozkropił, wiatry podniósł cztery;
Rzucił zwierciadło — i woda po pasy;
Iglę na rolę — wstały w okrąg lasy;
Kamień na stepy — i góry na stepie. —
Trafiajże, Lachu, choćbyś miał sto ślepie!

— Żle z nami, wiara! czart nas wziął do koła.
I k'kopijniku król: — Hejno! zawoła.
Włóczń Maurycego i szablą anioła!
Krzyż Pański, imię Chryste i Marya! —
Ciął szablą w zmory, kopią mgłę przebija.
Jak sen o świcie pierzchły precz tumany,
Znów świeci słońce, i Bug płynie szklany.
— Bogarodzico! wiara wpływ, koń łodzią!
Pierwszy król skoczył, a za nim czereda,
Aż rzeka na brzeg bryznęła powodzią,
Tylu w bród poszło. Ruscy popłoch trąbią,
Strach im do szyków i oręży nie da!
Lachy na karku siedzą, kołą, rąbią;
Z martwych, do Bugu, krew wali się rzeką —
Choraławie w piasku; z ciał wstała mogiła;
Pycha butnego w piasek się wtłoczyła,
Pycha Błudowa. A gdzie Błud? — daleko—
Wyprzedza wiatry.

Kniaziu Jarosławie!

Klasnąłeś w ręce po krwawej rozprawie,
Samoczwór szlakiem pędzisz do Kijowa.
Brańce, namioty, skot, sobole, kuny,
Padły zdobyczą, — z grodów biją łuny.
Ba! Kijewowi on pożar dogrzewa,
I sam Nowogród: »Gorze mnie!« zaśpiewa.
— Tam, czy to zorza na dachy opadła?
Czy góra złota siedzi wśród zwierciadła?
Pytają Lachy. — To Kijew, gór trójca
Czteryśta cerkwi dźwiga, pasem z głazu
Biodra mil siedmiu okręca; do razu
Wytrąbi ze sto tysięcy mołojca.
A Lachy na to: — Na głazy i bramy
Mamy buksztele i tarany mamy;
Na sto tysięcy tuły pełne grotu,
Szable toczone, rumaki do lotu.
Stadami kawek czernieją dzwonnice;
Wilk zadnieprzański wyje korowodem —
Dadzibóg datkiem nie darzy, a głodem
Wybija wnuków. Sokół zozulice
Porzucił młode. Synu Włodzimierza!
W mur Nowogrodu niesie cię łódź chyża
Od siostr i żony! — A gdzie dzwon wiecowy?
Za gockie brzegi tyś pociec gotowy!
Unź się, grodzie! pas się twój rozkował,
Pożar złociste stropy pozdejnował..

Zgasteś! — Bolesław konia w skok wypuszcza,
Oburącz mieczem w branę ciął ze złota;
Miecz się wyszczerbił, padły na wznak wrota:
Na twarz bojary, na twarz czarna tłuszcza!
— Chrobryś pan, chrobry! mir, mir ruskiej ziemi!
Chleb, sól i kości świętych! Pawołoką
Szlak ci wymościć; dzwony sofijskiemi
Odzwonim sławę. Ośm dziewic, jak oko,
Siostr Włodzimierza z oprawą, twym plonem.
Stolec Ruryka podeprzem wysoko,
Szeroko stopnie wybijem pokłonem.
Cześć tobie ninie, chrobry po wsze czasy! —
I szedł król, za nim oszczepów szły lasy
W chram świętej Zofii. Pieśń: Bogarodzica!
Wstrzęśta sklep cerkwi; ostrzele i lica
Pokorą pyłu przed ołtarz się miotły,
A wszystkie dzwony dzwonią, huczą kotły.
Żer, żer, sokoły! Król dzieli zdobyczą.
Jezdny czy drabant brał proporce, tuły,
Opończe, resztę grzywnami doliczą.
Skarbiec cerkiewny słał do kapituły
Gnieźnieńskiej, kędy święty Wojciech w grobie.
Sam król nic nie brał, tylko dziewczkę młodą
Z branek książęcych rad podobał sobie
I wiódł do łoża. Brańcom rozciął łyka,
Syny bojarów puszcza na swobodę,
A sobie wybrał Błuda czarownika.
— Nie byłoc, Błudzie, bojować językiem!
Snadz go pan w łaźni ochłoszcze winnikiem,
I da mu ścierkę. — Bies wie, czy nie gorzej,
Może rozerwą końmi na rozdroży?
Tak przebakali dwaj: ciura z łucznikiem.
Tak po Kijewie krzywym tropią torem —
Król wyżej buja niż Diw z białozorem.
Co mi za tuman? Czy to turów stado
Hasa na błoniu? czy to hufce jada?
Co mi tam ciemno na Dniepru błękiecie?
Czy wodni goście? Wstałże Igor stary
Zbierać nomady na latyńskie cary?
Czy po raz wtóry Ruś pogańską chrzcicie?
— Ni Ruś to chrzcimy, ni z Igorem płyną,
Jeno król Lachów ze zbroją drużyną
Wjechał na zalew dniewowy w półkręże.
— Tu kres! — grzmiał piersią. — Tu kres! —
Tu słup żelazny! — Gdzie koń wrył kopyty,
Koł Bolesława, słup żelazny wbity.

Na środek rzeki Łódź wyгнаły wiosła.
Błud płynął w łodzi; cisza się podniosła,
Dziw będzie. Z łodzi wielkie trąby cztery
Dźwignięto, jako słupy chramu w Retrze,
I zatopiono razem w Dniepru wiry.
Podwodną pieśnią zagrało powietrze.
Taką czcil Bojan pieśnią bohaterzy,
Gdy wieszczym palcem bił o struny żywe,
Rusalki pieśń tę po szuwarach wtórzają,
A białą pianę chwyciwszy za grzywę,
Na Czarne morze pławią się; a z burzą
I wendzka Odra, i morze Waregów
Pieśnią tą grały gwoli lackich brzegów.
Sam Lach, a nie kto, tę gęźbę rozumie.
Lud ją podziwiał, a król rzekł: — Hej! kumie
Błudzie! rzeka gra darmo, żeru głodna.
I wnet z kamieniem Błud pornął aż do dna!
Błuda bies porwał. Stoi słup, a rzeka
Chrobrego sławą gra z wieka do wieka.

b) Zaklęte koło.

862) Wędrowiec śpiewa, gdy go podróż nudzi —
I żeglarz śpiewa na wezbranej fali;
Biedny wyrobnik z piosenką się budzi,
Żołnierz ponuca, oparty na stali,
Kochanek pieśnią łzę z oczu wyłudzi —
Skarży się drzewom i wiatrom się żali.
Mnie, choć te wszystkie dokuczają bole,
Nie mogę śpiewać w tem zaklętym kole!
Ptaszki codziennie, kiedy wstają zorze,
Wdzięcznemi chóry gwiazdę dnia witają, —
A mnież co słońce najwyższe pomoże,
Gdy zewsząd takie chmury naciskają?
Darmo! choć palce na struny położę,
Brzękną raz dziko i wnet się zrywają...
Kiedyż w harmonię przerodzą się bole,
Kiedy zaśpiewam w tem zaklętym kole?
Niegdyś, gdym wierzył w gorączkowe szały,
Bywał dla pieśni tajemny zakątek,
Zwodnicze życia wokoło mię grały,
I napowietrzny wił się jakoś watek.

Dziś one postać szatanów przybrały,
Burzących świata nowego początek;
Zewsząd czyścowe dojmują mi bole —
Jakże zaśpiewać w tem zaklętym kole?

Baśń o łabędziu chodzi dawnej treści,
Że pieniem zgonu zwiastuje zbliżenie;
I tak dźwiękami srogą śmierć rozpieści,
I zlekka w wieczne przenosi go cienie.
U mnie, tu w głębi, aż tyle boleści!
Zaśpiewam — może śmierć przyjdzie na pienie..
Darmo! choć jakaś myśl siedzi tu w czole,
Nie mogę śpiewać w tem zaklętym kole.

863)

c) Komu w drogę, temu czas.

Wdzięczne dnia światło, niebios wydęty błękanie,
Gwiazd stada z swoim pasterzem — księżycem!
Tyle już, tyle lat na mnie patrzycie

Wesołem lub chmurnem licem!

Jutro już może nie powitam was:

Komu w drogę — temu czas!

Pieśni słowicze, ptaków powietrzne chorały,

Boru szumy mistyczne w nocną ciszę,

Śpiewne jeziora, mrużące kryształę,

Rozmyślań mych towarzysze!

Jutro już może nie usłyszę was:

Komu w drogę — temu czas!

Wonnych balsamów z czeremch, bzów, wiśni, jabłoni

Majowy wietrzyk dla mnie nie pozbiera,

Ni tchnień żywicznych od lasów nagoni,

I róż mi nie pootwiera.

Jutro nie przyjdę piersią chwycić was:

Komu w drogę — temu czas!

Wy uskrzydłone duchy, z dłótem, pendzlem, piórem,

Coście od ziemi rwali mię do siebie,

Zem się nie toczył po niej suchym wiórem,

A częściej chodził po niebie!

W górnej pracowni ducha spotkam was:

Komu w drogę — temu czas!

O złote myśli, w pasmo powplatane zgrzebne,

Marzenia wieszczą, zapalu ekstazy!

Życia mirażę już mi niepotrzebne,

Rzeczywistsza milion razy

Jutro mię wieczność oddzieli od was:

Komu w drogę — temu czas!

O mgły fantazyi! z gliny waszej gdy lepiłem,
Twórca był ze mnie — twórczość to nieplodna;

Bo choć z waszego źródła ciągle piłem,

Nigdy nie dopił się do dna.

Bezsilne... więcej grób powie od was.

Komu w drogę — temu czas!

Snem wszystko! Mleczną drogą, z gwiazd wybudowaną,

Pójdę ku słońcom, w przestwory szafiru,

Gdzie czysta prawda będzie mi podaną

Wykuta, jakby z porfiru.

Żal mi serc kilku... moi! żal mi was...

Komu w drogę — temu czas!

B) Przekłady.

a) Odyssea.

Pieśń VI.

864) Nauzykaa, córka króla Feaków. Atene jej każe w sennem widzeniu jechać nad morze do pralni. Odyssej, zbudzony krzykiem dziewcząt Nauzykai, pokazuje się i błaga o pomoc. Królowna każe go wykąpać, odziać, i towarzyszyć sobie do miasta.

Usypiał boski tułacz Odyss; sen już spada

Twardy na złamanego trudem. Wraz Pallada

Idzie w grodziec Feaków, leżący precz dalej.

Przedtem oni w szerokiej Hiperyi mieszkali,

Gdzie, wojenne Kiklopy mając za sąsiady,

Wciąż nękanych, od pewnej ratując zagłady,

Wywiódł ich Nausitoos on, bogom podobny,

I osadził na Scheryi, kędy kraj zasobny,

A od ludzi daleki; miasto zamknął w tyny;

Zbudował domy, chramy, grunt rozdał na gminy.

Lecz Kerą zwalon, zstąpił w Aisa podziemie...

Dziś mądry król Alkinoj wziął w rządy to plemię.

Zatem Pallas-Atene w jego dworzec dąży,

A powrót Odysseja na myśli jej ciąży.

Szła prosto; do panieńskich komnat się przemyka,

Gdzie córka Alkinoja śpi, piękna Nauzyka,

Boginiom równa wzrostem, a wdzięczna jak one.

Niepośledniej urody dwie dziewy uspione

Leżały tam przy odrzwiach błyszczących podwoi.
Pallas, jak lekki powiew, do łóżka dziewoi
Przemknie się, do głów schyli, coś do niej przygwarza,
Wziąwszy na się kształt córki Dymasa żeglarza,
Druchny jej najmilejszej i jej równolatki —
I mówiła Bogini, owiana w kształt gładki:

— »Oj, Nauzyko! toż z ciebie leniuszek nielada!
Drogie szatki, bielizna, precz brudem przepada,
A wesele za pasem! Miejże co pięknego
Dla družek, co-ć powiodą do pana młodego,
A i dla się. — Bo zwykle strój czysty u ludzi
Zyszcze imię, w rodzicach ucieszenie budzi.
Dalej zatem do prania! wyprzedź ranne zorze!
By raźniej poszła praca, każda ci pomoże:
Ja pierwsza. Raj paniński się kończy: wszak* swaty
O ciebie już zachodzą od młodzi bogatej
I przedniejszej; bo przecież ród twój niepośledni!
Nuże! poproś rodzica pierw, nim się rozedni,
Aby ci kazał muły zaprządz w wóz drabiaty.
Nałożysz nań sukienki, przepaski, makaty;
Jechać będzie wygodniej: pieszo, zbolą nogi;
Przecież pralnie od miasta taki kawał drogi«.

To powiedziawszy, Pallas sowiooka wraca
Znowu na szczyt Olimpu, do bogów pałaca,
Gdzie nigdy burza nie grzmi, deszcz ścian nie obija,
Śnieżna zamieć nie prószy; tylko się przewija
Nieustanna pogoda, ni to namiot lity.

Tam bogom raj wesela płynie niepożyty;
Tam wróciła Atene, napomniawszy śpiącą.

Wstała jutrznia, kotarą swą złotem kapiącą
Budząc Nauzykę. Panna swoim snom się dziwi,
Prędko z komnat do komnat bieży, by co żywiej
Rodzicom opowiedzieć. Zastała rodzice:

Matka przy ogniu siedzi, wkoło służebnice —
I lekuchnem wrzecionem krasną wełnę skręca;
Z ojcem zbiegła się w progu; właśnie go książęca
Walna rada wzywała, i szedł zasiąść w radzie;
Zabiegła mu i w uszy taką prośbę kładzie:

— »Dobry tato, każ dla mnie zaprządz wóz, a długi,
Z wartkami koły; pilno mi jechać do strugi
Prac bieliznę; bo tyle już jej się zebrało!
Wszak i tobie przystoi bieliznę mieć białą,
Gdy siadasz w zgromadzeniu dostojnych Feaków.
Wszak i doma jest pięciu dorodnych junaków:
Dwóch żonatyh, trzech jeszcze chłopiąt już niemałych,
Twych synów; ci chcą zawsze chodzić w szatach białych

Na płasy, — a wszystkiemu radź tu moja główko!«
Tak mówiła, a wtrącić wstydno jej by słówko
O weselu. Lecz ojciec domyślił się tego
I rzekł: — »Nie bronię-ć, córko, ni mułów, ni czego;
Natychmiast niech parobcy wóz zaprzęgą mułmi,
Wysoki, wyplatany, i z wartkiami kółmi«.

To rzekłszy, krzyknął; czeladź przyskoczyła żwawo:
Wóz koleśny wytoczony stoi przed wystawą;
Wiodą muły; zaprzężna idzie w dyszel para.
Nauzykaa z komory znosi co niemiara
Cienkich szat i bielizny; wóz naładowywa;
Matka zaś pełny koszyk smacznego pieczywa
I jarzynek tka w rękę; była i łagiewka
Skórzana z winem w drogę (na wóz siadła dziewczka);
O dzbanuszkę z oliwą matka też pamięta,
By, wyszedłszy z kąpieli, ona i dziewczęta
Miały czem się namaścić. Ot! już wzięła wodze,
Biczem klasła w powietrzu. Z turkotem po drodze
Pokłusowały muły, ciągnąc ciężar z panią:
Wždy nie samą, i dziewczki siedziały tuż za nią.

Owóz gdy przyjechały nad brzeg ślicznej rzeki,
Gdzie w cembrzyny kamienne sączą się poniki
Wód nieprzebranych, miejsca dla praczek wygodne;
Prędko muły wyprzegą i puszcza swobodne
Na paszę w słodką trawę, co z taką rozkoszą
Wyścieła brzegi rzeki. Potem z woza znoszą
Bieliznę i po sztuce w ocembrzone wody
Kładą, depcąc nogami, piorą na wyprzody.
Wyplukawszy do plamki wszystko, jak należy,
Rozpościerają rzędem, wzdłuż ciepłych wybrzeży,
Nad morzem, kędy fale gładki żwirek ścielą.
Skończywszy, — wraz się chłodzą zdroistą kąpielą,
Oliwą maszczą członki, potem na trawniku
Siadają do smacznej strawy, a szatki w wietrzyku
Niech schną tymczasem. Gdy tak spożyli łakotki,
Staną do piłki, z głowy odrzuca namiotki;
Pustującym piosenkę zaśpiewa królowna.
Rzekłbyś, że z Artemidą łowczynią pokrewna,
Co przez bór Erymantu, lub Tajget uganiana,
Rada, gdy z rąk jej padnie odyniec lub łania;
A nimfy, pół mieszkanki, pod pani swej bokiem
Pustują wkoło. Leto cieszy się widokiem,
Że nad wszystkie celuje wzrostem i obliczem,
I snadno poznać, czem jest w orszaku dziewiczym.
Owo tak rej wśród swoich królowna prowadzi.
Lecz kiedy o powrocie do dom już coś radzi,

Zaprzęga muły, suche już składa odzież,
Wtedy Pallas-Atene na sposób się bierze,
By Odyssej się zbudził, zobaczył dziewicę
I przez nią był wprowadzon w Feaków stolicę.
Więc ku dziewczkom rzucona piłka z rąk Nauzyki
Leci, cel swój omija i pada w głąb rzeki,
A one w śmiech i wrzaski. Odyss ze snu rwie się,
Usiadł — strwożone serce te myśli mu niesie:

— »Biada mi, do jakichże dostałem się krajów?

Między dzicz nieochajną, czy kupę hultajów?

Bodaj między gościnny lud, do cnót nałożon!

A toż co za niewieści wrzask? niby dziwożon,

Co rade zamieszkują skał wierzchy wyniosłe

I źródła rzek i łągi, trawami zarosłe.

Blisko gdzieś tu żyć muszą mówiące istoty:

Dalej, zobaczmyż tedy, skąd one chychoty?«

To powiedziawszy, Odyss wypełznął na raku

Z gęstwi, silną prawicą z najgrubszego krzaku

Liściastą gałąź udarł, by nią okryć ciało.

I tak sunął, jak górski lew, kiedy zuchwało

Kroczy w deszcz, zawieruchę; we łbie gorą ślepie,

Aż przydybie gdzie bydło, trzodę owiec w stepie,

Albo w boru jelenia; a gdy głód doskwiera,

Dusić drobną chudobę do obór się wdziera.

Otóż tak szedł Odyssej ku pannom; nie żeby

Nie zważał na swą nagość, ale szedł z potrzeby.

Straszny im zdał się, morskiem owalany błotem;

Widząc go wszystkie w nogi, i na wzgórek potem;

Jedna Nauzyka stoi. — Atene jej tchnęła

Męską odwagę w duszę, członkom strach odjęła.

Nie rusza się i czeka. Odyssej sam nie wie,

Czy ma paść do nóg wdzięcznie patrzącej nań dziewie,

Czyli, jak stał, zdaleka wznieść prośbę pochlebną

O pokazanie drogi i odzież potrzebną?

Ta myśl, w ciężkim kłopotcie, przyszła mu wybornie;

Więc, jako był zdaleka, pochlebnie, pokornie

Błagał o przebaczenie, aż do nóg jej padnie;

I zaczął rzecz swą prawić mądrze i układnie:

— »Błagam cię, czyś jest bóstwem, czy panną śmiertelną!

Jeśliś jedną z tych bogiń w niebiesiech udzielną,

Tedy zdasz mi się córą wielkiego Kroniona,

Z Artemidy kibicią i wzrostem jak ona.

A jeśliś jest śmiertelną mieszkanką padolu,

Błogosławiony ojciec z twą matką pospołu,

Błogosławieni bracia! Jakże im gdzieś rośnie

Serce przy tobie! jak się rozplywa radośnie,

Gdy w skocznym korowodzie ujrzą twoją postać
Lecz szczęściu oblubieńca cóż mogłoby sprostać,
Jeśli za hojne wiano zawiezie cię do dom?
Różnym ja się, przeróżnym napatrzył narodom,
A równej nie znam tobie. Cześć i podziw razem!
Niegdyś widziałem w Delos, przed żertwiennym głazem
Feba latorośl palmy: jak ty, w górę strzela —
Bom się i tam zapędził także, z ludu wiela
W tej tułaczce, gdzie zbieram same łzy i znoje, —
I stałem w podziwieniu przed nią, jak tu stoję.
Ziemia nigdzie też palmy nie wydała takiej!
Owoż równe zdumienie i podziw jednaki
Ima mię, gdy ci objąć ze czcią chcę kolana!
Tak wielka moja nędza, iście niesłychana...
Wczoraj po dniach dwudziestu jam z morzem się rozstał,
Dni bowiem tyle rwał mię prąd, a wicher chłostał
Wciąż od wyspy Ogigii, aż z demoniej psoty
Wyrzuconym jest tutaj na nowe kłopoty.
Dużo jeszcze mam cierpieć, dużo, z bogów woli!
A choć ty się ulituj! Po długiej niedoli
Ciebie pierwszą spotykam; wszak i duszy żywej
Nie znam, zamieszkującej ten gród i te niwy.
Wskaż mi drogę do miasta; okryj nagie ciało,
Choćby płachtą z bielizny; i toby się zdało,
A bogi cię najmiłszą opatrzą nagrodą:
Dadząć męża i domek, przenajświętszą zgodą
Pobłogosławią! Skarb to najcenniejszy w świecie,
Gdy małżonka z małżonką zgodna miłość splecie,
Duch jeden włada domem; wróg na to się krzywi,
Cieszą drухy! a oni nad wszystkich szczęśliwi!«
Białoramienna panna w te ozwie się słowa:
— »Widno, żeś człek niepodły, ani miałka głowa.
Darmo! woli Zewsowej nikt się nie wybiega,
I czy pan, czy chudzina, losowi podlega.
Od niego padł i tobie; znoś z pokorą brzemię,
A teraz kiedyś nogą wstąpił w nasze ziemie,
Okryjem cię, niczego-ć nie będzie brakować,
Co tylko obcy tułacz może potrzebować.
Do miasta wskażę drogę, dam ludu nazwisko:
My Feaki, tę ziemię zamieszkujęm wszystką:
Jam córka Alkinoja; wyższego tu niema:
On władzy i potęgi w ręku berło trzyma!«
To rzekła i na dziewczki zawoła z daleka:
— »Stójcie już, stójcie! za cóż uciekać od człeka?
Czy myślicie, że do nas jako wróg przychodzi?
Zaprawdę, nie urodził się, ani urodzi

Taki, coby nieprzyjaźń wniósł do naszych progów
I spokój zmieszał. Wszak my, kochani od bogów,
Siedzimy na odludziu, w krąg morzem oblani,
Prawie na krańcu świata, nikomu nie znani.
Ugościć raczej trzeba przybysza, gdy bieda
Aż tu go zapędziła. Wszak dziećmi Kronida
Są tułacze. Dar mały często uszczęśliwi.
Sam tu, dziewczeczki! gość nasz niechaj się pożywi;
I wykąpać go trzeba w rzece, gdzie zaciszna«.

Na jej głos dziewczki wrócą i idą z niepyszna
Prowadzić Odysseja w cienisty brzeg rzeki,
Posłuszne rozkazaniu swej pani, Nauzyki.
Więc chiton przygotowują i inne sukienki;
W złotej bańce oliwy podadzą też miękkiej
I każą do kąpieli iść mu kryształowej.

Na to rzecze Odyszej: — »Miłe białogłowy,
Ustąpcie kęs na stronę; sam sobie poradzę.
Z barków sól spłuczę, ciało oliwą wygładzę;
O bo też dawno takiej wygodki pragnąłem.
Lecz się kąpać nie mogę przy was żadnem czołem;
Moja nagość mię wstydzi przed płcią pięknowłosa«.
To rzekł, — one ustąpią i pani doniosą.
Boski tułacz obmywa sól morską w strumieniu,
Na grzbiecie, na obojem przysechłą ramieniu;
Ze skroni gęsty namuł zgarnia do ostatka;
A gdy po łaźni przyszła oliwa nań gładka,
Wdział szatki, w podarunku od panny mu dane;
I wraz Pallas-Atene — cudō niesłychane! —
Wzrost mu daje i młodość; bujny kędzior z głowy
Rozsypie mu na barki, by kwiat hyacyncowy.
A jako cienkiem złotem srebro się obleka
W ręku ucznia Hefajsta, umnego złotnika,
Co z kruszcu tworzy dziwy, — w takie same czary
Obleka go boginia, i, piękny bez miary,
Poszedł nad brzeg nadmorski i siadł w swojej krasie.
Ujrzawszy go, królowna wielce zdziwiła się;
Więc po cichutku prawi do drużyny swojej:
— Słuchajcie no, dziewczęta! tak mi się coś roi,
Że nie wszystkich on bogów gniewem obarczony,
Kiedy w błogosławione nasze zabiegł strony.
Z początku zdawał mi się człowiek dość codzienny,
A teraz, jak bóg który, niebianin promienny.
O, gdyby mi się trafił mąż, coby mu sprostął
Z młodzi naszej!... lub gdyby on sam moim został!...
Ależ jadło, napitek co tchu mu zanieście!«

Na rozkaz pani żwawo kopną się niewieście:

Niosą jadło i napój zastawiają przed nim;
A Odyszej zajadał i pił z niepośledniem
Łakomstwem, bo nic w ustach nie miał już oddawna.

Teraz Nauzyka inną robotą zabawna.

Włożyła na wóz szatki, poskładane zręcznie;
Ochocze muły w dyszel zaprzęła i wdzięcznie
Zachęca Odysseja i z wozu tak prawi:

— »Cudzoziemcze, ku miastu zbieraj się, a żwawiej!
Zawiodę cię do dworu, gdzie ojciec mój stary;
Tam poznasz i przedniejsze feackie bojary.
Acz sam zdasz się roztropny, przyjm rady ostrożne:
Póki szlak idzie polem, między łany zbożne,
Póty, razem z dziewczkami, pospiesznym pochodem
Będziecie szli za wozem; ja pojedę przodem.
Lecz kiedy wjedziem w gród nasz, tynem ogrodzony,
Znajdziesz przystań wyborną, z obojej tam strony
Wąskiej grobli; koraby, na warsztatach swoich
Leżąc tam, zawalają drogę z stron oboich.
Jest też, przy Posejdona chramie, plac szeroki,
Wymoszczony płytami ciosanej opoki,
Gdzie się przysposabiają we wszystko okręty,
W płótno żaglowe, w liny, wiosła, inne sprzęty.
U Feaków łuk, kołczan, nie na wiele służy;
Za to maszty i wiosła, korab do podróży —
W to im graj! to ich duma mknąć po modrej fali!
Lecz przytem są złośliwi, pewnieby wyśmiali
Gdzie nas z boku; u gminu nie trudno o baśnie, —
I widząc nas, zły język mógłby mówić właśnie:
— »Jakiż obok Nauzyki przybylec się kręci?
Skąd go wzięła? Oj, z tego coś się nam wyświęci!
Czy nie okręt zaniesion do brzegu tu jaki
Nam go przyniósł? Wszak goście u nas rzadkie ptaki!
Pewniej to bożek który zeszedł, na wezwanie
Modłów jej, aż tam z nieba i przy niej zostanie.
Najpewniej, że gdzieś sama jeździła daleko
I znalazła małżonka: boć wiemy, jak lekko
Waży sobie zaloty feackich paniątek!«
Takby ludzie gadali; pozór daje wątek
Do obmów; i ja sama zganiłabym w innej,
Gdyby się z uległości rodzicom powinnej
Wyłamawszy, przed ślubem z mężczyzną zadała.
Lecz słuchaj mojej rady: chcesz by się udała,
I ojciec mój w ojczyste odprawił cię progi. —
Gdy więc gaj topolowy ujrzysz podle drogi,
Poświęcony Atenie, — w gaju strumyk dzwoni,
Niżej futor i sady ojcowskie wśród błoni, —

A stamtąd już do miasta nie dalej nad staję —
Tam więc usiądź, gdzie miły chłodek ronią gaje,
I czekaj, póki w mieście i domu nie staniem.
Lecz skoro drogę naszą wymierzysz czekaniem,
Pośpieszaj w gród Feaków i pytaj — rzecz twoja —
O mieszkanie mojego ojca Alkinoja.

A nietrudno ci będzie; lada żak najmniejszy
Wskaże ci, bo z feackich dworów najpyszniejszy
Dwór mego ojca, nawet różni się w strukturze.
A gdy się tam dostaniesz i wnijdiesz w podwórze,
Przebiegniesz wielką izbę; dalej masz na stronie
Komnatę mojej matki; przed nią ogień płonie:
Ona kręcąc wrzeczono z purpurową wełną,
Siedzi o słup oparta; przy niej kobiet pełno.
Tam również i mój ojciec, przed ciepłym kominem,
Siedzi jak bóg na tronie i krzepi się winem.
Tego pomiń, wprost tylko matce do nóg padnij;
Jeśli chcesz dnia powrotu doczekać się snadniej,
Choćbyś na końcu świata gdzie mieszkał najdalej;
Bo skoro ona nędzy twojej się uzali,
Bądź pewien z przyjaciół mieć prędką uciechę,
Witać pola rodzinne i ojczystą strzechę.

Tak mówiła królowa i nagli do biegu
Muły błyszczącym biczem. Więc od rzeki brzegu
Kopnęły zrazu kłusem, potem mniej się spieszą,
By zaś Odyss z dziewczkami mógł nadażyć pieszo,
Toczy się wóz ni prędko, ni nadto powoli.
Słońce już gasło, kiedy do gaju topoli
Przybyli — więc Odyszej usiadł w świętym gaju;
Nuż modlić się Atenie, jak to miał w zwyczaju:

— »Choć raz usłysz mię, córo Diosa wszechwładna!
Nie wysłuchana jeszcze z gorących próśb żadna,
Odkąd na ląd mię cisnął groźny Burzywoda.
Spraw, spraw, niechaj feacki lud rękę mi poda!«
Tak się modlił. Atene słyszy skargi rzewne,
Lecz się mu nie objawia; boi się zapewne
Brata swojego ojca. Gniewu on nie złoży,
Aż póki w dom nie wróci Odyszej nasz boży.

b) Glossa św. Teresy.

*Vivo sin vir en mi,
Y tan alta vida espero,
Que muero, porque no muero.*

865)

Żyję, nie żyjąc w sobie,
W wyższe się życie wydzieram,
Z nieumierania umieram.

Miłością z Bogiem złączona,
Cała w Panu moim żyję,
On jeńcem mojego łona,
Swobodniej serce mi bije.

Lecz Boga trzymać w niewoli
Uczucie moje się wzbrania.
To boli, ach srodze boli,
Umierać z nieumierania.

O jakże długie to życie,
A to wygnanie jak męczy!
Kiedyż się męki skończycie?
Kto mię rozkuje z obręczy?
Czytam już w moim wyroku
Nierychły koniec wygnania.
Miecz srogi tkwi w moim boku..
Umieram z nieumierania.

Żywot mam struty goryczą,
Bo Ciebie nie mam, o Panie!
Choć miłość poi słodyczą,
Zabija oczekiwanie.
O Boże! zdejm ze mnie brzemię,
Co mię w tę turmę pochłania —
Błagam! wydobądźże mię,
Bo umrę z nieumierania.

Że wytrwam w próbie wygnańczej,
Słodką nadzieja mię krzepi,
Że śmierć mi życie wyniańczy
I z życiem złączy mię lepiej.
O śmierci! dawczyni życia,
Staw się na moje wołania:
W chwili twojego przybycia
Wraz umrę z nieumierania.

Nie żyję już sama w sobie,
A żyć bez Boga nie mogę;
Cóż z sobą bez Niego zrobię,
Jak życia przebędę drogę?

Sto śmierci na mnie tu czyha;
Od zguby nic nie zasłania,
A choć się życie uśmiecha,
Umieram z nieumierania.

Ten żywot, który tu sącę,
Życia się ujmą nazywa —
I nim się z Tobą połączę,
Jam ciągle jakby nieżywa.
O Boże! usłysz, gdy wołam
Od zmroku aż do świtania;
Zniszcz mię, życie we mnie połam,
Niech umrę z nieumierania.

Patrz na tę miłość szaloną,
O życie! przestań mi ciężyc —
Bo chcąc być z Tobą złączoną,
Pierwej się trzeba zwyciężyć.
O śmierci! o słodki gończe!
Przyspiesz chwilę rozwiązania,
Niech raz już ze światem skończę
I umrę z nieumierania.

Tylko w nadziemskim tam świecie
Wita nas życie prawdziwe,
Dopóki śmierć nas nie zmiecie,
Znamy rozkosze wątpliwe.
Śmierci! niech żaden z twych ciosów
Mej głowy już nie ochrania!
Grób jest przedsionkiem niebiosów...
Umieram z nieumierania...

Czemże odpłacę Ci, Boże!
Coś w piersi zamieszkał mojej?
Życie Ci oddam w pokorze,
Ta strata z Tobą mię spoi.
A że tylko przez śmierć mogę
Zdobyć ten przedmiot wdychania,
Więc się wydzieram w tę drogę,
Umieram z nieumierania.

I cóż po życiu skazanej!
Życ tak od Ciebie daleko?!
Takie życie, to kajdany,
To trumny gniotące wieko.
Już się i sama lituję
Mękom długiego konania —
Gdy niebo mąk mych nie czuje,
Umieram z nieumierania.

C) Portrety literackie.

Stanisław Trembecki.

(Podajemy tu rozdział IV).

866) Podobnie jak Horacy, Trembecki zjawia się w nowym rzeczy porządku. Ostatni wysiłek starej Republiki, konfederacya barska, sprowadzająca katastrofę zaboru, nie ma dla niego takich wspomnień, jak dla rzymskiego poety miały ostatnie zapasy republikańskie ze wznoszącym się cezaryzmem; stąd całą duszą przystaje do Stanisława Augusta, potrzebującego być otoczonym przez ludzi światłych i dobrej woli, i nie targuje się z nim zapewne o swoją niezawisłość, ale mu ją poświęca jak doświadczonemu sternikowi, co osiadły na mieliźnie statek ma wyprowadzić na pełne, choć namiętnościami rozhuwane morze... Pokładając nieograniczoną ufność w jego mądrości i sercu, chce, aby mu cały naród tak samo ufał. Tę swoją wiarę i przekonanie przelewa w te przepyszne wiersze, rzeźbione wzorem antyku, na tle dzisiejszej myśli, i rzuca je publiczności, aby *mobilium turba Quiritium* opamiętała się i poznała szczerą intencye monarchy. Są one jakby dzisiejsze broszury, wychodzące u Dentu i tłumaczące myśl imperyalistowską. Rymowana ich forma zareczala im pewniejszą popularność, niż gdyby się pojawiały w suchej prozie dogmatycznych traktatów o monarchii; za Poniatowskiego bowiem, jak za Cezara Augusta, grasowała gorączka pisania i recytowania wierszy:

...Puerique patresque severi

Fronde comas vincti coenant et carmina dictant.

Trembecki był więc organem królewskim w ścisłym słowa znaczeniu. Dymy kadzidel, któremi, jak obłokiem, otaczał tron Stanisława, zarywały często na przesadę, defigurowały prawdę, dając jej niewłaściwe rozmiary, lecz były to reminiscencye panegirycznego stylu, a po części i grzech, od jakiego żadne stronnictwo nie jest wolne.

Wiersz na dzień 7 września, w rocznicę koronacyi Stanisława Augusta, rozpoczyna szereg tej apologii. Widać, że poeta obawia się, czy jego słowu uwierzą, czy go nie nazwą bajarzem,

kiedy na początku wzywa bóstwa Prawdy, aby kierowało jego piórem. Rzeczywiście, wśród umysłów rozgorączkowanych tak świeżą wojną domową i świeższym jeszcze faktem pierwszego podziału, potrzebna była ta pomoc, aby przygotować źle uprzedzonych do słuchania wymownej obrony. Nie wchodzi on *in medias res*, jakby tego żądać można po publicyście, lecz bierze Poniatowskiego od kolebki i znaczy go piętnem wysokich przeznaczeń.

Skłonności jego pierwsze i wiek nader młody
Wydały w nim do berła zdatności dowody,
Czuł swe losy wspaniałe i zaraz z pieluszek
Wyższe zabawki kochał świeży geniuszek.

Cwiczenia się w językach, podróże, funkcyje dyplomatyczne przygotowywały go do berła, tem więcej, że:

Wuj prowadził, którego w polityków kole
Kładą między Ryszeli i między Walpole.

Wyniesiony wolą narodu na króla, zajął się leczeniem ran w schorzałem ciele Rzeczypospolitej. O porwaniu senatorów, wybuchu konfederacyi barskiej, ani słowa; zato rozwodzi się nad zamachem spiskowych w nocy 3-go listopada i dość komicznie przedstawia uwięzienie króla:

...wleczony po błocie,
Z jedną nogą w trzewiku, drugą nie w swym bocie.

Wiersz ten trywialnością swoją tworzy taką dysharmonię w całości, nastrojonej na wysoki ton, że śmiałym go uważać za dopisany przez kogoś innego dla sparodyowania tej apoteozy niemiłego mu króla.

August przebacza swoim porywcom. Dziwna rzecz, poeta nagania mu zbytnią łaskawość:

...Gdy jej bardzo wiele,
Zwykła czasem okropne ośmielać Kromwele.

Naganiano Horacemu, że przez pochlebstwo dla Cezara Augusta, nieprzychylnego imperyalizmowi Antystesa Labeona, znakomitego prawnika, nazywa szaleńcem:

...Labeone insanior inter
Sanos dicatur.

Trembecki w gorliwości swojej idzie dalej i wyrzuca królowi zbytnią dla buntowników pobłażliwość:

Jak nie miały brać rogów buntownicze duchy,
Gdyś uprzedzał odpustem, nie czekając skruchy?

Czuł on potrzebę żelaznej ręki, chciał, żeby energia kary wypływała z energii żelaznych postanowień, ale król był chwiejnego umysłu i zawsze w kolizyi. Miałże karać konfederatów, że chcieli kraj wyswobodzić z pod wpływu Moskwy? Polityka jego, zasadzająca się na temporyzowaniu z opiekuńczym mocarstwem, obierała zawsze pośrednią drogę, noszącą znamię słabości. Ale Trembecki umie i to obrócić na jego korzyść, i aby upięknąć portret powiada:

Jedno miał takie serce Bóg, drugie dał tobie.

Bijąc na potwarz, obwiniającą króla o uległość mocniejszym sąsiadom, wyprowadza łańcuch przyczyn ze złej polityki lub słabości poprzednich królów. Przepyszny to ustęp, wielkimi rysami historyka malujący koleje upadku Rzeczypospolitej, a kończący się wymownym argumentem:

Gdyś Polsko, sił, ni rady, ni dostatków miała,
Nie dziw, żeś uszkodzona, — dziw, żeś kiedyś stała.

Rezygnację, wśród tej konieczności politycznej, łagodzi nadzieją, że August, to co jest, uchroni od upadku i zagłady; wpada nawet w prorocze natchnienie, widzi dziedziczną dynastję, króla piastującego prawnuków, których uczy »trudnej królowania sztuki«.

Ten wiersz, wyglądający na program, możnaby odnieść do roku 1773; przebija w nim bowiem wiele goryczy i oburzenia, jak to się dzieje zazwyczaj po politycznych katastrofach. Zapewne nie podobał się on w przeciwnym obozie, z tem wszystkim fakty przywalające smutną rzeczywistością, przeciw którym niepodobna było zasłaniać się patryotycznymi intencjami, kazały chwycić się tej drogi, jaką Trembecki wskazywał, i umyślnym nagłym zwrotem zaczęły skłaniać się do króla.

Tę zmianę widać już w późniejszym o lat kilka liście do Stanisława Augusta powracającego z podróży wołyńskiej. Celem podróży był Wiśniowiec, rezydencja Mniszchów, dokąd w roku

1781 jeździł dla widzenia się z hrabią du Nord czyli wielkim księciem Pawłem, następcą rosyjskiego tronu. Poeta i tu hojną ręką sypie kadzidła uwielbień dla pana, atoli o wiele w nich umiarkowańszy; znać, że opozycya mniejsza, tron czuje się silniejszym, a król używa popularności.

Poczwały już zapadły, czarna potwarz znikła,
Ojczyzna cię poznała i kochać przywykła.

Ubezpieczony co do głównego punktu, widzi już ład i rządność, nauki krzewiące się, zgola zdobycze wewnętrznej pracy, a byle kraj kierował się roztropnością, to nawet złych sąsiadów może zrobić sprawiedliwymi dla siebie. Tu nawija mu się nader szczęśliwe porównanie: słabości i bezbronności Polski do pierwszego człowieka, stojącego w bezbronnej nagocie pośród silniejszych od niego potworów i zwierząt.

Zdawało się, że postać najprzód zginie nasza:
Lew ją kłem, słoń ogromem, wół rogiem przestrasza.
Słabszy zwierz, ale który wziął roztropność w podział,
Zjadł wołu, wsiadł na słonia, lwia skórą się odział.

W tym malowniczym obrazie rozumnej walki, w tem zwycięstwie siły ducha nad siłą fizyczną, wytknął poeta wprawdzie nie krzyżową drogę, wybrukowaną holokaustami z życia i mienia, bo wierzył więcej w cierpliwość, roztropność i męską energię, niż w fanatyzm ofiary, — ale dał zdrową radę na dziś, a wiele pewności na przyszłość... Znałem wielu staroświeckich ludzi, którzy umieli te cztery wiersze na pamięć i lubili je przy sposobności przytaczać. Znana apostrofa Krasickiego jakże wydaje się mdlą i deklamacyjną obok tych genialnych iskier umysłu, mającego głęboką świadomość rzeczywistego położenia!...

Jeżeli w poprzedzającym wierszu, na rocznicę koronacyi, dziwiło poniekąd, dlaczego poeta nie zrobił najmniejszej wzmianki o Katarzynie, choć zaczął pod zaklęciem bóstwa Prawdy, to już w tym niepodobna mu było nie spotkać się z tą... »nieśmiertelną matką«:

Która... jak owa niegdyś... pióro się dumieje,
Chcę ją równać — równego nic nie mają dzieje...

Zapewne cisnęła się pod pióro Semiramis północna, lecz to byłby plagiat z Woltera, wołał więc uciąć i niezrównaną otoczyć obłokiem kadzidła.

Jak już powiedziałem, wiersze te miały tekst gabinetowej dyplomacyi...

Z tem wszystkim Trembecki, pochlebca w rymach, nie wydaje się być dworakiem, goniącym za pensyjkami, orderami, pierścieniami. Nie mógł nie wiedzieć, że przy boku królewskim w Kaniowie łatwoby mu było jakim zgrabnym madrygałem zwrócić na siebie uwagę monarchini; przecież niema go tam, jest tylko Naruszewicz, który się przedstawia Katarzynie, ofiaruje jej *Taurykę* z szumną dedykacją i w zamian dostaje komplement, krzyż i brylantowy pierścień. Wprawdzie, jak sam powiada, już miał szczęście oglądać ją, i:

Wtedy najfortunniejszą uczulem godzinę,
Kiedym tę ujrzał panią, przepłynąwszy Dźwinę.
Noszę wiecznie w umyśle jej konterfekt żywy,
Niech ją raz jeszcze widzę, już umrę szczęśliwy!

Zapewne widział ją w Smoleńsku lub Połocku, może wysłany tam przez króla dla powzięcia wiadomości o osobach, towarzyszących imperatorowej, o zwyczajach, jakie zachowuje w podróży, a może też dla zniesienia się z jaką zaufaną figurą dworską. W Kaniowie go jednak nie było. Wróciłże do Warszawy? Takby się zdawało, gdy na wstępie pomienionego wiersza pisze jakby ze stolicy:

Już nam Kijów rozlicznych wrócił partyzantów,
Ujrzały żony mężów, kochanki amantów,
A ciebie biskupie jak niema, to niema:
Wysoka w odległości trzyma cię usługa.

I cieszy się z tego, i co moment podsuwa mu materję do opisanja tych miejsc i zdarzeń, jakich jest świadkiem. Nigdzie ani półsłówkiem nie zdradza zazdrosnej rywalizacyi, tak zwykłej między dworakami, do tego z autorskiego cechu, a dającej się łatwo wytłumaczyć przez żądę pozyskania sławy i zwrócenia na siebie uwagi koronowanej głowy, co już wystarczało, ażeby w owym czasie nabyć wielkiego rozgłosu i znaczenia.

Wolter, Diderot, d'Alembert, Grimm niedawno ubiegali się o to. Trembecki w żadnym wierszu nie przymawia się o takie względy dla siebie, ani dziękuje za otrzymane. I nie wiem, czy kiedy dostał jaką pensję lub upominek. Przecież gdyby mu szło o taką gratkę, byłby niezawodnie wsrubował się do kaniowskiego orszaku, i tak samo jak Naruszewicz, jak tylu innych, uniósł jaką wstążeczkę. Filozofia jego, mająca wiele stron bardzo nagannych, ratowała go od tych zdradliwych pokus, łatwiejszych u dworu niż w innem położeniu; jej on winien, a może wrodzonemu lenistwu, które także jest małym odcieniem filozoficznych usposobień, że, poza obrębem obowiązku względem króla, umiał zachować pewną niezawisłość charakteru.

Nie wiem szczególnych przyczyn, dlaczego nie znajdował się z królem; czy go do Warszawy ciągnęły naukowe prace, czy osobne polecenia monarsze? Lecz z innych wierszy, pisanych w tym czasie, daje się widzieć, że, na spotkanie wracającego pana, znalazł się w kole obywateli województwa Sandomierskiego i ułożył pieśń na powitanie króla, nawiedzającego dom kasztelana Popiela; jedną z piękniejszych, gdzie, uderzając w historyczną tradycję, wielką przeszłością podnosi terażniejszość:

Tu się założyć zdało niebiosom
Gniazdo dzielności i cnoty;
Stąd był Czarniecki, co smutnym losom
Szczęśliwsze dawał obroty.

We krwi arabskiej, gdzie wschodzą zorze,
Zwycięskie zmoczywszy znaki,
Nieśliście one nad sławskie morze,
Między niewierne Prusaki.

Krewnych niezgoda gdy kraje traci,
Was gniew Łokietka poruszył,
Wasz miecz odzyskał ciśnionych braci
I czeskie jarzmo rozkruszył.

Wasza waleczność szerzyła ziemię
Niebezpieczeństwem i znojem;
Wyście rzetelne Słowaków plemię,
Inni są waszym podbojem.

Któż się podejmie dojść do zawodu
Beockich wierzchów skalistych?
Doszedł ich jeden z waszego rodu,
Książę poetów ojczystych.

O Czarnolesia dziedzicu dawny!
Dziś tu nam byłbyś potrzebny,
Śpiewałbyś panu, a wiersz twój sławny
Bawiłby okrąg podniebny.

Jeżeli poruszył te wielkie postaci i wspomnienia, to jedynie żeby wzbudzić większą miłość dla »ojca ojczyzny«, który umyślnie odwiedza patryotycznych tych stron mieszkańców, kiedy innych nasuwał mu tylko trafunek. Jedną królowi umyśły i serca, oto cała jego usilność i zabieglivość. W Radomiu, gdzie monarchę witało obywatelstwo województwa, nie rzuca mu już lirycznych wieńców, lecz poświęca jedną z tych argumentujących apologii, gdzie każdy wiersz urobiony na efekt, chce wszczepić w przekonanie, wstawić w opinię ogółu, i nie przypuszczając, żeby ktokolwiek tak oczywistym faktom śmiało zaprzeczyć, wielkimi cięciami dłuta rzeźbi zasługi Stanisława Augusta:

Tobie winniśmy światło, które nas ożywia,
Tobie polor, co oba narody zadziwia.
Tyś nam bezpieczne w domach uczynił mieszkanie,
Tyś nam młódź ugruntował, świetne wychowanie;
Ojcowską się nad nami opiekując strażą,
Dowodłeś, że Polacy wszystkiego dokażą.
Słowem, tyś nas nauczył, wsławił i ozdobił..
Jędzo! powstań i powiedz: co mógł, a nie zrobił?

Ostatni ten wiersz, to jakby rzucona rękawica powątpiewającym jeszcze o dobrych zamiarach króla, a razem usprawiedliwienie go przed potomnością, że w warunkach, pod jakimi panował, zrobił wszystko, co można było zrobić. Uległość Rosji była tym warunkiem, który polityka jego przyjmowała jako nieuniknioną konieczność; naród myślał inaczej i zaczął szukać innego opiekuna...

Chwila ta zbliżyła się. Czy przecuciem, czy też bystrością, ogarniającą bieg wypadków, natracił o niej Trembecki w kilka wierszy wyżej, gdy w imieniu Sandomierzan błaga Stanisława Augusta:

Czas ci spocząć, nas zażyć. Dziel trud między nami:
Nas jest tylu, jednego tylko ciebie mamy.

To jakby zapowiednia nowego okresu, w którym naród przygotowany wychowaniem, wdrożony w nowy rzeczy porządek, ma być powołany do podzielenia się władzą z panującym.

Ledwo też dwa lata upłynęło, jak Trembecki znowu przemówił do współziomków zebranych na sejm, zwany czteroletnim. Jest to pełna powagi i znajomości charakteru narodowego przestroga.

Pojąwszy całą ważność tego prawodawczego zgromadzenia, zabierającego się do reform, z góry zaczyna od znanego przysłowia, któremu używa całej patetyczności odpowiedniej wielkiemu dziełu:

Mądry Polak po szkodzie? — już były te szkody...

Dziś na nas obrócony wzrok mają narody:

Lub nas rządnych, przezornych, czynnych świat pochwali,
Lub nas chcących swej zguby, nikt się nie użali.

Nie znam nic patryotyczniejszego z tych czasów rozbuźzonego publicznego życia nad ten przepyszny wiersz. W kamieniu kuć każdy wyraz, taką ma wagę i doniosłość. Jasna prawda, przestroga, groźba, wylatuje jak z ust drugiego Skargi, a choć niema w niej ciepła i skrzydeł religijnego uczucia i zapędu, za to jakież ogrom intuicji politycznego rozumu, umiającego moźebne ewentalności zważyć, ocenić, przewidzieć! Jak we wszystkich swoich manifestach, i tu na piedestale stawia osobę królewską i pokazuje pierwszy raz ze strony, z jakiej jeszcze nie pokazał. Wprawdzie wzywając w pomoc wszystkich bogów z Olimpu, nie potrafiłby ze Stanisława Augusta zrobić ani bożka wojny, ani hetmana, robi więc przezornego monarchę, który wie, że tylko siła zdobywa sobie bezpieczeństwo i poszanowanie. Król od samego początku myślał o podźwignieniu siły zbrojnej. Jakaż najdzielniejsza młodzież? zapytuje, jeśli

nie ta, co wyszła z korpusu kadetów? Któż Kraszewskiego zrobił możliwym za ranę poniesioną dla ojczyzny, jeśli nie król? Kto budząc ducha rycerskiego, wznosił Sobieskiemu posąg? Król, i zawsze król. Wywiódłszy to, zawiązuje zagrzewającym wezwaniem:

Idźmy uczcić ten posąg walecznego Jana,
A przed nim na dobyte przysiężmy pałazę
Za niepodległość kraju łożyć gardła nasze.

Posąg łazienkowski króla Jana nasuwa mu uwagę o niewdzięczności tych, których orężem swym zbawił, i wkłada w usta Mustafy smutną o losach Polski przepowiednię, zwróconą szczególnie do polityki, jakiej chwytaly się już umysły wielu gorliwych patryotów na sejmie, polityki szukającej aliansu z Prusami. Nie podzielał jej król, nie podzielał Trembecki; mimo uludnych obietnic Lucchesini'ego, partya dworska widziała większą rękojmię w sojuszu z dworem petersburskim. Toż i dwa wiersze:

Jeszcze ci nie wiadoma tego Niemca sztuka:
Napelni nadziejami, a w rzeczy oszuka.

zawierały wymowną przestrożę i obawę, która, niestety! aż nadto się sprawdziła..

Wiersz Trembeckiego: Do posłów powracających z Grodna r. 1793, jest ostatnim z szeregu okolicznościowych poetycznych jego odezw do narodu. Po tym sejmie, który wyczerpał siły fizyczne i moralne Rzeczypospolitej, nie miał co pisać; rola dworskiego poety skończyła się dla niego..

Pierwszy raz mówi tam o sobie, i nie bez znaczenia. Zdawałoby się, że jednym silnym wierszem chciał powetować wszystkie przekąsy i zarzuty opinii, pomawiającej go o brak uczuć polskich. Polityk, póki ten rodzaj manifestacyi był mu potrzebny, nie tłumaczył się; gdy przeminęła potrzeba, serce swoje odsłonił..

Wszystkie poezye Trembeckiego politycznej treści propagowały konserwatyzm ostrożny, nie wyłączający powolnej zmiany średniowiecznego organizmu i układania się do równowagi z innymi państwami. Poeta wypowiadał z dziwną wytraw-

nego publicysty zręcznością systemat, jakim się król kierował, i jaki rzeczywiście prędzej doprowadziłby do celu, niż niefortunna polityka wielkiego sejmu, lub zabójcza konfederacy targowickiej.

Czuł Trembecki, pisząc ów List do Posłów z Grodna, że rola zachowawcza już się skończyła. Zaboląła go może i miłość własna, że tyle jego wielkich przestroóg, odzianych w najpyszniejszą szatę poezyi, przebrzmiało; dlatego też kończy ironicznym ukłonem:

Jestem waszmości bratem życzliwym uprzejmie.

Niesłusznie więc błotem obrzucono Trembeckiego za ten wiersz, tem więcej, że on nie ganił ustawodawczych czynności sejmu konstytucyjnego, tylko wytknął polityczne grzechy, jak alians z chytrym Prusakim, jak porwanie się do wojny bez wojska i pieniędzy i t. p. Przeciwnie podziwiać należy jego odwagę cywilną, że w tak gorących i rozjątrzonych chwilach śmiał naga prawdę powiedzieć w oczy.

Dla epoki Kościuszkowskiej muza Trembeckiego nie znalazła ani jednego akordu; fakt ten całkiem wykraczał za obręb monarchicznej doktryny, której był najwymowniejszym organem. Samemu tylko Kościuszce poświęcił dwa wiersze, z powodu obiadu, który jadł w jego namiocie:

Taż miłość swej ojczyzny, też cnotliwa dusza,
Taż waleczność, a nawet obiad Kurcyusza.

Opowiadają o tej wizycie, jaką szambelan złożył był naczelnikowi w jego kwaterze, że go zastał w kuchni, jak sam rozdymał ogień...

Na lutni Trembeckiego nie było elegicznej struny; więc bóle swoje, wśród gromów nieszczęść publicznych, zamknął w głębi duszy.

Natchnienie jego wiązało się z osobą króla; to był jedyny punkt wyjścia, z którego spoglądał na losy kraju; nie stało go, więc i on zamilkł...

On, co się umiał tak z rzeczywistością zespolić, i tak ją na wskrós przenikał, nie znalazł dla siebie żadnej już podstawy,

jak żyjący, któryby na cmentarz poszedł szukać dawnych towarzyszków życia...

Zresztą nie był to młodzian, żeby w różowym obłoku przyszłość sobie wystawiał, i leciał w nią, śpiewając hymn nadziei. Jego nadzieja była w Stanisławie Auguście. Hamletowa zagadka, być albo nie być? rozstrzygała się w tej jednej osobie, i odtąd cały szereg faktów pomyślnych i niepomyślnych nie zdołał tej zagadki inaczej rozstrzygnąć.



CX.

ANTONI BUKATY.

(1808—1876).

Litewska rodzina Pomianów Bukatych po raz pierwszy wystąpiła na widownię publiczną za czasów Stanisława Augusta. Sejmowi czteroletniemu dała Franciszka, dzielnego przedstawiciela Rzpltej w Anglii, którego później od r. 1793 zastąpił brat stryjeczny Tadeusz. Pokrewieństwo Antoniego z nimi nie dało się ściśle oznaczyć. Urodził się w Augustowskiem 1808 r. W szkole wojewódzkiej w Sejnach celował. Ks. rektor, Paweł Chrzanowski, tak wysoko go cenił, że będąc do Łomży przeniesiony, ze sobą go tam zabrał. W Sejnach zetknął się z Hieronimem Kajsiewiczem i Leonardem Niedźwiedzkiem, dozgonnym swym potem przyjacielem, bratem w Hoene-Wrońskim, wydawcą swych pism i jedynym biografem. W uniwersytecie warszawskim studyował ten późniejszy inżynier, strategik i filozof — prawo. Nie przeszkadzało mu to przecież być równocześnie wyróżnionym podobno uczniem Brodzińskiego, który, wedle Niedźwiedzkiego, wypracowania jego »sam z katedry w głos czytał, pokazując w ten sposób, że zasługiwały być wzorem dla piszących«. Podobno był też wówczas w »ściślejszej przyjaźni«(?) z Zygmuntem Krasińskim i używał protekcji jego ojca, chcąc wstąpić do wojska. Po rozwadze porzucił ten plan i choć już wpisany, cofnął się, rzeczywistą głuchotą na jedno ucho podając za powód. Po wybuchu powstania — akademik jeszcze, nie skorzystał jednak Bukaty z przysługującego mu prawa do stopnia podchorążego, ale służył zrazu w artylerii jako żołnierz. Mając olbrzymią siłę i żelazne zdrowie, trudów nie potrzebował się lękać. Pod Grochowem stracił oko, ale dopiero po dwudniowej bitwie na szańcach Warszawy, gdzie jak Podbipięta drugi miał walczyć, do krzyża i szlifów go przedstawiono. Po upadku powstania przybył do Paryża i tu, nie chcąc w bezpłodnych swarach czasu trawić, wstąpił do Szkoły dróg i mostów. Musiał ją nawet ukończyć, skoro na późniejszym memoryale swym dla cesarza Napoleona

z r. 1867 podpisał się jako inżynier cywilny. Wśród tych studyów niemniej niż inni jednak rozmyślał nad sprawą narodową i jej świeżym upadkiem, a rozmyślał napewne głębiej. Świadczy o tem wydana już w r. 1833 *Sprawa polska*, wywołana przed sąd Miecza i Polityki w 1830 r. Książka ta (pod pseudonimem: Tomasz Pomian) stanowi pierwszy tom historyi powstania listopadowego a za razem wszechstronnej tego wypadku oceny. Wyprzedziła ona Mochnackiego, a trzeba przyznać, że na porównaniu z nim wcale nienajgorzej wychodzi. Talentem pisarskim wprawdzie nie dorównywa Bukaty Mochnackiemu, ale za to stanowczo przenosi go bezstronnością sądu o ludziach, w których psychikę i pobudki postępowania bardzo bystro wnika, a także w samej ocenie wypadków przez nadzwyczajną ostrożność sądu i subtelne obliczanie wszelkich możliwości, kto wie, czy nie częściej do prawdy obiektywnej się zbliża. Tok opowiadania przerywają niekiedy dygresye i uogólnienia, wśród których zaznacza się często tendencya historyozoficzna a zarazem wiara w słowiańskie conajmniej, jeśli nie polskie posłannictwo. To fakt, że książka nosi znamiona wcale niepospolitego umysłu. A jednak mimo tego i mimo aktualności, nie zdobyła ona rozgłosu i do dziś najniesłuszniej jest zapomniana. Zdaje się, że i u współczesnych i u potomnych zaćmiła ją blaskiem swego pióra Mochnacki. Drugiego tomu Bukaty nie wydał, może zrażony, a może z braku funduszków, który i pierwszemu tomowi pewien czas był przeszkodą. Doprowadził jednak rzecz dalej niż Mochnacki, bo do końca bitwy grochowskiej.

Nie wiadomo dokładnie, kiedy Bukaty zapoznał się z Wrońskim i jego systemem. To fakt, że już przed r. 1840 jest jego najgorętszym wyznawcą, uczniem, a prawdopodobnie i współpracownikiem. Całe dalsze jego życie wypełniają wysiłki nad przystosowaniem tak idei filozoficznych jak i wynalazków Wrońskiego do sprawy polskiej. W tem, że jest łącznikiem między Wrońskim i jego pomysłami a Polską, leży chyba cała jego w stosunku do mistrza oryginalność. Już w r. 1841 przedkładał ks. Adamowi Czartoryskiemu memoriał w sprawie przystosowania lokomocyi parowej do sztuki wojennej, w którym rozwija pomysł parowozu uzbrojonego działami, niezależnego od drogi żelaznej. »Jeden wóz taki po drodze głównej komunikacyi, osadzony tyralierami, na spodzie mający jedno działo lub dwa, rozbiłby milion dzisiejszego wojska. Wystawmy sobie jeden wóz taki na płaszczyznach Grochowa lub Woli, i gdzieżby byli nieprzyjaciele nasi?« W wynalazku tym widzi stanowczo rozwiązanie losów Polski. Zaklina, aby nie zwlekać z jego zrealizowaniem. »Biorę akt pisze — że zaniedbanie tak widocznie przez Opatrzność następczonego środka zbawienia, zostałoby dowodem, że Polska sama dobrowolnie rezygnuje z godności swej moralnej, ze swego istnienia«. Otóż cały ten projekt jest z pewnością niczem innym, tylko przeniesieniem na teren wojenny obmyślonych przez Wrońskiego szyn ruchomych t. j. zespolonych nie z drogą ale z wozem. Już bowiem w r. 1837 ogłosił Wroński rozprawę p. t.

»*Rails mobiles ou chemins de fer mouvants, prêts a servir sur toutes les routes et avec toutes les voitures*« a w r. 1838 nawet modele na Polach Elizejskich wystawił.

Na ks. Czartoryskiego nie wywarł widocznie memoryał tego wrażenia, jakie sobie autor obiecywał. Ale marzenia jego związane z tym wynalazkiem nie rozwiały się łatwo. W r. 1867 ofiarował znów użytek z niego Napoleonowi III we wspomnianem już piśmie z datą 9 stycznia. Równie bezskutecznie.

Podobnież na podstawie pojęć autora Mesyanizmu zbudowane jest historyozoficzne dzieło Bukatego: »Polska w apostazyi czyli w tak zwanym russo-sławianizmie i w apoteozie, czyli w tak zwanym gallo-kosmopolityzmie, jako warunkach założenia i rozwiązania problemu etnologicznego w praktyce i wiedzy« (Paryż 1842). Najbardziej ono stosunkowo znane z jego pism, a to dzięki Mickiewiczowi, który z wielkim szacunkiem się o niem w Collège de France wyrażał. Dla dzisiejszego czytelnika nie przedstawia ta książka żadnej już innej wartości prócz historycznej. Typowy to wprost pomnik jałowej spekulacyi, ujmującej rozwój dziejów ludzkich w formuły niby matematycznych szeregów, a budującej je z naiwną dowolnością. A jednak nie tylko Mickiewicz — także i Libelt nie szczędził autorowi uznania, a nawet Trentowski mimo bardzo ostrej krytyki, jakiej książkę wnet po ukazaniu się, poddał, przypuszcza na jej podstawie, że Bukaty może się stać polskim Heglem. Sprawiała to, zdaje się, miłość tego samego ideału. Wierzy bowiem Bukaty głęboko w blizką godzinę Królestwa Bożego na ziemi i wierzy, że Polska je urzeczywistni. Na swoich matematyczno-historycznych dowodach oparty, sądzi, że nietylko wierzy, ale wie. Jest mesyanistą par excellence. Z tej to prawdopodobnie książki przejął Słowacki kult dla veto i wolnej elekcji.

W r. 1844 wyszła nowa praca Bukatego p. t. *Hoene Wroński i jego udział w rozwinięciu ostatecznem wiedzy ludzkiej*. Miała ona zdaje się na celu spopularyzowanie filozofii uwielbianego mistrza, ale wobec nad wyraz zawilego stylu i dzikiej wprost terminologii autora (zarodki dziwactwa stylowego były już w *Sprawie polskiej*), nie bardzo temu celowi odpowiadała. Przeszło dwie trzecie (całość str. 90) wypełniają wyjątki z *Prodrome du messianisme* i *Metapolitique messianique*, dobrze wybrane i zestawione, ale bardzo ciężko tłumaczone. Zdaje się, że zgłębianiu twórczości Wrońskiego i marzeniom nad nią oddawał Bukaty cały czas, jaki mu praca na utrzymanie pozostawiała. Chleb znalazł dzięki swemu wysokiemu wykształceniu. Skoro tylko powstała (1849) za staraniem ks. A. Czartoryskiego t. z. Instytucya przygotowania wczesna polska, mająca na celu przygotowywanie młodzieży wychodźczej do studyów w uniwersytecie a głównie w szkole »Min« (ustalona potem jako Wyższa szkoła polska na Mont-Parnasse), Bukaty został jej dyrektorem, a zdawszy bakalaureat, zatwierdzony był

na tem stanowisku przez francuskiego ministra oświaty, decyzją z 4 stycznia 1850 r. Jeden z pozostałych po nim papierów (Bibl. polska w Paryżu), świadczy, że przedtem jeszcze proponowano mu katedrę w uniwersytecie Jagiellońskim. Od polityki trzymał się zdala. Sentymentem Iгнаł do Hotelu Lambert i tam miał potem przytułek na stare lata, ale poglądy, jak to choćby z Polski w a postazy i a poteozie widać, zachował niezależne i jedynie w katolicyzmie niezachwianym, o który go Trentowski zaczepiał, zachowawcze. Do Trentowskiego za tę jego krytykę w »O r ę d o w n i k u« poznańskim r. 1843 nie chował widocznie urazy, skoro mu do Panteonu posłał całe studyum o matematycznych pracach Wrońskiego. Pozatem rezultaty swych badań nad matematyką Wrońskiego streszczał po francusku. Wierny przyjaciel i wielbiciel obu, Niedźwiedzki, wydał w 1873 r. *Deduction et demonstration de trois lois primordiales de la congruence des nombres, constituant la troisième loi de l'algorithmie, donnée par H. Wroński, a wr. 1878 już po śmierci autora, Méthode spéciale ou téléologique de H. Wroński*. Obie te prace są w ścisłym związku z działalnością tego grona osób, które po śmierci Wrońskiego zajęło się gorliwie porządkowaniem i publikowaniem jego spuścizny. *Méthode spéciale etc.* jest nawet dedykowana protektorowi owego przedsięwzięcia, Janowi Działyńskiemu. W miesiąc po jej napisaniu Bukaty już nie żył. Śmierć zaskoczyła go nagle 19 września 1876 r. w ufundowanym przez ks. Czartoryską Domu św. Kazimierza, którego w ostatnich latach był mieszkańcem.

W jedenaście lat potem wydał Niedźwiedzki jedno jeszcze jego dzieło: *Trzy grzechy śmiertelne Polski*. Rzecz widać nie skończona, bo zaledwie o pierwszym z tych grzechów się tu dowiadujemy, a mianowicie, że »nie umiała bronić słowiańszczyzny przeciwko Niemcom«. A wyrzuca to Bukaty swej ojczyźnie na tle obszer nego wywodu o rozmieszczaniu się narodów i plemion w Europie, która przed wtargnięciem Niemców cała była słowiańska. Nietylko Goci (Wszegodźce i Ostrogodźce), Herule (Górale), Franki (Wrączki), Gunnowie (Hońce czyli Gońce) i t. d. ale nawet Grecy i Rzymianie byli Słowianami. Wskazują na to Bukatemu wymienione nazwy plemion, ale niemniej imiona naczelników, jak macedoński Oleg jędrny (Alexander), gocki Oleg jary (Alaryg), wandalski Gąsiorek (Genzeryk) lub frankoński Głowicz (Klodwik), wreszcie i nazwy krain, jak Głowecya (Helwecya), Gonnower od Konna wiara (Hannower) i t. d.

Wydawca — który złą tym razem oddał przyjacielowi przysługę — podaje, że powstał ten dziwotwór zaraz po r. 1863. Jakoż zwroty do Mierosławskiego, pełne najstraszniejszych obelg, zdają się to potwierdzać. A jednak nie chce się wierzyć, żeby autorem *Trzech grzechów* był ten sam człowiek, który głęboką i naprawdę dziś jeszcze godną czytania *Sprawę polską* w r. 1830 napisał. Jeżeli

mają co wspólnego te dwie książki, to chyba to, że z obu bije bolesna a gorąca — w drugiej aż do obłądu dochodząca — miłość ojczyzny.

BIBLIOGRAFIA.

I. Pisma: 1) »Sprawa Polski wywołana przed sąd miecza i polityki w roku 1830«. Paryż 1833. 2) »Polska w apostazyi czyli w tak zwanym russo-sławianizmie i w apoteozie czyli w tak zwanym gallo-kosmopolityzmie, jako warunkach założenia i rozwiązania problemu etnologicznego w praktyce i wiedzy«. Paryż 1842. 3) »Hoene Wroński i jego udział w rozwinięciu ostatecznem wiedzy ludzkiej«. Paryż 1844. 4) »Trzy grzechy śmiertelne Polski«. Paryż 1887. 5) »Deduction et demonstration de trois lois primordiales de la congruence des nombres, constituant la troisième loi de l'algorithme, donnée par H. Wroński«. Paris 1873. 6) »O filozofii matematyki i o zasługach matematycznych Wrońskiego — w Panteonie wiedzy ludzkiej Trentowskiego« Tom II, str. 394—424. 7) »Méthode spéciale ou téléologique de H. Wroński démontrée par...« Paris 1878.

II. O Bukatym pisali: 1) Leonard Niedźwiedzki: »Biografia A. Bukatego«. Rocznik Towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu, 1873—1878. (Toż samo potem przy »Trzech grzechach śmiertelnych Polski«). 2) Br. Trentowski: »Listy naukowe«. List drugi: O Floryanie Bochwicu, Antonim Bukatym i Eleonorze Ziemięckiej. »Orędownik naukowy« (Poznań) 1842 Nr. 52 i 1843 Nr. 1 i 2. 3) Mickiewicz: »Literatura słowiańska«, rok drugi, lekcya XXXI z 21 czerwca 1842 r. 4) K. Libelt: »Kwestya żywotna filozofii. Samowładztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej«. Poznań 1845, str. 188—193. 5) Chmielowski: »Filozoficzne poglądy Mickiewicza«. Warszawa 1899, str. 55 i 56.

A) Sprawa Polski wywołana przed sąd miecza i polityki w r. 1830.

Część pierwsza. Paryż 1833.

Autor, rozważając stosunki w Królestwie Kongresowem i usposobienie wszystkich warstw narodu, dochodzi do przekonania, że powstanie było koniecznością historyczną, i dlatego ubolewanie nad niem byłoby rzeczą jałową. Nie pogwałcenie konstytucyi było jego powodem, ale samo poczucie żywotności i prawa do samodzielnego bytu w narodzie. Nie chodziło też o wolność socyalną — ta była na miejscu drugim. Była to walka na-

rodu z narodem a nie wyobrażeń z wyobrażeniami. Tem więcej śmiesznem mniemanie, że w cudzej sprawie broń podnieśliśmy. »Tryumf nasz byłby bez zaprzeczenia tryumfem wolności; lecz tryumf wolności czy byłby naszym, to podlega jeszcze roztrząśnieniu«. Francję zasłoniliśmy w gruncie rzeczy tylko przypadkiem, a był to właśnie błąd. Pora wybuchu była właśnie ze względu na pogotowie Rosyi do wojny z Francją, przeciw nam z łatwością obrócone, najfatalniej wybraną. Trzeba było raczej w czasie wojny rosyjsko-tureckiej zaczynać. A w każdym razie należało powstanie we wszystkich trzech zaborach podnieść, bo w trwałą neutralność Austrii i Prus autor zupełnie nie wierzy i ręczy, że po rozbiciu ewentualnem Rosyi, wystąpiłyby przeciwko Polsce czynnie. Wojna przeciw trzem nie byłaby zatem pogorszyła położenia.

Opisując obszernie noc 29 listopada, okres rządów Rady administracyjnej i Dyktatury, potępia bardziej niezdecydowaną politykę Lelewela i Ostrowskiego niż początkową Lubeckiego, Chłopickiego zaś postępowanie uważa wprost za zbrodnicze, choć nie wątpi w czystość jego intencji i na dowód tego całą złudną logikę jego rozumowań jasno wyklada. Szczególniej nie może mu darować, że nie rozbroił wojsk ks. Konstantego i nie zagarnął zaraz na początku korpusu litewskiego. Wogóle nieszczęściem największem była ustawiczna walka dwóch systematów pojmowania rewolucyi. Jednego hasłem było odzyskanie niepodległości w przedrozbiorowych granicach, a zatem walka na śmierć i życie, drugiego — ratowanie Kongresówki, a zatem dyplomacya. Autor, zdecydowany zwolennik pierwszego, sądzi przecieź, że lepszy byłby drugi sam jeden, niż oba obok siebie. Bo »los nasz niezblagany zawsze tak zrzędał, że wtenczas właśnie ten system przeważać zaczynał, kiedy wszystkie korzyści z niego płynące minęły, a tępował swego przeciwnika, dla którego właśnie najdogodniejsza do działania nastawała pora«.

Książka kończy się dość szczegółowym opisem początków kampanii do bitwy grochowskiej włącznie. Autor przedstawia naprzód ogólny plan Dybicza, następnie reagowanie na ten plan ze strony Chłopickiego, dla którego taktyki ma pełne uznanie. Sądzi, że to był mimo wszystko jedyny wódz, stojący na wysokości zadania. Bitwie pod Grochowem poświęca cały rozdział, broniąc Chłopickiego przed wszelkimi zarzutami. Wierzy, że zwycięstwo wydarło mu tylko nieposłuszeństwo Krukowieckiego i Żymirskiego, wreszcie kula. Wierzy też, że ta bitwa mogła zaważyć na losach Europy

867) Polska, lub sławianizm, tak ogromny, tak silny, jak Ocean Północny, ramiony go swemi obejmujący, wykwitnąć z dziewiętnastego wieku musi; zna to Europa, zna to i ziemia cała. Myśl ta będzie charakterem wieku naszego; a Austria i Prusy nie pojmowałyżby jej jeszcze? Znają one to dobrze; i Austria ta sama, co w wojnie tureckiej robiła intrygi, Prusy choć spowinowaczone z domem Romanów, choć we

wskrzeszeniu Polski niepodległym, bezwarunkowym upatrujące niebezpieczeństwo zblizka siebie dotykające, radeby przecieź widziały rozstrzelone dążenie szczepów sławiańskich, emulacyę ich między sobą, i osłabienie w skutku sił ich strasznych, przez kierunki naprzeciw siebie wytknione. Jak przeciwnem ich polityce jest wykluczenie państwa rosyjskiego przez ufundowanie nowego, równie potężnego, nienawiścią ku nim za krzywdy doznane pałającego, z innych pod względem systemu rządowego wychodzącego zasad, jednym ramieniem o Bałtyk, drugim o Euxyn opierającego się, tak pożądanem byłoby, przy zachowaniu widocznej przewagi Rosyi, jako mniej niebezpiecznej z przyczyny oddalenia i tożsamości zasad, zapewnić narodowość Polakom, któraby skutecznie oprzeć się mogła zamalgamowaniu się tych ludów i interesów wzajemnych.

Z tej przyczyny dyktator niewiele się mylić mniemał, sądząc, iż odstąpienie prowincyi polskich, przynajmniej ostatnim podziałem kraju naszego przez Rosyę zabranych, pod warunkiem panowania którego z domu Romanów; lub co pewniejsze, zapewnienie im swobód narodowych, odrębności, indywidualności ludu polskiego, pod wspólnem berłem cesarza rosyjskiego Mikołaja i jego następców, nie bez rozlewu krwi, nie bez walk, za wpływem jednak polityki, przez interes monarchów i ludów, Austryi, Prus, tembardziej Anglii, i Francyi podobnem było. Możeby się dołączyły do tego części nawet Galicyi i Wielkiego Księstwa Poznańskiego.

Te myśli powodowały dyktatorem, one stanowiły podstawę polityki jego; i nietrudno słyszeć powtarzających, lecz nie tak łatwo zgłębiających rzeczy: że Chłopicki postanowił załatwić sprawy polskie przez wpływ króla pruskiego. W pierwszych dniach rewolucyi młodzież z Wielkiego księstwa Poznańskiego i Galicyi hurmem cisnęła się w granice Królestwa, pragnąc walczyć w sprawie nieszczęśliwego narodu; wielu z nich znakomitszych stawilo się przed dyktatorem, który ich przyjął najozięblej, nawet z nieukontentowaniem, uważając ich poświęcenie za szkodliwe, i w głos z tem się oświadczając, że ono służyć może za jawny dowód wypowiedzenia wojny Prusom i Austryi.

W takim pojęciu rzeczy trudno jest ganić kroki jego.

Można im zarzucić niewyrachowanie, pomyłki i grube błędy, lecz nie brak intencji, jakieśmy już je tyle razy nazwali, zgubno-czystych; można się spytać, dlaczego polityka Austrii i Prus, na którą rachował, pokazała się przecież tak nieprzychylną dla nas? On na to odpowiada: boście poszli inną drogą nie tą, którą wskazywał, a przeto usunęliście powody, dla których podług mnie przychylnie być miały; boście chcieli całej, niepodległej, i co w ich oczach najgorsza, wolnej Polski.

...Zdumieją się czytelnicy moi, bo może mię pojąć nie zechcą, gdy powtarzając myśl, wyżej już choć niewyraźnie napomknioną, powiem: że i w świeżo przeszłych usiłowaniach naszych wolność była jedną z przyczyn naszego upadku i naszych żalów pogrzebnych. Tymczasem to jest niezaprzeczoną prawdą, że Polska jest ofiarą, tylekroć mordowaną przez spór dwóch principów, o przeznaczenie ludzkości walczących. Polakiem jestem przede wszystkim, Polakiem tylko będąc, wolnym być mogę i czemużbym nie miał wyznać, wiele razy Polska za wolność zabita była? Rozwijam rzecz dalej; gdyby nie wolność, pół Europy despotycznej życzyłoby, a nawet poparło wskrzeszenie nasze. Tymczasem wolność zaspiała, ani jej ocucić można było; jak dziecko zbudzone zlekła się budzącego, a despotyzm, mogący się interesować, odstraszyliśmy krzykami naszemi. Gdybyśmy z orężem w ręku mogli się byli o samą dopominać niepodległość, tak niesprawiedliwie nam wydartą, Austrya i Prusy wyraźnie przeczuwające straszliwą sławianizmu siłę, byłyby się zajęły czynnie sprawą naszą, tem chętniej, im pewniejszą miałyby gwarancję wychodzenia naszego z jednych zasad w przyszłych stosunkach w systemie rządowym. Nie inny cel miała Austrya na względzie, gdy na traktacie Wiedeńskim dobrowolną robiła ofiarę z krain przez siebie Polsce wydartych; i Prusy równowadze europejskiej poświęciłyby Wielkie Księstwo Poznańskie, od Księstwa Warszawskiego oderwane. Lecz kiedy sprawa nasza zagrzmiała głosem reformy socyalnej, wywracającej trony ich, co atoli nieuchronnem i koniecznem, bo z natury rzeczy płynącym było, mogłyż podnosić głos swój dla potępienia siebie samych i wspierać rękę, w której miecz błyszczący w ich piersi godził? Straszny jest Sławianizm, lecz jego chmura grożąca, na skrzydłach wieków niesiona, znośniejsza dla nich była

i będzie, nad wicher wywracający wszystko współcześnie. Takie było zapatrywanie się na rzeczy, taka polityka dyktatora, i ona mu wzbronila nawet próbę kroków zaczepnych, jaką powinno było być działanie przeciw korpusowi litewskiemu.

...Otóż wolność raz jeszcze nas zabijająca; lecz ani dyktator, ani nie w świecie Polski od niej odczepić nie zdoła. Prózne więc wszelkie z tej strony rachuby: żadna Austria, żadne Prusy, tuczne naszymi członkami, nie wiele okazują, ani okażą chęci do wyrzucenia ich z siebie, chybaby smaczniejszym kawałkiem były zastąpione.

...Dyktator zląkł się i w tonie pokornym broń polityki wraz z mieczem odpornym schwycił: gdyż nie godzi się przypuszczać, aby bez zdobycia oręża wszystko chciał skończyć. Ani szanice Pragi, ani wszelkie przysposobienia wojenne nie dowodzą tego; lecz przypominając, żeśmy mogli zadać despotcie cios stanowczy; że w jednym tygodniu mogliśmy mu odebrać wszelką nadzieję zwycięstwa własnymi siły, że była pora nagięcia niezłomnego jego charakteru, choćbyśmy przez to i Austryę i Prusy nieuchronnie wyzwali; pomni, że za ich ruchem poruszyłaby się Europa cała, że pioruny zagrzmiałyby razem nad Wisłą, Dźwiną, Dnieprem, Renem, Odrą, i w Kronsztadzie, zdołamyż wstrzymać się od złorzeczeń? W takim pojęciu rzeczy dyktator był jednym z zabójców Polski; on jej sprawę europejską, sprawę całego świata zamknął w ciasnym obrębie poddaństwa, w granicach królestwa Aleksandra; spodlił jej święty charakter, odebrał jej siły, linią jej działań naturalną, ramiony o Bałtyk i Euxyn opierać się winną, oparł o jeden brzeg Wisły. Wy! co mnie czytacie, wróćcie się w tył o kart kilka, przypomnijcie moje przedstawienie dyktatora; ja w nim tylko człowieka widzę.

868) *Str. 197—206.* Bezprzykładną była gorliwość nasza dla sprawy, czy wogóle, czy pojedynczo uważana. Rzadki naród mógłby w tem z nami wytrzymać porównanie: nikt nam tego nie ujmie. Było to tło najpiękniejsze od odcisków bohaterstwa mas, łono do przyjęcia nasion cudownych w szczególnem działaniu zmartwychporodnem ludu; był u nas czarowny pociąg, skupiający siły w punkt jeden; ale gdzie był stempel,

tłoczący wszystko w formy życia? Niedość na ołtarzu ojczyzny złożyć w ofierze święty zakład związków lubych, niedość wydobyć gorliwością prywatną kilkadziesiąt tysięcy ze źródła milionów, niedość przez nią uzbroić kilkaset koni; potrzeba było wszystko skupić na stos ofiarny Matki, rzucić w ten ogień namiętności najświętsze i pomagać trawieniu grzebaczem miłości ogólnej, energią musomiłosną, aby z popiołów wznosił się ołtarz zmartwychwstania. Wszelki głos prywaty, cień interesu osobistego, związki nawet najświętsze zawieszane być były winny: bo wisiał topór nad narodem, bo z nim wszystko polskie ginęło razem.

...Narodzie przez nieszczęście ulubiony! chciałżeś czego innego, kiedy wyszedłszy z grobu pierwszym uczuciem twych piersi ulżonych była potrzeba natchnieniem dyktowana wrycia sił wszelkich w punkt jeden? Wszystko, coś działał wielkiego, zadziwiającego, cudownego nawet, płynęło z twojego bezprzykładnego poświęcenia się; wszystko zgubne, śmierć cię tłocząca ciąży na sumieniach, które poświęceniu się twemu kierunek dawały.

Posuwanie sił armii starej przez formowanie trzecich i czwartych batalionów w piechocie, a piątych i szóstych szwadronów w jeździe, szło przeciw porządniej.

Tu dyktator ma wiele zasługi pod względem nawet surowo od wieków nad Polską ciężącym. Edyktem swoim, wzywającym starych weteranów dymisyonowanych do obrony ojczyzny, stanowiąc, że każdy, wróciwszy po uwieńczeniu sprawy skutkiem zbawienia, dobrze zasłużony, otrzyma od niej w darze posiadłość gruntową prawem własności rzeczywistem.

Też była właściwa i jedyna pora przy najwyższym rygorzynie uwolnoszlachcić sprawę naszą przez własnodarstwo dziedziczne wieśniakom ziemi, ich potem sprawianej. Nie szło tu o usamowolnienie, bo w Królestwie Polskiem nie było innej chłopka niewoli, tylko niewola nędzy. W prowincjach przez Rosyę oderwanych jest przywiązanie jego do skiby, ale odwiązanie dokonać się może tylko pokonaniem Rosyi. W Polsce potrzeba i można było obdarzyć włościan własnością.

...Najlepszym dowodem naszego poświęcenia się dla ludów, narodowości i liberalności było w kraju własnym postępowanie,

przez które bylibyśmy wleli w żyły dawnej Polski truciznę zgubniejszą dla wrogów, ożywniejszą dla niej nad cały testament Konstytucyi 3-go maja.

...Wołaliśmy, że się bijemy za kogoś, a ten ktoś siedział spokojnie i dzisiaj na tło śmieszności cisnąc nasze pretensye, nieraz się bawi szyderstwo zbrodnicze. W domu to trzeba, w domu było dowodzić liberalności, a narodowość i liberalność w szerokich socyalności poskokach zyskałyby nieskończenie.

Ależ za dyktatury któż podniósł głos o to? A tu był czas jedyny rzucenia tego leku przeradającego, tej siły wypęczniającej kwiecistość opleśniałej krainy, bo po jej zalaniu hordami trudno było co przez ich fale przesunąć. Żołnierzowi, który poszedł bić się, trudno było coś zrobić na korzyść własności drugich, kiedy sam się z wszystkiego wyzuł, legał w śniegu lub błocie na ziemi własnej, aby jej błogość wywalczył. Wiem ja, że sprawa nasza pomyślnym skutkiem uwieńczona wrychle byłaby się wyplaciła z tego długu wieków, byłaby odkupioną za swój grzech pierworodny, i pocóżbym wrzeszczał i czernił mój naród? Ach! gdyby nie los niezblagany, prawda, że z błędów naszych zrodzony i ich się uczepiony, chłopiek nasz byłby dziś najzamożniejszy z pocących ziemię; bo czegoż nam brak pod względem rolnictwa, gdzie skiba tak przeważna i płodnością i obszarem nad ludność przygluszoną, ugorującą? Zgadzam się z tymi, co oplakują błąd ten, którzy choć nie głównie lecz wraz z tyłą innemi w roku 1831 nas zabił. Możnaż mieć ziemię bez gruntu, drzewo bez korzenia, budowę bez fundamentów i mas? Szczególniejsza, ojcowie nasi, o których nie można rzec, by byli zbyt zazdrośni o klejnot szlachectwa dla przybyszów¹⁾, tak twardymi okazali się dla braci chłopków. Nie bez fundamentu zdaje się zdanie: że pokolenie szlacheckie musiało być inne, które zdobyczą zagarnąwszy ziemię, samo wolne, wszystko na niej w niewolę obróciło.

...O ziemio moja złodolna! czegożeśmy nie powiedzieli o tobie? Złe, dobre, mądre, głupie, żal, rozpacz wołały na przemian bez przerwy nad grobem twoim; i kiedyż zawoła radość z two-

¹⁾ Za dowód tego może służyć to, iż Izraelita, skoro przyjął religię chrześcijańską, t. j. tak zwany neofita, był już z prawa szlachcicem.

jego zmartwychwstania? Filarze zdruzgotany, a jednak sterujący! Okopie, szańcu wolności rozryty, który przełazi dzisiaj zwierzę nieczyste! Pojmieź kto łatwo, że stać się możesz zawadą najstraszniejszą i najtrwalszą przeciwko temu, coś w starych wiekach i świeżo pieściła? a jednak niemniej to pewna, że wał opuszczony zasłaniał zawsze zdobywców. Zbliźmy się nieco do rzeczy; Polska zabita, będzie tak właśnie zawadą dla wolności ludów, jak zmartwychwstała byłaby jej twierdzą najmocniejszą. Duch zdobyczy i rozszerzania się jest w naturze człowieka i ludów; i duch narodu nie znika w jednej chwili z ziemi: ludy konają wiekami. Polonizm przeto torturowany nie odda tchnienia bez reakcyi wieków; reakcyja ta, jeśli nic innego nie zrodzi, niewątpliwie drażnić będzie namiętność podbójczą rosyjanizmu, a to podług mnie jest najstraszniejsza trucizna dla liberalizmu Sławian.

...Kto zna nasze ujarzmione przez Rosyę ziemie, z trwogi zadrzeć musi, jak tam łatwa wszelka narodowość sławiańska do zaprowadzenia i zniszczenia, bo żadna nie jest odcechowana; kto to ma na względzie, nie będzie lekcewał w sprawie naszej narodowości polskiej; ani tak niepodobnem w tym razie przenacyonalizowanie. Zabójcy nasi to dobrze czują; własnodarstwo chłopkom ziemi byłoby najwyższą ich klęską. Polonizm przez to w grobieby się młodził. Niestety! sejm nasz przeszły opieszale, zabójczo brał się do tego; prawda, że kwestyja ta co do dóbr narodowych wprowadzona, nieszczęściem trafiła na porę, w której najwięcej dzierżawców w nichże zasiadało w sejmie, nie mogła przeto rychło zdecydować się skutecznie; odłożona, nie wątpię wszakże, aby nie była dokonaną. Dzierżawcy ci są pijawkami kraju: panoszą się dobrem ogólnem i krwawą oracza pracą. W Litwie, szczególniejsz Kongresową Polską objętej, taki dzierżawca prowadzi ton udzielnego księcia Niemiec, jeśli jeszcze dobrze przesiąkł oberamtmanizmem pruskim. Tacy panowie przy odrodzeniu się sprawy narodowej polskiej, w swym egoizmie mało na nią rachując, ciągnęli zyski frymarchne z okoliczności źle kierowanych, uwalniali chłopków wykupujących się, a bili, tyranizowali, aby odstąpić od sprawy wolnej do niej powołanych, gdyż oni byli pierwszymi ludu komendantami.

Dość bito, dość tyranizowano u nas i w wojsku, a przecież rygoryzm być musi tylko służby i obowiązku; za niemi ani ruchu palca, ale tak jenerał, jak żołnierz nieomylnie rozstrzelanym być winien za niedopelnienie kreski zakonu, zbawić mającego ojczyznę. Był on w przeszłej sprawie naszej dość ciasny dla niższych, za przestronny dla wyższych.

B) Polska w apostazyi czyli w tak zwanym russo-sławianizmie i w apoteozie czyli w tak zwanym gallo-kosmopolityzmie, jako warunkach założenia i rozwiązania problemu etnologicznego w praktyce i wiedzy.

Paryż 1842.

Władzą twórczą jest rozum czysty, objawiający się w ciągłym pytajniku Czemu, wznoszącym się stopniowo aż do absolutnego Bo. Utrata czystości tej władzy w człowieku, konieczność posiłkowania się poznaniem empirycznym jest wpływem upadku człowieczeństwa. Dotychczasowy rozwój jego dziejów jest dążeniem do rehabilitacyi, do odzyskania dla rozumu możliwości działania a priori, do uczynienia go Słowem twórczem. Wszystko, co dziś przyjmuje jako konieczność, pojmie wówczas jako Prawo i będzie już samodzielnie stwarzał Przyszłość mocą nieskończonej »wirtualności«. W pracy ku temu celowi zmierzającej, przebyło już Człowieczeństwo cztery peryody. Każdemu z nich przewodniczył cel, będący stopniem w szeregu matematycznym, ustalony oczywiście dopiero dziś a posteriori, przez rozwiązanie »wiedzwiedzy« historycznej, którego dokonał Wroński. Pierwszemu więc — po zajęciu ziemi przez prokreacyjną siłę człowieka — peryodowi był celem Dobrobyt cielesny czyli uczucia (Assyrya, Babilon, Medya, Persya). Drugiemu Dobrobyt moralny, polegający na wolności politycznej. Zrealizował go świat grecki, a uniwersalizacyi jego dokonywał Rzym, który jednak wkońcu dopuścił się jego zabójstwa przez cesarstwo. Trzeci peryod dokonał przeniesienia nakazu moralnego z zewnątrz, gdzie istniał jako pojęcie obowiązku — funkcyą rozumu praktycznego — do wewnątrz, do sumienia człowieka, gdzie wystąpił jako pierwsze poczucie bóstwa w człowieku. »To jest znaczenie hebraizmu, Proroków i Mesyasza«. Ale to nowe światło przez to samo, że było jeszcze prostem objawieniem, nie mogło w tym trzecim peryodzie rozciągnąć się poza granice uczucia i wiary. Aby się stać samowiedzą i świadomą wolą, musiało przejść — po długiej walce uniwersalizujących je antytez: papieżstwa i cesarstwa rzymskiego — przez peryod czwarty, którego hasłem: Wolność myśli. Podstawowe tutaj principium k r y t y c z n e wydały Niemcy (reformacya). Principium to jest

jednak i rozkładowe zarazem; ustawiło ono naprzeciw siebie systematy sprzecznych opinii religijnych czy politycznych, ustawiło też w polarnych stosunkach do siebie narody. Jedynie tylko Umiejętność sama ponad to się wyniosła i utworzyła »prawdziwe stowarzyszenie umiętncze pomiędzy ludźmi, zapowiadające panowanie rozumu na ziemi«. Kwiatem — filozofia niemiecka. Ona to, doszedłszy do samowiedzy Słowa w człowieku, najbliżej dotarła peryodu piątego, do którego wstępujemy, a którego celem jest wyzwolenie tego Słowa z zapór fizycznych »objętych organizmem jego doczesnym«, czyli danie mu całkowitej swobody twórczej. Wówczas człowiek stanie się równy Człowieczeństwu, indywiduum będzie reprezentowało tę samą »wirtualność« i nieskończoność twórczą, co i universum. Że jednak od człowieka do człowieczeństwa przeskok olbrzymi, dlatego konieczny tu jest wyraz pośredni: zrównanie Narodu z Człowieczeństwem. Potem dopiero przyjdzie (w tym narodzie, który owego zrównania pierwszy dokona) zrównanie człowieka z narodem, a wówczas *eo ipso* zrównanie człowieka z człowieczeństwem. Wszystko to będzie dziełem Polski. Najbardziej ogólnonarodowa religijność a zarazem religijna jedność, tworząca z tego narodu prawdziwe Rycerstwo (zakon) chrześcijańskie, cechy umysłowe (uniwersalne zdolności), miłościwy stosunek do innych narodów, a wewnątrz Elekcya wolna, czyli wybór naczelnika rządu »przez tych Absolutów równości« i Liberum Veto, ten »wyraz jedyny, wielki, imponujący, majestatyczny«, który »już przypuszcza obywatela świętym« — wszystko to o posłannictwie świadczy. Niestety, tym obywatelem, który w Polsce przez *veto* zrównoważył się z państwem, był tylko szlachcic. Było dopiero zrównanie Stanu, a nie człowieka z narodem. Stąd osłabienie i wreszcie upadek: eliminacya narodu. Ale fakt ten, »zabijając naród szlachecki, nie zabił narodu polskiego, dla którego pozostało to samo zadanie do spełnienia«. Owszem eliminacya ta była konieczną dla naprawy wymienionego grzechu, a zarazem dla »okazania znamion narodu«. »Wiedzieć potrzeba, iż w założeniu każdego zadania istotnem i gruntującym są warunki za t w i e r d n e, samą swą warunkowością wymagające warunków zaprzecznych«. W zadaniu Polski pierwsze ujawniły się najdobitniej w apostazji wyrozumowanej własnych dzieci. Oto Gurowski i jego ohydny »wymiot« p. t. *Prawda co do Rosyi i Rewolucyi prowincyi polskich*. Drugie wyrażają się, jako w członkach narodu »jego dzieciach, żyjąca, a przez obcych, przez oddalonych uznana i dowodzona, racjonalnie gruntowna Apoteoza«. I oto jest znamienny, acz grubą skorupą materializmu obarczony i zadania absolutnego Polski nierozumiejący głos Francuza (Raspaila): *O Polsce nad brzegami Wisły i w emigracyi*. Jak apostazya ostatnim wyrazem Eliminacyi, tak znów apoteoza pierwszym wyrazem odrodzenia, zmartwychwstania czyli Ewaluacyi Narodu. Autor »uważa człowieczeństwo jako problem, który aby rozwiązać trzeba wyeliminować pewne wyrazy, a dopiero ewaluacya ich przyprowadzi do zrównania szeregów« (Mickiewicz). To zrównanie to solucya, etnologiczna czyli zupełne rozwiązanie narodowości na ziemi.

Ta solucya etnologiczna ma być poprzedzona naprzód solucyą u m y-

słow a, t. j. rozwiązaniem absolutnem wszystkich tajemnic wiedzy, następnie solucją religijną, t. j. absolutnem pogodzeniem wiary z rozumem, Prawdy z Dobrem. Autor kreśli drogi, jakimi naród jego jako wybrany dojdzie do obu tych solucyi, poczem przechodzi do trzeciego momentu solucyi etnologicznej — politycznego.

869) *Str. 136—144.* W całej Solucyi Religijno-etnologicznej dostrzegało się łatwo, że, lubo Religia, jako związek Nieskończoności pierwotnej twórczej ze Skończonością stworzoną, dla wyniesienia jej do stopnia Nieskończoności pochodnej, w czystości swej brana, jest w takim stosunku do wszelkiego interesu doczesnego, w jakim Stworzyciel do Stworzenia, a więc, w stosunku nieskończonym, przestępnym: wszakże, w operowaniu podniesienia ludzkości do swoich sfer nieśmiertelnych, dla jej samego ograniczenia, nie może być oderwaną od spraw ziemskich, człowieczeństwa, od ufundowania sprawiedliwości powszechnej, moralnego jego odtworzenia się w stosunkach społecznych. Miłość niebieska w rozlaniu się swem nieskończonym w stworzeniu pragnie zapełnić i uświęcić same interesa znikome; ani przeto zniżona jest. Jeżeli prawda, że bez sprawiedliwości niema Religii, i bez uczynków Wiary: nie przeto Doczesnością ma się określać Wieczność, tylko taka jest potrzeba jej własnej nieskończonej Przechylenia. Nie Religia zatem się zniża, lecz ziemskość podnosi się do Niebieskości w tym tu stosunku; w tem bowiem rozumieniu nie ma rozwiązania religijnego, bez rozwiązania ludzkości społecznego. Taki wpływ wzajemny nieskończoności na interesa doczesne jest trzecim momentem Solucyi Etnologicznej, Solucją Polityczną.

Starożytność, jakeśmy widzieli w Filozofii historyi, rozwijając w okresie drugim ludzkości cel drugi uniwersalny na ziemi, miała za zadanie Równość Polityczną i przez nią rozwiązanie Stanu. Jakoż, równość Człowieka z Człowiekiem prowadzi do równowagi Stanów w Państwie; a przeto, w ostatecznym następstwie, do zrównoważenia Stanów z Narodem; ani tam jeszcze może Człowiek równoważyć się z Narodem, ani Naród z Człowieczeństwem; aż przez przyjście Zbawcy Narodów zrównoważa się Człowiek w Człowieku, i w tem nowem zadaniu powstaje nowy szereg rozwinięcia się społecznego ludów

chrześcijańskich, którego wyrazem nowym i niezbyt dawno osiągniętym jest zrównoważenie Stanów w Narodzie, w państwach konstytucyjnych; ale nie jest to jeszcze zrównoważeniem Człowieka w Narodzie, ani Narodu w Człowieczeństwie, a tem mniej jeszcze zrównoważeniem Człowieka w Człowieczeństwie.

Już zaś zrównoważenie Człowieka w Narodzie i Narodu w Człowieczeństwie jest działaniem społecznym jednego rzędu, jedno przez drugie tylko dokonać się mogącem; a przez dokonanie ich obojga, dokona się zrównoważenie ostateczne i absolutne Człowieka z Człowieczeństwem. Przedewszystkiem zrozumiejmy się dobrze. Czegóż chce Ludzkość, tak żałośnie skargi rozwodząca na niesprawiedliwość, panującą w każdym dotychczasowym stanie jakiegobądź państwa? Jasna jest, że woła o równowagę Człowieka w Narodzie Jego, nietylko o równowagę Stanów w Nim; gdyż Stan przeważający ciemieży Człowieka dla zbytnej od siebie ich odległości. Ale zrównoważenie Człowieka z Narodem w nich samych jest niepodobne, przeto że wyraz, w którym się równoważą, (Człowieczeństwo) nie może być niemi objęty; dokona go więc jedynie zrównoważenie Narodu z Człowieczeństwem: ale zrównoważenie Narodu z Człowieczeństwem jest niepodobne w nich samych, przeto, że wyraz, przez który się równoważą (Człowiek), nie może być niemi objęty; dokona go więc jedynie zrównoważenie Narodu z Człowiekiem; i przez tę polarność opozycyjną, obadwa dokonane, dokonują zrównania politycznego Człowieka z Człowieczeństwem. Naród tedy, dokonywający Solucyi polityczno-etnologicznej, czyli zrównoważenia Narodu z Człowieczeństwem, ma mierzyć wewnątrzniemi swojemi siły do zrównoważenia w sobie Człowieka z Narodem. Stąd świętość osobista obywatela jego jest równoważna ze świętością Narodu; ten w nim skrzywdzi i zabije naród cały, kto w czemkolwiek bądź skrzywdzi prawo, równoważące z Narodem Obywatela. Tym sposobem Naród składa się z sumy potęg z sobą i z nim równoważnych tyłu, ile jest nietylko wyrazów, ale ilości w szeregu narodowym; i tak się tylko pojmuje ta ogromna potęga, wymagalna do zrównoważenia Narodu z Człowieczeństwem. U tego przeto ludu Wszechwładztwo polityczne, a nasamprzód władza prawodawcza, polegać będzie na równości Człowieka z Narodem, to

jest na zupełnej równoważności głosu Obywatela z Narodem całym. Atoli dla odległości jeszcze zbytecznej Człowieka od Człowieczeństwa, głos ten dalekim będzie, nader dalekim od znaczenia absolutnego, jakie już przecież miało miejsce w historii w sławnym *Liberum Veto*. Większość absolutna głosów w Narodzie takim, objawiona środkami absolutnymi, będzie Kryterium absolutnem Prawdy i Prawa. Wszakże ten charakter absolutny, przywiązany do większości, nie odbiera swojego znaczenia skądinąd, jak z principium absolutnego zrównania Człowieka z Człowieczeństwem, jako celu ostatecznego; a więc polega na absolutnej, koniecznej i rozkazującej powadze Rozumu, którego nieosiągniona, nieskończona doskonałość niemniej przeto osiąganą być powinna; przez nią tylko nabiera wagi i znaczenia głos większości; i przez nią także ten głos większości, zбитy w głos opinii, idzie kierunkiem, nadanym przez natężenie umysłowe z punktu najwyższej wybujałości tej siły twórczej w narodzie. Stąd wypływa zupełna wolność dyskusyi spraw publicznych, a przeto i środka koniecznego dla zbliżenia opinii, to jest Wolność absolutna druku; lecz obok tego absolutne szanowanie świętości, zarówno osobistej obywatela, jak społeczności.

Udział we Władzy Prawodawczej Człowieka w Narodzie jego jest wpływem równowagi ich z sobą w charakterze przeważającym Społeczeństwa nad Osobistością; lecz że społeczność nie może ani powinna wynosić się nad członki swoje dla własnej swej Nieskończoności; nawzajem osobistość nabywa na nią wpływu przeważnego: od jej podniesionego sumienia w stopniu równoważenia się narodowego zależy cała wysokość natężenia społecznego. Społeczność nie ma swojego sumienia, tylko w osobach swoich; nie dokonywa czynów jak przez nie. Że zaś dla zbytniego jeszcze oddalenia Człowieka od Człowieczeństwa, sumienie to nie może być zupełne i równe; powstaje potrzeba szykowania, porządkowania osób i czynów i ich wzajemnego wpływu na siebie: to jest potrzeba władzy wykonawczej, a wogóle potrzeba Rządu i uszczeblowania społecznego. Niezależną ona jest bynajmniej od Władzy Porównawczej; i Naród, wyznający absolutną równość w obliczu prawa, może być jeszcze najgorzej uszczeblowany, najprze-

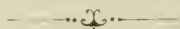
wrotniej rządzony. Jakiż rząd ma być właściwy u Narodu, rozwiązującego się etnologicznie, to jest, równoważącego się z Człowieczeństwem? Ponieważ Człowiek dalekim tu jeszcze od Człowieczeństwa, ale Naród już się ma zrównoważyć z Niem, Rząd jego ma być wykładnikiem potęgi osobistego wpływu na Społeczność, odpowiedniego temu zrównaniu: i wnet ponieważ Człowiek ma tu zrównoważać Naród, szczeblowanie jego czyli Graduacya, wynosząc się do nieskończoności, ma się rozwiązywać przez pierwiastki, dające sumienie ¹⁾ najściślejsze Członkom, naród składającym, ich współdziałania, jako współczynników tego wielkiego zrównania.

Z wpływu wzajemnego na się społeczności na Osobistość, to jest, ze zrównoważenia się Władzy Prawodawczej z Wykonawczą, wypada władza pośrednia, głównie Sprawiedliwość cechująca, i jej właściwa sfera w ocenieniu względnem czynów ludzkich, władza sądowa. Jakaż być winna tam, gdzie Naród ma być równy Człowieczeństwu, a Człowiek Narodowi, choć jeszcze nie przeto równy Człowiek Człowieczeństwu? W prawdzie nieśmiertelnej, w ugruntowaniu sprawiedliwości wiecznej, jest rozwiązanie absolutne Sądu: ale w stanie przechodnim ziemskości, w okresie zrównania się Człowieka z Narodem, właśnie dla tego samego zrównania się, odpowiadać ma Człowiek za sprawy swoje przed sądem swych bliźnich równych jemu; i ta jest zasada Sądu przysięgłych. Wszakże, że naród tylko mierzy do zrównoważenia Człowieczeństwa, a jego ekspresją czynną i umysłową jest Rząd jego i na powadze jego oparta siła czynna i umysłowa Sprawiedliwości i Prawa: ten sąd przysięgłych nie odbierze swego absolutnego znaczenia i powagi skądinąd, tylko z tego majestatu wszechmocy, zuniwersalizowanej widocznie, R o z u m u i P r a w a; wszelki Sąd jest pod jego kontrolą. Społeczność dlatego sądzi przez przysięgłych i swoją władzę, iż Osobistość przekroczyła z nią równowagę słuszną: i dlatego też właśnie Naród, równający się z Człowieczeństwem, ma eliminować to zerwanie, a więc i potrzebę samego Sądu. U niego świętość i szanowanie osobiste mają być kładzione na równi ze sprawiedliwością samą; nie

¹⁾ Sumienie znaczy u Bukatego tyle co świadomość.

wolno przez sprawiedliwość krzywdzić nikogo. Że zaś pójście pod sąd jest krzywdą najwyższą, zarówno skarżący jak oskarżony pod sąd i ten sam rygor prawa zewnętrzny iść winni: tak się odejmie zbyt ni pochoy obraźliwości i szukania sądu; a rygor sprawiedliwości wstrzyma zbrodniarza. Przez jedną najmniejszą niesprawiedliwość więzi się ludzkość cała. W równoważeniu się absolutnem Człowieka z Człowieczeństwem ani równy, ani społeczność cała, mieć nie będą, ani prawa, ani mocy sądenia Człowieka, dla zrównanej jego Indywidualności z Uniwersalnością.

Wypadkiem Sądu jest Kara. Kara absolutna jest kara śmierci; będzież ona miała miejsce w Narodzie, równoważącym się z Człowieczeństwem? Odpowiedź na to prosta: o ile przez Naród mierzy Człowiek do swej równowagi z Ludzkością, kara absolutna już zniesioną być winna; o ile oddalonym jeszcze, trwać w swej zupełności musi. Wypadkiem tego jest: Znosi się kara śmierci, ale tylko usunięciem powodów i środków zasłużenia i podlegania jej. Trudne to wszystko: ale takie jest zadanie dla Solucyi polityczno-etnologicznej.



CXI.

LUDWIK KRÓLIKOWSKI.

(1799—1878 (?)).

Pisarz ten i opowiadacz »słowa Bożego« emigracyjny umarł zapomniany tak, że krótkiego bodaj nekrologu nikt o nim nie napisał. Listy jego, których spory plik przechowuje muzeum Rapperswilskie, a kilka także biblioteka Jagiellońska, mało kiedy zajmują się osobistością piszącego, do życiorysu niewiele zatem przynoszą szczegółów; niezbyt wiele też i skądinąd można ich było wydobyć. Z faktu, że do Album uniwersytetu warszawskiego zapisany został 10 września 1823 r. jako 24-letni, trzeba wnosić, że urodził się w r. 1799. Miejsce urodzenia: Piotrkowice, obwód Stobnicki; gimnazjum i matura w Kielcach. W uniwersytecie zapisał się zrazu na wydział budownictwa i miernictwa, ale już w r. 1824 przeniósł się na oddział administracyi wydziału prawa i tam też na podstawie rozprawy p. t. »Rozbiór krytyczny opisu statystycznego Prus, znajdującego się w dziele Steina: Handbuch der Geografie und Statistik II. str. 167—300« i egzaminu, odbytego 27 września 1827, otrzymał stopień magistra administracyi. Ale studia jego ówczesne znacznie przekraczały te granice, jakieby z dat urzędowych wynikały. Wypełniając w kilkadziesiąt lat później jakiś kwestyona-ryusz, tak przedstawia obraz swego wykształcenia w odpowiedniej rubryce: »Un peu familiarisé avec le grec ancien, le hebreu, avec l'anglais, je sais le polonais, l'allemand, le latin. J'ai étudié le droit, la physique, la chimie, les sciences naturelles, la culture de plantes, l'anatomie, physiologie vegetale, humaine et surtout, autant que j'ai pu, j'ai cherché à profonder tout ce, qui concerne à la question sociale et les destinées de l'humanité, sans même négliger la théologie«. Jakoż dochowane w rękopisie prace, pisane na uniwersyteckie konkursy, wykazują istotnie wcale niepoślednie odczytanie przyrodnicze i filozoficzne, a zwracają się zawsze ku najbardziej już wówczas zaprzętającej umysł

autora kwestyi »szczęścia społeczeńskiego«. Jedna z nich — odpowiedź na pytanie: »Okazać, co należy rozumieć przez uwagę, odznaczyć ją od innych władz umysłowych, wyluszczyć jej działania i określić tych działań granice i t. d.« zdobyła nawet Królikowskiemu w r. 1827 drugą nagrodę t. j. medal złoty mniejszy¹⁾ i to na wydziale filozoficznym. Tak w tej jak i w innych, wcześniejszych od niej pracach (por. wykaz rękopisów na str. 442) uderza przede wszystkim oryginalny zespół materialistycznego tłumaczenia wszelkich zjawisk, nie wyłączając psychicznych, teorii poznania, jakby od A. Comte'a przyjętej, z równoczesną głęboką wiarą w prawdę i boskość nauki Chrystusa. W niej widzi Królikowski najwyższe i jedyne rozwiązanie kwestyi społecznej. To zarazem najważniejszy zadatek tych lat na przyszłość.

Związany był najściślej przyjaźnią, wspólnością studyów i ideałów z kolegami Teodorem Olechowskim i Bogdanem Jańskim. »Węzłem naszej przyjaźni — pisze w jednym z listów — była miłość ojczyzny, nauka i apostołstwo. Uznaliśmy, że połączenie nasze we trzech było spełnieniem rady ewangelicznej i dawało nam rękojmię spełnienia wszystkich obietnic Chrystusowych, tak w nas jako i w Ojczyźnie«. W r. 1827 wyruszył Królikowski z Olechowskim do Paryża. Stał w nim jednak dopiero w 1828 i to bez przyjaciela, którego choroba i śmierć w Berlinie zatrzymała go w tem mieście przez dłuższy czas. W Paryżu zastał już Jańskiego, który otrzymawszy stypendyum rządowe, wnet za nimi pojechał. Wkrótce razem utonęli w Saint-Simonizmie. Niebawem jednak przyjaźń nie wiadomo z jakiego powodu, ostygła, aż wreszcie rozłączył ich zupełnie r. 1831. Jański pozostał nadal w Paryżu, a Królikowski 11 kwietnia wyjechał do Warszawy. Przybywszy tu z początkiem czerwca, wstąpił zaraz do redakcyi »Gazety polskiej«, w której często umieszczał radykalne artykuły, a równocześnie, będąc członkiem Towarzystwa patryotycznego, od połowy lipca zasiadając nawet w jego Radzie, już tam podobno »zalecał Chrystusa i jego despotyzm«. Opuścił Warszawę jeszcze przed jej zdobyciem. Już 7 września tego roku otrzymał od Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego upoważnienie do założenia prywatnego pensjonatu wychowawczego w Krakowie. Zakład ten zdobył sobie wnet wyborną reputacyę, a Królikowski, dzięki niej, nawet skromny majątek. Wśród wychowanków nie brakło nawet paniczów, mimo że wychowawca słynął z ogromnej surowości, a był przytem zdeklarowanym wrogiem klas uprzywilejowanych. Całą duszą łączył się z »zasadami ludowemi« wyprawy Zaliwskiego, a wnet i swoje ogłosił w bezimiennym artykule, na ręce Mickiewicza przesłanym i drukowanym w ostatnim półarkuszu »Pielgrzyma« (1834) p. t. List apostołski z Warszawy. »Księgi pielgrzymstwa« musiały głęboko trafić do jego serca, i to tak treścią swoją

¹⁾ Wiadomość o tym medalu, zarówno jak poprzednią o dacie i miejscu urodzenia, oraz o rozprawie i dyplomie magistra, zawdzięczam p. Józefowi Bielińskiemu.

jak i tonem. I on bowiem całą swoją doktrynę społeczną wy dobył z Ewangelii. Wierzy mocno w rychłe spełnienie przepowiedni Apokalipsy, w Sąd ostateczny nad dzisiejszym światem i nastanie Królestwa Bożego, w którym nie będzie żadnego przywileju, nie będzie panów i sług, w którym lud sam będzie spożywał owoce swojej pracy, w którym nie będzie »oszustwa handlowego, ani wojny przemysłowej, ani nędzy i ucisku«. Wierzy też, że Polska jest tym kamieniem odrzuconym od budowy, o którym mówi Ewangelia, że ona przeto stanie się też kamieniem Nowego Przybytku. Emigracja powinna rozpocząć natychmiast stawianie fundamentów. Całe to orędzie Królikowskiego jest wielkiem do niej o to wołaniem. Nie przypuszczał może wówczas, że niedługo sam stanie w jej szeregach. We wrześniu r. 1839, na skutek orzeczenia policyi, że daje w swym zakładzie zatrudnienie osobom »pod względem politycznym mocno skompromitowanym«, że zatem »jeżeli podobnych zasad nie podziela, to przynajmniej, jako niedosyć przezorny w doborze nauczycieli domowych, zdaje się nie posiadać stosownych do stanu nauczycielskiego usposobień« — Senat Rządzący »wolnego, niepodległego i ściśle neutralnego« miasta Krakowa zamknął mu pensjonat. Jeszcze przed końcem tego roku znalazł się z żoną (ożenił się prawdopodobnie w pierwszych latach pobytu w Krakowie) i dwojgiem małych dzieci w Paryżu. Nadszarpany majątkowo nagle zwinięciem zakładu, wyszukał sobie zaraz jakieś zajęcie, przynoszące 1500 franków rocznie, i wziął się natychmiast do pracy apostołskiej. »Gdy powstanie gdzie jądro doskonałej społeczności, gmina wzorowa, cała ludzkość t. j. wszyscy wybrani zlecają się do niej« — pisał wówczas do J. N. Janowskiego. Chciał tedy czemprędzej taką gminę stworzyć, aby w ten sposób emigracja spełniła swoją misję. Z istniejących stronnictw nie zadawała go żadne. »Dla sprawy naszej ojczyzny i wszystkich ludów nie spisku i miecza potrzeba, ale słowa Bożego i apostołów, którzyby je opowiadali«. Werbował tedy do swej sprawy dawnych kolegów i znajomych (przeważnie bezskutecznie), a równocześnie wydał pierwsze obszerniejsze swoje pismo, w którym wyłożył, na jakim to słowie Bożem ma być wzorowa gmina oparta. Rzecz ta, w Krakowie jeszcze napisana, nosi tytuł: »Westchnienie pobożne za dynastję Czartoryskich w Polsce, przesłane z ziemi ucisku do synów jej w rozproszeniu«. Poruszony wieścią o powstaniu stronnictwa monarchicznego na emigracyi, uznał Królikowski za właściwe zwrócić się wprost do samego króla *de facto* z groźnem wezwaniem do pokuty i pouczyć go o obowiązkach chrześcijanina w istotnem tego słowa pojęciu. A trzeba z góry powiedzieć, że pojęcie to nie miało u Królikowskiego nic wspólnego z religią w zwykłym znaczeniu. Przemawia on wprawdzie zupełnie jak rozplómienny kaznodzieja z ambony, posługuje się nie setkami ale tysiącami cytat z Pisma świętego — ale w gruncie rzeczy chrystyanizm jest dla niego tylko najdoskonalszym systemem społecznym — systemem urzeczywistnionym niegdyś przez pierwszych

chrześcijan, pogrzebanym następnie przez najokropniejszymi obelgami zasypywany Kościół rzymski, a mającym się odrodzić teraz, lada chwila. Przepowiedziane powtórne przyjście Chrystusa to to odrodzenie właśnie. Zbliża się ono jako sąd nad wszelkiego rodzaju przywilejem, wyzyskiem i ciemnictwem. Nikomu bowiem nie wolno mieć nic ponadto, co sam zapracuje, a nawet trochę mniej niż to, aby nadwyżka żywiła starców, dzieci i kaleki. Stosunek człowieka do człowieka nie może być inny, jak tylko braterski. Nikt za pana uznawany nie będzie, prócz Boga. Władzę mogą sprawować tylko ci, o których jednomyślny wybór zaświadczy, że najbardziej się siebie wyrzekli i najbardziej goreją poświęceniem dla braci. Będą to nie panowie, ale słudzy kościoła czyli społeczeństwa, których ono też może każdej chwili odprawić, a godniejszymi zastąpić. Niema dla człowieka innego szczęścia, tylko szczęście społeczeństwa, którego jest członkiem. Niema też żadnej osobistej nieśmiertelności. To szatan, (czyli możni tego świata) wkradłszy się w kościół rzymski, wymyślił brednie o szczęściu pozagrobowym, aby, tam odesławszy marzenia ludzkie, tu na ziemi mógł bezkarnie wyzyskiwać i ciemzyć. Chrystus nigdy o żadnem zaziemskim Królestwie Bożem nie nauczał. »Nie z tego świata«, znaczy: nie z dzisiejszego, opartego na bezprawiu świata. Książę Czartoryski ma się zastanowić nad Ewangelią, której wyznawcą się być mieni; niech pojmie, że dotąd żył z cudzej pracy i potu, a pomny na zbliżający się dzień sądu Bożego, coprędzej wyrzeczce się swego nieprawego majątku i zbrodniczych pretensyi do panowania nad równymi sobie braćmi.

Wszystko to przypomina uderzająco Saint-Simonizm — a jednak Królikowski zupełnie się już wówczas Saint-Simona odrzekał. Sądził właśnie, że niema pogo szukać w nim nowego proroka, kiedy wszystko, co dobrego w jego teoryach, jest już zawarte w Ewangeli. Nie uświadamiał sobie prawdopodobnie tylko tego, że czytał tę Ewangelię z kluczem, przez St. Simonizm dorobionym.

W tym samym roku wydał jeszcze Królikowski przysłany sobie z Krakowa Memoriał historyczny i polityczny o stanie obecnym W. M. Krakowa i jego okręgu, na poparcie Adresu obywateli krakowskich, podanego rządowi francuskiemu i angielskiemu w październiku 1839, z dołączeniem zbioru dokumentów. Autorem tego wymownego protestu przeciw gwałtom rządów opiekuńczych był podobno Hilary Meciszewski; Królikowski zajął się opublikowaniem, dał swe nazwisko i przedmowę. Następnie przełożył ten memoriał na język francuski. W 1841 ukazała się znów jego staraniem bezimienna książka p. t. »Dziesięć obrazów z wyprawy do Polski 1833 r., poema z muzyką do dwu pieśni i czterema portretami ze stali. Jest to szereg scen dramatycznych (u. b. poetycko bardzo słabych i w wielkiej zależności od »Dziadów«), których bohaterami są główni męczennicy wyprawy Zaliwskiego: Wołowicz,

Kulczyński, Dziewicki, Zawisza, Konarski. Autorem samych obrazów jest Michał Chodźko, ale większą część obszernej książki wypełnia przedmowa i przypisy Królikowskiego. Program społeczny, który nieśli Polsce ci partyzanci, a którym natchniony jest także poemat, dał mu obszerne pole do rozwinięcia poglądów i kaznodziejskiego zapału. Poglądy na ogół te same, co w »Westchnieniu«, tu i ówdzie tylko w szczegółach wyraźniejsze. Więc przede wszystkim komunizm jako jedyne stanowcze rozwiązanie kwestyi społecznej, a własność jako źródło »osobnictwa«, a zatem wszystkiego złego na świecie. Więc zniesienie wszelkich ustaw i wszelkiego prawodawstwa, poza jedynym prawem miłości braterskiej. Więc wreszcie doskonalenie ducha, gimnastyka w wyrzekaniu się siebie, jako środek, aby tamto było możliwe. Wyraźniej sformułował tu Królikowski swoją wiarę w posłannictwo Polski, która pierwsza Królestwo Boże powinna u siebie realizować. Oczywiście nie może ona tutaj swej godności narodu wybranego zawdzięczać, jak u Mickiewicza i Krasińskiego, swej historycznej przeszłości, bo ta od ideałów Królikowskiego ogromnie była oddalona. Zawdzięcza tę mesyaniczną rolę faktowi, że najokrutniej doświadczysz na sobie bezprawia dzisiejszego ustroju świata, bardziej niż którykolwiek inny naród musi go mieć w obrzydzeniu i starać się o nowy, a dalej, że synowie jej lepiej od innych nauczyli się poświęcenie dla niej doprowadzać do ostatnich granic — do męczeństwa, jak pierwsi chrześcijanie. Tem to poświęceniem przede wszystkim zdobyli sobie uznanie Królikowskiego bohaterowie »Dziesięciu obrazów«, bo zręszta walkę orężną z wrogiem uważa on za nierozsądną. Jako jedyny środek zwycięstwa podaje apostołstwo słowa Bożego i stanowcze, bezwzględne odmawianie posłuszeństwa panującemu ciemństwu — znów torem pierwszych chrześcijan.

Pełniej też uwydatnia się w tej książce stosunek Królikowskiego do Biblii. Nie lekceważy on bynajmniej Zakonu Mojżeszowego. Nakazując Żydom Boga uznawać za jedyne swego Pana i Jego wolę za jedyne prawo, był Stary Zakon niewątpliwie aż do czasów Chrystusa najdoskonalszym. Tylko zachowanie własności osobistej, uprawnienie handlu i wyłączność narodowa były jego ułomnością, od której Nowy Zakon jest wolny. Ale Ewangelie były pisane tylko dla wtajemniczonych. Aby je zrozumieć, trzeba do nich wprzód doróść duchowo. Królikowski nie wątpi, że wszystko, co tam jest niby nadprzyrodzonego, cuda i t. p. to tylko symbole, ukrywające całkiem ziemską, socyalną naukę. Na dowód przytacza cały szereg swoich w tym duchu komentarzy.

Zwolenników swych teoryi musiał Królikowski znaleźć wśród emigracyi chyba niewielu. Zarówno »Trzeci Maj« jak demokracja potępiły jego doktrynę, a »P s z o n k a« nawet, obszerniej zajmwszy się »Dziesięcioma obrazami«, świetnie, acz niemiłosiernie, wydrwił je piórem Goszczyńskiego. Królikowski też zapałał odtąd do demokratycznej Centralizacyi większą jeszcze nienawiścią, niż do monarchistów.

Sam należał wówczas do redakcyi pisma »Zjednoczenie«, organu »gminy« polskiej w Hawrze, ale że w opiniach często się z niem nie zgadzał, począł od r. 1842 wydawać własną »Polską Chrystusową«, której trzy grube zeszyty ukazały się w latach 1842, 1843 i 1846. Komplet objętości przeszło 750 str. a w tem przeszło 650 samego Królikowskiego. Nadał on bowiem tej rzeczy charakter pisma peryodycznego tylko dlatego, że to najlepiej odpowiadało rodzajowi jego talentu. Cała jego obfita twórczość to właściwie szereg kazań. Prawił w gruncie rzeczy zawsze jedno i to samo, tylko w różnych przystosowaniach, nie wychodził przytem nigdy poza obręb ogólników, nie potrafił też skonstruować jednolitego dzieła, któreby przedstawiło wreszcie zupełny obraz jego idealnego społeczeństwa we wszystkich szczegółach życia i rozwiązywało, bodaj w teoryi i pozornie, trudności jego urzeczywistnienia. Poprzestawał na pisaniu krótszych lub dłuższych artykułów, a raczej listów apostolskich, które składał potem w całe tomy. Tu, w »Polsce Chrystusowej«, w obszernym artykule p. t. »Zjednoczenie« podał wreszcie niby plan zewnętrznej formy zespolenia się ludzi. Dowiadujemy się z niego, że każdy powinien sobie wyszukać dziewięciu umiłowanych braci i uspołecnić się z nimi i ich rodzinami w jedną rodzinę. Dziesięć takich rodzin utworzy orszak, dziesięć orszaków gromadę, dziesięć gromad gminę, dziesięć gmin zastęp, dziesięć zastępów naród, dziesięć narodów szczep, dziesięć szczepów wszechwładztwo. Dowiadujemy się dalej, że każda rodzina wybiera sobie jednego sługę dla swych spraw duchowych, Bogumiła, i jednego dla swych interesów materialnych, Bogusława. W orszaku Miłowie i Sławowie tworzą osobne dwie Rodziny służbowe, i oni już tylko wybierają wśród siebie Chrystomiła i Chrystosława. Tą samą metodą idzie dalej wybór sług Bożych aż do Wszemiła i Wszewłada, a odbywa się wszędzie jednomyślnie, w zupełnem poszanowaniu indywidualnego *liberum veto*, bo nie można nikomu inaczej, jak tylko miłościwie t. j. dobrowolnie być posłusznym. Ale co teraz ci ludzie w takim społeczeństwie robią, jaki jest podział pracy i jej harmonia i t. d. tego nie dowiemy się ani tu, ani nigdzie.

Można natomiast z »Polski Chrystusowej« lepiej niż z innych dzieł Królikowskiego poznać to, co stanowi rodzaj jego metafizyki. Jest on w gruncie rzeczy panteistą. Bóg przedstawia mu się jako powszechność, której najistotniejszym atrybutem, niemal samą istotą, jest miłość. Stąd najwyższem znamieniem człowieczeństwa, jako stanu natury najbliższego Bogu, jest usposobienie społeczne. A im bardziej wyrzeka się człowiek osobnictwa czyli indywidualności, a zlewa się z ogółem, rozpuszcza w zbiorowym duchu swoje ja, tem jest podobniejszym Bogu, tem mędrszym i potężniejszym. Osobnik to zwierzę, bo tej najbardziej Boskiej cechy t. j. powszechności się wyżył. Człowiek stopiony duchowo z ogółem, czuje się nieśmiertelnym, czuje żywot wieczny, bo ludzkość jest nieśmiertelna, tylko jednostki umie-

rają. Wolę Bożą stanowią odwieczne i niezmiennie prawa przyrody. W odniesieniu do siebie znajduje ją człowiek w głosie wewnętrznym swego sumienia (podobnie Towiański). Królikowski nie wątpi, że kto się w ten głos wsłuchuje, ten niezawodnie znajdzie tam nakaz miłości społecznej, i gdyby ludzkość nigdy żadnych innych, prócz tego jednego, nie słuchała głosów, gdyby jej nigdy czyjaś osobnicza, ludzka na miejsce Boskiej wdzierająca się wola, narzucaną nie była, to królestwo Boże, jedna owczarnia, dawnoby już było urzeczywistnione. Będzie jednak i tak, bo od Boskich praw przyrody można zboczyć, ale tryumf ostateczny zawsze przy nich być musi.

»Polska Chrystusowa« jest jedynem pismem Królikowskiego, które nosi jego nazwisko i to tylko jako wydawcy. Wszystkie inne są bezimienne. Stąd też tylko w związku z tem jednym dziełem zachowała się jego pamięć; a i to tylko głównie dzięki Mickiewiczowi, który je w swych wykładach wysoko podniósł, a autora zaliczył nawet do rzędu głównych filozofów polskich. Niemniej prawie poważnie traktuje go Libelt. Tylko Trentowski — zanim jeszcze w »Panteonie wiedzy ludzkiej« poddał obszerniejszej krytyce »Polskę Chrystusową«, już teraz w liście bez ogródek Królikowskiemu powiedział, że »na filozofii nie zna się wcale«. A w korespondencji był z nim dość częściej, bo naprzód Królikowski usiłował go, jak tylu innych, nawrócić na swoją wiarę, a powtóre, począwszy od r. 1842, miał swoją własną księgarnię (słowiańską), i Trentowski wszystkie swoje dzieła w komis mu powierzał. Czynił to także i Słowacki, który zresztą, podobnie jak Mickiewicz, pokrewieństwo pewne idei między Królikowskim a sobą upatrywał. (Por. Dzieła Słowackiego t. X, str. 350). Poza pracą apostolską i zarobkowaniem na utrzymanie rodziny, zajmował się jeszcze K. w tych latach bardzo gorliwie sprawą szkoły dla dzieci emigrantów, późniejszej batignolskiej. Od początku t. j. od maja 1841 r. zapisany w poczet członków założycieli Towarzystwa wychowania narodowego dzieci wychodźców polskich, miał tam z początku, jako były kierownik zakładu wychowawczego, głos bardzo poważny. Wybrano go na członka Rady, używano do redagowania odezw, powierzano wypracowywanie programów, oddano do spółki z generałami Dwernickim i Sznajdem administrację funduszów, chciano nawet oddać dyrekcję zakładu. Tej wówczas nie przyjął. Pracował energicznie przeszło rok, potem nagle dobrowolnie wystąpił z Rady, aby swą nieszczególną u rządu francuskiego reputacją dziełu nie szkodzić. Przyjęto ten krok z żalem. Ale kiedy w r. 1843, już po otwarciu szkoły, na nowo wstąpił, zaczął niebawem swem doktrynerstwem ciążyć, aż wreszcie, z powodu sporu z posłem Ledochowskim i zaciętości, z jaką tym sporem posiedzenia całe zaprzętał, został w czerwcu r. 1844 zmuszony moralnie do powtórnego ustąpienia, tym razem niepowrotnie ¹⁾.

¹⁾ Wszystkie szczegóły, dotyczące działalności K. w Towarzy-

Okolo r. 1846 widocznie zdobył nareszcie jakieś grono zwolenników, bo bezpośrednio po »Polsce Chrystusowej« rozpoczął wydawać nowe pismo, »Zbratnienie«, już jako organ »Braci zjednoczonych«. Jest to po prostu dalszy ciąg »Polski«, tak pod względem doktryny, jak i formy. Różnica tylko w tem, że mniej tu odsyłał do Pisma św. a więcej polemiki ze stronnictwami i dziennikarstwem emigracyjnem. Więcej też artykułów obcego pióra. Wyszedł jeden obszerny zeszyt tego pisma w r. 1847, zaczął wychodzić drugi z początkiem r. 1848, gdy nagle wstrząsnęły umysł Królikowskiego wypadki lutowe. Zrazu, wbrew swej dawnej teoryi unikania walki orężnej, którą już w trzecim zeszycie »Polski Chrystusowej« (z r. 1846) porzucił, uderzył na ostatnich marcowych kartkach »Zbratnienia« w hasło powstania. Rzucił przytem odrazu szkic projektu organizacyi sił narodowych, analogiczny zupełnie do przedstawnego powyżej planu uspołecznienia. Wnet jednak stracił nadzieję urzeczywistnienia tego planu, począł nawet prawdopodobnie wierzyć, że Francya Polskę w zgotowaniu Królestwa Bożego wyprzedzi, i wtedy to oddał się w całkowite lenno duchowe sławnemu podówczas twórcy t. zw. ikaryjskiego komunizmu, autorowi wielkiego utopijnego romansu »Voyage en Icarie«, Stefanowi Cabet. Pisma Cabeta jeszcze w r. 1841 polecał J. N. Janowskiemu, a w r. 1846, z widocznem już uwielbieniem, Trentowskiemu. Teraz może niedawno wydane dzieło »Le vrai Christianisme« przekonało go o zupełnej identyczności zasad — dość, że już w r. 1847 jest współpracownikiem organu Cabeta »Le populaire«, a od chwili, w której Cabet wyjechał do Ameryki, aby tam osobiście urządzić swą gminę komunistyczną (Ikaryę), t. j. od ostatnich dni grudnia 1848 r. zostaje naczelnym redaktorem tego pisma i pełnomocnikiem swego mistrza we Francyi. Trwał na tem stanowisku do października 1851 t. j. jak długo »Populaire« wychodził, oddany całą duszą. Ogromna korespondencya, jaką w tych latach z Cabetem prowadził, świadczy o bezgranicznem wprost przywiązaniu i poświęceniu. Przypłacił je nawet chwilowem więzieniem w czasie, gdy rząd francuski, chcąc zabić na opinii popularnego, a niebezpiecznego, jak mniemał, agitatora, wytoczył Cabetowi w jesieni 1849 proces o oszustwo, a sąd (niesłusznie) zaocznie go skazał. W ciągu czasu od r. 1849—1851 wydał znów Królikowski sześć broszurek francuskich pod wspólnym tytułem »Système de Fraternité«. Obejmują one, zwykłym u niego trybem, jego własne artykuły z »Populaire'a«, a także korespondencye innych tego pisma współpracowników, z Cabetem na czele. W doktrynie nic się tu nie zmieniło poza tem, że o posłannictwie Polski niema mowy. Za najdonioślejszą rzecz w tem dziele sam Królikowski uważa to, że usunął niby wszelką sprzeczność między komunizmem a wolnością. Już

stwie wychowania dzieci wychodźców polskich, zawdzięczam niezwykle uprzejmej pomocy p. W. Gasztowta w Paryżu.

w poprzednich pismach dowodził on, że w marzonym przez niego społeczeństwie — choć osobnik jest niczem, a gmina, czy zastęp, czy naród, czy — i t. d. wszystkim — to jednak równocześnie panuje największa swoboda. Nikt tu nie żąda jedności wyznania, każdy może wierzyć, w co mu się żywnie podoba; nie żąda też nikt jedności myśli i zdania, owszem zachowuje się prawo liberum veto, i nikt nie powinien być nikomu i niczemu inaczej posłuszny, tylko miłościwie t. j. dobrowolnie. Jedynym obowiązkiem prawdziwa miłość braterska. Ta będzie zawsze »strojem w rozstroju«. Otóż ten paradoks w »Zbratnieniu« i w »Système de Fraternité« rozwija ze szczególnym naciskiem.

Ostatni zeszyt *Système*, najobszerniejszy i całą tę »teorię szczęścia społeczeńskiego« wykładający, wyszedł w maju 1851, właśnie w chwili, gdy do Paryża wrócił Cabet, aby osobiście bronić się przed Trybunałem apelacyjnym, sądzącym powtórnie jego sprawę. (Tryumf Cabeta był zupełny). Wydawricтво wyznawcy nie znalazło łaski w oczach mistrza. Nietylko tożsamości zasad między nim a sobą Cabet nie stwierdził, ale nawet osądził, że Królikowski jego ideę podkopuje. A głównym kamieniem obrazy było właśnie to, czem się autor Systemu najbardziej szczycił — owo rzekome pogodzenie komunizmu z wolnością. (Nawiasem powiedziawszy, to najbardziej oryginalne marzenie Królikowskiego było zarazem pierwiastkiem rodzimo-polskim w jego nauce, bo przecie nie o inną, tylko o dawną szlachecką wolność tu chodzi). Nieporozumienie, które Królikowski nad wyraz boleśnie odczuł, zaczęło się wnet coraz bardziej powiększać przez intrygi jego kolegów w redakcyi »*Populaire'a*«, wreszcie nawet kobiece (pani Cabet), aż z końcem 1851 r. stosunek z Cabetem rozchwiał się zupełnie. Musiało to ogromną goryczą napełnić Królikowskiego, bo odtąd milknie na czas dłuższy. W r. 1854 próbował zapoczątkować drogą korespondencyi jakąś organizację komunistyczną polską w Ameryce, ale te zamysły przerwała mu jakaś ciężka klęska materyalna, która zmusiła do myślenia przedewszystkiem o chlebie. W poszukiwaniu go znalazł się w latach 1854--1856 w Bordeaux, gdzie otrzymał zajęcie w »*Compagnie des chemins de fer.*« W r. 1855 zamyślał o przeniesieniu się do Ameryki i już wchodził w układy z jakimś Towarzystwem kolonizacyjnym; w r. 1856 znalazł się nakoniec z powrotem w Paryżu, gdzie odtąd przez lat kilkanaście pracował na życie w biurze pewnego przedsiębiorstwa budowy okrętów. Ustaliwszy w ten sposób swój los, zabrał się natychmiast do nowej pracy apostolskiej. Zrazu w związku z jakąś nieznaną bliżej *Alliance chrétienne universelle* projektował propagandę tego stowarzyszenia wśród Słowian, a należał do niego jeszcze w r. 1861. Ale już w następnym formuje znów z Fourierystą Czyńskim, z którym jeszcze w »*Polsce Chrystusowej*« polemizował, jakiś nowy związek, z samych Polaków i Żydów złożony. Równocześnie zaś — zapewne dla zawstyżenia opornych jego propagandzie ludzi, wydał »*Pochwałę rodu*

gęsiego«, który żyje według prawa Bożego, zawsze społecznie, nie znając zupełnie osobnictwa. Przytem:

Nigdy myśl żadnej gęsi nie sięga poza grób,
Bo nigdy nie wychodzi ze społeczęńskich prób.

Cały ten utwór, krótki zresztą (48 stron), jest... poematem. Królikowski już w »Polsce Chrystusowej« i w »Zbratnieniu« występował z wierszami. Doradzając mianowicie jako dobry środek do wchodzenia w komunię duchową z braćmi śpiewy chóralne, sam sporządzał do tego celu różne pieśni, hymny i pobudki. Czasem też trafi się bajka, czasem znów wiersz, będący prostem przekuciem w rymy któregoś z własnych ustępów prozaicznych.

Powstanie 1863 skierowało żar apostołski Królikowskiego na nowo z wielką siłą ku Polsce. Wiedział on dobrze, że się na powstanie zanosi, i w »Pochwale rodu gęsiego« ostrzegał przed dyktaturą. Bał się go może, bo w tym samym utworze powraca do swej dawnej teorii antioreźnej, którą był w ostatnim zeszycie »Polski Chrystusowej« na »Rozbudki powstańcze« zamienił. Wnet też po upadku (1865) wydał grubą książkę p. t. »Zbawienie ojczyzny hasłem naszym«, w której »wszelkie niedojrzałe, na oślep czynione, patryotyczne niby przedsięwzięcia i usiłowania, które prócz rozdrażnienia i rozwścieklenia wroga, a strasznych klęsk narodowych, nie mogą mieć żadnego innego skutku«, wprost »głupie, jeżeli nie w najwyższym stopniu zbrodnicze«, mieni. Tem goręcej też odzywa się tutaj do młodego pokolenia, do nowej emigracyi przede wszystkim, aby zamiast takich porywów, doskonałość »społeczeńską« co prędeej realizowała, i na nowo jej obraz szeroko a rozwlekle. ogólnikowym zawsze i kaznodziejskim sposobem roztacza, nową paczkę wierszy też przydając. Dzieło to ma zresztą podtytuł: »Słowo z powodu pisma jakiegoś jegomościa, niby Anioła Bożego z Amatei, a rzeczywiście najemnego służalca ciemństwa habsburskiego w Polsce«. Chodzi o list pasterski ks. Antoniego Gałęckiego, biskupa amatejskiego, administratora dyecezyi krakowskiej, wzywający do lojalności wobec rządu i cesarza austriackiego, a ostrzegający przed agitacją powstańczą, a zwłaszcza odezwą p. n. »Suprema lex salus populi«. Ale w rzeczywistości ataki i obelgi na kościół rzymski, jakie ten list tutaj wywołał, pozostają w takiej samej tylko proporcji do reszty treści, jak i w poprzednich pismach tego autora. Uderzają natomiast bardzo gorące wezwania do Żydów. Był już wprawdzie i w »Polsce Chrystusowej« artykuł p. t. Słowo do Żydów, mieniący ich starszą bracią Polaków w świętem powołaniu, a wzywający do nawrócenia i wspólnej pracy nad Królestwem Bożem, ale tu, — zapewne pod wpływem wspomnianych już usiłowań organizacyjno-apostołskich, wspólnie z Czyńskim podjętych, kwestya ta została wprowadzona daleko goręcej i szerzej.

Jak się owe usiłowania skończyły, nie wiadomo; z końcem r. 1866 jest Królikowski członkiem, a zapewne i założycielem związku p. n. »Zbratnienie wszystkich wyznań«, ale wśród nazwisk apostołów tego związku, które komunikuje w liście Mierosławskiemu, niema ani jednego z tych, które poprzednio spotykamy w korespondencji z Czyńskim. Niema i samego Czyńskiego, choć jest inny Fourierysta, St. Bratkowski. To pewna, że były to wszystko działania, nie mające nic wspólnego z ówczesnymi głośniejszemi organizacyami socyalnemi, bo Królikowski utopijnością wszystkie przerastał i ze swym *liberum veto* nigdzie na długo zmieścić się nie mógł. Niemniej jednak wszystkie pilnie musiał obserwować i wszędzie głosu ze swego Królestwa Bożego nasłuchiwał. Teraz zainteresował go z jednej strony panslawizm, z drugiej nihilizm rosyjski. Już dawniej, myśląc o »Chrystusowej Polsce«, pragnął, aby ona stała się bramą naprzód do Chrystusowej Słowiańszczyzny, a poza tą dopiero wrota Chrystusowej Ludzkości — jednej owczarni, mu widniały. Ale dotąd ta Słowiańszczyzna nie miała w jego pismach żadnej wyraźnej treści, bo nie wiedział, do jakich Słowian poza Polakami warto się odezwać. W r. 1868 nareszcie postanowił zaapelować do nihilistów. Jakieś trudności jednak opóźniły wydanie tej odezwy aż do r. 1874, a że tymczasem narosło różnego materiału, więc książka, która się w owym roku w Zurichu (a więc w głównem gnieździe nihilistów) ukazała, jest jedną z najgrubszych, jakie Królikowski wydał. Tytuł nosi: »Do Panslawistów. Pogłos z odwiedzin niby słowiańskich w Moskwie 1867«. Ale temu tytułowi odpowiada naprawdę tylko pierwszych trzydzieści parę stron, wypełnionych rymowanemi obelgami na ówczesnych przedstawicieli panslawizmu, którzy »dla rozboju tylko chcą być Słowianami«. Potem idzie około 2000 maksym, najczęściej dwuwierszowych, streszczających całą doktrynę, wszystkie jej marzenia, wszystkie miłości i nienawiści. Pouczają o idealnej gminie słowiańskiej, czyli naprawdę »prawosławnej«, o jej rozwoju aż do Wszechgminy, pouczają o tem, co to jest Prawda i jak ją poznać, o tem, co to jest prawdziwy Chrystus, to znów przedstawiają dzisiejsze zaślepienie Żydów i wzywają ich, aby z niego wyszli, jak Jonasz z wnętrzości ryby, to znów głoszą konieczność i świętość *liberum veto*. Jedne i te same myśli, powtarzane wciąż na tysiące sposobów. Trzeba przebrnąć całą tę powódź rymów, aby dotrzeć nareszcie do upragnionej prozy, która w postaci obszernego pisma »Do Braci Moskali Nicestniaków« stanowi właściwy punkt ciężkości całej książki. Królikowski ceni w nich zresztą tylko dobrą wolę i na tej podstawie spodziewa się nawrócenia, ale teorye ich, poznane czy to z artykułów w piśmie »Narodnoje dieło«, czy z występów Bakunina na kongresie Ligi wolności i pokoju w Bernie (1869), potępia najzupełniej. Są one bowiem, jego zdaniem, wyłącznie negatywne, »nicestne«, nie mówią nic o Chrystusie i o jedynej społecznej ustawie: prawie miłości; owszem, i Boga i Chrystusa zupełnie się odrzekają,

natomiast szermują Proudhonem, którego Królikowski w dawnej chowa nienawiści, wreszcie pozytywizmem »Konciaków i Litrzaków« (od Comte'a i Littré'go), który może mieć wartość dla nauki, więc dla niektórych, ale zgoła nie ma wartości religijnej czyli społecznej, więc dla wszystkich. Przedewszystkiem żaden systemat społeczny, choćby najlepszy, nie może być zrozumiany i z pełnią świadomości przyjęty przez wszystkich, bo wszakże większość ludzkości jest nieoświecona. W rezultacie więc trzebaby go tej większości narzucić, taksamo jak ukazy, przemocą egzekwować, zbawiać zatem mimo woli zbawianych. To się godności ludzkiej sprzeciwia. Tymczasem Królikowski głosi jedną tylko Chrystusową zasadę miłości i zbratnienia, a to nie teoria ani prawodawstwo, tylko praktyka. Ale »Konciaki« ani do teorii dobrej dojść nie mogą, bo oni to, co być powinno, określić usiłują na podstawie tego, co było i co jest »tak właśnie, jakby ze znikomości można było wysnuć wiecznotrwałość«. Kończy Królikowski tę długą polemikę Odezwą miłościwą do Braci Moskali Nicestniaków, powołującą dwunastu Apostołów Słowian do prawdziwej służby Bożej, propagandy samej tylko miłości braterskiej. Sam nie poniechał jej do ostatniego tchnienia. Z listów wynika, że jeszcze w 1875 r. miał około siebie grono ludzi, z którymi odprawiał wspólne »modły«, a znajdując za mało zwolenników w Paryżu, starał się koniecznie ściągnąć nowych to z kraju, to ze Szwajcaryi. Układa w tym czasie nowy *Projet de Statut pour la Société fraternelle*, zaczyna też pisywać do »*Religion laïque*«, pisma redagowanego przez niejakiego Karola Fauvety, gdzie np. podaje *Explications des Mystères du Christianisme*. Czując coraz większy ciężar wieku, pragnął koniecznie znaleźć jednego przynajmniej człowieka, któryby go mógł kiedyś w »Służbie świętej« zastąpić. Upatrzył sobie nawet do tego celu jakiegoś młodego Polaka, który świeżo w Monachium doktorat medycyny uzyskał, i wzywał go przez kilka lat szeregiem gorących listów. Z końcem r. 1876 przeniósł się do Ameryki, do swojej, zamieszkałej w New Yorku, zamężnej córki. Częścią może upadające zdrowie kazało mu szukać jej opieki, częścią zaś spodziewał się znaleźć tam nowe pole działania. Jakoż choć od sierpnia 1877 jest już sparaliżowany, nie ustaje w pracy ani na chwilę. Cudzą ręką się wyręczając, pisze jeszcze odezwy i artykuły apostolskie do »*Etoile du Kansas et de Jova*«, pisma Juliusza Leroux. Wzywa tamtejszych Ikaryjczyków do porzucenia »*le malheur originaire de Cabet et de ses disciples*« qui »*avait sa source dans leur prétension chimérique de marier la Fraternité, la Dictature et le Parlamentarisme*«. Tamże drukuje »*Appel apostolique adressé aux Reverends Pasteurs des tous les Cultes*«, po którym spodziewa się doniosłych skutków, a w przygotowaniu ma takich publikacyi daleko więcej. Równocześnie zaklina wciąż owego przyjaciela lekarza, aby przybył do Ameryki, gdzie zupełna swoboda działania. a 300.000 Polaków oczekuje apostoła. Oddanie komuś godnemu wy-

suwającego się już ze stygnącej ręki dzieła, staje się teraz głównem pragnieniem fanatycznego starca. Nie mając już przed upatrzonym spadkobiercą żadnych tajemnic, wyjawia mu wreszcie w przedostatnim liście z 1 sierpnia 1878 rzecz, której w pismach swych nie śmiał wyraźnie wyrzec — przekonanie, że Chrystus nigdy nie istniał. »Le Christianisme n'a pas été conçu et fondé par un seul individu, mais par un certain nombre de patriotes Juifs, les plus exaltés, qui voyant leur plus pur devouement tout a fait stérile contre la puissance romaine, dans leur recueillement et dans leur piété la plus exaltée furent inspirés et éclairés des idées mieux fondées et plus salutaires, non seulement pour leur patrie, mais pour toute l'Humanité«.

Osobliwsze zjawisko! Wielcy mesyaniści polscy upatrywali w upadku Polski analogię z męką Chrystusa — Królikowski odwrotnie: początki Chrystyanizmu wytłumaczył sobie najwyraźniej przez analogię ówczesnego położenia Żydów do dzisiejszego położenia Polaków.

Umarł Królikowski najprawdopodobniej jeszcze w tym samym r. 1878.

BIBLIOGRAFIA.

I. Pisma: A) Drukowane. 1) »List apostolski z Warszawy«. »Pielgrzym« (czasopismo paryskie) 1834. 2) »Westchnienie pobożne za dynastję Czartoryskich w Polsce, przesłane z ziemi ucisku do synów jej w rozproszeniu«. Paryż 1840. 3) »Przedmowa do książki p. t. Memoryał historyczny i polityczny o stanie obecnym W. M. Krakowa i jego okręgu, na poparcie Adresu obywateli krakowskich podanego Rządowi francuskiemu i angielskiemu w październiku 1839, z dołączeniem zbioru dokumentów«. Paryż 1840. 4) Toż samo po francusku p. n. »Mémoire historique et politique sur l'état actuel de la ville libre de Cracovie«. Paris 1840. 5) Przedmowa i bardzo obszernie przypisy do książki p. t. Dziesięć obrazów z wyprawy do Polski 1833 r., poema z muzyką do dwu pieśni i czterema portretami ze stali. Paryż 1841. 6) »Polska Chrystusowa«, pismo poświęcone za sdom społecznym, wydawane staraniem... Paryż, tom I, zeszyt I, 1842, II 1843, tom II, zeszyt I, 1846. 7) »Zbratnienie«, pismo poświęcone sprawie polskiej. Paryż 1847. 8) »Système de fraternité«, 6 livraisons. Paris 1849—1851. 9) »Pochwała rodu gęsiego, wypowiedziana przed obliczem Bożem, ku przestrodze i zbudowaniu braci, szukających zbawienia wiecznego swojej ojczyzny«. Paryż 1862. 10) »Zbawienie ojczyzny hasłem naszym!« Słowo z powodu pisma jakiegoś jegomościa, niby Anioła Bożego z Amatei, a rzeczywiście najemnego służalca ciemniństwa habsburskiego w Polsce. Bendlikon 1865. 11) »Do panslawi-

stów. Pogłos z odwiedzin niby słowiańskich w Moskwie 1867 r. « Część pierwsza. Zurich 1868—1874.

Prócz tego artykuły w czasopismach: »Gazecie polskiej« z 1831 r. »Zjednoczeniu« (Paryż 1841—2); »Le Populaire« (Paryż 1848—51), »Religion laïque« (Paryż 1876—7); »Etoile du Kansas et de Jova« (Corning w Jova, w Stanach Zjednoczonych 1877).

Listy dwa do Edmunda Calliera o Bogdanie Jańskim, wydrukował adresat w książce p. t. Bogdan Jański. Poznań 1876 (część III, str. 5—12).

B) Rękopisy: 1) Jaki może być wpływ upowszechnienia zasad ekonomii politycznej na podział bogactw i moralność narodu. 1825 r., stron ćwierćarkuszowych 44. 2) »Ogólne uwagi nad porządkiem przyrodzonym, nad zdolnościami człowieka i nad jego ukształceniem moralnem, stosownem do potrzeb towarzyskich«. 1826, str. j. w. 22. 3) »Odpowiedź na zadanie o uwadze«. 1826/7, str. j. w. 104. 4) »Słowo grzesznika o związku miłości bliźnich z poznaniem prawdy i powszechnem szczęściem rodziny ludzkiej«. 1831. 5) »O wdzięczności«. Kraków 22 lipca 1834. 6) »Wyznanie wiary«. (Drukowane jako wstęp do »Polski Chrystusowej«). 7) »Zjednoczenie«. (Drukowane w »Polsce Chr.«) 8) »O narodowości« 1842. 9) »La doctrine sociale de Jesu Christ c'est la communauté«. 10) »Des miracles«. 11) »Słowiaństwo«. 12) »Zajrzyjmy w siebie« (Duży zbiór wierszy i artykułów). 13) »Tak Żyd jak nie Żyd potrzebuje dostąpić zbawienia«. (Drukowane w książce »Do panslawistów«). 14) »Polanka wiernych Bogu«. (Wiersze z r. 1876). Wszystkie te rękopisy znajdują się w bibliotece muzeum Rapperswilskiego.

II. C) O Królikowskim. Życiorysu nie było dotąd zupełnie, z wyjątkiem pobieżnego artykułu Wł. Strz. w Wielkiej Encyklopedyi ilustrowanej. Serya I, tom XLII. O książkach pisano tylko dwóch: »O dziesięciu obrazach« Sew. Goszczyński w »Pszonce« z 1842 (marzec i kwiecień); por. toż samo w Dziełach S. G. ed. Zyg. Wasilewskiego tom IV, str. 198—206; i o »Polsce Chrystusowej« Mickiewicz w kursie III Lit. Słow. lekcyą XXIV, Libelt w książce p. t. »Samo-władztwo rozumu i objawy filozofii słowiańskiej«. Poznań 1845 str. 154—164; Trentowski w »Panteonie wiedzy ludzkiej«, tom II str. 182—200; wreszcie Chmielowski w rozprawie o »Filozoficznych poglądach Mickiewicza« (Warszawa 1899) str. 66—69.

Pewne szczegóły znaleźć można jeszcze w dziele B. Limanowskiego »Historya ruchu społecznego w XIX w.« w rozdziale IV o komunistach, oraz w wielkiej monografii J. Prudhomeaux p. t. »Icarie et son fondateur, Etienne Cabet«. Paris 1907.

Polska Chrystusowa,

pismo poświęcone zasadom społecznym (Paryż 1842—1846).

Wśród wielu artykułów, wypełniających trzy zeszyty tego pisma, główne miejsce zajmuje traktat »O zjednoczeniu«, jedyny systematyczniejszy wykład teorii Królikowskiego, zawierający też plan organizacji społeczeństwa. (Zeszyt II, str. 209—383). Dopelniają go — zwłaszcza oświeceniem duchowej strony społecznego życia człowieka, artykuły »O modlitwie« (zeszyt I, str. 8—80) i »O komunii świętej«. Pierwszy wywodzi, że słowo modlić się znaczy tyle, co doskonalić się, bo pochodzi ono od modła; podaje też wszelkie sposoby i środki umiejętności takiego modlenia się i ukazuje jego owoce. Ten artykuł szczególniej podobał się Mickiewiczowi. Drugi (I, str. 113—122) poleca praktykowanie komunii świętej, czyli ćwiczeń w pełnem miłości łączeniu się z duchem zbiorowym braci, w umiejętności wyrzekania się siebie, zatracania własnej indywidualności. Prócz tych zasługuje jeszcze na uwagę ze względu na wojowniczy stosunek autora do głównych stronnictw emigracyjnych artykuł p. t. »Rozbudki powstańcze. (Zesz. III, str. 63—204). Prócz prac Królikowskiego, znajduje się w »Polsce Chrystusowej« jeden większy artykuł Jana Czyńskiego p. t. »Urządzenie gminy« (po prostu Falanster Fouriera), z którym Królikowski następnie obszernie polemizuje, wywołując tem znowu replikę; rzecz p. t. »Trzy widzenia« Zenona Świętosławskiego, tegoż »Przyszłe powstanie Polski« i wreszcie Mowa w rocznicę listopadowego powstania, Stanisława Iwanowskiego. Prawdopodobnie też wśród wierszy niektóre są obcego pióra.

Nadanie własności.

870) *Str. 99—101.* Usiłowania wieczne całej nawet Ludzkości nie potrafią przydać ani jednego pyłku do tego, czem Ojciec niebieski Rodzinę ludzką udarował i uposażył — nie zdołają nawet zmienić przyrodzonych własności żadnego atomu, wchodzącego do składu Wszechświata, a wy niezbożnie marzycie o nadaniu własności, o nadaniu przywileju używania i nadużywania darów Bożych — prawicie o nadaniu własności: przez kogo?... z czego?... komu?... Któż sobie przywłaszczy rozdawnictwo tego, co jest Boże?... Kto może mieć świętokradzkie prawo do rozdawania ziemi polskiej, nawet pomiędzy Lud polski, zwłaszcza z wolnością używania jej podług swojej woli i upodobania?... Do kogóż ona innego należeć może, jeżeli nie do Ludu polskiego, który ją swojemi łzami i krwią i potem od tyłu wieków ustawicznie skrapia?... Zbrodnią surowej kary go-

dną byłoby, w czasie potrzeby Ojczyzny zatrzymywać w swoim posiadaniu działa i używać ich podług swej woli i upodobania, zamiast oddać je w ręce najbieglejszych i najnotliwszych artylerzystów; zbrodnią jest zawsze wzniecającą powszechne oburzenie, zatrzymywać żywność w czasie publicznego głodu i używać jej podług swojej woli i upodobania, zamiast podług potrzeby umierających z głodu braci; nie jestże daleko większą zbrodnią przywłaszczać sobie samą ziemię — źródło wszelkiego dostatku i bogactwa Rodziny ludzkiej — używać jej na swoją wyłączną korzyść i według swojej woli i upodobania rozporządzać, bez żadnego względu na Boga i bliźnich?..

Z jednego słówka, napróżno wyrzeczonego, mamy zdać Bogu rachunek; nie godzi się nam zatem używać, nawet i języka własnego podług swej woli i upodobania, a wy całą ziemię narodową, najdroższy i najświętszy skarb każdego Ludu, jedyny jego posąg, z ręki Ojca niebieskiego otrzymany, chcecie płocho, lekkomyślnie i świętokradzko rzucić na pastwę samolubstwa, wyłączności, łakomstwa, wystawności, pychy, zbytku, rozpusty i wszystkich występnych żądz, które są wiecznymi i nieodstępными towarzyszami wszelkich przywilejów, przywłaszczeń i panowania nad Bracią, i które się nigdy ciemnotą, spodleniem, niewolą i nędzą Ludu nasycić nie mogą.

Cóż czyni . . . i podobne do niego , których bardzo często nawet na jednej ubogiej zagrodzie napotkać można? Czyliż oni także nie roszczą sobie niezbożnie prawa do zarządzania wszystkim podług woli swojej i upodobania, co przez swoją nieprawość, przywilej, przywłaszczenie, kłamstwo, oszustwo, przemoc i uprawniony rozbój na ubogim, pracowitym i bezbronnym Ludzie zyskali!.. Czyliż . . . także nie rozdaje świętokradzko naszej świętej ziemi pomiędzy największych wyrodków, którzy celują podłością, przewrotnością i służalstwem, i którzy w rozboju przeciwko drogiej naszej Ojczyźnie najwięcej się odznaczyli?..

A jeżeli ziemia żadnego narodu nie powinna być rozdawana, wspaniałomyślnie , ale według woli Boga, — według Jego świętej i odwiecznej sprawiedliwości — według warunków szczęścia społeczeńskiego — według potrzeby Oj-

czynny; wy, którzy nie szukacie znajomości Woli Bożej, którzy się nie troszczycie bynajmniej o Królestwo Boże i Jego Sprawiedliwość, którzy wyśmiewacie badanie warunków szczęścia społeczeńskiego, i dla których potrzeby Ojczyzny są jedynie środkiem dogadzania swoim żądom i przesądom, jak śmiecie przywłaszczać sobie świętokradzko to rozdawnictwo? Jak śmiecie marzyć o rozdawaniu własności, z wolnością używania jej podług woli osobniczej, nawet najwystępniejszej, i takiegoż samego upodobania? Jak śmiecie to nazywać nadaniem, co może być jedynie dopełnieniem obowiązku względem Boga i Ludzkości?... Jeżeli Sprawiedliwość Boża wymaga, aby Włóścianie polscy byli właścicielami uprawianej przez siebie roli, jak śmiecie to nazywać nadaniem — darem, co być może jedynie prostem oddaniem — zwróceniem tego Ludowi wiejskiemu, co mu się od wieków należy, i co mu już wyroki Boże, zapisane w sercu wszystkich ludzi prawych, przyznają i przysądzają?... Jeżeli zaś przeciwnie Sprawiedliwość Boża inne nadaje przeznaczenie ziemi — jeżeli zbrodnią jest drobić ją, rozdzierać, rozrzucać na ślepo pomiędzy złych i dobrych, gnuśnych i pracowitych, nieuków i umiejętnych, niedołęgów i dzielnych Synów Ojczyzny; jak śmiecie niezbożnie wdzierać się w rząd Boży i świętokradzko rozdawać to, co nigdy nie powinno być rozdane, i czego nikt, bez dopuszczenia się ciężkiej przeciw Bogu i Ludzkości zbrodni, przywłaszczać sobie żadnym sposobem nie powinien?..

871) *Str. 106—108.* Jeżeli rozdacie ziemię polską pomiędzy wszystkich, największej się nedorzeczności dopuścicie; pogwałcicie najgłówniejsze zasady gospodarstwa narodowego; zmarnotrawicie siłę produkcyjną roli w całym kraju; rozerwiecie i rozproszycie jeszcze więcej niż dziś społeczność narodową; zamkniecie każdego właściciela, jak ślimaka, w ciasnym obrębie ubogiej zagrody, zaledwo wystarczającej na samo liche wyżywienie; zrobicie z całą Polską to, coby się z nami samymi stało, gdybyśmy upornie i zapamiętale nie chcieli w potrzebie używać razem i wspólnie wszystkich członków naszego ciała, ale skazywali je wszystkie na to, aby każdy z nich żył i służył sobie, osobno — każdy swoim dworem -- każdy w sobie

i dla siebie, aby nawet żaden palec nie mógł się z innymi członkami ciała łączyć do służenia całemu ciału.

Tym sposobem zahipotekujecie ciemnotę, spodlenie i nędzę całego Ludu, ścieśnicie dla całej Polski wrota do Królestwa Bożego; bo zmusicie każdego, aby żył samolubnie w odosobnieniu — aby przedewszystkiem pamiętał o sobie — sobą samym się zajmował, a sprawę społeczeńską — sprawę Królestwa Bożego, zostawił wyłącznie wzgardzonym przez siebie utopistom i marzycielom, i najwyższe nawet dla dobra ogółu poświęcenia poczytywał za nierozsądek i zagorzałość, niosące cierpienia, nędzę i zgubę dla rodzin.

Jeżeli zaś chcecie rozdać ziemię pomiędzy pewną tylko liczbę mieszkańców, a nie pomiędzy wszystkich, na jakiejże się oprzecie zasadzie?... Czyliż na sprawiedliwości i równości, które nieszczerze, albo też bez dostatecznego wyrozumienia, za godło wszystkich swoich teorii przyjmujecie?... Dlaczegoż wyłączycie więcej niż połowę swoich spółziomków od używania tego dobrodziejstwa?... Godziż się wam wydzierać własność ziemską jednym, rozdawać ją pomiędzy drugich, ale tylko niektórych; a odmawiać jej dla przeważnej większości całego narodu?... Dlaczegoż mielibyście święte poszanowanie dla wszelkiej innej własności, prócz dla wielkiej własności gruntowej?... Cóż będzie prawidłem waszego postępowania i gdzie wasza krzycząca niesprawiedliwość znajdzie dla siebie granicę?... Nie jestże to największy nierozum działać na oślep i bez żadnej zasady, któraby w dobru pospolitem i sprawiedliwości Bożej odwiecznej znalazła potwierdzenie?... Jeżeli chcecie bezwarunkowo liczbę właścicieli pomnożyć, czemuż się nie staracie o nadanie własności dla wszystkich bez wyjątku?... Czemże usprawiedliczycie wyjątek, i jakąż mu naznaczycie granicę?... Czemże się różnić będziecie od . . . , który swoje szalone pomysły całym narodom za prawo samowolnie i gwałtem narzuca?..

Sami wyznajecie, iż: »człowiek ustawicznie pchany namiętnością ku posiadaniu, użył najprzód ziemi, poszukał jej poza wodami, wejrzał w jej wnętrze; ale ani ziemia, ani wody, nie nasyciły jego żądy, — targnął się na podobnego sobie, swego równego, jak on, pana ziemi«. Jeżeli każdego człowieka uznajecie panem ziemi; jeżeli jesteście przekonani, że każdy jest

ustawicznie pchany żądzą ku posiadaniu, dlaczegóż nie staracie się o to, aby każdy wasz spółziomek był rzeczywiście panem ziemi; i aby żaden nie był daremnie, jak Tantal, trapiiony żądzą posiadania? Albo przynajmniej czemuż się nie staracie o to, aby żaden pan ziemi nie umierał z nędzy i głodu?.. Gdybyście wynaleźli sposób zapewnienia każdemu, chrześcijańskiego pożywienia, odzienia i pomieszkania, znikłaby wtenczas dla każdego potrzeba posiadania; zbieranie majątku nie miałoby więcej rozsądnego celu, i ludzie zostaliby na zawsze uwolnieni od tej przykrej żądzy, która ich ustawicznie pcha ku posiadaniu, i w której wy sami dostrzegacie źródło przywłaszczeń, bratobójstwa i ciągłej między ludźmi pod różnemi postaciami wojny. Widzenie wasze pod tym względem zgadza się zupełnie z Ewanielią, która żądzę majątku nazywa korzeniem wszystkiego złego i nakazuje każdemu, szukającemu doskonałości, wyzbyć się wszelkiego mienia na korzyść ogółu, a mianowicie ubogich; gdyż bogaci wsparcia nie potrzebują.

Chcąc więc złemu zaradzić — złemu, które ludzkość trapi od Kaina do Judasza, a od Judasza do Roźnieckich i Szaniawskich, Szyndlerów i — należałoby wynaleźć taki układ społeczński, w którymby albo wszyscy posiadali — wszyscy mieli dostateczną własność — albo też w którymby nikt nie potrzebował nic wyłącznie posiadać; bo każdemu społeczeństwo zapewniłoby na zawsze pod warunkami braterskimi zaspokojenie wszystkich potrzeb chrześcijańskich.

Kto wychodzi z zasady Równości, Sprawiedliwości i Miłości braterskiej, we wszystkich swoich poszukiwaniach warunków szczęścia społecznego, musi zawsze natrafiać na te dwie formy tegoż samego zadania, nad którego rozwiązaniem wszystkie umysły poczciwe pracują, a które Chrystus Pan swoją nauką i przykładem rozwiązał.

WÓJCICKI KAZIMIERZ WŁADYSŁAW.

(1807—1879).

Popularny i głośny za życia, ruchliwy zbieracz zabytków twórczości ludowej i materyałów z zakresu starożytności polskich, wydawca i literat, szerzący w formie gawędziarskiej szczegóły z przeszłości narodowej, używający stąd u współczesnych opinii uczonego i malarza życia narodowego, urodził się dnia 3 marca r. 1807 w Warszawie. Ojciec jego, w latach od 1792 do 1794 chirurg wojskowy, zajmujący się następnie praktyką lekarską w mieście, posiadał na Podwalu własny domek; matka, Zofia Zienkiewiczówna, szlachcianka, zostająca przedtem na służbie u wojewodziny Mniszchowej, kobieta z elementarnem zaledwie wykształceniem, ale zacna i rozsądna, dbała wielce o wychowanie syna, który ukończywszy szkoły pijarskie, uczęszczał do szkoły przygotowawczej (1826—1827), mającej przysposabiać młodzież do projektowanego instytutu politechnicznego. Przyszły technik jednak więcej się interesował wykładami Osińskiego i Brodzińskiego w uniwersytecie, niż zasadami chemii, i pod wpływem szerzącego się wtedy wśród młodzieży zapału dla pieśni, podań i wierzeń ludowych, i zajęcia przeszłością ojczystą, oddał się zbieraniu tego rodzaju zabytków tak w czasie wakacyi, spędzanych na wsi pod Białą Radziwiłłowską, gdzie ojciec jego nabył folwarczek, jak i na specjalnych wycieczkach pieszych, w różne okolice kraju przedsiębranych w latach od r. 1827—1830. Zwiedza wtedy Podlasie, okolice Puław, Sandomierskie, Krakowskie, Wielkopolskę i Mazowsze. Jednocześnie rozpoczyna w r. 1827 pomieszczać w ówczesnym »Dzienniku Warszawskim« zebrane z różnych źródeł, różnorodnej treści, drobne, kompilacyjne opracowania, jak: Warszawa pod panowaniem Jana Kazimierza, Jan Reynold Patkul, Szmigielski, Danckerts de Ry, malarz Władysława IV, Stańczyk, Zamek warszawski, Kościół Bernardynów w Warszawie, Kościół św. Krzyża na Łysej górze, O ludziach w Polsce, nad-

zwyczajną siłą obdarzonych. Gdy w r. 1828 Towarzystwo Przyjaciół Nauk ogłosiło konkurs na pracę »O zwyczajach i obyczajach w Polsce«, żądając uwzględnienia w niej przedewszystkiem zwyczajów, obrzędów i pieśni ludowych, młody zbieracz, rozporządzając dość obfitym materiałem, przedstawił swą pospiesznie wygotowaną robotę, jedyną zresztą, lecz nagrody nie otrzymał. Z okazji tej pracy nawiązał stosunki z Brodzińskim a później i z Lelewelem. Zbliżył się również do koła młodych poetów i literatów, zbierających się wtedy w kawiarni przy ul. Miodowej w domu Teppera. Zaprzyjaźnił się w tym czasie z Dominikiem Magnuszewskim, który, po utracie rodziców, wraz ze swymi siostrami wychowywał się u swego dziadka, sędziego Borakowskiego, Polaka starej daty, nie rozstającego się z kontuszem. Magnuszewski, student uniwersytetu, próbował już swych sił na polu literackim. Zebrane do pracy konkursowej materiały posłużyły Wójcickiemu do wygotowania zbioru, który wydał p. t. »Przysłowia narodowe, z wyjaśnieniem źródła, początku, oraz sposobu ich użycia. Okazujące charakter, zwyczaje, obyczaje, przesady, starożytności i wspomnienia ojczyste«. W Warszawie. Nakładem Hugues et Kermesz r. 1830, tom I, str. 222, II, str. 299 i III str. 247. Poświęcone J. Ośw... Ks. Adamowi Czartoryskiemu, senatorowi i wojewodzie«. Wydawcy zapłacili autorowi 300 złp. gotówką i tyleż książkami. Określając czas powstania niektórych przysłów, odnosi np. do Kazimierza I: »Mądry Polak po szkodzie«, do Bolesława Śmiałego »Ten to dyabeł, co Ruś wiąże«, do Jagiełły: »Siedzieć jak na niemieckiem kazaniu«, do Batorego: »Zęby na kogo ostrzyć«. Do przysłów zalicza wyrażenia: Bazyliszek, Faryzeusz, Błazen, Łokietek, »et de hayda et de jure«, dyabeł wenecki, doktor pończoszka i t. p. Bezkrytyczność, pospieszność i powierzchowność w gromadzeniu i objaśnianiu materiału, zamaszystość w rozstrzyganiu — bez podstaw i namysłu — nasuwających się trudności — uzupełnianie i przekształcanie spisowanych przysłów, podań, pieśni własnymi dodatkami, rozszerzającą je i zmieniającą własną frazeologią, brak jaśniejszego i głębszego pojęcia o zadaniach pracy zbieracza i o celu naukowym podejmowanych robót, oto cechy, które — do wybaczenia w pierwszych młodzieńczych próbach — pozostaną przecie stałą właściwością licznych, bo do setki dochodzących robót i przeróbek, dokonanych w ciągu półwiekowego przeszło okresu działalności Wójcickiego. Jedynie literacka strona uwydatnia w późniejszych latach postęp w łatwości i gładkości wysłowienia. Zubożenie jednak rozpaczliwe naszego życia umysłowego, po katastrofie r. 1831, brak warunków dla rozwoju pracy naukowej sprawiło, iż taka nawet trudna do określenia — bo ni naukowa ni literacka — zbieraczo-wydawniczo gawędziarska działalność, samem przypominaniem i odtwarzaniem anegdotyczno-dekoracyjnem przeszłości narodowej, oddawała zbiedniałemu duchowo społeczeństwu istotną usługę, budziła zadowolenie czytelników, a pracownikowi zyskiwała rozgłos, uznanie i coraz szerszą popularność. W r. 1830 odbywa

młody zbieracz wycieczkę do Krakowa, gdzie poznaje Ambrożego Grabowskiego i Bandtkiego, a następnie przez Tatry do Pesztu i ziem słowackich królestwa węgierskiego. Za powrotem znajduje szerokie pole dla swej ruchliwości w życiu gorączkowym, wywołanem przez wybuch listopadowy. Podejmuje wtedy okolicznościowe wydawnictwa, jak ogłoszone w połowie grudnia 1830 r. »Pamiętniki Jana Kilińskiego« (»W oswobodzonej Warszawie«), a następnie »Pieśni ojczyste« i »Guslar gwardyi honorowej«, dwa zbiorki poezyi patryotycznych — przeważnie pieśni — mieszczące tak utwory bezimienne (pierwszy) jak i świeże produkcye współczesnych poetów (Goszczyński, Słowacki, Brodziński, Mickiewicz i wśród nich Wójcicki). Wstępuje przytem do służby wojskowej. Po upadku powstania wraz ze swym towarzyszem, Dominikiem Magnuszewskim, udaje się do Elbląga, zwiedza przytem Prusy wschodnie i zachodnie, a następnie odwozi chorego przyjaciela do jego krewnych, Raciborskich, mieszkających w Załuczu na Pokuciu. Tam poślubia Wójcicki sprowadzoną z Warszawy siostrę Dominika Hannę i bierze w dzierżawę od Raciborskich wioskę. Wyrugowany z tej siedziby przez władze miejscowe, udał się do Lwowa, gdzie pozwolono mu zamieszkać. Podczas całorocznego pobytu (r. 1833) nawiązuje bliższe stosunki z kołem budzicieli życia narodowego i umysłowego (Bielowski, Siemieński, Pol) i korzysta ze zbiorów Zakładu Ossolińskich, gromadząc liczne odpisy i wypisy z rękopisów i druków, głównie rzadkich broszur i mniej znanych utworów wierszowanych. Bierze udział w przygotowywaniu noworocznika »Ziewonii« wydawanej przez Bielowskiego. W roczniku z r. 1834 znajduje się jego opracowanie »O pieśniach ludu polskiego«. »Rozmaitości« lwowskie z r. 1833 mieszczą pracę: »Postępy w badaniach starożytności polskich«. Prócz tego wydał w r. 1834 we Lwowie powieść »Kurpie« (2 tomy, drugie wyd. uzupełnione. Lwów 1856) słaby bardzo utwór, osnuty na oporze, stawianym przez Kurpiów najazdowi szwedzkiemu za Augusta II. Nie mogąc dłużej pozostawać we Lwowie, wraca r. 1834 do Królestwa. Na granicy żonę z dzieckiem przepuszczono, ale jego, jako wychodźcę, osadzono w kazamatach Zamościa, gdzie nabawił się dotkliwych cierpień fizycznych. Wypuszczony wreszcie osiada u rodziców na Podlasiu, a następnie w r. 1835 wraca do Warszawy i przez stosunki otrzymuje miejsce rządcy cegielni Banku polskiego w Jachronce koło Zegrza, gdzie spędza kilka lat nad Narwią, następnie dzierżawi Górę pod Modlinem. W r. 1845 Wyczechowski, ówczesny dyrektor Komisji Sprawiedliwości, daje W. urząd archiwisty i bibliotekarza Senatu, a następnie zarząd drukarni Komisji sprawiedliwości.

Działalność literacko-wydawnicza rozpoczyna się w okresie martwoty, wywołanej klęską r. 1831. Warszawa, a z nią kraj cały, utraciła zarówno swe instytucye naukowe jak cały zastęp młodych sił, obiecujących bujny rozkwit życia duchowego. Pozostała garstka druzgordzących literatów, jak Dmochowski, obojętnych lub chłodnych dl-

życia narodowego szperaczy, jak Linde, W. Al. Maciejowski i dogorywający, zmarły r. 1836 w Dreźnie Brodziński. Zamknięcie wyższych zakładów naukowych przy trudnościach edukacji zagranicznej obniży wkrótce poziom umysłowy ziemiaństwa i mieszczaństwa. Praca naukowa ustanie w nieprzyjaznych tak warunkach. Cenzura zacieśni sferę twórczości literackiej i naukowej. Przy takich warunkach Wójcicki, mimo braku wykształcenia naukowego i uzdolnień pisarskich, będzie mógł, przy swej ruchliwości i zręczności, wyrosnąć szybko na uczonego i pisarza, czyniącego zadość niewybrednym upodobaniom i skromnym potrzebom ówczesnych czytelników, w zakresie wiedzy o przeszłości ojczystej i podtrzymywaniu ukrywanych trwożnie uczuć narodowych. Gdy w Paryżu współcześnie pojawiać się będą rok po roku takie arcydzieła jak »Dziady« (trzecia część), »Pan Tadeusz«, »Nieboska«, »Irydyon«, »Kordyan«, »Pamiętki Soplicy«, dzieła Mochnackiego, to Warszawa dostarczać zacznie krajowi biedny tak formą i treścią, a jednak chętnie przyjmowany pokarm w zbiorach przysłów, pieśni, klechd i gawęd Wójcickiego. Podobne zjawisko spotykamy w literaturze wieku XVII, w upodobaniu znękanego i zubożonego przez klęski wojenne społeczeństwa do gawęd, anegdot i przysłów. Szereg wydawnictw Wójcickiego rozpoczynają: »Starożytnie przypowieści z w. XV, XVI, XVII, zebrał i wydał K. Wł. W.« (Warszawa. Nakładem autora 1836). Jest to niewielki jednotomowy zbiorek, będący kompilacją ze zbiorów Rysińskiego i Knapskiego, z dodaniem dość fantazyjnych objaśnień i mało uzasadnionej klasyfikacji, wedle czasu powstania. Przedmowa nosi podpis: Podlasie, 26 lutego 1835 r. Tegóż roku ukazały się też: »Pieśni ludu Białochrobatów, Mazurów i Rusi z nad Buga, z dołączeniem odpowiednich pieśni ruskich, serbskich, czeskich i słowiańskich zebrane«. Ozdobione rycinami i muzyką. Wydanie Józefa Kaczanowskiego. (Warszawa, w drukarni Piotra Barzyckiego, 1836, 2 tomy). Na czele dedykacja: Waclawowi Al. Maciejowskiemu, a na przedmowie: »Pisałem w Podlasiu 24 czerwca 1836 r.« W przedmowie wydawca oświadcza, iż zbiór ten już w r. 1828 był gotowy, że zbieranie trwało lat cztery, zastrzega się, iż nie korzystał z ogłoszonego w r. 1833 zbioru pieśni Waclawa z Oleska, wreszcie oświadcza, iż zbiór ten jak i wydane poprzednio »Przysłowia narodowe« są materyałami, przygotowanymi do dzieła »Badania starożytności polskich i ruskich«, nad którym obecnie pracuje. Jednakże pomimo ponawianych zapowiedzi dzieło to nie ukazało się światu, a współczesny zbieracz i szperacz, Żegota Pauli, w wydanych r. 1838 »Pieśniach ludu polskiego« (Lwów), oskarżył Wójcickiego o zużytkowanie udzielonych mu do przejrzania materyałów. Zakład Ossolińskich również miał do niego pretensyę o rzadkie druki, unikaty z w. XVI, które, zniknąwszy z półek biblioteki, ukazywały się później w częściowych przedrukach w wydawnictwach warszawskich. W uwagach, dodanych do powyższego zbioru pieśni, rozwija Wójcicki, zapewne pod wpływem zajęcia się w kołach lwowskich mniemanymi pomnikami sta-

rej poezji słowiańskiej (Pieśń o pułku Igora i Królodworski rękopis — w przekładach Bielowskiego i Siemieńskiego) a przytem i sławianofilstwa W. A. Maciejowskiego, modne wtedy myśli o znaczeniu tradycyi słowiańskich. »Poznamy tedy dokładniej, patrząc na prawodawstwo, poezję i pomniki języka, jak dalece odstrychnęliśmy się od prawdziwej naszej drogi słowiańskiej, ile zepsuliśmy język i jak go do pierwotnej pięknoty doprowadzić możemy, i jaką powinna być poezya krajowa, ażeby w niej piętno słowiańskie wskrzesić i uchować, o co kuszono się długo i nadaremnie... podobnie jak nasi gramatycy, co walcowali język na wzór łaciny od wieków zmarłej«. (T. II 383). Myśli te były poniekąd zapowiedzią przygotowanego już wtedy zbioru baśni i podań ludowych, który ukazał się w r. 1837 p. t. »Klechdy, starożytne podania i powieści ludu polskiego i Rusi« (Warszawa, 2 tomy; drugie wyd. r. 1851, trzecie illustrowane jubileuszowe w jednym tomie r. 1876, i czwarty przedruk w Grudziądzu, 1910 r. jako dodatek do miejscowej gazety). Wstęp do »Klehd« nosi datę 20 grud. 1835 r. w Warszawie. Zbiór ten, który zjednał sobie szeroki rozgłos i wywarł wpływ na ówczesną twórczość artystyczną, w zakresie poezji zwłaszcza, mieści kilkanaście baśni i podań ludowych i narodowych jak np. »Oczy uroczne«, »Nędza z biedą«, »Zajęcze serce«, »Wichrem porwany«, »Janek«, »Wilkołaki«, »Morskie oko«, »Waligóra i Wyrwidąb«, »Madej«, »Twardowski«, podanych jednakże nie w wiernej transkrypcyi z ust bazarzy ludowych, lecz w obrobieniu i stylizacyi zbieracza, nie troszczącego się o ścisłość i nie wskazującego zwykle źródła, miejsca i osoby, od której otrzymał podanie. To też dla dzisiejszego ludoznawcy »Klechdy«, podobnie jak i wszystkie inne mziory rzeczy ludowych ogłaszane przez Wójcickiego, przedstawiają bałą bardzo wartość naukową. Współcześni czytelnicy przyjęli je gorąco. Wkrótce pojawił się przekład niemiecki, dokonany przez F. H. Lewestama (»Polnische Volkssagen und Maerchen« Berlin 1839). Na czeski przełożył je J. B. Maly (Praga 1838), a kilka z nich ogłosił w przekładzie francuskim Lewestam (»Revue du Nord« 1837). Wreszcie w r. 1880 Grimm wydał przekład rosyjski (»Polskija skazki« Petersburg 1880). Równie gorące przyjęcie znalazły w szerokich kołach czytelników ogłoszone w r. 1840 »Stare gawędy i obrazy« (Warszawa 4 tomy), odpowiadające wybornie poziomowi umysłowemu i tradycyjnym upodobaniom ówczesnego ziemiaństwa i urzędniczej inteligencyi miejskiej. Sam autor wymownie i nieświadomie przytem scharakteryzował w przedmowie treściwe i formalne ubóstwo tych utworów: »Powiada pismo: Uderzysz w opokę, a wynijdzie woda, ażeby lud pił. Owóz tą wodą, którą pił lud nasz szlachecki, bywała na dworze szlachecka i na zamku pana — Gawęda. Byle gdzie zjechało się co przyjaciół i miłych sąsiadów, zasiadaliśmy społem, a dobywszy z piwnicy starego madiara, alboli swojskiego miodu, przyjaciela zdrowia ludzkiego, dalejże w gawędę... W niej to miałeś naukę, oj, było co posłuchać. Ten swój żywot rycerski opisywał, tamten jako bywał dwo-

rzaninem u pana, co widział, gdzie przebywał.. Myśliwiec uczył sokoły ćwiczyć... układać psy do łapania niedźwiedzi. A tak młodzieńiec nie potrzebował być niemakiem, a wykształcał się na człowieka. Była gawęda taka akademią i szkołą, zwłaszcza przy owem życiu przyjacielskiem ziemianów naszych«. Zarówno ten charakterystyczny wstęp jak i cały szereg gawęd i obrazów, wypełniających cztery tomy, świadczą wymownie, iż Wójcicki nie był zdolnym zrozumieć, odczuć i odtworzyć życia przeszłości. Usiłuje on przez powtykane tu i ówdzie, niefortunnie zwykle, przysłowia i wyrażenia nadać dyalogom tok i ton staropolski, charakteryzować ludzi za pomocą ubiorów, sprzętów, napojów, form, zwyczajów, pozbieranych z różnych broszur i zestawianych, bez względu na czas i miejsce akcji, stanowisko i charakter osób wprowadzonych. Osoby te usiłują odgrywać narzuconą im rolę, lecz w każdym ruchu, czynności, zdaniu, zdradzają swą nieudolność aktorską. W zestawieniu z Polem czy Syrokomlą, Wójcicki okazuje zarówno ubóstwo i nieudolność swego artyzmu w pomysłach, kompozycji, opisach i charakterystykach, jak i jeszcze większą niezdolność odczucia i zrozumienia życia, przeszłości, dusz tych postaci. Polskość swą zaznaczają one jedynie kontuszami, szablami, czapkami, wąsami, wychyleniem kielichów miodu czy wina i recytowaniem, bez potrzeby najczęściej, znanych nam już z poprzednio ogłoszonych przez autora zbiorów: przysłów, podań, zwrotów i wyrażeń, powypisywanych z różnych źródeł i zabytków dawniejszej literatury. Następna, w r. 1841 ogłoszona praca: »Teatr starożytny w Polsce« (Warszawa 2 tomy) datowana z »Góry nad Narwią 29 maja 1840 r.« jest właściwie bibliografią dramatu polskiego, połączoną z obszernymi wypisami i streszczeniami rzadszych utworów, tudzież przytoczeniami uwag i myśli rozmaitych autorów piszących o teatrze. Zasługą tej książki było zestawienie chronologiczne świadectw i utworów, mających związek z przeszłością teatru polskiego. Bezkrytyczność autora wystąpiła jaszkrawo już na pierwszych stronach wstępu, głoszącego o »zagęszczających« się w Polsce widowiskach teatralnych za Leszka Białego po kościołach, a za Przemysława i Jagiełły na »publicznych teatrach« i »ustaleniu się teatru dworskiego« na zamku krakowskim za Zygmunta I. Jednocześnie wchodzi Wójcicki w skład redakcyi założonej w tymże roku »Biblioteki Warszawskiej« i zaraz umieszcza tu ze swych materiałów urywek p. t. »Cedula czyli zapis na sądy Boże w 1511 r.« (Bibl. Warsz. 1841 r. t. II), a w dziewięć lat później (1850) zostaje jej redaktorem. Uznanie i rozgłos, wywołany całym szeregiem wielotomowych prac, staje się jednak nie bodźcem postępu, ale przeciwnie zachętą do wyzyskania zdobytej popularności pospieszną fabrykacją nowych tytułem jedynie i układem, lecz ze starego przeważnie materiału kleconych książek. Taką fabrykacją są ogłaszane w r. 1842 »Zarysy domowe« (Warszawa 4 tomy), przypominające różnorodnością zestawionych tu licznych urywków, wypisów, gawęd, przysłów, dawne »silva rerum«. Zaczawszy od »Zarysów z podań szla-

checkich« (Mor, Boruta, Napad) i przysłów, objaśnionych anegdotycznie (Słowo się rzekło — kobyła u płota), podaje Wójcicki różne wypisy do zamierzonych starożytności (karykatury, budownictwo, gościnność), tom drugi wypełnia obrobieniami dowolnemi rzeczy ludowych (klechdy, przysłowia, ptaki, drzewa, zioła, kwiaty, zwierzęta), tom trzeci mieści różne urywki treści historycznej, czwarty zaczynają zarysy życia domowego (Panna starościanka, Stary sługa, Pan Jan i pan Michał), a dalej idą zarysy bibliograficzne, zbiory pieśni ludu, bibliografia pism Trzycieskiego, dwa dzieła Reja (Figliki i Zwierzyniec) i przedruki pieśni i psalmów tegoż poety. W r. 1843 ukazują się znowu »Obrazy starodawne« z drzeworytami Winc. Smokowskiego (Warszawa 2 tomy). W przedmowie autor oświadcza: »Obrazy, które wydają obecnie, są ciągiem rozpraw, wyjaśniających szczegóły starożytności historycznych, dotąd albo zupełnie nieznanie albo lekko dotknięte«. Tom I mieści: Przysłowia umarłe (Wygląda jak Jadźwiga, Napad litewski), Husarze, Lisowczyki, Hajducy, Żaki, Błazny, Pieśni historyczne, Dawna siła, Artykuły cechu haftarskiego w Warszawie. Tom II zawiera: Turnieje, Gonitwy, Zbytek, Tatarzy, Kalwarya, Włochy, Pątnicy, Astrologia, Chorągwie, Dworzanin i wkońcu przedruk »Reasumpcyi ordynacyi szlach. magistratu Torunia z r. 1722«. Nie są to jednak opracowania a tembardziej »rozprawy«, jak je zwie autor, lecz zestawienia wypisów z dawnych broszur i utworów różnorodnych, a wreszcie z rozpraw i książek, w tych przedmiotach ogłoszonych w wieku XIX. Przytem wszystkie wydawane dotąd dzieła cechuje dążność do sztucznego rozdymania rozmiarów przez mnożenie działów i poddziałów i nadawanie każdemu drobiazgowi cech odrębnego opracowania. To też Michał Grabowski w swej »Korespondencyi literackiej« (Wilno 1842 r. tom I, str. 185 i nast.) ostro skarcił taką »mystyfikację« naiwnych nabywców, którzy »zwabieni tytułami dzieł pana Wójcickiego, zabierali je stosami«. Przyznając »Teatrowi starożytnemu« względną wartość, a samemu autorowi zasługę »szperacza«, nie dostrzega w jego »nędznych Gawędach« śladu talentu, a wytyka ostro jego »szczególną fabrykację książek«. »Każda książka pana Wójcickiego w danym przedmiocie wydrukowana daje postrzegać, że w tymże samym przedmiocie trzeba nową książkę zrobić i drukować«. Ogłoszone świeżo »Pamiętniki Deotymy« (Warszawa 1911) świadczą, iż w gronie inteligencji, gromadzącej się w salonie jej rodziców, autor »Gawęd« nie cieszył się uznaniem, dostrzeżono w nim »płytkość umysłu« pozbawionego wyższej kultury. To też gdy od r. 1843 osiadł Wójcicki stale w Warszawie, zbliżył się do kółka młodych literatów i poetów, imponować im będzie tylko erudycją w zakresie dawnego piśmiennictwa, bogatym w rzadkie druki księgozbiorem, znajomością pieśni, podań i przysłów ludowych. Młodzieńcy ci z gorącym sercem, z miłością kraju, ludu i poezyi łączyli skromne zasoby wiedzy, wyniesionej z ówczesnych gimnazyów. Stąd autor »Klechd« i »Zarysów domowych« będzie dla nich powagą. Choć jest wtedy czynnym współpracownikiem

»Biblioteki Warszawskiej«, bierze też udział w radykalnym, postępowym i demokratycznym »Przeglądzie naukowym«, wydawanym przez Edwarda Dembowskiego i Skimborowicza. W ściślejszym jednak kole entuzyastów i entuzyastek, skupiających się koło redakcyi tego miesięcznika, nie znajduje uznania i nie uczestniczy w ich zebraniach. W zbiorowym noworoczniku »Snopek nadwiślański«, wydawanym przez młodzież w r. 1844 i 1845, spotykamy różne urywki i zarysy Wójcickiego, rozpoczynającego wtedy właśnie (1843) wydawnictwo »Biblioteki starożytnej pisarzy polskich«, która miała obejmować 24 tomy, wedle zapowiedzi na czele tomu pierwszego ogłoszonej, a ograniczyła się do sześciu. (Warszawa 1843 i 1844 — ponownie, ze zmianą okładki a częściowo i układu w r. 1854). Wbrew tytułowi, pomieszczono tu obok przedruków i wydanych z rękopisu utworów literackich, wiele aktów i dokumentów historycznych, opisów bibliograficznych. Z rzadkich druków ukazały się tu niektóre pieśni ze zbiorowego kancyonału z nutami z r. 1560 (około), »Jephtes« Zawickiego »Żywot Józefa« Reja pomieszczony dopiero w drugim wydaniu, »Nowy Merkuryusz« Wacława Potockiego, »Schadzka Ziemiańska« Piotra i »Droga do Szwecyi« Andrzeja Zbylitowskich, i inne pomniejsze. Rozszerzona znajomość pomników dawnej literatury ułatwiła ułożenie — nie opracowanie bynajmniej — z materiałów zebranych i przeważnie ogłoszonych już lub użytkowanych, wydanej w r. 1843 »Historyi literatury polskiej w zarysach« (Warszawa 1845 tom I, str. 432, tom II str. 671; drugie wydanie, rozszerzone r. 1860 w czterech tomach — objęło już i wiek XIX). We wstępie twierdzi autor, iż »Zygmunt III w długiem aż nadto panowaniu, służka Jezuitów, potrafił z nimi oświatę stłumić, literaturę polską na zgubę i zniewagę narazić. Kiedy umierał, już nie było jednego znakomitego pisarza, ale zakonów Jezuickich wiele nieznanych dotąd, fanatyków więcej wychowanych w tym celu... Odtąd ciemnota jezuicka coraz większa ogarniała cały naród... Lud znieważony, masa szlachty była narzędziem ślepem zepsutych panów, igraszką Jezuitów«. Powtarzając panujące podówczas pojęcia o wpływie Jezuitów na upadek Polski, pojęcia mogące pozyskać książce względy młodzieży, okazał w ujęciu i rozwinięciu tej myśli jaskrawą płytkość umysłu. W drugim wydaniu ustęp ten został pominięty. Samo dzieło przedstawia się jako obszerne, bez planu jednak i głębszej myśli ułożone wypisy z różnych, rzadkich przeważnie utworów i broszur. Dzieło zaczyna wstęp obszerny (173 stron), mieszczący różnorodne, chaotycznie podane szczegóły o drukarniach, bibliotekach, księgarniach, pieśniach, rycerzach, rzeczypospolitej babińskiej, fraszkach, trenach, wierszach króla Jana III, z dodatkiem wyjątków z Grażyny. Wraz z Lesławem Łukaszewiczem — którego książeczka tak długo stanowiła najpopularniejszy podręcznik historii literatury — rozpoczyna dzieje literatury od okresu ludowego (rok 700 do 1000), w którym umieszcza dudarzy i lirników, pieśni i przysłowia, rozprawia o urnach, popielnicach, runach, mogiłach, Okres ten

zajmuje 160 stron. Właściwa literatura zaczyna się dopiero przy końcu tomu I, a kończy na wieku XVII w tomie drugim. Pracą autora było staranne, w porządku chronologicznym przeważnie wybranie i zestawienie wypisów i różnorodnych kawałków, które były pomieszczane w ogłoszonych już poprzednio wydawnictwach. Książka ta jednak, jak i »Biblioteka starożytnych pisarzy« oddawała usługę ówczesnym czytelnikom, umożliwiając im poznanie się z usuniętą ze szkół, pozbawioną katedr uniwersyteckich, literaturą ojczystą. Mimo swej płytkości umysłowej, bezkrytyczności, niedbalstwa i pośpiechu w fabrykacyi sypiących się bez przerwy wydawnictw i opracowań, ruchliwy ten szperacz i zręczny wydawca był w ciężkich tych latach ucisku i związanego z nim zacieśnieniem życia duchowego i narodowego pożytecznym szerzycielem anegdotycznej wiedzy o przeszłości. Jednocześnie z »Historią literatury« ogłasza w podobny sposób zlepioną z różnych anegdot, cytat, wypisów, książkę: »Niewiasty polskie«. Zarys historyczny. (Warszawa 1845 str. XXXX i 311, z drzewor. Smokowskiego). Niewielki ten tom mieści aż 31 różnorodnych działów. W tymże samym roku wychodzi pod redakcją Wójcickiego, ilustrowane przez W. Smokowskiego, »Album warszawskie«, mające, wraz ze współcześnie odbywającą się wystawą przemysłowo-rolniczą, dać wyraz życia umysłowego w ognisku warszawkiem. W r. 1846 ukazują się: »Domowe powiastki i wizerunki« (Warszawa, 2 tomy) a także »Pamiętniki do panowania Zygmunta III, Władysława IV i Jana Kazimierza« (Warsz. 2 tomy). Pomieszczono tu między innymi część przekładu polskiego Kroniki Piaseckiego. W r. 1847 dla uczczenia pięćsetnej rocznicy Statutu wiślickiego wydał Wójcicki »Statuta polskie króla Kazimierza w Wiślicy ułożone« (Warsz. w drukarni komisji rządowej sprawiedliwości, str. 179, z ryciną wierzchniej części grobowca króla). Jest to przedruk tekstu statutu z przechowanej w Archiwum głównym Księgi z w. XVI, zawierającej polski tekst ustaw Kazimierzowskich. W latach 1848 i 1849 wyszło pod redakcją Wójc. »Album literackie« (tom I 1848 r. str. 364, tom II r. 1849 str. 425), mieszczące utwory poetów (Baliński, Lenartowicz, Padura, Żochowska Seweryna), historyków (Bartoszewicz, Maciejowski W. Al.) a także różnorodne prace: Bandtkego, Borowskiego Leona (Wykłady historyi literatury w Akademii duchow. w Wilnie) i samego Wójcickiego. Znajdujemy tu także popularny monodramat Ładnowskiego »Pan Stefan z Pokucia«, powieść Żochowskiej Seweryny, rozprawę Sobieszczańskiego o Marcinie Bielskim. W tychże latach (1849 i 1850) wydał Wójcicki: »Życiorysy znakomitych ludzi« (2 tomy Warszawa) mieszczące w chaotycznej mieszance krótkie biografie wielkich poetów całego świata, (Dante, Szekspir, Milton, Bajron), współczesne znakomitości europejskie (Auber, Thiers, Lacordaire, George Sand, Puszkina, Dobrowski) i kilkadziesiąt życiorysów pisarzy i uczonych polskich, począwszy od Reja i Skargi (umieszczonego koło George Sand) a głównie współczesnych, dowolnie wybranych (Kraszewski. Korzeniow-

ski, Maciejowski W. Al. i tacy szperacze jak Gawarecki, Gołębiowski, a między nimi nic nieznaczące osobistości jak Piotr Śliwicki (†1774), wizytator ks. misjonarzy w Warszawie, autor aż dwu kazań drukowanych). Po r. 1850 czy to wskutek objęcia redakcyi »Biblioteki warszawskiej« a więcej może z powodu wyczerpania się materyałów, słabnie nieco produkcya literacko-wydawnicza. W r. 1852 ukazuje się książka: »Jan Stefan Wydźga i jego pamiętnik« (od 1655 do 1660), w r. 1853 »Latopisiec albo kronika Joachima Jerlicza z czasów Jana Kazimierza« (Petersburg 1853) a jednocześnie: »Domowe powieści« (2 tomy Mohylew, Glasmer i Warszawa, Merzbach — druk. Ungra). W r. 1855 pojawia się pierwszy tom »Cmentarza Powązkowskiego« (tom I str. 261, tom II r. 1857 str. 264, tom III r. 1858 str. XLII i 269, rycin 60) książki, która miała być owocem kilkoletniej pracy i zyskała wielkie powodzenie, wśród warszawian naturalnie, pomieszczonymi życiorysami ludzi, odgrywających w życiu kraju i miasta wybitniejszą rolę w pierwszej połowie wieku XIX. Przeważają tu jednakże osobistości, mające tylko lokalne znaczenie i to w dość ograniczonym okresie czasu. Współcześnie, w r. 1856 ukazało się: »Archiwum domowe«, mieszczące rozmaite z rękopisów wydane dokumenty, listy z różnych epok, a między nimi z rękopisu Magiera Antoniego: »Dwór i zarysy życia domowego Stanisława Augusta«. Przedrukował tu również Wójcicki »Sprawę rycerską i Sejm niewieści« Marcina Bielskiego. Jako zarządzający drukarnią przy Komisji Sprawiedliwości, mógł korzystać z jej usług Wójcicki dla wydawnictw charakteru naukowego, na które nie znalazłby nakładcy. Jednocześnie ogłasza on swą powieść: »Dworek i pałac« (Warsz. 1856, u Rafalskiego i Klurowskiego« trzy tomy str. 186, 185 i 161). W r. 1858 wydaje »Mazowieckie powiastki« (Warsz. u S. Orgelbranda) tudzież życiorys Mickiewicza przy dozwolonem wówczas pierwszym wydaniu zbiorowem pism wielkiego poety (Warszawa, L. Merzbach, 10 tomów). Rozwijający się, dzięki złagodzeniu cenzury, ruch wydawniczy otworzy nowe pola dla działalności Wójcickiego, który, pozostając na stanowisku redaktora »Biblioteki Warszawskiej«, przyjmuje obowiązki jednego z czterech naczelných redaktorów rozpoczętej w r. 1859 »Encyklopedyi powszechnej« Orgelbranda, a jednocześnie zostaje stałym współpracownikiem założonego w tymże roku »Tygodnika Ilustrowanego«. Następnie zostanie współredaktorem założonych w r. 1865 »Kłósów«, współpracownikiem »Bluszczu«, »Tygodnika Powszechnego« i rozmaitych wydawnictw. Współpracownictwo Wójcickiego polegać będzie na rozmieszczaniu, pod różnymi tytułami i w różnych kombinacjach, dawno zebranego i ogłoszonego dotąd materyału: pieśni, przysłów, podań, wypisów z dawnej literatury, życiorysów z »Cmentarza powązkowskiego«. Opracowania pomieszczone w »Encyklopedyi« są tylko zlepkami mechanicznymi różnorodnych, już wielokroć ogłaszanych, wypisów i notatek. Ten sam materyał w rozlicznych kombinacjach wypełnia pomieszczane po czasopismach zarysy życia przeszłości, wierzeń i zwy-

czajów ludowych, urzędzeń, obyczajów, faktów dziejowych. Obok tego nie przestaje, mimo zupełnego braku talentu, oddawać się twórczości w zakresie belletrystyki. W r. 1859 pomieszcza w »Tece wileńskiej« (i osobna odbitka — Wilno 1859 str. 54) utwór p. t. »Lekarz domowy«. dyalog dramatyczny w dwóch odsłonach; następnie zbiór p. t. »Silva rerum«. »Staropolskie powieści« (Wilno 1861, 2 tomy), »Amerykanin« powieść z czasów Kościuszki (Poznań 1869), przedrukowana w zbiorze: »Biblioteka dla wszystkich« (Warszawa 1907 r.). Zbiór drobniejszych różnorodnych opracowań ogłasza p. t. »Szkice historyczne« (Kraków 1869 i po zmianie okładki jako nowe wydanie 1875). Do wydanego w Warszawie r. 1875 »Albumu Matejki« pisze tekst, objaśniający dzieła tego mistrza. Pomieszcza w »Bluszczu« r. 1872 i 1873 »Trzy wieki niewiasty polskiej« a następnie wydaje osobno: »Niewiasta polska w początkach bieżącego stulecia« Warszawa 1875). Zwróciwszy się ku czasom swej młodości, kreśli Wójcicki anegdotyczne, wątpliwej ścisłości opowiadania: »Kawa literacka w Warszawie — rok 1829 i 1830«. (»Bibl. Warsz.« i osobno, Warsz. 1873 str. 68). »Ostatni klasyk« (odbitka z »Bibl. Warsz.« 1873, str. 121). »Fryderyk hrabia Skarbek« (1873 str. 65) wreszcie: »Warszawa i jej społeczność w początkach naszego stulecia« (Warsz. 1875); druga seria p. t. »Społeczność Warszawy w początkach naszego stulecia« (Warsz 1877) i trzecia p. t. »Warszawa, jej życie umysłowe i ruch literacki w ciągu lat 30« (Warsz. 1879). Wydaje też w Krakowie »Resztki z pozostałych prac zgasłego przyjaciela« 1869, toż samo p. t. »Spuścizna po nieznanym (Berezowskim) wydał K. Wł. Wójc.« (Kraków 1875 str. III i 381). Ostatnią seryą robót Wójc. były książki dla młodzieży i dzieci, mające zaznajamiać je z przeszłością narodową. Pod ogólnym tytułem »Z rodzinnej zagrody« wyszły tu: »Pokój dziadunia« opowiadanie z dziejów przeszłości. (Warsz. Hoesick, 1878), »Zarys literatury w opowiadaniach dla dlatwy« poświęcony J. Kraszewskiemu, (Warsz. 1879, str. 266 z ryc.), »Życiorysy znakomitych ludzi z w. XVIII i XIX« (Warsz. 1881, str. XI, 323). Prócz tego jako »Biblioteka obrazkowa dla grzecznych dzieci« ukazały się w oddzielnych zeszytach z rysunkami Wł. Szymanowskiego klechdy dwie: »Pan Twardowski« (1879 r.) i »Nędza z biedą«. W r. 1870 rozpoczął Wójc. druk dziełka: »Pamiętniki dziecka Warszawy« (Kraków, nakładem autora, 1870), lecz z powodu nieporozumienia z drukarnią wstrzymano robotę, odbita część książki ukazała się w obiegu księgarskim dopiero w r. 1909. (Kraków, Gebethner, str. VII, 79). Rozgłos i popularność, jaką pozyskał Wójcicki swemi licznymi pismami i wydawnictwami, mającemi za przedmiot wyłącznie przeszłość narodową i życie ludowe, uwydatniały się w składanych mu za życia zbiorowych hołdach. Gdy w r. 1862 Wielopolski, jako dyrektor komisji sprawiedliwości, zaprowadzając różne zmiany w tej komisji, zwinął posadę zarządzającego drukarnią do niej należącą, skutkiem czego Wójcicki stracił swój urząd i związane z nim mieszkanie, niechętna mar-

grabiemu opinia ogółu przyjęła ten fakt z wielkiem oburzeniem. Jako protest świata literacko-naukowego przeciw pokrzywdzeniu popularnego tak pisarza, z inicjatywy Adolfa Henela, wydano, przy udziale licznego grona wybitniejszych pisarzy i gorącym poparciem zewsząd zapisujących się prenumeratorów, »Książkę zbiorową« (Warsz. 1862 r. str. 450), mieszczącą na czele życiorys autora »Gawęd i klechd« skreślony przez gorącą wielbicielkę, Sewerynę Pruszkową, (Duchińską), a następnie prace i urywki prac, podpisanych najgłośniejszymi wtedy nazwiskami. Między innymi Małecki dał tu początek swej pracy o Słowackim. Obok tego, by zapewnić Wójcickiemu stałą pomoc materyalną, wybrano go na prezesa komitetu właścicieli listów zastawnych przy Towarzystwie kredyt.-ziemskim. Urząd ten piastował aż do śmierci. W r. 1876, z powodu przypadającego pięćdziesięciolecia pracy piśmiennej Wójcickiego, odbył się w Warszawie obchód jubileuszowy, połączony z wydaniem illustrowanem »Klechd«, na które zapisało się kilka tysięcy prenumeratorów. Na uczcie w Resursie obywatelskiej, w dniu 15 maja przemawiali: Jan Papłoński, Adam Pług, Al. Kraushar i Winc. Korotyński. W trzy lata potem tknięty atakiem paraliżu, zakończył Wójcicki życie w dniu 1 sierpnia. W czasie obchodu pogrzebowego w dniu 5 sierpnia 1879 r. przemawiał ks. Krupiński, nad grobem zaś Adam Pług.

BIBLIOGRAFIA.

Wydań zbiorowych prac Wójcickiego nie było zarówno za życia jak i po śmierci autora. Nieliczne przedruki pośmiertne wskazane zostały przy wyliczonych powyżej pracach.

Życiorysy i oceny działalności W. są nieliczne, przeważnie pochwalne i bezkrytyczne. Pomieszczali je: E. S. Świeżawski w »Bibl. Warsz.« z r. 1879, Seweryna Duchińska (Pruszkowa) w »Książce zbiorowej« z r. 1862, ponownie to samo rozszerzone i dopełnione w »Bibl. Warsz.« z r. 1888 (t. III), A. Pług. w »Kłosach« (z r. 1876 i 1879), Piotrowski w »Tyg. illustr.« z r. 1879, Zygm. Gloger w »Albumie znakomitych Polaków wieku XIX« (Warsz. 1881). Rozbiory dzieł i ogólne krytyczniejsze oceny działalności W. ogłaszali: Michał Grabowski »Literatura i krytyka« (t. II), »Korespondencya literacka« (t. I, 185), Trębicki (Uwagi nad »Teatrem starożytnym w Polsce« »Bibl. Warsz.« 1843), H. Skimborowicz (»Historya liter. polsk.« »Przegl. nauk.« 1846), Edward Dembowski (Piśmiennictwo polskie, Poznań 1845), A. Tyszyński (»Rozbiory i krytyki« tom III, str. 442—487), J. Bartoszewicz »Historya liter.« wyd. 2-gie, tom II, str. 247—250), W. Pol (»Pamiętnik do literatury polskiej w. XIX«,

Lwów 1866, str. 316—317), P. Chmielowski (»Metodyka historii literatury polskiej« ocena prac i wydawnictw W. z zakresu historii literatury).

Klechdy.

Wilkołaki.

(Pierwsze wyd. w Warszawie r. 1837).

Jest to zbiór podań i wierzeń ludowych, przerobionych na opowieści, skreślone językiem literackim, z dodatkami i uzupełnieniami autora, zmieniającymi ludowe pomysły i pojęcia. Naukowa wartość zbioru mała bardzo, literacka również.

I.

872) Na kwiecistym pagórku, nad brzegami Wisły, brzmiała huczna kapela, a drużyna rzeźwych parobków i dziewczek skakała radośnie. Piwo i wódka stały w beczkach, z których się posilali wieśniacy, zgromadzeni na uroczystość rolniczą dożynek. W pośród wesołej zabawy krzyk przeraźliwy zagłuszył i brzmienia muzyki i śpiewki radosne. Przerwano taniec; poskoczono, skąd krzyki powstały, i ujrzano z przestraczem, jak wilkołak unosił w paszczy najpiękniejszą dziewczkę z siola. Rzuciła się za nim odważna młodzież i wkrótce dognała; ale potwór zajadły, rzuciwszy pod nogi zdobycz, którą unosił, stanął z wściekłością do obrony. Przestraszeni i bezbronni, nie wiedzieli, co czynić; niektórzy pobiegli po strzelby, reszta ustąpiwszy na bok, czekała na wysłanych. Skoro to spostrzegł wilkołak, porwał rzuconą na ziemię dziewczynę i w największym pędzie uciekł do lasu.

Lat pięćdziesiąt upłynęło od tej doby, gdy na tymże pagórku młodzież bawiąc się wesoło, spostrzegła siwizną okrytego starca. Zaproszony do zabawy, usiadł w milczeniu i wychylił ze smutkiem kubek wódki, który mu podano. Równy mu prawie wiekiem jeden z wiejskich gospodarzy, przystąpiwszy do nieznanego, powitał i zaczął rozmawiać.

Starzec długi czas mając w niego wlepione oczy, wreszcie zawołał ze łzami: »Tyżeś to, mój Janie?«

A gospodarz poznał do razu starszego brata, co zginął przed pięćdziesiąt laty. Zdziwieni wieśniacy otoczyli starca, który im opowiadał, jak zamieniony przez czarownicę w wilka, dziewczynę ukochaną porwał z tegoż samego pagórka, gdy obchodzono uroczystość dożynek: jak żył w lasach rok cały, jak później mu z żalem umarła.

— Odtąd — mówił dalej — wściekły i zażarty rzucałem się na wszystkich; pożerałem, z tej krwi dotąd ślady niczem zatrzeć nie mogłem: tu pokazał zbroczone ręce. Lat już cztery, jak się błąkam przywrócony do postaci ludzkiej; chciałem raz jeszcze was zobaczyć i te dymiące chaty, w których się zrodziłem i wychowałem; potem — o! uciekajcie! znowu mam być wilkołakiem.

Ledwie tych słów domówił, gdy zmieniony w wilka, poskoczył, zawył przeraźliwie i znikł na zawsze w pobliskim lesie.

II.

Czarownica, rozkochawszy się w młodym wieśniaku, daremnie usiłowała wszelkimi sposobami pozyskać sobie jego wzajemność. Rozgniewana nareszcie tą wzdardą namiętą niewiastą przysięgła srogą zemstę.

Spotkawszy raz dorodnego parobka, zapowiedziała mu: »iż jak tylko do lasu po drzewo pojedzie, za pierwszym uderzeniem siekierą przemieni go w wilkołaka«.

Mniej na to baczny wieśniak, zaprząwszy woły do wozu, pojechał do lasu; ale zaledwie wymierzył cios silny, siekiera wypadła mu z ręki. Przestraszony tem zdarzeniem, spojrzę i widzi przelękły, że ręce jego zmieniły się w wilcze łapy. Bezprzytomny zaczął biegać po lesie, a natrafiwszy zdrojowisko, przejrzał się i spostrzegł, że cały zamienił się w wilka; widać było jeszcze gdzieniegdzie ostatki sukmany, bo przeobrażenie nie tak rychło wszystkie ślady zatarło.

Pośpiesza do swoich wołów, ale te przestraszone, uciekają od pana. — Chciał je zatrzymać znajomym im głosem; ale zamiast wydania głosu ludzkiego, zawył przeraźliwie. Widząc tedy

z żalem, że się sprawdziły pogroźki pogardzonej czarownicy, nie mogąc pomimo przemiany w wilka oderwać się od strzechy rodzinnej, błakał się po okolicy. Nadaremnie usiłował przyzwyczaić się do pokarmu z surowego mięsa; nie mógł tego przemódz na sobie, a tembardziej nie mógł żywić się ludzkim ciałem. Dlatego zaczął straszyć pasterzy i żniwiarzy, którym wyjadał chleb, mleko i inne potrawy.

Lat kilka tak przepędziwszy, uczuł do snu pociąg nadzwyczajny, położył się więc na murawie i zasnął. Ale jakież było jego zdziwienie, kiedy po obudzeniu ujrzał, że napowrót człowiekiem został.

Uniesiony szeptem, niepomny na stan swój, — gdyż po takim odczarowaniu i przemianie z wilków na ludzi osoby mają pozostać bez ubrania — na skrzydłach niemal leciał do rodzinnej chaty.

Ale zawsze, jak to dobrze mówią, radość nie jest trwałą; doznał tego i on parobczak na sobie. Przybiegł do domu, lecz rodzice już pomarli; Kasieńka, którą nadewszystko kochał, poszła za innego i była już matką czworga dzieci; a z przyjaciół młodości jedni poumierali, drudzy się rozeszli.

Zniósł to odważnie biedny wieśniak, lubo z zakrwawionem sercem; pracował, uprawiając w pocie czoła kawałek ziemi, a gdy sąsiedzi w niedzielę zgromadzili się do karczmy na zabawę, opowiadał im nieraz swoje przygody i nieszczęścia, jakich doznał z przyczyny pogardzonej czarownicy.

III.

Gospodarz sielski był przez lat siedm wilkołakiem; a odpokutowawszy przeznaczone od czarownicy lata, przemieniony został napowrót w człowieka. Cały dzień bez odzieży i pokarmu spieszył do domu, w którym zostawił żonę i dzieci kilkoro. Już w późny wieczór przybywszy do swojej chaty, zaczął stukać do drzwi zamkniętych.

— Kto tam? — zapytano z chaty — a gospodarz poznał głos swojej żony.

— To ja, twój mąż! otwórzcie prędzej!

— Wszelki duch Pana Boga chwali, mężu! wstawajcie — zawołała wystraszona niewiasta, a gospodarz ujrzał przed sobą

dawnego swego parobka, który poślubiwszy jego żonę i objawszy gospodarstwo, wybiegł uzbrojony widłami odpędzać ode drzwi prawego właściciela domu. Oburzony gospodarz niewiarą małżonki, wykrzyknął z boleścią:

— O! czemuż nie jestem wilkołakiem, ażebym ukarał wiarołomną i nie czuł mojego nieszczęścia.

Stało się zadosyć jego życzeniom, napowrót przemieniony w wilka, z wściekłością rzucił się na żonę, obalił ją z dziećciem z drugiego małżeństwa, które sama karmiła, a pożarłszy niemowlę, dokonał zemsty na matce, pokaleczywszy ją śmiertelnie.

Na jęki nieszczęśliwej niewiasty zbiegli się wieśniacy i tłumnie na dzikiego uderzyli zwierza. Niedługo się opierać potrafił; padł pod licznemi razami, a gdy wieśniacy wydawali okrzyki radości z odniesionego zwycięstwa, gdy przy świetle rozpalonego łuczywa zaczęli przyglądać się zwierzęciu, spostrzegli ze wstrętem i przestachem, że zamiast wilka leżał zabity gospodarz, co zniknął przed siedmiu laty, i o którym wieść biegła, że był wilkołakiem. Wszelki ratunek był już nadaremny, i gdy użalano się nad tak smutnym wypadkiem, wieśniaczka z zadanych ran przez tego wilkołaka wkrótce potem skonała.

Stare gawędy i obrazy.

(Warszawa, 1840).

Opowieści te zawdzięczały swe powodzenie u współczesnych swej treści, zarysom życia przeszłego, a przytem anegdotyczności. Nizki stopień kultury umysłowej i estetycznej u czytelników czynił te gawędy utworami wielce poczytnymi.

Straszny dwór ¹⁾. — Gawęda dworzan w baszcie nad broną.

I.

873) — Hej! miły Boże, jakoś nudno i tęskno na sercu człowieka, by kamień położył: zadymka śnieżna, że świata nie zobaczysz, mróz piekielny! Rozpalno, kmotrze, spory

¹⁾ Gawęda ta posłużyła za osnowę do libretta znanej opery Moniuszki, napisanego przez J. Chęcińskiego.

ogień na kominie; niech jodła da nam płomień ciepły, przy nim zgrzejem częstochowskiego piwa z grzankami, a wtedy rado pogawędzić.

To wyrzekłszy pan Maciej Siwy, tak zwany w zamku stary dworzanin, z pod opończy dobył dwa dzbany potężne sławnego piwa i począł wlewać w dwa wielkie polewane krakowskie garki. Kmotr jego, strażnik brony (bramy), tymczasem nanieciwszy ogień, zaczął krajać glony ogromnego chleba promnickiego i solić na obydwie strony. Kiedy w garkach zawrzało piwo, każdy z nich sobie wlewając w szklanice, popijał rado. Wówczas pan Maciej, głaszcząc długie wąsy, co roztajały w ciepłe od zamrozu, począł szeroko młode przypominać czasy, a strażnik z wielką uwagą nadstawił ciekawego ucha.

— Owóż, miły kmotrze mój, miałem wam prawić o straszonym dworze; posłuchajta przeto. Będzie temu z lat czterdzieści, służyłem za pacholę na dworze Chorążego z Radziwia. Panisko stare i słabe, upadło najprzód na nogi, a niedługo i zmarło, płacząc zawsze swej milej małżonki, co przed dwoma laty przeniosła się do wieczności. Było niemało płaczu, bo każdy żałował dobrego paniska. Zostawił dwóch synów: Zbigniewa i Zygmunta, już dojrzałe wyrostki, bo jeden miał 29, drugi 30 roków. Po żalu trzeba myśleć i o sobie, zaczęli więc razem gospodarzyć i przeglądać papiery ś. p. swego rodzica. Należli niemało pieniędzy, rozpożyczonych różnym somsiadom: więc jakoś w pół roku począł się wybierać panicz Zygmunt w daleką drogę, aż na Mazury, do jakiegoś stolnika, u którego najwięcej mieli grosiwa do odebrania, a w skrypcie zaręczenie było święte, na słowo szlacheckie¹⁾. Kiedy już dzień naznaczono wyjazdu, panicz mię zawołał i rzekł:

¹⁾ Na długi w wydawanych rewersach, które cerografami (cerograph) nazywano, zaręczano słowem szlacheckiem oddanie należytości. Rzadki w tym względzie pomnik mam właśnie przed oczyma w kopii przepisanej z oryginału biblioteki Jana Dzierzkowskiego we Lwowie. Jan Herburt z Fulsztyna, w Tarnowcu i Biebnicach (?) pan, dnia 12 sierpnia 1575 r., wystawił cerograf panu Michałowskiemu na dziewięćdziesiąt talarów węgierskich, oznaczając czas oddania, w którym gdyby długu nie złożył panu Michałowskiemu:

— No, mój Maćku, pojedziecie z nami, jedziem daleko, aż za Wisłę.

— Dobrze paniczu — odrzekłem — gotowym na wasze usługi, — i w godzinę siedziałem na koźle, a paniczowie ściskali się serdecznie.

— Pamiętaj wracać prędko, miły bracie mój! — zawołał pan Zbigniew, mało nie płacząc, jak baba! A pan Zygmunt, ze łzami w oczach wskoczył w brykę i gnać kazał.

Tydzień cały jechalim, aż wjechalim na Mazury. Przeprowadziwszy się ze strachem przez Wisłę, zobaczyłim przecie dworzec pana Stolnika. Straszny to był dworzec.

* * *

I Maciej dopił reszty z garka, a strażnik z bojaźnią wlepił oczy w starego dworzanina, spodziewając się, że będzie prawił o czarownicach, wiedźmach i strachach.

* * *

— Tak, miły kmotrze; owoż był to straszny dworzec, bo moje panisko nie zobaczyło długo swego rodzica (brata?). Zajeżdżamy na podwórzec, aż tu jak wyskoczy cała psiarnia ogarów, kundłów, brytanów i chartów — mało nas nie pościągała z bryki. Zajeżdżamy przed ganek; tu panicza powitał poważny gospodarz. Nie zapomnę tej postawy pańskiej i miłego oblicza. Powitał rado panicza, wprowadził w dużą gościnną komnatę; ja tuż za swoim panem szedłem bojaźliwie. Że to był blizki czas wieczerzy, niedługo roztwierają się podwoje alkowy, i wchodzi pani Stolnikowa, wiodąc za sobą dwie urodne córki, a za niemi gładką służebnicę. O! kiedy na nią spojrział Maciej, co tu siedzi i to wam gada, zdechł na poły i serca nie uczuł, jakby mu je czarownica wyjęła. Aleć i z moim panem nie było

»bendzie wolno o mnje mowycz y przed każdym człowiekym sie skarzycz, yako na thego, który niepomny na powynnoszcz słowa swego slacheczkiego, także na cznothy y na wiareę swą«. Dalej zaręczając, iż żadnych prawnych nie uczyni wybiegów, przyrzeka »themu czerographowy memu, we wssistkym slubuie, pod cznotą y pod wiaraę«.

lepiej, zaczerwienił się po uszy, a kiedy pani domu zaczęła pytać o brata, moje panisko, co zawsze było rezolutne, ani be, ani me: wszystko zerk na panny z boku. Po wieczery długo siedzieli, a gdy chwila spoczynku nadeszła, pan Zygmunt stracił głowę i niedługo trzebaby mu czarną kokosz przyłożyć¹⁾. Nie umiał zdjąć szaty, jeno siedział zadumany. Żal mi było paniska, a więc jałem pytać, azali nie chory?

— Dobrze mówisz, Macieju, widzę, żem chory — i to wyrzekłszy, upadł na łoże. Całej nocy oka nie zmrużył, boć i ja nie spałem: on ciągle widział przed oczyma młodszą Stolnikównę, pannę Jadwigę; a ja miłą służebnicę. Dzionek duży zajrzał w okna nasze, a panicz wzdychał i wzdychał. Niedługo nadchodzi pan Stolnik i zdziwił się niepomału, że młody ziemianin tak długo bawi się łożem. Po śniadaniu radził łowy. Wyjechalim, ale panicz, choć strzelał do zwierzyny pod nosem biegnącej, żadnej nie trafił; każdy go więc miał za bajbardzo. Wstydno mi było, że krwi tak zacnej młodzian, zaczarowany oczami gładkiej dziewczki, na pośmiechy wychodzi: rzekłem więc śmiało:

— Panie mój! czy wam tuman²⁾ w oczach stoi, czyście miłosnego zjedli chleba?³⁾ Do nikogo słowa nie przemówita, a choć zwierza w kniei, by kawek na słotę, przecież ani jednego nie możeta zwalić! Cóż się z wami stało, miłyć mój panie?

— Źle się dzieje, (odrzekł na to), ale w Bogu nadzieja. Trzeba odjechać. Każ, Macieju, zaprządz co rychlej, zaraz wrócimy doma.

¹⁾ Czarna kokosz żywcem rozdarta na poly i przyłożona do głowy była uważana za lekarstwo skuteczne dla mających pomieszane zmysły lub dostających bzika. Mikołaj Rej z Nagłowic zaleca na to wielce czarną kokosz.

²⁾ Tuman, wedle wyobrażenia ludu, jest to dymek niewidzialny, przez kuglarzy puszczaany z ziół przyprawnych, który albo przedmioty zasłania i niewidzialnymi czyni, albo tak usposabia oczy widzów, iż widzą tylko to, co czarownik lub kuglarz chce, aby widzieli. Stąd idzie wyraz zatumańić, to jest obłąkać, zaślepić drugiego, wedle swej woli.

³⁾ Chleb świeży dziewczęta noszą pod pachą przez trzy dni i trzy nocy i dają ulubionemu, który się wnet rozkocha. Mąka do tego chleba ma być zmielona na nowiu, o samej północy, na wschodnim wietrze.

Więc co rychlej skoczyłem do stajni, wróciwszy z łowów, i zaraz po obiedzie dałem znać, że wszystko gotowe.

Panicz chciał się pożegnać: aż tu jak wyskoczy z furją pan Stolnik na ganek, jak krzyknie na swoją czeladź, aż tu, jak mrygnął okiem, zdjęto nam wszystkie cztery koła z bryczki, i woźnica nasz ze wstydem, na osiach jeno, zaciągnąć musiał bryczkę do wozowni. Wtedy pan Zygmunt prosił na osobność pana Stolnika i tam mu wyznał, dlaczego dłużej bawić nie może.

— Jakto! (krzyknął pan Stolnik, a ja pode drzwiami słuchałem). Waść się ważysz tam nieść oczy! Nie ujdzie Waci na sucho.

Jużem zadrżał, słysząc gromiący głos starego, ale niedługo wyrzekł łagodniej:

— W moim domu nie za wysokie progi na Waści nogi. Wszystko to dobrze pójdzie; tylko Bogu służ, a ręki przykładaj, a lepiej mi Wać strzelaj, niż dzisiaj rano.

Otwarły się drzwi, jam na stronę uskokzył i zobaczyłem panicza uradowanego, jak ścisnął kolana pana Stolnika. Niedługo weszła i pani Stolnikowa, a za nią dwie córy: mój panicz zadrżał, aleć nabrawszy otuchy, patrząc w oczy panny Jadwigi, jak żółw na swoje jaja, począł prawieć gładko i rozumnie, aż wszystkich zadziwił, co się zrobiło z niemowy wczorajszego. W godzinę sędziwy rodzic panny wezwał go do siebie i, aby zmył hańbę z łowów rannych, kazał mu z janczarki strzelać do celu.

Wonczas zawołał panicz na mnie:

— Macieju, weź tego bitego talara w palce.

Jam go porwał i poskokzył aż do brony, a trzymając w dwu palcach lewej ręki wyniesionej nad głową, krzyknąłem z gardła:

— Strzelaj, paniczu!

Pan Stolnik począł temu oponować, razem z małżonką i pannami, a miła ich służebnica zbladła. Ale gdym ja ochotnie wołał, a strzelcy uśmiechali się szydersko, mój panicz wymierzył — paf! i talar wystrzelił mi z palców. Służebnica krzyknęła, a jam się radował, bom zobaczył, żem jej nie obcy!

Odtąd dzień po dniu mój panicz bliżej panny Jadwigi, ja

bliżej Rozalii swojej. Tak mija miesiąc jeden, mija drugi, aż nareszcie przybywa poseł od brata z domu, oddał list paniczowi, a mnie wziął na stronę.

— Na wszystkich świętych! (zawołał Jaśko, on poseł), co się tu dzieje? Pan nasz, co doma został, miał sny okropne; czekał więc choć listu, a tu ani brata, ani pisma; przyjechała tam niedługo stara Skarbnikowa i napędziła mu więcej Pietra.

— Czy wierzyta (opowiadała), że w tym strasznym dworze czarami zatrzymano pana Zygmunta; że co noc straszne wiedmy z ognistymi ogony latają nad dworem; że pan domu i pani są to same heretyki, które sprawę z dyablem trzymają!

Na takie wieści wszyscy niemal poczęli płakać, mając was wszystkich za zgubionych, bo Skarbnikowa zaprzysięgała prawdę swoim słowom. To gdy usłyszał pan Zbigniew, zawołał mnie do siebie i rzekł:

— Jaśko, weź mego stępaka i z tem pismem jedź co żywo z Bogiem do mego brata, azali żyw jest?

A więc wsiadłem na konia, wziąłem szkaplerz z relikwią i trochę wody święconej od złego i pogałem: owóz piątego dnia staję w tym dworze strasznym.

— Tak! tak! miły bracie (odrzekłem mu na to), straszne tu dzieją się rzeczy, i ani mój panicz, ani ja, nie odjedziemy doma. Niedługo z pismem jeno wrócicie.

Jak-em myślał, tak się stało. Mój panicz odpisał bratu, a z listem Jasiek na drugi dzień odjechał.

II.

Wielki był ozruch na dworze młodych braci w tydzień po odebranych liście. Jasiek wróciwszy, dziwy nagadał, że straszne się dzieją rzeczy we dworze pana Stolnika. Zbigniew ponury, siadał w kolasę milczący. Jasiek ze strachem poganiał konie.

Wesoła była uczta u pana Stolnika. Zygmunt po drugim puharze wzniosłym głosem wznawiał trzeci *v i v a t*, gdy drzwi się roztwarły, i bładny Zbigniew ukazał się w komnacie.

— Bracie mój miły! — wykrzyknął pan Zygmunt, stawiając próżny puhar, i rzucił mu się w objęcia.

Stolnik zaprosił do stołu strudzonego podróżą, sadzając go naprzeciw córek swoich, a obok małżonki. Zbigniew raz rzucił wzrokiem na Hannę, starszą Stolnikównę, i wnet się zaczerwienił, by toruńska cegła¹⁾, oczy zaiskrzyły się, by u wilka w nocy, a serce biło na odpust. Panna też raka upiekła, owo trafił bies na pogana, bo trafił swój na swego.

Kiedy po uczcie obaj bracia zobaczyli się sami w oddzielnej izbie, pan Zbigniew, co nigdy nie miał się żenić i ubolewał nad oślepieniem brata, już teraz tak żwawie nie powstawał i wkońcu wyrzekł:

— Miły bracie! widać, że takie zrządzenie Boskie było, jać przeciwko temu nic nie mam.

Mój panicz uwiesił mu się u szyi, całował, szepnąwszy z uśmiechem do ucha:

— A waści gładka Hanna?

Ale pan Zbigniew uściskał go za rękę, prosząc, by jej nie wspominał.

W parę dni potem wysłano mnie z dworu pod wieczór uzbierać malin w ogrodzie; biegnę, aż pod lipą słyszę cichy rozhovor; podkradam się i widzę, jak klęczy pan Zbigniew przed gładką Hanną, koperczaki smali i wzdychając, wypowiada miłość. Wskok wracam napowrót, sprowadzam swego panicza z panną Jadwigą i panią Stolnikową. Wysłuchali wszystko i odeszli niepostrzeżeni. Uwiadomiony pan Stolnik, po wieczerzy, gdy obcy odeszli, kazawszy podać puhar herbowy, nalał węgierskiego i rzekł, pijąc w ręce pana Zbigniewa:

— Oby lipa, świadek miłosnego świegotania dwojga ko-chanków, gęściejszym co rok liściem okrywała konary swoje.

Hanna ukryła zawstydzona lica na łonie siostry, a pan Zbigniew, to blady, to czerwienią farbowany, upadł wtedy na kolana.

Zapłakał z radości stary Stolnik, ucałował go w czoło,

¹⁾ »Zaczerwienił się by toruńska cegła« przysłowie dawniej często używane, czasem w takim wyrażeniu: »Zbladł jak cegła toruńska«, to jest zarumieniał się. Książę Jabłonowski w rękopiśmie swoim z r. 1702, wyjaśniając to przysłowie, powiada, że dobroć i kolor cegły toruńskiej dały powód do niego, a świadczyć o tem mogą gmachy wielkie i trwałe, jeszcze przez Krzyżaków zbudowane.

żądając, aby dawnym zwyczajem przez swatów oświadczyli swoje chęci. Więc tego wieczora posłano Jaśka po stryja rodzzonego paniczów, pana Cześnika.

W pięć dni wyjechali o milę paniczowie przeciw stryja, tam wsiedli w jego kolaskę i razem zajechali do dworu. Stary Cześnik wystrojony, kazał nie wyprzęgać koni woźnicy, wedle zwyczaju dawnego.

Pięć dzielnych koni zadzwoniło chomaćkami krakowskiemi przed gankiem Stolnika, który już czekał na przyjęcie milego gościa.

Przy śniadaniu, kiedy chleb podano, małżonka gospodarza, spód mączny chleba nożem do siebie skrobała, dla dania znaku, że tu zalotnicy swata nie dostaną grochowego wieńca. Jakoż w godzinę woźnicy Cześnika wyprzężono konie, a radość w całym dworze była, wszyscy już wiedzieli, że dwa wesela odbędą się razem.

* * *

— Nalej no, bracie, jeszcze w garnek częstochowskiego piwa (rzekł do strażnika Maciej), bo jeszcze tu nie koniec, trzeba odwilżyć gardło.

Kiedy dobrze skropił usta:

— Owóż jako się skończyło. Gdy było po zapowiedziach, i ja skłoniłem czołem swoim paniczom, prosząc, aby wyjednali rękę Rozalii. Uśmiawszy się ze mnie, dali na nasze zapowiedzi; aż tu niedługo i podżyły Jaśko zaczął im ścisnąć kolana, żeby mógł się ożenić z tłustą Magdaleną, co posługiwała kucharzowi, bo w niej serdecznie rozmiłowan. Kiedy się o tem dowiedział pan Stolnik, uradowany serdecznie, zawołał:

— Moi mili braciszkwowie, nie zwóźcie mnie tu więcej ani swoich pacholików, ani czeladzi, bo wybierzecie, jako ptaki na lep, wszystkie z dworu dziewczęta.

— To nie nasza wina w tem, nasz ojciec (odrzekł pan Zbigniew, ścisnąc za kolano starego pana), tu każdy z nas uwiązał, jako ptak na lep.

— Nie daremność u nas doma (dodał pan Zygmunt), dwór Stolnika nazwano straszonym dworem.

* * *

We dwa miesiące wrócilim doma, każdy wioząc sobie panią, żylim długo szczęśliwie, dopóki Bóg raczył trzymać je przy zdrowiu i życiu. Jeden Jaśko nie mało miał kłopotu z swoją tłustą Magdaleną i nieraz z podbitem okiem mawiał: »iż ze straszego dworu pana Stolnika on tylko jeden dyabła za rogi wyciągnął«.

MECHERZYŃSKI KAROL.

(1804—1881).

Urodził się w Krakowie w 1804 r. Podobnie jak ojciec, sposobił się od lat najmłodszych do zawodu nauczycielskiego. Po ukończeniu gimnazjum i uniwersytetu w Krakowie, został w 1820 r. t. zw. kollaboratorem w liceum krakowskim św. Barbary, po roku zaś zastępcą profesora w gimnazjum św. Anny. W 1825 r. po złożeniu rozprawy »De philosophiae in poesi primordiis«, uzyskał stopień doktora filozofii i nominację na zwyczajnego profesora języka polskiego i łacińskiego w gimnazjum krakowskim. W 1828 r. zaliczono Mecherzyńskiego w poczet członków Towarzystwa naukowego krakowskiego. W 1849 r. mianowano go wyższym profesorem gimnazjalnym i powołano zarazem na zastępcę profesora literatury polskiej w uniwersytecie Jagiellońskim, po przymusowem ustąpieniu z tej katedry Lucyana Siemieńskiego, źle widzianego przez reakcyjne rządy bachowskie w Galicyi. Po dwu latach uwolniony od obowiązków nauczyciela gimnazjalnego i mianowany 1855 r. rzeczywistym profesorem uniwersytetu, wykładał aż do 1871 r., w którym uzyskał emeryturę i usunął się od zawodu nauczycielskiego.

Mecherzyński, jako profesor, gorliwie spełniał swoje obowiązki, ale głębszego wpływu na młodzież nie wywierał, ani też nie potrafił jej zachęcić do badań nad literaturą ojczystą. Nie miał przedewszystkiem daru wymowy; wykłady jego, które odczytywał ze skryptów, były suche i bezbarwne, brakło mu przytem zdolności krytycznej. »Najulubieńszymi okresami naszej literatury dla Mecherzyńskiego — pisze uczeń jego, A. Bełcikowski — były te, w których piśmiennictwo polskie szło w parze z łaciną i starymi klasykami, a więc okres kronikarski, czasy Zygmuntofskie i wiek XVII-ty. Literatura Stanisława Augusta mniej już, zdaje się, miała dla niego powabu, a wszel-

kie żywsze sympatyje podobno na Brodzińskim się kończyły«. O Słowackim i Krasińskim nie wykladał wcale.

Daleko większe zasługi, niż na katedrze, położył Mecherzyński, jako badacz naszej literatury. W tym zakresie pozostawił długi szereg rozpraw i monografii, ogłaszanych przeważnie w czasopiśmie, zwłaszcza w »Bibliotece Warszawskiej«, »Rocznikach« Towarzystwa naukowego w Krakowie i t. d.

Najwybitniejszym dziełem Mecherzyńskiego jest »Historia wymowy w Polsce«. W trzech tomach opowiedział autor dzieje wymowy od czasów najdawniejszych do końca okresu jezuickiego; zapowiedziany tom czwarty pozostał podobno w rękopisie. Mecherzyński przecenia niekiedy znaczenie mówców polskich, obciążył przytem dzieło swe niepotrzebnym balastem nazwisk ludzi, po których nic nie pozostało; prócz tradycyi o ich powodzeniu oratorskiem.

Mecherzyński był nadto autorem podręcznika do nauki historii literatury, który trzech nawet doczekał się wydań. Praca ta, nacechowana znakami pośpiechu i zagmatwania pojęć elementarnych, żadnej już dziś nie posiada wartości naukowej (por. ocenę Chmielowskiego w »Niwie« 1877 r. t. II, str. 31—37).

Do poważniejszych prac Mecherzyńskiego należy przekład dwunastu ksiąg »Historii« Długosza, wydany w zbiorowej edycyi dzieł tego pisarza (Kraków, 1859—64). Tłumacz, niepospolity znawca łaciny średniowiecznej, dał przekład wierny i staranny. Za sprawą Mecherzyńskiego ukazały się po raz pierwszy z rękopisów poezye Woronicza, nowa edycja kazań Skargi i kilka pomniejszych utworów literatury naszej.

Zmarł Mecherzyński w Podgórzu pod Krakowem dn. 9 sierpnia 1881 r., do ostatnich chwil niemal gromadząc materyały do prac zamierzonych.

BIBLIOGRAFIA.

A) Bibliografia dzieł. 1) »O duchu i dążności literatury polskiej wieku XVI«. (Odbitka z »Rocznika Towarzystwa naukowego«). Kraków 1849. 2) »Historia literatury polskiej dla młodzieży, opowiedziana w krótkości«. Kraków, 1873. (Drugie wydanie w 1874, trzecie w 1880). 3) »Historia języka łacińskiego w Polsce«. Kraków, 1829. (Drugie wydanie w 1833 r.) 4) »Historia wymowy w Polsce«. T. I, II i III. Kraków, 1856—1859 (tom IV pozostał w rękopisie). 5) »O magistratach miast polskich, a w szczególności miasta Krakowa«. Kraków, 1845. 6) »Historia wymowy kaznodziejskiej w Polsce, obejmująca wiadomość o najcelniejszych mówcach Kościoła polskiego w czasach Zyguntowskich«. Kraków, 1864. (Jest to właściwie tom II dzieła:

»Historya wymowy w Polsce« z inną tylko okładką tytułową). 7) »De philosophiae in poesi primordiis«. (Rozprawa doktorska Mecherzyńskiego). Kraków, 1825. 8) »O poetach czasów Stanisława Augusta«. (Odbitka z XXXII »Rocznika Towarzystwa naukowego). Kraków, 1865. 9) »Prawidła pisania«. Kraków, 1841. 10) »Przegląd literatury ludów wschodnich, poezji greckiej, średniowiecznej, polskiej XVI i XIX w.«. Odczyty publiczne. Kraków, 1851. 11) »Przykłady i wzory z najcelniejszych poetów i prozaików polskich zebrane i zastosowane do Historji literatury polskiej, opowiedzianej w krótkości dla młodzieży«. Kraków, 1874. 12) »O reformie Akademii krakowskiej w r. 1780 przez Kołłątaja«. Rzecz historyczna z archiwalnych źródeł zebrana i na uczczenie 500-letniej rocznicy wydana. Kraków, 1864. 13) »Stylistyka czyli nauka, obejmująca prawidła dobrego pisania«. Do użytku młodzieży szkolnej ułożona. Kraków, 1876. 14) »Świadectwa uczonych krajowych i postronnych o kwitującym stanie nauk w Polsce w wiekach dawniejszych«. Rzecz czytana przy obchodzie rocznicy założenia Akademii krakowskiej na posiedzeniu publicznem d. 2 czerwca 1828 r.« (Odbitka z tomu XIII »Rocznika naukowego«. Kraków, 1828. 15) »Uwagi nad dziełem L. T. Rycharskiego: »Literatura polska w historyczno-krytycznym zarysie«. Kraków, 1867. 16) »Wiadomość o Wetach Par-naskich Wacława Potockiego«, w bezimiennym rękopisie, znalezionym w Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kraków, 1868. 17) »Wypisy polskie dla szkół żeńskich, z najcelniejszych pisarzy krajowych zebrane i ułożone«. Kraków, 1872. 18) »O pobycie Konrada Celtesa w Polsce«. Kraków, 1876. 19) Wawrzyniec Korwin z Nowego Targu, poeta szląski XVI w.« Kraków, 1878. — Nadto szereg rozpraw pomniejszych w »Bibliotece Warszawskiej«, »Tygodniku literackim poznajskim«, »Kwartalniku naukowym« i inn.

B) O Mecherzyńskim pisali: K. Wł. Wójcicki. (»Tygodnik Ilustrowany« 1865 r. Nr 292). — Adam Bełcikowski (»Tyg. Illustr.« 1881 r. Nr. 297). — Henryk Biegeleisen (»Złota Przędza« t. II-gi, str. 887—889).

Historja wymowy w Polsce.

(Kraków, 1856 r. t. I, str. 8—9).

874) Zadaniem historyi wymowy jest: opowiedzieć w dziejowym porządku pierwiastkowy związek, wzrost, rozmaite koleje kwitnienia i upadania wymowy, — wyświecić oko liczności przyjazne jej powodzeniu, lub nawzajem przyczyny,

które działały nań odwrotnie, — wskazać godne uwagi, w każdym rodzaju wymowy i każdej z osobna epoce, zabytki i pomniki, z wymienieniem celniejszych utworów mówców i ocenieniem ich krytycznym, tak pod względem rzeczywistej wartości, jako też wrażenia i wpływu, jaki na współczesnych wywierali.

Pierwszym tu obowiązkiem dziejopisa jest pogląd uważny na te psychologiczne, społeczne i polityczne warunki, od których zawisła wymowa, już jako zdolność przyrodzona, już jako sztuka, umiejętnie kształcona i doskonalona. Bada on wewnątrz i zewnątrz naród, jego charakter, uprawę społeczną, tudzież język, jako narzędzie powszechne i organ umysłowości, — zważa rozmaite objawy w życiu domowym i publicznym, świeckim i religijnym, i z ich zarysów układa swój obraz, scenę historyczną, z głównym jej działaczem wymową. Stąd postępując do szczegółów, ocenia stanowisko każdego z osobna mówcy, — zbiera z ich życiorysów głównejsze barwy i znamiona, i roztrząsa ich dzieła, zważając, co w nich było własnością geniuszu, a co owocem działających nań wpływów; co wyniknęło z potrzeb krajowych, dla życia rzeczywistego, a co z wyłącznego powołania, dla sztuki. Dwojaką bowiem w swym historycznym obrazie ma ukazać stronę: praktyczną i teoretyczną — wymowę i jej naukę — mówców i ich szkołę.

Jakkolwiek historia wymowy jest częścią tylko ogólnych dziejów literatury, i jedynie w najściślejszym z niemi związku pojmowaną i należycie wyłuszczoną być może; przecież, ze względu na sam przedmiot wymowy, jej wyłączenie w życiu społecznym posłannictwo, niemniej ważność i rozległość zawodu, w którym odrębne i poniekąd niezawisłe od historii innych nauk i sztuk zakresła sobie epoki, stanowi niejako oddzielną całość, i na szczegółową zasługuje uwagę.

Piotr Skarga.

(«Historja wymowy w Polsce». Kraków, 1858).

875) *T. II. Str. 184—188.* Chcąc rzetelny przedstawić sobie obraz Skargi, należy uważnie oceniać stanowisko, jakie wobec wieku i społeczeństwa swego zajmował. Prawy Polak, gorliwy obywatel, był on przede wszystkim kapłanem Jezuitą. Znając dobrze powołanie swoje, a razem czasy i okoliczności, w których do wspólnego dzieła wystąpił, mierzył się własnym uczuciem i roztropnością, niemniej jak obowiązującą modlą zakonu, którego misję sprawował; razem wyobraziciel ducha chrześcijaństwa i dążności katolickiego kościoła, i narzędzie Boże, przeznaczone do przygotowania ważnych zmian w społeczeństwie. Mimo głośną na kazalnicy wziętość, społeczeństwo (a zwłaszcza reformiści) zarzucali mu dążenia przeciwne duchowi narodowemu, prawom i obyczajom polskim. Krytyka nowoczesna podniosła też same paradoksa, jakby na osłonięcie słabości i przesądnych wyobrażeń jego wieku. Kochał Skarga swój kraj i dlatego pragnął go widzieć rządym, wtedy najbardziej, kiedy Rzeczpospolita nachylała się swoim nieładem do upadku. Podpierał władzę królewską, gdy właśnie jej osłabienie rozprzęgało wszystkie spójnie politycznej budowy. Namawiał do jedności wiary, widząc, że za rozerwaniem kościoła szło powszechne rozbratanie serc i jedności narodu. Politykę uważał z tej samej wysokości, z jakiej zapatrywał się na wszystkie rzeczy ludzkie: zasady jej, jak kapłan, prowadził z nieba. Sprawiedliwość i pobożność ze strony panujących, wierność i uległość ze strony poddanych — kapłaństwo królujące, rząd duchowny z królem i przez króla, to jego polityka. Stawia on wszystkich zarówno pod władzą i wyrokami Boga, który dzierży w swym ręku serca ludzkie, i w skarbnicy swojej wszechmocy ma równie nagrody dla ułomności cnotliwej, jak kary dla występnej wielkości. Jakoż żywił w sobie Skarga raczej uczucia, niżeli zdania spólczesnych republikanów. Mniemał, że idea rzeczypospolitej mogła karmić wysokie cnoty obywatelskie, ale nie przypadła do miary z rzeczywistym stanem społeczeństwa. Tron uważał za jedyną twierdzę i podporę wol-

ności — wolność za nieoddzielną od monarchizmu. Dlatego obstawał za powagą i przywilejami władzy królewskiej, przeciw nadużyciom, rodzącym się z bezrządu i swawoli.

Pelen charakteru i odwagi cywilnej, roztropnie jednak kierował kroki — ulegał okolicznościom, ale nigdy nie odstępował swego zdania, ani płocho przemieniał roli. Mając za pierwszą cnotę posłuszeństwo zakonne, ani sięgając do głębi politycznej Jezuitów, nie dziw, że w prostocie i szczerości ducha stawał się poniekąd ich narzędnikiem: teorye swoje rozwijał nie po dworsku, jako pochlebca, ale w sposób godny kapłana obywatela, z czystego przekonania o potrzebie powagi tak świeckiej, jak duchownej.

Aby wiernie odpowiedzieć powołaniu, niedość było kaznodziei ówczesnemu stać na ogólnem stanowisku chrześcijańskim: trzeba było zgłębiać wady i słabości przemagające w narodzie, i nad ich wykorzenieniem pracować. Podjął tę pracę chwalebną Skarga, każąc przeciw zepsuciu powszechnemu, i światłe, gorliwości pełne dając rodakom swoim przestrogi.

Było usiłowaniem jego budować serca ludzkie i skłaniać różność społeczną do wzajemnej pomocy i miłości. Kazał za nieszczęśliwymi, stanem gminnym i ludem wiejskim, zastępując swą religijną opieką przywilej owej wolności, która nie wszystkim zarówno służyła. Śmiało w tym celu podnoszone głosy przeciw szlachcie i możniejszym panom do najwymowniejszych należą.

Filozofia jego czysto-religijna, objaśniona światłem i pomocą prawd objawionych, w tłumaczeniu przeznaczeń ludzkich i obowiązków odkrywa zasady równie wzniosłe, jak prawdziwe. Podobny uczuciem Bazylemu W., jest on przedewszystkiem mówcą - jałmużnikiem, z równą gorącością ducha pojmującym tę Boską zasadę chrześcijaństwa, która buduje równość społeczną przez religijną miłość. Wszystkie wymowa jego leżała w sercu, które nawzajem swe wzruszenia winno było tej wielkiej inspiracyi chrześcijańskiej — miłości.

MACIEJOWSKI WACŁAW ALEKSANDER.

(1793—1883).

Niezwykłą pracowitością i rozległą erudycją wyróżniający się badacz przeszłości Słowian i Polski w zakresie prawodawstwa, stosunków plemiennych, wyznaniowych, obyczajów, piśmiennictwa, głośny i ceniony w swoim czasie w całej Słowiańszczyźnie, z której przedstawicielami, w zakresie nauki, utrzymywał stosunki i prowadził ożywioną korespondencyę, podtrzymywał swą ruchliwą działalnością słabnącą po r. 1831 życie naukowe, lecz nie znajdował w społeczeństwie uznania i sympatyi, zarówno dla braku wyższych uzdolnień naukowych i literackich, jak też dla uwydatnionej w pracach sympatyi dla słowiańskiego obrządku i jego początkowego rozpowszechnienia w Polsce. Pomoc materyalna, jaką otrzymywał od rządu na badania naukowe w postaci stałej pensyi, budziła pewną, niesłuszną jednak, nieufność do jego przekonań i sądów.

Urodzony r. 1793 w Cierlicku na Śląsku (pow. cieszyński), pobierał nauki od r. 1805 w szkołach pijarskich w Piotrkowie, gdzie brat jego starszy, Józef, był nauczycielem języków nowożytnych. Jednocześnie uczęszczali tu dwaj bratankowie jego: Ignacy i Franciszek, późniejszy profesor prawa rzymskiego w Szkole Głównej warszawskiej. Szkoły te wspominał Maciejowski do końca życia z wdzięcznością za obudzenie w nim zapału do nauki. W r. 1812 rozpoczyna studia we wszechnicy Jagiellońskiej, obsadzonej wówczas na nowo siłami polskimi. W Krakowie spotkał rwący się do nauki młodzieniec Jerzego Samuela Bandtkiego, bibliotekarza, wykładającego podówczas bibliografię, który jako sekretarz Goedikego, wizytatora szkół za czasów pruskich, zwiedzał poprzednio szkoły piotrkowskie. Wziął on teraz do siebie znanego mu widocznie młodzieńca i przez lat dwa pracował nad nim, uzupełniając ubogie zasoby, wyniesione ze szkół piotrkowskich, studyowaniem pisarzów łacińskich, greckich, a obok tego Woltera. Jak później sam

Mac. przyznawał, Bandtkie był mu »więcej niż ojcem«. Za wpływem tegoż protektora, ówczesny minister oświecenia w Królestwie Polskiem, Stan. Potocki, wysłał młodego pracownika na dalsze studia za granicę. Przez trzy lata przebywał M. na uniwersytetach w Berlinie, Getyndze i Wrocławiu, słuchając wykładów: Savignego, Wolfa, głośnego ze studyów nad Homerem, Boeckha, Niebuhra, Raamera, Hugona, Eichhorna prof. historii prawa germańskiego, którego wykłady pobudziły w słuchaczu myśl opracowania historii prawodawstw słowiańskich. W r. 1818 po uzyskaniu stopnia doktora za rozprawę: »De vita et constitutionibus M. Trajani Decii« (Getynga 1818) wraca do kraju i obejmuje stanowisko nauczyciela w liceum warszawskiem, a jednocześnie profesora historii i instytucji prawa rzymskiego w świeżo otwartym uniwersytecie. W związku z tymi wykładami ogłasza: »Principia juris romani« (Warsz. 1820, drugie wyd. p. t. »Historia juris romani«). Od r. 1825 rozpoczął wykłady pandektów. W r. 1828 ogłasza »Opusculorum Sylloge prima« (Warszawa). Po zamknięciu uniwersytetu w r. 1831 został sędzią apelacyjnym trybunału województwa mazowieckiego. Od r. 1837 wykładał literaturę starożytną w otwartej podówczas w Warszawie Akademii duchownej, a na kursach prawnych (1840—1846) historię prawa polskiego. Wreszcie w r. 1832 pojawia się w Warszawie pierwszy tom »Historii prawodawstw słowiańskich«, która młodemu uczonemu zjednała rozgłos w całej Słowiańszczyźnie i uznanie w świecie uczonych niemieckich. Na ten kierunek studyów M. wpłynęło z jednej strony rosnące u nas interesowanie się przeszłością Słowiańszczyzny i torowanie drogi do badań naukowych na tem polu przez takich pracowników, jak Chodakowski, Surowiecki, Rakowiecki. Obok tego nauka niemiecka wywarła wpływ doniosły nie tylko na metodę naukową M. lecz i na cały system pojęć. W odradzających się, po walkach okresu Napoleońskiego, krajach niemieckich szerzyć się właśnie zaczynał ruch narodowy, którego budzicieli i kierowników spotykamy i na katedrach uniwersyteckich. Późniejszy sławizm Maciejowskiego niewątpliwie powstał pod wpływem idei, z którymi zetknął się podczas swoich studyów niemieckich. Rzecz charakterystyczna, że sam M. zdawał sobie sprawę z wpływu, jaki wywarli myśliciele niemieccy nie tylko na naukowe, ale i jego słowiańskie pojęcia. We wstępie do pierwszej części swej »Historii prawodawstw słowiańskich« nawołuje M. »ażeby odczytywać i rozważać pilnie« dzieło »wiekopomnego męża« Herdera »Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit«. Herder każdej rasie przypisał specjalne rysy charakterystyczne, które miały odbijać swe piętno na całych ich dziejach. Otóż Słowian scharakteryzował niemiecki myśliciel, jako plemię odznaczające się łagodnością usposobienia, wrodzoną pogodą umysłu, zamiłowaniem muzyki, zmysłem gościnności i pracowitości, ale z drugiej strony brakiem inicjatywy w działaniu, łatwą zdolnością do poddania się jarzmu niewoli, brakiem ducha wojennego i zaborczości, wielką rozpręgliwością organizacyi politycznej, niezdolnością utworze-

nia silnego, spoistego organizmu państwowego. Ten sąd Herdera stał się gwiazdą przewodnią w całej działalności naukowej M.

Już w Niemczech marzył nasz uczoney o napisaniu dzieła, poświęconego prawodawstwu słowiańskiemu, w którem to dziele pragnął on, nie porzucając doktryny Herdera, wykazać, że oprócz rzymskich i niemieckich, istnieją jeszcze w Europie prawa, o których urywkowe dotąd mieliśmy i mamy wiadomości, a prawa te są »w zasadzie swej oryginalne, w rozwinięciu osobliwsze, w użytku praktyczniejsze, niż wszelkie inne średniowiekowe«. Do wprowadzenia w życie swego planu wziął się M. przy pierwszej nadarzonej sposobności. W r. 1820 młody uczoney powołany został do udziału w pracach komisji, która pod przewodnictwem Józefa Wybickiego miała przejrzeć i poprawić prawa krajowe. Uczestnictwo w tej komisji z jednej strony upewniło M. o znaczeniu praktycznym planowanego przez niego dzieła, z drugiej strony ułatwiło mu wykonanie tej pracy, która stała się osią i główną podstawą wszystkich późniejszych dzieł M. Dzieło to p. t. »Historja prawodawstw słowiańskich« ukazało się w Warszawie w latach od 1832 do 1835 w czterech tomach. Dziś prawie zapomniane, wywołało ono swojego czasu podziw nietylko w Polsce, ale i w całej Słowiańszczyźnie, a nawet i w Niemczech. Sam autor przypisywał mu wielkie znaczenie, uważając, »że objawił w niem miłośnikom prawdy nowe ustawodawstwo, że pokazując ludziom mało im jeszcze znaną narodowość słowiańskich pokoleń, dobrze usłużył rodakom i obcym, zwłaszcza tym, którzy historją pojmują, a człowieczeństwo lubią«.

W olbrzymiem dziele swoim poszedł M. w kierunku wytkniętym przez Rakowieckiego, który we wstępnych wywodach do przekładu »Prawdy Ruskiej« pierwszy wszedł na drogę porównawczego badania urzędzeń słowiańskich. Zadanie, jakiego się podjął M. było olbrzymie, przerastające niemal siły jednego człowieka. Do porównawczej historyi prawa słowiańskiego był już za czasów M. ogromny materiał, dostępny dla uczonych, ale jak słusznie pisze prof. Balzer (»Historja praw słowiańskich« str. 17), »materiał ten był jeszcze w ogromnej części surowy; dotychczasowa nauka zlekka go tylko w niektórych szczegółach i w niektórych tylko krajach, jak w Polsce i w Rosyi, dotknęła; niektóre prawa słowiańskie jak np. czeskie, bardzo jeszcze były podówczas zaniedbane, inne jak np. południowo-słowiańskie, prawie nietknięte. Tysiączne zasadnicze wątpliwości, jakie źródła te nietylko w całości, ale częstokroć w poszczególnych ustępach nasuwały, były nierozjaśnione. Przez ten wielki dziewiczy las nieobrobionego przeważnie materiału miał się własną pracą przedrzeć jeden człowiek; nie dziw, że zamiast opanować przedmiot, uległ pod jego ogromem. Byłby był musiał uleść, gdyby był nawet wolny od tych wad, jakie cechują jego indywidualność umysłową: pochopność do nieuzasadnionych hipotez, brak ścisłości krytycznej i ścisłości prawnej, zawilość i mglistość w poglądach i przedstawieniu rzeczy. Historja porównawcza prawodawstw słowiańskich wobec ówczesnego

stanu, w jakim znajdowała się historia każdego z tych praw, nie miała jeszcze podstaw bytu».

Jak wspominaliśmy M. ulegał wpływom teorii Herdera o narodowościach. Otóż w »Historji prawodawstw słowiańskich« doprowadza on teorye te do niemożliwych wprost konsekwencji. »Niemieckie i słowiańskie prawa, twierdzi uczoney, dwie uderzające przedstawiają przeciwności. O ile pierwsze odznaczyło się ostrością, surowością, a nawet pewną nieludzkością, o tyle drugie miało w przeznaczeniu naprawiać jego szwanki, tudzież odrabiać, czyli oddziaływać, cokolwiek tamto na szkodę działało ludzkości«. Wychodząc z takiego założenia, każde łagodne ludzkie postanowienie uważał Maciejowski za prawo słowiańskie. W ten sposób całym systemom prawnym Swewów, Dytmarsów, a dalej Zwierciadłu saskiemu, Zwierciadłu szwabskiemu, przypisał nasz uczoney słowiańskie pochodzenie. Nad historją prawodawstwa słowiańskiego pracował M. do końca życia. Po wyjściu pierwszej edycyi wziął się do opracowywania drugiej, która ukazała się w Warszawie (1856—1865 tom VI). Dzieło to doczekało się przekładu na obce języki. Przekład niemiecki z pierwszego wydania, dokonany przez Fr. v. Bussa i N. Nawrockiego, ukazał się w Stuttgarcie (1835—1839) p. t. »Slavische Rechtsgeschichte« (in IV Theilen). W r. 1856 wyszedł przekład serbski przez Nikola Krstica (u Budimu). Rosyjski przekład, przez Sawinicza dokonany, przerwany został po ukazaniu się tomu I (Moskwa 1842) z powodu śmierci wydawcy.

Najważniejszą z dalszych prac M. jest: »Piśmiennictwo polskie od czasów najdawniejszych aż do roku 1830, z rękopisów i druków zebrawszy, w obrazie literatury polskiej historycznie skreślonym, przedstawił...« Warszawa 1851—1852. Tom I zawiera: wstęp do dzieła, zwroty piśmiennictwa i literatury, zewnątrznie aż do r. 1650 rozważone, (str. VIII i 813), tom II też zwroty wewnątrznie aż do r. 1650 rozważone (str. 986), tom III dopełnienia powyższych tomów i dodatki do dzieła (str. III, 876, XXIV, IV i w dodatkach str. 403 i tablice podobizn). Przyjąwszy, podobnie jak i Wiszniewski, rodzimość literatury polskiej, istniejącej przed przyjęciem chrześcijaństwa (pieśni, przysłowia, klechdy) jako wyraz twórczości ludu, widzi w rozwoju dziejowym literatury trzy zwroty: ludowy, narodowy (w tworach klasy oświeceniowej, piśmem i drukiem utrwalonych), wreszcie najwyższy ludowo-narodowy, w którym twórczość wieszczego ducha pisarzy ubrała rodowość w szaty najartystyczniej wyrobionego piękna. W tomie pierwszym, po obszernym wstępie rozwijającym pogląd na powody objawienia się piśmiennictwa polskiego, dwoiste jego lice, zwroty i zasoby, rozpatruje rozwój literatury ludowej, jej pomników, zbiorów dotąd ogłoszonych, następnie w zwrocie drugim rozpatruje zabytki polskie rękopiśmienne i najdawniejsze druki, wreszcie działalność 18 pisarzy ludowo-narodowych z wieku XVI do połowy w. XVII. Tom drugi poświęcony jest »obrotom« zwrotów, a więc rozwojowi oświaty (szkoły), nauki, języka, stylu, poezyi, prozy, a wreszcie rozpatrzeniu prac nad

historią literatury. Tom trzeci wypełniają opisy bibliograficzne i streszczenia licznych ksiąg i broszur pomniejszych pisarzy z powyższego okresu, rozpatrywanych po rozmaitych bibliotekach polskich i obcych, dodatek zaś przedruki rzadkich zabytków rękopiśmiennych. Pisarze łacińscy nie zostali uwzględnieni. W »ostatnim poglądzie na to dzieło« zamykającym tom II powiada M. »Pytając o to ludu: jak narodowi przechował słowo polskie, gdy nań zewsząd, począwszy od X w. mocno nacierała cudzoziemszczyzna? Pytając o to narodu: co go spowodowało do przejęcia tego słowa od ludu i do powierzenia go piśmieniu? Pytając o to polskich uczonych, co ich skłoniło ku ludowej pieśni i opowieści? Zapisalem odebraną na te pytania odpowiedź i na dowód odgadnionych zagadnień wykazałem, rozumiem, dobitnie, że nasza literatura wcale odmiennym od literatur innych (francuska, niemiecka) rozwijała się i rozwija trybem«. To jednak, co uczonemu wydawało się jasnym, czytelnikom przedstawiało się bardzo zawile i niezrozumiałe. Zaznaczył to we współczesnej ocenie (»Gazeta Warsz.« r. 1851 n. 299) Kraszewski, wywołując ze strony M. odpowiedź, iż czyniąc mu podobne zarzuty (zawiłość układu, niejasność) »żartuje sobie z piszącego dzieło i czytających«. W dwa lata po Kraszewskim wypowiedział Mickiewicz ostry, tchnący niechęcią i lekceważeniem sąd o dziele i jego autorze w notatce, skreślonej w r. 1853, a ogłoszonej w »Czasie« z r. 1856. Podzielając wraz z innymi ówczesnymi badaczami przeszłości domniemanie o istnieniu w Polsce obrządku wschodniego przed wprowadzeniem łacińskiego, rozwinął M. swoją hipotezę w pracy: »Pamiętniki o dziejach piśmiennictwa i prawodawstwa Słowian« (Warsz. 1839 r. 2 tomy) tudzież w rozprawie ogłoszonej po francusku: »Essai historique sur l'église chrétienne primitive de deux rites chez les Slaves« (Lipsk 1840). Książka ta, o ile pozyskała w sferach rosyjskich naukowych i urzędowych, których widokom odpowiadała — uznanie dla historyka, wyrażające się w udzieleniu mu stałego rocznego zasiłku na badania naukowe, o tyle znowu w społeczeństwie polskim wywołała mniej korzystne dla autora usposobienie. Z powodu »Pamiętników« rozwinęła się w »Bibl. Warsz.« zawzięta polemika, prowadzona niezbyt udolnie przez Ign. Rychtera. (Różnice zachodzące między »Pamiętnikami W. A. Mac. a historią« »Bibl. Warsz.« 1841 r. t. II i III). Przekład rosyjski »Pamiętników« ogłosił w Petersburgu (1840) Dubrowski, znany ze swej działalności w Warszawie. Z krytyką pojęć i poglądów M. wystąpił założony w r. 1845 »Przegląd poznański« w rozprawie »O wyobrażeniach szerzonych przez p. W. Al. Mac.« (t. IV, str. 526) i ponownie: »Pan A. W. Mac. i jego odpowiedź« (t. VI, str. 97). Szanowano jego rozległą wiedzę i niezmierną pracowitość, jednakże dla osoby i dzieł nie okazywano sympatii i uznania, nie znajdując w nich odbicia drogich ogółowi uczuć i dążeń. Słowiańskie sympatyje i dążności M. jednały mu za to uznanie wśród uczonych rosyjskich i czeskich, z którymi zostawał w stosunkach, z Hanką mianowicie. Jako jedyny w latach między r. 1831

a 1860 uczony polski, pracujący w Warszawie, a posiadający jednocześnie szeroki rozgłos poza krajem, M. mimo swej niepopularności, mimo niejasności i niepoczytności swych dzieł i rozpraw, jest współpracownikiem wszystkich poważniejszych czasopism polskich w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Lwowie, Wilnie. Po r. 1860 słabnie obfita produkcja naukowa M. zarówno ilościowo, jak i co do wartości. Pragnąc utrzymać prawo do pobierania zasiłku na pracę naukową, ogłasza coraz nowe dzieła i rozprawy, pomimo słabnących z wiekiem sił fizycznych i umysłowych, podejmuje zadania, którym niezdolny jest poddać. Wreszcie zgon w r. 1883 kładzie kres tym bezowocnym, bezwartościowym wysiłkom starca, usiłującego daremnie utrzymać się na stanowisku, zdobytem przed pół wiekiem.

BIBLIOGRAFIA.

a) Biografie i oceny krytyczne. Pierwszą pracą jest: »O życiu i pismach W. A. Maciejowskiego« (Bibl. Ossol. 1843 r. V). W r. 1870 Walenty Dutkiewicz ogłosił: »Spostrzeżenia nad historią prawodawstw słowiańskich« (Warszawa 1870) Po śmierci M. ukazało się »Wspomnienie pośmiertne« (Ateneum 1883 r. t. I), Ptaszycki Stan. ogłosił w języku rosyjskim zarys życia i prac M. w piśmie: »Żurnal minist. prosw.« (CCXXVI). »Historię prawodawstw słowiańskich« oceniał Balzer. Dokładne bo od samego M. otrzymane dane biograficzne podał E. Świeżawski w biografii, pomieszczonej w »Złotej przędzy« (t. II, str. 588). Listy M. do Hanki w liczbie 95 wydał prof. Francew w zbiorze korespondencji tego czeskiego sławisty, ogłoszonym w Pradze (r. 1905). Listy M. do Anton. Mażurancza podał »Kwart. histor.« z 1909 r. zes. IV. O działalności M. pisał Jellinek w »Slov. sborniku« z 1883 r. zaś ks. Smolikowski i T. Grabowski w »Świecie Słowiańskim« z r. 1910 »O stanowisku M.«.

b) Wydania dzieł: Zbiorowych wydań prac M. nie było ni za życia jego ni po zgonie. Z wyjątkiem »Historii prawodawstw« żadne dzieło nie wyszło w powtórnem wydaniu. Prócz wymienionych w zarysie biograficznym prac ogłosił M. jeszcze w osobnych wydaniach: »Polska aż do pierwszej połowy wieku XVII pod względem obyczajów i zwyczajów« (Warsz. 1842 r. 4 tomy). »Pierwotne dzieje Polski i Litwy« (Warsz. 1846). »Kronika polska pierwszych dziesięciu wieków po Chrystusie« z mapką (Warsz. 1848), »Roczniki i kroniki polskie i litewskie najdawniejsze« (Warsz. 1850. Oceniał J. Bartoszewicz w »Bibl. Warsz.« 1850 t. III). Po ogłoszeniu nowego rozszerzonego wydania »Historii prawodawstw« wydawał cały szereg rozpraw, mających rozjaśniać i dopełniać ten przedmiot. Pierwszą z tych prac był: »Przegląd najnowszych prawodawstw Słowian«, mający się skła-

dać z ciągu rozpraw, z których pojawiła się tylko jedna: »Przegląd histor. krytyczny prawa cywilnego, ruskiego, dziś obowiązującego« (Warsz. 1871). Jako »Dopełnienia« do »Historji prawodawstw« ogłosił następnie: »Zarysy dawnej statystyki Polski w celu dopełnienia Historji prawodawstw« (Warsz. 1866), »Dzieje Polski przedchrobrowej aż do początku panowania w niej rodziny Piasta« (Warsz. 1872 wydane z zapisu M. Konarskiego). Z kolei kosztem funduszu konkursowego hr. Augusta Cieszkowskiego, wyszła »Historja włościan i stosunków ich politycznych, społecznych i ekonomicznych od czasów najdawniejszych aż do drugiej połowy w. XIX« (Poznań 1874). Zawartość i wartość naukowa tej książki nie odpowiada wiele obiecującemu tytułowi i ważności podjętego a nie spełnionego zadania. Jako czwarte dopełnienie »Historji prawodawstw« wydał dziełko: »Żydzi w Polsce, na Rusi i Litwie« (Warsz. 1878) Śmierć M. przerwała rozpoczęty druk książki o »Miastach i mieszczanach«, która ukazała się później p. t. »Historja miast i mieszczan w krajach dawnego państwa polskiego od czasów najdawn. do połowy w. XIX«, z materiałów pozostałych do druku przygotował M. R. Witanowski (»Roczniki Tow. przyj. nauk. pozn.« VII, odbitka Poznań 1891. Ocenę dał Winiarz w »Kwart hist.« z 1893 r.) Dzierżawiąc od r. 1846 rządową poduchowną wieś Mazew w Łęczyckiem, skreślił jej monografię p. t.: »Mazew, przyczynek do historyi miejskich i wiejskich osad w Polsce« (Bibl. Warsz. i osobno Warsz. 1857) W związku z niedokończoną historją miast zostaje praca: »Historja rzemiosł i rzemieślników w Polsce do końca w. XVIII« (kwartalnik »Kłósów« i osobno, Warsz 1877). Długi szereg opracowań pomieścił M. we wszystkich ważniejszych czasopismach i zbiorowych wydawnictwach polskich, zwłaszcza w okresie między 1830 a 1860 r. Najdawniejszą jest pomieszczona w »Themis« z 1829 r. rozprawa: »Statut wiślicki jakie środki wskazuje do oczyszczenia się z zarzutów kryminalnych«. Następnie spotykamy w »Kwartalniku« krakowskim od r. 1835 cały szereg prac jak: »O lennictwie i feudalności u Słowian do połowy w. XIV«, »Obraz prawoznawstwa słowiańskich ludów w czasach najnowszych«, »O kozakach«, »O stanie kmiecym i poddanych u Słowian, od połowy w. XIV do końca w. XVII«. Następnie spotykamy prace M. w wychodzącej w Warszawie »Panoramie literatury« (od r. 1836) i »Magazynie powszechnym«. Największą liczbę tych prac pomieściła »Biblioteka Warszawska« od 1841—1860 r. Spotykamy je też w wychodzących wtedy w Warszawie pismach: »Przegląd warszawski«, »Dzwon literacki«, »Piśmiennictwa krajowe«, »Pamiętnik religijno moralny«, »Ateneum« wileńskie. Zasiłał też swemi pracami między r. 1840 a 1846 czasopisma poznańskie: »Tygodnik literacki«, »Tygod. wielkop.«, »Orędownik«, »Dziennik domowy«. Spotykamy je w zbiorowych książkach i noworocznikach jak »Album literackie« (Warsz. 1845), »Ondyna Druskienickich źródeł« (Grodno 1845), »Wieniec« dla Jachowicza (Warsz. 1857). W późniejszych czasach spotykamy w »Bibliotece Ossolińskich«

rozprawę: »Nowy pogląd na znaczenie wyrazu k mieć« (odb. Lwów, 1866) w »Rocznikach Tow. Nauk. Krak.« pracę: »Pogląd na stosunki majątkowe małżonków« (osobno Kraków 1865), wreszcie w »Czasopiśmie pośw. prawu« (Kraków, 1868 i odbitka) »Pobieżny pogląd na kodyfikację praw w Polsce«.

Historia prawodawstw słowiańskich.

(2-gie wydanie, Warszawa, 1856—65, tom VI).

Rysy do obrazu charakteru Słowian i Niemców.

876) *Tom I, str. 101 i nast.* Wysnuwa się z dziejów charakter ludu, jak nić z kłębka, choć często dociec trudno, z jakiego włókna uprzedzono ją i nawinięto na pasmo: co jednakże wiedzieć potrzeba, jeżeli wątek owego kłębka ocenić się ma należycie. Z rozkładu pokazać się może, że jest częstką pólbumarłej rośliny, albo żyjącej, a hodującej się pod gołym niebem, lub w szklarni. W pierwszym przypadku nie dojdiesz natury włókna, nie używszy do tego sztuki, czyli chemicznie nie rozebrawszy go. W przypadku drugim dosyć poznać, jak się sieje, dojrzewa i zbiera. Sama bowiem postać rośliny i natura wewnątrz krążących soków dadzą ci poznać jej własność i mogące się z niej ciągnąć pożytki. Toż samo o charakterze narodów rozumieć należy. Łatwo poznasz go u ludu, co obumarł, rozważywszy pozostałe po nim pamiątki, ale tego, co jeszcze żyje, nie ocenisz z podań i pisma. Chcąc go poznać, zamieszkać w pośród niego i z życia upłynionego tudzież bieżącego wyrozumieć musisz obecne jego życie: co, nie mówię dla cudzoziemca, lecz i dla rodaka jest rzeczą nader trudną. Doświadczył tego Tacyt na sobie, gdy spółczesnych Izraelitów kreślił charakter, który jak najfałszywiej przedstawił. Doświadczyli wszyscy, którzy Słowian z książek opisywali. Doświadczyli nakoniec i ci (a byli to właśnie ich rodacy, mężowie wielkiej nauki i rzeczy ludzkich trafni dostrzegacze), co żyjąc między nimi, przedstawili ich umysłowe usposobienie tegoczesne, w harmonię nie przywiódłszy go, czyli jednym słowem nie pogodziw-

szy z przeszłością, życia ich nie rozwinałszy z dziejów kłębka. Skąd poszło, że odmalowany przez nich obraz Polaków (że tych za przykład wezmę) okazał się być częścią za bezbarwny, a nawet nijaki, jak u Lelewela i Wiszniewskiego, częścią za jednostronny, jakim jest niemal każde bez różnicy malowidło charakteru słowiańskiego, które cudzoziemiec zrobił. Wszelako, jakiegokolwiek ono jest i z pod czyjejkolwiek rodaka, lub cudzoziemca wyszło ręki, powinien go dokładnie obejrzyć, kto, nie mogąc z życia, musi z obrazu rozpoznawać słowiańskiego umysłowe usposobienie narodu. Osobliwie też od cudzoziemca namalowany, powinien być przez rodaka rozważony pilnie. Bo gdy niepodobieństwem jest, ażebyśmy się sami mogli poznać na sobie i gdy chcąc to wiedzieć, posłuchać należy, co obcy mówi o naszych cnotach i wadach, przeto, chcąc dobrze poznać nasz charakter, przez krajowca lub cudzoziemca odmalowany, potrzeba oba stawić obok siebie obrazy i uważać, który z nich przedstawia go tak, że nawet po upływie wieków, kiedy się z latami twarz człowiekowi odmieni, możnaby rozpoznać układ jej dawniejszy i odgadnąć, czy ożywiający ją duch tem samem co wprzód tchnie życiem. Kiedym się pod wrażeniem tych myśli pilnie wpatrywał w twarz Słowianina i Niemca, wniosłem z rozlanych po niej swobodach i troskach, że w sercu obu przebywa, co tamtego szczęśliwym, a tego utrapionym czyni. Śledząc źródła odmiennych tych uczuć, dało mi się dostrzedz, że duch ożywiający obie twarze, postępując w przeciwnym kierunku, wiódł nas k temu, ażebyśmy się niewiele troszczyli o przyszłość, czuwając jedynie nad tem, by żywiąc Boga w sercu, a miłując ludzkość, rozkrzewiliśmy w sobie i mnożyli obie cnoty; przeciwnie zaś Niemca, przeto, że się zbyt trwożył o siebie, zmuszał ów duch bez ustanku do wyszukiwania sobie zasady, któraby mu na przyszłość zapewniła szczęście. Zastanawiając się dalej nad skutkami z obudwu dążeń wynikłymi, przekonałem się, że zabiegi o dojście do celu, przez oba czynione ludy, doprowadziły je do rozwinięcia sobie charakterów odrębnych, a wyrazistych: chociaż rzeczywiście niemiecki tylko charakter ma takie cechy, będąc już rozwiniętym; słowiański bowiem jeszcze się rozwija. Przyczyną tego są okoliczności, szczęśliwsze dla rozwoju niemieckiej, aniżeli słowiańskiej cywi-

lizacy: co tembardziej zadziwia, gdyż to wiemy, że miejscowość więcej pod tym względem sprzyjała Słowianom, aniżeli Niemcom, postawiwszy pierwszych blisko ogniska światła w starożytnych Atenach i Rzymie, a następnie w Bizancyum promieniającego się, i otwarłszy im przez to większe pole do ukształcenia się i do rozwinięcia tem samem charakteru swojego. Że więc, mimo to, jeszcze go sobie nie rozwinęli Słowianie, jest rzeczą dziwną, lubo do pojęcia nietrudną: dzieje albowiem wskazują tego przyczynę, chociaż ukrywają cele, jakie w tem miała Opatrzność, i tak nastroiła bieg rzeczy. W przyszłości więc dopiero, którą wiedzieć sam Bóg tylko może, objawią się nam obu kierunków powody. Uczuciem a nie rozumem, jak gdzieindziej powiedziałem, powodując się Słowianin, nie mógł, przy najlepszym do tego usposobieniu, ostatecznie charakteru swojego rozwinąć i do połowy tylko doprowadził jego rozwój. Przeciwnie Niemiec, więcej na rozum, niż uczucie bacząc, rozwinął swój tak, że w nim nic dziś ani ująć, ani coś do niego dodać nie można, chyba preistoczywszy sam naród, co jest rzeczą niepodobną, gdyż charakter ten, jako skończony wszedł do mas i począwszy od najwyższego, aż do najniższego jej szczebla jeden całą towarzyskość niemiecką ożywia. Czego gdy o słowiańskim powiedzieć się nie da, i gdy charakter ten insze na sobie cechy w domowem, a insze w publicznem nosi życiu, przeto, jako nie jednolity i nie żyjący w masach ludu, za nierozwinięty jeszcze uważany być winien. Dziwną ma fizyonomię ten charakter.

Żywioną w swem sercu miłość Boga i bliźniego swobodnie rozwijając, Słowianin rozlał ją w domowem życiu na całą ludzkość, coraz większe czyniąc w moralności postępy; przeciwnie w publicznem okazał się być samolubem, mniej jednakże dla obcych, niż dla swoich. Co gdy wynikło z przyczyn politycznych, a przyczyn tych nie odgadywał, kto z bliska nie poznał ludu i narodu, przeto zbyt ku obcym pociąg i rozmiłowanie się w swobodach krajowych za lekceważenie narodowości i rządu, hojność w pożyciu za rozrzutność, a mała o przyszłość troska za niechęć do pracy poczytywana nam była najwięcej przez tych, którym wiele dobrego świadczył, to jest przez cudzoziemców. Przeciwnie troska o dobre mienie, przywiódłszy

Niemca do pracowitości i oszczędności (dwu największych cnót, któremi jaśniej), zaraziła go samolubstwem w domowym i publicznem życiu, które ukrywając przed światem troskliwie, ubarwiał je i pozorował miłością bliźniego, sprowadzoną do zasady przyszłego szczęścia. Na tej to samolubnej miłości pokładał przywiązanie do swej narodowości, na języku głównie oparłszy ją. Wszelako, znowu z powodu owej o dobre mienie troski, chwał się w swej zasadzie, ilekroć szło o zyski, gdyż wtedy gotów był Niemiec wyrzec się wszystkiego, prócz pieniędzy, byle dostąpić czego nie ma (skąd też przez żart mówi się o nim, że nie chce nie mieć, czyli, że chciwie goni za zyskiem), albowiem przekonany był, że nigdy nie ma się i nie posiada dosyć.

CXV.

HUBE ROMUALD.

(1803—1890).

Wybitny uczony polski, świetny prawnik, doskonały paleograf, człowiek fenomenalnej pracy, z umysłem filozoficznie wykształconym, należał Hube do tych bojowników wiedzy polskiej, którzy z mozołem przedzierali się przez dziewicze prawie puszcze ówczesnego polskiego prawoznawstwa. Urodzony r. 1803, ukończył H. uniwersytet warszawski r. 1823, poczem dla dalszych studyów udał się do Berlina, gdzie słuchał wykładów Savigny'go i Hegla. »Savigny — pisał na schyłku życia H. w pamiętniku swoim — zniewalał bezwzględnie przyjmować, co twierdził, Hegel pobudzał do myślenia i rozważania razem z sobą... najwięcej smakowałem w jego filozofii i filozofii historii: stopniowe rozwijanie się pojęć i faktów w ściśle logicznym porządku od najprostszych do coraz więcej skomplikowanych i wykształconych silnie na umysł mój działało. Nietyle zajmowała mnie filozofia prawa, w której znajdowałem więcej sztucznego formalizmu, jak treści«. Przebywszy trzy semestry w Berlinie, wrócił Hube w połowie 1825 r. do Warszawy i tu rozpoczął wykłady na uniwersytecie, z początku jako lektor historii prawa, później od r. 1829 jako profesor. Rozszerzając zakres swej wiedzy ciągłą pracą i corocznemi prawie podróżami zagranicznemi, miał jednak H. dość czasu i energii, by redagować »Temidę«, pismo poświęcone teorii i praktyce prawa, które założył wspólnie z Karolem Hoffmanem, Zaborowskim, Maciejowskim, Tissem. Pomieszczał on tu liczne rozprawy z dziedziny prawa karnego, które były jakby przygotowaniem do obszerniejszego dzieła, wydanego r. 1830 pod tytułem: »Ogólne zasady prawa karnego«. We wstępie rozwinął pogląd na istotę prawa, w którym odzwierciedliły się jego przekonania społeczne.

Prawo karne nie mogło jednak wystarczyć niezwykle wszechstronnemu umysłowi H.; wraz z bratem Józefem, jeszcze za czasów

redagowania »Temidy«, wziął się on do badań nad historią prawa. »Poszczycić się możemy ja i brat mój — pisał później — że pierwsi byliśmy ze Słowian, którzy na pole porównawczych badań historycznoprawnych słowiańskich wstąpiliśmy«.

Powstanie listopadowe spowodowało przerwę w pracach H., który bawiąc wtedy w Rzymie, pospieszył czempredzej do kraju. Przybywszy po wielu przygodach do Warszawy, zaciągnął się uczony prawnik do miejskiej artylerji. Na posiedzeniu uroczystem Towarzystwa Przyj. Nauk w dniu 3 maja r. 1831 wygłosił, już w mundurze wojskowym, odczyt o »Konstytucji 3-go maja«, który swym tonem umiarkowanym zwrócił uwagę ks. Adama Czartoryskiego i utorował autorowi drogę do stanowiska referendarza w wydziale oświecenia. Po upadku powstania i zamknięciu uniwersytetu H. został prokuratorem przy sądzie kryminalnym, a wkrótce powołano go do współudziału w pracach komisji, mającej się zająć rewizją praw obowiązujących w Królestwie. W r. 1841 powrócił znów Hube do działalności profesorskiej i rozpoczął wykłady prawa polskiego w uniwersytecie petersburskim. Po czterech latach, wobec nawału zajęć, musiał porzucić zawód profesorski i to na zawsze. Pracował dalej na dwu polach: jako kodyfikator (od r. 1856 był prezesem komisji kodyfikacyjnej) i jako historyk prawa.

Pomimo uciążliwych zajęć obowiązkowych nie przestawał H. pracować dla nauki, oddając się studjom nad prawodawstwem słowiańskim, do czego skłaniało go marzenie o zbrataniu ludów słowiańskich na podstawie zbliżenia kulturalnego: »Poznajmy siebie, współplemienników naszych słowian« pisał H. do Zygmunta Helcla, »a więcej na tem zyskamy, jak na wiadomości jakiegoś niemieckiego systemu filozoficznego. Każda uratowana pamiątka historyczna z nad Dźwiny, Bugu, Sanu, Elby, Odry, więcej u mnie ma wagi, jak folianty niemieckiej filozofii lub francuskich politycznych wywodów. Znajmy je,iedzmy o nich, ale je oceniamy z naszego wyższego stanowiska. Nie zapominajmy o tem, że teraz panowanie nad światem przechodzi w ręce wielkiego słowiańskiego plemienia. Cóż jest lepiej, czy iść za zgruchotanemi, zwiędniętymi społeczeństwami, czy obrócić wzrok na świeżo rozkwitłe życie, które się wydobywa z naszych własnych żył i soków ożywczych«. (Lisicki Henryk: Antoni Zygmunt Helcel t. I. str. 37).

Wszystkie dzieła H. poświęcone dziejom prawodawstw słowiańskich, pisane były z taką gruntownością, odznaczały się takim bogactwem treści, że do dziś dnia nie straciły znaczenia. Ważniejsze prace z tego zakresu są: »O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko bizantyńskiego u narodów słowiańskich«, »Statuta Nieszawskie«, a przede wszystkim: »Prawo polskie XIII wieku«, »Prawo polskie XIV wieku: sądy, ich praktyka i stosunki prawne społeczeństwa w Polsce ku schyłkowi XIV w.«, »Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego«. We wszystkich tych pracach obiektywizm sądu szedł w parze z go-

racem umiłowaniu przeszłości: »W wyprowadzeniu ogólnych wniosków — pisze Hube — starałem się ile możności unikać hipotez: gdzie zebrane fakty nie były dość dla mnie jasne, poprzestawałem na prostem ich przedstawieniu. Mianowicie też wystrzegałem się tyle w naszych czasach ulubionych wywodów krajowych instytucji z obcych zwyczajów lub obcych ustanowień«. (Prawo polskie w. XIII, str. VI).

Badawczy umysł H., jak słusznie pisał Łaguna, nie mógł zamknąć się raz na zawsze w pewnych ściśle zakreślonych granicach geograficznych, ani też w jednej tylko epoce. To też raz po raz H., nie porzucając swych głównych badań, robi wycieczki, to w kierunku prawodawstw średniowiecznych narodów romańskich, to znów przerzuca się do czasów najnowszych i pisze »Studia nad kodeksem karnym 1818 r.«

Świetny urzędnik, imponujący swą wiedzą, umiejący zdobyć sobie szacunek u swoich i obcych, przez życie całe nie ustawał w pracy naukowej, a żył i pracował długo. Umarł w r. 1890, przeżywszy lat 87. Gdy ogarniamy myślą cały jego olbrzymi dorobek naukowy, H. wyrasta na pierwszorzędną znakomitość w naszej nauce. O głowę przerosł on nie tylko współczesnych mu historyków prawa polskiego, lecz i wszystkich swych poprzedników.

BIBLIOGRAFIA.

Prace H. ogłoszone drukiem w Warszawie wyłączenie są: »Domitii Ulpiani fragmenta libri regularum singularis« 1826. »Gai institutionum commentarii ad fidem secundae editionis berolinensis editi« 1827. »De furtis, doctrinam ex jure romano explicavit historice et dogmatice« R. Hube 1828. »Wykład zasad o usiłowaniu występku z zastosowaniem do kodeksu karnego Król. Pol.« »O stanie nauki prawa w naszych czasach«. »O prokuratorach we Francji«. »Uwagi nad systematem kodeksu cywilnego francuskiego«. »Niektóre uwagi nad historią nauki prawa«. »O starożytnych zbiorach praw czeskich«. »O pokorze według praw polskich i czeskich«. »O dawnych pisarzach prawa kryminalnego w Polsce«. (»Temida« 1828 — 29). »Ogólne zasady prawa karnego« 1830. »Statuta ziemi Krakowskiej«, 1839. (»Tygodnik literacki«). »O najdawniejszych statutach synodalnych polskich« 1852. (»Bibl. Warsz.«) »Antiquissimae constitutiones synodales provinciae Gnesnensis« (1866). »O formułach sismondzkich« (»Biblioteka Warszawska« 1863). »Prawo burgundzkie, historia jego powstania i ocenienie nowej jego edycji« (1867). »Prawo salickie podług tekstu rękopisu biblioteki głównej warszawskiej« (1867). »O znaczeniu prawa rzymskiego i rzymsko-bizantyńskiego u narodów słowiańskich« (1868). »Wiadomości o sądach bożych, czyli ordinaliach

w dawnej Polsce« 1868. »Statut wartycki Władysława Jagiełły« 1874. »Prawo polskie w XIII w.« 1874. »Prawo polskie w XIV w.« — »Ustawodawstwo Kazimierza Wielkiego« 1881. »Prawo polskie w XIV w.« 1886. »O wraździe, wróżbie i pokorze« 1884. »Zbiór rot, przysięg sądowych z końca XIV i początku XV w.« 1888. »Wiadomości o kodeksie czarnogórskim«. — Zbior. wydanie pism Hubego wyszło w Warszawie r. 1904 w dwu tomach.

Biografie i oceny działalności H. skreślili: St. Łaguna (Ate-
neum 1890 III); Rembowski — Pisma; Dunin K. we wstępie do zbioro-
wego wydania »Pism« Hubego. Zigieli: o H. w »Zurnał Minist. Na-
rodn. Proswieszcz.« 1891. Listy Hubego do W. Hanki (19 listów) po-
dał Franczew: »Piśma k Wiaczesławu Hankie«. Warszawa 1905.

Ogólne zasady nauki prawa karnego.

(Warszawa 1830).

Podajemy tu wyjątek ze wstępu do dzieła, odbijający pojęcia spo-
łeczne autora.

877) Prawo, uważając je ogólnie, jest wyrazem naszej wol-
ności, czyli — co na jedno wychodzi, jest oznaczeniem
naszej wolności. Sięga zatem tak daleko, jak daleko wolność
nasza rozwinąć się może. Z tego stanowiska oceniane prawo
nie jest ograniczeniem wolności naszej. Mieć prawo, jest to
samo, co mieć zdolność używania swej wolności. Prawo więc
jest równie nieograniczone, jak nieograniczoną jest wolność.
Aliści uznając ważność tej zasady, równie zgadzamy się i na
odwrotny wniosek. Człowiek jest istotą bezwzględnie społecz-
ną, w społeczeństwie i przez społeczeństwo znaczenie swe i god-
ność ustalającą i rozwijającą. Stąd wypływa, że wolność
człowieka w społeczeństwie bezwzględnie tak daleko tylko
sięga, jak daleko dochodzi wolność drugiego człowieka, a zatem
że wolność człowieka bezwzględnie jest ograniczoną wolnością
drugiego człowieka. Ponieważ zaś wolność pojedynczych ludzi
tworzy ogół wolności całego towarzystwa, przeto wolność jed-
nego człowieka ograniczoną jest bezwzględnie przez wolność
całego towarzystwa. Prawo więc jednego indywiduum traci swe

znaczenie na granicy sfery, tworzącej ogół praw całego społeczeństwa.

Lecz i ograniczenie takowe nie jest istotnem ograniczeniem czyli ścieśnieniem. Człowiek dopiero w społeczeństwie ukształca się. Im prostsze jest społeczeństwo, im mniej rozwiniętych jest w niem stosunków, tem mniejszy jest ogół kierunków, w których objawia się wolność człowieka, tem mniej praw służy człowiekowi; im więcej rozwinięte jest społeczeństwo, tem liczniejsze są prawa, które człowiek używać może.

Prawa więc człowieka są wyrazem jego wolności. Podobnie prawa społeczeństwa są wyrazem wolności tegoż społeczeństwa. Ogół wolności społeczeństwa tworzy się z ogółu wolności, służącej indywiduum składającym społeczeństwo. Nie należy jednak mniemać, aby społeczeństwo nie posiadało innych praw nad te, które każdemu pojedynczemu indywiduum służą. Prawa indywiduów są zawsze szczegółowe, prawa zaś społeczeństwa zawsze ogólne: powstają albowiem z kombinacyi praw służących. Prawa społeczeństwa składają się z praw indywiduów, ale zarazem i z przewyżki, jaka z połączenia praw tych w jedną całość powstaje.

Odróżnioną jest tym sposobem sfera praw indywiduów od sfery praw całego społeczeństwa, nie istnieją rzeczywiście same przez się, raczej zyskują tylko byt jako prawa pojedynczych osób. Pomimo tego odróżnić wypada dwoiste w społeczeństwie praw istnienie. Raz istnieją jako przymioty pojedynczych osób, drugi raz jako prawa zabezpieczone i utworzone przez całe społeczeństwo. Istnienie to podwójne praw nazwać można istnieniem realnem i idealnem.

Poznawszy wogóle naturę stosunków prawnych w społeczeństwie, następnie zapytać się musimy, jakim sposobem stosunki takowe utrzymują się i w życie przechodzą?

Źródłem wszelkiej wolności jest wola. Ona wlewa w nas zdolność nadania działaniom naszym jakiegokolwiek bądź kierunku z przeświadczeniem o zdolności takowej. Działaniem zatem wolnem jest działanie, będące skutkiem woli kierowanej przeświadczeniem. Działanie wolne samo przez się uważane, ani jest działaniem prawnem, ani bezprawnem. Reguła ta mianowicie wtenczas uznana być musi za niewzruszoną, gdy czło-

wieka pojedynczo uważamy. Wówczas albowiem ma każdy człowiek nieograniczoną zdolność nadania działaniom swym upodobanego kierunku. Rzecz się ma inaczej, gdy go uważamy w związku z innymi. W związku takowym wolność podmiotowa zostaje oznaczoną przedmiotową, czyli ulega ograniczeniu przez wolność innych indywiduów. Wtedy działanie wolne o tyle jest tylko prawnem, o ile zachowuje się w granicach, oznaczonych przez zbieg wzajemny i wspólny wolności wszystkich indywiduów, czyli całego ogółu społeczeństwa. Przeciwnie, działaniem bezprawnem jest wszelkie takie działanie wolne, które przekracza granice wolności innych indywiduów, czyli granice wolności całego ogółu społeczeństwa. Tym sposobem wszelkie działanie bezprawne polega na wystąpieniu osoby działającej ze sfery jej prawnej wolności, przedmiotowo oznaczonej.

HOFFMAN KAROL BOROMEUSZ.

(1798—1875).

Karol Hoffman należał do rzędu tych myślicieli historyków, którzy pokusili się o danie syntezy wewnętrznych dziejów Polski. Urodzony na Mazowszu w roku 1798, ukończył Hoffman wydział prawny uniwersytetu warszawskiego. Młodych prawników, mających szersze aspiracje naukowe, łączyła wówczas ściślejszymi węzłami »Themis«, czasopismo poświęcone wiedzy prawniczej; wśród jego współpracowników widzimy i młodego Hoffmana, posiadającego już wówczas nie małą wiedzę prawno-historyczną. Początkowo jednak zajęcia praktyczne odrywały Hoffmana od nauki, w roku 1828 został radcą prawnym świeżo założonego Banku Polskiego, a w trzy lata później w sprawach banku wyjechał do Anglii, aby już nigdy nie powrócić do kraju rodzinnego. Wybuch powstania listopadowego, który Hoffman przeżył jeszcze w Warszawie, wywołał w jego umyśle podniosłe wrażenie, któremu dał wyraz w napisanym na gorąco »Wielkim tygodniu Polaków«, zawierającym obszerny opis wypadków od 29/XI do 5/XII 1830 r. W roku następnym wydał Hoffman »Rzut oka na stan polityczny Królestwa Polskiego pod panowaniem rosyjskiem«. Jest to, napisana sine ira et studio, martyrologia konstytucyjności Królestwa Kongresowego. Autor stara się w niej nikogo nie obwiniać, uważając, że los Królestwa Polskiego — konstytucyjnego państewka, związanego z olbrzymią autokratyczną monarchią — przesądzony był już w chwili, gdy cesarz Aleksander na kongresie wiedeńskim »odbudowywał« Polskę. Już w »Roczniku« dał Hoff. wyraz entuzjastycznemu uwielbieniu, jakie miał dla ks. Adama Czartoryskiego. Nic więc dziwnego, że na emigracji zbliżył się do stronnictwa monarchicznego, którego głową był ks. Adam. Do Hôtel Lambert zresztą zbliżyły Hoffmana i sympatyje jego żony, znanej Klementyny z Tańskich. Do roku 1838 poświęca

Hoffman swe siły niepodzielnie stronictwu monarchicznemu; wydał więc broszurę »O czterech powstaniach« i redagował czas długi »Kronikę emigracji polskiej«. Jednakże zamiłowania do historii pociągały naszego pisarza w kierunku badań ściśle naukowych nad naszą przeszłością. Praktycznie obeznany z finansami, teoretycznie wykształcony jako prawnik, przeszedł Hoffman z łatwością ku rozświetleniu dziejów naszej skarbowości. »Poważny i gruntowny umysł Hoffmana — pisze, kompetentny w tych sprawach sędzia, Adolf Pawiński — nie szukał płytkiej wiedzy, lecz zapuszczał się głęboko, stąd tworzył dzieła trwałe, które mu zapewniły zaszczytne imię w rocznikach naszej literatury«. Pierwszem historycznym dziełem Hoffmana była rzecz »O zarządzie skarbu publicznego w dawnej Polsce« drukowana do dziełka »Vademecum polskie«. Po napisaniu tej gruntownej rozprawki poświęcił nasz uczony dalsze lata na poważne i mozolne badania, których owocem były listy, drukowane w latach 1847—1849 w »Przełęczu Poznańskim«, a noszące tytuł ogólny: »Obraz rządu i prawodawstwa w dawnej Polsce«. Autor przedstawia w swych listach położenie społeczne szlachty, duchowieństwa, mieszczan, chłopów, wreszcie opisuje administrację i urządzenia skarbowe w dawnej Polsce. Praca ta Hoffmana, będąc na swoją epokę wprost świetnym obrazem ustroju Polski, wywierała wpływ duży na społeczeństwo. Hoffman dał w niej ujście i swym poglądom polityczno-historycznym. Jako monarchista z krwi i kości, nie mógł się pogodzić z Lelewelowską konstrukcją dziejów Polski. Demokrata Lelewel w swych »Uwagach nad dziejami pierwotnymi Polski« wystąpił z gminowładztwem polskim, będąc przekonanym, że w gminowładnej formie odbił się pierwotny rodzimy duch Słowiańszczyzny, i z tego punktu widzenia przedstawiał całe dzieje Polski, wykazując, o ile ona zbaczała od pierwotnego ducha, lub trzymała się pierwotnej kolei. Hoffman przeciwnie, już w czasach piastowskich widzi w Polsce doskonały, zupełnie wykształcony monarchizm. Tę samą ideę uzasadniał autor »Vademecum Polskiego« i w swych pracach późniejszych; przedewszystkiem w »Historji reform politycznych w dawnej Polsce« (Lipsk 1867). »Chrześcijaństwo — pisze Hoffman w tej pracy (str. 7) — zastało już w Polsce rząd jedynowładny, oparty na idei europejskiej, nie azyatyckiej, zastało monarchię ustaloną już w dynastji, to jest taką, jaka się zgadzała z ideami Kościoła. Nie była to monarchia czysto dziedziczna, ale jak w całej zachodniej Europie, dynastyczno-elekcyjna; naród, szanując prawa dynastji, nie zrzekał się nigdy wolności wyboru, objawiał je tylko nie literalnym wotowaniem, ale deklaracją starszyzny, zatwierdzającą wstąpienie na tron każdego króla. Władza królów polskich była niepodzielna, żadnem prawem nieokreślona, dlatego jednak nie była absolutną i despotyczną. Po przyjęciu wiary chrześcijańskiej miarkowała ją z jednej strony kontrola duchowieństwa, przypominająca monarchom moralne obowiązki, z drugiej niepamiętny zwyczaj zasięgnięcia w ważnych okolicznościach rady poddanych. Historia naucza,

że Polska, czy z czasów chrześcijańskich, czy z czasów pogańskich, nie znała innego króla, jak króla w radzie«. Chociaż monarchista, nie jest jednak bynajmniej Hoffman stronnikiem despotyzmu, a przeciwnie, możnaby go uważać za zwolennika władzy monarchicznej dziedzicznej, ograniczonej przez stany. Absolutyzm, zarówno monarchy jak i jednego ze stanów, był mu równie niesympatyczny. »Każdy absolutyzm — pisał Hoffman w swej historyi reform politycznych — czy to absolutyzm królów, czy absolutyzm jednego uprzywilejowanego stanu, ma tę własność, że nie może się zatrzymać na drodze, po której go wiedzie fatalność, że im więcej zyskuje przewagi, tem więcej się trwoży o swoje zdobycze i tem mocniejsze wyszukuje sobie warunki. Ludwik XIV, co wchodził z biczem w rękę w parlament, co sam jeden ogłaszał się państwem (l'état c'est moi), skończył na zniweczeniu reprezentacji stanów i zaprowadził czysty despotyzm. Rzeczpospolita szlachecka polska, ogołociwszy stopniowo koronę z odwiecznych jej atrybucyi, postanowiła, po śmierci Zygmunta Augusta wyprzeć ją z ostatniego szanca, który ją zasłaniał, pozbawić powagi praw dynastycznych i zamienić godność królewską z dziedzicznej na dożywotną«.

Idea monarchiczna odzwierciedla się i w innej pracy Hoffmana: »Przyczyny podziału monarchii polskiej po Bolesławie Krzywoustym w wieku XII«. Wykazuje autor w tem dziełku, jak Władysław, syn Bolesława Krzywoustego, przedstawiciel i obrońca zasady monarchizmu, ginie pod ciosami braci, a właściwie tych, którzy nimi kierowali, to jest możnowładców.

Wiara w siłę twórczą władzy monarszej, żal do możnowładztwa polskiego i duchowieństwa, które zwalczając monarchizm, przyczynić się miały do upadku Polski, łączy się u Hoffmana z inną jeszcze tendencją — z jego panslawizmem.

Hoffman był panslawistą, lecz jego panslawizm nie miał nic wspólnego z panslawizmem z nad Newy. On sam swój panslawizm nazywał »panslawizmem zachodnim«. Jakkolwiek uznawał jedność plemienną wszystkich Słowian, uważał jednak, że wpływy zewnętrzne, różne wyznania, wreszcie różne posłannictwa dziejowe wytworzyły przepaść nieprzebytą między wschodnimi i zachodnimi Słowianami. »Panslawista« Hoffman nie marzył więc zupełnie o zjednoczeniu Słowian wszystkich, uważał za możliwe i pożądane natomiast zlanie się wszystkich Słowian zachodnich w jedno państwo. Z początku, według Hoffmana, zjednoczenie Słowian zachodnich było dążeniem państwa Wielkomorawskiego, po jego upadku urzeczywistnienie »panslawizmu zachodniego« stało się »politycznem posłannictwem Polski«. Polska swe posłannictwo »wykonywała wytrwale dopóty, dopóki zostawała pod jednym rządem«, każda bowiem władza, podejmująca dzieło identyfikacyjne, musi wychodzić z jednego ogniska. Jedność rządu Polski runęła po Bolesławie Krzywoustym, kraj podzielił się na części, a skutkiem tego rozbitcia rozstać się musiał z swą

pierwotną misją historyczną. Wprawdzie po pewnym przeciągu czasu niektóre odłamy państwa Bolesławów skleiły się napowrót, pomnożyły nawet nowymi nabytki; wprawdzie odzyskana tu całość miała także świetne w dziejach Europy momenty; ale postawiona w trudniejszych warunkach, złożona z różnorodnych żywiołów, przesunięta w mniej korzystną stronę ucywilizowanego świata, zmuszona do wyrzeczenia się pierwotnej idei swego posłannictwa, nie posiadała już w swej organizacji owego kitu, który pozwala narodom przebywać burze czasów bez szwanku i trwały im żywot zapewnia. Po dwu wiekach rozerwania i bezrządu, nastąpiły trzy wieki pomyślności, potęgi i sławy, dwa wieki odrętwienia i zgonu«. (Przyczyny podziału monarchii polskiej (str. 3). »Są między nami — pisze Hoffman w innym miejscu (tamże str. 130) — niektórzy, co spoglądając na rzeczy z jednego tylko stanowiska, utrzymują, że podział monarchii wyszedł Polsce na dobre: obudził bowiem w narodzie ducha wolności, ducha działalności politycznej, za pomocą którego pod ostatnimi Piastami wróciła do swojej jedności. Wszystko to prawda, czy jednak nie zaszczerpił zarazem w łonie społeczeństwa pewnych usposobień ujemnych, które snuły się odtąd przez wieki, jak czerwona nić, aż do powtórnego upadku, czy nie zachwiał na zawsze zewnętrżnej potęgi państwa? Są to pytania, któreby także na uwagę zasłużyć powinny. Polska zyskała wolność, ale wolność uprzywilejowaną, w miejsce starodawnej wolności ogólnej, nie skażonej żadnym feudalizmem i tak patryarchalnie pielęgnowanej przez pierwszych Piastów. Jeśli samo tylko zniweczenie władzy królów było korzyścią, to tę korzyść zapłaciła Polska za drogo, bo poświęceniem najnaturalniejszych i najbezpieczniejszych podstaw swej niepodległości. Straciła bezpowrotnie połowę swych dzierżaw, straciła Śląsk, straciła Pomorze, straciła zatatrzańską bolesławowską Słowaczczynę, a co najsmutniejsza, usuwając się ze środka Europy, wypuszczając z rąk swe pierwotne posłannictwo historyczne, otworzyła sąsiedzkiemu szczepowi szerokie wrota, których już odtąd najkrwawsze wysilenia, najpatryotyczne poświęcenia zamknąć nie zdołają«.

»Panslawizmowi zachodniemu« poświęcił Hoffman studjum specjalne, drukowane w roku 1868. Przedstawia w tej pracy nasz historyk kolejno te momenty, w których były największe widoki utworzenia się unii słowiańskiej. »Gdyby unia słowiańsko-zachodnia — pisze Hoffman (str. 138) — nad którą pracowano od Jagielly do Kazimierza IV, wzięła była skuteczniejszy obrót, Polska z Czechami stanowiłaby jedno państwo już w XV stuleciu, a wówczas historia Europy trzech ostatnich wieków wzięłaby była wcale inny kierunek. Czechia połączona z Polską zachowałaby była swoje wysokie stanowisko, Polska zrównałaby swe instytucje z dojrzałszymi instytucjami swej starszej siostry. Obiedwie rozwijałyby się coraz potężniej, i element słowiański w środkowej Europie otrzymałby prym nad germańskim. Co przeszkodziło tej unii? Widzieliśmy, że pierwszą unią zacho-

dnio-słowiańską zniweczył germanizm, drugą germanizm połączony z barbarzyństwem«.

BIBLIOGRAFIA.

»Wielki tydzień Polaków, czyli opisanie pamiętnych wypadków w Warszawie od dnia 29/XI do 5/XII 1830«. Warszawa 1830. »Rzut oka na stan polityczny Królestwa Polskiego pod panowaniem rosyjskiem«. Warszawa 1831. »La nationalité polonaise«. »Dernier mot sur le statut organique«. »Débats de la Chambre de Communes dans la séance du 9 juillet 1833«. »Lettre d'un Polonais a Ms les pairs et Ms les députés de la France« Paryż (1833). »Commercial relations between England und Poland« 1838. »O czterech powstaniach« Paryż 1839. »Vademecum Polskie« Paryż 1839. »Obraz rządu i prawodawstwa dawnej Polski« (»Przegl. Poznański« 1847—8). »Historya reform politycznych w dawnej Polsce« Lipsk 1867. Poznań 1869. »Król wygnaniec 1714—1725« (Lipsk 1854). »Historya upadku domu Sobieskich« Warszawa 1862. »O pansławizmie zachodnim« Poznań 1868. »O najdawniejszych grobowcach królów polskich« Poznań 1872. »Przyczyny podziału monarchii polskiej po Bolesławie Krzywoustym«. Kraków 1872.

O Hoffmanie pisali: Pawiński Adolf w »Tygodniku Ilustr.« 1875. Chmielowski Piotr w »Wielkiej Encykl. Ilustr.«

Wielki tydzień Polaków, czyli opis pamiętnych wypadków w Warszawie od dnia 29/XI do 5/XII 1830.

(Warszawa 1830).

878) Już późno w noc z dnia 29 na 30 zebrała się Rada administracyjna Królestwa na instancję X-cia Lubeckiego — ministra skarbu. Skład jej jednak, niegdyś dostateczny do ślepego wykonywania rozkazów cesarzowicza, okazał się zbyt słabym do działania w wypadkach nadzwyczajnych. Przybrano więc natychmiast za członków Rady mężów z imionami bez plamy, jako to: księcia Adama Czartoryskiego, księcia Michała Radziwiłła, Kochanowskiego, Paca, Niemcewicza i Chłopickiego. O tem wszystkim zawiadomiono zaraz publiczność. Nazajutrz Rada otrzymawszy od cesarzowicza przez jego adju-

tanta, Władysława hr. Zamoyskiego, ustne oświadczenie, jako cofa się z wojskiem rosyjskim, zostawiając Polakom skojarzenie rozdwojonych umysłów, wydała w nowym swym składzie, wyjąwszy nieobecnego generała Chłopickiego, stosowną do publiczności odezwę. Odezwa ta, acz zaadresowana do Polaków, najgorzej była przyjętą, nie była bowiem w duchu rewolucyi. Widać w niej żal władzy z powodu wydarzonych okoliczności; widać życzenie, aby sprawcy poruszenia odstąpili od swego zamiaru; widać powątpiewanie o skutku rewolucyi; widać nakoniec obawę rozdwojenia Polaków, a zatem wojny domowej. Wszystko tam dąży z jednej strony do okazania umiarkowania cesarzewicza, który wzbrania wojskom rosyjskim wszelkiego działania i samym Polakom przywrócenie porządku zostawia; z drugiej zaś strony do zwrócenia uwagi na czekające ojczyznę nieszczęścia. Lecz nie sędzimy z tego jedyne go aktu o intencjach mężów, szanowne to ciało składających; wypadki późniejsze odkryły je w całym świetle z zadowoleniem narodu. Przypiszemy raczej krok ten nieśmiały trudnemu ich położeniu i niepewności. Nie byli uczestnikami tajemnicy związku, nie wiedzieli o sile narodu; mężowie długim nauczaniem doświadczeniem, nie zwykli wystawiać zaszczytnie nabytej sławy i pięknie pozyskanych imion na los niepewnego wypadku. Nadto pozostała część wojska polskiego przy cesarzewiczu kazała im zrazu wątpić o jedności życzeń Polaków.

Lecz rzuconą już była rękawica, nie czas było się cofać. Poświęcenie się tylu walecznych czyniło już wszelki krok wsteczny niepodobnym; a wspólność uczuć, z jaką całe to niespodziane poruszenie przyjęte było od wszystkich mieszkańców stolicy, nie pozwalała lekceważyć uniesienia ku dobrej sprawie tak znacznej masy narodu.

Rada administracyjna pierwsza uczyniła krok w duchu rewolucyi, gdy w dniu 30 listopada około godziny 11 zrana z miejsca dawnych posiedzeń odprawiła uroczyste przejście do pałacu ministrów skarbu. Na jej czele jechał w narodowym stroju generał Pac; wojewodowie: Sobolewski i X. Czartoryski, ministrowie: X. Lubecki i Mostowski; kasztelan Kochanowski i Niemcewicz, nakoniec członek Rady administracyjnej, generał Rautenstrauch, szli piechotą. Towarzyszyło im niezliczone mnó-

stwo ludu, wydając radosne okrzyki. Po wejściu do pałacu ukazał się na balkonie wielbiony powszechnie Niemcewicz i w krótkiej do ludu przemowie, wyraziwszy, jak dalece Rada czuje ważność ciążących na niej obowiązków i pragnie odpowiedzieć położonemu w niej zaufaniu narodu, zachęcał do jedności, spokojności i zgody. Gdy skończył, zaczęto wołać o Chłopickiego, lecz ten nie był podówczas obecnym. Ukazał się więc generał Pac i w krótkiej również przemowie oświadczył, że z woli rady dowództwo wojska polskiego, które też generałowi Chłopickiemu powierzyć ma zamiar, tymczasowo w jego nieobecności przyjmuje na siebie. Pierwszym przeto było czynem Rady, po zebraniu się w pałacu ministrów skarbu, zastępstwo w dowództwie wojska generałowi Pacowi poruczyć, z przydaniem mu w pomoc czcigodnego generała Sierawskiego. Szefem sztabu mianowano zaszczytnie znanego pułkownika Wąsowicza...

Rada administracyjna Królestwa, postępując dalej w nowym swoim zawodzie, zwróciła uwagę na konieczność niezwłocznego zaprowadzenia porządku w sprawach municypalnych i urzędzeniu obywatelskiej straży bezpieczeństwa w stolicy. Pierwsza gałąź służby ogołoconą była z naczelnika, a nawet zrazu ze wszystkich niższych urzędników. Druga nie była nigdy uorganizowaną. Na naczelników więc obrano mężów, którzy w swobodniejszych dla nas czasach też same zajmowali posady. Prezydentem municypalności i policji mianowanym został Węgrzecki. Naczelnikiem straży bezpieczeństwa Piotr hr. Łubieński. Obydwóch trzeba było szukać, bo ludzie zaci i skromni nie zwykli szukać sami dla siebie wyniesień, i posługi tej dopełnili obywatele. Obadwa, po odebraniu od Rady swych nominacji, w tryumfie i przy okrzykach na ratusz zaprowadzeni i zainstalowani, natychmiast urzędowanie swoje objęli. Ulubiony od mieszkańców prezydent wydał natychmiast do nich odezwę, zachęcającą do spokojności i porządku. Szanowny i czynny naczelnik straży bezpieczeństwa zwołał bez zwłoki znaczniejszych obywateli miasta i z nimi tej jeszcze nocy powierzoną sobie część służby urządził. Trudno wszakże było przeszkodzić, iżby uzbrojone i trunkiem zagrzane pospólstwo nie popełniło drobniejszych przynajmniej nadużyć, zwłaszcza po odleglejszych ulicach miasta. Odbito kilka sklepów, lecz

po większej części takich, które zawierały wódkę lub wiktuały. Krok ten swawoli znajduje poniekąd usprawiedliwienie w tem, że wojsko wystawione będąc na 48-godzinne zimno, głód i strudzenie, potrzebowało koniecznego zasilenia. Noc zatem z dnia 30 listopada na 1 grudnia była nieco burzliwą, mniej jednak trwożąca niż pierwsza, bo już nie loną pożaru, ale światłem księżyca jasna, pewniejszą nadzieją ożywiona.



HELCEL ANTONI ZYGMUNT.

(1808—1870).

Antoni Helcel należał do jednej z tych licznych u nas rodzin urzędniczych austriackich, które sprowadzone zostały do Małopolski, by ją germanizować, tymczasem same nie tylko się spolonizowały, ale przysporzyły nawet dzielnych synów przybranej ojczyźnie. Dziad jego był urzędnikiem austriackim w Podgórzu pod Krakowem, ojciec z początku kupiec, później obywatel ziemski, uważał się już za Polaka, on sam, chcąc mocno zadokumentować swoją przynależność do narodowości polskiej, zmienił pisownię swego nazwiska z Hoelzel na: Helcel. Urodzony w roku 1808, skończył w szesnastym roku liceum krakowskie i wstąpił na wydział prawny wszechniczy Jagiellońskiej w nadziei, że będzie mógł poświęcić swe siły istniejącej jeszcze wówczas Rzeczypospolitej krakowskiej. Mając ledwo 20 lat, zdobył już sobie doktorat praw i dla pogłębienia wiedzy udał się do Niemiec; studyował we Wrocławiu, w Berlinie, gdzie słuchał wykładów sławnego prof. Karola Savigny, wkońcu w Heidelbergu. Huk armat, dochodzący z Królestwa Polskiego, przerwał prace naukowe młodzieńca. W początku stycznia r. 1831 zaciąga się Helcel do szwadronu jazdy poznańskiej jako prosty żołnierz, walczy pod Grochowem; dotrawszy w szeregach, dopóki był jeszcze jakikolwiek promyk nadziei, otrzymał on 8 października r. 1831 uwolnienie i w randze podporucznika przez Prusy podążył do Krakowa, zamierzając starać się o katedrę profesorską. Wkrótce uzyskał rzeczywiście docenturę historii prawodawstwa polskiego. W ten sposób przed młodzieńcem otwierały się widoki, że będzie mógł pracować na umiłowanem przez siebie polu. »Dzieje prawa« pisał w lat kilkanaście »u każdego narodu, jako dzieje jego obyczaju, są jednym z najgłówniejszych jego cywilizacyi działów. Więc dzieje prawa i wszelkich prawnych stosunków w Polsce dawnej należyście przedstawić, jest to rozwinąć wizeru-

nek cywilizacji europejsko-polskiej w najgłówniejszych, choć nie we wszystkich rysach wykończony. A w tym wizerunku jest znaczny przyczynek do uzupełnienia wielkiego obrazu cywilizacji powszechnej, chrześcijańskiej, którego połowa tylko jedna dokładnie wybarwiona, a druga dotąd zaledwo w słabych i ciemnych konturach zarysowana«. Helcel zabrał się z zapałem do wykładów uniwersyteckich, wsparty radami o lat 5 starszego Romualda Hubego. Niestety jednak nie było tym razem danem mu rozwinąć trwalszej profesorskiej działalności. W Rzeczypospolitej krakowskiej, wskutek zabiegów państw ościennych, przedsięwzięto reformę konstytucyj, przy której nie zapomniano i o wszechnicy Jagiellońskiej. Rezydent rosyjski parł na jej zamknięcie, skończyło się jednak tylko na zniesieniu docentur. W obronie uniwersytetu Helcel wraz z Wielopolskim, Konstantym Świdzińskim i Pawłem Popielem ułożyli memoriał, który celu nie osiągnął, ale zacieśnił węzły między tymi ludźmi. Szczególniej silnie zacieśnił się stosunek H. z margrabią Wielopolskim, by przetrwać długie lata i wywierać wpływ na pojęcia obu mężów.

Pozbawiony możności wykładania w uniwersytecie, postanowił Helcel w inny sposób przemawiać do społeczeństwa; założył mianowicie »Kwartalnik naukowy«, pismo, które miało z jednej strony skupić uczonych polskich i zaznajomić ich ze stanem nauki europejskiej, z drugiej zaś miało zbliżać do siebie Słowian. Do współpracownictwa zaprosił redaktor najlepsze owoczesne siły: Wiszniewski, Mecherzyński, Muczkowski, Kremer, Wielopolski, Świdziński, Bartynowski, Bandtke, Goszczyński mieli zasilać nowy organ. Niestety jednak, większość współpracowników niedopisała. Helcel zmuszony był wkładać niezmiernie dużo trudu zarówno w pisanie oryginalnych artykułów, jak i na poprawianie prac nadesłanych przez innych pisarzy. Redaktor i jego główni współpracownicy znajdowali się pod silnym wpływem filozofii niemieckiej i szerzenie jej uważali za jedno z głównych zadań swego organu. Wpływ nauki niemieckiej odbił się nietylko na treści prac, umieszczanych w »Kwartalniku«, ale również i na ich języku, który przeładowany był neologizmami, odtwarzającymi terminologię niemiecką, »ów szwargot filozoficzny«, który tak utrudniał zrozumienie prac polskich zwolenników Hegla. Poważny, nieprzystępny dla ogółu kwartalnik nie trwał długo i po dwu latach dokonał swego żywota. Po nieudanej próbie wydawania peryodycznego pisma »Radogast«, przeniósł się Helcel na czas krótki na wieś, ale już w roku 1845 powrócił do Krakowa, by tu znów oddać się badaniom nad historią prawodawstwa polskiego i współdziałać przy wydawaniu kodeksu dyplomatycznego polskiego, Rzyszczewskiego i Muczkowskiego, mającego się stać skarbnicą do poznania dziejów ustroju średniowiecznej Polski. Tymczasem zbliżały się wypadki polityczne, które miały znów oderwać Helcela od pracy naukowej i skierować go do działalności politycznej. Rzeczpospolita krakowska — ostatnia część wolnej Polski, — w r. 1846 istnieć przestała. Upadek jej poprzedziła re-

wolucya, w czasie której Helcel odegrał rolę niemałą, jako jeden z najczynniejszych członków stronnictwa umiarkowanego, pragnącego ustrzedz stolicę Jagiellońską od klęski, do której ją prowadzić się zdawali zbyt gorący przywódcy młodzieży, z Tyssowskim i Edwardem Dembowskim na czele. Straszne wrażenie wywarła na Helclu rzeź galicyjska; tknięty porażeniem, utracił władzę w nogach, a choć ją częściowo odzyskał, do zdrowia zupełnego nigdy nie wrócił. W miarę sił jednak nie przestawał służyć nauce i sprawie ojczystej; wyteżał on teraz umysł, by przy pomocy polemicznych artykułów sprostować błędne mniemanie cudzoziemców o smutnej rewolucji 1846 r. i wykazać nikczemność postępowania rządu austriackiego, które doprowadziło do rzezi galicyjskiej. W rozprawie więc »O stosunku większości obywateli miasta Krakowa do ostatniej rewolucji«, przeznaczonej dla prof. Röppla, dawał Helcel replikę na oskarżenia prasy niemieckiej, zwrócone przeciwko Polakom. Nieco później, zgromadziwszy materiały wielce kompromitujące rząd austriacki, pisze nasz uczonec: »Briefe eines polnischen Edelmannes an einen deutschen Publicisten über die jüngsten Ereignisse in Polen, und die hauptsächlich bisher nur vom deutschen Standpunkte betrachtete polnische Frage«.

Ciężkie przejścia roku 1846, jak wspomnieliśmy, wywarły wpływ głęboki na Helcla. Opierając się stale na radach i wskazówkach swego politycznego mistrza Wielopolskiego, wyrobił sobie teraz powoli cały program polityczny. Właśnie rok 1848, rok nadziei i rozczarowań, zdawał się odpowiednim do wprowadzenia planu tego w życie. Pierwszym punktem w programie ówczesnym Helcla i Wielopolskiego było wytworzenie jakiejś władzy narodowej, obowiązującej dla wszystkich, któraby pozwoliła na wyzyskanie z korzyścią dla Polski ujawniających się sympatyj ludów słowiańskich i niemieckich, porwanych ruchem wolnościowym. Helcel, jako zwolennik władz jawnych i odpowiedzialnych, projektował w tym celu utworzenie konfederacji, mającej dokonać »połączenia wszystkich patriotów i wszystkich sił narodowych dla osiągnięcia niepodległości dawnej Polski całej, na drodze agitacji legalnej«. »Konstytucyjna legalność kroków i środków w duchu zgody z liberalnymi Niemcami, Słowianami, Europą, tudzież organizowanie się i przygotowanie do walki, następnie zgodne i silne przeprowadzenie walki wraz ze sprzyjającymi nam narodami« miała być zasadą konfederacji, projektowanej przez Helcla. Siedlisko stałe komitetu konfederackiego miało się znajdować we Wrocławiu. Idea Helcla i Wielopolskiego, poparta popularnem imieniem generała Dembińskiego, tylko w części przyobiekła kształty realne; w dniu 5 maja 1848 r. mianowicie zebrało się we Wrocławiu około 60 osób z zaboru pruskiego i austriackiego, mających nieść ojczyźnie »najpotrzebniejszą pomoc«. Wśród sejmikujących znalazł się oczywiście i Helcel, reprezentujący Kraków wspólnie z Kazimierzem Wodzickim, Badenim Michałem, Potulickim, Muczkowskim i Meciszewskim. Na zjeździe jednak doszło do poważnych nieporozumień; postanowiono jedynie założyć »ligę zbożową«,

któraby nakształt ligi angielskiej zbożowej objęła kraj cały, wydano proklamację do ludów i rozjechało się. Helcel rozczarowany wyjechał, nie doczekawszy się końca zjazdu, by wziąć udział w deputacji, wysłanej przez miasto Kraków do Wiednia z protestem przeciwko bombardowaniu. W czerwcu widzimy go znowu na zjeździe słowiańskim w Pradze, do którego przywiązywał duże nadzieje. W pracach pierwszego kongresu słowiańskiego brał też nasz uczony udział niemal, uczestnicząc w redagowaniu statutu federacyjnego i adresu do cesarza. Za namową i staraniem Wielopolskiego postanowił Helcel, po powrocie do kraju, ubiegać się o mandat poselski do parlamentu austriackiego, mającego się zebrać w Kromieryżu. Poparty silnie przez przyjaciół, został wybrany prawie jednomyślnie; nawet włościanie wyborcy poparli jego kandydaturę. W manifestie do wyborców wyłożył teraz swój program polityczny. »Jak więc byłem — oznajmiał w swym manifestie — tak będę za federacją naszą z ludami austriacko-słowiańskimi i za upośrednieniem, jeśli być jeszcze może, krwawej niestety kolizji Słowian węgierskich z Madziarami, aby przeto tem skuteczniej odeprzeć wszelakie wpływy Słowiańszczyźnie obce, a dla nas w szczególności oddawna najzgubniejsze«. »Jak byłem, tak będę — pisał dalej — za tem, aby kraj nasz we wszystkich gałęziach życia społecznego, po ustąpieniu wszędzie przeważającej w narodach niemieckich, otrzymał instytucje narodowe sobie właściwe, jakich początek już zyskał nasz okręg. Instytucje gminne, szkoły, sądownictwo, gwardye narodowe na tych samych zasadach narodowych oparte być powinny«. Przybywszy do Kromieryża, przyłączył się oczywiście Helcel do kółka umiarkowanego, stojącego w obronie kościoła i własności, przechylającego się ku federalizmowi. W skład tego kółka wchodziłi wówczas: Zdzisław Zamoyski, Alfred Potocki, Jan Jaruntowski, Edmund Kraiński.

Po powrocie do Krakowa Helcel usunął się na czas dłuższy od czynnego życia politycznego, całą duszą za to oddał się teraz studjom nad historią prawa polskiego. Podniecię w tym kierunku znalazł nasz uczony w zamianowaniu go w roku 1850 profesorem prawa w uniwersytecie Jagiellońskim. Jako profesor nie miał daru przyciągania młodzieży, nie wywarł też wpływu na słuchaczy, natomiast przez dwuletni okres swojej działalności nieustannie zabiegał o podniesienie każdego z wydziałów uniwersyteckich. Jednocześnie z Helclem do objęcia katedr powołani byli: Pol, Małeki, Kremer, Zielonacki. Wszyscy oni już po dwu latach usunięci zostali przez rząd austriacki, który gorliwie wziął się do niemieczenia wszechnicy Jagiellońskiej. Helcel, pozbawiony katedry, ze zdwojoną energią wziął się do ogłaszania swych studyów naukowych. W tym właśnie okresie powstają jego najlepsze i najpoważniejsze prace. W roku 1857 wychodzi pierwszy tom dzieła »Starodawne prawa polskiego pomniki«, zawierający studjum krytyczne nad ustawodawstwem Kazimierza Wielkiego. Studjum to, do którego autor dołączył tekst samych ustaw, zyskało mu uznanie zasłużone.

»W wywodzie historycznym tak zwanego prawodawstwa wiślickiego Kazimierza Wielkiego — pisze Bobrzyński — stwierdził Helcel dowodami, komu ustawodawstwo polskie na szersze rozmiary swój początek zawdzięcza; wyłożył cały przebieg prac Kazimierza W.; odkopał z niezrównaną bystrością pierwotne brzmienie trzech dzielnicowych i jednego powszechnego statutu, zbadał prace wiecu warteńskiego z roku 1423, wyjaśnił wreszcie losy ustawodawstwa Kazimierzowego, Jagiellowego aż do chwili, póki nie przybrało postaci, w jakiej je w statucie z roku 1505 widzimy. Trzeba znać chwiejność wszystkich podstaw wiedzy o prawie polskim przed rokiem 1856, chcąc doniosłość pierwszego tomu »Starodawnych pomników« należycie ocenić. Im więcej i częściej dzieło to badamy, tem lepiej poznajemy, ile na jego podstawie można dopiero zbudować«. Drugi tom pomnikowego wydawnictwa Helcla ukazał się dopiero w roku 1870; zawiera on odnalezione przez hr. Sierakowskiego »Prawo zwyczajowe polskie XIII wieku«, będące niezrównanem źródłem do poznania prawnych a nawet i ekonomicznych stosunków panujących w Polsce średnio-wiecznej«. Do tekstu staroniemieckiego samego pomnika dodał wydawca polskie ściśle tłumaczenie i uzupełnił je licznymi objaśnieniami. Gorzej poszło z wydaniem krakowskich zapisków sądowych, które również ukazały się w drugim tomie »Pomników prawodawstwa polskiego«. Zapiski te wydane w registrach tylko, w których oczywiście Helcel uwzględniał to przedewszystkiem, co go interesowało, nie mogą obecnie zadowolić badaczy. W przerwie między ukazaniem się pierwszego a drugiego tomu »Pomników« rozpoczął schorowany już badacz cały szereg innych wydawnictw. Więc przedewszystkiem margrabia Wielopolski zaprosił go do objęcia wydawnictwa »Biblioteki Ordynacji Myszkowskich«, powołanej do życia na skutek zapisu wspólnego przyjaciela obydwu: Konstantego Świdzińskiego. W roku 1859 wydaje Helcel nakładem Wielopolskich »Jurium constitutionumque Sigismundinarum a Mathiae Śliwnicio descriptio«. W tymże wydawnictwie wydrukował Helcel »Listy Sobieskiego do żony«. W r. 1864 wydaje wreszcie »Księgę pamiętniczą Jakóba Michałowskiego«. Praca ta wywołała ostrą krytykę Szajnochy, na którą odpowiedział Helcel w broszurce pod tytułem »Odpór zarzutów«. Jeżeli do tych wszystkich robót dodamy jeszcze udział badacza przy opracowywaniu »Kodeksu polskiego« wydawanego przez Rzyszczewskiego i Muczkowskiego, będziemy musieli uchylić czoła przed niezwykłemi zasługami położonemi dla nauki polskiej.

Do życia politycznego powrócił Helcel raz jeszcze w roku 1859. Chociaż chorobą złamany, przyjął mandat do sejmu i do rady państwa, do której wybrano go z kuryi miast. Objęcie tych mandatów skierowało go znów do pracy publicystyczno-politycznej. W roku 1860 występuje więc z broszurą »Uwagi nad kwestyą językową w szkołach i w uniwersytetach Galicyi i Krakowa«, która była echem listu ce-

sarskiego, wystosowanego do namiestnika Gołuchowskiego, a wzywającego go do wprowadzenia języka polskiego do szkół galicyjskich.

W lat sześć potem z pod pióra Helcla wychodzi jeszcze poważne pismo polityczne, zawierające obszerny program polityki, której zdaniem autora powinni się trzymać mężowie, sterujący sprawami Galicyi. Był to memoriał, przesłany przez uczonego ministrowi hr. Belcredemu, który mógł zapoznać się z pisma tego ze stosunkami, usposobieniem politycznym głównych klas ludności galicyjskiej, poznać przyczyny niezadowolenia, jak również i środki zaradcze. Memoriałem tym zamknął Helcel swój zawód polityczny. Beznadziejna choroba przykuła go ostatecznie do łóżka; miał jednak dość siły i panowana nad sobą, by pomimo strasznych cierpień pracować ciągle nad pomnikami starodawnego prawa polskiego. Drugi tom swego pamiętnego w dziejach nauki polskiej wydawnictwa ukończył przed samą śmiercią, która go zabrała 31 marca 1870 r.

BIBLIOGRAFIA.

»O teoretycznej i praktycznej oświacie«, »O właściwym zawodzie filozofa«, »Rys postępów prawodawstwa karnego« (»Kwartalnik Naukowy« 1835). »O powołaniu prawnika«, »O grzywnach za Kazimierza Wielkiego« (»Kwartalnik Naukowy« 1836). »Jerzy Samuel Bandtke w stosunku do społeczeństwa i literatury polskiej« (»Kwartalnik Naukowy« 1836). »O klasztorze Jędrzejewskim i będącym tam nagrobku Pakosława, kasztelana krakowskiego« (»Rocznik Tow. Nauk. Krak. 1852). »O dwukrotnem zamężciu księżniczki Ludwiki Karoliny Radziwiłłówny«. »Jurium constitutionumque Sigismundinarum proposita a Mathiae Slivnicio descriptio« (Muzeum Świdzińskich 1859). »Listy Sobieskiego do żony« (tamże). »Badania w przedmiocie historii dziesięcin kościelnych w Polsce« 1863. »Uwagi nad kwestyą językową w Galicyi« 1862. »Księga pamiętnicza Jakóba Michałowskiego« 1864. »List otwarty do A. Bielowskiego o najdawniejszych znanych nadaniach klasztoru Benedyktynów w Mogilnie« (Bibl. Ossolińskich 1865). »Odpór zarzutów« 1865. »Starodawnego prawa polskiego pomniki, poprzedzone wywodem historyczno-krytycznym tak zwanego prawodawstwa Wiślickiego Kazimierza Wielkiego« tom I, 1860. »Starodawnego prawa polskiego pomniki z ksiąg rękopiśmiennych dotąd nieużytych, głównie zaś z ksiąg dawnych sądów ziemskich i grodzkich ziemi krakowskiej« tom II, r. 1870.

O Helclu pisali: Bobrzyński »Niwa« 1873. Henryk Lisicki dał jedyną obszerniejszą biografię H.: »Antoni Zygmunt Helcel« Lwów 1882, 2 tomy. Dębicki L.: »A. Z. Helcel« Kraków, 1870 i w »Sylwetkach i szkicach literackich« I, 1905. Maciejowski W. A.: »A. Z. Helcel jako prawnik-historyk«. Rozpr. Akad. Um. wydz. hist.

fil. VI. 1877 i osobno. Kraków, 1876. Haller C.: »A. Z. H.« w Warszawie d. 8 kwiet. 1861. »Przeł. Pol.« 1883, II. Balzer o H. w »Albumie biograf. zasług Polaków w. XIX«, t. II. Kołodziejczyk E.: Z przeszłości słowianofilstwa w Polsce (A. Z. Helcel w r. 1835 - 36). »Świat słowiań.« 1910 (maj) »Listy Helcla do W. Hanki« podał Francew: Piśma k Wiaczesławu Hankie. Warszawa 1905.

O teoretycznej i praktycznej oświacie.

»A kto w ciemności chodzi, nie wie, kędy idzie. Wiercież w światłość, abyście byli synami światłości«.

Ewan. Jana XII. 35. 36.

Artykuł, którego część tu podajemy, odzwierciadla dokładnie stan umysłu Helcla w jego młodości, gdy był jeszcze całą duszą Heglistą. Służył ten artykuł za wstęp do »Kwartalnika naukowego«.

879) Promień światłości ducha przedwiecznego przenika człowieka i wznieca w nim dążność do doskonałości. Postępować w mądrości jest powołaniem jego, które mu Bóg oznaczył; a życie i jego stosunki, świat i jego oznaczenia, są zarazem szkołą i polem działania człowieka. Rozum, który jest pobudką i wskazówką czynów ludzkich, jest przyczyną, iż działalność nasza jest czem innym, niż działalność zwierzęcia, drganie listka na drzewie, lub ruch morza w przestrzeni. Człowiek myśli, a myśli rozumowo; myśl zaś jego, bądź że sama siebie ma za przedmiot, bądź świat, bądź wreszcie najwyższą przyczynę i siebie samej i świata, jest tylko w drodze do umienia siebie samej, świata i Boga, czyli jednym słowem: uczy się. Samo już tedy proste działanie myśli, sama istota myśli, jest nauką w najobszerniejszem tego wyrazu znaczeniu; nauką świata wewnętrznego myśli, i świata zewnętrznego rzeczy, zatem uczeniem się wszystkiego, nauką wszystkiego. Gdy zaś działanie to myśli jest tylko skutkiem jej istoty, jest tylko dopełnianiem jej przeznaczenia, jej dochodzeniem do swego celu, do swego końca, a zatem doskonaleniem. A jako zaś myśl nie jest bez rzeczy-

wistości, i nawzajem rzeczywistość nie jest bez myśli, tak też i doskonalenie owe, nie tylko jest samo w sobie, ale występuje i w rzeczywistości w zewnętrznym objawieniu się. Stan na jaw pokazującego się owego doskonalenia stanowi to, co oświata w ogólności zwiemy; jakoby to, co działaniem myśli w drodze doskonalenia wyświeconem zostało, występowało na jaw jako jasne, jako światło dające. Oświata przeto, do istoty już człowieka należąc, z pierwotnem jego łączy się powołaniem i jest skutecznieniem Boskiego w nim wołającego głosu: »aby był synem światłości«. W ślad tego głosu garną się pojedynczy ludzie, garnie się ludzkość cała, a mniejsza lub większa siła popędu w tej mierze stanowi stosunkowo mniejszy, lub większy oświaty stopień.

Wszakże i oświata ma swoje odróżnienia, z natury jej już wypływające. Jeżeli bowiem myśl swój wolny postęp na drodze umienia poddaje logicznej ustawie rozsądku i systematyczną formę sobie utwarza, tedy skutkiem tej pracy będą nauki, umiejętności we właściwym znaczeniu, a zewnętrzne w właściwej drodze objawienie się postępu tychże nauk, stanowi oświatę ściśle naukową, teoretyczną. Jeżeli zaś toż postępowanie będzie w formach z doświadczenia zewnętrznego branych, tedy skutkiem jego będzie doświadczalna użyteczność i wykształcenie, a zewnętrzne jej istotnego postępu objawianie się stanowi oświatę praktyczną, cywilizacją w szczególnem znaczeniu. Oświata ściśle naukowa, wypływając bezpośrednio z zakresu wewnętrznej tylko działalności i oddzielona jeszcze od stosunków jej urzeczywistnienia, ma naturę natężności i zgłębiania się sama w sobie. Owa zaś druga, przejmując wszelkie stosunki ludzkości, dla tego samego ma naturę przestronności, to jest rozprzestrzeniania się w mnogość, rozlegania się, ile możliwości jak najszerszej. Stąd to w społeczności ludzkiej pierwsza objawia się w dążnościach indywidualnych i pojedynczym też tylko właściwa jest indywiduom, jest niejako przywilejem cechowania klasy uczonych, — druga przenika w mnogość, upowszechnia się w masach, jest popularną, jest żywą u ludu całego. Ta jest widoczną i do poznania łatwą; tamta jest tylko dla tych widzialną i należycie pojętą, których właśnie sama jest udziałem.

Dlatego to, iż właściwie jako taka do całości ludu należy,

oświata praktyczna w krajostanach przybiera znaczenie polityczne i na instytucye polityczne stanowczy wpływ wywiera. Dlatego też wyrazem »Cywilizacya« (od civis) szczególnie ją mianować zwykliśmy. Mówiąc pod względem ukształcenia o cywilizacyi tego lub owego narodu, rozumiemy przez to nie naukową uczonych, lecz ludu oświatę. Mówiąc o usposobieniu narodu do tej lub owej politycznej instytucyi, nie mamy na myśli oświaty uczonych, lecz ludu oświatę; i nie z pierwszej, lecz z drugiej w tym względzie miarę bierzemy. W tem porównaniu oświata praktyczna zdaje się być wyższą i główniejszą, niż ściśle umiejętna. Często też pospolite mniemania za przewagą tamtej z pogardą tej obstają. Lecz w gruncie jest to tylko pozorem, obłudem.

Obadwa te rodzaje oświaty są tylko dwoma odmiennemi stronami oświaty w ogólnem znaczeniu; w swej istocie są one jednym i tem samem, są objawieniem ciągłego i wszechstronnego postępowania myśli w drodze umienia. Jedna występując w formach czysto logicznych, przedstawia stronę wewnętrzną. Jeżeli przeto oświata zewnętrzna z jawnemi okazuje się skutkami, to może naukowa, jako czysto rozumowa, tem jawniej właściwy pierwiastek oświaty i bezwarunkowość swej prawdy przedstawia. Odłączmy od oświaty zewnętrznej to, co w niej z myśli pochodzi, a zostanie się tło próżne, nicość oświaty. Odrzucać i mniej ważyć oświatę umiejętną, byłoby zapominać, że myśl doskonałająca się, myśl umiejętna jest wspólnem źródłem i tej i owej. Myśl w postępie swego doskonalenia, przechodząc w świat zewnętrzny, rozdziela się sama z sobą, wychodzi na zewnątrz siebie i łączy się z czemś, co nie jest myślą, z czem innem. Lecz w tem działaniu myśl na prostem przypatrzeniu się czemu innemu nie przestaje, nie przylega tylko wprost do niego, ale takowe sobą ogarnia, obejmuje, pojmuje, równa z sobą i że tak rzekę, przetapia w własny swój element. Z tego co było innem od myśli robi coś pomyślanego, do myśli już należącego, a tak tem samem znów do siebie samej odnosi, sama się do siebie wraca, a wraca z treścią i rzeczywistością, i staje się idea. Tak myśl postępuje w swem udoskonaleniu; lecz też zarazem doskonali i to, co przez nią jest pomyślanem. Albowiem wstępując w to, co tylko jest samo w sobie martwe

i ciemne, wlewa ruch, światło i życie, nadaje ducha i przeznaczenie. Gdy zaś oświata temu działaniu myśli zupełnie jest odpowiadającą, więc oświata zewnętrzna niczem innym nie jest, jak owym śladem doskonalenia, który oświata ogólna w swem przejściu w zewnętrzne i doświadczalne światu stosunki po sobie zostawia, wracając zawsze w czysto umysłową swą istotę z treścią i rzeczywistością, którą przez to nabyła. Lecz ten ślad nie jest tylko przypadkowym, nie jest, tak rzekę, nieumyślnie tylko zostawionym; przeciwnie, ślad ten jest koniecznym, bo jest koniecznym skutkiem koniecznego myśli rzeczywistością zajęcia się, czyli tej wzajemnej owych trzech pierwiastków jakoby atrakcyi. Jako myśl czysta bez treści byłaby tylko próżnym słowem, a nawzajem przedmiot bez myśli nie byłby przedmiotem, lecz czemśiś bez formy, bez oznaczenia, czemśiś nierozpoznalnym, jako więc dwa te w bezpośrednim swem naprzeciw sobie położeniu negujące się żywioły, właściwie są tylko uzupełniającemi się wzajemnie pojęciami, są zupełnie jednej i tejże samej istoty, a zatem tożsamością, tak też w stanowisku spekulacyjnym znika wrzekoma różnica między teorią a praktyką i pozorna przewaga tej drugiej, a w ślad tego znika też rozdział między ściśle naukową a potoczną oświatą i przypisywane pierwszeństwo potocznej. W swej istocie obie są sobie równe, tak, iż każda z nich pojedynczo jest tylko inną stroną drugiej; a będąc wzajemnie dla siebie koniecznymi, tem samem wykazują swoją ze wszech miar odpowiednią jedność. Stąd to, gdy ową praktyczną oświatę zechcemy uważać w kształcie społeczeńskiego obyczaju, tedy dzieje umiejętności i dzieje obyczajności przedstawiają się jako dwa równoległe pasma podobnych momentów, dwie wzajemnie utrzymujące się strony jednej historii.

Z aforyzmów o prawdziwym i fałszywym konserwatyzmie.

880) Konserwatora nie stanowi bynajmniej sam czyn i sama zasada konserwowania bezwzględne, bo tym sposobem i rewolucyi zwolennik, dążący do zakonserwowania rewolucyi i jej skutków, mógłby nazwę konserwatora nosić. Lecz

główny charakter konserwatorstwa upatrywanym być winien właśnie w oznaczeniu tego, co zachowaniem być powinno, a więc w pojęciu o tem, co prawdziwie za stałe, nietykalne i fundamentalne w danych stosunkach uważać należy.

Różnica między konserwatorami stąd więc pochodzić musi, iż jedni to, drudzy owo uważają za stałe i fundamentalne. Owóż ta różnica jest właśnie najbardziej krzyczącą różnością, bo nie może być większej różności, jak różnić się w tem, co się za najważniejsze poczytuje.

Przypatrując się atoli bliżej stosunkom i ludziom, przyznać nam wypadnie, iż różność konserwatorów nietyle wynika z odmienności pojęcia o tem, co konserwowane być powinno, jak raczej z tego, iż jedni rzeczywiście mają wzgląd na to, co chcą konserwować, jak na coś świętego, najważniejszego; drudzy zaś, zbyt leniwi, by o treści swego konserwatorstwa myśleć mieli, bez wszelkiej na to uwagi, bez wszelkiego oceniania stosunków żywotnych społeczeństwa, bez rozróżnianego celu, chcą konserwować wszystko, co jest i co było dla prostej tylko zasadniczej konsekwencji.

Takie bezwzględne a formalne zagrzażnięcie jest atoli czczością tylko bez wszelkiej wartości, marną zasadą i słowem bez treści, pozorem bez prawdy, uporem bez myśli; takie zagrzażnięcie w jednej wyłącznej myśli, jest bałwochwalstwem bezrozumnego przedmiotu i wychodzi ostatecznie na bezwzględność radykalizmu, na fanatyzm.

Tacy nie zasługują na nazwę konserwatorów, lecz ich słuszniej stacyonaryuszami, pozostalcami, lub zagrześlakami nazywać się godzi.

Konserwatorstwo prawdziwe jest świadomem swych wyższych celów, do których dąży, i przyczyn, dla których te cele za wyższe nad wszelkie inne uznaje.

Odpowiedź na pytanie, co powinno być konserwowanem? co powinno być uważanem za stałe fundamentalne, nietykalne? nie powinnyby być politykom naszych czasów zbyt trudną do wynalezienia. Dość bowiem długo i głębsza teoria w tych pojęciach nurtowała, dość też obficie i praktyka ważnych świata wypadków przedstawiała w tej mierze przykładową naukę. Po-

mimo tego błędne opinie jakby w zaczarowaniu zawsze jedne i te same, choć w różnych kształtach ostały się.

Zbadanie prawdy zależeli atoli wyraźnie od właściwego pojmowania i oceniania państwa.

Czy państwo absorbuje i upodrzednia wszystkie inne stosunki, stanowiska i węzły ludzkości? Czy człowiek w państwie niczem innym nie jest, tylko li obywatelem? Czy prócz praw, które państwo daje i obowiązków, które państwo wkłada, człowiek żadnych już innych praw i obowiązków nie ma? Czy państwo jest jedynym dawcą wszystkiego dobra i jedynym źródłem wszelkiego życia? Czy więc państwo w istocie swojej jest najwyższym i ostatecznym celem człowieka. Nie zaiste.

Państwo nie jest źródłem małżeństwa, nie tworzy rodziny. Państwo nie daje życia człowiekowi, nie tworzy środków materialnych do utrzymania życia tego; nie zastąpi niczem konieczności fizycznej i umysłowej pracy ludzkiej; nie upłodni ziemi, nie otworzy skarbów przyrodzenia dla człowieka, nie przymnoży samo z siebie żadnych człowieka dobytów; nie podsunie pod posiadanie i mienie człowieka warunków i podstaw jego materialnej egzystencji; nie usposobi ducha ludzkiego do rozpanoszenia się nad materią.

Państwo nie udzieli nikomu ani sił cielesnych i zdrowia, ani sił umysłowych, ani mocy ducha, ani cnotliwości, ani pobożności uczucia, ani geniuszu. Państwo nie wskrzesza owego niewygaślnego w człowieku żaru do nieskończonego kształcenia się i doskonalenia, do nieskończonego badania prawdy i do odziewania urokiem piękności wszystkiego, co jego myśli i ciało otacza.

Państwo nie wznieca nieodzownego popędu ducha ludzkiego do szukania bezwzględnej wątka wszystkich istności, do szukania bezwzględnej ducha, Boga, i do jednoczenia się z nim i odnoszenia ciągłego.

Konieczniejsze to są, mocniejsze, czystsze i świętsze węzły, które naturę, Boga i ludzkość do samych pierwiastków wszechświata tak ściśle wiążą, iż te trzy osobne pojęcia wzajem się uzupełniając, niemal koniecznie i w myśli ludzkiej jedną ideę składają, ideę źródłową, z której pojęcie państwa dopiero jako dalsza wynikłość wypływa. Jest to sfera, w której rządy

i wpływy Stwórcy bezpośrednio się jeszcze czuć dają w owych wrodzonych darach, stosunkach, zjawiskach, usposobieniach ludzkich, które rzeczywiście żadnym ludzkim zrządzeniom przypisywać nie można. W tej sferze źródłowej, logicznie i historycznie wyprzedzającej wszelki organizm polityczny, już są uzasadnione cele, prawa i obowiązki człowieka pierwsze, najwyższe, konieczne. W niej uzasadnione są więc owe Bosko przyrodnicze stosunki, których państwo utworzyć i dać nie może; w niej już uzasadnione są: familia, własność, życie fizyczne i wolność osoby, wiedza i geniusz indywidualny, wiara i religia i wszelkie z tych stosunków pierwotnych wypływające prawa.

Tak więc stosunki i prawa wyższe, których państwo nie tworzy, lecz które owszem do ukształcenia państwa prowadzą, te zaiste przedewszystkiem za stałe, fundamentalne i nietykalne przez konserwatorów uważanemi być powinny.

Lecz jeśli prawdą jest, iż państwo owych pierwotnych i najświętszych stosunków społeczeństwa nie tworzy, toć nie mniej rzeczą niezawodną, że państwo nietylko zdolnem jest owe stosunki, ale i prawa w ich całości utrzymać, że w państwie tylko osiągniętymi i urzeczywistnionemi być mogą. Jest więc państwo środkiem dla społeczności, ale środkiem koniecznym.

Główną istotą państwa jest ład, jest zachowanie się jednego względem drugich wogóle, i znów wszystkich wogóle względem jednego. Do tego koniecznego ładu należy ograniczenie się pewne jednego indywiduum dla drugiego i jednego dla wszystkich; do ładu tego należy idea wyższości i większej ważności ogółu, niż pojedynczego człowieka; do ładu tego należy idea rzeczywistego organu woli rozumnej ogółu, to jest idea ogólnego prawa przedmiotowego, której wola jednego podporządkowana być musi. Dopelnieniem koniecznem tej idei prawa jest rząd, tę ogólną wolę społeczności z ładem urzeczywistniający i mający potrzebną władzę do wykonania prawa. Bez władzy niema rządu, bez rządu niema ładu, bez ładu pojedynczości spolic się nie mogą, bez ładu niema społeczności, bez społeczności zaś nie może istnieć człowiek«.

Str. 483 — wiersz 21 od dołu brakuje po wyrazach: oceniał Balzer w »Historyi porównawczej praw słowiańskich« Lwów 1900 r.

LP.C
W6455

630964

Wiek XIX, sto lat myśli polskiej.
t.7

DATE

UNIVERSITY OF TORONTO
LIBRARY

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET



